

GDY ŚWIATEM RZĄDZĄ KŁAMSTWA,  
NAJWIĘKSZYM BOHATERSTWEM  
JEST ICH ZDEMASKOWANIE



**KORZENIE**  
**LILII** TOM 1  
PIOTR MOSKAŁA

NOVAE RES

PIOTR MOSKAŁA

# KORZENIE LILII

TOM 1



NOVAE RES

*Dla Marysi, mojej wytęsknionej Przystani po latach dryfowania w niespokojnej, życiowej podróży...*

*Dla mojej Córeczki, niewypowiedzianej Radości dla mojego serca i duszy...*

*Dla mojej Mamy, której od zawsze byłem nierozdzielną częścią i na którą zawsze mogłem liczyć, oraz dla obydwu Babć, które od dziecka krzewiły we mnie prawdziwą siłę, wiarę i wytrwałość...*

Dla Kobiet mojego życia...

Ta opowieść jest jedynie fikcją literacką, wkomponowaną w wydarzenia historyczne, a także szeregiem zdarzeń, które – jako wytwór wyobraźni autora – choć nie miały dotąd miejsca, w przyszłości mogą zaistnieć...

Wszelkie podobieństwo do osób autentycznych jest przypadkowe.

*Prawdziwym bohaterem jest ten, kto walczy pomimo strachu.*

generał George S. Patton

# Razem i przeciwko sobie

Ta opowieść zaczyna się dwudziestego dziewiątego sierpnia 1862 roku, w trakcie drugiego dnia bitwy nad rzeką Bull Run w hrabstwie Prince William w północnej Wirginii. Bitwy, która dawała konfederatom płomień nadziei na wygraną dla nich wojny secesyjnej. Jednakże korzenie tej historii, która – kto wie? – być może się kiedyś wydarzyła (lub w jakimś stopniu dopiero wydarzy), sięgają głęboko w najmniej znane i zbadane zaułki dziejów Polski.

Pod zacinającym deszczem ołowianych kul pędzi wyprostowany i niczym niewzruszony pułkownik. Wysoko uniesiona szabla w jego ręku i niebieski rękaw z amerykańskim orzełkiem na pagonie jest jak latarnia dla potraconych w bitewnym zgiełku żołnierzy. Dowodzi z konia, jak przystało na polskiego ułana; emanuje niemalże szaleńczą odwagą, torując drogę przed dozgonnie mu oddanym, nowojorskim 58 Ochotniczym Pułkiem Piechoty, zwanym potocznie „Polskim Legionem”, a wchodzącym w skład XI Korpusu Armii Potomaku – głównej siły zbrojnej Północy. Pułkownik wiele razy zastanawiał się nad istotą etosu żołnierskiego – i nawet teraz, w dzikiej straceńczej szarży podobna myśl przeszła mu przez głowę.

Dlaczego żołnierz żołnierzowi nie jest równy na polu walki? Dlaczego jednego dnia ten sam człowiek, nie bacząc na niebezpieczeństwo, zdaje się wręcz szukać anioła śmierci w najgęstszych ostępach bitwy, by już następnego, gdzieś w ostatniej linii, truchleć ze strachu, licząc na jak najszybszy odwrót? Tak... Moi ludzie są zdecydowanie najlepsi... A przecież to tylko zwerbowani ochotnicy. Skąd w nich ta

siła? – pytał sam siebie. A może... Może rzeczywiście to wszystko zależy od dowódcy?

Tu poczuł, że pozwolił sobie na nieskromną samoocenę. Widział bowiem, z jaką determinacją i uporem parł naprzód jego pułk i był absolutnie przekonany, iż w ostatnich dniach niesie ich tak niewiarygodna wiara w ostateczne zwycięstwo, że pomimo wyraźnie przegrywanej przez nich bitwy, i tym razem uda się odcisnąć bolesne piętno na siłach przeciwnika.

Tak jak ostatnio... – pomyślał nadzwyczaj spokojnie, zarazem energicznie spinając parskającego pianą konia. Jakby bitewne zawirowania wcale nie mąciły jego koncentracji i nie wzburzały zachowanej niczym otrzeźwiająca, źródłana woda zimnej krwi.

Dokładnie tak jak w Cross Keys... w dolinie Shenandoah... – ciąg analitycznych przemyśleń nadal snuł się gdzieś po zakamarkach wytężonej świadomości pułkownika. Wtedy to właśnie jego chłopcy heroiczną szarżą pogonili oddziały generała Stonewalla, dając całej artylerii Jankesów szansę na udany odwrót.

Najważniejsze, by nie splamić honoru! By ani przez chwilę, ani na moment nie stracić odwagi!

Nagle ostudzone i dotychczas jednostajne emocje zadrżały w nim gwałtownie; najwyraźniej na widok nadciągających posiłków przeciwnika, który pewny swojej przewagi i niezdeprimowany szaleńczym rajdem polskiego pułkownika, szykował się już do ostatecznego, druzgocącego uderzenia.

Jeżeli żołnierze zauważą – chociaż przez sekundę – oznakę zawahania u dowódcy, tracą wiarę i oni również się zawahają. A brak pewności na polu walki kończy się zawsze tragicznie... Dowódca nie może się cofnąć ani o krok! – niejako upewnił samego siebie tym wysnutym wnioskiem pułkownik i począł jeszcze zajadlej ciąć szablą konfederackie czupryny, które niefortunnie stanęły na drodze jego wyraźnie już zwalnającej i tracącej początkowy impet szarży.

Niemniej jednak ta zabójcza pewność siebie i widoczna w każdym najmniejszym geście słusność, co do podjęcia takich a nie innych decyzji, emanowały z pułkownika tak rozległe, iż wydawały się pochodzić od jakiejś siły wyższej bądź też jakiegoś nieodgadnionego szaleństwa. Zdecydowanie coś niewidzialnego prowadziło go do celu i utwierdzało w nim nieodparty obowiązek wyprowadzenia swoich ludzi cało z tego dantejskiego tygla.

Ileż takich niesamowitych scen rozegrało się na polach bitew w całej historii ludzkości... Iluż cichych bohaterów, często w bitewnych dokonaniach w niczym nieustępujących tym mitycznym... A jednak w gawędach, pieśniach czy księgach wspomina się tylko wybranych...

Czy o nich, o jego chłopakach z 58 nowojorskiego pułku ochotników też ktoś kiedyś będzie pamiętał?

Pytanie to pozostało w głowie dowódcy bez odpowiedzi. Póki co pułkownik nadal z niesłabnącą, wyrysowaną na twarzy dziką pasją tnie wkoło siebie ostrzem szabli i z mistrzowską precyzją rozszczepia czaszki nieszczęśników, którzy po pozbyciu się całej amunicji, z groźnie błyszczącymi bagnietami, oblegli tabunami jego i idący w ślad za nim słynny już Polski Legion.

A jednak... Wygląda na to, że nie powtórzymy dziś manewru z Cross Keys... Pomimo naszego naporu przewaga Południowców wydaje się zbyt duża... – pomyślał pułkownik, powoli zdając sobie sprawę z tego, że podobnie jak jego zdyszany koń i on zaczyna tracić siły, a jego ramię staje się z każdym zamachem coraz wolniejsze i cięższe. W końcu, po kilku minutach nierównej, dramatycznej walki, która z czasem zaczęła przypominać rozpaczliwą obronę we wszechogarniającym chaosie, ostatkiem sił wyciągnął w górę głowę – tak jak tylko mógł najwyżej – i wypatrując wkoło bezlitośnie zgniatanych naporem wroga swych wiernych żołnierzy, zawołał zasapanym głosem:

– Niech się dzieje wola Twoja! – I natychmiast po tych słowach, jak gdyby na dopełnienie tej niesamowitej sceny, koń pułkownika, który tym razem przyjął na siebie o jedną kulę za dużo, niczym rażony gromem stanął na tylnych nogach, by



następnie teatralnie runąć na grzbiet i przykryć ciężarem skrwawionego cielska swojego utrudzonego pana.

Z kilku stron dało się słyszeć dobiegające okrzyki nadciągających z pomocą towarzyszy broni.

– Pułkownik Krzyżanowski padł!

\*

Cicha sierpniowa noc rozpostarła się nad rwącym nurtem rzeki Bull Run i rozbitym nieopodal niej obozem Armii Unionistów, do którego co jakiś czas wpadał z przeraźliwym świstem, zwiastujący rychłą jesień, lodowaty wiatr przesycony pyłem, który wzbił się w powietrze podczas dzisiejszej bitwy. Poza tym nie było słycać nawet gwaru żołnierzy, którzy po trudach ostatnich dni w śmiertelnym znużeniu popadali na swoje leża, ani też obozowych psów, zwykle bezlitośnie ujadających o tej porze, a dziś zadziwiająco cichych i jakby przerażonych intensywniejszym niż kiedykolwiek swędem gnijących ran i krwi, dobywającym się z wnętrza obozu. W takiej oto – na pierwszy rzut oka opuszczonej przez Boga – scenerii do jednego ze starych, wypłowiałych namiotów wszedł nieśmiało młodziutki jankeski szeregowiec i zameldował wyraźnie zdenerwowanym głosem, posługując się przy tym językiem polskim:

– Pułkowniku! Dwóch naszych zwiadowców przechwyciło w lesie jakiegoś konfederackiego szpiega!

– W czymże problem? – zdawkowo odpowiedział mu dowódca, ostrożnie obwiązując bandażem mieniące się tłustą czerwienią i fioletem, obszernie pogruchotane żebra.

– Ja go widziałem! To jakiś bardzo dziwny człowiek... Ma taki... taki wilczy wzrok. Jak gdyby był ogarnięty obłędem... I prowadzą go właśnie do pana, pułkownika... – wytłumaczył niepewnie młokos.

– Cholera jasna! Czyż to moja sprawa? – wzburzył się nagle dowódca, nierad, że nawet po tak ciężkim dniu ktoś ma jeszcze czelność przerywać mu zasłużony

wieczorny odpoczynek. – Wielu żołnierzy dezertuje z konfederackich szeregów i z pewnością będziemy ich wyłapywać coraz więcej! Macie zamiar przychodzić do mnie z każdym złapanym szabrownikiem? Niech ktoś niższy stopniem się tym zajmie! – warknął i odwróciwszy się na pięcie, zajął się dalszym opatrywaniem swojej nieprzyjemnie wyglądającej rany.

– Ale panie pułkowniku, on jest Polak! I mówi, że usłyszał o Polskim Legionie u Jankesów! Twierdzi, że dlatego się do nas przedostał, i prosi o rozmowę z naszym dowódcą – powtórzył jednym tchem szeregowiec, zdobywając się tym razem na pewniejszy ton.

Natomiast pułkownik, nie ukrywając swojego zniecierpliwienia, zaczął odpowiadać mu powoli i uszczypliwie:

– Ale to jest także pułk Węgrów, Rosjan i Niemców, zgadza się?

– Tak jest, panie pułkowniku! – potwierdził natychmiast gołowąs, nie do końca wiedząc, do czego zmierza jego przełożony.

– Czyli rozumiem, że od teraz, gdy jakiś zabłąkany Rusek, Niemiec czy Węgier będzie życzył sobie porozmawiać z którymś z przełożonych, będziecie wysyłać go do mnie? Zwariowaliście?! Powiedz zwiadowcom, że jeśli mają zamiar, tylko dlatego że jestem dowódcą tego pułku, przysyłać mi tu za każdym razem najróżniejszej maści dezertarów, to niech nauczą się najpierw tych ich wszystkich języków! Bo jeśli nie będą w stanie przetłumaczyć mi tego, co damy na to taki Węgier będzie miał na myśli, to pójdą siedzieć do karceru razem z nim! – zagroził gniewnie.

– Ale... on powiedział, że chce się widzieć z panem! Z pułkownikiem Krzyżanowskim! – wypalił niespodziewanie żołnierz, a słysząc to, pułkownik natychmiast zaniechał obwiązywania bandażem swoich niemiłosiernie zбитych żeber i po krótkim zastanowieniu zapytał:

– Wymienił moje nazwisko?

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Dobra... W takim razie dajcie go tu... Tylko szybko! Nie mam całej nocy na pogaduszki! – Westchnął z niecierpliwością, dodając jeszcze: – I pamiętaj! Przy innych dowódcach melduj się po angielsku! Teraz jesteśmy armią amerykańską! Rozumiesz?!

– *Yes, sir!* – odpowiedział z przejęciem młody chłopak i natychmiast wybiegł z namiotu.

Po kilku minutach dwóch innych żołnierzy wniosło pod pachy brudnego, mocno obitego i nieprzyjemnie cuchnącego mężczyznę, który nie mogąc ustać na nogach, rozpaczliwie próbował imitować chód, zaledwie powłócząc tylko nogami. Tajemniczy przybysz był jednak wysoki, dobrze zbudowany, miał czarne jak smoła włosy i pomimo swego oplakanego stanu – jak zauważył pułkownik Krzyżanowski – wyróżniały go zbyt szlachetne rysy twarzy jak na podrzędnego włóczęgę czy też szabrownika. Pomimo otaczającego ich, panującego w namiocie półmroku pułkownik dostrzegł także rzecz nieczęsto spotykaną – przyprowadzony brunet miał nienaturalnie jaskrawoniebieskie oczy i choć cały wyglądał na skrajnie wyczerpanego, to jego wzrok rzeczywiście nieustannie wydawał się wyjątkowo bystry i niezmacony niczym u wygłodniałego wilka.

– Chcę się dostać do twojego pułku i ustalić zasady przejścia do was! – bez żadnego meldunku, przedstawienia się czy też zachowania jakiegokolwiek szacunku wypalił do pułkownika prosto z mostu przywleczony przez zwiadowców dezerner.

Dwóch podtrzymujących go żołnierzy aż zadrzało, widząc tak nieodpowiedzialną i lekkomyślną zuchwałość, ale o dziwo pułkownik Krzyżanowski z niewzruszoną miną – za to bacznie mu się przyglądając – odpowiedział spokojnie.

– Wiesz, jaka jest teraz twoja sytuacja?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko podniósł swój nieprzyjemnie przenikliwy wzrok na pułkownika, który teraz silił się, by nie dać po sobie poznać, że ów wzrok budzi w nim jakiś dziwny, niezrozumiały niepokój.

– Nie wiesz, ale się dowiesz... – zasyczał cicho Krzyżanowski, szczerze żałując, że zepsuł sobie spokojny wieczór, godząc się na rozmowę z tym tajemniczym dziwakiem. – A więc... pójdiesz teraz do takiego jednego przyjemnego miejsca... oczywiście z moimi chłopakami... – wyjaśnił cynicznie. – A tam już oni zatroszczą się o to, byś nabrał trochę ogłady... nieokrzesany Polaczku! – Ostatnie słowa wypowiedział z wyraźną niechęcią, po czym burknął gniewnie, odwracając się tyłem: – Brać go stąd! I nie pokazywać mi go więcej!

Nie trzeba było długo czekać na reakcję podwładnych. Dwaj żołnierze szybkim ruchem odwrócili schwytanego w stronę wyjścia, ale zanim zdążyli go wynieść z namiotu, mężczyzna ledwo słyszalnym głosem zdołał zwrócić się jeszcze w stronę Krzyżanowskiego:

– *Polonorum Imperio...*

Pułkownik zamarł na kilka sekund... po czym rozkazał mocnym głosem:

– Albo czekajcie! – I widząc miny rozkojarzonych żołnierzy, wskazał palcem na ich powrót, wyjaśniając tym samym swoją niezrozumiałą decyzję: – Jeszcze go zdążycie przypłować... Ale przez wzgląd na to, że jest jednak Polakiem na obcej ziemi, dam mu chwilę na wytłumaczenie się. Zostawcie go tu. Jest niegroźny... Ledwo stoi na nogach – przekonywał wyraźnie już teraz spokojniejszym tonem.

Nieco zdziwieni tak nagłym obrotem sprawy zwiadowcy spojrzeli najpierw po sobie, po czym zgodnie wypuścili ze swych objęć zmordowanego mężczyznę, który natychmiast tracąc równowagę, zwałił się na ziemię, głośno uderzając twarzą o wydeptany, twardy grunt.

– Może rzeczywiście pozwolę mu się do nas zwerbować, w końcu ludzi nam ubywa, a nie przybywa. A wy macie piętnaście minut przerwy! – rozkazał ochoczo, dając do zrozumienia, żeby zostawili go sam na sam z przybyszem.

Ci najwyraźniej jednak nie do końca zrozumieli przesłanie, więc powtórzył, wytrzeszczając na nich wymownie swoje zmęczone, surowe oczy.

– No! Co tak patrzycie?! Poradzę sobie... Odmaszerować! Już!

Dwaj żołnierze, tym razem nie mając już żadnych wątpliwości co do intencji dowódcy, błyskawicznie się ulotnili, a gdy w namiocie leżał już tylko pozbawiony ochrony, obezwładniony petent, pułkownik Krzyżanowski wychylił się dyskretnie na zewnątrz – aby upewnić się, czy nikt niepożądany nie kręci się w pobliżu – a następnie, nie wahając się ani chwili dłużej, złapał włóczęgę oburącz za szyję i energicznie podniósł go do pionu.

– Co powiedziałeś? – wyszeptał wyraźnie zdenerwowanym, szorstkim tonem. – Skąd znasz to słowo? – dociekał, kurczowo ściskając nieznanego za krtań. – Kogo zabiłeś, żeby się o tym dowiedzieć?! Mów, bo cię uduszę! – ryknął w końcu poirytowany nadal niewzruszoną miną przybysza.

W tym momencie nieznanomy mężczyzna, niczym obudzony ze snu dziki, drapieżny kot, poderwał się na własne nogi i jakby w ogóle nie czując zmęczenia wspomnianą przeprawą do obozu Unionistów, dwoma błyskawicznymi ruchami obezwładnił obolałego pułkownika, przykładając mu maleńki, ostry nożyk do obnażonego podbrzusza. Ruchy, które wykonał, były tak szybkie i precyzyjne, że pułkownik Krzyżanowski od razu zrozumiał, że nie ma do czynienia ze zwykłym żołnierzem, ale z bardzo dobrze wyszkolonym zabójcą.

– Teraz albo mi odpowiesz na zawołanie, które wypowiedziałem do ciebie, gdy kazałem wyprowadzić mnie stąd swoim panienkom, albo zaraz sprawdzę, czym się nażarłeś po tej twojej dzisiejszej efektownej eskapadzie, Jankesie! – wysapał wściekle nieznanomy.

Krzyżanowski zamilkł na chwilę, mocno zszokowany całym zajściem, którego w życiu by się nie spodziewał, jednak po chwili namysłu odpowiedział, starając się jak zwykle zachować zimną krew i uspokoić swój ton.

– *Semper fideles...* – odpowiedział cicho, obracając jednocześnie głowę i upewniając się po raz drugi, czy nikogo poza nimi dwoma nie ma w pobliżu.

– Nie słyszałem! Wyraźniej! Jeszcze raz! Całe zdanie! – rozkazał przybysz, nieusatysfakcjonowany zbyt niepewną odpowiedzią pułkownika.

– *Polonorum Imperio! Semper fideles!* – wyrecytował Krzyżanowski, tym razem już o wiele głośniejszym i wyraźniej, a nieznajomy natychmiast – jakby za wypowiedzeniem magicznego zaklęcia – wypuścił go ze stalowego uścisku, a następnie jak gdyby nigdy nic rozsiadł się na bujanym krześle pułkownika, bezczelnie kładąc swoje ubłocone, gołe stopy na starym, odrapanym polowym stole.

– Hmm... Tak... I ty masz być tym jednym z trzech powierników tajemnicy grobowców? – zapytał nieznajomy z wyczuwalną ironią w swoim równie jak wzrok przenikliwym głosie.

Pułkownik zmarszczył tylko brwi, jakby nie do końca zrozumiał, o czym mowa, i nic nie odpowiadając, złapał się asekuracyjnie ręką za obrzmiałe żebra.

– No i ponoć na dniach masz zostać generałem... – kontynuował cynicznie mężczyzna.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytał w końcu pułkownik, niepewnie podchodząc w stronę stołu.

– Widzisz... Nie tylko ty jesteś blisko Abrahama Lincolna. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, obnażając zadziwiająco zadbany jak na tę epokę zębostan.

Natomiast pułkownik cały czas przyglądał się z uwagą jego charakterystycznym niebieskim oczom.

– Ale do rzeczy! – rzucił w końcu ze szczerym entuzjazmem mężczyzna, ściągając nogi ze stołu. – Wracam prosto od konfederatów... a dokładnie od Hipolita Oladowskiego... Tak, tego Oladowskiego... – potwierdził, dostrzegając delikatne zaskoczenie na twarzy rozmówcy. – Jemu też przekazałem przeznaczone dla niego rozkazy... – dodał całkiem już zmienionym i poważnym tonem mężczyzna. – Generalnie wytyczne dla ciebie się nie zmieniają, dalej działasz tak, jak działałeś do tej pory. Nasza kapituła doskonale wie, że nie macie łatwego zadania z Oladowskim, walcząc po przeciwnych stronach tego konfliktu, jednak gdy przeszło osiemdziesiąt lat temu nasza organizacja dała Kościuszce za zadanie zorganizowanie siatki wywiadowczej w Ameryce Północnej, nikt z dowództwa nie

spodziewał się nawet, że wybuchnie tutaj tak zażarta wojna domowa. A więc... Tak Oladowski, jak i ty nadal robicie wszystko, co w swojej mocy, żeby pomóc swojej stronie w tym konflikcie. Oczywiście w zgodzie z waszym żołnierskim honorem... Jednakże nie może być ani grama wątpliwości wśród Amerykanów z północy czy też południa, że działacie w innej sprawie niż tylko ich wojna! Zrozumiano?!

– Oczywiście! Od dwóch lat nic innego nie robię... – odbąknął cicho pułkownik Krzyżanowski, jakby lekko urażony tak naiwnie sformułowanym pytaniem.

– Wspaniale! – ojcowskim tonem podsumował mężczyzna. – W każdym razie w zależności od tego, która strona wygra tę wojnę domową, wy będziecie kontynuować swoją robotę... Ty cały czas masz trzymać się blisko Lincolna, natomiast Oladowski ma być zaufanym człowiekiem konfederackiego generała Braxtona Bragga, co już mu się zresztą doskonale udaje. – Skinął znacząco głową w stronę Krzyżanowskiego, jakby chciał zmobilizować go tą informacją, po czym mówił dalej: – A tak na marginesie... Jeśli dowodził wami będzie nadal ten zadufany w sobie generał Hooker, podczas gdy konfederatów do walki prowadzą Stonewall i Lee, to może się to skończyć tak, że niedługo zamiast siedzieć na ciepłej posadce w Waszyngtonie, będziecie razem z Lincolnem zbierać bawełnę na jakiejś luizjańskiej plantacji – zakpił.

– Spokojna głowa... Wiemy, co robimy... – odpowiedział nadal powściągliwy i skupiony na bystrym wzroku nieznajomego pułkownik.

– Tak czy owak kapituła cię ceni, więc posłuchaj mnie teraz uważnie! – rozkazał nieznajomy, nagle ścisząc głos i nachylając się nad stołem. – Ty będziesz kluczem do trzeciego, najważniejszego grobowca Polski... – Zerknął na pułkownika tak, jakby oczekiwał od niego jakiejś euforycznej reakcji. – Do tej wiedzy upoważnione są tylko trzy osoby z góry i trzech strażników z niższego szczebla, po jednym do każdego grobowca. W twoim grobowcu będzie znajdować się największy skarb i zarazem największe dziedzictwo Polski, jakie w ogóle istnieje... Nigdy nie może się dostać w ręce żadnego z naszych trzech zaborców! W przeciwnym razie byłby to koniec polskiej tożsamości, ciągłości historycznej

i w ogóle racji bytu tak wspaniałego projektu, jakim przed laty była Rzeczpospolita...

– Co to takiego? – zapytał siłą rzeczy pułkownik Krzyżanowski, teraz już nie próbując nawet ukryć budzących się w nim emocji.

– Mówiąc bardzo ogólnie, to nasza historia, drogi przyjacielu... – odrzekł o wiele cieplejszym tonem mężczyzna. – Setki dokumentów – wyjaśnił – pochodzących między innymi ze starożytnych bibliotek imperium rzymskiego, macedońskiego, perskiego... ale także runy etruskie i nordyckie. Ponadto nieznanne dotąd żydowskie księgi deuterokanoniczne, jeszcze z czasów przed Chrystusem, i cenne starożytne mapy, które wykluczają wszelkie teorie i wersje w historii powszechnej, którą już zdążyły zaszczerpić na naszych ziemiach germanizacja i rusyfikacja! Teorie o tym, że w dziejach Europy przed rokiem 966 Polska widniała tylko jako jedna wielka biała plama, a na naszych terenach plątały się co najwyżej jakieś mało rozgarnięte, nic nieznaczące plemiona, które nieświadome swej tożsamości walczyły na lokalnych podwórkach o przysłowiową pietruszkę. W końcu teorii o tym, że, o zgrozo!, Rusini to nasi więksi, starsi i mądrzejsi słowiańscy bracia, których mamy się posłusznie słuchać i żyć pod ich protektoratem w imię zakłamanego panslawizmu.

To wyjaśniając, mężczyzna jeszcze bardziej nachylił się nad stołem, z coraz większą powagą.

– To dla nas bardzo cenny skarb, pułkowniku... Nasza organizacja przez setki lat skrzętnie gromadziła te kroniki, poszukując ich zarówno w Azji, jak i w Europie. Ujawniano je jedynie tym władcom i królom, którzy na to zasługiwali, albo wtedy, gdy Polska była naprawdę potężna i bezpieczna...

Krzyżanowski ponownie nic nie odpowiedział, tylko przytaknął znacząco głową, dając do zrozumienia, że słucha przybysza z uwagą i by ten mówił dalej.

– Otóż... Kapituła ma dalekosiężny plan: gdy już ojczyzna będzie znowu wolna, suwerenna i bezpieczna... na tym właśnie fundamencie odbudujemy całą naszą tożsamość narodową i rozpalimy na nowo zgaszonego ducha w narodzie...



Zajmą się tym najwybitniejsi polscy uczeni, badając dokładnie te dokumenty i tworząc na ich podstawie publikacje, które zmienią spojrzenie na światową politykę oraz ustalony przez zaborców, cały ten złodziejski europejski ład. Teraz historia jest manipulowana i zacierana... Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć... Sam zresztą byłeś powstańcem listopadowym i ofiarą germanizacji w Wielkopolsce. Wiesz, jak to dziś wygląda... Dlatego też podobnie jak ja zdajesz sobie sprawę, że oni zrobią wszystko, żeby wymazać nas z dziejów cywilizacji europejskiej... Nie tylko siłą, ale przede wszystkim spreparowanymi, agresywnymi ideologiami i zakłamaną propagandą! To jest, drogi pułkowniku, wynarodowienie zakrojone na szeroką skalę, a prości ludzie, zwykli Polacy, którzy w nędznej codzienności myślą jedynie o przeżyciu następnego dnia, już tego nawet nie dostrzegają i niestety często dają się ponieść fałszywym wiatrom historii!

Mężczyzna przerwał na chwilę i niespodziewanie, bez pytania wziął słuszny łyk bimbru prosto z butelki, która stała na wysłużonym stole pułkownika, a następnie bezceremonialnie przetarł usta rękawem, i ciągnął dalej:

– Rzecz jasna nie znam dokładnie treści tych dokumentów. Bądź co bądź są to informacje bardzo niewygodne dla Niemców, Rosjan i Austriaków. Dlatego też są tak pieczołowicie przez nas chronione, ale pomyśl sam, przyjacielu, czy nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego Cesarstwo Rzymskie ostatecznie oparło się o Ren, a na terytorium dzisiejszej Polski nigdy nie kontynuowało swojej ekspansji. Zaś od południa, ze zmiennym szczęściem, nie zapuszczało się dalej niż nurt Dunaju? To wszystko tam jest właśnie opisane i wytłumaczone! W tych dokumentach! Jest tam odpowiedź, dlaczego nie tylko wielki Rzym, ale także żadne inne imperium starożytne nigdy nie podbiło i nie włączyło pod swoje panowanie tych ziem!

– Dlaczego? – zapytał mimowolnie pułkownik Krzyżanowski.

– Bo to właśnie my! My panowaliśmy tam przed wiekami, a nasze podboje sięgały po cieśniny Bosfor, a nawet do odległych Indii! Również dlatego, że rody, które tam rządziły, swoimi korzeniami sięgały czasów biblijnych, a organizacja państwowa i społeczna, którą stworzyli, zarządzała skutecznie swoją ziemią jeszcze

kilka wieków przed Chrystusem. Czy teraz rozumiesz, dlaczego to takie ważne zadanie, drogi przyjacielu? – Głos nieznanego w ogóle nie przypominał już cynicznego tonu, z jakim przedstawił się pułkownikowi na początku spotkania.

– Tak, rozumiem... – przytaknął szczerze poruszony Krzyżanowski. – Ta cała wiedza może zmienić historię powszechną świata i w razie negocjacji politycznych postawić Polaków na wyjątkowym miejscu w dziejach. Poza tym daje nam też pełne prawo do życia na tych terenach i całkowicie suwerennego zarządzania nimi, oczywiście pod biało-czerwonym sztandarem! – odrzekł wyczerpująco Krzyżanowski, dając do zrozumienia, że całkowicie zdaje sobie sprawę z powagi powierzonej mu misji.

– Dokładnie tak! Święte prawo do życia na tych terenach! Nie dla Niemców czy Rosjan! Nie dla naszych oprawców! Nie dla tych, którzy chcą nas bezprawnie z tego miejsca wykorzystać! Tylko nas, Polaków, Lechitów! Dla Polonorum Imperio, jak ze strachem opisywali nas Rzymianie! To są ziemie należące do narodu, który żył tam od wieków i który w dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku, po odnalezieniu prawdziwego Boga Biblii, stał się z czasem światowym mocarstwem i prawdziwym przedmurzem chrześcijaństwa, broniąc cywilizacji zachodniej przed barbarzyńską Azją i islamskim południem. A tymczasem, pułkownik – intrygujący przybysz raz jeszcze pociągnął z butelki – zobacz tylko, co się dzieje w naszej biednej ojczyźnie... Uczni zasypują nas mitologią grecką, rzymską i germańską. Nasza suwerenna administracja państwowa i niezależna edukacja praktycznie nie istnieją, a za początki naszej pradawnej, przedchrześcijańskiej historii proponuje nam się pradzieje Rusinów! To się już dzieje! Ten proces zbiera swoje żniwo... powoli, ale skutecznie... od kilkudziesięciu lat... Oni zawsze będą chcieli nas w jakiś sposób wymazać na dobre z mapy świata i jego historii! Jednak, jak doskonale wiesz, dzięki Bogu, nasza organizacja od wieków była na tyle dyskretna i skuteczna, że niczym niewidoczny korzeń utrzymywała naszą ojczyznę przy życiu, nawet jeśli gromadziły się nad nią najciemniejsze chmury, i wierzę mocno, że podobnie będzie i tym razem! Tak, przyjacielu... Świat jeszcze usłyszy o odradzającej się Polsce,

która będzie jak kwiat lilii wodnej, nieprzerwanie unoszący się na powierzchni dziejów. A my? My, pułkowniku, jesteśmy tylko, i aż!, długim i mocnym jej korzeniem... Nikt nigdy się o nas nie dowie, o naszych zasługach również, ale takie już nasze zadanie... – zakończył nostalgicznie.

Natomiast pułkownik Krzyżanowski, nadal stojąc przed stołem z poważną miną – podobnie jak jego gość – sięgnął po butelkę, przechylając ją do gardła, po czym zapytał niepewnie:

– Jakież szczegóły związane z ochroną tych grobowców?

– Niestety... Dziś niewiele ci mogę powiedzieć, dla bezpieczeństwa, rzecz jasna. Zresztą sam niewiele jeszcze na ten temat wiem... Mam ci przekazać tylko, że za niedługi czas skontaktuje się z tobą ktoś z samej góry.

– Ktoś, kto działa na terenie Stanów Zjednoczonych? – żywo zainteresował się Krzyżanowski.

– Tego też nie wiem... A ty, zapewne, dowiesz się z czasem. Bądź czujny! Póki co, jak już wspominałem, wytyczne dla ciebie są jasne, działaj tak jak do tej pory... Wojna domowa w Ameryce niedługo się skończy, a wtedy my musimy mieć wpływ na ich nowy rząd... Jesteśmy pewni, że to państwo będzie w niedalekiej przyszłości największym imperium na świecie, dlatego priorytetem będzie utrzymywanie pod kontrolą możliwie największej liczby wydawanych przez nie decyzji... – Na powrót odebrał butelkę Krzyżanowskiemu i po raz trzeci pociągnął obficie porcję ciemnobursztynowego trunku.

– Czy to prawda, że organizacja dąży do skłócenia zaborców i wywołania między nimi dużego konfliktu zbrojnego? – zapytał niespodziewanie Krzyżanowski, dając do zrozumienia nieznanemu, że i on wie co nieco o tym, jakie działania planuje organizacja.

– Owszem... – potwierdził tamten. – Organizacja liczy na dużą wojnę europejską i czynimy w tym kierunku odpowiednie kroki. Niech nam Bóg Najwyższy wybaczy, jeśli to nie jest w jego woli... – Mówiąc to, popatrzył pobożnie w górę.

– Myślę, że to tylko kwestia czasu, aż Rosjanie i Niemcy zaczną sobie skakać do gardeł. Naturalnym jest, że w naszej części Europy może być tylko jeden pan i jeden hegemon, toteż zaborcy nie mogą wiecznie żyć w zgodzie – niepewnie pochwalił się swoją polityczną oceną Krzyżanowski.

– A ewentualny zgrzyt wśród nich może być dla nas niepowtarzalną szansą... Są nawet plany, żeby w tę wojnę zaangażować Stany Zjednoczone, oczywiście jeśli najpierw one same dojdą do ładu z burdelem, który wyprawia się na ich podwórku... – dokończył mężczyzna.

– Wtedy byłaby to już wojna nie tylko europejska, ale i światowa... – zauważył pułkownik, zamyślając się głęboko.

– Kto wie... Kto wie... W każdym razie nasi dowódcy wierzą, że konflikt i tak jest nieunikniony, a my tylko mamy działać w taki sposób, żeby go wykorzystać... Ba! Może nawet jako pierwsi w odpowiednim czasie rzucić iskrę, która by poruszyła to nieuchronne marsowe domino.

– A gdzie ta iskra miałaby być niby rzucona? – zapytał z nieodpartą ciekawością pułkownik Krzyżanowski.

– Kto wie? Chociażby na takich Bałkanach... Jest kilka koncepcji...

– W takim razie z niecierpliwością czekam na kolejne spotkanie i instrukcje – odpowiedział ochotczo pułkownik, coraz mniej powstrzymując się przed okazaniem emocji. Był już wyraźnie podniecony i poruszony tymi elektryzującymi, przełomowymi informacjami.

– Aaa... I jeszcze jedna sprawa, z całkiem innej beczki... – powiedział nieznajomy mężczyzna, a jego głos ponownie stał się nieco kpiący.

– O co chodzi? – zapytał Krzyżanowski, niepokojąc się lekko ponowną zmianą tonu swojego rozmówcy.

– Ten twój najbliższy kuzyn... bodajże syn siostry twojego ojca... ten pianista... Jak mu tam było na imię? – Nieznajomy mężczyzna zapytał sam siebie, świadomie uwypuklając swoją ignorancję.

– Fryderyk! – wtrącił szybko pułkownik.

– Aaa, tak! Fryderyk... Wybacz, nie miałem okazji go bliżej poznać za życia, a szczerze mówiąc, nie interesuję się zbytnio muzyką. Słyszałem za to, że przez krótki czas był naszą wtyczką w Warszawie wśród wysokich rangą carskich urzędników, ale na szczęście udało się go w porę stamtąd wycofać... – Nieznajomy, wspominając o tym, lekko prychnął. – Ponoć omal nie narobił niezłego bigosu. Czy chodziło o jakąś kobietę? – zapytał z zaciekawieniem godnym przekupki, która z niecierpliwością czeka na porcję najnowszych ploteczek.

– No cóż... Nie znam szczegółów, ale jestem zdania, że takie sytuacje zdarzają się właśnie wtedy, gdy artyści próbują bawić się w konspirację... – natychmiast wytłumaczył Krzyżanowski, jakby lekko zawstydzony próbą powiązania go z tą sprawą.

– Przyznasz jednak, że te zniewieściałe szarpidruty są niekiedy rzeczywiście bardziej wpływowymi figurami na europejskich dworach niż niejedni wojskowi czy politycy...

– Zgadza się... Niemniej jednak uważam, że nawet tak wielki patriota i geniusz muzyczny, jakim był Fryderyk, powinien zajmować się tym, na czym zna się najlepiej. Ale... Nie roztrząsajmy już tej wpadki, to dawna sprawa... – skwitował pułkownik, dając do zrozumienia, że ten temat się już dla niego zdecydowanie wyczerpał.

– Spokojnie, spokojnie, kolego... – Nieznajomy uniósł rękę w geście pojednania. – Wspomniałem o nim dlatego, że chciałem się upewnić, czy aby rzeczywiście jesteś ulepiony z innej gliny i czy na pewno dopilnujesz sprawy grobowca tak, że nie będziemy dla przyszłych pokoleń Europejczyków jedynie niemile widzianym, nieproszonym gościem, który przyplątał się na nizinę środkowoeuropejską jako jakaś prymitywna, słowiańska banda... – Znów na jego twarzy zawitał szczerzy, przyjacielski uśmiech.

– To było całkowicie zbędne... Działam dla organizacji już wiele lat i jeszcze nigdy się na mnie nie zawiedziono – wtrącił lekko poirytowany Krzyżanowski.

– A więc doskonale! – Nieznajomy teatralnie klasną w dłonie. – Wierny! Uczciwy! Oddany! W takim razie jestem już pewny, że nie zrobi na tobie wrażenia informacja, że jednak nie zostaniesz generałem... Przynajmniej na razie! – dodał. – Góra tak zdecydowała, a nasz człowiek w Waszyngtonie już się tym zajął... Sam rozumiesz, za bardzo byś się rzucał w oczy, a to nie jest nam teraz potrzebne...

Pułkownik, słysząc tę wiadomość, wziął głęboki oddech, ale jak na polskiego oficera przystało, nie dał po sobie pokazać nawet cienia rozczarowania.

– No tak... Jak już wspomniałem, jesteśmy tylko korzeniem... szarymi, anonimowymi sługami naszej ojczyzny... Zaszczyty i ordery to nie nasza specjalność... – puentował nieznajomy, podśmiechując się nieznacznie pod nosem. Szybko jednak spoważniał, zwracając nagle wzrok w stronę wejścia do namiotu, po czym dodał oschle: – Wracają strażnicy! Niech mnie zabiorą do reszty waszych żołnierzy... Jutro rano już mnie tutaj nie będzie...

– Chwila, ale... Nie przedstawiłeś się! W organizacji też o tobie nigdy nie słyszałem. Jak się nazywasz? – wtrącił pośpiesznie na sam koniec rozmowy Krzyżanowski, nierad, że nie wie, z kim przez ten cały czas miał do czynienia.

– Przyjacielu... Gdybym ci powiedział, musiałbym cię... Sam rozumiesz... – wyszeptał i znów zaśmiał się cicho pod nosem.

# Wódka, sauna i dziewczyna

Był sierpień dwa tysiące dwudziestego dziewiątego roku. Gdzieś w odludnych i wciąż niemal dziewiczych Bieszczadach poprzez złote, opalone słońcem połoniny biegł wysoki, atletycznie zbudowany młodzieniec. Miał idealnie przystryżoną brodę – na tak zwanego drwala – i długie, czarne, spięte w kok włosy niczym japoński samuraj. W obcisłej termoaaktywnej koszulce moro i czarnych dżinsowych spodenkach, umorusanych błotem, prezentował się jak podręcznikowy wojownik.

Nagle zatrzymał się na moment i opuszką palca wskazującego zaczął kluczyć po cieniutkim ekranie dotykowym, naklejonym niczym plaster na mocno spieczonej przez słońce skórze swojego masywnego przedramienia. Po chwili podniósł głowę i głośno dysząc, spojrział na zapierający dech w piersiach widok zachodzącego nad kołyszącymi się obficie, wysokimi, pożółkłymi trawami słońca.

Pogoda była wyśmienita... Lekki, chłodnawy wiatr i delikatnie prażące słońce wywoływały gęsią skórę u wilgotnego od potu mężczyzny. Na nieskazitelnie błękitnym niebie widniało jedynie kilka samotnie płynących chmurek. Bez wątpienia młodzieniec z całą swą hedonistyczną zachłannością delectował się tą chwilą. Na koniec tego jakże błogiego zapomnienia wyciągnął zza paska mały ręczniczek i przetał nim czoło oraz umięśnioną, szeroko rozrośniętą szyję, a następnie uruchomił jakąś funkcję na elektronicznym plastrze i szybkim sprintem ruszył w stronę znajdującego się nieopodal, gęsto zarośniętego lasu.

Zbiegł stromym zboczem, by ostatecznie dotrzeć do czegoś w rodzaju placu ćwiczeń własnej roboty. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, żwawo wykonał

kilka efektownych ćwiczeń na każdym z dostępnych przyrządów, a następnie przeszedł do obszytego grubą, wołową skórą wysłużonego już manekina i na znajdujących się wokół niego starych, zbutwiałych pniach umieścił kilka kieszonkowych rejestratorów wideo – kształtem przypominających owoce czereśni. Dopiero teraz – po zbliżeniu się do potencjalnego przeciwnika – pokazał poziom swoich prawdziwych możliwości; z niesamowitą szybkością i precyzją wykonywał dziesiątki chwytów i uderzeń, które sprawiały wrażenie, jakby mogły bez problemu ogłuszyć konia. Duszenia, dźwignie, poczwórne kopnięcia z wysokoku w pachwinę, wątrobę, klatkę piersiową oraz potężne ciosy w twarz – wszystko to w niesamowitym tempie.

Po kilku sześciominutowych morderczych seriach mężczyzna z lekką zadyszką sięgnął ręką za plecy i wyciągnął zza nich mały, czarny nożyk, którym natychmiast rozpoczął kilkuminutową walkę z cieniem. Z pewnością ktokolwiek by go teraz nie obserwował, widząc, jak posługuje się tym małym, śmiertelnie niepozornym narzędziem, zdecydowanie wolałby stanąć na miejscu okrutnie obitego manekina, niż być cieniem.

Po zakończonym treningu, już z wyraźnie zauważalną zadyszką, chłopak pozbierał do bocznej kieszeni rozstawione wokół, maleńkie kamerki, usiadł na jednym z pniaków i zaczął przeglądać na ekranie swojego elektronicznego plastra kilka ujęć z dopiero co zarejestrowanej symulacji walki. Obracając obrazem w trybie trzystu sześćdziesięciu stopni to w jedną, to znów w drugą stronę, pokręcił tylko z niesmakiem głową i wyraźnie niezadowolony z efektu mruknął do siebie:

– Hm... Znowu te same błędy...

W końcu wstając na równe nogi, wyciągnął spod obciśniętej koszulki mały, gładki, drewniany krucyfiks, zawieszony na skórzanym rzemyku, i patrząc w ciemne już gwieździste niebo, wyszeptał kilka słów. Następnie jednym ruchem zerwał elektroniczny plaster z pulsującego, napiętego jak stalowa lina przedramienia, a ten natychmiast zwinął się w malutki rulonik. Po włożeniu go do tylnej kieszeni, lekkim truchtem ruszył w stronę jarzących się w oddali świateł tutejszych domostw.



Stara drewniana chatka stała na lekko pochylonym zboczu, pośród kilku owocowych drzew i dziko rosnącej, od dawna przez nikogo niekoszonej łąki. Domek ten, mimo iż wiekowy, był starannie zadbane i zachowany w swej oryginalnej, pierwotnej formie. Kilka metrów dalej, po prawej stronie, stały kamienna studnia oraz szopa, która za to zdecydowanie prosiła się o remont. Po lewej zaś wydzielono mały ogródek warzywny i wzniesiono niewielką, świeżo odmalowaną szklarnię, w której dojrzewały jeszcze ostatnie tego lata papryki i pomidory. Poza tym wszystkie dopełniające ten krajobraz rozległe pola – niegdyś z pewnością uprawiane – stały dziś wprowadzającymi w zadumę, dzikimi, melancholijnymi odłogami.

Mężczyzna dotruchtał w końcu na niewielki, przykryty czarnym gontem i obrośnięty bujnym bluszczem ganek, ale zanim wszedł do środka, rozejrzał się podejrzliwie wkoło. Otwarte na oścież drzwi oraz okno, zapalone wewnątrz światła i koronkowa firanka targana wzmagającym się wiatrem wyglądały trochę niepokojąco. Mężczyzna wszedł jednak ostrożnie do sieni, rozejrzał się raz jeszcze wkoło, po czym skręcił do izby po lewej. Wtem usłyszał jakiś podejrzany szmer i stając w pozycji przygotowanej do ataku, błyskawicznie sięgnął po nożyk zawieszony pomiędzy łopatkami poniżej karku. Nagle zza futryny starych, drewnianych kuchennych drzwi wprost przed jego twarz wystrzeliła masywna męska dłoń, obejmująca swymi grubymi, krótkimi palcami dobrze zmrożoną flaszkę wódki.

– Głupi jesteś?! – krzyknął zaskoczony chłopak, szybko chowając swój kieszonkowy nożyk z powrotem za plecy.

– No co ty?! Antoś! Z nożem na wujka?! I to jeszcze na takiego, który czeka na wychowanka z tak wykwintnym specjałem?! – zawołał tubalnie roześmiany głos i wkrótce zza futryny wychylił się średniego wzrostu mężczyzna, przekraczający już siedemdziesiątkę, ale za to krępy i wyraźnie nadal pełen wigoru.

– Pogięło cię?! Niewiele brakowało, a odciąłbym ci to stare, zgrabiące łapsko! – powiedział chłopak, kręcąc z niedowierzaniem głową, jakby litując się nad głupotą własnego wuja.

– Nie żartuj... Czymże bym wówczas polewał? – odrzekł mu wciąż chrypliwie śmiejący się starszy mężczyzna, wyraźnie zadowolony, że udała mu się tak misternie zaaranżowana niespodzianka. – Zobacz tylko, Antoś! Oryginalna! Czysta! Małopolanka! Robiona z najlepszych, wyselekcjonowanych, polskich ziemniaków! Dwieście euro za litr! – dodał dumnie, wznosząc butelkę w górę.

– Widzę, widzę... – westchnął chłopak, nadal kręcąc z niedowierzaniem głową. – Ale czemu cię tak długo nie było? Masz jakieś wieści? – zapytał, patrząc na wuja z nieukrywanym podejrzeniem.

– Spokojnie, spokojnie... Wszystko po kolei... A póki co chodź tu do mnie, byku, i daj się uściskać! To już dwadzieścia dziewięć wiosenek... Boże mój... – Mężczyzna, nadal kurczowo trzymając w jednej ręce flaszkę, a w drugiej kryształowy kieliszek, zawiesił się chłopakowi serdecznie na szyi.

– Antoni, mój kochany! Wiesz, czego ci życzę... – zawył z rozrzewnieniem wujaszek wprost do ucha solenizanta.

– Wiem, staruszk, wiem... – odpowiedział lekko zmieszany młodzieniec i ze szczerze odwzajemnionym uśmiechem poklepał wuja po plecach.

– Ha! Pewnie myślałeś, że dziś nie przyjadę?! Że nie będę na czas! Że zapomniałem?! Przyznaj! – dopytywał uszczypliwie wujaszek i objąwszy go raz jeszcze tęgim ramieniem za kark, potrząsnął z ojcowskim uczuciem.

– Przyznam... Myślałem, że już dziś nie przyjedziesz... Ale czemu tak długo?! Co cię zatrzymało?! – dopytywał się.

– Miałem małe problemy z samochodem, który mi użyczyłeś – wyjaśnił.

– Z fordem?! Niemożliwe... Mój stary f-150 to auto nie do zdarcia... – szczerze zdumiał się Antek.

– A jednak... Niestety po drodze musiałem go dać do naprawy. Co do reszty, wszystko ci wyjaśnię później... A teraz – rozkazał stanowczo wujek – proszę bardzo! Wódzia zmrożona, w saunie napalone! Zapraszam szanownego solenizanta przodem i jak mawiał nasz wielki artysta, Tadeusz Kantor, „dziś są twoje

urodziny”, czy jakoś tak... – puentując przekonywającą mowę wytrawnym sucharem, wskazał zachęcająco ręką w stronę pobliskiej szopy.

Obaj mężczyźni udali się więc w kierunku, w którym znajdowała się własnoręcznie skonstruowana przez Antka, prowizoryczna ogrodowa sauna. Jednak gdy tylko chłopak się rozebrał i wszedł do środka, wuj czujnym wzrokiem rozejrzał się wkoło i w tej samej chwili jego szeroki uśmiech błyskawicznie spełził z tęgiej, czerwonej twarzy, a zastąpił go jakiś dziwnie ponury, tajemniczy niepokój.

Po kilkunastu minutach wygrzewali się już obaj wygodnie w niewielkiej, zbitej z nieomalowanych desek komórce, pijąc – jak przystało na ludzi mieszkających w niegdysiejszej Galicji – z jednego kielicha i co jakiś czas obsypując się kostkami lodu z wiaderka, w którym chłodziła się już kolejna butelka wódki. W tle, z małego, przenośnego głośnika snuła się leniwie niezwykle zmysłowa muzyka filmowa autorstwa Michała Lorenca, wprowadzająca Antka w idealnie chilloutowy nastrój – w sam raz pod kielicha i męską rozmowę.

Jednak gdy tylko przyswojone w szybkim tempie procenty dały się imprezowiczom we znaki, nastrojowa atmosfera jakby nagle się rozwiązała i podchmieleni panowie zaczęli głośniej, używając przy tym coraz to mniej wybrednych słów, dyskutować, oczywiście na standardowe w tym stanie upojenia tematy – począwszy od określania i klasyfikowania kobiet z pobliskiej wioski, a na motoryzacji i boksie skończywszy.

Antek nigdy jednak nie był rekordzistą, jeśli chodzi o wizyty w saunie i maratony alkoholowe – które uwielbiał uprawiać jego, bądź co bądź wiekowy już, wujek – wyszedł więc na chwilę na zewnątrz, aby się schłodzić i nabrać nieco świeżego tlenu do przepelnionych gorącym powietrzem i alkoholowym wyziewem płuc. Stał boso na przyjemnie chłodnej trawie, pociągnął w nozdrza zimne, nocne powietrze, a następnie nabrał lodowatej wody ze starej, kamiennej studni i wylał ją na rozgrzaną od temperatury i alkoholu głowę.

Gdy tylko ta brutalnie otrzeźwiająca ciecz spłynęła po jego ciele, w świetle księżyca dało się dojrzeć, jak rozpalona skóra zaczyna obficie parować niczym rozłożone w saunie gorące kamienie. Poczekał więc jeszcze przez chwilę, aż jego

ciało całkiem się ochłodzi, i na powrót podążył w stronę szopy, w której to był usytuowany ten prowizoryczny, relaksacyjny przybytek.

Mimo miłej urodzinowej atmosfery Antek postanowił jednak, że spróbuje nakłonić wujka do poważniejszej rozmowy, chociaż wiedział, że ten z pewnością będzie chciał przekierować istotne dla niego tematy na inne tory – jak to zresztą bywało ostatnimi czasy. Niestety zbyt dobrze go znał i przeczuwał, że miganie się od sprawy, na której mu najbardziej zależało, wynikało z tego, że wuj nie miał dla niego dobrych wiadomości...

– Staruszkule! – wystrzelił, wchodząc z powrotem do sauny.

– Słucham cię, mój drogi chłopczyku – odpowiedział wujek z żartobliwą, arystokratyczną manierą.

– Omówiliśmy już chyba wszystkie zbyteczne tematy, dlatego powiedz mi teraz, czego się w końcu dowiedziałeś w mojej sprawie – poprosił bez owijania w bawełnę Antek, starając się za wszelką cenę nawiązać kontakt wzrokowy.

– No weź... Nie patrz tak na mnie! Te twoje dzikie oczy... Czasem naprawdę mnie przerażają... – wymamrotał z wyrzutem wuj, udając, że właśnie misternie poszukuje optymalnego ułożenia dla butelki zanurzonej w wiaderku z lodem.

– Dobra, dobra... Nie zmieniaj tematu...

– Antoś... Proszę cię... Pogadamy o tym jutro, dziś już ciężko mi zebrać myśli... – odzęgnywał się sennym głosem wuj.

– To napij się jeszcze jednego i mów! Nie dam ci tym razem spokoju... – naciskał Antek, podstawiając mu pod nos, pełny, prawie że przelewający się kieliszek.

– Wiesz co? Lepiej pójdę dosypać lodu, coś cieplejsza ta wódka... – pospiesznie odpowiedział staruszek, i już próbował wstać, ale Antek natychmiast złapał go za ramię i posadził z powrotem na swoje miejsce.

– Nie! Nigdzie nie idziesz! Mów w końcu, co jest nie tak! Czemu tyle czasu ze mną zwlekają? Przecież nie mogę tak długo czekać i bez końca się przygotowywać... Powiedziałeś im to?

– Antoni, posłuchaj... – odpowiedział uspokajającym tonem wujaszek, wzdychając przy tym ciężko. – Im mniej wiesz o tych rozmowach, tym lepiej dla ciebie. I tak zbyt dużo ci już powiedziałem...

Jednak i po tym pozornie troskliwym zapewnieniu chłopak nadal nie był zbyt zachwycony. Teraz już wyraźnie dał po sobie poznać, że doskonale zdaje sobie sprawę, iż są to po prostu jawnie wymijające odpowiedzi. Tak więc wuj próbował tłumaczyć się dalej.

– Okej! Okej! Sprawa stanęła na tym, że decyzja będzie podjęta już za parę miesięcy... Z tym że ty, oczywiście, oficjalnie o niczym nie wiesz! – cedził wujek, kładąc nacisk niemal na każdym wypowiedzianym słowie. – Nie muszę ci chyba przypominać, że oni są przekonani o tym, że przez cały ten czas przygotowywałem cię tylko do pracy w zwykłym, klasycznym wywiadzie wojskowym bądź jakiejś pospolitej jednostce specjalnej!

– Hola, hola... Tę wersję z paroma miesiącami znam już od roku! Masz mnie za głupka, Bona?! – odparł mu wyraźnie już zdenerwowany Antek, po raz pierwszy zwracając się do opiekuna po imieniu.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia! Po prostu musisz jeszcze trochę poczekać... Bądź cierpliwy, zaufaj mi! – zachnął się zdegustowany Bona i przechylił nerwowo podstawioną mu przez Antka pięćdziesiątkę.

– Nic nie rozumiem z tej twojej paplaniny... To się po prostu wszystko nie trzyma kupy! I chyba wiem, czego nie chcesz mi powiedzieć już od dawna... – Antek zrobił śmiertelnie podejrzliwą i zarazem surową minę.

– A niby czego? – odrzekł staruszek, jakby nieco urażony tą nieukrywaną, oskarżycielską narracją młodzieńca.

– Tego, że oni w ogóle nie biorą pod uwagę mojego wykształcenia i mają głęboko gdzieś moją pracę oraz wieloletnie poświęcenie, bo nie byłem od początku w tym ich całym programie szkoleniowym! Pewnie nie spełniam jakichś bzdurnych biurokratycznych kryteriów, tak?! To ci powiedzieli?! – Antek jakby wręcz pod groźbą surowej kary stanowczo zażądał wyjaśnień.

– Antek! Do cholery jasnej! Nigdy nie wspominaj, że o tym słyszałeś! Nigdy i nigdzie! – odpowiedział mu równie mocno rozdrażniony wuj.

– Czyli, że co, mam udawać jak jakiś kretyn, że wszystko gra, i przejść nad tym do porządku dziennego?! Właśnie teraz, gdy Unia Europejska się sypie i gdy na serio w Europie i na całym świecie zaczyna się nowa geopolityczna rozgrywka, nowe rozdanie?! Przecież to dopiero teraz służby będą miały pełne ręce roboty, a ja w tym samym czasie mam siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, wylegując się w saunie i popijając wódeczkę?! – zapytał ironicznym głosem Antek. – Wiesz przecież, że tak niepewny czas to dla mnie najlepsza szansa, by pokazać się gorzej i szybko zaistnieć wśród reszty agentów, prezentując im swoje najlepsze umiejętności! – dokończył z wyrzutem.

– Dobra, dobra... Nie takie już chojraki były, a praca w realu wykończyła ich w kilka dni... Dlatego dobrze ci radzę: poczekaj, daj sobie jeszcze czas... – skwitował wuj, mimowolnie odkrywając tym samym co nieco bolesnej prawdy o faktycznym stanie rzeczy. Najwyraźniej nie miał już żadnych wystarczająco sensownych argumentów, którymi mógłby dziś zgasić dociekliwe pytania wychowanka.

– Dać sobie czas?! W moim wieku?! Co ty bredzisz?! Ty chyba sam nie słyszysz tego, co mówisz! – warknął rozwścieczony chłopak, nabierając powietrza. – Ojciec z matką przygotowywali mnie do tego od trzeciego roku życia! Ty też przez kolejne długie lata, aż do dziś! To były niezliczone godziny nauki: dziesięć języków z dwudziestoma różnymi dialektami, topografia światowych metropolii i najbardziej zapalnych miejsc na świecie w jednym palcu, setki tysięcy godzin fizyki, rusznikarstwa, mechaniki, chemii pirotechnicznej i hakingu! Do tego mordercze treningi, liczne złamania kończyn oraz dziesiątki innych paskudnych kontuzji! A wszystko to za własne środki, zainwestowane w najtrudniejsze szkolenia jednostek specjalnych na świecie. O tym, że wszystkie skończyłem z wyróżnieniem i wszystkie kosztowały mnie wielokrotną zmianę tożsamości, to już nie wspomnę...

– Antek... Uwierz mi, to nie są już te czasy co kiedyś... Tam ludzie są wręcz nadludzko wyszkoleni, tak fizycznie, jak i mentalnie! – przerwał mu Bona, wykonując uspokajający gest ręką.

– Nadludzko wyszkoleni?! Pfff! – prychnął kpiąco chłopak. – A co oni tam takiego robią?! Ja – wskazał na siebie palcem – byłem nie do zajechania, ani fizycznie, ani psychicznie! Byłem pieprzoną legendą w niejawnych i oficjalnie zabronionych przez amerykańskie dowództwo biegach przepławowych na Spitsbergenie i Karaibach, po których co drugi perfekcyjnie wyszkolony w Navy Seal trafiał na OIOM albo, będąc na skraju przytomności, rzygał jak kot – wymieniał zapalczywie, dając do zrozumienia, że nie wyobraża sobie większego wysiłku i stresu, jaki mógłby go kiedykolwiek i gdziekolwiek spotkać.

– Tak... tak... Masz wiele racji i być może sam nie wiem, co gadam, ale... – potwierdził zrezygnowanym głosem Bona, lecz Antek wcale nie zamierzał kończyć swoich wyrzutów:

– Nie ma żadnego „ale”... – zaczął powoli, za to jeszcze bardziej zjadliwie. – Nie mogę po tym wszystkim czekać w nieskończoność, aż dadzą mi pieprzoną szansę lub, co gorsza, jeśli to w ogóle nie nastąpi, pójść ewentualnie do jakiejś pospolitej jednostki specjalnej tylko po to, żeby od czasu do czasu postrzelać sobie do tarcz, popływać pontonem albo porzucać granatami hukowymi w jakichś podmiejskich burdelach!

– Dużo słów rozgoryczenia padło z twoich ust, Antoni... Niestety w tak wyjątkowy dla ciebie wieczór, ale cóż... sam rozpocząłeś ten temat, a ja na razie nic więcej ci nie mogę powiedzieć, więc odpuść, proszę cię... – przyznał w końcu bezsilnie Bona, nie mogąc już nawet spojrzeć chłopakowi prosto w oczy.

– Jak to nic więcej nie możesz mi powiedzieć?! Przecież w ten sposób zostawiasz mnie w totalnej niepewności, a to gorsze niż najokrutniejsza prawda! – Antek w nieukrywanej niemocy spuścił głowę i trzęsącą się ze złości dłonią polał sobie do pełna.

– Antek... Ja naprawdę dobrze ci radzę, odpuść sobie na jakiś czas, nie nakręcaj się jak wariat, bądź cierpliwy i daj mi dalej działać... To bardziej złożona sprawa, niż sobie wyobrażasz...

– Nic sobie nie wyobrażam, bo niczego mi nie próbujesz wytłumaczyć! – warknął, przecierając przedramieniem usta po palącej mocniej niż rozgrzane, saunowe powietrze gorzale.

– Bo sam do końca nie rozumiem tej pogmatwanej sytuacji, ale uwierz, że próbuję w twojej sprawie zrobić wszystko, co tylko jest w moim zasięgu! Niestety zasięgu, który od jakiegoś czasu jest już mocno ograniczony...

– Ograniczony?! A co z poświęceniem mojego ojca dla organizacji?! Z twoim zresztą też! Czy dla nich nie mają już żadnego znaczenia twoje zasługi dla programu „Świtez”?! A może jest już zamknięty?! – dopytywał rozgoryczony.

– Program nie jest zamknięty, ale ten temat na dziś już tak! – Bona uderzył pięścią w drewnianą ławę. – Albo pijemy i celebруем twoje urodziny, albo ja idę w kimę i siedz tu sobie sam – burknął nachmurzony i nie bawiąc się w dobre obyczaje, nerwowo przechylił gwint flaszki prosto w zachrypniętą od kłótni gardziel.

– To powiedz mi przynajmniej, z kim ty w ogóle tam rozmawiałeś na mój temat... – drażył nieustępliwie Antek. Wiedział bowiem, że jeśli teraz odpuści, to z pewnością jutro nie wrócą już do tego tematu.

– Eh... Wykończysz mnie kiedyś, człowieku... – westchnął cicho Bona, łapiąc się w geście zniecierpliwienia za spocone, pomarszczone czoło.

Antek poznał jednak po tym odruchu, że Bona zaczyna powoli pękać, dlatego tym bardziej nie zamierzał mu już teraz odpuścić.

– Bona! Traktuj mnie poważnie! Przecież na tym zaszranym świecie masz już tylko mnie... Powiedz mi w końcu tę cholerną prawdę! Co jest grane?

– Dobrze! Dobrze! – Staruszek złapał się kurczowo obiema dłońmi za pulsujące skronie. – Powiem ci, jaka jest prawda. Nie rozmawiałem z nikim z dowództwa od



ponad... od ponad pięciu lat... – wydukał niepewnie, ponownie odwracając wzrok od Antka i wbijając go w ziemię.

– Co?! – krzyknął młodzieniec, jakby ugodzono go rozpalonym prętem do znakowania bydła.

– Właśnie to... Niestety nie znaczą już tam tyle, ile jeszcze kilkanaście lat temu... Odkąd odsunęli mnie od czynnej służby, a potem od szkolenia młodych adeptów, stałem się dla nich już tylko starym członkiem honorowym... A członek honorowy oznacza mniej więcej tyle co „dożyj sobie spokojnej starości, ale nie zwracaj nam dupy”... – powiedział z zawstydzeniem i bezradnie rozłożył ręce.

– To po co ty tam w ogóle jeździłeś? – dopytywał niecierpliwie Antek, teraz już coraz bardziej załamany druzgocącymi rewelacjami.

– Widywałem się prywatnie z jednym z aktualnych opiekunów „Świtezi”... Właściwie były to tylko niewiążące i nieoficjalne pogadanki, ale obiecał, że przyjrzy się naszej sprawie...

– Co takiego?! To znaczy, że cały ten rok mnie oszukiwałeś?! – krzyknął Antek i uderzył w prowizorycznie zamontowane drzwiczki od sauny z taką złością, że te natychmiast wyleciały z zawiasów i ze świstem pofrunęły w ciemność niczym styropianowa płyta. Wuj jednak udał, że nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia, lecz rozumiejąc zarazem gorzkie rozczarowanie chłopaka, dokończył powoli:

– Tak jak już wspomniałem: gość powiedział, że przyjrzy się sprawie, a więc jest jeszcze szansa, że to załatwimy... Cierpliwości...

– Jaka szansa?! Jaka szansa?! Żartujesz?! To będzie teraz twoje wytłumaczenie przez kolejny rok? Że gość się przyjrzy naszej sprawie? Przecież to miała być tylko formalność, jeśli tylko będę gotowy. Od zawsze tak mówiłeś! – przypomniał rozżalony Antek, próbując opanować zdenerwowany głos.

– Tak było jeszcze parę lat temu, ale ludzie się zmienili; młode kadry, nowe zarządzanie, odświeżone dowództwo, jeszcze bardziej ostrożne i zakonspirowane niż kiedykolwiek. Nie zauważyłem momentu, w którym straciłem jakiegokolwiek

wpływy, a nawet możliwość osobistego kontaktowania się z tymi, którzy mają tam jeszcze coś do powiedzenia.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałaś, tylko przez prawie dwa lata mydliłaś mi oczy? – zapytał Antek, kiwając przy tym z niedowierzaniem głową.

– Próbowałem jeszcze coś wskórać, spróbować innymi kanałami. Poza tym jesteś w gorącej wodzie kąpany, nie chciałem, żebyś robił coś nierozważnego na własną rękę... Nie chciałem, żebyś mając tę wiedzę, działał pochopnie.

– Nie mogłeś więc wkręcić mnie tam wcześniej?! Gdy jeszcze miałeś ku temu możliwość? – nie odpuszczał Antek.

– Dobrze wiesz, że byłoby to bardzo nierozsądne... Nie byłeś jeszcze wystarczająco przygotowany.

– A teraz rozsądnym jest siedzenie beczynnym i łudzenie się, że jakaś płotka łaskawie się temu przyjrzy?! – Antek prychnął pogardliwie. – Przecież obaj wiemy, że to kolejna ściema...

– Ta płotka – jak to określiłeś – w grudniu jeszcze tego roku ma zorganizować spotkanie z kimś, kto może dać nam zielone światło. Zresztą ci na górze i tak co nieco już o tobie wiedzą i siłą rzeczy muszą w końcu podjąć jakąś decyzję. Dlatego powtarzam ci: uspokój się i bądź cierpliwy...

– Wiesz co, Bona?

– Co znowu? – odpowiedział mimowolnie staruszek, zwięzając podejrzliwie powieki.

– Myślę, że ty po prostu boisz się mi to powiedzieć... Boisz się powiedzieć, że oni tak na prawdę już dawno temu podjęli decyzję... Dlatego tak misternie kluczysz przede mną i zmyślasz. I wiesz co jeszcze?! – Bona niemal całkowicie przymknął powieki, dając do zrozumienia, że czeka na odpowiedź jak na jakieś objawienie. – Teraz jestem jeszcze bardziej przekonany, że jeśli natychmiast czegoś w tej sprawie nie zrobię, nie zareaguję, to ta ich decyzja nadal pozostanie negatywna i co gorsza, ostateczna... – Bona tylko westchnął na to ciężko i już miał coś odpowiedzieć, ale Antek ciągnął dalej: – Wiedziałem! Wiedziałem...

Wierzyłem ci, ale w głębi duszy wiedziałem, że tak będzie... Za długo zwlekałem! Tak, za długo z tym zwlekałem. Niepotrzebnie zdałem się tylko na ciebie. Powinienem wziąć sprawy w swoje ręce, przedstawić się im jak najszybciej osobiście! W końcu, bądź co bądź, jestem synem ich bardzo zasłużonego człowieka.

– A wiesz, że jeżeli się do nich zgłosisz z tak infantylnym przekonaniem i z takimi bzdurnymi argumentami, wtedy obaj jesteście trupami, i to w niecałe dwadzieścia cztery godziny, gdziekolwiek byśmy się nie ukryli? – odpowiedział zrezygnowany wuj, przecierając oczy w geście rezygnacji i zmęczenia.

– Świetnie... Wtedy tym bardziej im pokażę, jaki błąd popełnili – powiedział całkowicie pewny siebie Antek.

– A możesz mi ten ostatni raz zaufać i poczekać do tego cholernego grudnia? To tylko cztery miesiące! Pogadam z tym człowiekiem i wtedy będziemy ostatecznie wiedzieli, na czym stoimy... – zaproponował ponownie Bona, ale jego głos nie był już tak zdecydowany i przekonujący jak wcześniej.

– A jeżeli znów nic nie załatwisz? Jeżeli znów stracę tylko czas? – zapytał o dziwo wyraźnie spokojniejszym głosem Antek.

– Wtedy, niech mi twoi świętej pamięci rodzice wybaczą, ale dam ci wolną rękę... Jednak pod jednym warunkiem: wcześniej sam odłożysz sobie na własny pogrzeb... – mruknął posępnie staruszek.

– Taaa... pff... – skwitował prychnięciem chłopak i zrobił to ze złośliwym, jednak nieco mniej pewnym niż poprzednio uśmiechem.

– Zresztą co ja gadam... Jaki pogrzeb? Przecież i tak nawet nie znajdę ciała. Hm... – dodał kpiąco Bona, odwzajemniając się Antkowi równie szyderym uśmiechem. Jego oczy jednak, pozostały nadal smutne i zmęczone...

– No widzisz, staruszkule! Już bardziej podoba mi się ten twój czarny humor niż lamentowanie – zripostował Antek jakby nieco udobruchany zarysowaną dopiero co, niejasną wizją spełnienia swojego planu.

– Czyli odpuścisz jeszcze na te parę miesięcy? – upewnił się Bona.

– Tak. Daję ci czas do końca roku... – zagroził, celując w opiekuna wskazującym palcem.

– O więcej cię nie proszę.

– Tylko ostrzegam, jeśli znowu zaczniesz kręcić i nadal mnie zwodzić, to nie mamy już o czym gadać, a wtedy biorę sprawy kontaktów z Polonorum we własne ręce...

– Mówiłem ci, żebyś nie wspominał o... – zasyczał nerwowo Bona i wyjrzał na wszelki wypadek przez dopiero co wyważone drzwi.

– Dobrze, dobrze, staruszkule... Już tak nie panikuj... – zbagatelizował Antek, szczerze śmiejąc się z paranoi, a zarazem skrzywienia zawodowego starszego człowieka, po czym demonstracyjnie wytarłszy dłoń o swój spocony tors, złośliwie poklepał starego wujaszka po wyeksponowanym mięśniu piwnym.

– Co?! Nagle ci humor wrócił?! – oburzył się Bona. – Jeszcze raz tak zrobisz, a nakopię ci do dupy, gówniarzu, przyrzekam! – warknął groźnie, ale w jego głosie mimo wszystko czuć było żartobliwy ton.

Natomiast Antek już zabierał się za powtórzenie swojego niewybrednego żartu, ale wujaszek wystawił krzepkie dłonie w pozycji gotowej do samoobrony.

– Nie radzę! Wiesz, że cholernie nie lubię, gdy ktoś ociera się o mnie chociażby najmniejszym kawałkiem swojego spoconego cielska.

– Wiem... Dlatego też nie lubisz uprawiać żadnego kontaktowego sportu! – zaśmiał się Antek, próbując ominąć swoją dłonią obronne, ręczne zasieki, jakie zastawił Bona. – A może jednak saunowe zapasy?! – zaproponował entuzjastycznie roześmiany od ucha do ucha.

– Ostrzegam! Jeżeli mnie dotkniesz choć kawałkiem spoconego dupska, to... – staruszek nie dokończył, bo Antek już założył mu chwyt na lewą rękę.

– Że ja też cię nigdy dobrze nie złołem, jak byłeś gówniarzem! Zapomniałeś już, jaka była z ciebie mała niedojda? – zapytał Bona, licząc na to, że nieco zdekcentruje chłopaka i tym sposobem spróbuje uwolnić się z jego uścisku. – „Dzień dobry, jestem Antoś, nie mam gdzie się udać, czy mogę do pana mówić

wujku?” – przedrzeźniał wychowanka, udając cienki głosik przerażonego, bezradnego chłopca.

– Ty się lepiej skup na obronie, prehistoryczna skamielino, bo słyhać, jak ci kości pękają – zripostował Antek, zakładając bezlitosną gilotynę na pomarszczoną szyję starszego mężczyzny. – A w ogóle to powiedz mi, jak można dziecku dać na imię Bonawentura? Rodzice nie chcieli, żeby dzieci się z tobą bawiły? – kontynuował chłopak, już całkowicie rozbawiony bezradnością starego, bądź co bądź byłego agenta.

– Gdybym ja był dziesięć lat młodszy, pokazałbym ci, co to grappling, młokosie... – wysapał Bona, próbując usilnie wyrwać się z uścisku.

Gdy jednak żaden nie chciał odpuścić, a po chwili drobna przepychanka przerodziła się w prawdziwe pijackie zapasy, nagle w wyłamanych drzwiach sauny stanęła młoda, jasnowłosa dziewczyna ubrana w skromną, malinową sukienkę, i dierzając w dłoniach brytfannę ze świeżo upieczonym plackiem wiśniowym, patrzyła na nich z wyraźnie zniesmaczoną miną.

– Co to ma być?! Co to za zboczone, pijackie wygibasy?! – zapytała, z jeżącą włos na głowie pretensją w głosie i miną godną wieloletniej, wytrawnej mężatki. – A może wam przeszkadzam swoją osobą, panowie? – dodała z wyraźną ironią, ale również lekkim zmieszaniem.

– Nie... Z pewnością nie przeszkadzasz. – Antek się przywitał, rozbawiony groźną miną dziewczyny.

Natomiast Bona nerwowo poprawił ręcznik na biodrach, który niemal spadł mu na ziemię, i też chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie poruszył tylko bezgłośnie ustami.

– Mieliśmy dzisiaj spędzić wieczór razem, pamiętasz? – przypomniała z wyrzutem blondynka.

Antek rozłożył ręce i nie bardzo wiedząc, jak wybrnąć z tej niepoehlebnej sytuacji, odpowiedział niepewnie z lekkim, szelmowskim uśmiechem.

– Oczywiście, że pamiętam, ale niespodziewanie wujek wrócił z dalekiej podróży i postanowiliśmy się nieco zrelaksować... – wydukał, przewracając oczami.

– I to jest ten wasz relaks? – Dziewczyna ponownie zrobiła zde gustowaną minę.

– Trochę ruchu nie zaszkodzi... Ale w zamian za narażenie cię na tę drobną niezręczność, zapraszamy z wujkiem na drinka – zaproponował Antek, robiąc maślane oczy w celu szybkiego udobruchania dziewczyny.

– Po tym, co tu widzę, to mam nadzieję, że tylko drinka... Za pięć minut w domu! – powiedziała władczo dziewczyna i odwróciła się na pięcie.

Po chwili siedzieli już we trójkę przy stole w rustykalnej starej kuchni, ale wyposażonej w najnowocześniejszy obecnie na rynku sprzęt AGD.

– Yyy... To co sobie życzysz? Drink? Nalewka? A może nasze domowe winko? – zapytał dziewczynę z przesadną ostrożnością Bona, a wyglądało to tym komiczniej, że nadal mocno zmieszany nie miał odwagi podnieść na nią wzroku.

– Nie przejmuj się... Wujek, zawsze stresuje się przy atrakcyjnych kobietach – zadrwił Antek, zwracając się z łobuzerskim uśmiechem do młodej dziewczyny. – Podobnie jak w saunie siedział odziany jedynie w samiotki biały ręcznik.

– Poczekaj... Jeszcze poprosisz staruszka o radę, gdy pęknie ci serduszko, bo dostaniesz kosza... – powiedział wujek z przekąsem.

– No już się tak nie obrażaj... I dla mnie naleweczkę poproszę, jeśli można, bo czuję, że mnie jeszcze smaki biorą... – załagodził sytuację Antek i zatarł ręce z niecierpliwością.

– To nie ciebie obsługuję, buraku... – odrzekł mu lekceważąco Bona i zwrócił się raz jeszcze z przesadną uprzejmością do żywo rozbawionej tą słowną przepychanką dziewczyny. – To jak będzie, młoda damo? Winko, drink czy naleweczka?

W tak przyjacielskiej atmosferze minęło im jeszcze kilka godzin. Koniec końców Bona przysypiał już na krześle, a z wysokiej klasy głośników Genelec –

elegancko wkomponowanych w zdobioną ornamentami drewnianą ścianę – leciał tym razem stary i dobry *Faranheit* Toto. Antek, widząc, że ich kameralna impreza nieubłagalnie się wypala, skinął wreszcie głową do dziewczyny, wskazując swym jaskrawym, byстрыm wzrokiem na skrzypiące strome schody prowadzące na poddasze. Dziewczyna, dostrzegając ten wyczekiwany od dłuższej chwili znak, wstała bezzwłocznie, a następnie ziewając teatralnie, przeciągnęła się obszernie, prezentując przy tym swoje największe atuty.

– Pani pozwoli – powiedział Antek i wskazał jej ręką pierwszeństwo, a gdy dziewczyna powabnymi ruchami skierowała się w stronę schodów, doskonale wiedząc, że przyciąga teraz wzrok tak młodszego, jak i starszego z panów, Bona szepnął coś dyskretnie do Antka. Z ruchów jego warg dało się wyczytać słowa:

– Zdrowa kobieta!

# Śmierć od pierwszego wejrzenia

Chociaż trudno zrozumieć kaprysy odwiecznie zmieniającego się klimatu, to tym razem w Bieszczady zawitała zima z prawdziwego zdarzenia. Przez całe święta Bożego Narodzenia trzymał mocny mróz, a świeżo napadany śnieg głośno skrzypiał pod nogami. Biorąc pod uwagę zimy, jakie nawiedzały Polskę w ostatnich latach, było to zjawisko niemalże egzotyczne.

– Mróz skrzypi jak za dziecięcych lat w Irkucku... Taka mała rzecz, a nadal cieszy ucho... – powiedział do siebie Antek, wpatrując się w okno swojego pokoju na poddaszu podczas krótkiej przerwy, którą zrobił sobie od nadrabiania zaległości w projektach, które uzbierały się w trakcie świąt.

Pokój chłopaka był dość obszernym i bardzo oryginalnym miejscem. Wisiało tam pełno zdjęć – które zresztą Bona zabronił mu trzymać na widoku – a także mapy z najróżniejszych zakątków świata oraz stare obrazy o tematyce wojskowej. Poza tym było tam mnóstwo walających się po podłodze szkiców węglem, sprzęt wspinaczkowy, narty, niewielki kajak zawieszony na ścianie oraz ogromny stucalowy telewizor. W rogu stało łóżko-regał z płytami, sprzętem muzycznym i przeróżnymi książkami. Generalnie panował tam ogromny bałagan, co miało także swój urok, a siedzący za biurkiem Antek niejako dopełniał ten cały artystyczny nieład.

Biurko, nad którym się pochylał, znajdowało się w samym środku pokoju i podobnie jak większość mebli w tym domu było bardzo stare. Po lewej stronie blatu stało kilka figurek wojowników ulepionych z jakiegoś elastycznego



materiału, po prawej zaś skaner i drukarka 3D. Przed Antkiem leżał cieniutki arkusz elektroniczny grubości ceraty, na którym, w zegarmistrzowskim skupieniu, począł nanosić jakieś poprawki. Wszystko, co rysował, pojawiało się jednocześnie na równie cieniutkim co arkusz ekranie monitora z napisem „Sony Tabthin” – podobnym do elektronicznego plastra, który zwykle nosił na ręce. Ekran ten, mimo że cienki jak papier, stał sztywno w pionie, wychodząc z małego, czarnego, prostokątnego futerału.

Antek zrobił ostatni ruch elektronicznym piórem i przesunął palcem po zielonej ikonie znajdującej się w rogu arkusza. Wtenczas obok stojącego przed nim cieniutkiego monitora – tym razem na okrągłej podstawce – wyświetlił się kolorowy hologram 3D z ukończonym projektem.

– I jak tam? Idziesz jutro na tego sylwestra? – zapytał go Bona, który przed chwilą skończył rąbać drwa do kominka i przyszedł właśnie odwiedzić swojego wychowanka, z którym nie widział się od samego rana.

– Póki co, to nie wyrabiam się z robotą... Nigdy już nie wezmę zleceń od trzech firm naraz. Zwłaszcza jeśli premiery gier mają się odbyć niemal w tym samym dniu... – odpowiedział, nie odwracając się nawet w stronę wuja i nadal pozostając w ścisłym skupieniu nad swoją pracą.

– Mam nadzieję, że pilnujesz się i dbasz o anonimowość... Wiesz, że praca jako freelancer zostawia w sieci wiele śladów – powiedział z przezornością w głosie wuj.

– Proszę cię, Bona... Chyba nie chcesz mi tłumaczyć takich rzeczy? – odparł z wyrzutem Antek, podnosząc w końcu wzrok znad projektu.

– Z tego, co pamiętam, Antek, geniuszem z hakerki nigdy nie byłeś... – zauważył Bona.

– Potrafię dokładnie tyle, ile mi potrzeba. Ani mniej, ani więcej. Co chwilę tworzę nowe konta i tożsamości, tuszuję wszelkie powiązania z naszym IP, a wszystkie wpływy przepuszczam przez brytyjskie Wyspy Dziewicze. Reasumując: w polskiej sieci nie ma po mnie ani śladu... Na przykład ostatnio

projektuję pod pseudonimem Mitoraj88, ale przyznam, że gdybym od lat trzymał się jednej nazwy, już dawno miałbym na tyle dobrze wyrobioną markę, iż z łatwością łąpałbym lukratywne kontrakty z najwyższej półki. Ale cóż... W tej sytuacji, jeśli tylko gdzieś zaistnieje, od razu znikam, tracąc przy tym najcenniejszych klientów.

– Pamiętaj, Antek, rosyjskie służby specjalne nigdy nie...

– Nigdy nie zapominają... Tak, wiem... – dokończył leniwie chłopak od dziecka wbijaną mu do głowy niczym metalowy ćwiek oklepaną maksymę.

– Okej... A jak będzie z tym sylwestrem? – zapytał ponownie Bona.

– A co ty się tak o mnie martwisz? – odrzekł mu nieco złośliwie Antek.

– Bo nigdzie nie chodzisz, jak jest ku temu okazja – odpowiedział wuj.

– A co? Chcesz mnie ustatkować? Wyswatać? Może jeszcze założę rodzinę i pójde na etat do jakiegoś lokalnego zakładu pracy? – zadrwił chłopak i obracając się na swoim krześle, dodał: – I nie mydl mi oczu jakimś sylwestrem, staruszk, bo dobrze pamiętam, co masz dla mnie niebawem załatwić... A jak nie załatwisz, to wiesz... Wkrótce odwiedzę tych twoich kolegów i w sposób, jaki się nawet nie spodziewają, przedłożę im moje CV – dokończył cynicznie.

– A rób sobie, jak chcesz! – odburknął Bona, rozdrażniony tym, że rozmowa nie poszła po jego myśli, po czym wyszedł z pokoju Antka, trzaskając wymownie drzwiami.

– Też mi coś... Sylwester w remizie... Ciekawe, jaka będzie muzyka? – mruknął do siebie Antek, wyciągając się na krześle i celując zmiętą kartką do metalowego kosza stojącego w rogu. Chociaż... Mógłbym przecież wziąć stopery do uszu. Może wtedy bym tam chwilę wytrzymał? – pomyślał i z uśmiechem na twarzy, wyobrażając sobie to, co właśnie głośno skomentował, zabrał się z powrotem do pracy.

\*\*\*

Ostatni dzień roku zaczął się dla Antka jak każdy zwykły. Pobudka około godziny szóstej rano i krótki, ale za to intensywny trening przed domem na drążku. Pomimo dwudziestu stopni poniżej zera ćwiczył jak zwykle w cienkich szarych dresach i skąpej, czarnej koszulce na ramiączkach. Dla chłopaka poranne treningi zawsze odbywał się tak samo, bez względu na porę roku czy pogodę, a po treningu oczywiście jak zwykle konkretne śniadanie, gorzka kawa zbożowa i przegląd informacji ze świata – oczywiście oficjalnych i tych bliższych prawdy – z wiadomych tylko jemu źródeł.

– To jest paranoja, co oni tłuką tym ludziom do głowy – rzucił nagle z pełnymi ustami jajecznicy Bona, zerkając kątem oka na poranne informacje w publicznej telewizji.

Akurat była mowa o kontynuacji zwołanego w ostatnich dniach kryzysowego szczytu w Brukseli i o tym, że odbywająca się tam debata może potrwać nawet do Nowego Roku, jeżeli przywódcy państw nie ustalą ostatecznie, co dalej z Unią Europejską. Komentujący na żywo popularny polski prezenter dodał również, że:

– Brak solidarności i przede wszystkim walka o interesy narodowe poszczególnych krajów od lat rozbijają Unię od środka. Czy Niemcom, jako liderom tej organizacji, uda się stanąć na wysokości zadania i swą rozsądną polityką dialogu zażegnać kolejny kryzys?

– Co ten gość pierd... – Bona w ostatniej chwili ugryzł się w język. – Czy oni naprawdę wierzą w tej telewizji, że ci wszyscy zachodni dygnitarze w Brukseli to jakieś bezinteresowne stowarzyszenie altruistów? Przecież to oczywiste, że ta cała klika z Niemiec, Brukseli i Luksemburga wie, że ich strefy wpływów i ten ich cholerny *Lebensraum* wymykają się spod kontroli. Unia Europejska nie jest już skutecznym narzędziem do utrzymywania postkomunistycznego podziału na kraje wyzyskujące oraz zapewniające tanią siłę roboczą i rynki zbytu kraje kolonialne. W niektórych państwach pojawiło się zbyt dużo nowych rozsądnych polityków, których nie można tak szybko złapać na wędkę... – skomentował, w międzyczasie przeżuając intensywnie pachnący, szklący się tłuszczem bekon.

– Masz jakąś nieoficjalną wiedzę odnośnie do tego szczytu? – zapytał zaciekawiony Antek, przygotowując jednocześnie ogromną kanapkę z aromatycznym pastrami.

– Mam... Ale to niestety tylko strzępy, jednak z tego, co przekazali mi moi starzy kumple, wnioskuję, że nie jest dobrze... Niemcy szykują coś przełomowego, jakiś całkiem nowy plan... Pytanie tylko, jakich sojuszników zwerbowali...

– Dostałeś te informacje od kogoś z organizacji? – dopytywał zaintrygowany wzmianką o starych kolegach Antek.

– Poniekąd tak... Chociaż w Polonorum – tu Bona wyraźnie ściszył głos – na pewno wiedzą już dużo więcej... W końcu mają najlepszy, oficjalnie nieistniejący wywiad na świecie... Ja jednak nie otrzymuję już od nich takich wiadomości i muszę się zadowolić informacyjnymi ochłapami, które przekazują mi od czasu do czasu inni, podobni do mnie, tak zwani członkowie honorowi... – wyjaśnił w sarkastycznym stylu Bona. – W każdym razie Niemcom w najbliższym czasie będzie zależało na wygaszeniu projektu Unii Europejskiej... Może jeszcze nie teraz, ale już się do tego przymierzają. Zrobią to w ten sposób, że chcąc rzekomo do samego końca ratować tego skleconego frankensteina, zaproponują nowy, z oczywistych względów niemożliwy do przyjęcia przez wszystkich układ, doprowadzając tym samym do skrajnego konfliktu, za który winą obarczą kilka mniejszych państw, które w ostatnich latach zaczęły w końcu walczyć o swoją rację...

– Rozumiem, że nie masz tu na myśli Polski? – retorycznie zapytał Antek, posypując gigantyczną kanapkę prażoną cebulką.

– Oczywiście, że nie... Niestety, jak doskonale wiesz, Polska stała się teraz idealnym łącznikiem pomiędzy skupioną wokół Niemców frakcją a resztą walczących o większą niezależność państw... Dlatego też ten wieloletni zgniły kompromis nadal trzyma się kupy...

– Jesteśmy mocnym ogniwem, bo nasze społeczeństwo jest najmocniej zmanipulowane – dodał Antek, okraszając swoje kulinarne dzieło oliwą

wymieszaną z miodem i ziołami.

– W dużej mierze tak, ale nie tylko... Jest tak przede wszystkim dzięki wyjątkowo gorącemu oddaniu naszych, powiedziałbym polskojęzycznych, elit politycznych dla wspomnianego niemieckiego układu. To głównie dzięki temu ta fałszywa solidarność zachowuje jeszcze w oczach społeczeństwa swoją pozorną wiarygodność – wyjaśnił Bona.

– To dziwne zjawisko... Bo z drugiej strony chyba jako jedyny kraj w Unii Europejskiej pozostaliśmy tak hermetycznym kulturowo i obyczajowo społeczeństwem – zauważył chłopak, rozsiadając się wygodnie przy stole i mieszając świeżo zaparzoną kawę.

– Mnie też zawsze to zastanawiało... Dlaczego pomimo tego atutu nadal jesteśmy tak słabi i podatni na obce wpływy na arenie międzynarodowej? To chyba jakiś negatywy fenomen... – Bona zamyślił się na chwilę.

– Czy twoi starzy koledzy z organizacji uważają Unię za całkowitą porażkę i że lepiej byśmy wyszli na tym, gdybyśmy w ogóle do niej nie wstąpili? Przypomnę, że Ukrainie to na dobre nie wyszło... Dziś mają podnoszący się z ruiny kraj i zdestabilizowaną granicę... – wyraził swoje wątpliwości Antek, zabierając się w końcu za konsumowanie swojego cholernie apetycznie wyglądającego śniadania.

– Z początku zdania były podzielone. Jedni uważali, że to zagrożenie, drudzy, że potencjalna szansa, której podobnie jak NATO nie możemy przespać. Ale dziś już cała organizacja nie ma żadnych wątpliwości, że to tylko kolejny socjalistyczny i antynarodowy projekt, który wessał Polskę i niemal całkowicie wyzuł ją z suwerenności ekonomicznej, militarnej, politycznej, a nawet światopoglądowej... A co do Ukrainy, Unia w niczym by jej nie pomogła... Berlin już dawno dał Kremlowi na tym odcinku zielone światło, uznając, oczywiście nie za darmo, że jest to ostatecznie ich strefa wpływu.

– Co racja to racja... – skomentował Antek, przełykając łapczywie kolejne smakowite kęsy ociekające majonezowym sosem i ciągnącym się roztopionym cheddarem. – A ty co myślisz? – dodał.

– Ja uważam, że powinniśmy pozostać w tym eurokołchozie, dopóki nie jest to jeszcze skrajnie szkodliwe dla naszych interesów. Jak mawiał Andrzej Zamoyski: „Brać, nie kwitować...”. A więc dopóty cokolwiek zwracają nam z tej brukselskiej, wspólnej skarbonki, dopóki musimy choć trochę odbić sobie straty wynikające z bycia od lat eksploatowanym ekonomicznie terytorium IV Rzeszy. Zresztą... Taką samą ideą zawsze kierowali się i nadal kierują Anglicy, Francuzi czy Skandynawowie... To normalny instynkt samozachowawczy każdego rozsądnego narodu... Katole tacy jak ty, Antoś, nazwaliby to *ordo caritatis*... Czyli najpierw interes nasz i naszych najbliższych, a w następnej kolejności dobro innych... Ot taki porządek miłosierdzia... – dodał z rozbawieniem Bona.

– Kto nie dba o swoich, a zwłaszcza o domowników, gorszy jest od niewierzącego... – odrzekł mu natychmiast Antek, parafrazując cytaty z Nowego Testamentu.

– Czyż nie taką zasadę zastosowali nasi cyniczni sojusznicy w Jałcie i Teheranie? – zadrwił Bona, rozśmieszony swoim teologicznym spostrzeżeniem.

– Ja zgadzam się z nią całkowicie – wtrącił Antek. – Po pierwsze, interes nasz, a potem interes wspólny. Jeśli we wsi jest pożar, w pierwszej kolejności ratuję swoją chałupę, a nie majątki sąsiadów... To oczywiste... Kto tego nie rozumie, nigdy nie powinien brać się do polityki, bo oznacza to, że żyje w świecie nierealnych, pobożnych życzeń... Chociaż w przypadku Jałty myślę, że chodziło o zwykłą głupotę, strach przed Stalinem i pospolitą zdradę... – dokończył, robiąc przy tym filozoficzną minę.

– Może i tak... Ale według mnie zależy to wszystko od sytuacji. Pamiętaj, Antek, nigdy nie można być upartym doktrynerem i trzymać się pewnych zasad za wszelką cenę, gdyż te same zasady w różnych sytuacjach mogą przynieść całkiem odmienne skutki.

– Myślisz, że w organizacji mają twarde dowody na to, że Unia od początku była zaprojektowana tak, by zabezpieczyć wpływy i interesy wybranych państw na kilka dekad? – zapytał Antek, drążąc temat.

– Zależy na jakim etapie... Jeśli masz na myśli same początki tego ponadnarodowego projektu, to raczej wątpię... Byłaby to raczej mocno nagięta teoria spiskowa, nierealna i przede wszystkim zbyt skomplikowana do ogarnięcia na przestrzeni tak długiego czasu... Byli przecież politycy, którzy mieli jak najbardziej szczerę intencję co do zapewnienia pokoju w Europie i współpracy wyłącznie ekonomicznej. Ale jak widać, więcej do powiedzenia z czasem zaczęli mieć zachodni komuniści, którzy wykorzystali Europejską Wspólnotę Gospodarczą jako platformę do stworzenia nowej, socjalistycznej federacji zarządzającej gdzieś z odległego brukselskiego komisariatu już nie tylko handlem, ale także prawem, wolnością, światopoglądem i sumieniem zwykłego, szarego człowieka...

– Zarządzającej oczywiście na korzyść tych, którzy będą tym projektem kierować... – zauważył Antek.

– Dokładnie tak... I zawsze, nawet w najpiękniejszym socjalistycznym śnie, znajdują się ludzie, którzy jak w Orwellovskim folwarku wykorzystają te obłudne, utopijne hasła o wspólnym świecie czy też wspólnej Europie do podporządkowania sobie ogłupiałych mas... W końcu marksizm też był oparty na dobrych intencjach, a jednak okazał się wbrew naturze człowieka. Historia jak mantra, lubi się powtarzać... Od zarania dziejów człowiek zawsze chciał mieć więcej niż jego sąsiad... Każdy normalny, przedsiębiorczy obywatel lubi wolności i rywalizację. Te wszystkie socjalistyczne ograniczania produkcji, dzielenie ciężko zarobionych przez ludzi pieniędzy i rozdawanie ich wedle upodobań urzędników to zwykły, paraliżujący rozwój większości narodów neokołchoz. Ale wracając do dowodów, o które pytałeś: myślę, że najzwyczajniej w świecie sporo politycznych i biznesowych środowisk najróżniejszej maści zwietrzyło finansowe możliwości, jakie daje brukselska władza, i dlatego w różnym stopniu stały się one udziałowcami tego układu. Zdziwiłbym się więc, gdyby odpowiednie dowody już dawno nie były w rękach organizacji.

– Oby... bo mam ostatnio wrażenie, że realizowanie własnych celów kosztem innych, tak zwanych pożytecznych idiotów wierzących w utopijne, pięknie brzmiące, lewicowe idee to chyba jedyny sukces neomarksistowskich, jak to

nazwał, polskojęzycznych elit... – wtrącił Antek, przełykając ostatni kęs kanapki i gładząc się z lubością po brzuchu.

– Doszły mnie też słuchy, że od niedawna agencja rozpoczęła infiltrację pewnej bardzo wpływowej i niebezpiecznej dla Polski niemieckiej organizacji. Wiadomo już, że w różnym stopniu jest w nią uwikłanych kilku prominentnych polskich polityków. Z tego, co wiem, ta organizacja nazywa się Holda.

– Jak ta mityczna germańska bogini, która prowadzi umarłych – zauważył Antek.

– Nie wiem... ale wygląda na to, że to względnie nowy i doskonale zakonspirowany twór... Być może nazwa też jest adekwatna do ich działalności, którą bądź co bądź było do tej pory prowadzenie ku przepaści umarłych moralnie społeczeństw zachodnioeuropejskich.

– Nigdy wcześniej nie wspominałeś o tej Holdzie... W ogóle jakiś jesteś dziś wyjątkowo rozmowny i otwarty na tematy, które dotychczas uważałeś w tym domu za tabu i o które zawsze musiałem się usilnie dopraszać. A teraz proszę: „doszły mnie słuchy...”, „starzy kumple...”, „Polonorum...”, „Holda...” – zauważył chłopak, biorąc kolejny łyk kawy zbożowej. – Zmieniło się coś od wczoraj czy po prostu nie czekając do jutra, zaczęłeś już realizować swoje nowe postanowienia noworoczne? – dodał.

– Po prostu, uznałem, że to wyjątkowo ważny temat i że powinieneś o nim wiedzieć... Zwłaszcza teraz, gdy w Brukseli toczy się ten cały cyrk.

– Okej... Powiedzmy, że ci uwierzyłem. – Antek popatrzył na Bonę ze szczerym podejrzeniem. – A ci Polacy, o których wspominałeś, to kto? Wiadomo? – dodał.

– Nie znam ich nazwisk... ale wiem, że Holda wykorzystuje ich jako słupy. Są całkowicie jej podporządkowani i pochodzą z najróżniejszych kręgów politycznych, od prawa do lewa.

– Czy ta organizacja współdziała z niemiecką frakcją, o której wspominałeś? – dociekał Antek.



– Ba! Ona jest mózgiem tego układu... Od wielu lat przejmowała stopniowo wszystkie jej kluczowe struktury – wyjaśnił Bona, wyraźnie emocjonując się tym tematem.

– A więc teraz ma wręcz nieograniczone możliwości i środki... – dorzucił Antek.

– I dlatego też jest dla nas tak niebezpieczna – potwierdził Bona.

– Ci nasi politycy zważali się z nią dobrowolnie czy złożono im propozycję nie do odrzucenia? – nadal dopytywał Antek, który miał zamiar maksymalnie wykorzystać dziś wyjątkowo otwartą postawę wuja i nabrać nieco więcej rozeznania o świecie, do którego miał niebawem wkroczyć.

– Dobrowolnie... Ale podejrzewam, że z czasem zebrano na te sprzedajne gnidy wystarczająco dużo haków, by chodziły teraz na krótkim pasku. Zresztą nie trzeba uciekać się do wymyślnych szantaży, jeśli ma się do czynienia z pozbawionymi jakichkolwiek wartości śmieciami, którym zależy tylko na tym, aby załapać się na resztki, które spadną z pańskiego stołu... A trzeba wiedzieć, że w grę wchodzi nie tylko władza i nieograniczone wpływy na swoim lokalnym terenie, jakie umożliwia im ta lukratywna komitywa, ale przede wszystkim pieniądze, które zwykłemu człowiekowi trudno sobie nawet wyobrazić.

– Zaskakująco dużo wiesz na ten temat, Bona... W sumie to czuję lekki zawód z powodu tego, że mówisz mi o tak istotnych rzeczach dopiero teraz.

– Obiecałem ci, że niedługo załatwię sprawę twojego wejścia do naszej najstarszej podziemnej polskiej organizacji i może stąd to moje pofolgowanie sobie w kwestii tajemnicy państwowej, która jest dla każdego agenta, czynnego czy emerytowanego, sprawą najwyższej wagi...

– No to kontynuuj! Co jeszcze wiesz o tej Holdzie? – ponaglał podniecony Antek.

– Prawdopodobnie jest przedłużeniem i zarazem konsolidacją wcześniejszych, znanych nam dobrze, tego typu organizacji zza Odry. Pod kryptonimem Holda działa zaledwie od niespełna dwudziestu lat... Prócz znaczących polityków,

bankierów, członków rodzin ukrywających się po wojnie nazistów oraz właścicieli potężnych niemieckich koncernów tworzą ją najbardziej wpływowi ludzie z niemieckiego wywiadu, zarówno stara kadra BND z Pullach, jak i ci wywodzący się ze Stasi.

– To oni zapewniają reszcie skuteczną ochronę... – skomentował Antek.

– Tak... Dlatego to tak dobrze działa – przytaknął Bona. – Oni mają plan długoterminowy, który będą chcieli wdrożyć w krajach, które już zawsze mają pozostać upośledzonymi, kulejącymi i uzależnionymi od nich gospodarkami kolonialnymi. Za pomocą środków nacisku, jakimi dysponują, będą tak nimi sterować, aby nigdy nie były przejrzyste, konkurencyjne, a przede wszystkim oparte na interesie narodowym oraz małych i średnich przedsiębiorstwach należących do zwykłych wolnych obywateli. W ich wizji przyszłości Europa ma stać się zarządzaną przez nich, ponadnarodową federacją uzależnioną finansowo i materialnie od wyniszczających małą konkurencję, gigantycznych korporacyjnych molochów. Docelowo chcą mieć także wpływ na sposób myślenia i zachowania możliwie największej grupy Europejczyków.

– To raczej jeszcze dość odległa perspektywa...

– Odległa? – szczerze zdziwił się Bona. – Wydaje mi się, że dla warszawiaków w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku wizja zrównania z ziemią ich stolicy też wydawałaby się raczej odległa, żeby nie powiedzieć nierealna czy też fantastyczna... W końcu ileż to lat dzieli nas od prób realizacji rzeczywistości, jaką wyobrażali sobie Hitler czy Stalin? A dzisiejsze Chiny czy Korea Północna? To faktyczne przykłady reżimów rodem z wizji Orwella... Jeśli społeczeństwa europejskie się nie ockną, podobnie może być i tutaj... Jak przyjdzie co do czego, to na pierwszy ogień pójdą ich wszechobecne koncerny medialne, wprowadzając zamieszanie w opinii publicznej, a wtedy to już jest połowa sukcesu. Masom łatwiej żyć w takiej rzeczywistości, jaką się im narzuca z góry i jaka jest dla nich pozornie wygodna, a przeważnie wygodniej jest im nie zakłócać sobie świętego spokoju, niż samodzielnie myśleć – przekonywał staruszek.

– Pytanie, czy uda się im na dłuższą metę przeforsować taką akcję – nadal powątpiewał Antek.

– Już nie takie światopoglądy wszczepiano ludziom w przeszłości, a Einstein słusznie kiedyś zauważył, że tylko dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat i ludzka głupota... – zaśmiał się Bona.

– Ja zawsze powtarzam, że światopogląd to kwestia wiedzy lub niewiedzy... O ile nie jesteś krową, która nigdy nie zmienia poglądów, to jeśli z czasem dotrzesz do rozsądnych argumentów, które podburzą twoje dotychczasowe przekonania, zaczniesz drążyć i w końcu się z nich wyłamiesz – odrzekł filozoficznie Antek. – Ile mediów w Unii Europejskiej należy do prywatnych właścicieli z tej Holdy? – dodał, nadal broniąc swojej tezy.

– A jak myślisz?

– Nie mam pojęcia...

– Strzelaj...

– Czy ja wiem... Może czterdzieści procent? – oszacował chłopak.

– No właśnie... Czterdzieści to było, ale jakieś trzy lata temu... Dziś jest już około osiemdziesiąt, nie licząc mediów publicznych, w których też mają swoich ludzi. Od dwudziestu lat zaczęli stopniowe i masowe wykupowanie prywatnych, mniejszych i większych redakcji, i od tego mają właśnie kontrolowanych przez siebie i dobrze opłacanych słupów, licznie zasilających coraz to nowsze rankingi „Forbesa”. Na tej podstawie śmiem twierdzić, że przygotowują się do akcji dezinformacyjnej na dużą skalę – wytłumaczył Bona.

– Hm... Że też u nas politycy i urzędnicy państwowi nie mogą tak z przekonaniem i poczuciem jakiejś misji przypilnować naszego interesu, nie patrząc na zagraniczne, ozłacane koryta... Całkowicie brakuje nam prawdziwych, patriotycznych, oddanych elit... Ci z Holdy to przynajmniej działają dla swoich, nieustannie poszerzając i umacniając niemiecką strefę wpływów – westchnął głęboko Antek, wysłuchując komentarza wuja na temat kondycji moralnej zarządców III RP.

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię... – poprawił go Bona, o mało nie krztusząc się przy tym herbatą, którą właśnie przepijał ostatni kęs jajecznicy. – Ci ludzie nie są żadnymi patriotami swoich narodów... Oni mają w dupie Niemców, Luksemburczyków, Holendrów czy Austriaków. To internacjonalistyczna organizacja, której celem jest nowoczesny hiperfeudalizm oparty na kolonialnych wasalach i zniewolonym, trzymanym na krótkiej smyczy europejskich instytucji społeczeństwie. Dla nich liczą się tylko niezintegrowane, wynarodowione, multikulturowe masy, uzależnione od koncernów, mediów, spreparowanych ideologii i wirtualnych pieniędzy. Kiedyś za Odrą mieliśmy do czynienia z wrogiem, który przez wieki swoją władzę opierał na podłożu narodowym, chrześcijańskim, patriotycznym bądź też narodowo-socjalistycznym, a teraz? – zapytał sam siebie. – Teraz to wszystko ewoluowało... Dziś podstawą władzy jest manipulowanie opinią publiczną i niewidoczna kontrola tego, bez czego ludzie nie wyobrażają sobie życia, czyli usług, dóbr i płatnych przyjemności!

– Konsumpcji! Masz na myśli kontrolę konsumpcji... – spuentował Antek, analizując z uwagą słowa swojego wuja.

– Oczywiście... Lecz ta ich kontrola nie oddziałuje tak gwałtownie, drastycznie, i bezpardonowo jak siermiężny sowiecki socjalizm, za to sprawdza się w wersji soft, bardziej niewidocznej, pełzającej i przez to bardziej niebezpiecznej. Ten ich system kontroli społeczeństwa już całkiem dobrze działa, ale będzie działać jeszcze skuteczniej, a my... Jako odwieczne serce Europy środkowo-wschodniej jesteśmy aktualnie najważniejszym dla nich poletkiem do realizacji swoich celów... Hm... zresztą jak zawsze... – Bona westchnął w zamyśleniu.

– Ale teraz wszystko wskazuje na to, że w Europie będzie nowe rozdanie... Może dojść do odwrócenia sojuszy – zwrócił uwagę Antek, wskazując wzrokiem na transmisję z Parlamentu Europejskiego.

– Tylko pytanie, kto będzie rozdawał karty i kto zasiądzie przy stole. Obawiam się jednak, że cokolwiek by się nie wydarzyło w tym brukselskim burdelu, to i tak odbędzie się pod ich ścisłą kontrolą... – odpowiedział posepnie Bona.

– Jedno jest pewne, tak podatnego rządu w Polsce na wpływy z zewnątrz nie mieliśmy, odkąd... odkąd pamiętam... I jeżeli nic się w tej sprawie nie zmieni, to będziemy w czarnej dupie – zawtórował Antek.

– Eh... Sylwester... Nowy Rok... A oni pewnie w Polonorum muszą mieć dziś pełne ręce roboty – skomentował Bona, nieco zmieniając temat i wstawszy od stołu, przeciągnął się leniwie.

– Dlatego może w końcu i ja będę mógł się wykazać. O ile nie zawalisz tej ważnej rozmowy w mojej sprawie – wtrącił Antek.

– Spokojnie... Stanę na głowie, jeśli będzie trzeba – skwitował Bona i z uśmiechem na twarzy poklepał swojego wychowanka po plecach.

\*\*\*

Noc sylwestrowa w lokalnej remizie okazała się nie taka zła. Antek rozsiadł się wygodnie za chwiejącym się, przykrytym nieco staromodnym obrusem stolikiem, otoczony grupą miejscowych dziewczyn, zaciekawionych rzadko pojawiającym się na tego typu lokalnych wydarzeniach przystojnym samotnikiem „spod lasu”. I choć nie zatańczył ani razu, to rewelacyjne regionalne jedzenie i owe słodkie rozmowy z rywalizującymi o jego uwagę dziewczynami umilały mu czas i łechtały jego męskie ego. Z czasem zauważył jednak, że wzbudza również zbyt duże zainteresowanie swoją osobą wśród niezadowolonej z takiego stanu rzeczy męskiej części towarzystwa, a zwłaszcza tej, która od kilku godzin okupowała bar, nie mogąc liczyć nawet na uśmiech, nie mówiąc już o tańcu, od żadnej z adoraterek Antka.

– To prawda, że włóczysz się nocami po lasach? – zapytała rozchichotana brunetka o bladej cerze.

– Albo że pływasz nago w pobliskim stawie? Nawet zimą?! – dodała inna, ruda i piegowata.

– No właśnie! Powiedz nam, czy to prawda, co ludzie o tobie mówią.

– A co mówią? – odrzekł Antek z nieukrywanym rozbawieniem.

– Mówią, że jesteś dziwakiem... – wypaliła trzecia, zdecydowanie najmłodsza z całej grupy.

– Może mają racje? A mówią coś jeszcze? Mówcie śmiało! Chętnie się pośmieję – skomentował chłopak.

– Że ukrywasz się tu z tym twoim wujkiem, bo na pewno byliście w jakiejś mafii... – odpowiedziała mocno zarumieniona blondynka w czarnych, mieniących się brokatem okularach.

Antka tak to rozśmieszyło, że o mało nie oblał się oranżadą.

– W mafii?! No to tego jeszcze nie było... Muszę to jutro koniecznie opowiedzieć wujkowi – odrzekł, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– No tak mówią! Serio! – potwierdziła raz jeszcze lekko speszona blondynka, widząc, że jej koleżanki również wybuchły gromkim śmiechem.

– A co, jeśli rzeczywiście byłbym z mafii? – zapytał hipotetycznie.

– Mi by to nie przeszkadzało! – odpowiedziała kolejna.

– Mi też! – powtórzyła po niej następna.

– A ja tam chętnie mogę powłóczyć się z tobą po tym lesie albo nawet popływać w tym stawie, jeśli chcesz... Oby tylko nie w zimie! – zaproponowała zniecierpliwiona do tej pory nic nie mówiąca, przyglądająca mu się tylko ukradkiem dziewczyna. – Mogą nawet nazwać mnie dziwakiem. Nie obchodzi mnie, co ludzie we wsi gadają! – dodała z uśmiechem i mrugnęła znacząco okiem.

Tak... Zdecydowanie najładniejsza... – pomyślał Antek, z przyjemnością odwzajemniając uśmiech.

– A ja pracuję tutaj, w sklepie, niedaleko remizy. Może wpadniesz? – nagle przejęła inicjatywę piegowata o rudych włosach.

– Wszystkie panie jesteście bardzo urocze – zaczął dyplomatycznie Antek, nakładając sobie przy tym czwartego już proziaka z serem – ale obawiam się, że...

– Że musimy pogadać! – weszła mu nagle w słowo wściekła jak diabli blond włosy dziewczyna o wydatnym biuście i pełnych wdzięku krągłościach – ta sama,

która odwiedziła Antka w pamiętny urodzinowy wieczór i która utrzymywała, jako jedyna kobieta w okolicy, bliższy kontakt z nim oraz jego wujkiem.

Dziewczyna stanęła naprzeciw chłopaka w wojowniczej pozie i wyraźnie niezadowolona ze sceny, którą zastała, zmierzyła płomienistym wzrokiem grupę oblegających go kokietek, a następnie nie zwracając uwagi na ich prześmiewcze spojrzenia i chichoty, wskazała Antkowi drzwi wyjściowe, mówiąc:

– Nawet się nie zastanawiaj! Czekam na dole!

– Przepraszam, drogie panie, przyjemnie się z wami rozmawiało, ale niestety zmuszony jestem wyjść i wyjaśnić jedną małą sprawę... – oznajmił Antek i niechętnie wstając od stołu, ruszył w stronę wyjścia.

– Ale wrócisz jeszcze? – zapytały dziewczyny zgodnie, niemal jednym głosem, jednak Antek rozłożył tylko bezradnie ręce i wzruszył ramionami.

Wyszedł pośpiesznie na zewnątrz, a lodowate, styczniowe powietrze uderzyło go w zarumienioną, rozgrzaną od kobiecego towarzystwa twarz. Pod lokalem czekała już na niego blond włosy dziewczyna, ale nie była tam sama. Po prawej stronie budynku stało kilku lokalnych pijaczków i dziewczyny, które się gorzej poczuły, a trochę dalej, po drugiej stronie ulicy, grupka miejscowych – potocznie zwanych karkami – opierających się wyzywająco o swoje czarne, wypolerowane audi A8. Antek zauważył także, że powietrze tej nocy jest tak wyjątkowo czyste i przejrzyste, iż z odległości dwóch kilometrów jest w stanie bez problemu dojrzeć palące się światła swojego domu.

– Co to miało być?! – zapytała histerycznym głosem rozszalona dziewczyna.

– Ale że co? – Antek natychmiast przyjął linię obrony polegającą na udawaniu głupa. Jak każdy doświadczony mężczyzna doskonale wiedział, że jest to najskuteczniejsza taktyka prowadzenia rozmowy z rozwścieczoną kobietą.

– Powiedziałeś mi, że nie idziesz na sylwestra! – warknęła pretensjonalnie.

– No... bo... z początku... taki miałem zamiar, ale... potem jakoś tak wyszło, że się tu jednak wybrałem...

– Nic mi nie mówiąc?!

– W ostatniej chwili coś mnie tknęło i po prostu wpadłem zjrzeć na chwilę. Nie chciałem ci zawracać głowy moją nagłą zmianą zdania... – wyjaśnił, bądź co bądź mówiąc prawdę.

– Zjrzeć na chwilę?! Jest druga w nocy! Koleżanka mi napisała, że tutaj jesteś. Czy wiesz, jaki to dla mnie wstyd?! Pomyślałeś choć przez chwilę, jaki jutro dziewczyny będą miały ze mnie ubaw? – wyliczyła z wyrzutem.

– Ale niby z jakiego powodu miałyby mieć ubaw? – odpowiedział jej zdziwiony chłopak.

– Bo powiedziałam im, że nie idziemy na zabawę, gdyż mamy razem inne plany na sylwestra... Teraz przez ciebie wyszłam na kompletną idiotkę! – podniosła głos.

– Bardzo mi przykro, ale to nie moja wina, że opowiadasz koleżankom takie historie. I pamiętasz przecież, że gdy się poznaliśmy, przestrzegłem cię, że jeśli tylko chcesz, możemy się widywać, ale ani słowa nikomu o naszej znajomości, tak? Niczego więcej ci nie obiecywałem, zgodziłaś się na takie warunki i powiedziałaś nawet, że to dla ciebie wygodne... – odrzekł z rozbrajającym spokojem Antek, co jeszcze bardziej wyprowadziło dziewczynę z równowagi.

– Ależ ty jesteś głupi i egoistyczny! – wycedziła rozsierdzona i już chciała kontynuować swoje pretensje i wyrzuty, ale zza jej pleców dobiegł ich głos jednego z zakapiorów, którzy z wypiętymi klatami i rękami w kieszeniach opierali się o maskę błyszczącej w świetle ulicznych latarni limuzyny.

– Koleżanka ma jakiś problem z tym odpicowanym lalusiem?! – ryknął zachrypniętym głosem tubylec.

Na twarzy dziewczyny zagościł szczerzy niepokój, ale Antek nie zwrócił na rosłego oprycha nawet odrobiny uwagi.

– Ej ty, frajerzyno! Myślisz, że przyszedłeś tu w lansiarskim garniturku i będziesz rznął pana przed naszymi dziewczynami? – Tym razem osiłek zwrócił się bezpośrednio do Antka, a reszta bandy zawtórowała mu gromkim śmiechem.

Jednak chłopak ponownie nie zareagował.



– Ej, do ciebie mówię, ty ulizana pizdo z kucykiem! Głuchy jesteś?!

Antek obrócił się w końcu leniwie i spojrzał lekceważąco na chłopaka, który był naprawdę sporych rozmiarów i bez wątpienia ważył grubo ponad sto dwadzieścia kilogramów. Dał tym samym do zrozumienia, że nie jest zainteresowany podjęciem jakiegokolwiek konwersacji.

– Zgrywasz waźniaka?! A może zaczniesz gadać, jak poczęstuje cię szkłem po tej twojej pięknej buźce?! – ryknął agresor i zaczął niebezpiecznie zbliżać się w ich stronę.

– Słuchaj, Antek, wyjaśnimy tę sprawę kiedy indziej! Ja znam dobrze tego kolesia... To niebezpieczny typ. Lepiej chodźmy z powrotem na salę – powiedziała przestraszona dziewczyna, całkowicie zapominając o sprzeczce.

Antek jednak był skupiony już zupełnie na czym innym. Zauważył bowiem, że w stronę jego domu na odległym, pogrążonym w ciemnościach wzgórzu porusza się jakiś pojazd. Długie światła jego reflektorów przez chwilę zamigotały na górskiej, ośnieżonej drodze, po czym zgasły i auto poruszało się już tylko w całkowitych ciemnościach.

– No i co teraz, piękniśiu?! Dalej będziesz zgrywał kozaka? – krzyknął mięśniak, stając w rozkroku i prężąc swoje spompowane mięśnie.

Antek był co prawda tego samego wzrostu, ale ważył co najmniej dwadzieścia kilo mniej.

– Przepraszam, kolego, ale nie mam czasu z tobą rozmawiać – odpowiedział mu niczym niewzruszony i wyraźnie lekceważąc zbliżające się zagrożenie, nadal ze skupieniem obserwował własny dom.

Za to rozwścieczony mężczyzna, wyraźnie zbity z tropu niecodzienną reakcją tajemniczego, miejscowego odludka, stracił resztki swojej cierpliwości i zamachnął się potężną ręką, w której dzierżył rozbitego tulipana pozostałego po butelce z piwa, krzycząc ochrypłym głosem:

– Nie masz czasu?! To go, kurwo, znajdziesz!

Antek spostrzegł z wielkim zdumieniem, że z auta pod jego domem pośpiesznie wychodzą jacyś ludzie i jednocześnie kątem oka bacznie obserwując furiackiego agresora, błyskawicznym ruchem uniknął potężnego ciosu wymierzonego w twarz. Następnie, równie szybko i jakby bez najmniejszego wysiłku, złapał jedną ręką za nadgarstek atakującego, a drugą zaś z dziecinną łatwością wykręcił mu łokieć w stawie. Zrobił to jednak z taką siłą, że kość nieszczęśnika uległa przemieszczeniu, a naciągnięta przez nią nienaturalnie skóra sprawiała teraz wyjątkowo obrzydliwy widok. Do tego nieprzyjemne chrupnięcie, które wyraźnie dało się słyszeć, i niosący się echem po okolicy przeraźliwy krzyk sprawiły, że osłupiali koledzy butnego zakapiora nawet nie drgnęli, aby mu pomóc.

Mięśniak, pod wpływem przerażającego bólu, szybko zwałił się na kolana niczym śmiertelnie raniony bawół i błagalnym wzrokiem dziecka spojrzał w świecące teraz czystą bezwzględnością, wilcze oczy swojej niedoszłej ofiary. Antek przytrzymał go jeszcze chwilę za wykręconą rękę, po czym spokojnie powiedział:

– Posłuchaj mnie uważnie, spasiony obszczymurku, teraz ci odpuściłem, ale następnym razem może skończyć się to dla ciebie znacznie gorzej... Więc jeśli kiedykolwiek będziesz chciał kogoś czymkolwiek poczęstować, to wcześniej dobrze się nad tym zastanów. Niech to będzie dla ciebie dobrą nauką na przyszłość, właściwie powinienes mi za nią podziękować... – Puścił jego rękę, a głośno skomlący z bólu mięśniak niczym bezwładny worek kartofli całkiem osunął się na ziemię.

– Wybaczcie, państwo – zawołał Antek do wszystkich zgromadzonych i oniemiałych tym widowiskiem gapiów – ale teraz naprawdę się śpieszę... – I ruszył energicznym sprintem w stronę domu, nie oglądając się już na nikogo.

Wkoło chaty panowała idealna cisza. Pomimo tego, że było grubo na minusie, Antek ściągnął swoje eleganckie, skórzane buty, które skrzypiały niemiłosiernie na zmrożonym śniegu, i w całkowicie gołych stopach, brnąc w zaspach po pas, zakradł się pod starą szopę od strony polany. Chłopak całe życie przygotowywał się na moment, w którym zjawią się po niego egzekutorzy z rosyjskiego wywiadu

i dokończą to, co zaczęli dziewiętnaście lat temu, gdy jako dziesięcioletni szczeniak, mieszkał jeszcze z rodzicami w syberyjskim Irkucku.

Jednak na pierwszy rzut oka nie wyglądało mu to wcale na wizytę rosyjskich służb specjalnych, zwłaszcza że przez kuchenne okna widać było, że w środku niezapowiedziani goście prowadzą z Boną jakąś podejrzanie ożywioną rozmowę. Antek więc, niczym cień, bezszelestnie wspiął się na dach swojego domu, a następnie wcisnął przez małe okienko, które wychodziło na poddasze – w miejscu gdzie znajdowały się stare, drewniane schody. Z rozświetlonej kuchni dobiegały głosy tylko dwóch osób, chociaż z pewnością było ich tam więcej. Rozmowa toczyła się pomiędzy Boną a jakimś nieprzyjemnie i zjadliwie brzmiącym mężczyzną.

– Przyznajesz się, że złamałeś pierwszy punkt regulaminu, zdradzając osobie niepowołanej informacje o istnieniu naszej organizacji, za co czeka cię kara śmierci? – zapytał zimnym, bezbarwnym tonem nieznajomy, na co odpowiedział mu bełkotliwy i dziwnie ciągnący się głos Bony:

– Taaak aleee oon byyył... Oon juuż wieeedział wczeeeśnieeej...

– Dali mu tiopental – powiedział cicho do siebie Antek, orientując się, że Bona zachowuje się nienaturalnie.

– Czy przyznajesz, że dopuściłeś się zdrady Polski, ujawniając informacje o tajnym programie szkoleniowym „Świtez” oraz wiedzę o infiltrowaniu przez nas organizacji przestępczej o nazwie Holda? – pytał nieznajomy.

– Taak... alee oon byyył szkooooloony... Oon miaaał byyyć w „Świiiteeezi”. Oon nieee jest oobcy... – zawodził Bona.

– Dobrze wiesz, że organizacja nigdy nie wydała pozwolenia na szkolenie nieupoważnionej osoby z zewnątrz. Naraziłeś nas na zdekspirowanie... Miałeś zainstalowany podsłuch w domu, który założyliśmy ci dwa tygodnie temu. Wiemy, że bez wiedzy góry i swoich przełożonych, przez ostatnie lata prowadziłeś szkolenie obcej osoby na własną rękę. Wynosiłeś też informacje z organizacji i przekazywałeś tej osobie. Jesteś zdrajcą – podsumował nieznajomy.

– Roosjaaanie wieeedzieeeli ooo chłooopaaaku i jeeegooo poochoodzeniu, nie miaaałeeem inneeego wyyyjściaaa. Musiaaałeeem gooo przygoootoować do słuūzbyyy. Niee móóógł żyyyć beezpieecznie w cyyywiluuu – bronił się Bona, najwyraźniej odurzony bardzo mocną dawką substancji.

– Przyznajesz się do działania na własną rękę, bez zgody organizacji? – zapytał ponownie lodowaty głos.

– Taaak... – odpowiedział Bona tak wymęczonym głosem, jakby miał za chwilę puścić pawia.

– Czy przyznajesz się, że zdradziłeś i działałeś na szkodę organizacji zwanej potocznie wśród nas Polonorum? – kontynuował, nie okazując najmniejszych emocji, mężczyzna.

– Nieee... – wybełkotał Bona, ale po tak mocnej dawce tiopentalu wątpliwym było, by kłamał.

– Czy przyjmujesz wyrok z honorem? – zapytał bezwzględnie przesłuchujący, nie licząc się z zapewnieniami starego agenta.

– Taaak – odpowiedział coraz mniej świadomy Bona.

– Chłopak także zostanie zlikwidowany. Powiedz nam, gdzie on teraz jest.

– Nieee, proooszę... – wybełkotał rozpaczliwie Bona.

– Powtarzam! Gdzie jest chłopak? – przez nieznanomego po raz pierwszy przemówiły emocje.

– Jeeest weee wsiii, naaa zaaabawie sylweeestroowej. – Bona, będąc pod wpływem pentotalu sodu, był posłuszny jak baranek.

W tym samym czasie Antek, bezszelestnie jak duch, wspiął się po ścianie nad schodami i zawisł pod sufitem w sieni, gdzie panował całkowity mrok. Teraz miał dobry podgląd na to, co działo się w kuchni. Bona siedział w szlafroku, totalnie odurzony. Z pewnością niespodziewani przybysze zastali go, gdy brał jedną ze swoich nocnych kąpieli. Przesłuchiwał go chudy, wysoki, starszy facet ze sporą łysiną i resztką szpakowatych włosów. Miał na sobie czarny płaszcz i skórzane rękawiczki w tym samym kolorze. Antek nie widział jego twarzy, bo mężczyzna

stał obrócony tyłem do niego. Obok niego warowało dwóch zamaskowanych komandosów w zimowych szarobiałych kombinezonach moro. Na twarzy mieli gogle i czarne kominiarki. Każdy trzymał w rękach po jednym czarnym hk416, pięć pięćdziesiąt sześć milimetra.

– Wspaniale... Twój potencjalny szpieg z tą całą bezcenną dla nas wiedzą upija się teraz gdzieś na wiejskiej imprezie... – powiedział mężczyzna drwiąco. – Po tylu latach i tak nienajlepszej służby całkiem popieprzyło ci się w głowie, Bona... Ale cóż, jutro rano ludzie obudzą się już w nowej rzeczywistości, w nowej Europie. Może już wiesz, ale zaledwie pół godziny temu podjęto decyzję o rozwiązaniu Unii Europejskiej... Tak więc i my robimy dzisiaj noworoczne porządki i eliminujemy wszystkie błędy i pomyłki w naszej organizacji, a jedną z takich niebezpiecznych pomyłek jesteście właśnie wy... Zrozum, musimy być teraz w najwyższym stanie gotowości, bo zaczyna się gra o całkiem nowy układ sił w Europie i nie ma tu miejsca na jakiegokolwiek niedociągnięcia.

– Ooon nieee poowie niic nikoomu... Chceee dlaa waaaas praaacoować. Tooo doobry chloopak, praaawdziiwy paaatrioota – wydukał resztkami sił Bona.

– Taki z niego zawodowiec, a nie zauważył, że od dwóch tygodni macie tu zamontowany podsłuch? – Po raz pierwszy mężczyzna roześmiał się, najwyraźniej rozbawiony tym spostrzeżeniem. – U nas nie ma miejsca na partaczy i niedouczonech potencjalnych zdrajców – dodał z nieukrywaną satysfakcją, a Antek poczuł w brzuchu nieprzyjemne ukłucie wstydu, wywołane tą bądź co bądź trafną opinią.

– *Fuck!* Taka wtopa na sam początek! – mruknął do siebie z niezadowoleniem.

– Nieee jeeesteeemy zdraajcaaaami, teen chloopak tooo jeeest syyn zaaasłuuużonych... – bronił się dalej otępiały Bona, zerkając jednocześnie w stronę, gdzie akurat znajdował się Antek i nieznacznym, negującym ruchem głowy, dał mu znać, żeby pod żadnym pozorem nie interweniował. Było oczywiste, że doskonale wie, że chłopak tam jest...

– Dobra! Koniec tego przedstawienia! Zwijamy się! – przerwał stanowczo mężczyzna i skinął tylko dłonią na komandosa, który natychmiast, uderzając kolbą w głowę półprzytomnego Bony, powalił go na ziemię jak bezwładnego manekina.

Teraz sprawy potoczyły się bardzo szybko – komandosi wzięli nieprzytomnego staruszka pod rękę, a Antek w tym czasie błyskawicznie przedostał się do swojego pokoju. Chciał z niego wziąć swoją broń, którą zwykle trzymał w skrytce w podłodze, tej jednak tam nie było – zniknęła...

– Świetnie! – syknął, myśląc gorączkowo.

– Pewnie to Bona! Znów wziął hurtem do czyszczenia wszystkie klamki i nic mi nie powiedział! Znakomicie, wujaszku, znakomicie! W idealnym momencie! – wyszeptał wściekle przez zaciśnięte zęby i nie zwlekając ani chwili dłużej, wyszedł przez okno i zniknął w ciemnościach.

Zanim jednak cała ekipa agentów z Polonorum wraz z bezlitośnie wleczonym po śniegu Boną zdążyła zapakować się do dużego czarnego navigatora, Antek wisiał już pod jego podwoziem i chybcikiem instalował w nim nadajnik GPS. Wiedział doskonale, że oprócz dwóch komandosów, którzy byli podczas przesłuchania w kuchni, w pobliżu znajduje się jeszcze co najmniej jedna grupa zwiadowców, którzy będą tu cierpliwie czekać, aby go schwytać, a potem zlikwidować. Musiał więc przeczekać zawieszony pod ich autem tak długo, jak to tylko było możliwe. Nagle samochód ruszył, a tumany śniegu zaczęły wbijać się Antkowi dosłownie wszędzie.

Po ciągnących się w nieskończoność kilku minutach, gdy auto zjeżdżało w dół zasypanej śniegiem górskiej dróżki – w miejscu, gdzie nazbierało się najwięcej miękkiego śniegu – zdrętwiały z zimna chłopak, puścił się w końcu podwozia i leżąc jeszcze jakąś chwilę nieruchomo, nasłuchiwał, aż w pobliżu ucichną wszelkie niepokojące go odgłosy. Gdy upewnił się już, że jest bezpieczny, poderwał się na równe nogi i niedbale poprawiając garnitur, który z czarnego zamienił się niemal w śnieżnobiały, ruszył na powrót w stronę domu.

– Ale zimnica! – syknął zajadle, rozcierając zgrabiące ręce i powoli skradając się do swojej posesji.

Chociaż pokryte ubitym, twardym śniegiem ubranie oraz włosy nie wywoływały w nim najprzyjemniejszych odczuć – zwłaszcza przy tak niskiej temperaturze – to jednak Antek doskonale wiedział, że ułatwi mu to pozostanie niezauważonym.

Po chwili był już na dachu starej szopy. Tak jak się spodziewał, wkoło domu czekała już na niego ekipa powitalna. Nie wiedział jednak, ilu ich dokładnie jest... Póki co z czubka zaśnieżonego, leciwego budynku dostrzegł ich zaledwie dwóch – byli tak samo ubrani jak komandos, którzy stali w kuchni podczas zatrzymania Bony.

– Dobrze się skitrały sukinsyny – powiedział do siebie – ale to ja dzisiaj jestem na swoim terenie – dodał pocieszająco.

Jeden z zauważonych komandosów ukrywał się dokładnie pod nim, we wnęce szopy, która prowadziła do sauny. Gdyby nie para z jego ust, która unosiła się w górę, byłby właściwie niewidoczny. Natomiast drugi siedział oparty plecami o kamienną studnię. W rękach trzymał pistolet z tłumikiem. Zapewne gdyby Antek wracał nieświadomy z zabawy sylwestrowej, dostałby dwie kulki w łeb, zanim jeszcze dotarłby do własnego ganku...

Skoro już się powiedziało „A”, to trzeba powiedzieć „B”! – rzucił do siebie w myślach i łapiąc się za zawieszony na szyi drewniany krzyżyk, spojrzał w czarne jak smoła, obsypane gwiazdami niebo. Rozegram to tak, żeby im zbytnio nie zrobić krzywdy... Jeśli ich zabiję, to wtedy z pewnością pogorszę tylko swoją sytuację...

Nagłym skokiem, niczym nocny puchacz, który w ciemnościach spada na swoją ofiarę, wylądował gołymi piętami wprost na karku stojącego pod nim żołnierza. To jedno precyzyjne uderzenie w kręgi szyjne ponadstukilowym cielskiem wystarczyło, aby uzbrojony po zęby komandos, tracąc przytomność, osunął się na ziemię. Na dodatek Antek zrobił to tak cicho i dyskretnie, że drugi

z oczekujących na niego agentów nawet nie zorientował się, że dzieje się coś nie tak.

To teraz sobie posłuchamy, co macie do powiedzenia... – pomyślał, odbierając przeciwnikowi pistolet i zrywając zza jego ucha, a następnie przyklejając sobie w ten sam sposób, małej elektroniczny plasterek, który był kompatybilny z umieszczonym na jego ręce smartplastrem. Następnie, idąc za ciosem, długimi susami podbiegł, do niczego niespodziewającego się żołnierza, który chowając się za kamienną studnią – obrócony do Antka plecami – obserwował miejsce, z którego ten miał nadejść wprost z sylwestrowej imprezy.

Atak chłopaka był szybki i miażdżący. Komandos próbował jeszcze w ostatniej chwili zareagować, ale było już zdecydowanie za późno na jakąkolwiek obronę. Celne kopnięcie kolanem w potylicę, a następnie dwa krótkie uderzenia kolbą zdobytego pistoletu w szyję i skroń powaliły nieproszonego gościa na ziemię. Antek natychmiast sprawdził tętno nieprzytomnego nieszczęśnika, po czym podniósł jego ciało, uwiesił na haku – którym zwykle opuszczało się do studni metalowe wiadro – a następnie ostrożnie spuścił intruza kilka metrów w głąb zbiornika.

– Tym razem nie było już tak cicho – powiedział do siebie, rozglądając się czujnie wkoło – ale może to i dobrze... Niech wiedzą, że już jestem, i niech powyłażą z dziur – dodał, ruszając ostrożnie w stronę domu.

Wdrapał się po raz kolejny tego wieczoru na dach, przystanął na nim na chwilę, rozcierając zlodowaciałe dłonie i nasłuchując ze zdobycznego, elektronicznego plasterka jakichkolwiek konwersacji pomiędzy dowódcą grupy a pozostałymi żołnierzami, którzy nadal musieli się ukrywać gdzieś w pobliżu. Na linii panowała jednak grobowa cisza...

No co jest? Powinni się już odezwać albo przynajmniej pokazać... Przecież już wiedzą, że tu jestem – zastanawiał się, lekko zdezorientowany tym faktem.

Dobra! Nie ma na co czekać... Nie mogę w nieskończoność bawić się z nimi w pochody – pomyślał. Skoczę tylko do pokoju po moje rzeczy, a potem ruszam



w pościg za Boną. W przeciwnym razie zamarznąłbym tutaj żywcem, a tamci mogliby zdecydować się załatwić go gdzieś po drodze.

Ostrożnie wspiął się w stronę okna. Jednak gdy tylko wślizgnął się przez jego uchylone skrzydło do swojego pokoju, w drugim końcu pomieszczenia kątem oka zauważył wysoką postać stojącą pod ścianą i mierzącą do niego z broni. Niemalże automatycznie padł na ziemię, a wystrzelony z wyposażonego w tłumik pistoletu intruza nabój przeleciał zaledwie centymetr nad jego głową. Nie czekając więc na kolejny ruch przeciwnika, skoczył jednym susem za biurko i w odpowiedzi zdecydował się oddać kilka strzałów w kierunku napastnika. Zdobyty jednak przed chwilą od jednego z komandosów pistolet odmówił mu posłuszeństwa.

– Szlag! – syknął Antek, kopiąc nogą w biurko i przewracając je na bok. Najwyraźniej giwera miała wbudowany czytnik chipów bądź też linii papilarnych i mogła zadziałać tylko w rękach swojego właściciela. Niestety w tym samym momencie po starym dębowym biurku przetoczyła się kolejna seria świszczących pocisków i jeden z nich trafił w końcu Antka prosto w obojczyk. Przeszyte na wylot ciało obficie obryzgało krwią wiszące na ścianach i przypatrujące się tym scenom w milczeniu fotografie i obrazy. Kula najwyraźniej nie uszkodziła jednak żadnych ważnych narządów ani też układu krwionośnego, bo naładowany adrenaliną Antek bardziej od bólu odczuł upokorzenie, tak niespodziewanie zgotowane mu przez przeciwnika.

Co ja do cholery robię?! – zrugął się w myślach i gdy tylko usłyszał odgłos przeładowywanego magazynku, niczym rozwścieczony tygrys wyskoczył zza biurka i zanim intruz zdążył wystrzelić po raz kolejny, uraczył go potężnym kopnięciem w klatkę piersiową. Następnie poszedł za ciosem i dynamicznym ruchem wybił mu broń z ręki. Teraz dopiero poczuł, że ponownie przejmuje utraconą kontrolę nad sytuacją i był niemal pewny, że mając przeciwnika na widelcu, wykończy go równie szybko jak dwóch pozostałych.

Tak się jednak nie stało... Zaledwie po krótkiej wymianie ciosów Antek szybko zrozumiał, że był w wielkim błędzie. Zamaskowany mężczyzna doskonale blokował jego kolejne uderzenia i do tego potraktował go wyjątkowo celną

i bolesną serią ciosów w tył głowy, które poważnie go ogłuszyły. Bez wątpienia był to o klasę lepiej wyszkolony w walce wręcz przeciwnik niż ci, z którymi do tej pory miał przyjemność się sprawdzić.

Boże! To całkowicie inna liga! – niepokojąca myśl błyskawicznie przeleciała mu przez głowę i spowodowała, że zaczął nieznacznie tracić pewność siebie.

Tymczasem brutalna walka rozhulała się na dobre. Antek próbował najróżniejszymi technikami zaskoczyć przeciwnika, ale po paru odpartyach przez niego ciosach w stójce wiedział już, że zamaskowany mężczyzna jest od niego dużo szybszy i za każdym razem wyprzedza go o krok – właściwie to większość ciosów w ogóle do niego nie dochodziła, za to Antek miał już bardzo mocno pogruchotaną szczękę i porządnie okopaną wątrobę, co, jak każdy zawodowiec wie, jest bardzo bolesne i demotywuujące. Na domiar złego zamaskowany wojownik zdawał się w ogóle nie tracić tchu, a coraz gęściej słaniający się na nogach Antek czuł, że z każdą sekundą traci siły i przegrywa.

W pewnym momencie mocno poirytowany swoją bezradnością wobec znakomitego bojownika, z którym przyszło się mu mierzyć, resztką determinacji płynącej z serca do walki, którego nigdy mu nie brakowało, zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Wdając się w ryzykowny klincz, użył wyjątkowo brutalnej techniki rodem z izraelskich sił specjalnych i skutecznie zaskoczył przeciwnika. Cios w splot ramienny na szczęście okazał się tak mocny i idealnie trafiony, że pod ugodzonym boleśnie żołnierzem ugięły się kolana.

Antek, nie czekając na niechybną odpowiedź, założył mu chwyt na pachwinę, poderwał w powietrze, a następnie rzucił nim w stronę drzwi z taką siłą, że intruz wylądował wraz z nim na skraju stromych drewnianych schodów prowadzących wprost do sieni. To była jedyna i ostatnia szansa dla chłopaka, aby w ogóle przeżyć to niefortunne spotkanie. Ku swemu bolesnemu rozczarowaniu zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że zbyt szybko traci krew, że brakuje mu sił i że pomimo tego, iż doszedł do możliwie najwyższego poziomu w sztukach walki, jaki można było uzyskać w tak młodym wieku, jego przeciwnik tak okrutnie przerasta jego umiejętności.

Jeżeli to potrwa dłużej, to zabraknie ci tlenu i zginiesz – odezwał się w głowie jakiś ostrzegawczy głos, który rozbrzmiał w jego podświadomości jak surowa przygana wiecznie pouczającego go Bony.

Wiem! – odpowiedział sobie w myślach z furiacką zajadłością i nie kalkulując więcej, rzucił się na leżącego przeciwnika niczym amerykański wrestler, celując zaciśniętą pięścią prosto w jego krtań. Cios, który zmierzał w stronę bezwładnie leżącego żołnierza, wydawał się ostatecznym i zarazem skutecznie kończącym tę brutalną walkę o życie. I taki zapewne by był, gdyby nie to, że tajemniczy gość w mgnieniu oka odbił się z pleców i wyprzedzając zamiary Antka, twardym, okutym blachą trepem posłał go na sam dół stromych, drewnianych schodów.

Łądowanie nie było przyjemne... Uderzył karkiem o posadzkę i dosłownie nakrył się nogami niczym bezwolny manekin w testach zderzeniowych. Uderzenie to także na parę sekund zamroczyło go całkowicie, jak i pozbawiło doszczętnie jakichkolwiek sił do dalszej walki. Wydawać by się również mogło, że po przyjęciu tak potężnego ciosu i upadku, bądź co bądź ze sporej wysokości, żaden człowiek nie powinien się, w ogóle podnieść, a walka winna być dla niego zakończona. Najwyraźniej dokładnie to samo pomyślał jego przeciwnik, bo spokojnie schodząc po stromych, skrzypiących schodach, obserwował tylko z nieukrywaną ciekawością, jak ledwo przytomny i ogłuszony Antek z wielkim wysiłkiem próbuje złapać chociaż najmniejszy oddech.

Scena ta przypominała teraz zwierzęcą walkę z filmów przyrodniczych, gdzie ociągający się lew bawi się zaszczutą i zmaltretowaną ofiarą, perfidnie odkładając jej egzekucję na później. Nagle, pomimo otepiałego bólu i trudności z uregulowaniem oddechu, Antek przypomniał sobie słowa Bony, które ten wypowiedział podczas pamiętnej kłótni w trakcie jego ostatniej imprezy urodzinowej. Zaboląły go one teraz bardziej niż wszystkie bolesne razy, które tej nocy dane mu było przyjąć: „Nie takie już chojraki były, a praca w realu wykończyła ich w kilka dni”, a zaraz potem: „Jaki pogrzeb?! Przecież i tak nawet nie znajdą ciała...”.

Jakże palące były to teraz słowa... Antek zapamiętał je przecież dobrze, ale nie po to, żeby kiedyś przyznać wujowi rację, lecz by mu je wypomnieć i udowodnić, że się co do niego mylił... I ten właśnie ogień upokorzenia i wstydu rozpałił w jego duszy tak głęboko drzemiące, niewyobrażalne zasoby energii, że chłopak bez jakiegokolwiek znaku, który świadczyłby o tym, że zamierza ponownie stanąć do walki, poderwał się z ziemi – tak jak na arenie podrywa się śmiertelnie zraniony byk, który ostatnim impulsywnym zrywem przebija lekceważącego go matadora.

Widząc ten heroiczny ruch, tajemniczy wojownik zareagował jednak błyskawicznie, nie dając Antkowi ani sekundy na to, by wstał ani też cienia nadziei na kontynuowanie walki. Odbił się z połowy wysokości schodów i niczym śnieżny drapieżny ptak w swym szarobiałym kombinezonie wylądował twardymi niczym kamień kolanami wprost na obolałej przeponie chłopaka, przygwałdzając go z powrotem do drewnianej podłogi. Po całym domu poniósł się rozpaczliwy jęk przypominający odgłos człowieka, któremu w trakcie przesłuchania założono worek foliowy na głowę, jednocześnie kopiąc go w brzuch.

Jednak ból przeszywający Antkowi niemal każdą część jego ciała wcale go już nie obchodził... Łaknął bowiem tylko jednego – złapać w stłamszone płuca chociażby garstkę zbawienego powietrza. Niestety egzekucja trwała dalej. Widok agonii na obficie zakrwawionej i zmasakrowanej twarzy chłopaka nie zrobił na oprawcy jednak najmniejszego wrażenia. Za to zamaskowany mężczyzna złapał oburącz za jego drżącą krtań i całkowicie już kontrolując sytuację, zaczął powoli i stopniowo, coraz mocniej i mocniej zaciskać na niej swoje stalowe dłonie.

Antek czuł się teraz bezsilny jak małe dziecko. Ostatkiem świadomości dopuścił jednak do głowy myśl, przed którą wcześniej wzbraniał się całą swoją dumą i silną wolą.

To nie turniej rycerski... Masz z tego wyjść żywy, nieważne jak, ale zabij go! – doradzał mózg, który po odcięciu dopływu tlenu do krwi zaczął dostarczać jakieś dziwne halucynacyjne odczucia.

Nie rób tego... To niehonorowe... Tak się nie godzi... – odpowiedział natychmiast jakiś cichy głos przypominający sumienie.

Weź i załatw go! Masz przecież jeszcze jedno wyjście... – doradzała druga strona.

Nie rób tego... Po prostu zaśnij, tak będzie lepiej, odpuść i pogódź się z tym... Przecież już prawie nie boli... – konflikt myśli się zaostrzał.

Walcz! Walcz! – nasilała się riposta.

Odpuść... Nie dałeś mu rady... Chcesz uciekać się do takich zagrywek? To do ciebie niepodobne...

– NIE! – krzyknął w końcu Antek, unosząc swój tors ostatkiem sił i drżącą ręką sięgnął za plecy, dobywając swój malutki, lecz ostry jak brzytwa nożyk, z którym nigdy się nie rozstawał.

O ile jego krzyk nie zrobił na przeciwniku wielkiego wrażenia, gdyż przypominał bardziej coś w rodzaju głuchego skrzeczenia niż odgłosu nawołującego do dalszej walki, to jednak lodowaty dotyk idealnie wyostrzonego żelaza już tak... Zaskoczony przeciwnik natychmiast zwolnił z uścisku szyję chłopaka i w geście obrony panicznie złapał się za własną klatkę piersiową, w którą to resztkami sił ugodził go Antek.

Długie wzbranianie się jednak przed użyciem tej okrutnej ostateczności – pomimo tego, iż chłopak czuł, że przegrywa – wynikało z jego nieodpartej chęci sprawdzenia się, jak i szlachetnego usposobienia, nawet jeśli przeciwnik od samego początku, nie przestrzegałby tych samych zasad... Teraz jednak przybity kolanami do ziemi, spodziewając się rychłego uduszenia, nie miał innego wyjścia, jak tylko schować dumę do kieszeni i zaatakować swoją małą, niepozorną bronią.

Idąc więc za ciosem, zamroczony i zalany krwią, trochę niezdarnie i na oślep wykonał dwa kolejne cięcia. Celował naturalnie w tętnicę szyjną, ale tak jak za poprzednim razem trafił zaledwie w klatkę piersiową. Komandos, próbując bronić się przed tymi chaotycznymi, choć śmiertelnie niebezpiecznymi ciosami, nie wydając z siebie najmniejszego odgłosu bólu, odchylił się asekuracyjnie w tył i prawą ręką zwinnie pochwycił nadgarstek, unieruchamiając przy tym zagrażające mu narzędzie.

Za to Antek, czując, że życiodajny tlen na powrót napływa mu do głowy, i że niczym już nieskrepowany oddech przywraca mu utracone siły, nie podjął się próżnego siłowania z przeciwnikiem w celu oswobodzenia ręki, ale sprytnie zrzucił go z siebie i korzystając z tego, że jest on poważnie zraniony, zaczął czołgać się w stronę pobliskiej łazienki – tak szybko, jak tylko potrafił. Miał oczywiście nadzieję zabarykadować się w niej i znaleźć tam jakąkolwiek broń lub też kontynuować ucieczkę, wyskakując przez okno wprost do swojego auta, które czekało przed domem. Zanim jednak zdążył zatrzasnąć za sobą drzwi, obficie krwawiący agresor – jakby w napadzie białej gorączki – rzucił się na jego plecy niczym rozwścieczony pit bull rzuca się bydlęciu do szyi. Zrobił to jednak tak niefortunnie, że zamiast trafić ręką w odsłonięty kark Antka, całym swoim pędem uderzył barkiem o łazienkową futrynę. Głuchy łoskot rozległ się echem po wyłożonym glazurą pomieszczeniu, a zamaskowany egzekutor runął na ziemię jak ustrzelony w biegu dzik.

Chłopak, widząc to szczęśliwe dla niego zrządenie losu, nie czekał ani chwili i resztką sił złapał za kark swojego niedoszłego zabójcę i zaciskając w bolesnym wysiłku swoje porozcinane wargi, trzy razy uderzył jego głową w starą marmurową umywalkę. Następnie złapał intruza za kominiarkę i wepchnął mu twarz do wanny pełnej wody, która ostała się jeszcze po przerwanej, nocnej kąpeli Bony. Jednak gdy dławiący się przeciwnik nadal próbował usilnie oswobodzić się z uścisku, Antek słusznie – nie chcąc ryzykować dalszej walki – wyciągnął się jak struna i końcem palców u lewej ręki zepchnął do wanny mały, przenośny grzejnik, którym Bona zwykle dogrzewała sobie w łazience.

W jednej chwili po zmęczonych i obolałych ciałach obydwu wojowników przepłynął niemiłosiernie przenikliwy, paraliżujący prąd. Co prawda chłopak już nie raz w życiu miał do czynienia z niewielkim porażeniem, ale tym razem po raz pierwszy poczuł w sobie wszystkie możliwe zakończenia nerwowe, w jakie tylko człowiek został wyposażony przez Boga... Prawa ręka, którą kurczowo trzymał na karku przeciwnika, wraz z napięciem prądu zacisnęła się z siłą bliską stalowym kleszczom. Iskry strzelały pod sufit, światło w łazience migotało, a tułów

zamaskowanego mężczyzny, w którym najwidoczniej zaczęły gotować się płyny ustrojowe, z sekundy na sekundę drgało coraz mocniej.

Znajdujący się w równie nieciekawym położeniu chłopak czuł podobnie – jakby w jego żyłach zastygał jakiś szybkooschnący i kipiący wrzątkiem beton. W końcu, ryzykując to, że jego przeciwnik jakimś cudem mógł przeżyć to dość niecodzienne doświadczenie fizyczne, na granicy swojej świadomości i z potwornym trudem wyrwał wtyczkę grzejnika z osmolonego gniazdka.

Po pierwszych kilku sekundach od intensywnego porażenia był święcie przekonany, że nie będzie w stanie ruszyć się z miejsca przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, jednak po chwili, gdy z wolna zaczęła wracać mu kontrola nad ciałem, ociężale podniósł się z ziemi, przytrzymując się o kant wanny. Tajemniczy nieznajomy nadal tkwił z głową w wodzie, nie dając przy tym najmniejszych oznak życia. Antek więc, nachylając się nad nim ostrożnie i dysząc przy tym ciężko, złapał za rękaw szarobiałego kombinezonu i wy dostał bezwiedne ciało z wody. Komandos upadł na ziemię jak kłoda, a chłopak natychmiast sprawdził mu tętno, odsłaniając delikatnie jego kołnierz.

– Wygląda no to, że dla ciebie to już koniec, kolego... Teraz zobaczymy, kto ty za jeden. – Mówiąc to, zerwał mu z głowy przemoczone gogle i kominiarkę.

Nagle zimny dreszcz przeszedł go po rozpalonych jeszcze od prądu plecach... To, co ukazało się jego oczom, na powrót zważyło go z nóg, tak że usiadł na ziemi i oparł się bezsilnie o ścianę.

Na mokrej glazurowej posadzce leżała przed nim wysoka dziewczyna o smukłej buźce, z bladą jak śnieg cerą i licznymi obrażeniami. Jej czarne jak węgiel kosmyki włosów opadały na zamknięte, aksamitne powieki, a niewiele bledsze od krwi czerwone usta połyskiwały w świetle ciepłych łazienkowych lamp. Oszołomiony Antek nie wiedział, co bardziej go zszokowało – to, że ledwo uszedł z życiem z najcięższego pojedynku w jego dotychczasowej karierze, czy może to, że jego śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem okazała się najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział na oczy... Potrząsnął więc z niedowierzaniem głową i wydechając głośno powietrze, rzucił enigmatycznie:

– Będiesz tego żałował, dumniu... – Po czym zabrał się za intensywną reanimację dziewczyny. Ledwo widząc na oczy, które zalewała szybko zasychająca krew, energicznie wykonywał masaż serca, licząc każde uciśnięcie z taką pretensjonalnością w głosie, jakby to miało w czymś pomóc. – Raz! Dwa! Trzy! No dawaj! – sapał, wycieńczony jak nigdy w życiu.

Niestety po zrobieniu trzech serii ucisków oraz oddechów dziewczyna nadal nie dawała znaków życia. Antek co chwilę zerkał na jej elektroniczny smartplaster, naklejony w okolicach nadgarstka, który jednak bezustannie pokazywał mrugający na czerwono komunikat: „Brak funkcji życiowych”.

– No rusz się, ty głupia ździro! – warknął, wykonując kolejne uciśnięcia.

Czuł w sobie jakiś obficie nabrzmiewający, niewytłumaczalny ucisk w sercu, potęgowany jeszcze przez poczucie całkowitej niemocy... W końcu, widząc, że klasyczne czynności ratunkowe nie przynoszą żadnych rezultatów, z całej siły uderzył zaciśniętą pięścią w zakrwawioną pierś bladej jak śmierć dziewczyny. Powtórzył tę czynność jeszcze kilka razy, ale zdając sobie sprawę, że i to nie pomogło, rozłożył ręce w kompletnej bezradności, nie rozumiejąc nawet, czego tak naprawdę mu żal. Podświadomie czuł, że właśnie coś ważnego wymyka mu się z rąk...

*Fuck...* – westchnął. Może mogłem próbować się z nią jakoś dogadać... W końcu to ludzie z Polonorum... – głowił się rozpaczliwie. Może nie musiałem tego tak kończyć... Mogłem się domyślić! Rzeczywiście, gdy złapałem ją za fraki i rzuciłem o drzwi, wydała mi się zadziwiająco lekka jak na kogoś, kto dysponował taką siłą... – nieprzyjemnie mroczne myśli targały teraz jego głową.

I gdy miał już całkiem zrezygnować i pogodzić się z tą nieszczęsną i zarazem dziwną sytuacją, z resztką tłącej się nadziei nachylił się nad dziewczyną i ostatni raz uderzył zaciśniętą pięścią w jej klatkę piersiową oraz wykonał głęboki wdech metodą usta-usta. Nagle inteligentny plaster na ręce dziewczyny wydał pozytywny sygnał, a jego ekran zaświecił się na zielono. Zaskoczony tym komunikatem Antek – chcąc przyjrzeć się bliżej tej anomalii – prędko oderwał usta od nieprzytomnej dziewczyny, ale gdy tylko podniósł głowę, otrzymał od niej



niespodziewanie szybki cios w krtań. Uderzenie nie było zbyt mocne, ale za to na tyle celne, żeby chłopak zaczął się na nowo krztusić.

– Nawet nie próbuj tego kolejny raz, ty zafajdany sukinsynu! – wymamrotała dziewczyna, ledwo kontaktując z otoczeniem i rozglądając się błędnie wkoło. Przypominała teraz piękną, ale odurzoną prochami i dotkliwie zbitą przez sutenera luksusową prostytutkę.

– Pocięło cię?! – krzyknął rozwścieczony Antek, po raz kolejny tej nocy dusząc się i próbując złapać oddech. Natomiast dziewczyna próbowała się podnieść, jednak on szybko usiadł na niej i prewencyjnie przytrzymał jej osłabione ręce. – Co ty robisz, idiotko?! Nie widzisz, że dopiero co cię reanimowałem?! – warknął, szczerze rozeźlony, ale dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko spojrzała na niego mętym, podejrzliwym wzrokiem.

Zastygli tak więc przez chwilę, mierząc się nawzajem, po czym Antek w końcu zapytał:

– Powiedz mi, gdzie go zabrali.

Dziewczyna jednak nadal patrzyła na niego w milczeniu i nic nie odpowiedziała.

– Mam ci znów zrobić mycie głowy?! Mów!! Gdzie go zabrali?! – ryknął.

– Możesz mnie nawet oblać benzyną i żywcem podpalić, ale i tak niczego się ode mnie nie dowiesz... – odrzekła w końcu słabym, przerywanym głosem, a Antek zrozumiał, że wcale nie mówi tego na wyrost.

– Okej... Dobra... Jak chcesz, ślicznotko... Nie mam zamiaru się z tobą użerać... Szkoda mojego czasu... Zresztą swoje manto już dziś zarobiłaś... Ale zanim zniknę, to posłuchaj mnie uważnie: twoi dwaj kumple, o ile jeszcze nie zamierzli na śmierć, odpoczywają sobie teraz nieprzytomni przed domem: jeden w studni, a drugi pod szopą.

– Znajdą cię! – przerwała mu coraz wyraźniej emanująca wściekłością dziewczyna.

– Nie próbujcie iść za mną, bo tym razem was zabiję... – zagroził Antek, patrząc dziewczynie wściekle w oczy.

– Naiwniaku... Nie ukryjesz się przed nami – syknęła zjadliwie.

– Oj nie, koleżanko... To wy się nie ukryjecie przede mną – odpowiedział jej napełniony teraz dawną pewnością siebie i z lubością celebrujący chwilę, gdy dosłownie dosiadł swoją niedoszłą zabójczynię.

– Miałeś pieprzony fart, frajerze... Ale jeszcze się spotkamy... – zripostowała dziewczyna, wyraźnie upokorzona sytuacją.

– No i widzisz... Taka jesteś ładniutka, a taka głupia – odrzekł Antek z nieukrywaną pogardą. – No pewnie, że się spotkamy, i to prędzej, niż myślisz, z tym że na moich warunkach i wtedy, kiedy ja będę tego chciał...

Mówiąc to, chłopak dał jej złośliwego i wymuszonego buziaka w krwistoczerwone usta. Po tym dopełniającym czarę goryczy, poniżającym geście dziewczyna z bezsilnej, zjawiskowej hurysy momentalnie przemieniła się w zabójczą, diabelską południcę – dygocąc przy tym jak czajnik, którego zapomniano ściągnąć z ognia.

– Rozwalę cię za to, śmieciu! Rozumiesz?! – wysyczała przez zaciśnięte zęby. – Nie żyjesz już! Nie żyjesz, frajerze!

Antek, na którym te pogróżki nie zrobiły większego wrażenia, odpiął od paska dziewczyny zwykłe policyjne kajdanki i przypiął jej prawą rękę do wiszącego obok, żeliwnego, rustykalnego kaloryfera.

– A teraz leż tu grzecznie i czekaj na swoich... – powiedział z wyższością, wstając z ziemi i kierując się do wyjścia. Gdy jednak przechodził przez drzwi, odwrócił się jeszcze na moment w stronę dziewczyny i tym razem z całkowitą szczerością i powagą dodał: – To wszystko, co się tu wydarzyło, było niepotrzebne... Jestem po tej samej stronie co wy...

Adrenalina zaczęła drastycznie spadać i Antek zaczął odczuwać ból w niemalże każdej cząstce swojego ciała. Z trudem więc wdrapał się po stromych schodach do swojego zdemolowanego pokoju, aby spakować niezbędny sprzęt, potrzebny mu do

przetrwania oraz odnalezienia i przechwycenia Bony. Kula, która przeszła mu obojczyk, tak jak wcześniej przypuszczał, szczęśliwie nie uszkodziła żadnego ważnego naczynia, tak więc krwawienie nie było zbyt obfite. Nie zmieniało to jednak faktu, że poszarpana rana zaczęła mu teraz najdotkliwiej dokuczać.

Dziewczyna miała rację... Miałem pieprzony fart... – pomyślał samokrytycznie, pośpiesznie wrzucając niezbędne rzeczy do plecaka.

Spakował do niego między innymi apteczkę, niewielki futerał z napisem „MAV”, jakieś elektroniczne graty i trochę ciuchów. Tak jak przypuszczał, jeden z ulubionych pistoletów chłopaka i trochę amunicji zostało przeniesione przez Bonę do innej skrytki, która znajdowała się w starym nieużywanym piecu kaflowym. Broń była świeżo wyczyszczona i złożona, nigdzie nie było jednak śladu po reszcie licznego strzeleckiego sprzętu, którym z wujkiem dysponowali.

Czyżby nam wszystko zarekwirowali? – zastanawiał się, po czym nie marnując więcej czasu na zbędne poszukiwania, wsadził ulubione kopyto za pasek od spodni i raz jeszcze upewniając się, czy aby intruzi są skutecznie unieszkodliwieni, udał się w stronę swojego auta tak szybko, jak tylko był w stanie się poruszać.

Muszę się sprężyć... Nie mam zbyt dużo czasu. Za chwilę może pojawić się tu ekipa sprzątająca – pomyślał i ostatni raz spojrzął na swój dom, wiedząc, że do niego nigdy nie wróci... Po chwili pędził już drogą krajową w stronę granicy ze Słowacją, swoim pięciolitrowym bordowym fordem f-150 w wersji Lobo Platinum, rocznik dwa tysiące szesnaście. Auto było utrzymane w doskonałym stanie – Antek bardzo o nie dbał. Kupił je od pewnego ranczera, gdy kilka lat temu bawił na wycieczce motocyklowej w Teksasie. Ostatnimi czasy częściej używał go Bona.

– Najwyraźniej wiozą cię w kierunku Krakowa, staruszku... – mruknął do siebie, przełączając smartplaster na opcję: „Szukaj urządzenia GPS”.

Elektroniczny wyświetlacz po kilku sekundach zaczął przekazywać sygnał z nadajnika, który Antek potajemnie zamieścił w samochodzie, którym zabrano Bonę. Po chwili jednak na ekranie pojawił się kolejny obiekt, który znajdował się w okolicach Sanoka i szybkim tempem kierował się na północ, w stronę autostrady

A4. Było to oczywiście auto trójki obezwładnionych agentów Polonorum, którzy najwyraźniej zdążyli się już podnieść po druzgocącej porażce i zmierzali w tym samym kierunku.

No proszę, proszę... Widzę, że nasza piękna bestia bardzo szybko się ogarnęła i wraca pośpiesznie zameldować przełożonym o tym, co się wydarzyło tej nocy... Ciekawy jestem, kiedy się kapniesz, foczko, że masz naklejony nanonadajnik na tym swoim stylowym kołnierzyku. Eh... – Westchnął z uśmiechem. Jeden buziak i takie przeoczenie... Wygląda na to, że druga randka zapowiada się prędzej, niż można by się spodziewać... – skomentował w myślach, wyraźnie rozbawiony, po czym wcisnął mocniej pedał gazu w podłogę swojego pickupa, a niepoprawny ekologicznie, potężny pięciolitrowy motor zawył ochryple i zerwał się, jakby dopiero co zszedł z taśmy produkcyjnej.

# Charlotte

W tym samym czasie, gdy w małym domku w Bieszczadach rozgrywały się sceny rodem z zimnowojennych filmów szpiegowskich, młody oficer rosyjskiego wywiadu bawił się na balu sylwestrowym zorganizowanym przez Federalną Służbę Bezpieczeństwa na Łubiance. Już od przeszło pół godziny próbował cichaczem opuścić rozkręcającą się coraz to huczniej imprezę, gdyż czuł, że zdecydowanie przesadził tej nocy z alkoholem i że jeśli szybko nie odetchnie świeżym powietrzem, to niechybnie zwróci wszystkie smakołyki, które udało mu się dzisiaj skosztować. W końcu, pozbywając się jakimś cudem towarzystwa trzech kolegów z FSB oraz ze Służby Wywiadu Zagranicznego, którzy nie wyobrażali sobie kontynuowania imprezy bez niego, w ostatniej chwili wybiegł przed główne wejście budynku i wziął głęboki oddech – jak się szybko okazało, zbawienny dla jego zemdlonego żołądka.

– Czy życzy pan sobie wrócić do hotelu? – zagadnął go elegancko ubrany szofer z sumiastym wąsem, wychodząc ze stojącej obok czarnej limuzyny.

– Tak, poproszę do hotelu – odpowiedział bez wahania imprezowicz.

– W takim razie zapraszam pana kapitana do środka – odrzekł uprzejmie kierowca, otwierając tylne drzwi samochodu.

Po około dwudziestu minutach młody oficer siedział już wygodnie w wysokim fotelu i łąpczywie popijając z karafki wodę mineralną z cytryną, patrzył przez wielką szybę luksusowego wieżowca na migocące światła samochodów i rozkrzyczaną grupę ludzi, hucznie obchodzących w Moskwie nowy rok. Nagle

w jego przenośnym tabthinie z logo jakiegoś chińskiego producenta, zwiniętym na biurku, zapaliła się niebieska dioda, a przyjemną nocną ciszę przerwały wibracje niosące się głośno po całej konstrukcji drewnianego mebla.

– A to kto, do diabła, o tej porze? – zapytał sam siebie, po czym sięgnął ręką po urządzenie, które zaledwie po dotknięciu palca automatycznie rozwinęło swój cieniutki ekran i klawiaturę. – Zaszifrowana wiadomość? I to jeszcze w jakimś dziwnym, nieznanym mi dotychczas komunikatorze... – zdziwił się. – Rozwiąż równanie i wpisz wynik... – przeczytał cicho wiadomość, która wyświetliła się na ekranie w języku angielskim, po czym wcisnął opcję: „Dalej”.

Gdy to uczynił, jego oczom ukazało się krótkie, acz skomplikowane równanie matematyczne, które zniknęło zaledwie po pięciu sekundach.

– Co jest? – Wytrzeszczył oczy, zaskoczony tak dziwnymi poleceniami.

„A teraz wpisz wyniki. Masz na to 10 sekund” – na tabthinie pojawił się kolejny komunikat, a młody oficer, chcąc nie chcąc, zaczął pośpiesznie liczyć zapamiętane mimochodem cyfry.

Cztery, sześć, pięć, osiem, siedem, trzy – wystukał w ostatniej chwili, a gdy tylko okienko zaświeciło się na zielono, potwierdzając prawidłową odpowiedź, na komunikatorze pojawiła się nowa wiadomość o treści: „Szczęśliwego nowego roku, Nikołaju Stjepanowiczu Glazkovie! Wybacz, że Cię tak egzaminuję, ale musiałem się upewnić, czy to na pewno ty”.

Co to, do cholery, jest? – pomyślał oficer, po czym pośpiesznie odpisał, również w języku angielskim: „Kim jesteś?”.

„Kimś, kogo Ty obserwujesz od ponad roku...” – odpowiedział zagadkowo nieznanomy rozmówca.

„Obserwuję mnóstwo osób...” – wyjaśnił.

„Tak, wiem... Od tego są służby... ale jakoś mnie upodobałeś sobie najbardziej...”.

Czytając to, pracownik rosyjskich służb zaczął usilnie zastanawiać się, o kogo może chodzić.

„Więc po co się teraz jeszcze bardziej wystawiasz?” – zapytał.

„Wystawiasz? Bądźmy poważni... Przecież już tyle o sobie wiemy...” – odpisał nieznajomy.

„Jeśli coś o sobie wiemy, to bądź pewny, że ty wiesz o mnie tylko tyle, ile Ci pozwoliłem...” – buńczucznie zripostował oficer, jednocześnie gorączkowo szukając czegoś w zakodowanych folderach swojego komputera.

„Zwlekasz z odpowiedzią, mój drogi... Szukasz czegoś? Czyżbyś nadal nie był pewny, z kim rozmawiasz?” – odpisał tajemniczy rozmówca, ale w tym samym momencie, gdy ta wiadomość dotarła do adresata, ten wypakowywał już folder z dużą ilością plików podpisanych jako „Thomas Cave”.

„Wręcz przeciwnie... i bardzo się cieszę, że się odezwałeś, w końcu jak sam przed chwilą stwierdziłeś, obserwuję Cię od jakiegoś czasu” – odbił piłeczkę Rosjanin, wiedząc już doskonale, z kim ma do czynienia.

„Dlaczego więc tak Cię interesuje moja osoba?” – zapytał nieznajomy.

„Bo udajesz kogoś, kim nie jesteś...”.

Po tej zaskakującej odpowiedzi, tajemniczy rozmówca na chwilę się zawahał.

„Nie rozumiem... To znaczy kogo?” – odpisał w końcu po kilkunastu sekundach.

„Kogoś, kto oficjalnie nie widnieje w żadnych aktach ani na żadnych serwerach” – wytłumaczył lakonicznie oficer.

„Jeśli sugerujesz, że mam jakieś alter ego, to muszę Cię rozczarować, niestety nie mam...” – opowiedział zdawkowo nieznajomy, jednak zrobił to ponownie po chwili namysłu.

„Nie chodzi tu o żadne alter ego, ale o zupełnie inne imię i nazwisko...”.

Po tak zaskakującej ripostie Rosjanina na kolejną wiadomość trzeba było czekać już o wiele dłużej.

„W takim razie oświeć mnie...” – odpisał w końcu najwyraźniej zbity z tropu tak niespodziewanym obrotem sprawy.

„Okej... Oświecę Cię, jeśli Ty mnie oświecisz...” – odparł enigmatycznie oficer.

„To znaczy?”

„To znaczy, że nic za darmo...”

„Wybacz, ale nie jestem zainteresowany żadną transakcją” – zapewnił nieznajomy.

„Nie powiesz mi chyba, że nie chcesz się dowiedzieć, w jaki sposób odkryłem Twój największy sekret? Wiesz, że nie załatasz luki w swoim systemie zabezpieczeń, jeśli nie powiem Ci, gdzie ona jest...” – tym razem odpowiedź oficera zabrzmiała jak delikatny szantaż.

„Nie mam żadnej luki w systemie. To tylko tani blef... Próbujesz coś ode mnie wyciągnąć w zamian za wyimaginowane insynuacje, które wymyśliłeś sobie na poczekaniu...” – odpisał z całkowitą pewnością anglojęzyczny rozmówca.

„Skoro jesteś tego pewien, to sprawy nie było... Ale pamiętaj, że już zawsze będziesz miał to z tyłu głowy, panie doktorze ze Stanford University...” – tą odpowiedzią oficer wyciągnął długo wyczekiwanego asa z rękawa.

„Tak się składa, że moja działalność naukowa na uniwersytecie to żadne wielkie odkrycie, panie oficerze z FSB... Radzę Ci zainteresować się kimś innym, a może w końcu trafisz na jakiegoś naiwniaka...” – zripostował Amerykanin, najwyraźniej podejmując rękawicę.

„Zgadza się... To żadna tajemnica... Ale to, że masz dwie tożsamości, w tym jedną nigdzie nieudokumentowaną, już raczej tak...”.

Tym razem oficer poczuł podświadomie, że w końcu zarzucił właściwą przynętę... Nieznajomy znów długo nie odpisywał, po czym wysłał tylko naiwne pytanie:

„Podwójną tożsamość?”.

„Tak... O której wiemy tylko ty i ja...”.

Nikołaj Stjepanowicz Glazkov, pisząc to, wiedział już, że rybka połknęła haczyk.



„No dobrze... Szczerze mówiąc, nie wiem, o co Ci chodzi, ale zaintrygowałeś mnie... Odpowiem na Twoje pytanie, ale tylko dlatego, że nie mogę się doczekać, by usłyszeć, jaką bajkę wymyśliłeś sobie o mnie na tej zapchlonej Łubiance” – odparł butnie doktor kalifornijskiego uniwersytetu.

„Dobrze więc... Odpowiedź za odpowiedź...” – ponownie zaproponował Rosjanin.

„No to dawaj...” – ponaglił go pewny siebie Amerykanin.

„Co wiesz o programie Charlotte?” – zapytał zaskakująco Glazkov.

„O czym?” – zbyt szybko i nerwowo odpisał doktor, poniekąd zdradzając swoje kłamstwo.

„Nie udawaj głupa... Myślisz, że nie wiem, że po godzinach pracujesz jako akademicki specjalista dla amerykańskiego rządu?” – wypalił bez ogródek Rosjanin.

„Sorry... Ale w tym momencie musimy zakończyć tę rozmowę, sprawy nie było... Powodzenia!” – spanikował Amerykanin.

„Spokojnie... Nie bój się, doktorku... Gdybym chciał wystawić Cię Twoim ludziom za nielegalne kontaktowanie się z obcym wywiadem, już dawno bym to zrobił... Bo jak sam widzisz, odkryłem na Twój temat więcej informacji, niż Ci się wydaje... Więc jeżeli teraz rozłączysz rozmowę, którą sam z ciekawości rozpocząłeś, to nigdy już nie dowiesz się, co tak naprawdę o Tobie wiem... – wprost zaszachował tą wiadomością swojego amerykańskiego kolegę po fachu Nikołaj Stjepanowicz.

„Dobrze Ci radzę, kapitanie! Dla naszego wspólnego bezpieczeństwa zapomnijmy o tej rozmowie i nie piszmy już do siebie...” – przestrzegł akademicki wykładowca.

„Wydaje mi się, że nie masz już wyjścia, musimy doprowadzić tę rozmowę do końca...” – zagroził Glazkov.

„Nic nie muszę! To nie Rosja... W przeciwieństwie do Ciebie żyję w wolnym kraju...” – odparł złośliwie, zapewne wyprowadzony z równowagi natarczywymi

żądaniami rozmówcy.

„Niestety musisz... i miejsce Twojego pobytu nie ma tu nic do rzeczy... Taka była nasza umowa: jeśli ty odpowiesz mi na pytanie, to ja czuję się zobowiązany odpowiedzieć Ci na Twoje...” – szachował nadal Rosjanin.

„Do niczego nie jesteś zobowiązany... O niczym Ci przecież nie powiedziałem...” – zarzekał się doktor.

„Owszem, powiedziałaś... Zrobiłeś to swoją nerwową reakcją na słowo „Charlotte”. Potwierdziłeś nią moje przypuszczenia, iż ten program rzeczywiście powstaje i dlatego teraz ja, wedle naszej umowy, zobowiązany jestem powiedzieć Ci, jak naprawdę się nazywasz...”.

„Ok! Napisz w końcu, o co Ci tak naprawdę chodzi... I skończmy tę nieudolną prowokację!” – wypalił zniecierpliwiony wykładowca.

„Nie, nie, nie... Nie możemy tego zakończyć tak szybko... Uwierz mi na słowo, doktoru, że nasza rozmowa dopiero teraz tak naprawdę się zacznie... I to ty będziesz nalegał na jej kontynuację...” – zapewniał Nikołaj Stjepanowicz.

„A to niby czemu?” – Amerykanin był teraz wyraźnie zainteresowany tym, co jego rozmówca miał na myśli.

„A temu, że tak naprawdę nie nazywasz się Thomas Cave, ale Steljo Dovilas...”

Po odpowiedzi amerykański rozmówca natychmiast się rozłączył.

– Odpisze, odpisze... Przemyśli i odpisze... – powiedział do siebie Rosjanin i w całkowitym spokoju oraz opanowaniu zaczerpnął kolejny łyk wody z cytryną.

Rzeczywiście, po około pół godziny komunikator znów się uruchomił, przebudzając młodego oficera, którego chwilowo zmorzył sen.

Ależ on niecierpliwy... Myślałem, że napisze dopiero za parę dni... – skomentował z rozbawieniem w myślach i przecierając zaspane oczy, spojrzął na ekran swojego chińskiego tabthina. Na pulpicie widniała już nowa wiadomość.

„Dobrze więc... Porozmawiajmy, Nikołaju Stjepanowiczu...”.

„Z przyjemnością...” – odpisał nieco prześmiewczo rosyjski oficer, podśmiechując się przy tym pod nosem.

„Skąd znasz to nazwisko?” – zapytał, nie owijając w bawełnę doktor.

„Masz na myśli Twoje drugie nazwisko?” – dociekał złośliwie Glazkov.

„Tak! Mam na myśli moje drugie nazwisko!” – odpisał Amerykanin, wyraźnie poirytowany grą, jaką prowadził z nim rosyjski oficer.

„Oczywiście odpowiem Ci na to pytanie, ale wcześniej chciałbym jednak zauważyć, że umowa między nami nadal obowiązuje... Odpowiedź za odpowiedź...” – przypomniał Rosjanin ku niezadowoleniu swojego rozmówcy.

„Ok! Pytaj więc...”.

„Pytanie jest nadal to samo: co wiesz o programie Charlotte?” – powtórzył oficer.

„To program tworzony dla wojska, o najwyższym poziomie tajności” – odpisał po chwili doktor.

„Serio? Nie wiedziałem...” – zakpił Rosjanin.

„Jest dopiero w trakcie powstawania i wykorzystuje się w nim innowacyjny sposób programowania... Jak już wspomniałem, to najwyższy poziom tajności, dlatego też nie wiem o nim zbyt wiele. Nie jestem też dopuszczony bezpośrednio do jego tworzenia, biorę jedynie udział w testowaniu poszczególnych jego części...” – wytłumaczył nieprecyzyjnie informatyk.

„Do czego będzie służył ten program?” – dopytywał Glazkov.

„Powiedziałem już wystarczająco dużo... Teraz pora na Twoją odpowiedź. Skąd znasz to nazwisko?” – powtórzył doktor.

„Powiedzmy, że znałem Twoją matkę...” – wyjaśnił dwuznacznie, co jeszcze bardziej zaintrygowało kalifornijskiego wykładowcę.

„Kłamiesz! To niemożliwe! Moja matka zginęła, gdy miałem sześć lat, i prawdopodobnie nie żyje...” – odpowiedział mu dosadnie Amerykanin.

„To akurat wiem, bo sam niedawno się o tym dowiedziałem” – odrzekł bez cienia cynizmu Glazkov.

„Skąd taki młokos jak ty zna kobietę, po której ślad zaginął dwadzieścia dwa lata temu?” – niedowierzał informatyk.

„Odpowiedź za odpowiedź, kolego... Teraz Twoja kolej. Do czego będzie służyć Charlotte?” – ponownie przejął inicjatywę Glazkov.

„Będzie przejmować kontrolę nad centrami dowodzenia wrogich armii, a także nad systemami poszczególnych okrętów, samolotów i wozów bojowych. Jednym zdaniem: będzie mogła doprowadzać do kapitulacji bądź dywersji obcych jednostek...” – odpowiedział potulnie Amerykanin, żądny dalszych informacji o swojej matce.

„Jak to możliwe?” – dopytywał oficer rosyjskich służb.

„Klasycznie, za pomocą infekcji... Charlotte będzie opanowywała obce systemy tak jak zwykły wirus, z tym że będzie przejmowała nad nimi kontrolę za pomocą innowacyjnego systemu powielania i tym sposobem będzie praktycznie nie do wykrycia”.

„W jaki sposób będzie dochodzić do zainfekowania?”.

„Wachlarz możliwości w tej materii jak zwykle jest bardzo szeroki... Na przykład z pomocą naszych szpiegów, którzy będą się fizycznie podpinać do waszych wojskowych światłowodów. Wystarczy też, że Charlotte zostanie przyniesiona gdzieś na pamięci zewnętrznej. Po trzecie, armia amerykańska od dawna testuje różnego typu systemy laserowe, które potrafią połączyć ich komputery z odległymi nawet o kilkadziesiąt kilometrów komputerami pokładowymi statków oraz samolotów wroga. Nimi też może być przesłana Charlotte. Teraz jednak moje pytanie...” – dopraszał się Amerykanin.

„Spokojnie, doktorze... Przejdziemy jeszcze do Ciebie... Ale proszę Cię jeszcze o doprecyzowanie: czy według Ciebie ten program jest rzeczywiście taki groźny, czy to tylko kolejny bubel, który z czasem uda się rozpracować?” – nie dopuścił do zmiany tematu Glazkov.

„Jeżeli usatysfakcjonuje Cię taka odpowiedź, to powiem Ci, że ja i kilkunastu innych najwybitniejszych cywilnych programistów, jakich znam na zachodnim wybrzeżu, próbowało obejść udostępnioną nam przez wywiad wersję demo i jakoś ją unieszkodliwić. Jednak kompletnie nie byliśmy w stanie tego zrobić. Ten

inteligentny wirus – bo tym właściwie jest Charlotte – bawił się z nami, jak chciał... Gdy próbuje się go zrozumieć i rozpracować, on zdaje się to wiedzieć i staje się wtedy całkowicie nielogiczny, zmienny i nieobliczalny, na dodatek cały czas ewoluuje. Zauważyłem też, że jeśli znajdzie się już w czyimś systemie, to odpowiada na próby wykrycia go kreatywnymi i autonomicznymi rozwiązaniami. Można powiedzieć, że to w pewnym stopniu kontrolowana jedynie przez jego twórców sztuczna inteligencja”.

„No! I to się nazywa konkretna odpowiedź... Jednak da się z Tobą uczciwie porozmawiać, doktoru...” – odpisał pochlebnie Nikołaj Stjepanowicz.

„Nie czaruj, Glazkov, tylko mów! Skąd wiesz o rzeczach, o których nie ma śladu nigdzie poza moją głową?” – domagał się wyjaśnień Amerykanin.

„Być może dlatego, że ja sam nie powinienem nazywać się Nikołaj Stjepanowicz Glazkov, ale Nikolajus Dovilas...”.

„Co takiego?!” – błyskawicznie odpisał zszokowany takim wyznaniem doktor Uniwersytetu Stanforda.

„To, że Leja Dovilas, która po mężu przyjęła nazwisko Glazkov, była moją i Twoją matką... A ja, podobnie jak Ty, jestem Litwinem, mój młodszy braciszku...” – doprecyzował natychmiast, pozwalając sobie na odważną poufałość.

Po tak z pewnością zwalającej z nóg odpowiedzi cisza w eterze trwała jeszcze przez dobre pięć minut. Najwyraźniej młody, dwudziestoosmioletni doktor Thomas Cave z Uniwersytetu Stanforda nie mógł pozbierać się z myślami, zastanawiając się, jak to wszystko jest w ogóle możliwe i czy to aby nie jakaś wyrefinowana rosyjska prowokacja. Po chwili jednak gorączkowego zastanawiania się nad tą absurdalnie surrealistyczną i arcydziwną sytuacją, odpisał w końcu:

„O tym, że naprawdę nazywam się Steljo Dovilas, moja matka napisała mi w liście, który zostawiła przed swoim zniknięciem, nikt o nim nigdy nie wiedział, tylko ja... Jakim sposobem Ty o tym wszystkim wiesz?”.

„Jako oficer wywiadu lubię przeglądać stare archiwa w tej, jak to nazwałś, zapchlonej Łubiance”.

„Skąd na Łubiance informacje o kimś takim jak ja?” – dopytywał doktor.

„Stąd, że nasz ojciec, Stjepan Glazkov, był rosyjskim oficerem w KGB, a później w SWZ...” – wyjaśnił Glazkov, z każdą odpowiedzią bardziej rozjaśniając Cave’owi zagmatwaną sprawę.

„Matka nigdy nic o tym nie wspominała...”.

„Bo Cię chroniła... I też prawdopodobnie sama dowiedziała się o tym dopiero po ślubie...”.

„Skąd o tym wszystkim tyle wiesz?” – nadal nie dowierzając, dociekał Amerykanin.

„Jeszcze rok temu nie wiedziałem nic, ale pewnego razu, badając archiwa, których teoretycznie nie powinienem oglądać, natrafiłem na tajne akta tak zwanych Dzieci Władimirowicza.

„Dzieci kogo?” – wtrącił natychmiast doktor, czując podświadomie, że czekają na niego już tylko coraz mroczniejsze informacje.

„Władimirowicza... To potoczna nazwa programu Ministerstwa Oświaty, a także Obrony Narodowej, który zaczęto wdrażać w Rosji po 2000 roku na polecenie ówczesnego prezydenta. Program polegał na tym, że do specjalnych szkół i ochronek o charakterze wojskowym już od najmłodszych lat zabierano dzieci, które wywodziły się z rodzin patologicznych, z ulicy albo sierocińców. Ten program to oczywiście żadna tajemnica, ale oficjalna praktyka państwa. I z takiego właśnie programu edukacji wywodzę się ja. Trafiłem tam, gdy miałem dwa lata, i z czasem powiedziano mi, że mój ojciec Stjepan Glazkov był zwykłym pracownikiem rosyjskiego MSZ-u i że zginął wraz z moją matką Leją Glazkov z powodu zezadzenia się w wynajmowanym przez nich, resortowym mieszkaniu w Petersburgu”.

„Moja matka na pewno nie zmarła od zezadzenia...” – odpisał doktor Thomas Cave, ponownie wyczuwając w opowieści Glazkova jakiś fortel.

„Wiem... Dla mnie ta legenda też z czasem zaczęła wydawać się mało wiarygodna... Dlatego gdy tylko nadarzyła się okazja, zacząłem szukać jakichś informacji na swój temat. Od zawsze byłem dobrym hakerem, to też archiwa rosyjskiego Smiersza – nawet te najbardziej tajne – z dniem mojej nominacji oficerskiej stanęły przede mną otworem...” – wyjaśnił, nieco uspokajając podejrzenia Amerykanina.

„Pisz dalej! Czytam to wszystko z wypiekami na twarzy...” – przyznał szczerze doktor, widząc, że Glazkov przez dłuższą chwilę ociąga się z dalszymi wyjaśnieniami.

„Cierpliwości... Musiałem tylko uzupełnić sobie wodę w karafce. Zresztą mówiłem Ci, że sam będziesz nalegał na tę rozmowę...” – zauważył z satysfakcją.

„Pisz! Nie zmieniaj tematu!” – naciskał Cave.

„Tak więc zauważyłem z czasem, że w strukturach Federalnej Służby Bezpieczeństwa, a także w wywiadzie i kontrwywiadzie wojskowym, działa pewna niejawną grupą, która pociąga za sznurki i ma kontrolę nad wszystkimi organami państwa. Zauważyłem także, że obawiają się jej przede wszystkim najbardziej praworządni pracownicy naszych służb – jeśli w ogóle można tak określić urzędników wywiadu. Chciałem więc gdzieś wypytać, ale każdy dyskretnie dawał mi do zrozumienia, żebym w tym nie grzebał i że jeśli będę miał się o nich cokolwiek dowiedzieć, oni sami się do mnie zgłoszą” – wyjaśnił szczegółowo Glazkov.

„Jak się nazywa ta grupa?” – zaciekał się doktor, zastanawiając się jednocześnie, co to może mieć z nim wspólnego.

„Nazywają ich ponoć „Czerwone Siłowniki”. Niby nikt o nich nic nie wie, ale jak zaczniesz dopytywać, to każdy boi się o tym gadać i traktuje to jak temat tabu... To na Łubiance, i nie tylko, taka mała tajemnica poliszynela”.

„Nigdy o nich nie słyszałem”.

„Nie dziwię się... Nie dlatego, żebym nie ufał w Twoje zdolności hakerskie, ale dlatego, że są oni niespotykane dobrze zakonspirowani... Wszystko też wskazuje

na to, że to bardzo niebezpieczni i bezwzględni ludzie, którzy skutecznie dbają o hermetyczność swojego środowiska...”.

„Ale co to ma wspólnego ze mną i z moją matką?” – pytał z każdą kolejną informacją coraz bardziej niecierpliwie Cave.

„Właśnie do tego zmierzam...” – uspokajał Glazkov.

„A więc gdy tylko zacząłem podejrzewać, że pod przykrywką rosyjskich służb działa tego typu niebezpieczny i dobrze zorganizowany twór, jako urodzony haker nie mogłem tego puścić bokiem. Zacząłem więc nieco szperać... Z początku powoli i ostrożnie, aby nie wzbudzić podejrzeń, ale z czasem szło mi to coraz sprawniej. Zrozumiesz, jeśli powiem Ci, że jestem w tym podobnie dobry jak Ty – w końcu ta sama krew...” – Glazkov znów pozwolił sobie na zaskakującą, ale też wzbudzającą większe zaufanie u Cave’a poufałość.

„To się jeszcze okaże, ale mów co dalej...” – wtrącił, dając jednak do zrozumienia, że nadal zachowuje sporą dozę sceptycyzmu.

„Gdy z czasem znajdowałem o nich coraz więcej informacji, coraz mniej zaczęło mi się podobać to ich tajne towarzystwo, a także ich bezwzględne metody pracy... Co gorsze: o działanie w ich szeregach wkrótce zacząłem podejrzewać moich najbliższych współpracowników, przełożonych, a nawet wieloletnich przyjaciół...” – oznajmił.

„Nadal nie wiem, co to ma wspólnego ze mną” – powtórzył niemal zafiksowany na punkcie swojej przeszłości młody doktor informatyki.

„Spokojnie... Wszystko Ci wyjaśnię... Reasumując: w końcu, po dotarciu do tych wszystkich informacji, bardzo szybko obrzydła mi służba u boku tych ludzi... Zdecydowałem się zatem działać potajemnie przeciwko nim i spróbować doprowadzić do tego, że zostaną ujawnieni, a następnie usunięci niczym rak ze zdrowej tkanki narodu... To nierealne marzenie prysnęło jednak jak bańka mydlana, gdy z czasem natrafiłem na jeszcze świeższe dowody, świadczące o tym, że macki tej organizacji sięgają tak wysoko, że prędzej odnajdzie się u nas księżniczka Anastazja, niż Rosja oczyści się z tego od wewnątrz... Czarę goryczy



przelała się jednak dopiero wtedy, gdy w trakcie śledzenia Siłowników natrafiłem na akta wspomnianych dzieci Władimira...”.

„I odnalazłeś w nich siebie?” – wyprzedził odpowiedź Amerykanin.

„Tak... Odnalazłem informacje o mnie i naszej rodzinie” – potwierdził Glazkov.

„No i?”.

„No i dzięki tym dokumentom udało mi się ustalić, że nasza matka, Leja Dovilas, była rodowitą Litwinką pracującą jako biochemik w jednej z postradzieckich elektrowni na Litwie. Tam to właśnie poznała naszego ojca Stjepana Glazkova. Ona była zwykłą prostą dziewczyną, nigdy wcześniej niezamieszana w żadne sprawy wywiadowcze, za to on od wczesnych lat 80-tych był zakonspirowanym na terenie litewskiej republiki radzieckim szpiegiem – najpierw z ramienia KGB, a następnie ze Służby Wywiadu Wojskowego Federacji Rosyjskiej. Po pieriestrojce i rozpadzie Związku Radzieckiego został pozytywnie zweryfikowany przez władze litewskie, jako obywatel niezagrażających bezpieczeństwu nowego, suwerennego państwa i jako inżynier utrzymał kierownicze stanowisko w elektrowni, które dzierżył od 1987 roku. Z akt wynika, że aż do 2002 roku był bardzo aktywnym agentem i dostarczał nam bardzo dużo raportów na temat bezpieczeństwa energetycznego Litwy i ewentualnej możliwości jego osłabienia. Moskwa opracowała nawet dla niego plan szczegółowej dywersji w razie ewentualnej agresji Federacji Rosyjskiej na kraje bałtyckie i inne utracone przez nią dawne republiki radzieckie. Miał on oczywiście w razie agresji sparaliżować działania elektrowni tak, aby odbiło się to na zdolności obronnej kraju”.

„Kiedy matka go poznała?” – wtrącił ponownie Cave.

„Nie znalazłem tam aż tak szczegółowej informacji na ten temat, ale ze świadectwa zawarcia małżeństwa w Wilnie wynika, że byli małżeństwem od grudnia 1999 roku” – natychmiast wyjaśnił Nikołaj Stjepanowicz.

„Czyli niecały miesiąc od zrzeknięcia się władzy przez Borysa Jelcyna i namaszczenia przez niego na nowego prezydenta Władimira Władimirowicza...” – zauważył Amerykanin.

„Dokładnie tak... Wymowna data, dlatego wydało mi się podejrzane to, że akurat w momencie, gdy w Rosji nastają nowe porządki i gdy następuje oficjalna reaktywacja oraz odbudowa rosyjskich służb na wielką skalę, nasz ojciec nagle bierze ślub z Bogu ducha winną młodą Litwinką” – potwierdził spostrzeżenie rzekomego brata Glazkov.

„O ile to, co mówisz, jest prawdą, to wychodzi na to, że on potraktował ją po prostu jak zwykłego słupa, który miał uwiarygadniać jego fałszywy wizerunek”.

„Obawiam się, że tak właśnie było...” – młody oficer po raz drugi potwierdził trafną ocenę Cave’a.

„I co dalej?”

„Dalej... We wrześniu 2000 roku urodziłem się ja... Natomiast następną wzmianką, na którą trafiłem, było to, że dwa lata później nasz ojciec jako agent został wygaszony...”.

„Co w waszej nomenklaturze znaczy wygaszony?”.

„To znaczy, że najprawdopodobniej zrobił coś nie po ich myśli albo właśnie realizowano wymianę personelu w firmie i najzwyczajniej nie był im już do niczego potrzebny. W każdym razie dwa lata później zdecydowali się go zlikwidować” – odpisał bez emocji Glazkov.

„Może za bardzo zaangażował się w nowe życie rodzinne i nie mieli już do niego zaufania?” – Cave jakby próbował doszukać się jakichś okoliczności łagodzących.

„Nie wiem... Znając działania moich pracodawców, mogę powiedzieć tylko, że nigdy nie wiesz, skąd taka, a nie inna decyzja. Takie już tu mamy standardy. Nie ma człowieka, nie ma problemu...” – oficer sparafrazował słynną wywiadowczą maksymę.

„Skoro zlikwidowali go w 2002 roku, moja mama musiała być już ze mną w ciąży, zgadza się? – Cave przeliczał teraz w głowie wszystko dokładnie, mając nadzieję, że trafi na jakąś niezgodność, którą zaskoczy Glazkova.

„Tak, zgadza się... W którym miesiącu się urodziłeś?” – dopytał oficer.

„Odkąd pamiętam, z mamą zawsze obchodziliśmy moje urodziny w sierpniu” – wyjawiał doktor.

„W takim razie nasz ojciec mógł nawet nie wiedzieć o twoim poczęciu, gdyż w styczniu 2002 roku zaproszono go na nieoficjalną wizytę do Moskwy, z której oczywiście nie wrócił...”.

„A skąd wiesz, że on nie żyje? Może po prostu zostawił matkę i ukrywa się gdzieś do tej pory” – dociekał Cave.

„Wątpię... Jest notatka, w której opisane jest spotkanie pewnego wysoko postawionego oficera FSB z naszą matką kilka tygodni po zniknięciu naszego ojca. Oficer ten oczywiście przyjechał tam w celu pozbycia się naszej matki i przy okazji odebrania jej mnie... Najpierw jednak oznajmił, że nasz ojciec miał wypadek i obłudnie dopytywał, czy matka nie potrzebuje jakiejś pomocy. Ona natomiast – nie przeczuwając żadnego zagrożenia – przyznała mu, że jest w ciąży. Tak zaznaczono w notatce. Oficer, zdając sobie sprawę, że może w takim wypadku pozyskać jeszcze jedno dziecko na poczet rosyjskich służb, zdecydował, że oszczędzi jej życie do czasu rozwiązania i w celu udzielenia rzekomej pomocy ściągnie ją do Moskwy razem ze mną. W stenogramach tych rozmów było to opisane następująco: »Agent przekazał figurantce oficjalnie, że: pomoże jej załatwić wszelkie formalności związane z przeprowadzką oraz zmianą imienia dziecka na bardziej rosyjskobrzmiące, zaznaczając, że będąc ono synem rosyjskiego oficera wywiadu, ma przywilej wychowywania i edukowania się w najlepszych placówkach resortowych, stąd też odgórna decyzja o jego wyjeździe do Moskwy«”. – Glazkov przekopiował do wiadomości fragment oryginalnych dokumentów, których był w posiadaniu. „Jednak gdy nasza matka opierała się tej decyzji, argumentując otwarcie, że nigdzie się nie wybiera, gdyż pochodzi ze starego litewskiego rodu, że jej dzieci nie będą Rosjanami, lecz litewskimi

obywatelami, i że jej drugie dziecko, podobnie jak pierwsze, otrzyma imię po jej ojcu, zgodnie z ich rodową tradycją, wtedy zabrano mnie siłą...” – dodał.

„A więc mamy imiona po naszym litewskim dziadku?” – zapytał mimowolnie Cave.

„Sprawdzałem metrykę naszej matki... Jej ojciec, a nasz dziadek, nazywał się: Nikolajus Steljo Dovilas”.

„To jest przerażające, co piszesz...” – skomentował naukowiec.

„To wyobraź sobie moją reakcję, gdy po raz pierwszy zobaczyłem te dokumenty czarno na białym...” – odparł ze współczuciem Rosjanin.

„Mam tylko nadzieję, że mnie nie oszukujesz...” – dodał po chwili namysłu Cave.

„W tej sprawie nie masz wyjścia i musisz mi zaufać...” – przyznał szczerze Glazkov.

„No więc opowiadaj dalej” – zgodził się wykładowca.

„Jak wynika z dalszych dokumentów sporządzonych przez służby, nasza matka w końcu uciekła, zostawiając mnie w Rosji. Po jakimś czasie sprawdziłem także dane tego oficera, który odwiedził ją po śmierci ojca. Ten gość także obracał się w towarzystwie ludzi z grona Czerwonych Siłowników...” – zakończył swoją opowieść młody oficer.

„Biedna kobieta... Pewnie nie walczyła o Ciebie, gdyż bała się, że kolejne dziecko też jej odbiorą, a ją samą zamordują zaraz po porodzie” – jakby podświadomie Thomas Cave zaczął bronić decyzji matki przed potencjalnymi oskarżeniami rzekomego brata.

„Tego nie wiem, ale pewne jest, że po uprowadzeniu mnie udało jej się uciec za granicę i to na tyle skutecznie, że całkowicie zgubiono za nią ślad...”.

„Teraz rozumiem...” – tajemniczo skomentował wykładowca.

„Co rozumiesz?” – mimowolnie odpisał Glazkov.

„Że to po Ciebie chciała wtedy wrócić, gdy zostawiła mi ten list, a potem zniknęła...” – wyznał doktor.

„Możesz mi powiedzieć, co w nim napisała?” – zdumiał się zaintrygowany Glazkov.

„Oczywiście... Znam jego treść na pamięć. Byłem bardzo bystrym dzieckiem i potrafiłem go przeczytać ze zrozumieniem już w wieku sześciu lat” – odpisał natychmiast.

„Dawaj...” – tym razem to Glazkov nalegał na szybszą odpowiedź.

*Kochany Syneczku,*

*postaram się niedługo do Ciebie wrócić. Gdyby jednak stało się inaczej, to musisz wiedzieć kilka ważnych rzeczy. Ale na początek przyrzeknij mi w duchu, że nigdy nikomu nie pokażesz tego listu. Byłoby to dla Ciebie bardzo niebezpieczne... Najlepiej naucz się go na pamięć, a potem zniszcz... Tak naprawdę nie nazywasz się Thomas Cave, a ja nie nazywam się Rebeka Cave. Nasze nazwisko to Dovilas! To stary litewski ród, który niestety już wymarł... Na świecie jesteśmy tylko ty, ja i mam nadzieję, że jeszcze ktoś, w czyich żyłach płynie krew taka sama jak nasza. Gdy się urodziłeś, nazwałam Cię Steljo, ale dla twojego bezpieczeństwa musiałam trzymać to imię w tajemnicy. Natomiast moje prawdziwe imię i nazwisko to Leja Dovilas. Pamiętaj jednak, że dla ludzi pozostajemy nadal Rebką i Thomasem Cave. Jesteś mądrym chłopcem, na pewno mnie zrozumiesz... Wybacz mi, że zostawiam Cię samego, ale muszę wrócić po coś bezcennego... Coś, co straciłam przed laty. Do zobaczenia!*

*Twoja Kochana Mama.*

Po udostępnieniu przez młodego doktora informatyki treści przesiąkniętego emocjami listu, w internetowym komunikatorze na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Dopiero po kilku łykach kojącej spieczoną wargi wody dogłębnie poruszony Nikolaï odpisał:

„I gdzie Cię zostawiła?”.

„Wynajmowaliśmy mały domek w Santa Monica. Mama wysłała mnie jak co weekend na wycieczkę z drużyną skautów. Gdy jednak wróciliśmy z wyjazdu, już się po mnie nie zgłosiła... Po kilku dniach jej poszukiwań oddano mnie do ośrodka opiekuńczego... Dopiero kilka tygodni po tym traumatycznym dla mnie wydarzeniu w mojej ulubionej książeczce z podstawowymi strategiami szachowymi dla dzieci znalazłem ten liścik...” – wyznał z ciężkim sercem Cave, siłą rzeczy wracając do nieprzyjemnych wspomnień.

„Może miałeś rację... Może czekała, aż się trochę usamodzielnisz, by mogła wrócić po mnie...” – przyznał rosyjski oficer.

„Musiała być niesamowicie zdesperowaną kobietą. Czy wiesz, co się z nią stało?”.

„Niestety w innych dokumentach – tym razem kontrwywiadu wojskowego – trafiłem na wzmianki o kobiecie, która w 2008 roku chciała przedostać się na terytorium Federacji Rosyjskiej, aby uprowadzić z niego dziecko. W notatce tej wspomniano, że była to jakaś Litwinka. Złapano ją, gdy próbowała nielegalnie przekroczyć granicę fińsko-rosyjską. Oczywiście pod zarzutem szpiegostwa odesłano ją do gułagu, a na notatce, którą sporządzono z tego zdarzenia, widnieje data piętnasty września tego samego roku...”.

„Wrzesień... To wtedy zniknęła z Santa Monica” – skomentował Cave.

„To jednak nie koniec historii jej zaginięcia...” – odpisał posępnie Glazkov. „Niestety w archiwach obozu pracy, do którego została wysłana, znalazłem jej akt zgonu... Zapisano ją tam jako Leję Glazkov... O nazwisku panińskim nie wspomniano, ale mam stuprocentową pewność, że to ona... W notatce przy akcie zgonu dodano, że była litewską agentką działającą na szkodę Federacji Rosyjskiej oraz żoną zdeprawowanego rosyjskiego oficera wywiadu. Akt zgonu był wypisany na maj dwa tysiące dziewiątego roku...”.

„Wybacz, ale nie wiem, co mam teraz napisać... Mimo wszystko do końca wierzyłem, że może jednak gdzieś nadal żyje...” – przyznał Amerykanin.

„Doskonale Cię rozumiem... Ja też, będąc w trakcie szukania tych dokumentów, ciągle miałem nadzieję, że moi rodzice nie zaczadzili się w tym cholernym mieszkaniu, jak mi przez lata wmawiano...” – zawtórował mu Glazkov.

„Jeżeli mnie nie oszukujesz, to...” – zaczął niepewnie młody doktor.

„Nie oszukuję Cię, Steljo...” – wtrącił natychmiast Nikołaj. „Jesteś moim jedynym bratem i niesamowicie cieszę się, że dziś, wraz z Nowym Rokiem, na tym wielkim świecie odnalazłem przynajmniej Ciebie...” – dodał, wypijając dla ostudzenia emocji jeszcze jedną szklanekę wody.

„W jaki sposób Ci się to udało?” – zapytał równie poruszony tą historią Amerykanin.

„Szukałem bardzo długo... Jednak nie mogłem znaleźć żadnego punktu zaczepienia... Nie wiedziałem w końcu, czy nasza matka ostatecznie urodziła drugie dziecko i gdzie właściwie zniknęła na te sześć długich lat... Ale gdy przypadkiem infiltrowałem – oczywiście na polecenie moich przełożonych – młodych pracowników naukowych z Kalifornii, którzy potajemnie wykonują zlecenia dla rządu Stanów Zjednoczonych, trafiłem na młodego zdolnego szachistę z Uniwersytetu Stanforda w Dolinie Krzemowej” – wyjaśnił Glazkov.

„I chcesz powiedzieć, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności to byłem ja?” – wtrącił Cave, jakby ponownie nie dowierzając w słowa dopiero co odnalezionego brata.

„Tak... Chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem... Po prostu sam jestem zapalonym szachistą, więc zacząłem Ci się bliżej przyglądać... Śledziłem namiętnie w sieci Twoje najlepsze pojedynki i nietypową taktykę... Z czasem zauważyłem, że pasujesz do opisu, którego właśnie szukam: chłopak porzucony przez matkę w roku dwa tysiące ósmym, w wieku sześciu lat, nieznanego pochodzenia, brak rodziny, żadnych danych prócz tych znajdujących się na fałszywych dokumentach, prawdopodobnie wcześniej załatwionych przez matkę. I gdy zacząłem ci się dokładniej przyglądać, doszedłem do wniosku, że przypominasz mi samego siebie... Z początku myślałem, że to jakaś paranoja, ale

gdy wrzuciłem jedno z twoich nagrań – z jakiegoś sympozjum naukowego – do programu porównującego twarze, na dziewięćdziesiąt osiem procent potwierdził nasze podobieństwo. Wtedy zdecydowałem się trochę odkryć przed Tobą moje działania inwigilacyjne i dać Ci wyraźnie do zrozumienia, że Cię śledzę... Zarzuciłem przynętę i czekałem cierpliwie, aż poirytowany tym faktem, a zarazem ogarnięty ciekawością, sam w końcu się do mnie odezwiesz... Aż do dzisiaj” – wytłumaczył szczegółowo Nikołaj Stjepanowicz.

„Czyli dziś od samego początku byłeś pewny, że to ja?” – zastanawiał się Cave.

„Nie... Nie byłem tego pewny... Podejrzewałem tylko, że mogę mieć rację. Jednak dopóki nie zblefowałem, wmawiając Ci, że znam Twoje prawdziwe nazwisko, dopóty nie byłem tego pewny na sto procent”.

„Wiesz... Cały czas to analizuję i wszystko wskazuje na to, że piszesz prawdę...” – stwierdził Steljo.

„Zaufaj mi... Odkryłem przed Tobą wszystko, co na ten temat wiem...” – zapewniał Glazkov.

„Więc, co z tym dalej robimy? – zapytał, nadal mocno zszokowany tak przełomowymi dla jego życia informacjami, doktor informatyki.

„Ja już dawno podjąłem decyzję co do siebie... Pytanie, czy ty chcesz zacząć działać razem ze mną” – niejako wyszedł z propozycją Nikołaj.

„Co zamierzasz?”.

„Jestem Litwinem, którego rosyjskie służby bezwzględnie wynarodowiły, pozbawiając rodziny, przeszłości oraz prawdy o moim pochodzeniu. I dlatego za to, co zrobili mi, mojej matce i Tobie, chcę się na nich odegrać i zniszczyć ich od wewnątrz...” – Nikołaj wystukał to na klawiaturze z wyjątkową zapalczywością.

„Brzmi szaleńczo” – skomentował Steljo.

„Wiem... Ale jestem w końcu oficerem rosyjskich tajnych służb, a to daje mi szerokie możliwości do zrobienia im krzywdy... Do tego jestem w ich oczach sprawdzony i nieskazitelny, gdyż od dziecka to oni sami przygotowywali mnie do



pracy dla rosyjskiego narodu, ku chwale matuszki Rosji” – podsumował Glazkov, nie kryjąc satysfakcji podczas pisania tej wiadomości.

„Po co więc pytałeś mnie o informacje na temat programu Charlotte?” – zauważył doktor.

„Między innymi dlatego, że chciałbym też coś zrobić dla mojej małej Litwy... Mam dużą wiedzę na temat inwigilacji litewskich służb, armii oraz polityków i chciałbym obronić przed tym moją prawdziwą ojczyznę...” – wyjaśnił.

„Nie jestem pewien, czy nadawałbym się do tak ryzykownej działalności... Jedyne, co potrafię dobrze robić, to grać w szachy, pisać programy i trochę bawić się w hakerkę. Nie wydaje mi się, bym miał w sobie zadatki na agenta” – zauważył młody naukowiec.

„Do niczego takiego Cię nie zmuszam, mój drogi Steljo. Jedyne, czego bym teraz od Ciebie oczekiwał, to tylko spotkania...” – zaproponował oficer.

„Nie wiem, czy to będzie takie proste... Jesteś w końcu rosyjskim oficerem, a ja od czasu do czasu realizuję projekty dla rządu Stanów Zjednoczonych. Ktoś – ode mnie czy od Ciebie – na pewno by się w końcu pokapował, gdybyśmy zaczęli się tak po prostu spotykać...”.

„Spokojnie, młody... Na to też są sposoby... – zapewnił z charakterystyczną pewnością starszego brata.

„Masz już jakiś pomysł?” – odparł wcale nieurazony tym określeniem Steljo, rad, że w końcu ma kogoś, komu może zaufać.

„Tak, ale najpierw musisz się przeprowadzić” – znów tajemniczo odpisał Nikołaj.

„Już wiesz, że planuję przeprowadzkę? Przecież dopiero wczoraj, podjąłem ostateczną decyzję...”.

„Mówiłem Ci, że jestem dobry...” – nieskromnie pochwalił się oficer.

„No tak, muszę przyznać, że miałeś rację...”.

„To Twoja krew, Steljo!” – odwzajemnił się komplementem Nikołaj.

„Jednak sporo muszę się jeszcze od Ciebie nauczyć...” – przyznał z uznaniem junior.

„Na wszystko przyjdzie czas... A kiedy dokładnie ta przeprowadzka?” – zapytał oficer, snując już w głowie pewien plan.

„Wszystko zależy od tego, kiedy dostanę ostateczne pozwolenie na badania i pracę na MIT...” – pochwalił się Steljo.

„Hm... Massachusetts Institute of Technology... Znakomita uczelnia... Jedna z trzech najlepszych politechnik na świecie. Chociaż gdybym ja mógł wybierać, to zostałbym na Stanford” – przyznał, po raz pierwszy w życiu czując dumę z osiągnięć kogoś bliskiego.

„Dlatego tak trudno było mi podjąć decyzję”.

„Dlaczego więc pomyślna taką zmianę?” – dopytywał zaciekawiony oficer.

„Nie lubię stagnacji... i po prostu chciałem coś zmienić. Kalifornia jest piękna, ale pod wieloma względami źle mi się kojarzy... Sam rozumiesz, czas się od tego oderwać”.

„Rozumiem” – szczerze wyznał Nikołaj, gdyż sam od dłuższego czasu miał ochotę zamienić mroźną Moskwę na jakiegokolwiek inne – cieplejsze i ciekawsze – miejsce na świecie.

„Będę też bliżej Nowego Jorku, a to zawsze szansa na nowe, ciekawe znajomości i doświadczenia...” – pisał dalej Steljo.

„A to znakomicie się składa...” – wtrącił Nikołaj.

„Tak? A czemu?”.

„Bo za około pięć miesięcy, w połowie maja, w Nowym Jorku, w siedzibie ONZ, odbędzie się zamknięty turniej szachowy dla wojskowych i polityków z całego globu... To takie nieoficjalne rządowe mistrzostwa świata...”.

„Słyszałem o tym... Ponoć wysoki poziom...” – przypomniał sobie Steljo.

„Całkiem niezły... W każdym razie będę na nich także i ja jako reprezentant rosyjskiego Ministerstwa Obrony... Jeżeli się do tego czasu zdążysz przeprowadzić, to urwę się na jakiś czas i wtedy się spotkamy...” – zaproponował.

„Świetny pomysł, ale będziemy musieli być bardzo ostrożni...” – przestrzegł junior.

„Spokojnie... Wiem, jak działają moi ludzie, i od tej strony nam nic nie grozi...” – zapewniał starszy brat.

„Bardziej obawiam się amerykańskich służb. Mogą śledzić cię podczas tego pobytu...”.

„Na nich też znajdę sposób... Dla chcącego nic trudnego...” – przekonywał z wielką pewnością siebie.

„Skoro tak mówisz, to postaram się przyśpieszyć moją przeprowadzkę...” – zadeklarował młody naukowiec.

„Szkoda tylko tej brunetki, która mieszka naprzeciw... Obserwowałem Cię kiedyś przez kamerę przemysłową z twojego apartamentowca i widziałem, jak na Ciebie patrzyła w windzie...” – zażartował niewybrednie oficer.

„Wydaje mi się, drogi Nikolajusie, że to zdecydowanie nie moja liga... Z pewnością ma mnie za jakiegoś jajogłowego dziwaka. Zresztą proszę Cię... Nie pogrążaj mnie więcej, uświadamiając na każdym kroku, jak bardzo udało Ci się mnie rozpracować... To naprawdę wyjątkowo żenujące uczucie...” – przyznał z całkowitą szczerością Steljo.

„No co ty... Nie przejmuj się tym... Najważniejsze, że od dziś już wiesz, iż nie jesteś sam na tym popieprzonym świecie...”.

„Poczekaj chwilę...” – przerwał na moment Steljo. „Usłyszałem na klatce jakiś szum, zaraz wrócę!” – dodał.

„No i co tam?” – zapytał zniecierpliwiony Nikołaj, gdy jego nowo odnaleziony brat dłuższą chwilę nie odpowiadał.

„Spoko... nic takiego” – odezwał się tamten po chwili. „Po prostu zanim do Ciebie napisałem, byli u mnie kumple. Najwyraźniej nie zamknęli za sobą dobrze drzwi i zrobił się przeciąg...” – wytłumaczył.

„Okej... Już myślałem, że znów się mnie przestraszyłeś” – zażartował Nikołaj.

„Nie... Skądże znowu... Wierzę, że wszystko, co napisałeś, to prawda, i szczerze mówiąc, nie mogę się już doczekać, aż się z Tobą spotkam...” – zapewnił.

„W takim razie wstępnie jesteście umówieni?”.

„Dokładnie tak, braciszku! Nowy Jork, połowa maja dwa tysiące trzydziestego!” – potwierdził z entuzjazmem Cave.

„Dostałem dziś wspaniały prezent na nowy rok... Odnaleziony młodszy brat... Niesamowite! Kto by pomyślał?!” – rozwodził się raz jeszcze nad całym tym niesamowitym spotkaniem Nikolaï, dolewając sobie resztkę wody, jaka pozostała mu w karafce.

„Rzeczywiście, kto by się mógł tego spodziewać... Wciąż to do mnie nie dociera...” – zawtórował Steljo.

„Myślę, że na dziś już pora kończyć naszą rozmowę... U mnie poranek za pasem, a ja jeszcze nie przespałem nawet godziny” – zaproponował starszy brat.

„Słusznie... Trzymaj się! Do usłyszenia!”.

„Trzymaj się, braciszku! I dobrze zabezpieczaj nasze konwersacje!” – ostrzegł Nikolaï.

„Błagam... Znamy się od kilkudziesięciu minut, a ty już chcesz mnie pouczać?” – zażartował junior.

„Od czego jest starszy brat?” – odpisał rozbawiony tym stwierdzeniem oficer.

„Nie martw się... Zabezpieczenia będą nie do ruszenia. W końcu to Twoja krew!” – zapewnił Steljo, na sam koniec okazując szczerą dumę z posiadania tak nieprzeciętnego brata.

„Świetnie! Do jutra!”.

„Do jutra!”.

# Willa Mira

Pierwszy świt nowego roku Antek przywitał na małym, leśnym przygranicznym parkingu po słowackiej stronie granicy – gdzieś pomiędzy Zborovem a Bardejowem. Zdezynfekował ranę postrzałową, opatrzył wszystkie inne mniejsze lub większe skaleczenia, przemył nabrzmiałą twarz w pobliskim strumieniu i wstrzyknął sobie końską dawkę penicyliny. Przesiąknięty krwią garnitur spakował do czarnego worka i polewając benzyną, podpalił. W zamian założył czarne, ocieplane górskie spodnie, szary golf i czarną puchową kurtkę Canada Goose, czyli wszystkie te ubrania, które pośpiesznie udało mu się zabrać z domu. Następnie wyciągnął ze skrytki pod autem dwie nowe tablice rejestracyjne i sprawnie zainstalował je na miejscu starych.

Kolejnym krokiem było zerwanie z auta termoplastycznej folii. Kilka energicznych ruchów wystarczyło, by potężny ford f-150 na powrót prezentował się w oryginalnym, granatowym kolorze.

– I tak nie lubiłem tej bordowej wersji... Teraz jest zdecydowanie lepiej... – mruknął pod nosem. – Tyle że ci goście z Polonorum na pewno nie dadzą się nabrać na stare, setki razy przerabiane sztuczki. Innego wyjścia jednak nie mam... Muszę zaryzykować... Najważniejsze to jak najdalej dojechać na jednym baku... Jedna wizyta przed kamerami stacji benzynowej i cała mistyfikacja skończona... – dodał.

Antek doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że straci sporo cennego czasu, jednak znacznie bezpieczniej było mu przemknąć słowackimi zadupiami, niż

jechać oczywistą dla wszystkich trasą i być cały czas „na widelcu”.

– Wiem, że jak tylko z powrotem przekroczę granicę, to w okolicach Nowego Sącza powinni mnie już namierzyć – myślał głośno. – Byleby dostać się do A4 bez zbędnych przygód... Tam już w okolicach Bochni rozpląnę się w Puszczy Niepołomickiej jak duch – planował skrupulatnie. – Jednak w pierwszej kolejności muszę zaliczyć jakieś małe przydrożne *potraviny*, bo za chwilę umrę z głodu... – Pomasował się po obficie pokrytym krwiami brzuchu. – Swoją drogą ciekaw jestem, ile mam jeszcze promili w wydychanym powietrzu... W końcu nie odmawiałem sobie wczoraj szampana... – Roześmiał się, kończąc swój monolog, i wsiadłszy do pickupa, ruszył w dalszą trasę.

Dla całej Polski oraz Europy był to z pewnością dziwny Nowy Rok. Ludzie budzili się po ciężkiej sylwestrowej nocy całkowicie dezorientowani. Wczoraj zaczęli zabawę jako obywatele wspólnej Europy, a dziś rano jak grom z jasnego nieba spadła na nich informacja, że w nocy zarządzono w Brukseli ostateczne zakończenie projektu Unii Europejskiej. O ile na starszych ludziach nie zrobiło to aż tak dużego wrażenia, to młodsze pokolenie Polaków zupełnie nie wyobrażało sobie, jak od dziś będzie wyglądała polska rzeczywistość. W końcu nie znało ono świata bez Unii, gdyż się w niej po prostu urodziło.

Antek, zbliżając się do Krynicy, włączył pierwszą lepszą stację radiową. Akurat wypowiadał się jakiś korespondent Polskiego Radia z Brukseli, który apokaliptycznym tonem podawał najświeższe informacje dnia:

– Miliony ludzi dzwoni do siebie od rana z coraz to nowszymi rewelacjami, co całkowicie przeciążyło sieć komórkową. Możecie więc mieć państwo problemy z wykonaniem jakichkolwiek połączeń. Ta sytuacja to duże wyzwanie dla naszego rządu... I chociaż proces legislacyjny rozwiązania tego projektu potrwa zapewne jeszcze kilka miesięcy, to MSZ musi teraz jak najprędzej ustalić nowe zasady współpracy z resztą Europy...

Hm... Przeciążona sieć? To mi nawet na rękę... Może pójdzie łatwiej, niż myślałem... – skomentował w myślach informacje Antek. Ciekawe, ile czasu dadzą

Bonie? W każdym razie nie mogę jechać na złamanie karku. Jedna pochopna decyzja, a wtedy nie uratuję już nawet siebie...

Mróz nadal trzymał w okowach – komputer samochodowy pokazywał minus osiem stopni na zewnątrz. Antek, omijając główne drogi, na których mogłyby znajdować się kamery Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, miał okazję podziwiać przepiękne zimowe krajobrazy w małych, zaśnieżonych małopolskich wioskach.

W innych okolicznościach z chęcią bym sobie teraz tu potruczał... – Westchnął. Chociaż może będzie jeszcze dziś okazja rozprostować pogruchotane kości. Paliwo jest już na rezerwie... Trzeba się rozejrzeć za jakąś małą, lokalną stacyjką.

Po chwili nawigacja wskazała mu drogę do najbliższej małomiasteczkowej stacji paliw. Antek nie dojechał bezpośrednio do niej, ale dla bezpieczeństwa zatrzymał się kilometr wcześniej. Następnie wyciągnął z bagażnika stary, poobijany kanister i dziarskim krokiem ruszył w stronę dystrybutorów. Z początku – czując złudną poprawę samopoczucia – chciał się nawet przebiec, ale po pierwszych zwawszych ruchach natychmiast zrezygnował. Niestety popękane żebra i ropiejąca rana postrzałowa przy każdym głębszym oddechu dawały się niemiłosiernie we znaki. W końcu wchodząc na teren stacji benzynowej, natychmiast założył kaptur oraz duże, czarne okulary, a obitą, spuchniętą szczękę schował za wysokim kołnierzem kurtki. Następnie po napełnieniu całego kanistra podszedł do okienka, w którym sprzedawał tęgi, siwy mężczyzna.

– Co pan? W Nowy Rok z rana z kanistrami gania? Jeszcze w taką zimnicę? – zapytał zaciekawiony, śmiejący się od ucha do ucha ekspedient.

– Benzynki brakło... Widzi pan, zepsuty wskaźnik paliwa... – odpowiedział Antek, wzruszając bezradnie ramionami.

– Nie lepiej to w domu siedzieć o tej porze i odsypiać imprezę sylwestrową? – Najwyraźniej znudzony mężczyzna był rad, że może sobie z kimkolwiek dzisiaj pogadać. Antkowi nie było jednak na rękę, aby odzywać się w pobliżu

jakichkolwiek kamer. Nie chciał ryzykować sytuacji, w której informatycy z organizacji, którzy już zapewne przeczesywali setki danych z całej Polski, namierzyliby go po barwie głosu.

– Widzi pan... pilna sprawa... Jadę w odwiedziny do wujka – powiedział Antek cichym, lekko zmienionym głosem.

– Rozumiem... Z wujkiem napić się trzeba... – Roześmiał się. – A jak pan płaci? Smartplastrem czy biometrycznie? – dodał.

– Gotówką – powiedział szybko chłopak, wyciągając z kieszeni kilkadziesiąt euro.

– O panie, nie pamiętam, żeby ktoś tu ostatnio płacił pieniędzmi... Chyba z rok temu – powiedział zdziwiony mężczyzna. – Nawet nie wiem, czy mogę teraz przyjąć to całe pańskie euro... Widzi pan, co się teraz dzieje na świecie... – dodał zaniepokojony.

– Wybacz pan, ale nie mam czasu na pańskie rozterki – odrzekł zniecierpliwiony Antek i rzucił pieniądze na ladę. – Reszty nie trzeba – dodał ledwo słyszalnym głosem, po czym udał się z powrotem do auta.

Dystans, który dzielił go od samochodu, na co dzień nie sprawiłby chłopakowi żadnego problemu, ale rozległe obite ciało odmawiało mu dziś posłuszeństwa. Antek miał więc wrażenie, że jego wyprawa po paliwo trwa całe wieki. Czterdziestolitrowy kanister ciążył jak ołów, a obolałe mięśnie oraz rana postrzałowa piekły go z każdą sekundą coraz boleśniej.

– Minie parę dni, zanim dojdę do siebie – wysapał zdyszany z wyraźną ulgą, kładąc kanister na ziemi. Następnie po krótkim odpoczynku i wyrównaniu oddechu zalał bak i ruszył dalej w kierunku autostrady.

Mijając Bochnię, po raz kolejny zerknął na nawigację. Samochód, którym wprowadzono Bonę, stał już od jakiegoś czasu na podjeździe starej willi w krakowskiej dzielnicy Podgórze. Natomiast auto z ciemnowłosą agentką poruszało się właśnie ulicą Kalwaryjską, najwyraźniej zmierzając w to samo miejsce.



Muszę znaleźć jakąś ustronną polankę w puszczy i aktywować podsłuch, zanim zorientują się, co ta ich temperamentna czarnulka ma za kołnierzem... – skomentował tajemniczo w myślach Antek i wdepnął mocniej pedał gazu, wyciskając z forda ostatnie konie mechaniczne, które mu jeszcze pozostały.

Gdy auto z agentami Polonorum wjeżdżało na uliczkę prowadzącą do tajemniczej willi, Antek – nie zważając już na jakiegokolwiek kamery drogowe i ograniczenia – wyciskał z pickupa tyle, ile fabryka dała. A gdy nawigacja poinformowała, że obserwowany obiekt dotarł do celu, pędził w stronę najbliższego wiaduktu, którym mógłby przedostać się na drugą stronę autostrady. Czasu nie było za wiele. Przemknął więc z zawrotną prędkością nad trasą A4, po czym zjechał gwałtownie z głównej drogi i z impetem wpadł ryczącą na najwyższych obrotach bestią na zasypaną śniegiem polną dróżkę. Autem zarzucało lekko to w jedną, to drugą stronę, ale chłopak niczym kierowca rajdowy – nie zwalniając ani trochę – pewnie opanowywał poślizgi, niestrudzenie kierując się w stronę granicy lasu.

Dojechał w końcu do skraju południowej części Puszczy Niepołomickiej i zauważył, że na mapie widnieje nieopodal kilka małych, pustych przestrzeni, znajdujących się pomiędzy leśną gęstwiną. Wjazd do puszczy był jednak zamknięty szlabanem. Wykonał więc swoim f-150 woltę, przyglądając się dokładnie bramie, a następnie zaciągnął ręczny i zatrzymując pickupa bokiem do niej, otworzył okno i jednym precyzyjnym strzałem z pistoletu z tłumikiem przestrzelił mosiężną kłódkę. Szlaban, pod naporem zamontowanego na nim obciążnika, natychmiast poszybował w górę, a ford ruszył z kopyta, z dzikim rykiem wyrywając z ziemi grube płaty zbitego śniegu.

Po niespełna minucie Antek dotarł do jednej z niewielkich polanek i pomimo dokuczającego bólu złapał za plecak, wyskakując z auta energicznym susem.

– *Fuck!* Dlaczego zawsze jestem o te parę minut za późno? – zapytał sam siebie, pośpiesznie wyciągając sprzęt z plecaka i rozkładając go niedbale na masce samochodu.

Były to: mała antena satelitarna, arkusz z dotykową klawiaturą oraz podłużne czarne pudełko Sony Tabthin, na które nacisnął wskazującym palcem. Po zeskanowaniu biometrycznym z pudełka w pozycji pionowej wysunął się cienki jak papier ekran dotykowy.

– Szybciej! Szybciej! – szeptał do siebie Antek. – No włączaj się! – ponaglał, ruszając niecierpliwie głową, jakby to miało przyspieszyć proces uruchamiania się programu operacyjnego. Następnie zaczął coś bardzo szybko pisać na klawiaturze, przekładając jednocześnie antenę to w jedną, to w drugą stronę. – Jest! Mam cię – niemalże krzyknął, po czym nałożył słuchawki i rozejrzał wkoło, aby upewnić się, czy jakiś lokalny amator leśnych przechadzek przypadkiem nie kręci się gdzieś w pobliżu.

Z początku w słuchawkach dało się słyszeć jedynie jakieś szумы i niewyraźne odgłosy ludzkich kroków, ale po chwili odezwał się w nich męski głos – ku zdziwieniu Antka zdecydowanie rozbawiony:

– Matko kochana, co to?! Miałaś spotkanie z lokomotywą?! – Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Zamknij się! I skontaktuj mnie jak najszybciej z „Białymi”! – odpowiedział mu na to surowy kobiecy głos. Antek natychmiast rozpoznał, że należy on do jego niedosłej, uroczej zabójczynie. – Nie mogłam wezwać posiłków, bo padła pieprzona sieć w całej Polsce! – dodała dziewczyna z wściekłością.

– O czym ty mówisz?! Jakie posiłki?! Przecież ekipa pułkownika Paprockiego była tu już godzinę temu... Wpadli na chwilę i powiedzieli nam, że wy też macie wkrótce się zjawić, tylko najpierw załatwicie jakąś formalność.

– Bo tak miało być... – odrzekła ponuro kobieta.

– Więc dlaczego wracasz z rozkwaszoną i czerwoną jak burak facjatą?! – zapytał zdziwionym głosem mężczyzna, nadal jakby nieco rozbawiony.

– Powiedziałam: zamknij się! Łącz mnie jak najszybciej z kliniką! A po drugie, dobrze ci radzę, Buka, nie zapominaj, że jestem twoją przełożoną! – wrzasnęła dziewczyna, tracąc resztki opanowania.

– Okej! Już się robi, szefowo! – odparł posłusznie mężczyzna o wiele już pokorniejszym głosem.

Ale z niej kosa... – pomyślał Antek, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– A w ogóle, to gdzie są wszyscy?! – dopytywała zniecierpliwiona kobieta.

– W podziemiach! Podłączają nowy sprzęt, który niedawno dostaliśmy z centrali – odpowiedział dziarsko mężczyzna.

– Natychmiast wezwij przez interkom kapitana Abakiewicza – rozkazała.

Antek słyszał, jak dziewczyna nerwowo chodzi po pomieszczeniu.

– Hej, Maćko! Słyszysz mnie?! – zawołał mężczyzna, a z głośnika, zapewne znajdującego się w pomieszczeniu, natychmiast odpowiedział mu jakiś bardzo nieprzyjemny, cwaniacki głos:

– Słyszę! Coś ważnego?! Bo nie mam teraz czasu...

– Tak... Wyjdź na górę, to się dowiesz... – wyjaśnił lakonicznie Buka.

– Po co?!

– To pilne! Pani kapitan chce z tobą rozmawiać... Są jakieś problemy z tą nocną akcją... – dodał.

– No dobra... Za dziesięć minut przyjdę – zapewnił lekceważąco.

– Maciek! Nie za dziesięć minut, tylko teraz! – wtrąciła w końcu rozkazującym tonem dziewczyna, a jej apel widocznie skutecznie dotarł do kapitana Abakiewicza, gdyż już po paru sekundach można było usłyszeć, że w pomieszczeniu otwierają się jakieś, jak mu się zdawało, hermetyczne drzwi. Trzy sekundy później Antek usłyszał głos tego samego mężczyzny, ale już o wiele wyraźniej.

– Cholera jasna! Co ci się stało?! – nie ukrywał zaskoczenia.

– Spieprzyliśmy akcję... – odpowiedziała nerwowym głosem dziewczyna, po czym najwyraźniej odsłaniając dla Abakiewicza swoją klatkę piersiową, dodała: – Widzisz to?

– Szlag! – zaklął mężczyzna, jakby nie dowierzając własnym oczom.

– Jesteś to w stanie pozszywać? – zapytała zimno i stanowczo.

– A co to w ogóle ma być?! Rany cięte?! Lili?! Jak to się stało?! – Głos kapitana Abakiewicza stał się jeszcze bardziej surowy i jakby nieco wychowawczy.

– To jest akurat nieważne... Pytam, czy jesteś to w stanie pozszywać! Tu, na miejscu! – powtórzyła ostro i niecierpliwie.

– Jak nieważne?! Co ty pieprzysz?! Przecież trochę wyżej i miałabyś poderżnięte gardło! Co się stało?!

– Mamy przejebane, daliśmy dupy po całości... – skomentowała dziewczyna.

– Jak to?! Przecież to miał być tylko jakiś rutynowy wypad. Tak zresztą mówił Paprocki – dopytywał Abakiewicz.

– Lili! Łączę cię z „Białymi”! Masz ich na głośnomówiącym – przerwał im nagle chłopak o pseudonimie Buka, z którym dziewczyna rozmawiała wcześniej.

– Daj mi chwilę, Maciek... – odrzekła cicho w stronę Abakiewicza, po czym zaraportowała donośnym głosem: – Mówi kapitan Lilia z grupy krakowskiej. Numer agenta 352862305524835 – wyrecytowała jednym tchem. – Podczas nocnej akcji ucierpiało dwóch naszych ludzi. Mieliśmy także problem z łącznością. Poszkodowanymi są: porucznik Got i podporucznik Różewicz. Musimy ich bezzwłocznie do was przetransportować – wyjaśniła.

– Proszę opisać stan poszkodowanych agentów – odpowiedział jej mężczyzna z głośnika.

– Porucznik Got otrzymał mocny cios w głowę tępym narzędziem. Ma pękniętą czaszkę i mocny wstrząs mózgu. Niewykluczone też obrażenia wewnętrzne – opowiedziała Lili, tym razem wyraźnie zestresowanym głosem.

Natomiast Antek, przysłuchując się tym słowom, niemal wyobrażał sobie minę, jaka musiała pojawić się teraz na twarzy kapitana Abakiewicza.

– Przyjąłem. A co z drugim poszkodowanym? – dopytywał mężczyzna.

– Podporucznik Różewicz ma złamanie prawego barku, obojczyka, podejrzenie pęknięcia kręgów szyjnych oraz bardzo groźnie wyglądający krwiak na potylicy. – Dziewczyna zakończyła meldunek, a w tle dało się usłyszeć trafny, choć wulgarny komentarz Buki.

– Przyjąłem. Przywieźcie poszkodowanych jak najszybciej. Stoły będą przygotowane do operacji za piętnaście minut, do usłyszenia! – odpowiedział dyspozytor w głośniku.

– Ożeż w mordę... Co tam się, do cholery, działo?! Gdzie są teraz chłopaki?! – zapytał wyraźnie już zdenerwowany kapitan Abakiewicz.

Było to jednak zdenerwowanie bardziej przypominające surowego ojca, zaniepokojonego poczynaniami głupiutkiej córeczki, niż obawy kolegi po fachu.

– Różewicz leży w bagażniku, a Got na tylnym siedzeniu. Naładowałam ich morfiną, ile tylko się dało... Inaczej bym ich tu nie dowiozła – odpowiedziała nieco zmieszana, lecz natychmiast wracając do pewnego siebie tonu, rozkazała: – Buka, zbieraj się! Zawieziesz chłopaków do kliniki! Ruchy!

– Robi się, pani kapitan! – odrzekł energicznie chłopak i Antek dosłyszał, jak prędko podrywa się ze skrzypiącego krzesła.

– Lili, a ty?! – zapytał zaniepokojony kapitan Abakiewicz.

– Co ja? – odparła z nutą groźby.

– Też powinnaś jechać! Musisz się pozszywać, zrobić badania i tomografię. Wiesz, jakie są procedury po...

– Po czym?! – wtrąciła złowieszczo.

– Po spalonej akcji – odpowiedział jej Abakiewicz po chwili namysłu, ale równie stanowczo.

– Akcja się jeszcze nie skończyła, więc póki co nie jest spalona – warknęła rozeźlona.

– Nie umiesz przyznać, że pierwszy raz podwinęła ci się noga, i świrujesz! – zarzucił jej dosadnie kapitan.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?! – zapytała dziewczyna w tak mrozący sposób, że nawet nasłuchujący Antek zrozumiał, że dla wspomnianego Abakiewicza lepiej byłoby, gdyby nie drążył tego tematu.

– To skąd takie obrażenia? Na ilu ludzi Paprocki was tam wysłał? – nie odpuszczał kapitan, nieco jednak spuszczać z tonu.

– Na jednego sukinsyna amatora! – odpowiedziała zjadliwie Lili.

– Amatora? – powtórzył uszczypliwie Abakiewicz, domagając się pełniejszych wyjaśnień.

– Pieprzonego farciarza! – dodała pani kapitan przez zaciśnięte zęby.

– No... Ale rozumiem, że skoro ty tutaj stoisz, to znaczy, że tamten na bank już gryzie glebę – skomentował z ostrożną dociekliwością.

– Jeśli nasza pani kapitan tu jest, to tamten na pewno już jest zimny! – zawołał na odchodne Buka, otwierając ciężkie, skrzypiące drzwi.

– Właśnie, że żyje! – warknęła dziewczyna. – A ty rusz dupę, Buka, bo chłopaki nie będą na ciebie czekały w agonii jak na polską służbę zdrowia – zdążyła jeszcze rzucić do podwładnego Lili, ale w jej głosie ponownie zabrakło pewności siebie.

– Czekaj, czekaj... Skoro on nadal żyje, to jakim cudem ty teraz stoisz przede mną?! – zapytał tym razem z nieukrywaną już ciekawością i jakby nieznaczną satysfakcją kapitan.

– Bo mógł mnie, sukinsyn, zabić, ale tego nie zrobił – mruknęła posepnie.

– Jak to mógł, ale nie zrobił? – Dla Abakiewicza wydawało się to teraz całkowicie niezrozumiałe. W tym fachu bowiem przeważnie wracało się z tarczą albo już tylko na niej.

– Nikogo z nas nie zabił, tu jest problem – wyjaśniła, wyraźnie bijąc się z myślami, po czym wymamrotała pod nosem: – Pieprzony farciarz, kula mu przeszła nad tą jego... – Ponownie się zamyśliła, nie dokańczając zdania.

Hm... Czyżby to był komplement? – zastanowił się Antek, nasłuchując uważnie i uśmiechając się pod nosem.

– Nie wiem, co tu jest grane, Lili, ale musimy go znaleźć, zanim smród się rozejdzie po firmie... – powiedział w końcu po chwili milczenia kapitan Abakiewicz o wiele przyjemniejszym głosem niż wcześniej.

– Wiem, dlatego zaraz idę go szukać... Zjem tylko coś, opatrzę się i umyję – odpowiedziała ponuro pani kapitan.

– Spokojnie, kochanie, nic na szybko... Jedź do kliniki, a ja się tym zajmę.

– Kochanie? – powtórzył ze zdziwieniem Antek. – No to się dobrali... – dodał drwiąco, ale poczuł jednocześnie jakiś niemiły uścisk w żołądku spowodowany faktem, iż ten zarozumiały fagas zwrócił się do niej w ten sposób.

– Maciek, mówiłam ci już, że masz tak do mnie nie mówić na służbie, tak? – upomniała go natychmiast dziewczyna.

– Przecież nie ma tu nikogo – odparł obrażony Abakiewicz.

– Nieważne... Nie mam czasu na bezsensowne sprzeczki, a jeśli nie chcesz mnie pozszywać, chłopaki na dole to zrobią – zgasiła go Lili i po chwili słychać było, jak szybkim krokiem schodzi do wspomnianych podziemi po brzęczących metalowych schodach.

Antek, pomimo tego że cholernie zmarzył, był bardzo zadowolony, że udało mu się zebrać aż tyle informacji od niczego nieświadomych agentów z Polonorum. Słuchał więc dalej, mając nadzieję, że dziewczyna za chwilę zdradzi, jak zamierza przeprowadzić na niego obławę – wtedy byłoby mu zdecydowanie łatwiej się bronić.

Podśluch jest biodegradowalny, wytrzyma więc jeszcze parę godzin. Może wspomną też coś o Bonie, zanim pluskwa się utleni albo zanim ją zauważą – zastanawiał się w myślach, jednak gdy tylko skończył swój wywód, w słuchawkach rozległo się przeraźliwe wycie jakiegoś wściekłego alarmu.

– Maciek, co jest? – krzyknęła zaniepokojona dziewczyna.

– Skaner coś wychwytił! Jakieś obce urządzenie wysyłające sygnał z tego miejsca!

– Gdzie?! – krzyknęła zaskoczona dziewczyna!

– Wygląda na to, że... że na tobie! – krzyknął rozwścieczony Abakiewicz.

– Jak to na... – zaczęła panicznym tonem Lili, najwyraźniej nerwowo przeszukując teraz swoje ciało, gdyż do Antka dotarł szelest jakby nerwowo pocieranego ubrania. – Fuck! Fuck! – krzyknęła nagle pani kapitan. – Przez ten

cały czas miałam na kołnierzu pluskwę! Nie zauważyłam jej, bo jest mała i cienka jak plaster na opryszczkę!

Furia, jaka ją ogarnęła, była jednak równie słyszalna, jak obnażony przestach dobywający się gdzieś z najskrytszej głębi jej serca.

– Dałaś sobie założyć robaka na szyi? Jak?! – krzyknął zdenerwowany kapitan.

– Nie wiem! – rzuciła totalnie zaskoczona dziewczyna.

– Co tam się, do jasnej cholery, działo?! – dodał pretensjonalnie Abakiewicz.

– Pieprzony sukinsyn! – Lili na chwilę zamilkła. Można było się domyślić, że się zamyśliła, jak gdyby coś sobie nagle przypomniała. – Założył mi ją wtedy, gdy robił mi resuscytację – dodała zdenerwowanym głosem.

O nie, nie, czarnulko... Tak się składa, że założyłem ci ją, jak byłaś już całkiem przytomna... – skomentował w myślach Antek z wyraźnie usatysfakcjonowaną miną.

– Że co?! – krzyknął po raz kolejny Abakiewicz. – Jaką znowu resuscytację?!

– Nieważne! Dlaczego alarm ostrzegł nas dopiero teraz?! – zapytała równie pretensjonalnie dziewczyna, ale Antek zauważył, że w jej głos wkradła się już wyraźna panika.

– Bo mamy tę miejscówkę dopiero od półtora miesiąca? – cynicznie odpowiedział pytaniem na pytanie Abakiewicz. – Nie zainstalowaliśmy jeszcze skanera na wyższych poziomach, bo planowaliśmy to zrobić w następnym tygodniu – dodał obruszony, jakby to jego miano oskarżyć o to niedopatrzenie.

– To o tydzień za późno! – warknęła Lili z nieukrywanym wyrzutem w głosie.

– Co?! Czyli to nasza wina, że ty zbierasz pluskwy na akcjach i przynosisz je do domu?! – ryknął oburzony mężczyzna, niemal przekrzykując wciąż wyjący niemiłosiernie alarm.

Nagle Antek usłyszał głucho, wartkie kroki kilku nadbiegających osób i kolejny – już trzeci podczas tego nasłuchu – męski głos.

– Co jest, Lili? Testujecie nasze zabezpieczenia? – zapytał zdezorientowany.



– Nic nie testujemy, tylko mamy tu robaka! – odpowiedziała nerwowo, po czym dodała: – Gawra, możesz to zniszczyć jak najszybciej?

– Oczywiście, że tak, szefowo! – odparł natychmiast mężczyzna.

– To zniszcz! Tylko skutecznie! I wyłącz to cholerne wycie! – rozkazała, zapewne podając mu prawie niewidoczny na pierwszy rzut oka nadajnik.

– To biodegradowalna pluskwa... Skąd ją tutaj masz? – z niepokojem zauważył podwładny.

– Ze sklepu! – rzuciła z sarkazmem.

– No dobra, rozumiem... Ale powiedz chociaż, jak długo ją miałaś na sobie – dociekał.

– Wystarczająco długo, żeby nas namierzono – odpowiedziała sucho.

– Czyli ten ktoś wie już o naszej Mirze?! – zapytał ponownie chłopak.

– Brawo, Gawra, mów więcej, geniuszu... Nie pomyślałeś, że to gównno może dalej działać?! – wtrącił się Abakiewicz. – Może jeszcze podasz na głos nazwę naszej ulicy? – dodał z parsknięciem, wyraźnie dając do zrozumienia koledze, by ten nie wychylał się zbyt przed szereg.

– Daj mu spokój, Maciek – odrzekła zrezygnowana dziewczyna. – Teraz to i tak jeden pies... Co miał się dowiedzieć, to się już dowiedział. Gawra, zniszcz to jak najszybciej i bierzemy się za sprzątanie tego bajzlu – dodała pośępnie, a Antek usłyszał już tylko dwa ostatnie zdania – zakłócone szumem niszczonego nadajnika – wymienione pomiędzy kapitanem Abakiewiczem a panią kapitan Lili.

– Jak ci z góry dowiedzą się, że namierzono naszą nową, dopiero co kupioną miejscówkę, to mamy przesrane...

– Przysięgam, że znajdę tego sukinsyna i bez pytania odstrzelę mu łeb! – zarzekła się donośnie dziewczyna.

Po tych słowach sygnał całkowicie zanikł, gdyż zapewne mężczyzna o imieniu Gawra skutecznie unieszkodliwił pluskwę. Antek odniósł jednak wrażenie, że harda pani kapitan na koniec swojej wypowiedzi umyślnie podniosła głos, aby i on dobrze dosłyszał jej obietnicę.

– Hmm... A więc ta wasza miejscówka to jakaś willa Mira... To tam macie swoją lisią norę... – skomentował. – Jednak, urocza pani kapitan z tym swoim kochasiem będą się musieli nieźle napocić, jeżeli chcą urządzić sobie takie polowanie, na jakie ona miała ochotę – podsumował myśli Antek, po czym jednym ruchem ręki zgarnął cały sprzęt z maski samochodu i wrzucił go do plecaka.

Minęło południe pierwszego dnia dwa tysiące trzydziestego roku. Zapewne większość mężczyzn w Polsce raczyła się teraz gorącym świątecznym rosołem, powoli dochodząc do siebie. Niestety nie było to dane Antkowi, który zostawiwszy swojego ulubionego fordka f-150 na pastwę puszczy, z plecakiem na ramieniu zmierzał pieszo w stronę Krakowa. Rana postrzałowa, mimo że przestała krwawić, zaczerwieniła się i okropnie nabrzmiała. Chłopak nie miał przy sobie więcej leków, a poranna dawka penicyliny przestawała już działać. Wraz z kolejnymi kilometrami pieszej przeprawy przez leśne ostępy zaczęły męczyć go więc drgawki i wysoka temperatura. Co prawda udało mu się przedostać samochodem niemal do samego centrum puszczy – skracając tym samym nieco drogi – ale i tak do centrum Krakowa nawigacja wskazywała jeszcze nieco ponad siedem godzin marszu.

Zaledwie po dwudziestu minutach od rozpoczęcia pieszej wędrówki chłopaka zastała niecodzienna sytuacja – na wąskiej, zaśnieżonej leśnej dróżce naprzeciw niego stanął dumnie pewien jegomość. Był to olbrzymi i dostojny żubr – zapewne jeden z tych, które parę lat temu zostały wypuszczone na wolność z tutejszej hodowli. Antek stanął w miejscu i w milczeniu przyglądał się z podziwem zwierzęciu. Żubr także się zatrzymał, jakby zaciekawiony spotkanym przybyszem, i podobnie utkwiał wzrok w chłopaku.

Przez kilkadziesiąt sekund oboje patrzyli tak na siebie, stojąc nieruchomo i milcząc. Antek przypomniał sobie, ile to razy próbował wytłumaczyć amerykańskim Marines – w ramach integracji przy popularnej polskiej wódce z trawą żubrową – że ich bizon, a nasz żubr, to nie jedno i to samo... Uśmiechnął się więc pod nosem na myśl o dawnych, przyjemnych latach i powiedział cicho, jednocześnie kłaniając się z szacunkiem potężnemu zwierzęciu.

– Przypilnuj mi fury, kolego...

Żubr mruknął niskim, groźnym tonem, wypuszczając przy tym obficie skłębioną parę z pyska, jakby zrozumiał prośbę, po czym odwrócił monumentalny łeb i ruszył leniwym krokiem w stronę pokrytego śniegiem gąszczu.

Może to jakiś dobry znak – pomyślał Antek i z trudem zmuszając się do pierwszego kroku, ruszył w stronę zachodniego skraju puszczy.

Gdyby nie znajomości, jakie nawiązał, uczestnicząc w dziesiątkach szkoleń służb specjalnych na całym świecie, ludzie z Polonorum namierzyliby go bez problemu... Chociażby poprzez sygnały ze smartplastera i włączonej w nim nawigacji. Najnowocześniejszy sprzęt i genialni polscy hakerzy, jakimi dysponowała organizacja, byli teraz w stanie w każdym miejscu na ziemi odszukać i śledzić urządzenie, które przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny znajdowało się w okolicy domu Antka w Bieszczadach. Nawet jeśli zostałyby ono zamienione na inne, to do identyfikacji wystarczyłby styl pisania maili przez śledzonego, częstotliwość wybierania znaków na klawiaturze, bądź po prostu próbka głosu. Program oparty na specjalnie stworzonym do tego wzorze matematycznym był w stanie określić właściciela urządzenia z dokładnością do dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięć procent.

Drugą opcją byłyby funkcje życiowe, które smartplaster cały czas wysyła do najbliższych jednostek pogotowia ratunkowego. Jeżeli stan osoby pogorszyłby się do tego stopnia, że nie mogłaby ona zadzwonić po ratunek, urządzenie zrobiłoby to za nią. Oczywiście więc rzeczą było to, że ludzie z organizacji bardzo szybko znaleźliby osobę poruszającą się gdzieś po lesie z objawami wskazującymi na ciężkie obrażenia ciała. Po trzecie, wystarczyłby nasłuch – nawet przez wyłączony smartplaster osoby znajdującej się w pobliżu Antka, za pomocą którego inny szpiegowski program rozpoznałby jego barwę głosu. Jednak dzięki wspomnianym wcześniej znajomościom, które skrzętnie nawiązywał, głównie w Stanach Zjednoczonych, on także miał dostęp do najnowszych technologii, z których korzystają służby, a które są niezbędne w profesji, do której tyle lat się przygotowywał.

Kiedyś w zamian za pomoc udzieloną dobremu, poznanemu niegdyś w Baltimore koledze z południowokoreańskiego wywiadu Antek otrzymał najnowszą wersję oprogramowania FTMS i zainstalował ją na wszystkich swoich kompatybilnych ze smartplastrem urządzeniach. Było to genialne oprogramowanie, które w sposób losowy mieszało i deformowało zarówno zwykły sygnał rozmowy telefonicznej, jak i wszystkie dane przesyłane z tego urządzenia, tak że były one bezużyteczne dla innych znanych programów śledzących – nawet dla najnowszej, uaktualnionej wersji amerykańskiego Prisma.

FTMS – w środowisku wywiadowczym zwany potocznie Fantomasem – stał się prawdziwym rarytasem i z czasem każdy, kto zajmował się nielegalnym pozyskiwaniem jakichś informacji, chciał go mieć dla siebie. Był przede wszystkim dużym utrapieniem dla wywiadu amerykańskiego, gdyż odkąd stworzyli go Chińczycy, dane, które o swoich wrogach gromadziła amerykańska National Security Agency oraz inne połączone z nią agencje, z czasem stały się nielogiczne, zdeformowane i nic niewarte. Odszyfrowywanie oraz systematyzowanie niekompletnych pozbawionych logiki danych także nie miało sensu, ponieważ było żmudne i długotrwałe, a przy milionach obserwowanych cywilów dziennie okazało się także bardzo kosztowne.

Oczywiście Chińczycy dostarczyli Fantomasa komu trzeba, aby również ich partnerzy biznesowi i militarni mogli bronić się przed niepożądaną amerykańską inwigilacją. Nie dziwota jednak, że po dostaniu się tego programu w ręce rosyjskich służb, stał się on znacznie szerzej dostępny i bardzo szybko zyskał na popularności – zwłaszcza na czarnych rynkach całego postsowieckiego świata.

Dziś właściwie korzystały z niego już niemal wszystkie agencje wywiadowcze. Odkąd wyszło na jaw, że administracja Baracka Obamy za pośrednictwem amerykańskiej agencji NAS miała na podsłuchu, poprzez zwykły telefon VoIP, byłą kanclerz Niemiec Angelę Merkel, program przejęli i zmodyfikowali na swoje potrzeby nawet Niemcy. Natomiast Chińczycy zaczęli pracę nad jego stworzeniem, od czasu gdy Edward Snowden dostarczył dla „The Washington Post” oraz „The Guardian” informacje o amerykańskim programie Prism, szpiegującym

wpływowym ludzi, ale także zwykłych obywateli na całym świecie. Miało to miejsce jakieś siedemnaście lat wcześniej. W każdym razie dopóki dobrze zabezpieczony Antek nadal tkwił zaszyty gdzieś w zaśnieżonych ostępach Puszczy Niepołomickiej – z dala od kamer miejskich i innych tego typu rejestratorów – można było powiedzieć, że był prawie bezpieczny.

Dzień za to dłużył się niemiłosiernie. Po około trzech godzinach Antek zboczył w swym marszu nieznacznie na północ i dotarł do Wisły. Aby nie zwracać uwagi mieszkańców pobliskich miejscowości, roztropnie zdecydował się pójść jej południowym brzegiem. Około godziny dziewiętnastej, gdy nad Krakowem rozciągała się już gwiazdzista, mroźna noc, na wysokości elektrociepłowni Kraków Łęg Antek zauważył trzech mężczyzn siedzących na wale przeciwpowodziowym i palących niewielkie ognisko. Pod wałem stał – zapewne należący do nich – stary rozklekotany samochód. Chłopak pomyślał, że sam czuje się teraz jak taki rozklekotany, ludzki wrak – wycieńczony, obolały, z doskwierającą mu wysoką gorączką po ranie postrzałowej i nieprzespanej nocy. Wiedział jednak, że nie może się nigdzie na dłużej zatrzymać. Rana, co prawda, nie zagrażała życiu, ale mimo to stracił już sporo krwi. Gdyby usiadł i odpoczął, osłabione i złane potem ciało wychłodziłoby się w przeciągu kilkunastu minut.

Mężczyźni także zorientowali się, że ktoś idzie wzdłuż wału w ich stronę, tak więc jeden z nich – nie czekając na przybycie nieznajomego – zawołał z daleka chrypliwym, pijackim głosem:

– Kolego?! Jak masz ze sobą jakiego procenta, to chodźcie do nas! Zapraszamy!

Antek przezornie nic mu jednak nie odpowiedział, tylko powoli zbliżył się do biesiadującego towarzystwa.

– Chyba się chłop dobrze porobił w sylwestra, bo jeszcze mówić nie może – zażartował drugi z mężczyzn, śmiejąc się równie chrypliwie.

Chłopak włączył więc szybko na swoim smartplastrze opcję zagłuszania sygnałów emitowanych w promieniu kilkunastu metrów – na wypadek, gdyby któryś z kloszardów miał ze sobą telefon – po czym cicho zapytał:

– Macie panowie coś do picia? Oczywiście dobrze zapłacę – zapewnił, po czym roztarł wymownie zeszywniałe od mrozu dłonie.

– Oj, kolego... Ty nie jesteś wcale nabzdryngolony – dodał trzeci zaskakująco przyjemnym i ciepłym głosem.

– Jestem trzeźwy... – zapewnił Antek, zastanawiając się, czy ma to w tym wypadku w ogóle jakieś znaczenie.

– Trzeźwy jak ksiądz po kolędzie – zażartował pijaczek. – Ale i tak widać, że coś z tobą nie za dobrze... Ktoś ci chyba zdrowo poobijał buźkę – dokończył, przyglądając się Antkowi z dziwną troskliwością.

– Wszystko okej... To tylko takie tam... sylwestrowe przepychanki... Nie ma się czym przejmować – zapewnił go chłopak, podchodząc bliżej paleniska.

– Jak uważasz, młody przyjacielu... Ja nazywam się Oleś – przedstawił się w końcu mężczyzna, w iście teatralny sposób zginając się wpół. – Herbatki to my tu nie mamy, ale chyba nie pogardzisz tanim krakowskim grzańcem! – dodał, wskazując ręką na rozgrzany, parujący goździkowym aromatem płyn.

– Cokolwiek, panie Oleś... Cokolwiek płynnego... – odparł bardziej teraz widoczny w blasku płomieni, blady jak ściana Antek.

Mężczyzna nabrał więc wina z okopconego, żeliwnego kociołka, który wisiał nad ogniskiem, i przelał go do emaliowanego, blaszanego kubka.

– Panowie, znacie może jakiś dobrze odśnieżony skrót do centrum? – zapytał, biorąc pierwszy łyk kojącego trunku.

– Do centrum, nieboraku, to ty dziś w takim stanie nie dojdiesz – odpowiedział mu Oleś. – Nie wiem, skąd żeś jest ani dlaczego wyglądasz, jakbyś zaraz miał wyzionąć ducha, ale wiem jedno, że do centrum to ty już dziś nie dasz rady... – przekonywał ojcowskim tonem.

– A przed kim ty, kolego, spieprzasz, że zamiast jechać komunikacją, idziesz do miasta takimi zadupiami? – celnie zauważył mężczyzna z zachrypniętym głosem.

– A jeżeli nie odpowiem, to mogę się tu jeszcze chwilę zagrzać czy będę się musiał zwijać? – odparł mu smętnym głosem Antek.

– Jak masz tylko grosza na zrzutkę, to siedź se tutaj i do białego rana – odpowiedział, śmiejąc się chrapliwie, trzeci z meneli.

Antek wyciągnął więc dwadzieścia euro z kieszeni i rzucił na prowizoryczną ławeczkę, którą to lokalni pijaczkowie wykonali sobie z deski i dwóch szarych pustaków.

– Styknie? – zapytał Antek, zerkając niepewnie na trójkę podchmielonych towarzyszy.

– Styknie, styknie... Aż zanadto... – Oleś się uśmiechnął, podnosząc banknot z ławeczki i wręczając go koledze po lewej.

– W sumie to fajna ta miejscówka, panie Oleś... taka... outsiderska... – zauważył chłopak, pociągając kolejny łyk rozgrzewającego napoju.

– Bo widzisz, kolego, my tu tak lubimy sobie we trójkę posiedzieć przy winku i kielbasce i o ile nie ma smogu, popatrzeć w gwiazdy na świeżym powietrzu. – Mówiąc to, podał Antkowi słuszną porcję dopiero co upieczonej śląskiej, dodając z nieukrywaną satysfakcją: – Nam w życiu wiele do szczęścia nie potrzeba... Dlatego jesteśmy wolni, wolni od inwigilowanego świata. Nikt się nami nie interesuje, toteż nikt o nas nic nie wie...

Chłopak nic na to nie odpowiedział, tylko z grzeczności przytaknął. Był już tak potwornie głodny, że nieco nazbyt łapczywie zabrał się za konsumowanie pachnącego bukowym dymem, tłusciutkiego rarytasu.

– Spokojnie, chłopie, siądźże i zjedźże jak człowiek – zareagował Oleś typową krakowską gwara, szczerze rozbawiony pośpiechem, z jakim nowo przybyły pochłaniał kolejne kęsy kielbasy. – Nikt cię tu przecież nie goni, chyba... – dodał, wskazując ręką na prowizoryczną ławeczkę.

Natomiast Antek, zaspokoiwszy już sowitymi kęsami pierwszy głód, uśmiechnął się tylko nieznacznie, jakby przyznając pijaczkowi rację, po czym usiadł potulnie naprzeciw ogniska. W końcu po kilku minutach wpatrywania się w ogień i po drugim garnuszku gorącego wina poczuł, że jego ciało powoli zaczyna odtajać. Prawdę mówiąc, Antek nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie

mu przyjemnie w tak niewybrednym miejscu, i do tego w towarzystwie trzech drobnych kloszardów – przeważnie omijał tego typu towarzystwo z daleka.

Kojąca chwila trwała w najlepsze, ogień wdzięcznie migotał, a przez głowę Antka zaczęły z wolna przewijać się wspomnienia z dzieciństwa, zwłaszcza te, gdy zimą palili z ojcem i dziadkiem podobne ogniska w mroźnym syberyjskim Irkucku. Poza tym – ku jego zadowoleniu – nikt go już o nic więcej nie pytał i tylko co jakiś czas któryś z panów zastanawiał się głośno nad tym, „co teraz będzie, jak tyj Unii nie będzie...”.

– Hej ty, majster, ty nam tu nie zasypiaj! – Pochłaniający Antka błogostan został nagle drastycznie przerwany przez potrząsającą nim rękę Olesia. – Nie uśmiecha nam się dzisiaj dzwonić po łapiduchy, zresztą nie mamy nawet z czego – dodał żartobliwie mały, wąty pijaczek.

Rzeczywiście gdy Antek ocknął się z letargu i przetaił zmęczone oczy, spostrzegł, że przysnęło mu się na dłuższą chwilę. Drzemiąc sobie słodko, nie zauważył nawet, że trzej panowie zdążyli zgasić już ognisko i każdy powoli zabiera się w swoją stronę.

– Chodź, przyjacielu, przekimasz się u mnie – zaproponował niespodziewanie Oleś, łapiąc Antka pod rękę.

– Serio? – odparł szczerze zaskoczony chłopak.

– Oczywiście, że serio... Nie mam, co prawda, apartamentów, ale mieszkam za to bardzo blisko. To stary domek w ogródku działkowym, dosłownie rzut beretem stąd – wytłumaczył przyjaźnie.

– Wygląda na to, że w tej sytuacji jest to dla mnie propozycja nie do odrzucenia, panie Oleś – odpowiedział sennym głosem Antek, podnosząc się flegmatycznie z ławeczki i z trudem dźwigając plecak z ziemi.

– Owszem... Myślę też, że w tej sytuacji mógłbyś się mi w końcu przedstawić. Przynajmniej z imienia – zaproponował z lekkim uśmiechem Oleś.

– Jestem Antoni – oznajmił, podając pijaczkowi rękę. – I dla pańskiego bezpieczeństwa na tym etapie zakończmy nasze zapoznawanie, panie Oleś – dodał.



– Miło mi poznać – odrzekł umorusany i nieprzyjemnie cuchnący mężczyzna w średnim wieku, po czym ostrożnie uścisnął posiniaczoną i poranioną dłoń zagadkowego przybysza.

Po około piętnastu minutach Antek leżał już wygodnie w swoim śpiworze rozłożonym na starym, zakurzonym tapczanie, znajdującym się w rogu mogącego wywołać klaustrofobię, zaniedbanego aneksu kuchennego. I chociaż miejsce to nie było – delikatnie mówiąc – najczystsze i najprzyjemniejsze, chłopak czuł, że w tym momencie jego ciało i dusza nie potrzebują do szczęścia niczego więcej, jak tylko głębokiego snu. Ustawił więc alarm w swoim smartplastrze na szóstą trzydzieści rano i zamknął znużone oczy, a po kilkunastu sekundach spał jak zabity.

# MAV

Unosząca się woń przygotowywanego śniadania wyrwała Antka z przyjemnego snu. Gospodarz domu plątał się po zagraconej kuchni, nucąc pod nosem jakąś popularną melodię. Była szósta dwadzieścia rano. Za dziesięć minut miał zadzwonić budzik, ale chłopak, czując cudowny zapach roztopiającego się masła, nie zamierzał przedłużyć snu nawet o minutę.

– Środa minie, tydzień zginie! – zawołał wesoło Oleś, spostrzegłszy, że jego gość właśnie się przebudził.

– Nommm... – odpowiedział Antek rozespanym głosem i z bolesnym grymasem na twarzy podźwignął z legowiska swój poobijany tułów.

– To co, Antoś, jajeczniczka z kiełbaską, groszkiem cukrowym i pieczarkami? – zapytał szeroko uśmiechnięty gospodarz.

– Czytasz w moich myślach – odpowiedział Antek, ziewając szeroko i rozglądając się wkoło.

Dopiero teraz dostrzegł, jak obskurne i zaniedbane było to lokum. Oleś rezydował w klasycznym domku, które znajdują się w ogródkach działkowych, jednak generalny remont tego lokalu miał zapewne miejsce co najmniej w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku – krótko mówiąc, była to po prostu zwykła, cuchnąca rudera. Mimo to Antek miał wrażenie, że ze względu na miłe towarzystwo i zwykłą wdzięczność nie zamieniłby proponowanego przez Olesia śniadania na żaden pięciogwiazdkowy hotelowy bufet.

– No co, Antoś? Nie byłeś nigdy wcześniej na pijackiej melinie? – zapytał z uśmiechem gospodarz, widząc rozglądającego się wkoło gościa.

– Nooo szczerze mówiąc pierwszy raz mam ten zaszczyt – odpowiedział niepewnie Antek, nie chcąc w żadnym wypadku urazić życzliwego gospodarza.

– Wszystkiego trzeba w życiu spróbować – odparł niczym niezrażony Oleś, podając zmarnowanemu przybyszowi talerz wyjątkowo – jak na otaczającą ich scenerię – wykwintnie wyglądającej jajecznicy.

– Nie jestem pewien, czy wszystkiego, ale tego specjału spróbuję z przyjemnością – skomentował Antek, pilnie zabierając się do jedzenia.

– Dobra, nie zagaduję już, bo widzę, żeś głodny... – mruknął kloszard, podśmiewając się pod nosem.

– Ty, Oleś! – odrzekł mu Antek, z ustami pełnymi jedzenia.

– Tak? – zapytał mimowolnie pijaczek z widoczną satysfakcją na twarzy.

– Ty! To dobre jest! Bardzo dobre! – oznajmił, łapczywie pochłaniając kolejne kęsy smakowitego posiłku.

– Serio? – zażartował Oleś, nieudolnie udając zdziwienie, gdyż był zapewne świadom swoich niepospolitych umiejętności kulinarnych.

– Człowieku! To jest wprost wyśmienite! Naprawdę zawodowa jajecznic! Stołowałem się wielu miejscach na świecie, ale nigdy takiej nie jadłem! Gdzie się nauczyłeś robić takie cudo?! – zachwycił się chłopak, wylizując talerz do czysta.

– No nie chwaląc się... Osiemnaście lat praktyki w prestiżowych restauracjach i ekskluzywnych hotelach w całej Polsce. Byłem całkiem dobry... Raz nawet, w jednej takiej niedużej knajpce pod Warszawą, wraz z naszym szefem zdobyliśmy gwiazdkę Michelin... Niestety, jak to zwykle w gastronomii bywa, dawaliśmy często w palnik, no i potem jakoś tak wszystko popłynęło: praca, rodzina, pieniądze i jak już nie zostało mi dosłownie nic, to odpłynęli ode mnie nawet ostatni przyjaciele z branży... – wytłumaczył, unosząc brwi i wzdychając ciężko.

– A powiedz mi, Oleś, kogo było to stare gnijące mondeo zaparkowane pod wałem.

– Aaa... Tak się składa, że moje – odpowiedział zdziwiony tym pytaniem pijaczek.

– Nie spyliłbyś mi go za parę stówek? – zaproponował prosto z mostu Antek.

– He! – zaśmiał się Oleś. – A na co ci taki trup? On nawet nie jest zarejestrowany ani ubezpieczony. Jeżdżę nim tylko po okolicy: na bazar, na ryby, czasem podjadę do Biedry po transporter piwa, żeby nie dźwigać.

– To idealnie! Właśnie o coś takiego mi chodzi... Zależy mi, żeby nie widniał w żadnych rejestrach – przekonywał chłopak.

– Widzisz, przyjacielu, jak dostanę za niego kasę, to w tydzień z chłopakami ją przepijemy... A tak to autko jest całkiem przydatne... – zapierał się nieprzekonany.

– Dobrze... W takim razie pożyczę je od ciebie i zapłacę, a gdy już załatwię swoje sprawy, oddam ci je z powrotem – zaproponował Antek. – Ile chcesz za wypożyczenie? Trzysta euro wystarczy? – dodał z entuzjazmem.

– Ile?! – Olesia aż zatkało, gdy usłyszał podaną sumę.

– Co, mało? – zdziwił się Antek.

– Nie! Raczej za dużo... Co ja zrobię z tą kasą? – zastanawiał się głośno.

– To już twoja broszka, Oleś... Ja potrzebuję go dosłownie na kilka dni... – Chłopak rozłożył ręce w geście wolnego wyboru. – To jak, pożyczysz czy nie? – dodał energicznie.

– Aaa, bierz go sobie! – uległ w końcu Oleś, machając lekceważąco ręką.

– Ha, ha! – zaśmiał się Antek. – Myślałem, że się dłużej potargujemy, ale widzę, że handlarz to z ciebie marny...

– Żebyś wiedział... – Kłoszard roześmiał się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– A tak nawiasem mówiąc, mogę tu skorzystać z jakiejś toalety? – Antek nagle zmienił temat, a uczynny gospodarz natychmiast odsunął brudną, cuchnącą zasłonę zakrywającą wyłożoną kafelkami wnękę, w której znajdował się obskurny sedes i niewielka, pokryta pleśnią i rdzą, rozpadająca się kabina prysznicowa.

Po około czterdziestu minutach szli już obaj w stronę miejsca, gdzie odbyło się wczorajsze, nieplanowane przez Antka grillowanie. Dziś chłopak czuł się o wiele

lepiej. Wykąpany, ze zmienionymi, świeżymi opatrunkami, z każdą minutą nabierał siły do dalszej walki. I chociaż wysoka temperatura i ból nadal mu dokuczały, to siedem godzin snu i porządne, sycące śniadanie zrobiły swoje... Teraz pozostawało mu już tylko i aż kontynuować zamierzone zadanie, czyli odbić Bonę i nie dać się przy tym samemu zabić.

Gdy doszli na miejsce, Antek natychmiast zrozumiał, dlaczego owa zacna pijacka kompania umawiała się właśnie tutaj. Była to jedna z tych miejscówek, które bez wahania można było nazwać kwintesencją rolniczo-industrialnych krajobrazów rozciągających się na całej szerokości Polski – nieskazitelnie białe pola, skuta grubym lodem Wisła, oszronione wierzby, a w tle potężne kominy elektrociepłowni. Cały ten widok był jakby rodem z obrazów Jakuba Różalskiego, którego Antek był wielkim miłośnikiem.

– A więc, drogi przyjacielu – zaczął Oleś, wyrywając Antka z zamyślenia – widzisz tę szutrową drogę? – zapytał, wskazując palcem.

Chłopak potwierdził.

– Dostaniesz się nią wprost na wał. Następnie przejedziesz po nim około trzystu metrów i zjedziesz w prawo w ulicę Mały Płaszów. To najszybsza droga, żeby dotrzeć do głównej arterii – poinstruował.

– Dzięki! Dam sobie radę! – zapewnił Antek. – A jeżeli wszystko się potoczy po mojej myśli i szybko załatwię moje sprawy, wtedy może przy okazji zwrócenia samochodu odwiedzę cię z jakimś dobrym trunkiem – zaproponował.

– Wpadaj, kiedy tylko chcesz! – oznajmił zachęcony obietnicą Oleś.

– Cholera! – Antek nagle westchnął, nerwowo sprawdzając kieszenie swojej puchowej kurtki.

– Co takiego?

– Zostawiłem u ciebie na łóżku Biblię! – wyjaśnił, jak gdyby mówił o jakimś całkowicie pospolitym artykule codziennego użytku.

– Co zostawiłeś?! – zapytał zdziwiony Oleś, rozszerzając oczy, jakby nie dość dokładnie dosłyszał, co chłopak przed chwilą powiedział.

– Moją kieszonkową Biblię. Taką w zielonej wojskowej okładce moro... Na pierwszy rzut oka wygląda jak zwykły kalendarzyk wojskowy, trochę zniszczona... Zresztą nieważne... Załatwię sobie nową – wyjaśnił.

– Widzę, że czytujesz całkowicie niszową twórczość, jak na dzisiejsze czasy... – przyznał pijaczek, uśmiechając się lekko.

– Wstyd się przyznać, ale szczerze mówiąc, niezbyt często otwieram ją do czytania... Raczej używam jej do innych celów – przyznał enigmatycznie chłopak.

– Tak? A niby do czego? – dopytywał zaintrygowany informacją nowo poznany kolega.

– Na przykład gdy chcę komuś wysłać niejawną wiadomość... Używam wtedy pewnych kombinacji liter z tej książeczki i układam je według odpowiedniego klucza. Stary, ale sprawdzony sposób kodowania – wyjaśnił.

– Muszę przyznać, że coraz bardziej zastanawia mnie twoja osoba... – przyznał Oleś, drapiąc się w zamyśleniu po głowie.

– I dlatego czas się już pożegnać, a tę Biblię możesz sobie zatrzymać. Może ci się przez te parę dni do czegoś przyda... – Antek machnął ręką.

– Zatrzymam ją do czasu, aż mnie kolejny raz odwiedzisz – zapewnił gospodarz. – Chociaż coś mi mówi, że nie pojawisz się u mnie tak prędko, jak myślisz – dodał ze szczerym przekonaniem.

– Kto wie... W każdym razie dziękuję ci serdecznie za pomoc! Jajecznicą pierwsza klasa! – zawołał entuzjastycznie Antek i powoli wgramolił się do mocno zardzewiałego, obskurnego sedana.

Oleś na pożegnanie uśmiechnął się jeszcze do niego szerokim, niekompletnym uśmiechem i pomachał energicznie trzema banknotami, które Antek wręczył mu w zamian za użyczenie własnego środka transportu.

Dochodziła ósma rano, gdy Antek dotarł do dzielnicy Podgórze i zaparkował auto na parkingu znajdującym się w pobliżu starego kamieniołomu o egzotycznej nazwie „Liban”. Jadąc tutaj, założył okulary oraz kaptur, aby trudniej było rozpoznać jego twarz, w razie gdyby zarejestrowała go któraś z omijanych przez

niego miejskich kamer. Następnie zamknął auto, rozejrzał się uważniej wkoło, sprawdzając, czy aby nikt go nie śledzi, i z plecakiem na ramieniu udał się w głąb kamieniołomu. Znalazłszy zasłonięte drzewami ustronne miejsce – nieopodal płotu kolczastego, który służył niegdyś jako scenografia do filmu Stevena Spielberga *Lista Schindlera* – usadowił się na dużym kamieniu i zaczął wypakowywać plecak.

Czas się wykazać w zimowych warunkach, panowie – pomyślał, wyciągając z plecaka malutką, srebrną walizeczkę z napisem „MAV”.

W metalowym futerale znajdowało się osiem przypiętych do miękkiego materiału naturalnych rozmiarów owadów. Były to: jedna ważka, trzy szerszenie, trzmiel i trzy motyle. Antek wyciągnął najpierw trzmiela, którego nie sposób było odróżnić od żywego, i wetknął mu w odwłok jakąś maluteńką pinezkę. Trzmiel natychmiast odfrunął z jego ręki, robiąc przy tym małe kółko, po czym zawisł nad jego głową, czekając w gotowości.

– Zamontowałem ci, kolego, najnowszy dostępny rejestrator dźwięku. Zobaczymy, jak sobie poradzisz... – zwrócił się do latającego mechanizmu, jak gdyby zwracał się do całkiem rozumnej istoty, a następnie wyciągnął ze swojego plecaka tabthina Sony, uruchamiając w nim mobilny internet.

– Co my tu mamy? – powiedział do siebie cicho, po czym otworzył pierwszą lepszą stronę z tekstem pod tytułem *Willa Mira – XIXth century unique real estate*. – No, no... – Pokręcił głową. – Widzę, że koledzy z Polonorum nie łątają budżetu, skoro stać ich na takie architektoniczne perełki – skomentował, przyglądając się zdjęciom budynku.

Kliknął w „Info” i wyświetlił się następujący tekst:

Willa Mira jest zlokalizowana w historycznej części dzielnicy Podgórze, na legendarnym wzgórzu Lasoty, u zbiegu ulicy Parkowej i placu Lasoty. Została wzniesiona w 1896 roku według projektu jednego z najzdolniejszych w tamtym czasie architektów – Józefa Kryłowskiego. Pierwszym właścicielem, a zarazem inwestorem budowy był znany, zamożny podgórski aptekarz i przedsiębiorca Dyonizy Matula. Willa

sprawia wrażenie średniowiecznej twierdzy, dzięki swojej zjawiskowej strzelistej wieży i posadowieniu na masywnej skale. Południowa fasada ma zdecydowanie bardziej warowny charakter, między innymi za sprawą otworów strzelniczych usadowionych w wapiennym murze. Klimat średniowiecza można zauważyć również w piwnicach. Łukowe sklepienia, połączone z naturalnie wychodzącymi skałami, stwarzają atmosferę rodem z zamkowych lochów. W ogrodzie willi znajduje się również głęboka na trzydzieści metrów studnia, wykuta w głąb wzgórza Lasoty. Od niedawna obiekt ma nowego prywatnego właściciela.

– Bla, bla, bla i tak dalej, i tak dalej... Tyle wiadomości zdecydowanie mi wystarczy – skwitował zdawkowo Antek i podniósł wzrok na zawieszony nad jego głową trzmiela.

– To co, mały, przelecimy się? – z ojcowską czułością zwrócił się do entuzjastycznie poruszającego skrzydełkami MAV-a.

Micro Air Vehicles był produktem najszybciej rozwijającej się gałęzi zbrojeniowo-szpiegowskiej w amerykańskiej armii w ostatnim dziesięcioleciu. Komplet szpiegowskich owadów, które posiadał Antek, był już co prawda nieco przestarzały, ale na jego potrzeby zdecydowanie wystarczający. Zakupił je nielegalnie od jednego znajomego oficera z jednostki Naval Air Weapons Station China Lake w Kalifornii. Po prostu komplet MAV-ów, który do niego nielegalnie trafił, zapodział się gdzieś przy utylizacji starego sprzętu. Antek wydał na niego wtedy sporą sumkę.

– No to jazda, mały! – rozkazał. – Odwiedzmy naszą czarnulkę i obejrzymy sobie tego jej przydupasa, kapitana Abakiewicza – dodał prześmiewczym tonem, a posłuszny trzmiel pofrunął wysoko w przestworza niczym prawdziwy żywy owad.

MAV-em sterowało się za pomocą smartplastra – poruszając po nim palcem. Natomiast na ekranie tabthina można było śledzić obraz transmitowany z jego mikroskopowej kamery zamontowanej w czułkach. W znakomitej rozdzielczości



widać było, jak mały owad wzbija się ponad nieeksploatowany od lat, dziko zarośnięty kamieniołom, robi rundkę nad monumentalnie prezentującym się ośnieżonym Kopcem Krakusa, a następnie frunie w stronę wzgórza Lasoty.

Po paru minutach malutki robot, przez nikogo niezauważony, krążył już nad wysoką, zjawiskową willą. Antek uruchomił więc kilka dodatkowych opcji w ustawieniach, a następnie podleciał nim w kierunku okna. Gdyby nie fakt, że trzmielce nie latają zimą, z pewnością żaden człowiek nie byłby w stanie rozpoznać, czy jest to MAV, czy może prawdziwy, skonstruowany przez samego Stwórcę owad, dlatego też amerykańska armia w ostatnich latach tak dużo uwagi poświęcała tej dziedzinie techniki. MAV-y mogły przecież nie tylko niezauważone nagrywać, podsłuchiwać czy też śledzić wybrane cele, ale za pomocą tych małych sztucznych owadów można było dotrzeć niezauważonym do najbardziej zamkniętych, tajnych, doskonale strzeżonych pomieszczeń i na przykład użyć ich nasączonych toksyną żądań lub innych kompatybilnych narzędzi do cichego zlikwidowania poszukiwanego wroga.

Tymczasem rezolutny owad lekko odbił się od szyby i jakby nigdy nic przysiadł na czarnej, odrapanej futrynie. Antek przybliżył nieco obraz przesyłany z miniaturowej kamery i cierpliwie czekał, aż ktoś pojawi się w dużym ekskluzywnym pomieszczeniu z okazałym kominkiem, które zapewne pełniło funkcję salonu lub pokoju wspólnego. Czekał tak jednak blisko dziesięć minut, ale póki co nikt się w nim nie pokazał.

Hmm... – Westchnął. Chyba trzeba zmienić miejsce obserwacji, bo nic z tego nie będzie... – pomyślał, a chwilę później w pomieszczeniu pojawiła się jakaś postać.

By to wysoki, klasycznie ścięty, niezbyt masywnie zbudowany, ale za to postawny i z pewnością przystojny blondyn. Miał na sobie czarny smukły kombinezon, co wskazywało na to, że albo wyrusza na jakąś akcję, albo dopiero co z niej wrócił. Ruch jego ust świadczył o tym, że żywo dyskutuje z jakąś osobą, która najwyraźniej znajdowała się w innym pomieszczeniu.

– Muszę przestawić mikrofon na funkcję kierunkową i zwiększyć jego czułość – wyszeptał Antek i błyskawicznym ruchem palców wpisał nową komendę w programie sterującym MAV-em.

Niestety zabieg ten nie przyniósł spodziewanego efektu. Na ekranie tabthina nadal widać było, jak jasnowłosa mężczyzna porusza tylko bezgłośnie ustami.

– *Shit!* – przeklął Antek. – Mają tam założone specjalne, dźwiękoszczelne szyby – dodał, ale nie dając tak łatwo za wygraną, pośpiesznie uruchomił kolejny program, który miał w zanadrzu. – To powinno załatwić sprawę – mruknął pod nosem.

Aplikacja zaczęła się buforować i po paru sekundach w głośniku tabthina odezwał się bezpłciowy, mechaniczny lektor, który począł na głos przetwarzać to, co bezgłośnie wypowiadał mężczyzna widoczny na ekranie.

Był to standardowy program szpiegowski, wykorzystywany do czytania z ruchu warg zarejestrowanych przez kamerę – zazwyczaj bardzo skuteczny; problem pojawiał się dopiero wtedy, gdy śledzona osoba nagle odwracała się plecami do obserwatora lub też całkowicie znikwała z pola widzenia rejestratora wideo. Szczęśliwie jednak dla Antka w tej sytuacji blond włosy mężczyzna stał dokładnie vis-à-vis kamery zainstalowanej w czułkach trzmiela, tak więc program mógł działać bez zarzutu.

– Posłuchaj, Lili, chłopcy przez całą noc sprawdzali wszystko, co się tylko dało. Nigdzie nie ma śladu po tym kolesiu! Dosłownie jakby rozpułynał się w powietrzu – powiedział bez emocji lektor z programu, odczytując słowa z ruchów warg kapitana Abakiewicza.

– Tak, Lili – zarzekał się mężczyzna – wszystko zostało dokładnie sprawdzone. Jedyne trop, jaki ewentualnie mógłby być z nim związany, jest taki, że tego samego dnia w godzinach porannych w okolicach Bochni wiaduktem nad autostradą przemknął ciemnoniebieski pickup łudzaco podobny do tego bordowego, który stał pod ich domem – ciągnął lektor, ale niestety Antek nie mógł dowiedzieć się, co na

te wszystkie informacje Abakiewicza odpowiada dziewczyna, gdyż znajdowała się ona poza zasięgiem kamery.

– Tak, dokładnie! Niedaleko Bochni... Wiadukt nad A4... – powtórzył mężczyzna i w tym momencie do pomieszczenia weszła blada, ciemnowłosa dziewczyna. Program natychmiast wyłapał pierwsze słowa, które wypowiedziała, a lektor przekazał je swoim monotonnym głosem.

– To był on! Dobrze kombinuje, skubaniec... Wiedział, że jesteśmy w Krakowie, i chcąc się tutaj przedostać niezauważony, musiał udać się przez Puszcę Niepołomicką, a potem pewnie wzdłuż Wisły, z dala od zabudowań i miejskich kamer.

– Ale przez centrum już się tak łatwo nie prześlizgnie – zauważył Abakiewicz.

– Wiedząc już, jak mądrze działał do tej pory, nie byłabym tego taka pewna... – skomentowała dziewczyna, sprawiając wrażenie, jakby gorączkowo się nad czymś zastanawiała.

Nadal miała siną i poobijaną twarz, jednak zaczerwienienia wynikające z porażenia prądem znacznie zmalowały, co nie umknęło uwadze Antka. Nawet w tym stanie wyglądała jak milion dolarów. W przeciwieństwie do wysokiego blondyna nie była ubrana w czarny bojowy kombinezon, a zaledwie w ciemne legginsy z lycry oraz szarą, sportową, obcisłą koszulkę. Antek dostrzegł także, że na smukłych, zgrabnych ramionach zawieszona miała szelki z kaburami, a w nich dwa sig-sauery p226. Chłopak po raz drugi poczuł ten dziwny skurcz w brzuchu na myśl, że nie może z nią normalnie pogadać, gdyż jedyne, czego teraz pragnie od życia owa zabójcza piękność, to odnaleźć go i jak najszybciej wpakować mu kulkę w łeb.

– Lili, patrz, chyba będziemy mieli gości – zauważył Abakiewicz, wskazując ręką na duży ekran, który wisiał w kącie salonu, tuż nad kominkiem. Było na nim widać, jak na podjeździe willi zatrzymuje się czarny lincoln navigator – ten sam, który zajechał na posesję Antka w noc sylwestrową i którym uprowadzono Bonę. Z samochodu wyszli trzej mężczyźni.

– Super... To Paprocki, pewnie już wie o spieprzonej akcji – powiedziała z beznadzieją w głosie Lili.

– Spokojnie... Wiem, że będzie chciał mieć z tego satysfakcję, ale nie daj mu się podpuścić.

– Pff... Łatwo ci mówić, nie brałeś w tym udziału... – prychnęła dziewczyna.

– Luz... W razie gdyby rozmowa stanęła na ostrzu noża, wtedy wstawię się za tobą... – zapewniał Abakiewicz, ale zdenerwowana pani kapitan nic nie odpowiedziała, tylko wymownie przewróciła oczami.

– No proszę, proszę... Jaki dżentelmen z tego Abakiewicza – zaśmiał się pod nosem Antek. – Naprawdę nie wiem, co ona widzi w tym pajacowatym gogusiu – skomentował, z ciekawością obserwując scenę, która rozgrywała się teraz w krakowskiej siedzibie tajnej organizacji.

Po chwili w salonie pojawili się trzej przyjezdni. Antek w jednym z nich natychmiast rozpoznał oficera, który w noc sylwestrową przesłuchiwał Bonę. Podobnie jak ostatnio miał na sobie długi, czarny płaszcz i ogólnie wyglądał, jakby dopiero co wrócił z castingu do jakiegoś zimnowojennego filmu szpiegowskiego.

– Czołem, pułkowniku! – powiedzieli jednocześnie Lili i Abakiewicz.

Mężczyzna nic na to nie odpowiedział, tylko popatrzył na nich surowo, po czym zaczął z wolna:

– Nie macie nic do roboty?

– Właśnie wybieramy się na... – zaczęła niepewnie Lili.

– Właśnie, że nigdzie się nie wybieracie – przerwał jej natychmiast pułkownik Paprocki.

– Ale pułkowniku, jest taka sytuacja... To znaczy... – próbowała wyjaśnić dziewczyna.

– To znaczy – ponownie przerwał jej mężczyzna – że masz zaraz spisać mi raport z wczorajszej akcji oraz udostępnić nagrania zarejestrowane przez kamery znajdujące się w waszych goglach. Zostaną przekazane grupie śląskiej na potrzeby

wyczyszczenia tej śmierdzącej sprawy – dodał jakby z oznakami obrzydzenia przewijającymi się po zimnej, pomarszczonej twarzy.

– Ale pułkowniku, przysięgam, że dziś jeszcze go złapiemy! Właśnie ustalaliśmy, że... – zaczęła Lili.

– Gównu ustaliliście! – huknął niespodziewanie Paprocki. – Po pierwsze, czemu dowiaduję się o tym dopiero od „Białych”? A po drugie, chyba nie masz zamiaru wyskakiwać mi tu z jakimiś usprawiedliwieniami? Już dawno nikt nie przyniósł takiego wstydu organizacji i całemu programowi „Świtez”! – wypomniął groźnie, a wyraz jego twarzy był teraz tak lodowaty i bez życia, iż mechaniczny głos lektora przetwarzającego ruchy jego warg idealnie do niego pasował.

– Ja nie chcę się tłumaczyć, tylko... – kolejny raz zaczęła Lili.

– Tylko trzech elitarnych agentów Polonorum nie poradziło sobie z jakimś wieśniakiem z koziej dupy – po raz kolejny przerwał jej niezainteresowany jakimikolwiek wyjaśnieniami pułkownik.

Poczekaj... Ja ci dam wieśniaka z koziej dupy, ty siwy pingwinie... – skomentował w myślach Antek.

– Panie pułkowniku, to był po prostu błąd w przygotowaniu operacji! Ten mężczyzna... – nadal próbowała wyjaśnić dziewczyna.

– Jedynymi błędami, które tu widzę, są niesubordynacja i niepoinformowanie mnie o waszym partactwie, przez które istnieje teraz realne zagrożenie wypłynięcia na światło dzienne informacji o naszej organizacji! Z tego powodu dwóch twoich podwładnych właśnie zostało zawieszonych do odwołania! Jak tylko wyjdą z kliniki, zostaną zdegradowani, cofnięci do programu szkoleniowego i wysłani na obozy karne! Ciebie nie zawiesiłem tylko dlatego, że nie zostałeś tak hańbiąco obezwładniony i upokorzony przez tego leśnego harcerzyka! – ciągnął rozwścieczony pułkownik.

– Ale panie pułkowniku – wtrąciła tym razem bardziej stanowczo dziewczyna.

– Nie przerywaj mi, uparta dziewczucho! – zagrzmiął Paprocki.

– Tak jest... – odparła Lili, wyraźnie tracąc rezon.

– I pamiętaj, że jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie jakieś pieprzenie o źle przygotowanej akcji, to zmienię zdanie w sprawie twojego zawieszenia – zagroził.

No cóż... W każdej organizacji, musi znaleźć się jakiś kutas... – skomentował w duchu Antek, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ale panie pułkowniku, proszę mi dać dojść do słowa – powiedziała w końcu Lili o wiele ciszej i spokojniej niż poprzednio.

– Mów – zezwolił sucho Paprocki.

– Bo jest jeszcze jedna sprawa... – zaczęła niejasno.

– Jaka znów sprawa, do cholery?! – warknął pułkownik, cynicznie udając zaniepokojenie.

– Proszę mi dać jak najszybciej doprowadzić tę akcję do końca, bo on... – Lili zawahała się na chwilę.

– Co on?! – ponaglił ją Paprocki, a jego mina wskazywała na to, że nie ma w nim już krzty udawanej ciekawości i że emanuje od niego wprost szatańska dociekliwość.

– Bo... On... Wie o willi Mirze... – wydukała w końcu Lili, spuszczając wstydliwie wzrok z przełożonego.

– Co?! – ryknął zszokowany przełożony. I chociaż komputerowy lektor przekazał to bez emocji, to po twarzy pułkownika można było poznać, że jest na skraju wpadnięcia w obłęd. – Jakim cudem? – warknął jeszcze zajadlej. – Przecież jeśli nasze dowództwo się o tym dowie, to... – nie skończył zdania, za to począł masować się nerwowo po wielkim świejącym od potu czole.

– Niestety, panie pułkowniku, udało mu się założyć podsłuch – wtrąciła szybko dziewczyna, ponownie wbijając wzrok w podłogę.

– Idealnie! Wręcz cudownie! Jeszcze nam tego brakowało! – Zerknął pośpiesznie na swój smartplaster, wyraźnie myśląc nad czymś gorączkowo i dysząc przy tym jak rozwścieczony byk.

– Panie pułkowniku, niech mi pan pozwoli... – po raz kolejny ponowiła prośbę Lili.

– Ani słowa więcej, pani kapitan! – zgasił ją ostrym tonem. – Rozliczymy się za to później. Może być pani tego pewna! Póki co grupa likwidacyjna ze Śląska posprząta za was to całe gówno. I mogę się nawet z panią założyć, że chłopaki od Bojara załatwią to jeszcze przed północą. Bez żadnych idiotycznych tłumaczeń! – wycedził z obrzydliwie szyderczą miną.

– Tak jest, panie pułkowniku – przytaknęła potulnie Lili, z trudem maskując wstyd, ale także złość i pogardę dla bezwzględnego przełożonego.

– A ty – pułkownik zwrócił się niespodziewanie do milczącego jak grób Abakiewicza, który natychmiast wyprężył się jak struna – zabierzesz panią kapitan do głównej siedziby i tam zdacie oboje szczegółowy raport naszej generalicji ze wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Macie piętnaście minut na zebranie się! Jazda! – rozkazał surowo, po czym nie żegnając się nawet z podwładnymi, wypadł jak wichur z budynku, a za nim – niczym ponure cienie – wytoczyło się dwóch rosyjskich przybocznych ochroniarzy.

– Skoro wysłała grupę śląską wraz z Bojarem, to znaczy, że sam ma nieźle w portach i boi się szczegółowego audytu w tej sprawie – powiedział Abakiewicz zaraz po wyjściu znienawidzonego przełożonego.

– Wow! Grupa śląska, też mi wielkie rzeczy... – odparła z pogardą Lili, kolejny raz przewracając teatralnie oczami.

– Mów, co chcesz, ale chłopaki rzeczywiście działają tam szybko i skutecznie – zripostował Abakiewicz.

– Taa... Mogłam nie czekać i osobiście zacząć akcję wczoraj w nocy... Za to niepotrzebnie posłuchałam ciebie – odparła z wyrzutem dziewczyna, wpatrując się wściekle w swojego partnera.

– I szukałabyś igły w stogu siana, tracąc resztki sił i marnując czas. A tak mamy problem z głową i być może cały wieczór i noc tylko dla siebie...

– Żartujesz sobie?! – zapytała, przestrzegając Abakiewicza wzrokiem, aby ten dobrze zastanowił się nad tym, co chce jej jeszcze powiedzieć.

– No co?! Ekipa Bojara raz dwa wytropi tego leszcza i sprawa ucichnie – przekonywał.

– Wiesz co, tobie chyba już testosteron zrobił nieodwracalne uszkodzenia w mózgu... – prychnęła, kręcąc z zażenowaniem głową.

– To miał być komplement? – zapytał jakby nieco rozbawiony sytuacją Abakiewicz.

– Jeszcze czego – odpowiedziała sucho dziewczyna.

– Nie wiem, skąd to się bierze, ale czasem tylko bardziej mnie nakręcasz, gdy jesteś taka wścieknieta jak osa – oznajmił wprost, łapiąc ją łobuzersko za kosmyk włosów.

– Popieprzyło cię, Maciek?! – Lili natychmiast odepchnęła jego rękę. – Moi dwaj zaufani ludzie leżą teraz połamani i zdegradowani, ja muszę się kajać przed tym siwym bucem i jechać do dowództwa na zeznania. Do tego Bojar będzie dziś z całą swoją grupą oglądał upokarzające mnie nagranie z nieudanej akcji zarejestrowane przez kamerę z moich gogli! – wyliczała wściekle.

– I tak już nic na to nie poradzisz... A ja przynajmniej próbuję jakoś rozładować nerwową atmosferę – tłumaczył Abakiewicz, wyraźnie obruszony tak stanowczą odmową.

– Więc następnym razem, gdy będziesz chciał ją rozładowywać, opowiadając takie idiotyzmy, przypomnij mi, żebym zawczasu zasadziła ci kopa w tę durną łepetynę! – eksplodowała w końcu, wyraźnie nie panując już nad sobą.

– Oooo! Wielka obraza majestatu! Prymuska ze „Świtezi” w końcu zaliczyła wpadkę – zadrwił kapitan. – Ciekawe, co takiego jest na tym nagraniu, że nie dałaś mi go nawet obejrzeć... – dodał z przekąsem.

– Wiesz co? Wal się, idioto! – Dziewczyna odepchnęła partnera, torując sobie drogę do wyjścia.

– Sama się wal! Nigdy nie potrafisz się przyznać do błędu! – zawołał za nią Abakiewicz, widząc, że dziewczyna nie ma jednak zamiaru kontynuować zaostrzającej się kłótni.



– Czekam w samochodzie! Jeśli nie będzie cię tam za pięć minut, wyjeżdżam sama! – zagroziła na koniec, wychodząc z budynku i gwałtownie trzaskając przy tym drzwiami.

No niezła jatka... Zalazłem im za skórę... – spuentował Antek w myślach. A swoją drogą, ciekawe, czemu tak się podniecają tym całym Bojarem, co on jest jakiś RoboCop? – dodał, parafrazując klasyka.

Minęło zaledwie kilka minut, gdy Antek czekał już w pożyczonym od Olesia starym, spróchniałym fordzie, aż samochód z parą młodych oficerów wyruszy w kierunku wspomnianej przez Paprockiego siedziby głównej. Niestety, drugi nadajnik GPS umieszczony przez Antka na czarnym lincolnie obmierzłego pułkownika najwyraźniej samoistnie uległ zniszczeniu, gdyż od wczorajszego południa nie wysyłał już żadnych sygnałów.

Tym razem, na pewno wezmą skaner do wykrywania obcych nadajników i sprawdzą swoje auto przed wyjazdem – przewidywał Antek. Zdają sobie w końcu sprawę z tego, że przecież cały ten czas mogłem się kręcić nieopodal willi. Nic nie szkodzi... – Uśmiechnął się przebiegle. Mój trzmiel poczeka sobie zawieszony gdzieś wysoko nad nimi i jak tylko ruszą, wtedy przyczepi się do nich – układał sobie w głowie szczegółowy plan działania i obserwował w rozłożonym na desce rozdzielczej tabthinie willę Mirę z lotu ptaka czy raczej trzmiela.

# Piąty pasażer oshkosha

Grafitowy range rover z kapitan Lilią i kapitanem Abakiewiczem wyjechał z krakowskiej siedziby Polonorum, kierując się w dół wzgórza Lasoty, a w ślad za nim ruszył sterowany przez Antka MAV. Gdy tylko okazał się, że SUV zatrzymał się przy skrzyżowaniu z ulicą Kalwaryjską, trzymiel błyskawicznie zanurkował, obleciał auto z lewej strony i korzystając z wlotu powietrza, niepostrzeżenie dostał się wprost pod maskę samochodu. Za pomocą maleńkiej diody, znajdującej się w oku elektronicznego owada, Antek oświetlił ciemne zakamarki silnika i usadowił go w bezpiecznym miejscu. Następnie ponownie założył czarne okulary, zasłonił twarz i ruszył swoją skorodowaną strzałą tropem niczego nieświadomych agentów.

Po niespełna godzinie mknął już autostradą w stronę Katowic. Starał się jechać najszybciej, jak tylko to było możliwe. Miał jednak obawy, że jeśli przesadzi, to stare, zdezelowane mondeo lada moment może dokonać żywota. Z kolei para oficerów, pomimo tego, iż podróżowała autem z dużo potężniejszym silnikiem, wcale nie mknęła po autostradzie zawrotnym pędem, a jedynie ze średnią prędkością około stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Antek zbliżył się więc do nich na odległość trzech kilometrów, po czym utrzymywał niezmiennie ten dystans.

Widzę, że naszej ambitnej pani kapitan wcale nieśpieszno na spotkanie z przełożonymi. Pewnie zwleka, mając nadzieję, że zanim dojedzie na miejsce, ta ich osławiona grupa śląska zdąży mnie zlikwidować i będzie po sprawie –

pomyślał, a śledzeni przez niego agenci zjechali akurat z autostrady i skierowali się na północ.

– Z pewnością mają swoje systemy operacyjne w smartplastrach, stworzone do utrudnienia ewentualnego namierzenia ich przez obce agencje – powiedział sam do siebie, zerkając raz po raz na wyświetlany na ekranie tabthina sygnał wysyłany przez MAV-a. – Ale, jeżeli dzwoniąc do kogoś, skorzystaliby na przykład z samochodowego zestawu głośnomówiącego, to za pomocą drgań dochodzących z głośnika mógłbym odtworzyć rozmowę – analizował.

W końcu po czterech godzinach śledzenia, gdy Antek mijał właśnie obwodnicę Kalisza, nadajnik znajdujący się w niepozornym trzmielu przesłał wiadomość o wzmagających się drganiach wewnątrz śledzonego samochodu, świadczących zwykle o nadchodzącym połączenia satelitarnym.

– Nie wierzę! – krzyknął uradowany. – Oni naprawdę używają zestawu głośnomówiącego w swoim samochodzie! Co za amatorka...

Pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym bezzwłocznie uruchomił transmisję sygnału dźwiękowego. Z początku słychać było jedynie warkot silnika oraz jakiś niewyraźny, odległy i trzeszczący bełkot, jednak Antek szybko zabrał się za przetworzenie odbieranego sygnału.

– Spokojnie – mruknął do siebie – trzeba tylko wyselekcjonować częstotliwość drgań, a to zajmie dosłownie kilka sekund.

Prowadził auto jedną ręką, drugą wystukiwał coś na dotykowym ekranie. Gdy zbliżał się do miejscowości Kuchary, a droga prowadziła go w stronę gęstego lasu, z tabthina wydobywał się już głos zawzięcie sprzeczącej się ze swoim współpasażerem pani kapitan. Nagranie, co prawda, nie było najlepszej jakości, ale za to wystarczająco zrozumiałe.

– Maciek, ile razy mam ci powtarzać, że poza budynkami organizacji nie wolno używać zestawów głośnomówiących? Wyłącz to! – rozkazała zdenerwowana dziewczyna.

– Nie przesadzaj... Kto cię niby będzie podsłuchiwał na takim zadupiu?! Jesteśmy niemal w środku lasu, do tego w trasie... Też chcę usłyszeć, co Bojar ma do powiedzenia! – nie odpuszczał Abakiewicz.

– A ja chcę z nim w spokoju porozmawiać bez twojej ingerencji! – wyznała rozeźlona.

– Halo! Co tam się u was dzieje?! – nagle z głośników range rovera rozbrzmiał niespotykane niski, bardzo nieprzyjemny głos.

– Nieważne... Właśnie rozmawiałam z Maćkiem... Drobną różnicą zdań... – odpowiedziała zdecydowanie Lili.

– W takim razie posłuchajcie mnie, Lajkoniki, uważnie. Daliście sobie zapiąć ogon! Ciągniecie tego waszego nieszczęsnego uciekiniera za sobą! – oświadczył pretensjonalnie.

– Niemożliwe! Co ty gadasz?! Dwa razy osobiście skanowałam auto przed wyjazdem! – zarzekała się zbita z tropu dziewczyna.

– Najwyraźniej nawet do tego się nie nadajecie... Przydałoby się zrobić z wami porządek w tym Krakowie, bo macie tam jeden wielki burdel! – odpowiedział złośliwie mężczyzna, ciężko przy tym rechocząc.

– Bojar, poczekaj! Jeśli on rzeczywiście nas śledzi, w takim razie wchodzimy z wami do akcji. Podaj mi tylko jakiś namiar na niego! – powiedziała pośpiesznie dziewczyna, bojąc się, że rozmówca za chwilę się rozłączy.

– Nic z tego... Paprocki dał mi wyraźny rozkaz, by was nie włączać! Zresztą nie miałyby to sensu. To ścierwo i tak zaraz będzie trupem. Bez odbioru!

Rozmowa transmitowana w tabthinie nagle się urwała. Najwyraźniej Bojar rzucił słuchawkę.

Antek, słysząc, o czym owiany złą sławą Bojar poinformował dziewczynę, zaczął zastanawiać się, jakim sposobem grupa dopiero co wysłanych do schwytania go agentów tak szybko na niego trafiła oraz co ten człowiek miał na myśli, mówiąc, że: „zaraz będzie trupem”.

Aaaa! Pies go trącał... – parsknął lekceważąco. To pewnie jakiś pieprzony blef. Najgorsze jest to, że kończy mi się paliwo... Chociaż, jeśli rzeczywiście już o mnie wiedzą, to mogą też odnaleźć mojego MAV-a, a wtedy na pewno nie znajdę ani Bony, ani tej ich zasranej siedziby... – dodał w myślach.

Lecz gdy tylko skończył wypowiadać te słowa, potężna czarna terenówka typu Oshkosh L-ATV w wersji cywilnej wyskoczyła z impetem na jezdnię z wąskiej, gęsto zarośniętej chaszczami, podporządkowanej leśnej dróżki. Antek próbował jeszcze uniknąć zderzenia, odbijając na lewy pas, ale niestety było już za późno na jakąkolwiek reakcję – ogromny czarny oshkosh zatrzymał się wprost przed maską rozpędzonego, mizernego forda.

Po pustej drodze rozległ się straszliwy, głuchy huk miażdżonej karoserii.

Wszystko działo się błyskawicznie – ogłuszony uderzeniem Antek, czując, jak wraz z samochodem wylatuje w powietrze, zdążył podświadomie wyszeptać tylko „Boże”, po czym uderzając gwałtownie głową w kierownicę, stracił przytomność. Natomiast roztrzaskany ford, po wielokrotnym koziółkowaniu, wpadł w leśne zarośla i z wielką siłą odbił się tylnym lewym błotnikiem od pierwszego napotkanego drzewa, które znalazło się na jego drodze.

Gdy Antek ocknął się po kilku minutach od zderzenia, miał wrażenie, jakby bardzo długo spał i że był to wcale przyjemny sen. Wydawało mu się, że coś miłego i ciepłego pełźnie po jego plecach i pnie się coraz wyżej i wyżej po szyi, aż do samych cebulek włosów, dlatego też pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, gdy tylko wróciła do niego cząstka świadomości, było to, że wcale nie ma zamiaru się budzić. Postanowił więc w duchu, że pozostawi oczy nadal zamknięte – być może przyjemny sen jeszcze powróci, a on w końcu wyśpi się za wszystkie czasy. Jednak zamiast tego usłyszał jedynie ciężkie kroki zbliżającej się w jego stronę osoby, która niskim, chrypliwym głosem ryknęła:

– Wychodź szczurze!

Antek od razu rozpoznał, że głos należy do niesławnego Bojara. Zaczęło też do niego powoli docierać, co przed chwilą właśnie się wydarzyło i w jak rozpaczliwej

znalazł się sytuacji. Otworzył więc niechętnie oczy i w tym samym momencie cała parszywa rzeczywistość wróciła do niego ze zdwojona siłą. Najpierw poczuł paralizujący ból w plecach oraz prawej nodze, a następnie zauważył, że wisi do góry nogami i jedyne, co go częściowo podtrzymuje w tej karkołomnej pozycji, to zapięty pas bezpieczeństwa.

– Szefie! Jeśli jeszcze nie zdechł w środku, to przeciągniemy go na lince za samochodem, co ty na to?! – zaproponował Bojarowi jakiś inny głos, równie niski i nieprzyjemny.

Antek próbował się jakoś poruszyć, ale szybko zdał sobie sprawę z tego, że to niemożliwe. Prawe udo bowiem nadziane było niczym kurczak na wystający kawałek ostrej jak rożen blachy. Natomiast to, co tak przyjemnie łaskotało go we śnie, okazało się ciepłą strugą krwi rozlewającą się po całym ciele.

– Pokaż się tu, wścibski sukinsynu! – zawołał złowieszczo Bojar, znajdując się już niemal kilka metrów od wraku samochodu.

Antek doskonale wiedział, że albo coś zaraz szybko wymyśli, albo za chwilę zostanie zakopany w pobliskim lesie. Nie miał jednak zbyt wielkiego pola manewru, będąc żywcem nabitym na ostry kawałek żelastwa. Złapał więc odruchowo za broń umieszczoną za paskiem od spodni. Pistoletu jednak nie było ani tam, ani nigdzie w pobliżu. Wszystko wskazywało na to, że siła uderzenia wyrzuciła go na zewnątrz wraz z innymi rzeczami znajdującymi się w samochodzie.

Muszę dostać mój plecak! – myślał gorączkowo, rozglądając się na wszystkie strony i szukając swojej ostatniej deski ratunku.

Plecak jakimś cudem nie wypadł jednak z auta i szczęśliwie dla niego leżał otwarty na szarej zakrwawionej podsufitce, z szelkami zaplątanymi o zagłówek pasażera. Tak więc Antek z bolesnym jękiem wyciągnął po niego swoją prawą rękę niczym jeden z bohaterów komiksu o Fantastycznej Czwórce. Wtedy to przez rozbitą szybę od strony kierowcy do wnętrza zmiażdżonego samochodu wcisnęła się potężna cyklopowa dłoń, a trzymana przez nią wojskowa finka jednym szybkim

ruchem odcięła pas bezpieczeństwa. Chłopak upadł karkiem na ziemię, krzycząc przeraźliwie z bólu, gdyż ciężar całego ciała zawisł teraz jedynie na nodze, która niefortunnie nadziała się na wystającą blachę.

– A jednak żyjesz, ty zdradziecka mendo! – Bojar zarechotał sadystycznie.

Natomiast Antek – pomimo otępiającego bólu – zdobył się na to, aby raz jeszcze sięgnąć po swój plecak. Tym razem nieskrępowany pasem bezpieczeństwa zręcznie złapał za jedną z szelek i gdy chciał już przyciągnąć go do siebie, usłyszał nagle przy swoim uchu cichy, perfidny śmiech osiłka, który najwyraźniej odczytał jego zamiary, mówiąc:

– Chcesz wyjść z nory, szcurze? To ja ci pomogę!

Zaraz po tych słowach potężna ręka złapała Antka za kark i z nadludzką siłą wyrwała go ze zmiążdżonego wraku samochodu, wyszarpując tym samym jego udo, ze sterczącego kawałka blachy.

Bolesny krzyk, który rozległ się wkoło, był nie do opisania... Bojar, zbytnio się tym nie przejmując, jeszcze bardziej drastycznie, a przy tym demonstracyjnie, postawił na wpół przytomnego Antka z powrotem do pionu. Najwyraźniej chciał tym sposobem dać swoim kolegom kolejny powód do śmiechu. Jednak podczas swojego efektownego pokazu siły niefartownie cały obryzgał się krwią, która obficie trysnęła z otwartej rany jego nieszczęsnej ofiary.

– Feee! A to niewdzięczny sukinsyn! Patrzcie, uwalił mi całe spodnie! – ryknął zeźlony, po czym w geście obrzydzenia rzucił Antkiem z taką siłą, że ten niczym plastikowy witrynowy manekin poszybował w powietrze, nie wypuszczając jednak przy tym z dłoni kurczowo trzymanego plecaka.

– Pieprzony szmaciarz! Mam cały uświniony kombinezon! – narzekał rozwścieczony olbrzym.

– Dobra, szefie, wystarczy tego cackania... Kończmy go! Za chwilę ktoś może się tu zjawić, nie potrzeba nam gapiów! – wtrącił przezornym tonem jeden z podkomendnych Bojara.

– Nie bój nic... Jego auto leży niewidoczne w lesie, a nasze stoi grzecznie zaparkowane na poboczu. Mamy czas... – odpowiedział zaskakująco wyrozumiale dowódca grupy śląskiej, wycierając pośpiesznie z krwi swoje czarne bojówki.

Bojar całkowicie zlekceważył jednak fakt, że kilka metrów dalej od miejsca, w którym Antek upadł na ziemię, z jego otwartego plecaka wysypało się kilka niewielkich gratów. Wypadła i otworzyła się także walizka z MAV-ami, które niczym dziecięce zabawki rozsypały się na wszelkie możliwe strony.

– Niech to dobrze zapamięta i pochwali się innym zdradzieckim szmatom, kto wysłał go na tamten świat! – wyjaśnił kolegom swoje intencje bezlitosny kolos.

Antek słuchał tego wszystkiego, leżąc i dysząc z bólu na stwardniałym od mrozu i zarazem topiącym się od gorącej krwi kruchym śniegu. Kątem oka zerkał również w stronę żartującego sobie ze swoimi kompanami w najlepsze, rozbawionego Bojara. Teraz, gdy mu się już dobrze przyjrzał, zrozumiał, dlaczego ciągnęła się za nim taka a nie inna reputacja. Co prawda widywał już wcześniej na Uralu czy też Zakaukaziu żołnierzy o podobnie anormalnych rozmiarach, jednak dowódca grupy śląskiej zdecydowanie bił na głowę wszelkie – jakby to nazwali darwiniści – wybryki natury, z jakimi miał kiedykolwiek do czynienia.

– Co tak nagle spokorniałeś?! – zagadnął w końcu zaciekawiony olbrzym. – Pierwszy raz trafiłeś na prawdziwych kozaków i nagle ci pała zmiękła?! – Parsknął śmiechem, wzbudzając kolejną gromką aprobatę podwładnych. – Co ty sobie, frajerzynie, w ogóle wyobrażałeś?! Zachciało ci się z nami walczyć? Z naszą organizacją? – szczerze niedowierzał kafar. – Rozniosę twoje zdradzieckie truchło jak gnój po polu! – zagroził, podchodząc bliżej do Antka i stając przed nim w rozkroku.

Wtedy to Antek podniósł z wolna lewą rękę i resztką sił trzy razy nacisnął na dotykowy ekran swojego smartplastru, wybierając kolejno opcje: „Automatic MAV”, następnie „Komenda 6” oraz „Identyfikacja twarzy”.

– Ej! Co ty tam kombinujesz? – krzyknął groźnie zdziwiony tym niepokojącym zachowaniem Bojar, ale w tej samej chwili siedem małych elektronicznych



owadów poderwało się w górę jak w synchronicznym pokazie lotniczym i natychmiast ruszyło w stronę czterech zaskoczonych agentów.

– Bojar! On ma tam jebane MAV-y! Spierdalaj stamtąd, juuuż! – krzyknął panicznie jeden z podwładnych, ale jego ostrzeżenie na nic się zdało, gdyż mały szerszeń wylądował już na karku olbrzyma, wbijając mu w skórę malutką igiełkę.

Mężczyzna co prawda błyskawicznie strzepnął owada z szyi i w odpowiedzi na niespodziewany atak wyciągnął z kabury swojego glocka 19, jednak gdy tylko spróbował go przeładować, ręce nagle odmówiły mu posłuszeństwa, a broń bezdźwięcznie upadła na ziemię. Po krótkiej chwili sam osunął się na kolana, po czym głośno dysząc, runął na twarz, robiąc przy tym zaskoczoną i nieco przerażoną minę.

MAV-y wykonały znakomitą robotę. W zaledwie kilka sekund odmieniły rozpaczliwe położenie Antka o sto osiemdziesiąt stopni, kładąc pokotem niczym ustrzeloną zwierzynę pewnych siebie, bezwzględnych agentów.

– Uff... Zawsze mogłem na was liczyć, moje maleństwa – wysapał Antek. – Teraz jednak muszę jakoś dostać się w tym stanie do ich samochodu – dodał i podnosząc się ociężale z ziemi, z niewypowiedzianym bólem dokuśtykał do unieruchomionego giganta, odbierając mu broń.

Po kilku minutach powolnego, agonalnego marszu, podczas którego mijali leżących na obryzganym krwią śniegu, sparaliżowanych agentów, dotarł do potężnego cywilnego oshkosha i w pierwszej kolejności począł penetrować zawartość jego obszernego bagażnika.

No dalej! Gdzie jest ta cholerna apteczka?! Za chwilę tutaj odpłynę! – wściekał się, stękając boleśnie przy każdym większym ruchu wykonanym ciężko zranioną nogą.

– Jest! Jest! Dzięki ci, Boże! Jest! – wysapał, pośpiesznie wyciągając z auta metalową puszkę z napisem „First Aid” i osuwając się z nią bezsilnie na ziemię. – Całe szczęście mają tu nawet xstaty! – wydyszał z nieznacznym zadowoleniem, odchylając wieko i łapczywie dobywając z apteczki ogromną plastikową

strzykawkę, całą wypełnioną małymi gąbkami przypominającymi niebieskie tabletki dla staruszków.

Xstaty były oczywiście amerykańskim wynalazkiem ratującym życie żołnierza, który doznał na polu bitwy obszernych ran kłutych bądź też postrzałowych. Natychmiast zatrzymywały obfite krwawienie i dawały sanitariuszom o wiele więcej czasu na dostarczenie rannego na stół operacyjny. Aplikując zastrzyk typu xstat, prewencyjnie odbiera się żołnierzowi broń, gdyż zastrzyk ten jest tak bolesny, iż poszkodowany jest zdolny do zrobienia w tym momencie rzeczy całkowicie nieracjonalnych. Kiedyś był to bardzo kosztowny produkt, zarezerwowany jedynie dla „specjalsów”. Dziś stał się bardzo popularnym środkiem medycznym i na wyposażeniu miała go prawie każda zawodowa armia na świecie.

Raz! Dwa! Trzy! – odliczył Antek, po czym wetknął sobie niemal całą, pokaźnych rozmiarów strzykawkę w głąb rany, wyjąc przy tym niemiłosiernie jak zarzynany pies. Niewiele też brakowało, a ponownie straciłby przytomność... Po chwili jednak, wykonując kilka pełnych, rozluźniających oddechów, zebrał w sobie resztki odwagi i przyciskając końcówkę strzykawki, opróżnił do wnętrza rany, całą jej zawartość. Poczuł teraz, jak jego poszarpane żelastwem udo wypełnia zimna, nieprzyjemnie pęczniejąca masa.

Nagle jak na złość drogą od strony Kalisza nadjechało kilka osobowych samochodów. Część z przejeżdżających kierowców – nie zwalniając nawet o kilometr – ominęła rozsypane po jezdni kawałki szkła i plastiku, myśląc zapewne, że są to niesprzątnięte resztki pozostałe po jakiejś dawnej i niewartej ich uwagi stłuczce. Niestety ostatni z pojazdów zatrzymał się gwałtownie i wyszedł z niego starszy, pulchny i mocno zaczerwieniony na twarzy mężczyzna.

– Panie, co tu się wyrabia?! Przecież opony można poprzebijać! – krzyknął pretensjonalnie do Antka, który chowając się za tylnym błotnikiem terenówki, próbował ponownie stanąć na równe nogi.

– Spieprzaj pan stąd... – wymamrotał pod nosem, krzywiąc się z bólu.

– Panie! Pytam, co tu się wyrabia... Skąd tu tyle szkła i tych śmieci na drodze? – nie odpuszczał uparty służbista.

– Nic się nie wyrabia! Zjeżdżaj pan! – odrzekł mu z wyraźnym wysiłkiem chłopak, ale tym razem już o wiele mocniej.

– Jesteś pan pijany czy jak? – podpytywał wścibski kierowca, przyglądając się uważnie ledwo stojącemu na nogach, umorusanemu krwią młodzieńcowi.

– Ile razy mam powtarzać? – warknął rozeźlony Antek. – Głuchy jesteś?! Wypieprzaj stąd, dziadek, jeśli ci życie miłe! – dodał resztkami sił i spojrzał na mężczyznę swoimi jaskrawoniebieskimi oczami w tak obłądny sposób, że tego niemal замуrowało.

– Panie, ja, ja, ja dzwonię na policję! W tej chwili! – zagroził wystraszony, choć wciąż nieustępliwy mężczyzna.

– Człowieku, jeśli w tym momencie nie wsiądziesz do auta, to już nigdy więcej nigdzie nie zadzwonisz! – ryknął w końcu Antek, pokazując nadgorliwemu, samozwańczemu szeryfowi wystającego zza paska glocka 19, którego dopiero co skonfiskował Bojarowi.

Mężczyzna nie zastanawiając się więc długo, ogarnięty jakby nagłym napadem hoplofobii, błyskawicznie wskoczył do swojego sedana i odjechał z piskiem opon.

Może jednak nie stracę przytomności... – pomyślał Antek, głębokimi wdechami i wydechami uspokajając dopiero co pobudzone nerwy. Nie mam już za wiele czasu... Trzeba działać...

Wygrzebał z apteczki pistolet z dozowaną adrenaliną i bez zastanowienia zaaplikował sobie podwójną dawkę.

Wkrótce serce zabiło mocniej, oddech stał się pełniejszy, a naczynia krwionośne zaczęły się gwałtownie zwężać. Antek poczuł niewielki dopływ energii, który musiał mu wystarczyć do tego, by przynajmniej wydostać się z tej beznadziejnej sytuacji. Wrócił więc bezzwłocznie po swoich niedoszłych oprawców i z pomocą haka oraz linki od wyciągarki samochodowej związał całą czwórkę, a następnie – upewniwszy się, że na drodze nie ma żadnych gapiów –

włączył urządzenie, przyciągając nieruchomych żołnierzy pod same drzwi czarnego oshkosha.

– Powiniennem wam teraz zrobić pamiątkowe zdjęcie, frajerzy... – zadrwił, dokładnie sprawdzając tętno u każdego z mężczyzn, a następnie zabrał się za przeszukiwanie bagażnika. – Do jasnej cholery! Przecież gdzieś tu na pewno macie... – Szukał czegoś usilnie, podświadomie zwracając się do unieruchomionych agentów. – Jest! – zawołał w końcu zadowolony, wyciągając z auta czarny, wzmacniany gaffer. – W sam raz! Będzie wam pasował do uniformów! – oznajmił uszczypliwie. – Przymocuję nim wasze bezwładne cielska do foteli, ale najpierw jakimś sposobem muszę was wtaszczyć do samochodu – dodał, zdobywając się, pomimo bólu, na niewyraźny uśmiech.

W pierwszej kolejności zapakował do bagażnika najniższego i najlżejszego z mężczyzn, gdyż nie chciał się od razu przeforsować, będąc w tak ciężkim stanie. Kosztowało go to jednak tyle bólu i wysiłku, iż doszedł do wniosku, że bez mocnych środków uśmierzających nie jest w stanie wrzucić pozostałych trzech kawalerów do auta. Wygrzebał więc z apteczki morfinę w postaci żelu i rozsmarował ją po obydwu ranach, które dokuczały mu najbardziej – postrzałowej oraz tej o wiele cięższej, odniesionej w wypadku.

Miejmy nadzieję, że to nie otępi mnie aż tak bardzo... – powiedział sobie w duchu. Wolałbym uniknąć szprycowania się, ale widocznie nie ma innego wyjścia... Dzięki Bogu xstat zadziałał i krwotok został skutecznie zatamowany. Najwyraźniej jakimś cudem tętnica udowa też nie została uszkodzona, więc póki co jestem nadal przytomny – myślał, analizując swoje położenie, po czym, gdy tylko morfina zaczęła działać, zabrał się za przenoszenie kolosalnego cielska dowódcy grupy śląskiej na fotel kierowcy.

Antek zdawał sobie oczywiście sprawę, że ma niewiele czasu. Na szczęście jednak po przyjęciu mocnego medykamentu wszystko poszło zaskakująco sprawnie. Niestety coraz więcej aut zwalniało, a zza szyb samochodów dostrzec można było wścibskie spojrzenia ludzi, którzy z neodpartą ciekawością wypatrywali jakiejś ewentualnej sensacji. Skoro jednak wraku samochodu leżącego

w gęstych leśnych zaroślach nie można było dostrzec, a potężny czarny oshkosh wyglądał na zupełnie nietknięty, zwyczajnie zaparkowany na poboczu, nikt z przejeżdżających kierowców nie kwapił się do zatrzymania w środku lasu – zwłaszcza że nieustannie trzymający od paru dni siarczasty mróz odstręczał podróżujących gapiów od opuszczenia swoich ciepłych samochodów.

Gdy już wszyscy panowie znaleźli się w środku, Antek zwrócił się ponownie do nieokazującego najmniejszych oznak życia szefa delegatury śląskiej.

– Wiem, że jesteś całkowicie świadomy, Bojar, i że mnie teraz słyszysz – zaczął powoli i wyraźnie. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale wiem, że z reguły jestem przeciwny używaniu jakichkolwiek praktyk sadystycznych wobec jeńców, jednak w tym wypadku będę zmuszony zrobić mały wyjątek, gdyż nie łudzę się, że gdybym cię teraz o coś poprosił, ty wykonałbyś to posłusznie... Niestety obaj wiemy, że samą grzecznością nic z tobą nie wskóram... – Kończąc monolog, uderzył olbrzyma kantem kolby pistoletu gdzieś w okolicach dołu pachowego.

Choć Bojar miał w tym momencie absolutnie sparaliżowany aparat mowy, to i tak udało mu się wydać z siebie jakiś bliżej nieokreślony, bolesny pomruk.

– I właśnie na tym mi zależało... – skwitował Antek, zapisując próbkę głosu na swoim smartplastrze, który natychmiast odtworzył nagranie. – Dzielny chłopak... – Antek lekceważąco poklepał mięśniaka po policzku, na co ten odpowiedział mu jeszcze bardziej wściekłym, nieskładnym bełkotem. – O ile dobrze zrozumiałem, chciałeś chyba powiedzieć, że coś mi zrobisz?

Antek się zaśmiał. Z pewnością Bojar tak musiał myśleć. Pomimo wyczerpania i braku siły cios, który zadał olbrzymowi, musiał być wyjątkowo nieprzyjemny.

– Wybacz, kolego, ale na obecną chwilę jedyne, co możesz zrobić, to niekontrolowane oddanie moczu lub coś znacznie bardziej kłopotliwego... Ale prosiłbym jednak, byś nie robił tego, zanim nie dojedziemy do celu, sam rozumiesz... Dlaczego cała nasza piątka miałaby cierpieć z tego powodu? Prawda, chłopaki? – zapytał kpiąco, z trudem powstrzymując się od chęci odegrania się za wszystkie niedogodności, jakie przyszło mu dziś z ich powodu znosić. – Pomimo

waszego niezbyt życzliwego powitania chyba nawet wraca mi poczucie humoru. Chociaż może to tylko morfina? – nie odpuszczał chłopak, zerkając złośliwie na bezradnych osiłków. – Ale najlepsza zabawa dopiero się zacznie... – kontynuował. – Tak się bowiem składa, szanowny panie dowódco, że próbka twojego głosu właśnie konwertuje się w specjalnym programie przetwarzającym dźwięk, tak aby przy następnej rozmowie z twoimi ludźmi zastąpiła moją barwę głosu – dodał.

Wystukał coś pośpiesznie na swoim smartplastrze i w końcu oznajmił z zadowoleniem.

– Jeszcze chwilę i głos będzie gotowy. Tymczasem, żebyś mi nie fiknął tutaj koziołka podczas jazdy, przytwierdzę cię solidnie taśmą do twojego fotela.

Antek wyciągnął czarny, wzmacniany gaffer i zaczął obwiązywać nim Bojara wkoło siedziska kierowcy. Następnie zrobił to samo z resztą jego kompanów. Gdy skończył, z nieukrywanym rozbawieniem stwierdził, że zarówno szef grupy, jak i reszta, bądź co bądź śmiertelnie niebezpiecznych, agentów wyglądała wprost komicznie – siedząc nieruchomo, w nienaganych pozycjach, z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Panowie przypominali niezdarne, czarne charaktery z jakiejś starej kreskówki Disneya, bo chłopak solidnie przywiązał do foteli samochodowych nie tylko ich torsy, ale również nogi, ręce i czoła. Żeby jednak nie budzić obwiązanymi taśmą głowami żadnych zbędnych podejrzeń wśród napotkanych osób, na czoła naciągnął im czarne czapki, które mieli przy sobie.

– Poproszę jeszcze o twój paluszek, kolego – dodał z udawaną uprzejmością i chwytając dłoń Bojara, przyłożył ją do czytnika biometrycznego na desce rozdzielczej samochodu. Auto odpaliło z rykiem godnym amerykańskiego, paliwożernego potwora, a usadowiony tuż za fotelem kierowcy Antek podpiął swój smartplaster do komputera pokładowego oshkosha za pomocą srebrnego, cienkiego niczym pajęczyna kabela.

– No to w drogę, dziewczyny! Pasy zapięte? – zapytał drwiąco, za pomocą smartplastra ustawiając tryb autopilota, po czym wziął się za hakowanie pamięci GPS.

Po kilku próbach ustalenia miejsc, które w ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach odwiedziła ekipa Bojara, westchnął.

Hmm... Nic z tego... Wszędzie zabezpieczenia... Sam smartplaster nie wystarczy... Bez mojego tabthina nie dam rady, a on zapewne leży gdzieś teraz na jezdni, rozsypany w drobny mak, podobnie jak reszta moich gratów – pomyślał, a tymczasem monumentalny, czarny oshkosh samoczynnie ruszył przed siebie.

– Na dodatek, wasza urocza pani kapitan usunęła już mojego robaka spod maski swojego samochodu i teraz, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dokąd mamy jechać... – rozmyślał głośno. – A wy mi raczej tego nie powiecie, co? – zwrócił się z sarkazmem do sztywno usadzonych, wyraźnie zszokowanych żołnierzy. – No trudno... Póki co jedziemy przed siebie... Może w końcu ktoś od was się z nami skontaktuje i wtedy otrzymam jakąś podpowiedź. A tymczasem zobaczymy, co wy tu jeszcze macie.

Otworzył srebrną klapę znajdującą się w podłodze samochodu.

– Ooo! Znakomicie! Podręczny sprzęt do transfuzji... Macie nawet moją grupę krwi – powiedział uradowany.

W schowku był wbudowany aparat do przetaczania życiodajnego płynu oraz mała lodówka z zapasem kilku litrów jego wszelkich możliwych grup.

Nie ma co się zastanawiać, podpinam się! – zdecydował świadom, że w ostatnich dwóch dobach stracił zbyt dużo swojej burzliwej i gorącej juchy. Przetoczę tyle, ile zdążę i może po tym nie będę się czuł aż tak osłabiony – dodał, wyciągając wężyk prowadzący do zbiorniczka oznaczonego symbolem „AB Rh (+)”.  
Niedane mu jednak było nawet włożyć sobie igły, gdyż oshkosh po zaledwie trzech minutach jazdy wjechał do miejscowości o nazwie Gołuchów i przed wjazdem na zbliżające się rondo ostrzegł o przełączeniu się na sterowanie manualne.

– No nie... Co to za szajs?! Właśnie teraz?! Nie ujechaliśmy nawet trzech kilometrów... – Westchnął zawiedziony.

Mimo tego rozczarowanie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, gdyż w tym samym momencie kątem oka dostrzegł wyjeżdżającego wprost z pobliskiej stacji benzynowej szarego range rovera, należącego do kapitan Lili i jej partnera, kapitana Macieja Abakiewicza.

Nie może być! Ja to chyba rzeczywiście mam szczęście... – powiedział sobie w duchu i używając kontrolera jazdy zainstalowanego w swoim smartplastrze, przyspieszył gwałtownie samochodem tak, aby znaleźć się tuż za nimi.

Gdy tylko zamrugał światłami drogowymi w ich stronę, na smartplastrze Bojara natychmiast wyświetliła się informacja, iż dzwoni do niego osoba zapisana w kontaktach jako „KrakLili1”. Antek, widząc to, błyskawicznie przechwycił sygnał, przekierowując go na swój smartplaster, po czym odebrał połączenie pierwszymi lepszymi słowami, jakie przyszły mu teraz do głowy:

– Yyy... Co wy tu jeszcze robicie?! – z głośników w samochodzie Lili zamiast głosu Antka dobiegł się niemal idealnie odtworzony, niski, chrypliwy głos Bojara.

– Jak to co?! – oburzyła się dziewczyna. – Czekaliśmy na jakieś wieści od was, w razie gdybyśmy byli potrzebni... – dodała sucho.

– Chyba wyraziłem się jasno, że Paprocki zabronił nam was włączać w akcję, i że nie jesteście nam już dzisiaj do niczego potrzebni – odpowiedział Antek, próbując imitować styl wypowiedzi butnego osiłka.

– Dobra, dobra... Już się tak nie podniecaj, Bojar... Gdyby Paprocki dał nam doprowadzić tę sprawę do końca, sami też byśmy go załatwili... – zripostowała dziewczyna, nie kryjąc złości.

– Szczerze?! Wisi mi to, jak się dogadujecie z Paprockim. To już nie moja broszka... Dla mnie istotne jest to, że ta podstępna szmata zdycha już w bagażniku – odpowiedział, perfekcyjnie udając Bojara Antek.

Tymczasem, jadący kilkadziesiąt metrów przed nim szary SUV należący do pary młodych oficerów skręcił w lewo, a następnie zatrzymał się przed wielką, czarną, kutą bramą prowadzącą do jakiejś tajemniczej – i sądząc po ciągnącym się w nieskończoność, wysokim ogrodzeniu – sporych rozmiarów posiadłości. Antek



dojrzał także z oddali, jak dziewczyna obraca twarz w stronę czytnika biometrycznego, znajdującego się tuż przy wjeździe, aby zeskanować siatkówkę oka, po czym przejeżdża przez automatycznie otwieraną bramę.

– A tak na marginesie, Lili, widzieliśmy nagranie z tej twojej sylwestrowej akcji w Bieszczadach... – zablefował Antek, chcąc dalej pociągnąć rozmowę. – Nieźle widowisko... Oglądaliśmy to z wypiekami na twarzy! – dodał.

– Super! Coś jeszcze ciekawego chcesz powiedzieć?! – natychmiast zripostowała ugodzona do żywego pani kapitan.

– To, że ta wsiowa miernota nieźle wam skopała tyłki... Mało tego! Po szczegółowej analizie nagrania zgodnie z chłopakami stwierdziliśmy, że ten kochaś chyba wpadł ci w oko! – Antek roześmiał się szorstkim głosem Bojara. – Powiedz nam, Lili, czy ta łajza przynajmniej dobrze całuje?! – dodał jeszcze złośliwiej, przelewając tym samym czarę goryczy.

– Wiesz co, wal się na ryj, ty naszprycowany sterydami z boku! – wycedziła wściekła dziewczyna i natychmiast po tym rzuciła słuchawką.

– Uuu... Chyba trochę przegiąłem... Po tej morfinie jestem jakiś wyjątkowo nonszalancki – skomentował Antek, dziko usatysfakcjonowany odbytą rozmową.

Po kilku sekundach również cywilny czarny oshkosh podjechał pod bramę, która błyskawicznie zamykając się, zmusiła załogę terenówki do ponownej weryfikacji tożsamości.

Zaczynam teraz rozumieć, co znaczy powiedzenie „wejść do jaskini lwa” – pomyślał Antek, zaskoczony faktem, że cały ten czas od zaaranżowanego przez grupę Bojara wypadku był tak blisko miejsca docelowego. Więc albo coś teraz szybko wymyślę, albo rozwalą mnie od razu, jak tylko zorientują się, że coś jest nie tak. Z pewnością mają tu masę zabezpieczeń – analizował gorączkowo, pośpiesznie układając w głowie najróżniejsze scenariusze.

W końcu, nie zwlekając dłużej, zaryzykował i otwierając szybę od strony kierowcy, szybkim, dyskretnym ruchem odciął gaffer z czoła Bojara, by następnie skierować jego głowę w stronę urządzenia skanującego siatkówkę oka. Świadomy

jednak tej improwizowanej mistyfikacji kafar w tym samym momencie umyślnie zamknął oczy, dając do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty pomóc intruzowi w dostaniu się do środka ich tajemnego kompleksu. Wyraźnie rozgniewany sprytną zagrywką dowódcy grupy śląskiej Antek przyłożył mu glocka na wysokości odcinka lędźwiowego i wyszeptał:

– Słuchaj, kretynie... Mamy teraz dokładnie dwa wyjścia: albo wyjaśnimy to całe nieporozumienie i być może jeszcze dziś wieczorem napijemy się razem browara, albo będę zmuszony do ucieczki, a wtedy przestrelę ci rdzeń... – zagroził bezwzględnie. – Nie wydaje mi się, żebyś chciał skończyć karierę, srając w pampersy na wózku inwalidzkim... Chyba nie tak miało wyglądać zwieńczenie służby słynnego Bojara? A więc decyduj! Masz dokładnie sekundę na otworzenie oczu – dodał zjadliwie.

Bojar nadzwyczaj szybko zrozumiał, że Antek wcale nie żartuje, i bez najmniejszego namysłu posłusznie otworzył oczy. Zaraz po tym potężna kuta brama ponownie otworzyła się z lekkim zgrzytem, a na skanerze biometrycznym zapaliła się zielona dioda zezwalająca na wjazd. Antek poruszył więc delikatnie palcem po ekranie swojego smartplastra, a ogromna terenówka potoczyła się z bulgocącym pomrukiem po brukowanej alejce w kierunku jakiegoś dużego, jasnego obiektu. Po przejechaniu zaledwie kilkunastu metrów chłopak szybko zorientował się jednak, że nie jest to zwykły, pierwszy lepszy budynek. Przed jego oczami wyrósł wyniosłe wspinały, monumentalny zamek.

– Poznają to miejsce – mruknął pod nosem, przypominając sobie album *Pałace i zamki polskie*, który ojciec pokazywał mu, gdy był jeszcze kilkuletnim chłopcem. Przypomniał sobie także, że to właśnie ta budowla zawsze robiła na nim największe wrażenie.

Zamek rzeczywiście był zjawiskowy. Wyglądem przypominał malownicze francuskie budowle stojące nad brzegami Loary. Cały ten bajeczny pastelowy krajobraz był jednak tego dnia tym piękniejszy, gdyż dopełniał go nieskazitelnie biały, odbijający promienie słońca śnieg, subtelnie pokrywający błękitne, spadziste

wieżyczki i ścielący niczym wyszywana diamentami tkanina rozpostarty wkoło, obszerny park w stylu angielskim.

To miejsce wygląda jak ze snu... Aż dziw, że tylu Polaków nie ma pojęcia o istnieniu takich perełek – pomyślał Antek, gdy z nieukrywaną fascynacją, ale i wyjątkową ostrożnością i bez pośpiechu kierował potężnego oshkosha w stronę tajemniczego, urokliwego miejsca.

Prowadzony przez dwójkę krakowskich oficerów range rover stał już od paru minut na brukowanym zajeździe tuż przed wejściem do posiadłości. Po chwili z samochodu energicznie wyskoczył Abakiewicz. Był wyraźnie rozzłoszczony i trzaskając z całych sił drzwiami, wykrzyczał coś wściekle w stronę dziewczyny, po czym porywczym krokiem udał się w kierunku głównych drzwi zamkowych. Antek zaparkował więc po drugiej stronie podjazdu i chcąc lepiej dosłyszeć, o co chodzi, obniżył delikatnie szybę, przysłuchując się Lili, która ruszając za Abakiewiczem, zawołała z wyrzutem w jego stronę:

– Maciek, zrozum, byłam nieprzytomna! Nie miałam wpływu na to, co ze mną robił! Ej, słyszysz? Mieliśmy iść razem do oficyny! Nie rób znowu scen! – próbowała się wytłumaczyć, ale naburmuszony kapitan nawet nie odwrócił się w jej kierunku, tylko zniknął niewzruszony za ciemnymi, masywnymi drzwiami. – A pieprzcie się wszyscy! – wycedziła w końcu przez zęby, po czym wsiadając na powrót do samochodu, rzuciła mordercze spojrzenie w stronę siedzącej potulnie w oshkoszu i przyglądającej się tej kłótni narkotycznie odurzonej grupy śląskiej.

Jakby tego jednak było mało, Antek zamrugał w jej stronę światłami, dając niewybrednie znać, że cała ekipa Bojara ma z tego widowiska niezły ubaw. Na reakcję rozwścieczonej dziewczyny naturalnie nie trzeba było długo czekać. Pani kapitan z piskiem opon wykonała gwałtowny skręt, po czym z impetem ruszyła w stronę parku, ostentacyjnie przykładając do szyby dłoń, z wystawionym środkowym palcem.

– Hmm... Przyznacie, chłopaki, że nikt nie umie tak wyprowadzić kobiety z równowagi, jak ja... – Antek się roześmiał, odpinając swój smartplaster od pokładowego komputera terenówki. – Niestety muszę was teraz opuścić, drodzy

koledzy – oznajmił, kontynuując swój opływający w sarkazm monolog. – Teraz wszystko się rozstrzygnie i albo to jakoś odkręcę, albo jeszcze dziś Bona i ja będziemy trupami – oznajmił z zabójczą szczerością. – Mam mało czasu... Zdecydowanie za mało! Za kilka minut wszyscy zorientują się, że dzieje się z wami coś dziwnego. Tak czy inaczej, *sayonara*, panowie! – pożegnał się, przeładowując starannie broń i dodając na koniec: – Nie traktuję osobiście tego, co się dziś wydarzyło. Taką już macie robotę...

Po chwili wy dostał się z trudem z samochodu.

# Coma, audyt i mauzoleum

Na terenie parku wchodzącego w skład posiadłości tajemnej organizacji Polonorum większość flory stanowiły drzewa i krzewy liściaste. Antkowi było zatem o wiele trudniej zakamuflować się wśród ogołoconych przez ostrą zimę zarośli. W razie wszczęcia alarmu – który był tylko kwestią czasu – z tak poważnymi obrażeniami ciała nie mógł skutecznie ukryć się bądź też podjąć walki z zaskoczenia. Zastanawiał się więc gorączkowo nad tym, czy lepiej będzie mu wejść bezpośrednio do zamku – zabierając ze sobą kogoś z grupy śląskiej jako zakładnika – czy też może podążyc śladem pani kapitan, ryzykując ponowne starcie z nią na otwartej przestrzeni.

Jedno wyjście czy drugie, to i tak jeden pies – skomentował w duchu. – Zresztą od początku tej pogmatwanej sprawy byłem w nienajlepszym położeniu. Skoro jednak to ona mnie tutaj doprowadziła, to z nią to dzisiaj zakończę – zdecydował i śledząc dokładnie ruchy pobliskich kamer, wychylił się ostrożnie zza samochodu, a następnie ruszył w lewo ku niewielkiemu zalesionemu wzniesieniu, ciągnącemu się równoległe do drogi, którą udała się dziewczyna.

Czyżby jeszcze mnie nie zauważyli? – zastanawiał się, kuśtykając pokracznie między zaroślami. Bądź co bądź, mamy drugi stycznia. Może jeszcze odchorowują sylwestra? – pomyślał życzeniowo.

Dziwnym jednak było to, że wchodząc na wzniesienie, nie wzbudził żadnej reakcji wśród systemów ostrzegania ani też zainteresowania u agentów odpowiadających za ochronę tego kompleksu. Natomiast gdy dotarł już – przez

nikogo nie niepokojony – na sam szczyt niewielkiego pagórka, z odległości około sześćdziesięciu metrów dostrzegł kolejny sporych rozmiarów, zabytkowy budynek, a przed nim zaparkowanego szarego range rovera należącego do grupy krakowskich agentów. Pomędzy leśnym wzniesieniem a budowlą stało także coś w rodzaju małej murowanej kaplicy.

Większa jest bez wątpienia oficyna, o której wspominała dziewczyna. A to drugie, to zapewne jakaś zamkowa krypta czy też mauzoleum... – pomyślał Antek, powoli i boleśnie brnąc przez oszronione chaszczce.

Schodząc z południowej części pagórka, zauważył w końcu, że od strony wspomnianej oficyny, idzie w jego stronę blada, ciemnowłosa pani kapitan. Wyglądała na głęboko zamyśloną i najwyraźniej zupełnie nieświadomą tego, że się do niego zbliżała.

Gdzie ona lezie? – zapytał sam siebie. Przecież tu nie ma niczego prócz ogołoconych krzaków – zdumiał się. No tak... Idzie do tej kaplicy grobowej... – dodał w myślach i ruszył za dziewczyną okrężną drogą, tak szybko, jak tylko był w stanie.

Trzeba przyznać, że Antek zawsze znakomicie maskował się i zakradał – bez względu na to, w jakim terenie przyszło mu działać. We wszystkich jednostkach zwiadowczych, w których się szkolił, dowódcy zawsze byli pod wrażeniem jego umiejętności w tej dziedzinie. Tak więc po kilkunastu sekundach, czekał już ukryty w pobliżu, czujnie obserwując dziewczynę, która najwyraźniej kierowała się do wnętrza tajemniczego budynku. Mauzoleum i kaplica w jednym, wzniesiona była na niewielkim skalnym pagórku, a od zachodniej strony prowadziły do niej topornie ociosane, kamienne schody. Pani kapitan nie skorzystała jednak z nich, lecz podążyła w kierunku skał okrywających pagórek, by po chwili zniknąć u jego stóp.

Tego Antek całkowicie nie przewidział. Stracił dziewczynę z oczu i niewielka szansa na to, żeby dostać się do siedziby dowództwa, właśnie drastycznie zmalała. Nie zwlekając więc ani chwili, pomimo nieludzkiego zmęczenia i wykańczającego go z każdą kolejną minutą, nawracającego bólu, ruszył w stronę kamiennego

nawisu. Gdy jednak tylko zbliżył się do niego, okolicę przeszyły wzburzone krzyki agentów dobiegające z okolicy zamku.

– Cholera! – syknął cicho i nie bacząc na obrażenia ciała, jednym susem zeskoczył z kamiennego nawisu. Noga nie wytrzymała jednak tego lądowania i Antek – po gwałtownym spotkaniu z ziemią – natychmiast zwałił się na plecy. Gdy tylko zaś podniósł przepełniony bolesnym grymasem wzrok w poszukiwaniu swojej przeciwniczki, okazało się, że stoi Ona tuż przed nim. Śmiertelnie zaskoczona widokiem chłopaka tkwiła w niewielkiej skalnej grocie i błyskawicznym ruchem sięgnęła po broń. Tym razem jednak, to Antek był szybszy i pierwszy wystrzelił w jej stronę. Kula wymierzona z glocka 19 uderzyła z impetem w pistolet młodej agentki – wybijając go z jej jasnej, smukłej dłoni, a głos wystrzału, poniósł się doniośle po całej posiadłości.

– Rusz się tylko, a następna kulka wyląduje w twoim czole!! – ryknął Antek, leżąc na ziemi i ze śmiertelną powagą w oczach, celując w głowę dziewczyny. – Żarty się skończyły! Przysięgam ci, że jeśli teraz zrobisz coś głupiego, to skończysz swoją służbę o wiele przedwcześnie – dodał wściekle.

– Czego chcesz? – odpowiedziała zimnym głosem dziewczyna.

– Odwołaj alarm i wprowadź mnie do środka! – zażądał.

– Alarmu nie jestem w stanie odwołać. A jeśli liczysz na to, że wpuszczę cię do środka, to możesz od razu strzelić mi w łeb – zarzekła się dziewczyna.

– Widzę, że nieźle wyprali wam mózgi w tym Polonorum! – skomentował wściekle Antek.

– Zresztą po co ci to? Nawet jeśli tam wejdiesz i tak długo tam nie pożyjesz... – skwitowała z bezwzględnością miną.

– W takim razie powiedz mi przynajmniej, gdzie jest Bona! – krzyknął zniecierpliwiony chłopak, słysząc w oddali kroki zbliżających się posiłków i zdając sobie zarazem sprawę, że dziewczyna z pewnością prędzej da się zastrzelić, niż zastraszyć.

– Kto taki? – zapytała całkowicie bez emocji.

– Nie udawaj idiotki! Pytam ostatni raz: gdzie trzymacie Bonę? – wrzasnął szaleńczo, wiedząc, że nie ma pomysłu, co robić dalej w tej patowej sytuacji.

– Chodzi ci o tego starszego koleśia, który kiedyś dla nas pracował? – odpowiedziała w końcu spokojnie i powoli.

– Tak! O niego! I nie próbuj ze mną grać na czas! – zagroził, znacząco potrząsając bronią.

– Z tego, co mi wiadomo, jest u nas przetrzymywany i czeka na wyrok. Jednak w twoim beznadziejnym położeniu ta informacja i tak niewiele zmienia, prawda? – odpowiedziała całkowicie bez emocji, tą nienaturalną obojętnością doprowadzając Antka do jeszcze większego szału.

– Skoro nie dostrzegłaś do tej pory, o co chodzi w tej całej sprawie, to znaczy, że jesteś głupia i ślepa jak pierwszy lepszy ubecki trep! – wycedził Antek. – I tym bardziej nie będzie mi cię żal – dodał dwuznacznie, po czym ociężale podniósł się z ziemi i powolnym, kulawym krokiem ruszył z wyciągniętą bronią w jej stronę.

Tymczasem posiadłość zamkową przeczesywali już inni agenci, gotowi jak najszybciej zlokalizować intruza i w razie potrzeby natychmiast go zlikwidować. Świadomy tego i zarazem wściekły na swoją totalną bezradność Antek wycelował w końcu lufę pistoletu wprost między oczy dziewczyny i przyciskając ją mocno do jej czoła, powiedział z kipiącą w swoim wilczym spojrzeniu złością:

– Jeśli naszego kraju mają bronić takie tępe dzidy jak ty, to lepiej będzie, jeśli wyświadczę dzisiaj naszej ojczyźnie małą patriotyczną przysługę i...

W tym momencie dziewczyna szybkim ruchem wybiła pistolet z jego ręki. Antek, w swym skrajnym wycieńczeniu i wściekłości, nie zdążył nawet zareagować na niebywale zręczne odebranie broni. Nie udało mu się także uniknąć dwóch błyskawicznych uderzeń w podbrzusze, które Lili wymierzyła mu swoim drobnym, lecz twardym jak kamień kolaniem. I gdy wydawało się już, że kolejne szybkie ciosy zakończą to przeciągające się, tragiczne przedstawienie, a zlikwidowanie go jest już tylko formalnością, wtedy chłopak rzucił się



rozpaczliwie wprost w ramiona zaskoczonej tym niespodziewanym ruchem dziewczyny i oboje, tracąc równowagę, upadli na zamarznięty, twardy grunt.

Przez kilka kolejnych sekund leżeli razem nieruchomo, po czym Antek jakby nigdy nic nagle wstał na równe nogi i patrząc na leżącą nieruchomo dziewczynę, powiedział z nieukrywaną satysfakcją:

– Już witałaś się z gąską, czarnulko, a tymczasem kolejny raz mam cię jak na dłoni... – Uśmiechnął się złośliwie, jednocześnie resztką determinacji próbując przewyciężyć otępiający ból. – Nie bój się... Nic ci nie będzie – zapewniał, jednocześnie rozglądając się uważnie wkoło. – Może uspokoi cię fakt, że jesteś pod wpływem środka o nazwie Coma – wyjaśnił.

Chłopak wyciągnął dłoń, pokazując umieszczoną na niej niewielką igłę z malutką wbudowaną fiolką.

– Sądząc jednak po twoim głupkowatym wyrazie twarzy, jestem niemal pewny, że nie słyszałaś jeszcze nigdy o tym farmakologicznym cacku, co? – dodał, nie darując upokorzonej dziewczynie bolesnych komentarzy. – Jutro będziesz mogła się wymienić wrażeniami z Bojarem... Jednak teraz, jak sama widzisz, nie mam zbyt wiele czasu i wiedz, że jeśli będziesz mi nadal utrudniać, nie będę się z tobą cackał. Za chwilę dotrze tu wasza ekipa i jeśli nie zagrozę tym, że zrobię ci krzywdę, zapewne bez zastanowienia odstrzelą mi łeb – przewidywał. – Domyślam się też, że macie tu jakieś wejście, prawda? W przeciwnym razie nie udałabyś się do tej groty – zapytał retorycznie. – Wskaż mi więc proszę wzrokiem, gdzie jest wbudowany czytnik biometryczny, który umożliwia wejście do środka – dodał o wiele już ciszej i spokojniej.

Niestety dziewczyna wciąż patrzyła na niego w osłupieniu, wyraźnie przerażona tym, co się właśnie stało z jej ciałem.

– No tak... Po co ja pytam... Nie wyciągnąłbym z ciebie nic, nawet gdybym całkiem przytomną obdarł ze skóry...

Antek, głośno wzdychając w geście niemocy, złapał dziewczynę za nadgarstek, a następnie niczym jaskiniowiec wciągnął ją do wnętrza groty, opierając jej

zwiotczała dłoń o skałę, która znajdowała się pośrodku szczeliny.

Po kilku próbach odszukania czytnika, w których niczym niewidomy po omacku starał się trafić opuszkami jej palców we właściwe miejsce, dosłyszał w końcu wśród panującej wokół grobowej ciszy delikatnie skrzypiące na mrozie, nieuniknione kroki powoli i ostrożnie skradających się agentów. Antek wiedział już, że dokładnie namierzono jego położenie i że pozostało mu raptem kilka sekund na jakąkolwiek ucieczkę z wnętrza skalnej pułapki, w której utknął wraz ze swoją śmiertelnie niebezpieczną, tymczasowo obezwładnioną przeciwniczką. Na jego szczęście niemalże w ostatniej chwili pod zmarzniętą dłonią dziewczyny rozbłysło zielone światło w kształcie wyciętego topornie sznytu i potężny kamień rozjechał się na dwie części, obnażając portal, prowadzący wprost do wnętrza pagórka.

Z pewnością gdyby pogoń dotarła do nich zaledwie kilka sekund wcześniej, cała karkołomna eskapada byłaby wkrótce definitywnie zakończona. W tym wypadku jednak ryzykowna rozgrywka toczyła się dalej, a świadomy tego Antek – z dodatkowym zastrzykiem determinacji – nie bacząc, na przesywający niemal każdą część jego ciała ból – poderwał dziewczynę z ziemi i w mgnieniu oka wskoczył do skalnej szczeliny, która zamykając się za nim automatycznie, przyjęła na siebie kilka kul ułamek sekundy za późno posłanych przez tutejszych strzelców wyborowych.

Gdy znalazł się wewnątrz pagórka, jego oczom ukazał się skręcający nieznacznie w prawo i schodzący stromo, szary, żelbetowy tunel przechodzący najwyraźniej wprost pod posadzką kaplicy grobowej. Na jego stropie jarzyło się kilka pożółkłych, migotających lamp przemysłowych.

– Spokojnie, mała. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem – uspokajał Antek. – Nie zaciągnąłem cię przecież tutaj dlatego, że jestem jakimś nekrofilem – zażartował, próbując nieco rozładować sytuację, po czym z wyraźnym wysiłkiem podrzucił bezwładne ciało Lili, tak aby lepiej rozłożyć jego ciężar na skrajnie wycieńczonych rękach.

– Dobrze wiedziałaś, że nie strzełę, prawda? – zapytał nagle, chociaż z wiadomego powodu nie oczekiwał od niej odpowiedzi. – Wiedziałaś, że nie

podziurawię twojej ładnej buźki... W przeciwnym razie nie ryzykowałabyś odebrania mi broni. – Zaśmiał się pod nosem. – I jak głupia myślałaś, że możesz to sprytnie wykorzystać – dodał drwiąco.

Cały czas próbował jakimś cudem ustać na coraz mocniej krwawiącej nodze i jednocześnie nie upuścić na ziemię sparaliżowanej, lecz nadal świadomej dziewczyny.

– Widzisz... Znowu dałaś się podpuścić... Nie zaniepokoiło cię nawet to, że tak łatwo dałem się obezwładnić? Masz wysokie mniemanie o swojej przebiegłości, a w rzeczywistości jesteś strasznie naiwna. Kolejny raz zlekceważyłaś przeciwnika... Czego oni was tutaj uczą, do cholery? – kontynuował monolog, próbując z wolna podążać w głąb korytarza. – Może i wyglądam teraz na człowieka zaszczutego i skatowanego, który w swej obłądnej desperacji nie wie, co robi, ale jak się sama przed chwilą przekonałaś, nie straciłem jeszcze trzeźwego myślenia – komentował, pastwiąc się psychicznie nad bezradną przeciwniczką. – Nie zmienia to jednak faktu, że jeśli to urządzone na mnie polowanie potrwa dłużej, z pewnością je stracę... – dodał z nieudawaną, zaskakującą pokorą.

Po kilku minutach morderczego marszu Antkowi udało się przebyć niespełna dwadzieścia metrów i mimo że dziewczyna nie ważyła więcej niż sześćdziesiąt kilo, jego ręce i nogi z każdym krokiem coraz bardziej odmawiały mu posłuszeństwa. Antek zauważył także, że podczas bolesnego upadku u wejścia do groty, jak i nadmiernego wysiłku, który włożył w pośpieszne podążanie za Lili, xstat został poważnie naruszony i z rany ponownie toczyła się krew. Obficie nasączone nią, tamujące krwotok gąbki wydostały się na zewnątrz, tworząc przy tym bardzo nieprzyjemny widok.

– Wspaniale! – wypalił z grymasem na twarzy. – Spójrz tylko, jak załatwiliście moją nogę... Pewnie zakażenie gotowe... Do tego morfina całkowicie przestała już działać – uskarżał się, obdarzając szczerym wyrzutem przyglądającą mu się z niedowierzaniem dziewczynę. – Nie mam już siły cię dalej nieść – przyznał. – Nie, żebym twierdził, że jesteś za gruba czy coś, ale po prostu nie daję już rady

i muszę cię na chwilę odstawić na ziemię – dodał, zdobywając się mimo wszystko na niewybredny żart.

Chwilę potem, dysząc ciężko, oparł Lili delikatnie o betonową ścianę.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie. – Spojrzał jej głęboko w oczy, starając się sprawić wrażenie szczerego i poważnego. – Ktokolwiek będzie czekał na mnie na końcu tunelu, wiedz, że choć nie mam wrogich zamiarów, nie zawaham się zabrać go wraz ze sobą do piachu, jeśli mnie do tego zmusi. Przyrzekam, że nie przyszedłem tu z wami walczyć, lecz wyjaśnić ten cały bajzel, który bądź co bądź sami sobie zgotowaliście. Daję ci także słowo, że o ile wasi ludzie nie zrobią czegoś głupiego, nikomu tu dzisiaj nie stanie się krzywda. Nie bój się też o paraliż, za kilka godzin będzie po wszystkim. Coma, którą ci podałem, jest środkiem o wiele bezpieczniejszym od waszego chlorku suksametonowego czy też atrakurium. Jest wygodniejszym specyfikiem również dla mnie, gdyż pozwala utrzymać twoją świadomość na niezmiennym poziomie i na pewno nie dostaniesz po nim anafilaksji ani hipertermii – wyjaśnił. – Jednak tego, że nie mam cię zamiaru skrzywdzić, twoi koledzy nie muszą wcale wiedzieć – dodał, uśmiechając się podstępnie.

Odetchnął i ponaglił samego siebie:

– Dobra, idziemy dalej! Będzie, co będzie... Nie mam zamiaru się tu chować jak szczur!

Gotowy na wszystko poderwał dziewczynę z powrotem na ręce, ruszając ociężale w kierunku wejścia prowadzącego do dalszych pomieszczeń podziemnego kompleksu. Gdy w końcu stanął przed potężnymi pancernymi drzwiami, znajdującymi się na końcu tunelu, usłyszał, że wejście od strony groty ponownie się otwiera i na posadzkę upada kilka granatów hukowych. Nie czekając więc ani chwili, oparł dziewczynę plecami o własny tors, objął ją mocno lewą ręką w pasie, a następnie przyłożył jej dłoń do czytnika biometrycznego, mówiąc:

– Jeżeli tylko wyjdę z tego cało, zaproszę cię na kawę.

W tym samym momencie granaty eksplodowały, a potężne drzwi rozsunęły się na dwie części niczym kurtyna w teatrze. Antek bez pośpiechu wszedł do środka, na szczęście tylko lekko ogłuszony eksplozją, która dobiegła go z drugiego końca tunelu. Teraz nie było już dla niego drogi odwrotu, gdyż zaraz po przekroczeniu masywnego progu drzwi błyskawicznie zasunęły się za nim z łoskotem. To, co zobaczył po drugiej stronie pancерnej futryny, zrobiło na nim niemałe wrażenie.

Pod jego nogami rozpościerały się szerokie metalowe schody z kraty pomostowej, prowadzące do olbrzymiego, żelbetowego holu, który najwyraźniej pełnił funkcję jakiegoś wojskowego magazynu. Z kolei na dole czekała już na niego spora grupa agentów, którzy mierzyli do niego z każdej możliwej strony. Jednak to nie ekipa powitalna wzbudziła w nim tak wielkie zdziwienie. Antek był przede wszystkim zaskoczony rozmiarami miejsca, w którym się znalazł, a także jego wyposażeniem. Nie spodziewał się, że pod powierzchnią na pierwszy rzut oka niepozornie wyglądającego zamkowego parku wybudowano schron przypominający te przeciwatomowe, rodem z amerykańskich filmów science fiction.

W tym sporych rozmiarów bunkrze znajdowały się bowiem dziesiątki skrzyń oraz kontenerów, prawdopodobnie wypełnionych specjalistycznym sprzętem wojskowym. Nie był to jednak koniec imponującego asortymentu, gdyż wzdłuż wysokich szarych ścian podziemnej kwatery dumnie prezentowały się potężne wozy bojowe w wersjach cywilnych, opancerzone limuzyny, quady, motocykle, motorówki i kilkanaście wypolerowanych na błysk, sportowych samochodów klasy GT.

Zapewne podobne zaskoczenie przeżyli także czekający na jego przybycie, postawieni w stan gotowości bojowej agenci Polonorum, bo zamiast dobrze wyposażonego i profesjonalnie przygotowanego do akcji bojownika ujrzeni przed sobą ślaniającego się na nogach, ubranego w przesiąkniętą krwią, potargane łachy, ciężko rannego młodego chłopaka, który swoją lewą ręką resztkami sił obejmował bezwładną dziewczynę, natomiast prawą przykładając do jej szyi małą igłę z plastikową fiolką.

Za to Lili przypominała bezwiednego manekina – miała spuszczoną głowę, a jej czarne, gęste włosy opadały aż do kolan, zasłaniając całkowicie bladą, smukłą twarz. Bez specjalnych gogli typu ISS, których używano w siłach specjalnych, agentom trudno było ocenić, czy ich młoda koleżanka nadal żyje.

*Integrated Soldier System* był najnowszej generacji programem zbrojeniowym mającym na celu stworzenie inteligentnego uzbrojenia, bezpośrednio wspomagającego żołnierza na polu walki. Był on wdrażany przede wszystkim w elitarnych jednostkach specjalnych. Gogle typu ISS w swoim szerokim wachlarzu funkcji miały między innymi możliwość wskazania żołnierzowi parametrów życiowych wroga, jak i wszystkich innych osób znajdujących się w pobliżu. W tym wypadku jednak żaden z agentów, nie spodziewając się zapewne jakiegokolwiek ataku na ich ściśle tajną siedzibę, nie mógł mieć przy sobie tak specjalistycznego sprzętu, gdyż ten bez wątpienia leżał sobie teraz gdzieś zamknięty w służbowych szafkach.

– Wiem doskonale – zwrócił się do obserwujących go bacznie agentów wyczerpanym, lecz pewnym siebie głosem Antek – iż każdy z was myśli teraz o tym, żeby zabłysnąć przed resztą i jako pierwszy odstrzelić mnie, zanim zdążę zrobić tej dziewczynie krzywdę. Wiem też, że jesteście strzelcami wyborowymi i wielu z was potrafi ściągnąć potencjalnego zamachowca szybciej, niż ten zdążyłby nacisnąć na spust. I dlatego właśnie ja, jak zresztą zauważyliście, nie mam w dłoniach żadnej broni palnej. Moje kopyto, a raczej kopyto waszego kolegi Bojara, znajduje się teraz za moimi plecami, wetknięte za pasek od spodni – ciągnął z poważną miną.

Nadal celujący w jego głowę agenci uważnie przysłuchiwali się temu, co może mieć do powiedzenia tak niecodzienny gość.

– Jak widzicie, mam za to coś o wiele bardziej niebezpiecznego niż zwykły pistolet – kontynuował chłopak, wskazując głową na niewielką fiolkę zakończoną igłą. – Od razu zapewniam was, że wasza pani kapitan nadal żyje. Jest ona tylko niegroźnie sparaliżowana, podobnie zresztą jak jej koledzy, których spotkałem w drodze, jadąc tutaj do was. Myślę, że możemy się jeszcze dogadać, lecz jeśli

zobaczę, że któryś z was coś kombinuje, wtedy natychmiast i bez ostrzeżenia ukłuję ją toksyną. Jedyne, co z niej zostanie, to całkiem ładna, ale niezdatna do życia roślina. Więc nawet nie próbujcie odstrzelić mnie z zaskoczenia, gdyż wystarczy jeden mały skurcz mięśni w mojej ręce, a dotknę dziewczynę igłą i będziecie mieli ją na sumieniu – zagroził i zamilkł na chwilę.

Antek rozejrzył się anemicznie w prawo i w lewo, gdyż coraz większe zmęczenie oraz senność wynikająca z upływu krwi bezlitośnie przygniotły jego z trudem utrzymywaną świadomość.

– Teraz pozwólcie, że sobie spocznę. Trochę zmęczyło mnie to całe dzisiejsze zamieszanie... – wysapał. – Tylko bez żadnych numerów! – dodał i z coraz bardziej mętym wzrokiem oraz wyraźną ulgą osunął się plecami po metalowych drzwiach, nadal nie wypuszczając jednak dziewczyny z uścisku.

– Udowodnij, że ona żyje! – zawołał nagle jeden z agentów.

– Oooo! Widzę, że ktoś tu jest nieprzygotowany do akcji... – zaśmiał się chłopak, udając rozczarowanie. – Przecież moglibyście to z łatwością sprawdzić. Gdzie się podział wasz wypasiony sprzęt?! Myślałem, że będziecie bardziej ogarnięci – zadrwił. – No ale skoro prosicie, udowodnię wam, że dziewczynie nic nie jest! Proszę bardzo! – Po tych słowach podniósł głowę Lili do góry, po czym zwrócił się do niej: – Zamrugaj dwa razy, aby pokazać twoim kolegom niedowiarkom, że żyjesz i że masz się dobrze, tylko lepiej nic nie kombinuj! – zagroził.

Po chwili zawahania dziewczyna mrugnęła dwukrotnie oczami.

– Wszyscy dobrze widzieli? Bo powtórki nie będzie... – zawołał jeszcze donioślej Antek i z powrotem upuścił głowę dziewczyny.

– A skąd niby mamy wiedzieć, że w ogóle chcesz jej zrobić krzywdę i że nie jesteście razem w zмовie? – zapytał z przekąsem kolejny, mierzący do niego wysoki blondyn. – W końcu już raz ją uratowałeś, prawda? Poza tym bez pomocy kogoś z wewnątrz nigdy byś się tutaj nie dostał – dodał podejrzliwie.

Mimo że obu panów dzieliła odległość co najmniej dwudziestu metrów, Antek swoim zmęczonym wzrokiem dostrzegł, że mówi do niego sam kapitan Abakiewicz – zastępca dowódcy grupy krakowskiej i nieoficjalnie kochanek pani kapitan. I chociaż Antek kompletnie nie spodziewał się tak ciętej odpowiedzi i wyimaginowanego zarzutu – podobnie jak większość przysłuchujących się scenie agentów – to nie dał się zbić z tropu i odpowiedział Abakiewiczowi z wytrawną kpina w głosie, która zwykle przychodziła mu z łatwością nawet w najtrudniejszych sytuacjach:

– Nie pomyślałeś, geniuszu, że reanimowałem ją tylko dlatego, żeby się nią potem wysłużyć? Gdyby zdechła w czasie akcji, nie mógłbym jej przecież zapiąć pluskwy i dostać się do tej waszej lisiej nory. Swoją drogą, kochasiu, ty też bardzo mi pomogłeś tutaj dotrzeć, włączając w aucie zestaw głośnomówiący, z którego przechwyciłem sygnał za pomocą MAV-a umieszczonego w silniku.

Wszyscy agenci wymownie spojrzeli w stronę Abakiewicza, który który wyglądał teraz, jakby połknął surowego ślimaka.

– Nie mydl oczu, cwaniaczku! – odgryzł się natychmiast kapitan. – I tak wiem, że jej nic nie zrobisz! Świadczą o tym nagrania z waszej nocy sylwestrowej! Widzę to także teraz... Ta igła z toksyną to jeden wielki bluff! Dlatego też proponuję zakończyć te nieudolne negocjacje i natychmiast odstrzelić ci łeb! – oznajmił wściekle.

– Nie będę rozmawiał z tobą, ty mierna agencino! – krzyknął Antek, zdenerwowany przedłużającym się i prowadzącym donikąd przekomarzaniem. – Chcę rozmawiać z waszym szefem i chcę, by przyprawiono tutaj Bonę! – ryknął zniecierpliwiony.

– Ja jestem tutaj szefem... O czym chcesz ze mną rozmawiać, człowieku? – Z tłumu agentów niespodziewanie wyłonił się ciemnowłosa mężczyzna w eleganckim granatowym garniturze. Miał on około sześćdziesiątki, był średniego wzrostu i sprawiał wrażenie wyraźnie zniesmaczonego sytuacją, którą zastał.

– Kim jesteś? – zapytał go sucho Antek.



– Generał Franciszek Różewicz – odrzekł spokojnie i dumnie. – A ty kim jesteś? I co tu się, do cholery, wyprawia?! – dodał, znacząco podnosząc ton wypowiedzi i surowo spoglądając na otaczających go agentów, którzy w osłupieniu obserwowali teraz niecodzienną sytuację.

– Panie generale, nazywam się Antoni Miko. Jestem synem Ksawerego Miko, agenta Polonorum, który podobnie jak moja matka został zamordowany przez służby rosyjskiego wywiadu. Natomiast jego ojciec, a mój dziad, nazywał się Ignacy Miko i również był zasłużonym agentem Polonorum. W dwudziestoleciu międzywojennym, a także podczas drugiej wojny światowej dosłużył się w tej organizacji stopnia pułkownika. Po zakończeniu wojny cała moja rodzina do końca życia żyła w konspiracji na Syberii, poświęcając się dla organizacji oraz naszej ojczyzny. Myślę, że na tyle wystarczy panu mojego przedstawiania... Teraz chcę zobaczyć Bonę! – stanowczo zażądał Antek, kończąc swą wyczerpującą wypowiedź.

– Oczywiście znam majora Bonę, synku – odrzekł z lekką wyższością Różewicz – i o ile wiem, od wielu lat jest w stanie spoczynku i już dla nas nie pracuje. Co więc miałby tutaj robić? – dodał wyraźnie zainteresowany Antkiem.

– Panie generale, mamy tutaj niejakiego Bonę... Czeka na dzisiejszą egzekucję – wtrącił pośpiesznie jeden z agentów, który stał w pobliżu Różewicza.

– Egzekucję?! – zapytał szczerze zdziwiony generał, dając do zrozumienia, że czeka na szczegółowe wyjaśnienia.

– Postawiono mu wczoraj zarzuty! Zdrada stanu oraz ujawnienie ściśle tajnych informacji osobie spoza organizacji – wyjaśnił.

– No proszę... Nie było mnie raptem cztery dni, a tu taki burdel – mruknął wyraźnie już rozdrażniony generał. – Nieznany nam człowiek dostaje się do siedziby agencji, nasi ludzie leżą w jakiejś niewyjaśnionej śpiączce, a do tego szykujecie mi tutaj naprędce egzekucję naszego starego agenta. Kto wydał rozkaz likwidacji? – Generał podniósł groźnie ton.

– Pułkownik Paprocki, panie generale! – wtrącił natychmiast Abakiewicz, podchodząc bliżej przełożonego.

– Dlaczego mnie o tym nie poinformowano? – warknął Różewicz, jakby nieco rozdrażniony dużą pewnością siebie, jaka była teraz od młodego kapitana z grupy krakowskiej.

– Z całym szacunkiem, panie generale, ale dowódca w stopniu pułkownika może wykonać lub zlecić karę śmierci pod nieobecność generalicji, jeśli dowody zdrady są niepodważalne, a oskarżony zagraża naszemu bezpieczeństwu...

– Wystarczy! – warknął Różewicz, ostro przerywając Abakiewiczowi zbyt gorliwe recytowanie regulaminu. – Wiem, jakie są zasady. Mimo wszystko powinienem o tym wiedzieć... Przyprowadzić mi tu osadzonego Bonę. Natychmiast! – rozkazał, ponownie podnosząc głos.

– Tylko niech ich pan generał pośpieszy, bo za chwilę będzie mi wszystko jedno, jeśli zacznę tu tracić przytomność – zagroził Antek, uważnie przysłuchując się rozmowie i starając się nadal sprawiać wrażenie skrajnie zdesperowanego.

– Nie rób niepotrzebnych scen, synku – odrzekł mu lekceważąco Różewicz. – Przecież widzę, że nie chodzi ci tylko o Bonę... Powiedz mi, skąd wiesz o naszej organizacji i czego tak naprawdę od nas chcesz – dodał nadzwyczaj spokojnie, bez pośpiechu wyciągając skręta ze swej srebrnej, grawerowanej papierośnicy.

– Po tym, co tu zobaczyłem, nie jestem już pewien, czy czegokolwiek od was chcę – skomentował złośliwie Antek.

– Zdajesz sobie sprawę, chłopcze, że jeszcze dziś możesz wylądować w kostnicy? – odpowiedział niewzruszony tą uwagą generał.

– Oczywiście! Niczego dziś nie jestem tak pewny, jak tego – odparł mimowolnie chłopak, obdarowując dowódcę cynicznym uśmiechem.

– Więc może jednak warto pogadać, zamiast zgrywać cwaniaka – zaproponował, mocno zaciągając się papierosem Różewicz.

– Jeżeli tylko pan generał poważnie potraktuje to, co mówię, to może i warto...

– To się okaże. Zamieniam się w słuch... – Różewicz rozłożył ręce w geście zaproszenia do szczerzej rozmowy.

– Od trzeciego roku życia byłem szkolony do pracy dla tej organizacji – zaczął Antek powoli, oddychając coraz ciężej. – Najpierw przez moich rodziców, potem mojego dziadka, a ostatecznie przez Bonę. Gdy jednak odmówiono mojego przyjęcia, mimo że całe swoje życie poświęciłem na przygotowanie się do tej służby, wasi ludzie zdecydowali się mnie zlikwidować. Tak po prostu! Bez żadnych pytań, bez możliwości obrony, bez rozprawy.

– A czego się spodziewałeś? Nie byłeś nigdy oficjalnie wtajemniczony. Nasze prawo jest jasne i nie ma wyjątków... Za pozyskiwanie i rozpowszechnianie jakiegokolwiek wiedzy o tej organizacji przez niepowołane osoby z zewnątrz kula w łeb – wyjaśnił surowo niewzruszony wyrzutami Antka. – Nie myślisz chyba, że urządziłibyśmy procesy wszystkim, którzy próbowaliby natrafić na nasz najmniejszy ślad. Doprowadziłoby to w końcu do zdekonspirowania nas i byłoby zarazem naszym nieuchronnym końcem – dodał posępnie.

– Ale moja sprawa jest inna – odrzekł ostro, rozzłoszczony tak bezwzględną odpowiedzią generała Antek.

– Tak? A to niby czemu?

– Bo od początku byłem jednym z was, a nie jakąś przypadkową osobą z zewnątrz! – zarzekał się, usilnie próbując utrzymać szeroko otwarte oczy.

– Od kiedy to ktoś, kogo pierwszy raz widzę na oczy, ma czelność powiedzieć, że jest jednym z nas? – Generał prychnął. – Coś tam może się o nas dowiedziałeś... Jakimś cudem dostałeś się tu... Być może ta twoja historyjka jest prawdziwa, ale dla mnie równie dobrze możesz być kimkolwiek innym i opowiadać cokolwiek ci ślina na język przyniesie. Prawda jest taka, że nie znam cię, człowieku, więc nie mów mi, że mamy traktować cię w jakiś wyjątkowy sposób i że jesteś jednym z nas – wyjaśnił z wyczuwalną pogardą w głosie.

– A więc to tak! – obruszył się Antek. – Tak traktuje się tutaj prawdziwych patriotów... Macie taki przemiał ochotników, że lekką ręką i bez zastanowienia

likwidujecie dobrze wyszkolone zasoby ludzkie i zarazem uczciwych i w pełni poświęconych sprawie rodaków? To jest ta wasza genialna polityka? – dodał zdenerwowanym, ale i kpiącym ze złości głosem.

– Daruj sobie te ckliwe, rzekomo patriotyczne gorzkie żale. Jeśli myślisz, że weźmiesz mnie pod włos, to się grubo mylisz – przestrzegł generał, wypuszczając obszernie z nozdrzy kłęby papierosowego dymu. – Owszem, obito mi się o uszy, że Bona szkoli sobie kogoś z rodziny. Nie przypominam sobie jednak, by wspomniano mi, że nielegalnie przekazywał tej osobie wiedzę o naszej organizacji. Bo szkolenie kogoś to jedno, a nieodpowiedzialne informowanie o naszym istnieniu komu się żywnie podoba, to świadome wydanie na siebie wyroku – spuentował bezwzględnie.

– Ale... – wtrącił pośpiesznie Antek.

– Ale czy ci się podoba taka polityka, czy nie, są to zasady, które gwarantują nasze istnienie oraz bezpieczeństwo naszych ludzi na całym świecie – przerwał mu Różewicz. – I lepiej nie uświadamiaj mnie nawet, że uważasz inaczej, bo uznam cię za ostatniego bezmyślnego kretyna – kontynuował, nie zwracając uwagi na sprzeciw Antka.

– Ma pan rację, panie generale, co nadal nie zmienia faktu, że nie można tak po prostu usuwać niewinnych ludzi jak zwykłych niepotrzebnych śmieci! A Bona był i jest niewinny! – po raz kolejny ostro zaprotestował Antek. – To nie on mi o tym wszystkim powiedział! Tak jak wspomniałem, od dziecka doskonale wiedziałem, do czego byłem szkolony! Wiedzę przekazali mi jeszcze za życia moi rodzice, ucząc mnie miłość do ojczyzny i całkowitego poświęcenia dla organizacji. Czy ich też za to pośmiertnie oskarżycie? – krzyknął, a jego głos poniósł się echem po obszernym betonowym bunkrze.

– To nadal nie usprawiedliwia twojego wuja... Mógł nas od razu o tobie poinformować, ale widocznie wolał działać wbrew naszym zasadom...

– Bona wiele razy zgłaszał moją gotowość do działania, ale nikt nie miał ochoty mnie zweryfikować! Chciałem także osobiście się do was zgłosić i gdybym tylko

wiedział jak, zapewne już dawno bym to zrobił. Jednak Bona kazał mi cierpliwie czekać na szansę, której ostatecznie od was nie otrzymałem. W zamian za to, skazaliście nas na śmierć! – wyrzucał z siebie Antek. – Od lat byłem pełen zapału i chęci do pracy dla was, a tymczasem w środku nocy zjawia się u nas jakiś przemądrzały, siwy sukinsyn i bez słowa wytłumaczenia chce wykonać wyrok!

– Twarde prawo, ale prawo! Bona świadomie i bezsprzecznie złamał fundamentalne zasady! – zagrział generał, przerywając Antkowi. – Mimo to przyjrę się bliżej tej sprawie – zapewnił, nagle jakby łagodząc ton wypowiedzi.

– Oooo... To już coś... – skomentował chłopak, prychając ironicznie i kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Nie zgrywaj się, tylko mów dalej, póki jeszcze mam ochotę cię słuchać – odrzekł mu natychmiast Różewicz, niezadowolony z tak zuchwałej odpowiedzi.

– Wspaniale... Tak się składa, że mam jeszcze panu sporo ciekawych rzeczy do powiedzenia – oznajmił z nieukrywaną satysfakcją, na co Różewicz przytaknął, okazując żywe zainteresowanie.

– Wspomniał pan, że jakimś cudem się tutaj dostałem... – zaczął niemal z beczelną pewnością siebie. – Otóż nie stało się to za sprawą jakichś cudów, ale z pomocą pańskich ludzi, panie generale.

Słyszając to, Różewicz zmarszczył brwi i jeszcze baczniej przyjrzał się Antkowi.

– I powiem panu więcej... Całe życie myślałem, że to najbardziej elitarna organizacja na świecie, ale po krótkim rekonesansie nie wiem, czy w ogóle mam zamiar dla was pracować. Pańscy ludzie są po prostu... – Chciał mówić dalej, ale zabrakło mu tchu.

– I dlatego, pomimo przewagi, jaką dawała ci bezcenna wiedza o nas, wyglądasz teraz jak rozjechany przez ciężarówkę, zdychający pies? – zadrwił generał.

– Dobre sobie – Antek się zaśmiał. – Jeśli te liche informacje, które miałem ja, uważa pan za przewagę, to jaką przewagę musieli mieć w takim razie pańscy ludzie?!

– Nie będę się tutaj z tobą licytował, chłoptasiu – odparł wyraźnie urażony tym komentarzem Różewicz. – Przekonaj mnie lepiej, na jakiej niby podstawie mam wierzyć w te twoje czarujące opowieści? Bo tak się składa, że poznałem kiedyś Ksawerego Mike, ale skąd mam niby wiedzieć, że rzeczywiście jesteś jego synem... W końcu skoro tak bardzo pragnął wprowadzić swojego potomka do organizacji, dlaczego nie oddał cię na szkolenie, gdy byłeś jeszcze dzieckiem? – zapytał podejrzliwie.

– Ojciec nie oddał mnie na szkolenie z bardzo prostego powodu. Podejrzewał bowiem, że po wątpliwym i pozornym wyrwaniu się Polski z rosyjskiej strefy wpływów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku organizacja przez kolejne lata nadal będzie ścigana i infiltrowana przez ludzi Kremla – wyjaśnił szczegółowo Antek. – Dziadek uważał podobnie, a miał w tej materii o wiele większe doświadczenie... Nalegał na rodziców, by nie odsyłali mnie do Polski, przekonany, iż zmiana, która nastąpiła pamiętnego czwartego czerwca, była zaledwie iluzoryczna i że na dziecko z takiej rodziny jak nasza w kraju nadal może czekać niebezpieczeństwo, a on z pewnością dobrze wiedział, o czym mówi! – przekonywał, próbując usilnie podnosić stale opadające z wycieńczenia powieki. – Sam w pięćdziesiątym roku musiał uciekać ze zdziesiątkowanego przez NKWD Polonorum i w imię starej sprawdzonej zasady, że pod latarnią najciemniej, ukrywać się do końca życia na Syberii! – spuentował.

– Rzeczywiście... Mieliśmy wtedy niepewny okres w historii naszej organizacji. Mogę cię jednak zapewnić, że od osiemdziesiątego dziewiątego aż do dziś program szkoleniowy naszych najmłodszych adeptów był całkowicie bezpieczny. Nadal jednak nie zapewniłeś mnie wystarczająco o tym, że nie jesteś jakimś podrzuconym ruskim śpiochem, sprytnie legitymującym się spreparowanym życiorysem opartym na informacjach wyciągniętych od państwa Miko, którzy prawdopodobnie byli przed śmiercią torturowani – oznajmił spokojnym, lecz nadal nieprzyjemnie lekceważącym tonem generał.

– Moi rodzice nigdy nie pisnęli kacapom ani słowa – warknął zajadle Antek, żywo ugodzony tą bezpośrednią insynuacją.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie. W końcu, jak każdy z naszych ludzi, byli do tego odpowiednio przygotowani, ale... – nie dokończył generał, gdyż tym razem to chłopak gwałtownie wszedł mu w słowo.

– Ale niech sobie pan wierzy, w co pan chce! Z każdą minutą zdaję sobie coraz bardziej sprawę, że ta rozmowa do niczego już nie prowadzi... Całe życie czekałem na ten dzień i na spotkanie z ludźmi, o których miałem najwyraźniej błędne, wyidealizowane wyobrażenie... Rzeczywistość jednak jest taka, jaka jest... Ja, niczym wystrychnięty na dudka przez swoje ideały frajer, leżę tu i zdycham, a wkoło otacza mnie banda poirytowanych swoją nieudolnością pseudowybrawców oraz zaślepiony swoim ego nadęty, urażony mądrała – wycodził zajadle, nie licząc się już z żadnymi konsekwencjami swojej zabójczej szczerości.

– To bardzo nierozważne słowa, synku – mruknął generał, robiąc przy tym nieprzyjemnie kwaśną minę.

– O nie, panie generale, to bardzo właściwe słowa – zaprzeczył z przekonaniem Antek. – Dlatego zapamiętajcie sobie wszyscy ten moment i pocałujcie mnie w dupę! – zakończył ostro, po czym desperacko i jakby teatralnie odłożył igłę przyłożoną do ramienia Lili.

– Nie strzelać!! – ryknął generał, doskonale wiedząc, że grupa około trzydziestu agentów przez cały ten czas tylko czekała na moment, gdy Antek nie będzie już zagrażał życiu agentki.

– Dobra decyzja, stary druhu! – zza pleców generała dobiegł nagle ochrypły głos Bony, którego przywieziono właśnie na więziennym wózku przypominającym ten rodem z filmów o Hannibalu Lecterze.

Wyraźnie wymęczony staruszek był całkowicie unieruchomiony, gdyż agenci Polonorum przypięli go do metalowego stelaża sześcioma skórzanymi pasami. Jego głowa pozostała jednak nieskrępowana, a na odsłoniętej twarzy widniał nieznaczny uśmiech.

– Przyznam, że nigdy nie spodziewałbym się spotkania z tobą w tak absurdalnych okolicznościach – odrzekł generał, odwracając się z wolna w stronę

starego znajomego.

– Co ty nie powiesz... – odpowiedział mu Bona, cynicznie udając zdziwienie.

– Zaprawdę groteskowy widok – dodał Różewicz, rzucając reszkę papierosa na ziemię i przygniatając go butem.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Różewicz. Zastanawiam się tylko, czy bardziej groteskowe jest to, że stoję tu skrępowany jak jakiś pospolity psychopata, czy to, że ty zostałeś generałem – zripostował złośliwie dawny agent z jeszcze wydatniejszą ironią.

– Doprawdy? – Generał się uśmiechnął, najwyraźniej wcale nieurazony tym zuchwałym komentarzem. – W takim razie powiedz mi, stary przyjacielu, jakim to sposobem znalazłeś się w tak, że tak powiem, krępującej sytuacji?

– Wszystko przez urojenia tego waszego chorego z nienawiści ćwierćinteligenta Paprockiego! – wycedził teraz dosadnie w odpowiedzi mężczyzna, rozsierzony samą myślą o wysokim, szpakowatym pułkowniku Polonorum, który wtargnął do jego domu w noc sylwestrową, brutalnie wrywając go z nocnej kąpieli.

– Wy tłumacz mi, dlaczego Paprocki cię aresztował – odpowiedział niewzruszony nagłym wybuchem złości Różewicz.

– Ale co tu tłumaczyć?! Dobrze znasz Paprockiego, zawsze miał do mnie jakiś problem, a teraz, gdy dostało mu się w ręce trochę więcej władzy i możliwości, zadbał o to, by odpowiednie zaszczyty spadały także i na mnie... – odrzekł Bona, robiąc przy tym minę rozżalonego królewskiego błazna.

– Mówiono mi, że zdradziłeś, Bona – odpowiedział chłodno generał, a jego twarz stała się nagle groźna i nieprzejednana. – Że zdradziłeś informacje o naszej organizacji – dodał ponuro.

– Ten skurwiel chciał po prostu wyrównać stare rachunki! Odegrać się na mnie, wykorzystując do tego przygotowane przez siebie wcześniej przedstawienie! – wypalił wściekle skrępowany pasami staruszek.



– Paprocki, jako oficer w stopniu pułkownika, mógł sam zgodnie z prawem i na podstawie dowodów zatwierdzić wyrok w wypadku zdrady. Powiedz mi szczerze, Bona, czy te dowody były bezpodstawne? – zagrzemiał równie mocno Różewicz.

– Matko kochana, to Paprocki jest teraz pułkownikiem?! – parsknął rozżalony były agent z miną świadczącą o zniesmaczeniu i nieudawanym współczuciu dla generała.

– Miał wiarygodne dowody czy nie? – surowo powtórzył generał.

– Oczywiście, że nie miał! Ten dureń ponad dwa tygodnie temu założy mi podsłuch w domu i myślał, że ja o tym nie wiem...

– A wiedziałeś?

– Oczywiście, że tak!

– To jakim cudem dałeś się mu tak nawinie wystawić?! – zapytał ze szczerym niedowierzaniem Różewicz, wyciągając z papierošnicy kolejnego skręta.

– Wszystko ci wyjaśnię – zapewnił Bona.

– Na nic innego nie czekam – rzucił mimowolnie dowódca, tym razem jakby nerwowo wciągając słuszną dawkę nikotyny do płuc.

– Otóż wielokrotnie, zgodnie z regulaminem, rekomendowałem organizacji nowego, doskonale wyszkolonego przeze mnie człowieka, którym był mój przyszywany bratanek. – Wskazał wzrokiem na leżącego na metalowych schodach, nadal podtrzymującego lewą ręką dziewczynę, ledwo przytomnego Antka. – Wciąż jednak spławiano mnie i odsyłano z kwitkiem, tłumacząc przy tym, że system szkoleń się zmienił i dowództwo nie jest już zainteresowane wątpliwymi amatorami, wyszkolonymi na bazie mojej starej szkoły wywiadowczej. Choć jak widać, stara szkoła wcale nie taka zła... – dodał Bona, ponownie wskazując na chłopaka.

– Nie zmieniaj tematu, Bona. Mów, co z tymi podsłuchami!

– No więc, gdy w końcu zrozumiałem, że nowe władze odpowiedzialne za rekrutację i szkolenie nie pozwolą na skontaktowanie się w tej sprawie z dowództwem i że oficjalna droga do służby w Polonorum jest dla mojego

chłopaka definitywnie zamknięta, uznałem, iż zaryzykuję pewne niestandardowe rozwiązanie, byście sami bezpośrednio mogli przetestować jego umiejętności, i to najlepiej na własnej skórze – wyjaśnił dwuznacznie.

– Co masz na myśli, mówiąc „przetestować”? – zapytał zaskoczony generał.

– To, co właśnie widzi pan, panie generale! – Bona wymówił stopień wojskowy ze słyszalnym przekąsem.

– Chcesz powiedzieć, że to zaaranżowałeś?! – oburzył się dowódca, nie dowierzając w to, co przed chwilą usłyszał.

– Tak, przyjacielu... Sam sprowokowałem tę sytuację – potwierdził odważnie Bona, z wymalowaną na twarzy dziką satysfakcją.

– Czyli to wszystko to twoja prowokacja? – powtórzył Różewicz, niemal wychodząc ze skóry.

– Och! Niepotrzebnie mi schlebiasz, Różewicz... Wszystko to zdecydowanie za dużo powiedziane. Ja tylko dałem drobny pretekst do waszej interwencji, która uruchomiła całą serię kolejnych zdarzeń – wyjaśnił, okazując przy tym pozorną skromność.

Antek, mimo że miał już tylko połowiczny kontakt z rzeczywistością, otworzył nagle szerzej oczy, gdyż sam nie dowierzał w to, co dopiero usłyszał.

– Ty naprawdę jesteś chory, człowieku! – wtrącił się niespodziewanie do rozmowy młody kapitan Abakiewicz, wyraźnie wyprowadzony tym zuchwałym wyznaniem z równowagi. – Przecież mogli zginąć agenci! To jest... to jest jawne działanie na szkodę Polonorum!

– Na szkodę Polonorum? – odwarknął chrapliwie Bona, tym razem dotknięty do żywego. – Ja wyświadczyłem wam tylko przysługę, młokosie, a to ostatnia rzecz, jaką jeszcze mogłem zrobić dla tej organizacji... Mój chłopak przeprowadził wam taki audyt, jakiego nikt inny by wam nie zrobił w żadnych aranżowanych ćwiczeniach! Można by nawet rzec, że rozegrał to z wami jak z uczniakami! I co, blondasku, powiesz mi teraz, że zdaliście ten test na piątkę? Że agencja jest dobrze

przygotowana? Dobrze strzeżona i bezpieczna? – wyliczał, nie ukrywając wzburzenia.

– Aaaa! I to dlatego teraz masz swoją upragnioną satysfakcję? Całe to chore przedstawienie to twój powód do dumy?!

– Nie, to nie jest powód do dumy! To jest powód do zaniepokojenia i zastanowienia się nad tym, co się tutaj dzieje! – ostro zripostował Bona. – A wy, młodzi agenci, jesteście dzisiaj trzymani pod kloszem, gównu wiecie o wywiadzie! Dzieci w przedszkolu mają więcej stresu niż wy! A to nie jest, kurwa, przedszkole! – dodał, obryzgując sobie brodę tryskającą ze wściekłości śliną.

– Dość tej kłótni! – zareagował w końcu Różewicz. – Do rzeczy, Bona. Mów, jak było! – dodał, depcząc kolejnego papierosa. Już spokojny z neodpartą ciekawością zerknął na odpływającego do innej rzeczywistości Antka.

– Dobrze. Z wielką chęcią wyjaśnię tę sytuację, tylko niech ten szczył mi nie przerywa, kiedy mówię!

Generał Różewicz popatrzył musztrującym wzrokiem w stronę Abakiewicza, a ten przytaknął nieznacznie, dając do zrozumienia, że nie będzie się więcej wdawał w utarczki słowne ze starym, rozeźlonym weteranem.

– A więc – zaczął ponownie Bona – tak jak wspominałem, dano mi do zrozumienia, żebym spieprzał i nie zawracał wam więcej dupy. Oczywiście poinformowano mnie uprzejmie, że jeśli osoba przeze mnie szkolona dowie się czegokolwiek z moich ust na temat organizacji, to wtedy kulka w łeb... Zresztą nie musieli mi tego mówić... Wiem, jakie są procedury, i od razu domyśliłem się, że z czasem będziecie musieli zweryfikować to, czy aby mój podopieczny nie jest zbyt poinformowany w tej sprawie. Pewność dało mi to, że jakimś trafem dowiedziałem się, iż negatywną decyzję rekrutacyjną podpisał ten kretyn Paprocki!

– Czemu nie przyszedłeś do mnie albo do kogoś ze starych znajomych? – zapytał naiwnie Różewicz.

– Żartujesz sobie?! – ponownie wzburzył się Bona. – Przecież wy jesteście teraz generałami i Bóg wie kim jeszcze! Nawet nie wiedziałem, że zafundowaliście

sobie tu taką wypasioną siedzibę. Jak miałem się do was dostać? Jedyne oficjalny kontakt, jaki mi pozostał, to stara komórka dla nieaktywnych agentów, w której to jakiś ulizany goguś w garniturku olał mnie jak zwykłego frajera – wyjaśnił z wyrzutem.

– Rozumiem... W takim razie obiecuję, że się temu przyjrę... A tymczasem mów, co dalej, i kończmy już te przeciągające się męczarnie...

– Tak więc, gdy dowiedziałem się, że to Paprocki stał za ostateczną odmową w sprawie mojego chłopaka, natychmiast dotarło do mnie, że ewentualną kontrwywiadowczą akcją weryfikacyjną z pewnością zajmie się z również on! Obaj dobrze wiemy, że ten smutny służbista nie przegapiłby tak dogodnej okazji, aby mnie upokorzyć... Sęk w tym, że ten kretyn w ogóle nie domyślił się, iż mogę o czymkolwiek wiedzieć i że przez ten cały czas to ja będę go robił wkoło palca – zaśmiał się podstępnie Bona, a generał, odpalając kolejnego, trzeciego już papierosa, również lekko uśmiechnął się na te słowa.

– Kontynuuj, kontynuuj...

– Pomyślałem sobie wtedy, że nadarzyła się idealna okazja, aby celowo podłożyć się, wykorzystując nadgorliwość Paprockiego i w niebudzącej żadnych podejrzeń ustawce dać wam na wypróbowanie mojego chłopaka.

– To jednak nadal nie tłumaczy złamania naszego prawa, a co za tym idzie, twojej zdrady... – przerwał nagle Różewicz.

– Spokojnie, daj mi dokończyć. To nie ja uświadomiłem mojemu wychowanka o naszym istnieniu... Nagrania Paprockiego to tylko wyrwana z kontekstu, mała część historii tego chłopaka – zapewniał Bona. – Antek już od najmłodszych lat wiedział, co to Polonorum! I choćbyście mnie podpięli do wszystkich wariografów świata, powtórzę raz jeszcze: to nie ja go o tym wszystkim poinformowałem. Po śmierci rodziców ten dzieciak jakimś cudem odnalazł mnie, a ja tylko dokończyłem jego szkolenie! Nie złamałem więc regulaminu – wyjaśnił.

– Czyli utrzymujesz, że te nagrania nie są żadnym przesądzającym dowodem? – dopytywał generał, zastanawiając się nad czymś gorączkowo.

– Oj tam, wielkie nagrania! – Bona przewrócił lekceważąco oczami. – Pod koniec minionego roku świadomie upozorowałem w moim domu kilka niewinnych rozmów dotyczących organizacji, doskonale wiedząc, że Paprocki założył podsłuch. Następnie po tym kontrolowanym wystawieniu się pozostało mi tylko cierpliwie czekać na jego wizytę. Domyśliłem się, że ten pajac wybierze jakiś szczególny dzień, bo to w jego stylu, i obstawiałem Wigilię albo sylwester. Wiedziałem też, że Antek będzie mnie bronił, a w razie mojego aresztowania ruszy za Paprockim i mnie odnajdzie – wyjaśnił z zapartym tchem.

– Teraz to i ja się zastanawiam, Bona, czy ty aby rzeczywiście jesteś zdrowy na umyśle – przerwał nagle Różewicz, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Owszem, było ryzyko, jak to w naszym fachu... Ale przygotowałem wszystko tak, by sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Celowo zabrałem broń do czyszczenia, żeby na miejscu nie doszło do żadnej strzelaniny, a także pozbyłem się chłopaka z domu, by nie wzięto go z zaskoczenia. Poza tym szkoliłem go od najmłodszych lat, dlatego miałem całkowitą pewność, że gdy wróci z imprezy, natychmiast zorientuje się, że coś jest nie tak, i zamiast działać pochopnie, najpierw ostrożnie przeanalizuje sytuację.

– Teraz to już całkiem cię nie rozumiem, Bona. Wystawiłeś własnego człowieka, całkiem bezbronnego, w starciu z naszymi agentami? – zapytał zaskoczony generał.

– Oooo nie! Co to, to nie! – zdecydowanie zaprzeczył weteran. – Kto jak kto, ale on nigdy nie jest bezbronny... Nie mógł mieć jednak broni palnej przy sobie, gdyż w przeciwnym razie mogłoby dojść do niepotrzebnej wymiany ognia. Byłem zresztą przekonany, że w razie potrzeby będzie tylko kwestią czasu, aż sam ją wam odbierze. – Bona ponownie uśmiechnął się chytrze – Poza tym, wychowałem go w duchu patriotyzmu i szacunku do życia każdego polskiego żołnierza! – Spojrzał z politowaniem na nastroszonego jak paw Abakiewicza. – Dlatego wiedziałem, że próbując odbić mnie, będzie robił wszystko tak, żeby nie zabić nikogo z Polonorum! Liczyłem także na to, że jeśli dobierze wam się do skóry, będąc całkiem nieświadomy tej prowokacji i jak to nazwał: bezbronny, wtedy tym

bardziej udowodni swoją wartość bojową oraz to, że miejsce w tej organizacji należy się mu jak psu buda! To była jedyna szansa na to, żebyście go dostrzegli, i tak się właśnie dzisiaj stało... – zakończył wyczerpujące wyjaśnienia z dumą wymalowaną na twarzy i przebiegł spojrzeniem po wszystkich stojących w osłupieniu agentach.

– Wiesz, że teraz możesz odpowiedzieć za to z kolejnych paragrafów? – zapytał Różewicz, patrząc surowo na starego znajomego.

– Franek... – zwrócił się teraz do generała wyjątkowo poufale Bona. – Nie pieprz mi takich głupot, dobrze wiesz, że nie tu leży problem...

– Dobrze ci radzę, Bona, mimo twojego nieokrzesanego temperamentu zachowaj minimum szacunku dla mnie. Nie wiesz, że nadal mam jeszcze możliwość wyciągnąć ciebie i twojego niesfornego chłopaka z tej całej matni? – Zadarł wysoko głowę.

– Proszę cię, przyjacielu, tylko nie zgrywaj tu jakiegoś Piłata! Przecież doskonale wiem, że wszystko zależy teraz od twoich wpływów. Panie generale... – odpowiedział w swoim niesfornym stylu Bona, a Różewicz zawstydził się nieco na te słowa. – Więc czego chcesz więcej? Wszystko ci już wyjaśniłem – kontynuował weteran. – Widzisz, że to nie my tu jesteśmy winni, a już na pewno nie Antek! On o niczym nie wiedział, jest czysty. Szukaj winnego tego bałaganu wśród tych, którzy wysłali waszych ludzi do zlikwidowania nas bez rozeznania, bez wsparcia, na wariackich papierach! – wyliczał. – Po tej tragicznej dla was w skutkach akcji można sądzić, że ten idiota Paprocki całkowicie nas zbagatelizował! I wystawił tym samym na talerzu trzech Bogu ducha winnych ludzi znakomicie wyszkolonemu zabójcy, który do tego znajdował się na własnym terenie! Macie pieprzone szczęście, że mój chłopak miał więcej oleju głowie od tych waszych krakowskich prymusów i pomimo skrajnie trudnej dla niego sytuacji zachował się rozsądnie. W przeciwnym razie grzebalibyście dziś swoich kolegów. – Bona spojrzał groźnie na Abakiewicza. – A ty, Różewicz, nie miałbyś już syna – skwitował zimno, kładąc nacisk na nazwisko generała.

– A co ma do tego mój syn?! – zapytał poruszony tymi słowami generał, rozglądając się groźnie po otaczających go wokół podwładnych, jakby szukał w ich spojrzaniach jakiegoś wyjaśnienia.

– Aaaa! Czyli jeszcze ci nie powiedzieli? Tak myślałem... – skomentował Bona z płomienną satysfakcją, której w żaden sposób nie potrafił już ukryć.

– A niby co mieliby mi powiedzieć? – zagrzemiał generał, nadal zimnym wzrokiem penetrując podkomendnych.

– A to, że Paprocki wysłał go tam wraz z resztą nieświadomej ekipy na pewną śmierć. I to tylko po to, by załatwić swoje prywatne porachunki.

– Co?! – Generał odwrócił się gwałtownie w stronę skrzepowanego staruszka, żądając więcej informacji.

– Na szczęście, jak już wspomniałem, mój chłopak myślał na tyle trzeźwo, że oszczędził całą trójkę waszych agentów. Chociaż kolega twojego syna nie miał już tyle szczęścia i ponoć znajduje się teraz w o wiele gorszym stanie...

– Co z moim synem?! Dlaczego, do cholery, nic o tym nie wiem?! – huknął generał, zwracając się tym razem wprost do kapitana Abakiewicza.

– Panie generale, mieliśmy właśnie panu zameldować... Pana syn ma złamany prawy bark oraz obojczyk. Ma także niegroźny krwiak na potylicy – wytłumaczył niepewnym głosem.

– Franek! Na miłość boską! – zwrócił się ponownie do starego przyjaciela Bona, przerywając gwałtownie młodemu kapitanowi, gdyż wiedział już, że zagrawszy na uczuciach rodzinnych wyciągnął asa z rękawa. – Musieliśmy bronić się przed chucpą Paprockiego i mieliśmy święte prawo strzelać do waszych ludzi w obronie własnej! Jednak to dzięki moim i Antka decyzjom twój jedynak wyszedł cało z tej poronionej akcji. Za to teraz mój chłopak leży tu skatowany i dłużej już tak nie pociągnie! Za chwilę się wykrwawi! – Bona umiejętnie przeszedł teraz na pełen goryczy ton błagającego o litość poddanego. – Dotarł za mną aż tutaj. Oszczędził wszystkich twoich ludzi. Nikogo nie zabił! Co jeszcze musi udowodnić,

żebyś go uratował?! Chyba zrobił już wystarczająco dużo, żeby zasłużyć na miejsce w waszym gronie – dodał z wyraźnym bólem w głosie.

– Jasna cholera, co za burdel! – ryknął generał, rzucając wściekle na ziemię resztkę dopalającego się skręta.

– Franek... Daj mu szansę!

– Zamknij się na chwilę! Próbuję zebrać myśli – odwarknął pod nosem Różewicz, błędząc wzrokiem po ziemi.

– Albo po prostu puść nas wolno... Zaszycemy się gdzieś i znikniemy wam z oczu – nadal usilnie się targował stary weteran.

– Nic nie rozumiesz, Bona! Za dwa tygodnie przyjeżdża główne dowództwo, a wraz z nim cała góra! Jeżeli nawet pójdę wam na rękę, Paprocki na pewno złoży apelację w tej sprawie, a wtedy nasi sponsorzy i najwyższa kapituła dowiedzą się o tym, co tu zaszło, i zrobi się z tego gigantyczna zadyma! – wyznał szczerze generał, ewidentnie bijąc się z myślami.

– Spokojnie, przyjacielu, zaufaj mi... Paprocki niczego nie złoży. To on tutaj dał dupy, a nie my! Ty musisz go tylko teraz skutecznie sprowadzić na ziemię, a on ci nie podskoczy! To zwykły dwulicowy tchórz. Zresztą co miałby im powiedzieć?! Że nie panuje nad własną grupą?! On tylko potrafi rozstawiać po kątach mniejszych od siebie, a skoro dali mu już tego pułkownika, myśli, że może panoszyć się w tym swoim wieśniackim płaszczu i...

– Dość! – wrzasnął Różewicz. – Już wystarczy, Bona – dokończył o wiele spokojniejszym tonem.

– Ja chciałem tylko powiedzieć, że możesz mi zaufać. Jak zawsze... – zapewnił równie spokojnie weteran.

– Wiem, co chciałeś... I chociaż mogę tego żałować, to jednak dam twojemu chłopakowi szansę – niespodziewanie oświadczył generał. – Ale – dodał natychmiast – jeżeli wykręci tutaj jakiś numer, to osobiście wykonam na was obojgu wyrok śmierci! – przestrzegł, próbując jednocześnie ochłonać z emocji.



– Jestem z tobą całkowicie szczerzy i daję ci moje słowo, generale, że Antek, choć nie jest jeszcze idealnie wyszkolony i z pewnością ma sporo braków, ma w sobie to coś! Coś, co powinien mieć każdy najlepszy człowiek pracujący w wywiadzie. – Bona tym razem odezwał się do starego kolegi z najwyższym szacunkiem.

– To znaczy co? – oparł mimowolnie Różewicz.

– Potrafi niespotykanie improwizować. Jakimś cudem zawsze wychodzi cało nawet z najgorszych opresji. Nie wiem skąd, ale on to po prostu ma! Ma to pieprzone szczęście, które w tej profesji jest niezbędne! – wyjaśnił z dumą. – A teraz skończmy to przedstawienie. Niech twoi ludzie rozwiążą mnie z tych haniebnych pasów, a mojego dzieciaka jak najprędzej zabiorą na salę operacyjną. To twardy chłop, ale jak każdy człowiek ma swoje granice. Za chwilę jednak może być już o jedną za daleko... – Skinął głową w stronę wymęczonego wychowanka.

– Abakiewicz! Rozwiązać pana majora! – rozkazał Różewicz, a młody kapitan natychmiast stanął na baczność przed generałem. – I w tej chwili zabrać panią kapitan oraz tego chłopaka do naszej kliniki! Tylko szybko! – ponaglił. – A jutro zrobię wam wszystkim taki audyt, że będziecie błagać o szkolenia na Svalbardzie! – dodał szorstko.

Antek wprost nie wierzył w to, co słyszy. Nie był nawet pewny, czy to, co się właśnie wydarzyło, nie jest tylko jakimś złudnym, agonalnym przywidzeniem. W pierwszym momencie był wściekły na Bonę, że ten świadomie wystawił go na taką rzeź. Po chwili jednak poczuł w duchu przepełniającą go dumę – jak gdyby przeszedł właśnie coś w rodzaju męskiej inicjacji. W końcu wuj całkowicie mu zaufał, nie bojąc się postawić przed nim tak skrajnie niebezpieczne zadanie. Czuł jednak równocześnie, że jest już tak wycieńczony, iż tylko z jakąś niewidzialną i niewyjaśnioną pomocą nadal podtrzymuje dziewczynę, aby ta nie upadła na metalowe schody.

– Oddaj ją! – Usłyszał nad sobą zimny i wściekły głos młodego oficera grupy krakowskiej.

– To nie jest jakaś rzecz, żebym miał ją komukolwiek oddawać – wymamrotał Antek, nie próbując nawet podnieść wzroku.

– Ciesz się, że jeszcze żyjesz, frajerze... Mogłem cię zdjąć w każdej chwili, zanim pojawił się Różewicz.

– Prawda... Jeszcze żyję... – potwierdził Antek, uśmiechając się zadziornie pod nosem. – Tylko jeśli twoja pani kapitan po tym, co o niej tutaj powiedziałaś, doberze ci się do skóry, nie wiem, czy ty będziesz żył jutro... A wierz mi, wiem, o czym mówię...

Wybełkotawszy ostatnie słowa, chłopak osunął się na ziemię, tracąc przytomność.

# Niezapowiedziani goście

Antek powoli otworzył posklejane od śpiochów oczy i pierwsze, co spostrzegł, to jasnoniebieskie światło bijące z lampki nocnej oraz złowrogie cienie rosnących za oknami drzew, pnące się po białym suficie niczym spiczaste szpony. Wokół niego panowała grobowa cisza, jedynie co jakiś czas przerywana cichymi, powtarzającymi się odgłosami pracującego sprzętu medycznego. Zamrugał kilka razy, aby upewnić się, że rzeczywiście się obudził, po czym ostrożnie spróbował podnieść głowę. Gdy tylko napiął mięśnie, natychmiast odezwał się w nim przeszywający ból ogarniający niemalże każdą cząstkę pokiereszowanego ciała, więc szybko z tego zamiaru zrezygnował.

Czy oni tu oszczędzają na środkach przeciwbólowych, czy jak? – pomyślał, zdając sobie po chwili sprawę, gdzie się właśnie znajduje.

– Czy jest tu ktoś?! Halo! Czy jest tu ktoś jeszcze? – zawołał słabym głosem, patrząc bezradnie w sufit, jednak nikt mu nie odpowiedział.

Przeleżał więc tak jeszcze kilkanaście minut w całkowitej ciszy, próbując sobie przypomnieć wszystkie szczegóły z ostatnich dwóch dni, odkąd to w domu jego wuja odwiedzili go agenci Polonorum. Westchnął.

No tak... Zabrali mi smartplaster. Do tego jedno auto skasowane, a drugie porzucone w puszczy. MAV-y też czort jeden wie gdzie... A komputer i wszystko, co miałem w plecaku, z pewnością doszczętnie zniszczone – wyliczał w myślach, gdy nagle do jego uszu dotarł jakiś delikatny szelest i jakby skrzypnięcie łóżka.

– Hej! Jest tu kto?! – powtórzył pytanie, próbując wołać nieco głośniej. Nadal jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Dopadł go za to atak niekontrolowanego kaszlu, który spowodował, że ból całego ciała tylko się zwielokrotnił.

Domyślał się już jednak, że być może jest tu ktoś poza nim i zapewne ten ktoś go bacznie obserwuje. Gdy tylko kaszel ustał, zapytał po raz kolejny:

– Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, która jest godzina i jaki mamy dzisiaj dzień?

Odpowiedzi na to pytanie również nie uzyskał. W końcu, poirytowany tą dziwną sytuacją – jako że nie był pewny, czy ktoś go celowo ignoruje, czy też po prostu gada do ściany – postanowił zebrać w swym obolałym ciele resztki pozostałych sił i spróbować podnieść głowę raz jeszcze. Złapał rękoma za metalowe oparcia szpitalnego łóżka i z wymalowanym grymasem na twarzy – stękając przy tym boleśnie – podniósł swe bezwładne ciało na tyle, by sprawdzić, co się dzieje dokoła niego.

Gdy tylko dźwignął swój potężny tors, spostrzegł, że leży w białoniebieskiej, nowocześnie urządzonej szpitalnej sali, zapewne gdzieś na terenie tajnego kompleksu należącego do Polonorum. Za oknami widniała mroźna noc, a na drugim końcu ciemnego, długiego pomieszczenia – ku jego wielkiemu zdziwieniu – siedziała na łóżku, oparta o ścianę, pani kapitan z grupy krakowskiej, którą – jak już Antek zdążył zauważyć – nazywano w organizacji Lili. Miała na sobie smukłą, cyklamelową piżamę i podkurczając nogi, trzymała na kolanach grubą zniszczoną książkę. Sprawiała wrażenie, jakby współlokator w ogóle dla niej nie istniał – nie reagowała nawet na głośny kaszel, który ponownie zaczął go męczyć.

Widząc to, Antek pomyślał nawet przez chwilę, że być może jednak nie przeżył tych ostatnich burzliwych wydarzeń i że podobnie jak w filmie *Inni*, mimo że jest świadomy swej egzystencji, nie może nawiązać kontaktu z żadną ludzką osobą i otaczającą ją rzeczywistością. Szybko jednak otrząsnął się z tego nostalgicznego nastroju i po kilkunastu sekundach morderczego wysiłku puścił się poręczy, padając z westchnieniem na poduszkę. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna wyraźnie

daje do zrozumienia, iż nie chce mieć z nim nic wspólnego i dlatego traktuje go jak powietrze.

Z każdą minutą dochodził coraz bardziej do siebie i z wolna odzyskiwał świadomość. Tak więc wraz z przyływem sił zdecydował się nie dać za wygraną i starając się nie robić z tego nazbyt tragicznego przedstawienia, podciągnął się raz jeszcze do góry, usadawiając ciało tak wysoko, jak tylko był w stanie. Niestety, gdy tylko wziął głowę do pionu, ponownie złapał go atak silnego kaszlu. Nie zraził się tym jednak i mimo problemu ze złapaniem powietrza zapytał po raz wtóry:

– Czy możesz mi odpowiedzieć, jak na cywilizowanego człowieka przystało, jaki mamy dzisiaj dzień i która jest godzina?

Reakcja dziewczyny była co najmniej niespodziewana – cisnęła książką w kąt i energicznie zeskoczyła z łóżka, zrywając przy tym wszystkie podpięte do swojego ciała czujniki wychodzące ze sprzętu medycznego. Następnie zarzuciła na ramię niewielką sportową torbę i ruszyła z wściekłością w kierunku wyjścia. Gdy jednak z rozpędem otwierała wahadłowe drzwi, niemalże wpadła na tęgiego, starszego faceta w białym fartuchu i szarych drewniakach.

– Co jest? – zapytał groźnie mężczyzna.

– Niech pan mnie po prostu przepuści, muszę już iść – powiedziała zrezygnowana dziewczyna.

– Hola! Hola! Pani kapitan – odpowiedział jej już nieco cieplejszym tonem mężczyzna. – Jest regulamin i musimy go przestrzegać. A z niego jasno wynika, że dopóki jesteś pod obserwacją medyczną, to ja za ciebie odpowiadam. – Rozłożył bezradnie ręce. – Jeżeli tylko chcesz, to wstawię ci tutaj parawan, ale jeszcze do jutra musisz zostać pod moją opieką i nie ma dyskusji! – zarządził surowo.

Dziewczyna próbowała bezradnie zaprotestować.

– Wyszkolenie was zbyt dużo kosztowało, żeby ot tak sobie naginać przepisy. W razie gdyby ci się coś, nie daj Boże, stało, to nie ty będziesz świecić oczami przed przełożonymi, tylko ja – wyjaśnił, znacznie łagodząc ton.

– Czuję się dobrze! Odzyskałam już pełną sprawność i nie ma sensu, żebym tu dalej siedziała! Poza tym mam dużo pracy i nie mam czasu na wylegiwanie się! – upierała się Lili, podniesionym i zniecierpliwionym głosem.

– Kochana! Jeszcze wczoraj byłaś cała sparaliżowana! Nie mamy nawet wyników badań wyjaśniających nam, czym było to świństwo, które dostałaś – protestował doktor.

– Ona ma rację... Nic jej nie jest i nic jej po tym nie będzie! Podaliśmy jej tylko... – wydyszał ciężko Antek.

Doktor natychmiast obrócił się w jego stronę, przerywając mu stanowczym i groźnym głosem:

– Nie pytałem cię o zdanie! – Odwrócił się ponownie w stronę dziewczyny, wracając do delikatnego tonu: – Lilia... Posłuchaj mnie, nie bądź uparta... Leczę cię, odkąd skończyłaś dwa lata. I tak jak wtedy traktowałem mój obowiązek opieki nad tobą poważnie, tak i dziś, choć jesteś już dużą dziewczynką, nic się w tym temacie dla mnie nie zmieniło. Dlatego marsz do łóżka! Rozumiesz? – ostatecznie zakończył dyskusję.

Lili, słysząc to nad wyraz opiekuńcze pouczenie, zwięzła ze złości powieki i obracając się na pięcie, nerwowo zarzuciła czarnymi, spiętymi w kucyk włosami.

Natomiast lekarz poczekał jeszcze przez chwilę, aby upewnić się, że dziewczyna posłusznie wróci do łóżka, a gdy tylko skierował się w stronę drzwi, Antek zwrócił się do niego nieprzyjemnym i pretensjonalnym głosem:

– Co to jest? Psychiatryk czy weterynaria? Nie ma tu żadnego normalnego człowieka, który może mi powiedzieć, czy...

– Nie! – przerwał mu lekarz. – I posłuchaj mnie, koleś, nie wiem, kim jesteś, ale dobrze ci radzę, zamknij swój dziób, chociaż na jakiś czas! Nie drażnij naszych ludzi – zagroził.

– Oooo! Widzę, że przysięgę Hipokratesa recytuje pan co dzień – odpowiedział złośliwie chłopak, próbując jednocześnie zatrzymać wznawiający się kaszel.

– A żebyś wiedział! A jeśli coś ci się tutaj nie podoba, to tu są drzwi! – Wskazał palcem na wyjście.

– Czyli co? Nie mogę nawet otrzymać informacji na temat mojego stanu zdrowia? – oburzył się Antek. – Ani na temat tego, jakie są dalsze plany organizacji wobec mnie? – dodał z wydatną pretensją.

– Informacje dla ciebie są na razie takie, że tam masz wodę do picia – odburknął lekarz i wskazał palcem na półkę. – Masz też kroplówkę i cewnik, więc przechadzki do toalety nie będą konieczne – wyjaśnił z całą surowością.

– Ale jeśli będę miał ochotę na...

– Ze stolcem również nie będzie problemu, bo jesteś dopiero co po lewatywie! Nie radzę też ruszać nogą, jest świeżo zszyta! A rana była na tyle głęboka, że w celu uzupełnienia ubytku pobraliśmy ci tkankę z tyłka. Do widzenia! – Gwałtownie otwierając drzwi, wyszedł z sali.

Antek otworzył tylko szeroko usta i siłą rzeczy, spojrzawszy na dziewczynę, która jakby nigdy nic wróciła do czytania książki. Choć sala była długa, a wzrok nadal nieco mętny, chłopak dostrzegł, że dziewczyna złośliwie uśmiechnęła się pod nosem, słysząc informacje, które bez cienia współczucia przedstawił mu doktor. Pies

– Matko! Gdzie ja jestem? To jakiś dom wariatów... – wysapał na głos, pośpiesznie sprawdzając swoje pośladki w celu upewnienia się, że nadal pozostały nietknięte.

Natomiast dziewczyna, słysząc to, wyciągnęła z torby bezprzewodowe słuchawki i demonstracyjnie wepchnęła je sobie do uszu.

Antek zaczął skrupulatnie dedukować w myślach.

Dobrze więc... Skoro doktor powiedział, że wczoraj dziewczyna była jeszcze całkiem sparaliżowana, to dziś powinniśmy mieć noc z trzeciego na czwartego stycznia. Chyba że podana jej dawka Comy w przypadku mniejszych gabarytów zadziałała odrobinę dłużej... W każdym razie musimy mieć dzisiaj piątek albo jeszcze czwartek, gdyż operację zrobili mi zapewne w środę wieczorem. Nie

zwlekali by z nią przecież do rana – zastanawiał się. Choć teraz to już sam nie jestem pewien... Po tym towarzystwie chyba wszystkiego mogę się spodziewać... Musiałem jednak spać bardzo długo... – stwierdził stanowczo. Ciekawe, gdzie jest teraz Bona... Dlaczego mnie nie odwiedził?

Był lekko zawiedziony nieobecnością wuja i całą sytuacją. Rozmyślając tak przez kilkadziesiąt minut o wszystkim, co się wydarzyło, Antek nie spostrzegł nawet, kiedy po raz kolejny zmógł go głęboki sen. Z początku był bardzo przyjemny... Chłopak miał wrażenie, że jest małym chłopcem i że ma założoną na głowę dziecięcą, ułańską rogatywkę. Leżał w kuchni na twardej drewnianej ławie i sennym wzrokiem patrzył w sufit. W powietrzu unosił się zapach przygotowywanego obiadu. Gdzieś w tle słychać było lecące, stare nagranie zespołu Mazowsze, a także głos jego matki, która nuciła melodię i co jakiś czas zadawała mu pytania z historii.

Jednak za każdym razem, gdy chciał jej odpowiedzieć, głos wiązał mu w gardle. Antek czuł z tego powodu ogromny żal i złość, a im bardziej chciał jej odpowiedzieć, tym bardziej głos matki się od niego oddalał. Po chwili kuchnia zniknęła całkowicie, a on znalazł się nagle w zupełnie nowej rzeczywistości. Przedzierał się teraz przez gęsty, ciemny las, uciekając przed jakimiś tajemniczymi postaciami. Próbował wszystkimi siłami wrócić do tego ciepłego, przepełnionego aromatami kuchni domu, ale otaczała go już tylko ciemność. Starał się więc biec najszybciej, jak tylko potrafił. Miał jednak nieprzyjemne wrażenie, że jego ranna noga ciąży mu jak ogromny, uwiązany u stopy kamień. Z każdym krokiem coraz bardziej zwalniał, aż w końcu stanął całkowicie unieruchomiony.

Z daleka dostrzegł także samochód wywrócony do góry kołami, z dachem zanurzonym w rzece. Z auta ktoś zaczął rozpaczliwie nawoływać jego imię... W pewnym momencie dostrzegł za sobą wysokiego człowieka w sowieckim mundurze, dzierżącego pistolet w ręce. Postać przypominała rosyjskiego kata, jakby rodem z filmu *Katyń*, a dokładniej z jego kulminacyjnej sceny. U stóp kata klęczały dwie osoby, mężczyzna i kobieta – oboje z twarzami spuszczonej ku ziemi. Antek nie mógł rozpoznać oprawcy, gdyż na jego twarz padał



nieprzenikniony cień. Tajemniczy okazał się także mrozący krew w żyłach głos żołnierza, który zwracając się do Antka w języku rosyjskim, zadrwił:

– Co, mały Polaczku, boisz się?

Antek próbował mu odpowiedzieć, jednak nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu. W końcu krzyki i nawoływania wydobywające się z auta stały się tak nieznośnie głośne, że rozsierdzony nimi zbrodniarz odbezpieczył niespodziewanie pistolet i dwoma szybkimi strzałami w tył głowy zabił klęczących przed nim ludzi. W tym samym momencie głosy umilkły, a woda z otoczonej topniejącym, przedwiosennym lodem rzeczki zaczęła gwałtownie zalewać samochód.

Chłopak wiedział już, że sen dobiega końca, ale mimo to próbował nim jeszcze jakoś świadomie pokierować – tak aby przynajmniej sprawdzić twarze zastrzelonych ludzi. Chciał się do nich zbliżyć i podnieść im głowy; chciał się upewnić, czy to aby nie jego rodzice... Niestety jak na złość, nie mógł ruszyć się z miejsca, a woda zatapiająca rozbite auto zaczęła zalewać jego samego, obficie wpadając do ust i dławiąc go niemiłosiernie.

Przypominał sobie także, że już przecież skądś zna ten sen i że po raz kolejny przypadła mu okazja, aby zobaczyć twarze nieszczęsnych ludzi. Zrozpaczony i przerażony niczym małe dziecko zaczął krzyczeć, ale zamiast krzyku z gardła zaczęła wydobywać mu się tylko bulgocąca, topiąca go woda.

Raptem, jakby z bardzo bliska, usłyszał całkiem nowy, niezbyt dobrze mu znany głos, o wiele donośniejszy i zdecydowanie bardziej stanowczy. Nie brzmiał on jednak zbyt przyjaźnie i najwyraźniej należał do jakiejś młodej, charakternej dziewczyny:

– Zamknij się w końcu! – rozległo się wkoło, a Antek natychmiast otworzył oczy, spostrzegając, że stoi nad nim Lili z opróżnioną butelką wody i z miną wściekniętej kocicy.

– Co się dzieje? – zapytał zdezorientowany, pomimo przeszywającego bólu podrywając swe ciało do góry.

– Nic! Zamknij się, durniu, bo obudzisz połowę budynku – wycedziła przez zęby dziewczyna, a do Antka zaczęło powoli docierać, co właśnie się wydarzyło.

Przypomniał sobie bowiem, że ten nieprzyjemny sen nawiedził go już nie po raz pierwszy.

– Wylałaś na mnie wodę? – zapytał w końcu zdziwiony i oburzony, dotykając rękami mokrych włosów i twarzy.

– Ciesz się, że nie przywaliłam ci w zęby, żebyś się ocknął i przestał drzeć – odparła, rzucając ordynarnie pustą butelkę na jego łóżko.

– Wystarczyło mi potrzęsnać i tyle! – odpowiedział Antek, przecierając twarz.

– Powiedziałam, żebyś się zamknął i już do mnie nie odzywał – powtórzyła zaciekle.

– Już nic nie mówię! O co ci chodzi?

– Cicho bądź! – rozkazała ponownie.

– Jestem cicho!

– Zamknij gębę, bo ktoś tu idzie... – ściszyła nagle głos, brutalnie zatykając Antkowi usta.

Wówczas chłopak również usłyszał jakiś cichy szelest oraz głuchy stukot i na kilka sekund oboje zastygli w bezruchu, nasłuchując kolejnych podejrzanych odgłosów. Tych jednak się nie doczekali, gdyż zamiast nich dało się słyszeć huk gwałtownie otwieranych drzwi i do sali wpadło energicznie trzech wysokich mężczyzn, a Antek, od razu rozpoznał najstarszego z nich.

– Tylko nie on... – wyszeptał do siebie, ale dłoń śmiertelnie zaskoczonych dziewczyny nadal zatykała jego usta.

Był to oczywiście Paprocki – szef delegatury południowej – który szybkim krokiem zmierzał w kierunku chłopaka, bez skrępowań celując w jego głowę ze starej polskiej giwery MAG kaliber dziewięć milimetrów. Jego blada twarz i szeroko rozpostarte oczy były zimne jak grób, a czarny, wysłużony płaszcz powiewał na nim niczym peleryna na Mefisto.

No tak... To już wiem, skąd ten szelest... – pomyślał Antek i bez okazania cienia strachu nawiązał kontakt wzrokowy z niezapowiedzianym nocnym gościem.

Za to całkowicie zszokowana zaskakującą wizytą Lili zdała sobie szybko sprawę z tego, że po raz kolejny znalazła się w co najmniej dwuznacznej sytuacji z Antkiem. Oderwała więc pośpiesznie rękę z jego ust i odsunęła się panicznie, tak jakby spotkała na swojej drodze trędowatego. Paprocki stanął przed nimi z kamienną twarzą, a dziewczyna pośpiesznie zasalutowała mu, po czym nie zastanawiając się ani chwili dłużej, ruszyła w stronę wyjścia. Pułkownik przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył swojej podopiecznej, lecz gdy tylko dziewczyna zbliżyła się do drzwi wyjściowych, krzyknął na nią, jednocześnie przykładając Antkowi pistolet do głowy.

– Lilia, stój!

Pani kapitan niezwłocznie zatrzymała się w miejscu w niepodobnym sobie posłuszeństwie. Paprocki z kolei powoli nachylił się nad chłopakiem i z jeszcze większą zaciętością docisnął lufę pistoletu do jego czoła.

Z jednego koszmaru w drugi... – pomyślał Antek, ale jego twarz nadal pozostawała niewzruszona, gdyż nie miał zamiaru dawać Paprockiemu ani grama satysfakcji.

– Mógłbym ci teraz przestrzelić ten lalusiowaty łeb i bez problemu bym się z tego wybronił – powiedział głosem człowieka, który jest na granicy białej gorączki i lada moment eksploduje. – Nie powinno cię tu w ogóle być, śmieciu! Powinni cię od razu zlikwidować! Gdybym tylko dotarł wczoraj na czas, nie dałbym ci szansy na przekabacenie tych ludzi swoimi cklowymi historyjkami! – cedził zajadle. – Mam nosa do zdrajców i wiedz, że nie wierzę ani tobie, ani twojemu szemranemu wujaszкови! Jesteś obcym i niebezpiecznym ciałem w organizacji. – Poruszył niebezpiecznie palcem położonym na spuście. – Ten żałosny cwaniaczek Bona oczernił mnie i podważył mój autorytet przed całą organizacją! Zagrał Różewiczowi na emocjach, wykorzystując fakt, że w spieprzonej przez moich ludzi operacji brał udział jego syn. Tak... Na pewno miał z tego powodu satysfakcję... A ty? Pewnie miałeś z tego niezły ubaw? –

zapytał z miną przypominającą ogarniętego paranoją męża, który podejrzewa swoją żonę o zdradę z pierwszym lepszym napotkanym mężczyzną. – Bądź jednak pewny, że ta kanalia szybko zamknęłaby swoją parszywą gębę, gdybym tylko pojawił się na miejscu! – dodał wściekle.

Antek słuchał uważnie rozlicznych gróźb pułkownika, jednak nadal nic mu nie odpowiedział, wpatrując się tylko niezłomnymi, jaskrawoniebieskimi oczami w jego pobladłą, pulsującą z gniewu twarz. Lili zaś, niczym boski, antyczny posąg – obrócona tyłem – tkwiła wciąż w bezruchu, oczekując bezradnie na dalszy rozwój wydarzeń.

– Jak dla mnie, to ty jesteś zwykłym ruskim kretem! – rzucił ostro Paprocki, kontynuując swój wywód. Wykrzywił usta w geście obrzydzenia, a Antek, słysząc tym razem tak obrzydliwy zarzut, z trudem opanowywał emocje. – Dlaczego nic nie odpowiadasz, cwaniaczku? – zapytał pogardliwie pułkownik. – Czy teraz twoja strategia polegać będzie na rżnięciu głupa, czy może dotarło do ciebie, że tylko mi jednemu tej historyjki już nie wciśniesz? – dociekał zajadle, a na jego skroni żyły pulsowały jak szalone.

– Mama nie nauczyła pana, pułkowniku, że czasem lepiej nie zniżać się do poziomu czyichś bredni i nie wdawać się w dyskusję? – odpowiedział w końcu Antek, z każdą sekundą coraz bardziej rozjuszony.

– A ciebie ten twój tatuś nieudacznik nie uczył, że głupiec, który milczy, mylnie uważany jest za mędrca? – ripostował Paprocki.

– Ani słowa o moim ojcu – wycedził półszepem Antek, ostatkiem silnej woli wstrzymując się przed ostrzejszymi słowami.

– Różewicz był młodszym kolegą twojego zgreba, dlatego zbyt pochopnie podjął decyzję co do ciebie. Gdyby podszedł do sprawy, jak należy, gnąłbyś teraz w celi, czekając na standardową procedurę weryfikacyjną – wyznał z widoczną odrazą na twarzy.

– Może po prostu mój ojciec i moja rodzina wystarczająco zasłużyli się dla ojczyzny, dlatego jestem tu teraz i mam tę szansę... – Antek zaśmiał się

z satysfakcją. – A czy w pańskiej rodzinie też ktoś się tak poświęcił? Czy będąc na moim miejscu, gniłby pan raczej we wspomnianej celi? – zapytał z pełną ironią.

– Milcz!! – ryknął Paprocki, jakby samo wspomnienie o jego rodzinie równało się z przypaleniem żywym ogniem. – Ty fałszywa gnido! – dodał z szaleńczym uśmiechem na twarzy, a jego palec kolejny raz niepokojąco zadrżał na spuście pistoletu. – Twój wątpliwy ojciec wykitował dlatego, że robił lewe interesy z Ruskimi! – wypalił pułkownik, chcąc się równie perfidnie odegrać.

– Lepiej nigdy nie powtarzaj tego przy mnie, ty siwy pajacu – wyszeptał jadowicie Antek. – Wiem, kim był mój ojciec, i nie będziesz mi tu pieprzył!

Było już mu wszystko jedno. Nawet to, że rozmawia ze starszym stopniem.

– Jak śmiesz?! Jestem twoim przełożonym!

– To wpakuj mi w końcu tę kulkę albo zawijaj się stąd! I nie zawracaj mi dupy. Mam dość oglądania twoich zaburzeń psychicznych, ty sadystyczny staruchu! – wykrzyczał tak głośno, jak tylko mógł chłopak, ale w tym samym momencie dopadł go ponownie silny kaszel, który zaczął go niemiłosiernie dusić.

Słyszając to, Lili odwróciła się w końcu w ich stronę, zdając sobie zapewne sprawę, że jeżeli ta rozmowa pójdzie za daleko, sytuacja może całkowicie wymknąć się spod kontroli. Nie widziała jeszcze bowiem dotąd, żeby ktoś doprowadził Paprockiego do tak nieobliczalnego stanu. Z drugiej strony – co wyraźnie ją zaintrygowało – nie pamiętała także, by kiedykolwiek jakiś agent tak bezpardonowo postawił się swojemu przełożonemu, a zwłaszcza komuś takiemu jak pułkownik.

– Nie zgrywaj skrzywdzonego męczennika! Dobrze znam takie przedstawienia, gnoju. – Pułkownik z drwiącym śmiechem skomentował gwałtowny atak duszności. – Jesteś taką samą fałszywą mendą jak twój ojciec i dziadek! Oni też zgrywali ofiary i bohaterów, w rzeczywistości jakimś dziwnym trafem obaj spieprzyli na to odludne zadupie i gdy ludzie narażali tutaj życie, żeby organizacja przetrwała, oni siedzieli tam sobie jak myszy pod miotłą! Że niby

w konspiracji... – prychnął obrzydliwie, z jeszcze większą zjadliwością dociskając pistolet do czoła Antka.

Chłopak o dziwo nic na to nie odpowiedział. Miał za to diaboliczną ochotę wyrwać Paprockiemu pistolet z ręki i zmusić go do błagania o łaskę. Szybko jednak dostrzegł, o co w tym wszystkim chodzi, i że jego dwaj przyboczni goryle, trzymający dłonie na kaburach, tylko na to czekają. Gdyby więc w stanie utraty panowania nad sobą odebrał broń przełożonemu, byłaby to wyśmienita sytuacja, aby ci go zlikwidowali – mając na to idealne usprawiedliwienie.

– Skoro to mój ojciec siedział jak mysz pod miotłą, to dlaczego ty żyjesz, a on nie? – wysapał, nadal ciężko kaszląc. Starał się nieco ostudzić swoje emocje.

– Bo znam się na ludziach i dobrze wiedziałem, żeby nie wachać się z szemranymi typami, którzy kręcili się wkoło twojego ojca! Między innymi dlatego nadal tutaj jestem – warknął. – Mam dla ciebie jeszcze dobrą radę: gdy już będziesz robił swoją karierę agenta, nie zasłaniaj się lepiej swoimi rodzinnymi historyjkami, żebyś przypadkiem się nie dowiedział od kogoś życzliwego jeszcze innych dziwnych rzeczy o swoim ojczulku... – dodał, szczerząc swój nieprzyjemnie pożółkły uśmiech.

– Znasz się na ludziach? – prychnął Antek. – To może jeszcze nie zauważył pan, pułkowniku, ale ja już tak, że to właśnie za panem zbytnio tu nie przepadają – dosadnie zripostował.

– Gołym okiem widać, że nadajesz do naszej organizacji jak muł na Służewiec! To nie jest kółko wzajemnej adoracji, żeby się tu całować po tyłkach! Gdybyś miał choć za grosz rozeznania w środowisku, wiedziałbyś, że nie istnieje tu takie słowo jak „przepadać za kimś”... – Paprocki obryzgał Antka spienioną śliną.

– To są trzy słowa... – zauważył sprytnie chłopak, obdarzając pułkownika cwaniackim uśmiechem, jednak z każdą chwilą czując także, że coraz trudniej złapać mu pełny oddech.

– Co?! Myślisz, że jesteś taki wygadany i bystry?! – nie odpuszczał zawzięty dowódca. – Ty kmiecie! Nie masz tu o niczym zielonego pojęcia! Bycie

w szeregach Polonorum to nie strojenie błyskotliwego gwiazdora, ale żmudna praca i wyrzeczenie się wszystkiego. Ja poświęcam się temu od lat, lecz taki przemądrzały, niedouczony i niezdyscyplinowany gnój jak ty nigdy tego nie zrozumie! – dodał, zadzierając z wyższością głowę.

– To się dopiero okaże, pułkowniku... Pogadamy za rok, a wtedy, o ile masz honor, jeszcze to wszystko odszczekasz...

– Za rok?! – Paprocki roześmiał się, szczerze rozbawiony tym stwierdzeniem. – A myślisz, że jakbym ci teraz rozwalił ten cwaniacki łeb, dajmy na to w samoobronie, to moi ludzie – wskazał gestem na Lili oraz swoich przybocznych – wstawiliby się za twoim podejrzanym truchłem czy za mną? – zagroził.

– Dobrze wiem, wapniaku, co kombinujesz... – Antek się uśmiechnął. – Odstawiłeś tę szopkę, żeby mnie sprowokować do afektu, ale nic z tego – odrzekł przebiegle, zerkając jednocześnie w stronę przyglądającej się tej wymianie zdań Lili.

– Co ty, gnoju, myślisz?! Że przyszedłem tu specjalnie, żeby zaaranżować jakiś przypadkowy zgon przy pracy? – Pułkownik roześmiał się głośno, jednak jego powieki zadrżały nieznacznie, zdradzając, iż brał pod uwagę również taki obrót sprawy. – Naprawdę nie dotarło do ciebie jeszcze, że gdybym tego chciał, wystarczyłaby jedna moja decyzja, by zakończyć twoją marną egzystencję? A jeśli nie wierzysz, to może zapytamy panią kapitan? Powiedz mi szczerze, Lili, czy gdybym odstrzelił teraz tego śmiecia, powiedzmy w akcie samoobrony, walczyłabyś za wszelką cenę o wyjaśnienie tej sprawy? – zwrócił się do dziewczyny. – Zaryzykowałabyś wszystko, co osiągnęłaś, w imię obcego, niesprawdzonego, potencjalnego szpiega?

Lili o dziwo nic na to nie odpowiedziała. Stała nieruchomo jak posąg, wbijając swój ponury wzrok w ziemię. Antek, dostrzegając jednoznaczną reakcję dziewczyny, natychmiast wczuł się w rolę jej adwokata, mówiąc:

– Widzisz, Paprocki, jednak nie znasz się na ludziach, tak jak ci się to wydawało... Widocznie nie wszyscy są tak krótkowzrocznymi i bezmyślnymi służbistami jak ty – wyłożył bez ogródek. – Wszystko wskazuje na to, że pomimo równie bezwzględnej powierzchowności pani kapitan ma przynajmniej to coś, co dla ciebie zabrzmia obco...

– Co masz na myśli?! – odruchowo zapytał Paprocki, poprawiając sobie zarazem palec na spuście.

– Ona ma rozum... I mimo twoich bezmyślnych rozkazów potrafi go używać! – dokończył bez okazywania już żadnych skrupułów.

Lili, słysząc to buńczuczne wyznanie, podniosła nagle wzrok na swojego dowódcę ze szczerym niepokojem, czekając na to, co się teraz stanie. Na twarzy Paprockiego pojawił się drżący grymas jakby panicznego niedowierzania w to, co widzi – najwyraźniej po raz pierwszy w życiu doświadczonego, hardego pułkownika, poraził tak wielki upór i oznaka braku strachu oraz kalkulacji.

– Zapewne, pułkowniku, widziałeś już nagranie z akcji sylwestrowej w moim domu w Bieszczadach, prawda? – ciągnął dalej Antek, ale całkowicie zbity z tropu Paprocki nic na to już nie odpowiedział, tylko zmrużył powieki, jakby doszukując się w tym retorycznym pytaniu jakiegoś ukrytego podstępu.

– I co? Myślisz, że twoja najlepsza prymuska nie potrafiła mnie od razu odstrzelić, gdy wkradałem się przez okno do swojego pokoju? – zapytał z przekąsem. – Przecież obaj wiemy, że pani kapitan jest najwyższej klasy strzelcem wyborowym... Dlaczego więc nie ustrzeliła mnie zaledwie z paru metrów, tylko markując strzał, rozmyślnie posłała kulę centymetr nad moją głowę? Czy wiesz, czemu mnie wtedy nie zabiła? – zapytał, spoglądając jednocześnie na zaskoczoną takim obrotem sprawy Lili, jak i równie zdezorientowanego Paprockiego. – Powiem ci, geniuszu – oznajmił wręcz z kipiącą satysfakcją. – Bo śmierdziała jej ta cała sprawa! I wolała się dobrze upewnić, dlaczego chcesz sprzątnąć niewinnego człowieka, pomimo tego że nie zrobił nic złego wobec kraju ani waszej agencji. Dam sobie również rękę uciąć, że przed samą akcją, z powodu wątpliwości, sprawdziła także moją tożsamość! – zablefował.



– To nieprawda! – krzyknęła panicznie Lili, jak gdyby ktoś właśnie obnażył jej najbardziej wstydlive sekrety z okresu dojrzewania. – Jesteś pieprzonym łgarzem! – dodała zapobiegawczo, jednak wytrącony z równowagi tym celnym spostrzeżeniem Paprocki spoglądał już na nią z niespotykaną dotąd złością, mieszającą się z rozczarowaniem.

– Nie chciałem o tym nikomu wspominać, pani kapitan – natychmiast usprawiedliwił się Antek, wpatrując się teraz dogłębnie w oczy zszokowanej dziewczyny. – Jednak skoro traktujecie mnie tutaj jak zwykłego śmiecia, nie będę się bawił z wami w uprzejmości – oznajmił, z trudem kończąc zdanie, gdyż ponownie zabrakło mu tchu.

– Co ty bredzisz, kretynie?! – odwarknęła wściekle dziewczyna, zaciskając mocno swoje idealnie wybielone zęby. Szybkim krokiem podeszła do Paprockiego i leżącego na łóżku Antka. – Jeśli będziesz dalej próbował wmieszać mnie w te swoje bajeczki, to przyrzekam, że bez względu na konsekwencje dokończę to, co wtedy zaczęłam! Zabiję cię gołymi rękami! – zagroziła, zerkając kątem oka na Paprockiego z nadzieją, że tak bezwzględne stanowisko na coś się zda.

Ten jednak stał niewzruszony jak kamień, z miną przypominającą człowieka, któremu ktoś znieacka wsadził kij w cztery litery.

– No i widzisz, pułkowniku – zaśmiał się Antek – wygląda na to, że niektórzy twoi podwładni mają cię tylko za ślepego fanatyka i nie do końca ufają twoim decyzjom – nie odpuszczał, chcąc wycisnąć z tej sytuacji tyle satysfakcji, ile tylko było możliwe.

– Co to ma znaczyć, Lilia? O czym on do mnie, do jasnej cholery, pieprzy?! – warknął w końcu Paprocki, żądając natychmiastowych wyjaśnień.

– O tym, że twoja zaufana agentka cię zlekceważyła i mimo twoich wyraźnych instrukcji zrobiła akcję po swojemu! – wtrącił się ponownie Antek, nie dając dojść dziewczynie do słowa. – Do tego była tak pewna siebie, że najpierw zdecydowała się mnie obezwładnić, następnie najprawdopodobniej przesłuchać, a dopiero na koniec ewentualnie zlikwidować – wyjaśnił dobitnie.

– O czym on do mnie, do kurwy nędzy, mówi?! – wrzasnął ponownie Paprocki, tym razem obryzgując śliną pobladłą jak trup dziewczynę.

Lili jednak otworzyła tylko bezgłośnie usta, mając wrażenie, że Antek dosłownie czyta jej w głowie.

– Mimo że wzięła udział w tym haniebnym polowaniu – ciągnął dalej chłopak – w przeciwieństwie do ciebie, pułkowniku, kierowała się honorem oficerskim, chcąc się przynajmniej upewnić, czy likwidując mnie, podejmie słuszną decyzję... Całe szczęście, że z powodu złego przygotowania wywiadowczego, za co ty osobiście odpowiadasz, sytuacja wymknęła jej się z rąk i dzięki temu jestem teraz tutaj – zakończył, wypuszczając przy tym ciężko powietrze.

– Bredzisz... Bredzisz... – syknęła już tylko cicho zbita z tropu i całkowicie zrezygnowana Lili.

– Nic z tych rzeczy... Dobrze wiesz, że powiedziałem prawdę... Długo zastanawiałem się nad tym, co wydarzyło się tamtej nocy, i w końcu cię przejrzałem. Nie jesteś taka bezwzględna, jaką udajesz... – Chłopak wbił w dziewczynę świdrujące, pełne satysfakcji spojrzenie.

– Łżesz jak pies... – powtórzyła, ale już bez najmniejszego przekonania Lilia, gdyż widząc minę Paprockiego, wiedziała, że za późno na jakiegokolwiek wytłumaczenie.

Natomiast pułkownik niespodziewanie roześmiał się wariacko, jakby osiągnął właśnie szczyt załamania nerwowego, i nadal niebezpiecznie przykładając broń do głowy Antka, skomentował:

– Wyśmienicie! Skoro tak za sobą przepadacie, w takim razie to ty, Lili, zostaniesz opiekunką tego przybłądy, zanim wdrożą go do służby! – wypalił z wymalowanym na twarzy mściwym zadowoleniem.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie dziewczyna.

– A właśnie, że tak! – wycedził dowódca. – To będzie najdotkliwsza kara za twoją niesubordynację! Tak się składa, że za dwa tygodnie będzie miał tu miejsce zjazd całej kapituły i w jego trakcie odbędą się ceremonie zaprzysiężenia.

Z przyjemnością popatrzę, jak zajmiesz się swoim pupilkim i do wszystkiego go dokładnie przygotujesz! – Mężczyzna roześmiał się do rozpuku niczym wariat.

– Ale panie pułkowniku – zaprotestowała Lili.

– Milcz!! – wrzasnął natychmiast Paprocki. – Naucz się wreszcie, dziewczyno, że moich rozkazów się nie komentuje! – Twarz pułkownika stała się znowu zimna i bezwzględna.

– Przepraszam, panie pułkowniku – wtrąciła posłusznie Lili, ale rozsierdzony dowódca nie skończył na tym swojej reprimendy.

– Nie dość, że wystawiłaś mnie na pośmiewisko na oczach całej organizacji, ściągając go tutaj czy leżąc obezwładniona w jego ramionach niczym dmuchana lala, to jeszcze masz czelność prostować?! To niegodne oficera!!! – ryknął. – Czy wiesz, jaki ubaw mają teraz z ciebie w całym ośrodku? Wiesz?! Takiej kompromitacji nie było w agencji, odkąd pamiętam, więc ostrzegam cię: jeszcze jedna twoja głupia odpowiedź, a zostaniesz zdegradowana i wysłana na przymusowe szkolenia. Wtedy z pewnością pryśnie jak bańka ta twoja wątpliwa reputacja – zagroził.

– Ale panie pułkowniku – jeszcze próbowała się bronić Lili.

– Skoro ty go tutaj przywlekleś – zagłuszył ją natychmiast Paprocki – to ty się nim teraz zajmiesz i posprzątasz to gówno, które sama narobiłaś!

– Ale...

– Dobrze się zastanów – ponownie przerwał jej pułkownik – czy aby nie chcesz zapisać się w historii agencji jako najmłodsza kobieta kapitan i zarazem pierwsza, która ten stopień od razu straci – dodał.

– Już nic nie mówię, panie pułkowniku – odrzekła ponuro Lili, rozumiejąc, że groźby bezwzględnego przełożonego to nie przelewki.

Nagle niespodziewanie do sali wpadł rozespany i wyraźnie rozeźlony, opiekujący się Antkiem oraz Lili doktor.

– Jest trzecia w nocy! Co tu się, do jasnej cholery, wyrabia?! – zawołał, walcząc z zadyszka spowodowaną najwyraźniej pośpiechem, z jakim tutaj dotarł.

Od nikogo jednak nie uzyskał odpowiedzi, gdyż wszyscy zastygli w milczeniu, totalnie go lekceważąc i traktując jak powietrze. Paprocki, zdając sobie sprawę, że to już definitywny koniec rozmowy, po raz ostatni nachylił się nad Antkiem i wyszeptał do niego cicho:

– Prędzej zaufałbym polskim politykom niż tobie i twojemu fałszywemu wujaszкови, ale będę cię miał na oku, a gdy w końcu noga ci się powinie, pierwszy wpakuję cię do piachu...

Odstawił swój pistolet od głowy Antka i nie tłumacząc się nikomu, wypadł z sali jak wichra, a za nim, jak duchy, ruszyli dwaj posępni podwładni.

Lili, również nie czekając ani chwili dłużej i płomiennym spojrzeniem dając do zrozumienia lekarzowi, że nie ma zamiaru z nim w ogóle dyskutować, zawiesiła swoją czarną sportową torbę na ramię, po czym pośpiesznie opuściła pomieszczenie.

– I co, panie doktorze, zawsze tu macie tak wesoło? – zapytał żartobliwie Antek, próbując mimo wszystko rozładować atmosferę.

Lekarz nic na to jednak nie odpowiedział, tylko sapiąc ciężko z wysiłku i niezadowolenia, wskazał Antkowi palcem alternatywę w postaci drzwi wyjściowych, a następnie ogromnie naburmuszony sam skierował się w ich kierunku.

– Dobra, już dobra, wiem... Mam się nie odzywać – skomentował pod nosem Antek, masując energicznie czoło, na którym boleśnie odbiła się lufa pistoletu.

Pomimo wyjścia obronną ręką z pierwszej poważnej potyczki ze swoim nowym prześladowcą czuł, że wszystkie znaki na niebie i ziemi mówią mu, że pozostali ludzie z organizacji również nie przywitają go tutaj z otwartymi ramionami.

Końcówka pierwszego tygodnia nowego roku minęła chłopakowi w bólu, samotności i co najgorsze – w śmiertelnej nudzie. Na domiar złego badania posiewowe wykazały gronkowca, stąd sepsa szpitalna i związane z nią gorączka i niedające ani chwili spokoju duszności. Jediną najbliższą towarzyszką Antka w trakcie pierwszego noworocznego weekendu była maska z tlenem. Poza tym nie

odwiedzał go nikt, z wyjątkiem doktora, który z czasem stawał się wobec niego nieco bardziej ufny.

Dopiero środa, dziesiąty stycznia, okazała się przełomowa w walce o powrót do zdrowia. Po ciężkiej nocy obudził się około ósmej rano, względnie wyspany, nierozpalony oraz ze znacznie spokojniejszym i pełniejszym oddechem. Tego samego dnia zauważył również, że gojące się, pozszywane rany nie boją go już tak bardzo, nawet gdy próbował sam ułożyć się w pozycji siedzącej. Za to czternastego dnia miesiąca – w niedzielę – Antek czuł się już na tyle dobrze, że po raz pierwszy zdecydował się stanąć na nogi o własnych siłach. Pierwsze kroki nie przysły mu jednak łatwo, ale z pomocą kul, które dostarczył mu doktor, udało mu się zrobić kilka powolnych rundek wzdłuż sali.

– Tu masz szlafrok! Żebyś mi się nie plątał tu jak dziad w samych gaciach! – powiedział dziarsko doktor, rzucając mu niebieską, dobrze już wysłużoną część szpitalnej garderoby. – Rozchodź nogę i zapoznaj się z otoczeniem – zaproponował. – Twoje dłonie i siatkówka zostały zeskanowane w trakcie operacji, będziesz więc mógł bez problemu się tutaj poruszać. Na razie jednak, tylko w obrębie oficyny, w której się właśnie znajdujemy – przestrzegł.

– Dzięki za szlafrok! Nie mam tu nic swojego... – odpowiedział wdzięcznie Antek, unosząc brwi w geście bezradności.

– Nie ma za co... – Doktor machnął ręką. – I pamiętaj, co ci powiedziałem! Nie jesteś upoważniony do schodzenia w podziemne części centrum szkoleniowego, rozumiesz? – zaznaczył, grożąc palcem.

– Tak, wiem, tylko oficyna – potwierdził znudzonym tonem Antek.

– Doskonale... A tak na marginesie jednak nie najgorszy z ciebie chłop... – wyznał niespodziewanie. – I muszę przyznać, że już dawno nie spotkałem się z tak wytrzymałym organizmem. Straciłeś sporo krwi, a mimo to przeżyłeś... Gdzieś ty się uchowal? – zapytał z niedowierzaniem.

– Sybir i Bieszczady, panie doktorze – skomentował Antek z uśmiechem i pokuśtykał powoli w stronę drzwi.

Zapoznając się z budynkiem oficyny, chłopak od razu pomyślał, że przypomina ona bardziej luksusową, arystokratyczną rezydencję, a niżeli część kompleksu agencji wywiadowczej. I chociaż widać było, że naszpikowane elektroniką wnętrza były dopiero co przebudowywane, to kilka pomieszczeń zostało jednak zachowanych w oryginalnym stylu. O dziwo, jak na organizację parającą się tak niecodzienną działalnością, na korytarzach panowała wyraźnie świąteczna atmosfera – gdzieś tam stały żywe choinki i wisały najróżniejsze świąteczne ozdoby, a zza stylowych, staromodnych okien rozpościerał się widok na przepiękny gołuchowski zamek i otaczający go, pokryty zmrożonym śniegiem park.

Gdzieś w głębi duszy Antek zawsze był artystą i wrażliwym romantykiem, tak więc zastana tutaj, magiczna atmosfera znacznie poprawiła mu humor. Czar prysł dopiero wtedy, gdy dotarł do pomieszczenia, które okazało się kantiną. Gdy tylko pojawił się w jej drzwiach, natychmiast dziesiątki zaciekawionych głów jednocześnie obróciło się w jego stronę, a z poniekórych stolików doszły do niego jakieś szemrania i niezbyt dyskretne komentarze. Dostrzegając nietęgą miny większości pracowników organizacji, doszedł do wniosku, że póki co daruje sobie bliższe nawiązywanie kontaktów. Odwrócił się więc powoli na pięcie i podpierając swoje ciało kulami, skierował się ku drzwiom głównym budynku.

Na zewnątrz powitało go za to przyjemne, błękitne niebo i delikatnie szczypiący mróz. Ku jego większemu zadowoleniu okazało się także, że na ławeczce przed wejściem głównym ktoś nieopatrznie zostawił zapalniczkę i prawie całą paczkę papierosów. I chociaż Antek nigdy nie był nałogowym palaczem, to jednak w nerwowych sytuacjach zdarzało mu się już nie raz puścić dymka. Poczęstował się więc jedną fajką i kojąc nią nadwyrężone w ostatnich tygodniach nerwy, uciekł myślami w błogie zapomnienie.

Po dłuższej chwili siedzenia tak w samym szlafroku i kapciach zdecydował jednak, że lepiej nie ryzykować przeziębienia i tak już osłabionego organizmu i ponownie łapiąc za kule, poderwał się z ławki. Gdy jednak ruszył w stronę drzwi, zza pleców dobiegł go delikatny, kobiecy głos:

– To ty jesteś tym zdesperowanym kowbojem, który się do nas przedostał?

– A tobie co do tego? – odburknął niechętnie, nieco rozjuszony tym, że kolejny raz ktoś próbuje zepsuć mu dobry nastrój.

– A nic... Tak tylko pytam... – odpowiedziała dziewczyna spokojnie i bez cienia złości.

– Wybacz, ale jeśli ty też chcesz dać mi do zrozumienia, że jestem gnidą i żebym się stąd zabierał, to nie pogadamy, bo właśnie wracam do środka... – odparł ponurym tonem, nadal stojąc odwrócony do nieznajomej plecami.

– Ej! No co ty taki gburowaty jesteś? – mimo nieufnego nastawienia chłopaka dziewczyna odpowiedziała mu zadziwiająco wesoło. – Wstałeś lewą nogą czy jak? – dodała przyjemnie ciepłym tonem.

Antek, słysząc ten kojący i dziwnie pociągający głos, w końcu odwrócił się twarzą w jej stronę.

– Sorry... Nie chciałem tak zacząć rozmowy... Po prostu... Jestem trochę przewrażliwiony – odpowiedział nieco zmieszany, dostrzegając drobnej budowy blondynkę, która trzymając w rękach sporą ilość skserowanych notatek, uśmiechała się do niego przyjaźnie.

– Rozumiem cię doskonale. Niektórzy rzeczywiście nie należą tutaj do najprzyjemniejszych typów. Wiesz... Taka praca i takie skrzywienia... Wokół same ogiery alfa i wojownicze laski, do tego ze skrajnie wybujałym ego. Nie ma tu miejsca na grzeczności – przyznała, uśmiechając się jeszcze szerzej do Antka, który chwilowo skupił się bardziej na jej wyjątkowo apetycznych krągłościach niż na tym, co ma mu do powiedzenia. – Nie powinieneś się tym przejmować. Zresztą, jeśli tylko będziesz chciał, pokażę ci, z kim warto się tutaj trzymać. Możemy na przykład dzisiaj – chciała zaproponować, jednak błyskawicznie przerwała słowotok, wołając nagle z udawaną i wręcz słodką pretensją w głosie: – Eeej!

– Tak, proszę? – natychmiast odpowiedział Antek, potrząsając głową na znak, że ocknął się już z niedyskretnego zapatrzenia.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Mówię co ciebie! – odpowiedziała z nieudolnym oburzeniem, przepełnionym nadal nieukrytą dozą sympatii i ciepła.

– Sorry raz jeszcze... Ale po tych wszystkich przebojach noworocznych trudno mi się czasem skoncentrować. Dopiero powoli dochodzę do siebie – skłamał naprędce, śmiejąc się w duchu i jeszcze bardziej skrupulatnie podziwiając niemal magnetyczne spojrzenie nowo poznanej koleżanki.

– W sumie to nie powinieneś chyba sterczeć na dworze w takim stanie. Możesz zaziębić rany... – z nieudawaną troską w głosie dziewczyna zwróciła mu uwagę.

– Po pierwsze, droga panno, jeśli już sterczę, to na polu, a nie na jakimś tam dworze. A po drugie, właśnie miałem się udać do środka. Ty też wchodzisz? – zapytał, wskazując ręką na drzwi.

– Chętnie dotrzymałabym ci towarzystwa, ale niestety muszę iść do zamku po materiały szkoleniowe. Jutro mam cholernie ciężki test z łączności, drogi panie... – odrzekła, kładąc nacisk na ostatnie słowo i zarzucając przy tym powabnie mieniącymi się w słońcu, jasnymi włosami.

– No to owocnej nauki życzę, koleżanko! – Antek skłonił się nieznacznie.

– Może lepiej Zosiu – odpowiedziała na odchodne dziewczyna, z wyjątkową gracją obracając się do chłopaka plecami.

– Bardzo ładne imię – skomentował, przytakując potwierdzająco głową.

– Antek też nienajgorzej! – zawołała, oddalając się w stronę zamku i starając się przy tym kroczyć tak, aby nowy kolega mógł bez przeszkód zwrócić na nią całą resztę swojej uwagi.

– Ej, chwila! – zreflektował się nagle Antek. – Skąd w ogóle znasz moje imię? – zapytał zaskoczony.

– Wszyscy już je tutaj znają! W końcu jesteś pierwszą osobą z zewnątrz, której udało się tu dostać! – wyjaśniła, niemal krzyżąc, gdyż oddaliła się już znacznie od oficyny. – I jeśli już, to pole macie na południu! Tu jest Wielkopolska i jesteśmy na dworze, więc się dostosuj! – dodała po raz ostatni, z szerokim uśmiechem, odwracając się w jego stronę.

– A skąd pewność, że jestem z południa? – rzucił coraz bardziej zaintrygowany nową znajomością Antek.



– Znikąd! – Roześmiała się. – Jestem tutaj hakerką – dodała wyraźnie rozbawiona.

– Dobrze wiedzieć... – skomentował Antek pod nosem, z niedowierzaniem drapiąc się po głowie i nadal śledząc wzrokiem znikającą za zakrętem dziewczynę. – No chyba po raz pierwszy zaczęło mi się tu podobać – dodał i z głupkowskim uśmiechem na twarzy udał się do oficyny.

Po obiedzie, skonsumowanym w zaciszu szpitalnej sali, Antek wybrał się do tutejszej, malutkiej kaplicy znajdującej się na pierwszym piętrze oficyny, w której to jakiś bardzo wiekowy, przygarbiony ksiądz właśnie odprawiał mszę. Nabożeństwo trwało już od kilku minut, tak więc – podobnie jak podczas wizyty w kantynie – chłopak wzbudził wśród modlącej się grupki ludzi niemałe poruszenie. Co jakiś czas ktoś dyskretnie próbował mu się przyglądnać, a nawet chwilami sam ksiądz z zaciekawieniem zerkał na niego kątem oka.

Po chwili niespodziewanie w kaplicy pojawiła się także pani kapitan z grupy krakowskiej. Jednak gdy tylko spostrzegła Antka, natychmiast odwróciła głowę i udała się pośpiesznie do możliwie najdalszej ławki, w przeciwnej nawie. Chłopak za to starał się nie zwracać na nią uwagi i skupić jedynie na własnych myślach oraz modlitwie. Nie był, co prawda, gorliwą religijnie osobą, jednak wiara, jaką za młodu zaszczepili mu rodzice, sprawiała, iż czuł, że ma za co dziś dziękować Bogu... W końcu gdy przeanalizował sobie to wszystko, co wydarzyło się od czasu pamiętnej nocy sylwestrowej, tym bardziej umocnił się w przekonaniu, że ktoś z pewnością nad nim czuwa.

Gdy tylko nabożeństwo dobiegło końca, Antek jako pierwszy pośpiesznie opuścił kaplicę, gdyż nie miał ochoty grać swoją osobą na nerwach i tak już wścieklej na niego dziewczynie. W sali szpitalnej czekała go natomiast miła niespodzianka. Przy jego łóżku siedział sobie jak gdyby nigdy nic uśmiechnięty i wyraźnie wypoczęty Bona. Rozpostarł się wygodnie na krześle, zakładając nogę na nogę, i szczerząc poźółkłe od tytoniu zęby, wesoło potrząsał czarną, plastikową siatką.

– Jesteś w końcu! – zawołał uradowany staruszek, podrywając się ze stołka i rozkładając szeroko ręce do uściskania bratanka.

– To ty w końcu jesteś... – odrzekł mu z wyrzutem Antek, domyślając się, co znajduje się w środku plastikowej torby.

– Mam coś specjalnie dla ciebie – pochwalił się Bona – Twoje ulubione! Żebyś tu nie usechł w tej izolatce! – Potrząsnął raz jeszcze reklamówką, której zawartość przyjemnie brzdęknęła.

– Niech zagadnę... – Antek się zamyślił. – Paulaner, hoegaarden i biały lew? – wymienił, zgadując.

– W rzeczy samej! – potwierdził z uśmiechem wujek, ostrożnie przytulając, oblepionego opatrunkami wychowanka.

– Dzięki, Bona! Od tygodnia chodziło za mną to piwo – przyznał chłopak. – Ale będę mógł się nim nacieszyć dopiero po wizycie doktora, bo gotów mi je jeszcze skonfiskować! – Dyskretnie schował zbawienny prowiant do białej szpitalnej szafki.

– Niech ci pójdzie na zdrowie – skomentował wuj, rad, że trafił w gust swojego ulubieńca.

– Czemu tak długo cię nie było? Gdzie ty się w ogóle podziewałeś? – zapytał nagle poważniejszym tonem Antek, wdrapując się niezdarnie na łóżko.

– Widzisz, dzieciaku... Gdy ty się tu kurowałeś, ja odbywałem kolejną batalię w twojej sprawie – wyznał tajemniczo.

– Jak to? – odparł zaciekawiony Antek.

– Okazało się, że po zabraniu cię na blok operacyjny, nasza sytuacja nie była jeszcze tak ostatecznie przesądzona, jak to gwarantował generał Różewicz.

– To znaczy?

– To znaczy, że mało brakowało i w ogóle mógłbyś nie wybudzić się już po swojej operacji – przyznał Bona, robiąc przy tym lekko przerażoną minę.

– Przecież Różewicz dał nam zielone światło! Wszyscy to zresztą słyszeli! – nie dowierzał Antek.

– Ale nie wszyscy, którzy mogli mieć coś w tej sprawie do powiedzenia, byli wtedy na miejscu – wyjaśnił. – Pomimo pozwolenia i protekcji udzielonej nam przez Różewicza, reszta dowództwa zażądała od niego natychmiastowych wyjaśnień i przeprowadzenia debaty odnośnie do podjętej przez niego, ryzykownej dla organizacji decyzji.

– W takim razie co zaważyło na tym, że jednak cały czas tutaj siedzę? – zapytał lekko zaniepokojony tak niespodziewanymi rewelacjami Antek.

– Och... – westchnął ciężko Bona. – To była długa przeprawa... Musieliśmy raz jeszcze z generałem krok po kroku wytłumaczyć głównemu dowództwu oraz paru osobom z najwyższej kapituły całą skomplikowaną sytuację. W końcu Różewicz przechylił szalę na stronę pozytywnego rozpatrzenia naszej sprawy, biorąc na siebie całkowitą odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenia z tym związane. Dał za nas pozostałym generałom oficerskie słowo.

– Co?! – Antek niemal podskoczył na łóżku, nie dowierzając w to, co słyszy.

– Po wszystkim Paprocki powiedział mi także, że na ostatecznej decyzji zaważyło również silne poparcie, które dostałeś od jednego z członków najwyższej kapituły, Piotra Kowala. Ponoć bardzo zaimponowałeś mu swoją determinacją i w ogóle całą tą noworoczną eskapadą...

– Jakiego znowu Piotra Kowala? – zdumiał się Antek.

– Tego! Najpopularniejszego w Polsce... – odrzekł lakonicznie Bona.

– Najpopularniejszego Kowala w Polsce? – powtórzył powoli chłopak, marszcząc czoło. – Masz na myśli tego Kowala?! – dodał ze zdziwieniem.

– Tak, tego!

– Tego miliardera?

– Tak, dokładnie tego – potwierdził spokojnie Bona, uśmiechając się z satysfakcją.

– Ten gość jest członkiem kapituły? – dociekał żywo zainteresowany Antek.

– Oficjalnie nie wiadomo, kim są jej członkowie. Ta informacja jest jedną z najpilniej strzeżonych w organizacji i dostęp do niej ma zaledwie kilka osób

z dowództwa, ale ptaszki ćwierkają, że jedną z tych osób jest właśnie on. – Staruszek mrugnął okiem.

– Ale przecież to bardzo znana, publiczna postać. Nie wiedziałem, że w Polonorum mogą znajdować się takie osoby – zastanawiał się chłopak.

– Ja, szczerze mówiąc, też nie, ale zasięgnąłem nieco języka w tej sprawie i dowiedziałem się, że ponoć zwerbowano go w trybie nadzwyczajnym – wyjaśnił.

– To trochę tak jak mnie.

– No nie do końca... On nigdy wcześniej nie słyszał o Polonorum i nigdy się do niego nie przygotowywał...

– To na jakiej podstawie go zwerbowali? – dopytywał Antek.

– Na podstawie tego, iż od początku swojej kariery biznesowej wykazywał ambicje patriotyczne oraz republikańskie, oraz że jako filantrop aktywnie działał na rzecz polskiego dziedzictwa narodowego.

– Czyli że to dobry materiał na sojusznika... – skomentował Antek.

– Dokładnie! – potwierdził Bona. – Dlatego po skrupulatnym sprawdzeniu całej jego działalności zdecydowano się na próbę pozyskania go dla organizacji – wytłumaczył.

– No to się musiał chłop nieźle zdziwić, dowiadując się z dnia na dzień, że istnieje na świecie coś takiego jak tajna, wielowiekowa organizacja wywiadowcza, prowadzona przez Polaków – zauważył.

– Słyszałem, że gdy mu już o wszystkim powiedziano, nie zawahał się ani chwili, a nawet odebrał przedstawioną mu propozycję jako wielki zaszczyt.

– W takim razie musi być teraz mocnym filarem finansowym dla organizacji – domyślał się Antek.

– Bardzo mocnym – potwierdził Bona z wyraźnym podnieceniem w głosie. – Mówi się, że już następnego dnia po zwerbowaniu zrezygnował z kupna jednego z największych jachtów w Europie, by następnie przekazać organizacji okrągłe trzysta milionów euro, na dobry początek służby.

– Wow! Takich gości właśnie Polska potrzebuje! – skomentował z aprobatą Antek, niezwykle zaintrygowany doniesieniami, jakimi podzielił się z nim wuj.

– Pewnie stąd to nowe podziemne centrum szkoleniowe – zauważył Bona.

– I ta cała wspaniale zamkowa posiadłość – dodał chłopak.

– Z pewnością tak... Od dziecka jestem w organizacji, ale szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie byłem w tym miejscu.

– Czyli, że to wszystko jest nowe?

– Jeśli masz na myśli podziemne centrum szkoleniowe, to z pewnością tak. Bo widzisz... Za moich czasów mieliśmy tylko trzy główne siedziby i centra szkoleniowe, w Przemyślu, Lublinie oraz Krakowie. Natomiast miejsce spotkań Najwyższej Kapituły było znane tylko niektórym oficerom na szczeblu generalskim. Dopiero parę dni temu dowiedziałem się przypadkiem, że było to właśnie tu, w podziemiach zamku Czartoryskich w Gołuchowie! – wyjaśnił skrupulatnie Bona. – To tutaj od wieków spotykała się potajemnie kapituła, i to właśnie tę siedzibę nazywano potocznie „czwartym grobowcem”. Dowiedziałem się też, że organizacja, gdy tylko zdobyła od Kowala wystarczające fundusze, całkowicie wykupiła posiadłość od Muzeum Poznańskiego, a także tutejszego koła myśliwskiego, tworząc pod ziemią swoje główne centrum dowodzenia.

– Czwartym grobowcem? – zdumiał się Antek, robiąc przy tym kpiącą minę.

– Tak zawsze określano tajemne miejsce, w którym spotykała się góra, czyli inaczej mówiąc kapituła – wyjaśnił Bona.

– A dlaczego nie pierwszym albo drugim, tylko akurat czwartym?

– Pewnie dlatego, że według pewnej, znanej tylko w naszych kręgach legendy gdzieś w Polsce znajdują się trzy pozostałe.

– Serio? – zapytał ze szczerym niedowierzaniem Antek.

– Wiesz... To tylko taka historyjka. Chodziły o niej słuchy jeszcze za czasów, gdy jako młode szczyły przygotowywaliśmy się z twoim ojcem do służby w organizacji. Jak widać, ta niewiele warta bujda przewija się do dziś. – Bona roześmiał się drwiąco.

– Aaa! Rozumiem – Antek odwzajemnił prześmiewczy uśmiech. – W każdym razie ktoś miał znakomity pomysł z wtajemniczeniem tego Kowala – dodał, wracając do tematu.

– Przypuszczam, że z racji tego, iż od lat Polonorum miało ochotę odzyskać utraconą przed wojną posiadłość, mógł to być pomysł tylko przedstawicieli rodu Czartoryskich, od wieków zasilających nasze szeregi.

– Też tak myślę...

– Musimy jednak pamiętać o tym, że Kowal, prócz tego, iż jest oddanym patriotą, to jest też przede wszystkim wytrawnym biznesmanem... Oczywiście jest to, że nie oddał im tak ciężkiego szmalu w zamian za nic – zwrócił uwagę Bona.

– Czego więc zażądał?

– Ponoć miejsca przy stole kapituły... –

– No jasne! – Antek pokręcił z podziwem głową. – Chciał być decyzyjną osobą... Mieć realny wpływ na rozwój i strategiczne posunięcia organizacji. Prawdziwy pokerzysta... Postawił wysokie żądania ludziom, którzy, gdyby tylko chcieli, zdmuchnęliby go jak wiosennego latawca – dodał z uznaniem.

– Bardzo wysokie – przytaknął Bona. – Najwyższa kapituła to niezwykle hermetyczna struktura... Właściwie to szeregowi agenci nie wiedzą nawet, na jakich zasadach ona działa i jak się do niej dostać. Ona po prostu jest...

– Aż dziw, że tak łatwo się na to zgodzili...

– Byliby głupcami, gdyby na to nie poszli... Ten Kowal to nie tylko niebywale bogaty człowiek, ale także nieprzeciętnie inteligentny. Wiedzieli dobrze, że oprócz jego pieniędzy będzie im potrzebna jego bezcenna wiedza. Musiało im zresztą bardzo na nim zależeć, skoro jeden z członków kapituły dla dobra sprawy honorowo ustąpił mu miejsca.

– Racja... To musi być naprawdę nieprzeciętna postać – skwitował Antek, będąc wyraźnie pod wrażeniem tego, czego się właśnie dowiedział.

– I podobnie jak ty niespełna trzydziestoletnia! – wtrącił Bona z entuzjazmem, przytakując głową i wymownie unosząc brwi.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć? – zapytał podejrzliwie Antek.

– To, że macie wiele wspólnego...

– A co niby takiego? Nie licząc zbliżonej metryki... – obruszył się.

– Nooo chociażby to, że obaj przyszlście do organizacji znikąd.

– Co to znaczy „znikąd”? – Antkowi coraz mniej podobała się puenta, w której stronę ewidentnie zmierzał wuj.

– No to, że ty, sierota i niezamożny chłopak z Bieszczad, po latach ciężkiej pracy dostałeś się tutaj przebojem! A on, syn prostego rzemieślnika z poczciwej, protestanckiej rodziny z Podlasia, stał się przed trzydziestką decydującą osobą w jednej z najbardziej wpływowych tajnych organizacji, które działają na świecie! – wyjaśnił Bona, patrząc na Antka z wzrokiem mówiącym coś w rodzaju: teraz twój ruch, żeby pokazać w organizacji, który z was jest lepszy.

– Dobra, dobra... Wiem, o co ci chodzi... Ty już sobie za dużo nie wyobrażaj. – Chłopak, rozumiejąc to wyzywające spojrzenie, szybko sprowadził wuja na ziemię.

– No co? Po prostu liczę na ciebie! – usprawiedliwiał się Bona.

– Weź już daj spokój... Nie mam tu zamiaru nikomu nic udowadniać – uciał szybko dyskusję.

– No dobrze już... Luz... Tak tylko mówię... – Staruszek delikatnie poklepał wychowanka po przestrzelonym obojczyku. – A zdajesz sobie, Antoś, sprawę, że teraz nie będziemy mogli już tak swobodnie rozmawiać na wszystkie tematy jak wcześniej? Obowiązywać cię będzie od teraz ścisła tajemnica, a mnie niestety nie przywrócili do czynnej służby – dodał z zawiedzioną miną.

– Nie dało się tego jakoś załatwić? – Antek także się zasmucił.

– Prosiłem o jakiś angaż, ale systemy szkoleniowe się zmieniły... Poza tym wyraźnie dali mi do zrozumienia, że i tak zrobili wyjątkowo ryzykowny krok, idąc nam obu na rękę, i żebym lepiej nie przeginał pały – zaśmiał się sam do siebie.

– Czyli od dziś ani słowa? – zapytał chłopak, uśmiechając się chytrze.

– No oczywiście, że ani słowa. Pozostają nam już tylko rozmowy o samochodach, sporcie i dziewczynach. – Wymownie mrugnął do bratanka, co oznaczało, że i tak z każdą sprawą będzie mógł przyjść do wuja, w razie jakichkolwiek trudności.

– Aaa... Był tu ten psychol Paprocki – nagle zmienił temat Antek.

– Co? Nie może być! – oburzył się Bona.

– A właśnie, że może...

– A to przebiegły sukinsyn... – syknął wściekle Bona. – Pewnie próbował cię sprowokować? – domyślił się.

– I prawie mu się to udało – potwierdził Antek.

– Nie poszło mu jednym sposobem, to próbował innym... Mogłem się domyślić, że ten łajdak nie da ci spokoju – szczerze zaniepokoił się Bona.

– Mówię ci, staruszkule, widziałem to w jego oczach. On tego tak nie zostawi... – przewidywał Antek.

– Wiem... Ale ty po prostu zaciśnij zęby, kiedy trzeba, rób swoje i olej go! – doradził przezornie wuj.

– Nie będzie to łatwe... Pieprzył jakieś brednie o moim ojcu, że niby...

– Posłuchaj, Antoni – przerwał mu Bona – musisz wiedzieć, że Paprocki rozpoczął służbę w organizacji mniej więcej w tym samym czasie, co ja i twój ojciec. Z tą różnicą, że w przeciwieństwie do twojego ojca, Paprocki i ja byliśmy ze „Świtezi”, czyli z programu szkoleniowego, o którym już ci kiedyś wspominałem...

– Tak, wiem... To system stworzony do zasilania organizacji w nowe, wyszkolone od wczesnego wieku dziecięcego kadry. Byłeś tam instruktorem – przypomniał Antek.

– Tak, ale to nie wszystko... Bo widzisz... „Świtez” obejmowała głównie wyjątkowo uzdolnione dzieci z sierocińców oraz tym podobnych placówek, ale co jakiś czas oddawano do niej także dzieci z wpływowych szlacheckich rodów, które od wielu pokoleń działały na rzecz organizacji. Rodzice przynosili je w wieku



dwóch, trzech lat. Był to dowód bezwzględnego poświęcenia rodziny na rzecz narodu i ojczyzny. Jednak zanim zaczynano ich szkolenie, specjalnymi zabiegami psychologicznymi resetowano im pamięć, by te, dorastając, nie miały nawet najbledszych przebłysków z wczesnych lat dziecięcych i nie próbowały dociekać, skąd pochodzą. Tym sposobem stawały się takimi samymi bezimiennymi agentami jak reszta zwerbowanych sierot. Pamiętam, że Paprocki od zawsze był przekonany, że oddano go do „Świtezi” z jakiegoś zasłużonego, znamienitego rodu, a nie tylko ze zwykłego bidula. Można powiedzieć, że z czasem dostał na tym punkcie totalnego fioła! Wiesz... Błękitna krew i te sprawy... W końcu dotarł jednak do jakichś pokątnych dokumentów, z których jasno wynikało, że jest kolejną, zwykłą sierotą, którą jako małe dziecko wcielono do organizacji.

– Przecież to musiały być ściśle tajne informacje... – zauważył Antek.

– No niby tak... Ale jak dobrze poszukasz i dyskretnie pogadasz, z kim trzeba, to zawsze coś na swój temat wygrzebiesz... W każdym razie Paprocki długo nie mógł się z tym pogodzić.

– Ja bym powiedział, że do dziś! Ten gość ma ze sobą jakiś problem... – skomentował Antek.

– Musisz zrozumieć, że Ester, bo tak się wtedy nazywał, nienawidził twojego ojca i będzie też nienawidził ciebie... A stało się tak z powodu wielu rzeczy... Najbardziej jednak nie trawił go za to, że był wybrany do organizacji ze starego, zasłużonego rodu, i co ważniejsze, odbyło się to w trybie jawnym! – Bona wyraźnie zaakcentował ostatnie słowo.

– Dlaczego Ester? I co oznacza, że ktoś został wybrany do organizacji w trybie jawnym? – dopytywał, zaintrygowany tymi nieznanymi mu dotychczas informacjami chłopak.

– „Wybrany z rodu w trybie jawnym” oznacza, że w ogóle nie został objęty programem „Świtez”, utajniającym tożsamości wcielanych adeptów. Nie wyselekcjonowano go więc z żadnego sierocińca ani też nie zabrano z arystokratycznej rodziny jako nieświadomego malucha. Twój ojciec został

oddany na szkolenie całkowicie świadomy tego, kim jest i skąd pochodzi. Zresztą, jak sam dobrze pamiętasz, cały czas miałeś kontakt z twoim dziadkiem, prawda?

– Racja... Ale nigdy nie opowiadałeś o tym tak szczegółowo... Nie przypominam sobie również, żeby rodzice mi o tym wspominali... – Antek się zamyślił.

– Nie było to widocznie wtedy priorytetem – odparł zdawkowo Bona.

– A jak często rodziny mogły skorzystać z tego trybu jawnego? – dociekał chłopak.

– Przeważnie tylko raz na kilka pokoleń. Chociaż zwykle bywało tak, że rody z wyjątkowo wielkich ordynacji korzystały z tego przywileju znacznie częściej. Twój ojciec często przechwalał się tym, że nie należał do dzieciaków ze „Świtezi”... Zresztą był takim samym impertynentem i lansiarzem jak ty!

Słyszając tak dobitną ocenę z ust własnego wuja, Antek zrobił nieco skwaszoną minę. Bona jednak nie zwrócił na to uwagi, tylko spokojnie kontynuował.

– Teraz historia zatoczyła koło i również to ty w pewnym sensie w podobny sposób dostałeś się do organizacji; to znaczy, też wiesz, kim jesteś i skąd pochodzisz... Nie dziw się więc Estrowi, że tak bardzo działasz mu na nerwy – wyjaśnił.

– A dlaczego Ester?

– Ester to pseudonim nadany mu podczas inicjacji w wieku trzech lat. Nie zauważyłeś, że niektórzy agenci mają nazwiska, niektórzy zaś tylko pseudonimy? – zapytał Bona.

– Rzeczywiście... – uświadomił sobie Antek. – To znaczy, że Lilia czy Buka to też pseudonimy?

– Domyślam się, że tak – przytaknął staruszek.

– Czyli, że ta dziewczyna z grupy krakowskiej nie zna swojej rodziny? Ani też swojego prawdziwego nazwiska? – Chłopak zamyślił się głęboko.

– Na to wygląda... Ci agenci, do których koledzy zwracają się po nazwisku, to nie Świteziaki i z pewnością są wybrani do organizacji jawnie, z rodu. Reszta

posługuje się nazwiskami tylko w cywilu i są one fikcyjne. W organizacji zaś mają obowiązek używania pseudonimów, które nadano im na samym początku. Tak jak mi – zwierzył się staruszek.

– Tobie?!

– Tak, jestem typowym Świteziakiem – wyznał.

– I nie masz swojego imienia ani nazwiska? – nie dowierzał zaskoczony Antek.

– Nie... Bona to pseudonim nadany mi, kiedy jako sześciolatka zabrano mnie z bidula do organizacji – odpowiedział z zamkniętymi oczami, jakby próbował sięgnąć pamięcią najdalej, jak tylko potrafił.

– A ja naprawdę myślałem, że ty masz na imię Bonawentura... – Antek się roześmiał.

– Nie, chłopcze, Bonawentura Miko to tylko przykrywka, której używam w cywilu – wyjaśnił równie rozbawiony tak wielkim zdziwieniem wychowanka.

– Ale dlaczego wzięli cię dopiero w wieku sześciu lat?

– Robiono czasem takie wyjątki. To były trudne czasy... Brakowało młodych agentów, a starzy ginęli częściej niż teraz... Jeden z moich opiekunów w „Świtezi” opowiadał mi, że wykazywałem się w bidulu niespotykanymi umiejętnościami intelektualnymi i manualnymi, oczywiście jak na sześciolatka. Dlaczego miałem się tam zmarnować, skoro jako dobry żołnierz i agent mogłem przydać się ojczyźnie.

– I pamiętasz coś z tego sierocińca? – dopytywał Antek.

– Tylko jakieś przebłyski... Pojedyncze obrazy... Tak jak wspomniałem, wychowawcy ze „Świtezi” mieli swoje sposoby, by skutecznie wymazać z pamięci pierwsze dziecięce wspomnienia. Zresztą, wiedząc dziś, jak wyglądały wtedy sierocińce, z pewnością wspomnienia te nie należały do najprzyjemniejszych...

– Mimo to, nie żal ci, że nie pamiętasz pierwszych sześciu lat swojego życia?

– Nie – odpowiedział niewzruszony. – Pamiętam za to, że bardzo spodobała mi się nowa rzeczywistość, do której trafiłem. Organizacja to było zdecydowanie miejsce dla mnie; lubiłem ruch! Lubiłem wyzwania! Lubiłem rywalizację! Czułem,

że mam jakiś cel! Tak więc z czasem całkowicie zniknęła mi z głowy pamięć o bidulu... – wyliczał, wyraźnie rozbawiony tym niespodziewanym powrotem do przeszłości.

– Szkoda, że nigdy mi o tym nie powiedziałaś – skomentował Antek, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Tak jak już wspomniałem, Antoś, nie było to priorytetem podczas twojego szkolenia, poza tym, jak sam dobrze wiesz, nie mogłem ci wszystkiego mówić – powtórzył Bona.

– Tak, wiem... Ale wytłumacz mi, dlaczego teraz wszyscy zwracają się do Estra per Paprocki – dodał, ponownie wracając do tematu nienawistnego pułkownika.

– Powtarzam ci, że Paprocki miał na tym punkcie hopla. Gdy został jednym z instruktorów „Świtezi”, nie chciał, by jego podwładni uważali go tylko za zwykłą sierotę, przygarniętą z jakiegoś zapchlonego przytułku. Chciał być kimś więcej... Jako Ester czuł się gorszy, niedowartościowany, to nie szło w parze z marzeniami o jego wielkiej karierze, którą pomimo przeciętnych predyspozycji tak mozolnie robił. Trzy lata zabiegał w dowództwie o to nazwisko, aż w końcu się zgodzono... – wytłumaczył szczegółowo Bona.

– To dlatego tak go rozeźliłem, gdy wspomniałem o jego rodzinie... – Antek uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie minę Paprockiego.

– Wspomniałaś o jego rodzinie? Zwariowałaś? – oburzył się nagle Bona.

– Przyrzekam, nie zrobiłem tego specjalnie, nie wiedziałem, że to jego czuły punkt...

– Nie jest mi szkoda tego buca, ani trochę... Ale uważaj na niego i lepiej go nie drażnij... To niebezpieczny gość...

– Doskonale to rozumiem... Ale jeśli będzie mnie prowokował i opluwał publicznie moich rodziców, nie pozostawię tego bez odpowiedzi – zagroził Antek.

– Musisz być rozważny... Paprocki zawsze był chorobliwie zawistny i zazdrosny. Jeśli zaczniesz z nim otwarcie walczyć, lub, co gorsza, jeśli w jakiś

sposób publicznie go upokorzysz, znajdzie sposób, żeby cię potem zniszczyć – przestrzegł.

– Ale on rozpowiada, że mój ojciec robił jakieś lewe interesy na boku! Nie mogę przejść obok tego obojętnie. Tu chodzi o honor mojej rodziny! – sprzeciwił się chłopak.

– Nie chce mi się komentować paranoi tego chorego z zazdrości durnia. Ale wiedz, że powiedział tak tylko dlatego, że nadal gryzie go to, że twojemu ojcu powierzono bardzo trudne zadania infiltrowania służb w Rosji, i że zrobił karierę za granicą, gdzie rozgrywała się prawdziwa, prestiżowa wojna wywiadów. W tym samym czasie Paprocki był zwykłym agentem w rejonie krajowym i zajmował się rozpracowywaniem prostych studentów, którzy dobrowolnie szli na współpracę z służbami obcych państw. Poza tym, gdy byliśmy jeszcze młodymi kadetami, twój ojciec zawsze był od niego lepszy i nigdy nie pozwalał mu o tym zapomnieć... Twój stary był po prostu bezkonkurencyjny wśród wszystkich roczników z tamtych lat, ale skłamałbym, gdybym zaprzeczył, że nigdy przy tym nie gwiazdorzył...

– Ale skąd Paprocki nagle wyciągnął jakieś informacje o tych rzekomych...

– Lewych interesach z Ruskimi? – dokończył Bona.

Antek potwierdził.

– To są brednie! Nie przejmuj się tym... Paprocki nie ma na to żadnych sensownych argumentów... On uwielbia teorie spiskowe, dlatego chętnie podchwycił, a następnie rozpowszechnił historyjkę o tym, jakoby twój ojciec dla własnych korzyści zwąchał się z ruskimi służbami, skutkiem czego przypłacił to śmiercią.

– A było tak? – zapytał niepewnie Antek.

– No co ty?! Zwariowałaś?! Nie pamiętasz już, jaki był twój ojciec? – oburzył się Bona.

– Pamiętam, ale coś musiało być na rzeczy... – usprawiedliwiał się chłopak.

– Fakt! Ksawery od jakiegoś czasu zajmował się jakąś dziwną sprawą na własną rękę, o czym nie chciał powiedzieć nawet mi. Ale o żadnych lewych

interesach nie było mowy! Po prostu niezależnie od wytycznych dowództwa trafił na jakiś bardzo ważny ślad i wbrew oficjalnym zadaniom, które mu powierzono, wszedł bardzo głęboko w struktury rosyjskiego wywiadu, poświęcając się całkowicie tej sprawie.

– I poświęcając tym samym swoje życie i życie mojej matki – wtrącił Antek, wzdychając głośno.

– Niestety tak... Cokolwiek by ci jednak ten fałszywy sukinsyn nie opowiadał o twoim ojcu, nie traktuj tego poważnie... Ja – wyraźnie rozemocjonował się Bona – najlepiej znałem Ksawerego! I zawsze uważałem go, i będę uważać, za jednego z największych polskich patriotów tamtego pokolenia! Na każdym kroku mogłem mieć do niego stuprocentowe zaufanie. Kropka! – zakończył dosadnie.

– Ale... – wtrącił jeszcze nieśmiało Antek.

– Koniec tematu! – stanowczo zażądał staruszek, a niemalże w tym samym momencie całkowicie niespodziewanie do sali szpitalnej wpadła głównodowodząca grupy krakowskiej, pani kapitan Lili.

Dziewczyna trzymała w dłoniach spore kartonowe pudło i sprawiała wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć na przywitanie. Ostatecznie jednak nie zdecydowała się na to, tak więc wraz z jej przybyciem w sali zapanowała niezręczna cisza. Bona odwrócił się powoli w stronę dziewczyny, po czym skinął znacząco głową, jakby chciał jej powiedzieć: proszę bardzo, słuchamy pani. Lili, nie zważywszy jednak na to, upuściła pudło na ziemię, po czym przepełniona butną kobiecą dumą ruszyła z powrotem w stronę wyjścia. Wtedy to Bona niespodziewanie krzyknął na nią tak przeraźliwie władczym głosem, że nawet Antek otworzył buzię ze zdziwienia:

– Pani kapitan! – głos krzepkiego staruszka poniósł się echem po całej sali.

Lili zatrzymała się natychmiast i po chwili zastanowienia odwróciła się w stronę obu mężczyzn, nadal jednak nie wydobywając z siebie ani słowa.

– Co ty sobie myślisz, gówniario – Bona najwyraźniej, nie zamierzał zniżyć tonu – wydaje ci się, że będziesz rozstawiać po kątach wszystkich, którzy nie całują

po dupie twojego rozbuchanego ego? – wypalił bezwzględnie, wprawiając Antka w osłupienie.

– Nic takiego nie myślę! – niemalże odkrzyknęła oburzona dziewczyna.

– Ach tak? – zapytał staruszek, niespodziewanie ścisząc ton i mówiąc już o wiele przyjemniejszym głosem. – To niby od kiedy, droga koleżanko, uczą tu, że nie salutuje się starszemu stopniem majorowi? – dodał, całkowicie łagodniejąc.

– Przepraszam, panie majorze! Ma pan rację, to było nieprzemyślane zachowanie z mojej strony – odpowiedziała nadzwyczaj posłuszenie, mając zapewne w pamięci niedawną reprimendę Paprockiego, w której zagroził jej degradacją.

– Nieprzemyślane? – zapytał drwiąco Bona, mimo wszystko uśmiechając się do zawstydzonej i śmiertelnie poważnej dziewczyny. – Myślę, że to było bardzo przemyślane z pani strony, pani kapitan... Nie może jednak pani zapominać o tym, że choć przyszedłem tu sobie do Antka na pogaduchy, to nie jestem dla pani jakimś pierwszym lepszym koleżką, którego można równie perfidnie olać.

– Ma pan rację, panie majorze, to było zwykłe uchybienie, nie chciałam w żaden sposób pana urazić. Przepraszam raz jeszcze – powtórzyła z całkowitą powagą.

– No już dobrze, już dobrze... Nieważne... – Staruszek machnął lekceważąco ręką. – Rozumiem, że ma pani powody mnie nienawidzić – dodał.

– Ależ nie, panie majorze, to było zwykłe niedopatrzenie z mojej strony, nic osobistego – zarzekała się Lili, ale Antek dostrzegł w jej oczach, że nie jest to do końca prawda.

– Nic nie szkodzi, pani kapitan, ja nie z tych, którzy biorą sobie takie rzeczy do serca... – Roześmiał się. – Zresztą i tak właśnie miałem wychodzić, oszczędzę więc pani mojego widoku – dodał, podnosząc się ociężale z krzesła, jeszcze bardziej zawstydzając tym gestem dziewczynę.

– Ależ panie majorze – protestowała Lili.

– Niech się pani mną nie przejmuje... Teraz może już pani w spokoju załatwić sprawę, z którą przysłała do Antka – dodał wyjątkowo spokojnie i ciepło.

Natomiast on przyglądał się tej krępującej scenie z totalnym zażenowaniem, czując się jak mały, nieporadny chłopczyk, którego ojciec przyszedł właśnie do szkoły, aby wytargać za uszy starszych kolegów, którzy mu dokuczają.

– Nie! Nie! Ja przyjdę innym razem, proszę sobie nie przeszkadzać w rozmowie! – powiedziała pośpiesznie dziewczyna, chcąc jeszcze jakoś odwrócić niewygodną dla siebie sytuację.

– Droga pani kapitan – wtrącił Bona, kolejny raz podnosząc głos – nie słucha pani, co się do pani mówi... Powtórzę więc raz jeszcze: właśnie wychodzę, więc może pani bez przeszkód załatwić swoją sprawę. – Po tych słowach z ojcowską troską ucałował Antka w czoło i poklepując go delikatnie po zabandażowanym ramieniu, powiedział: – Trzymaj się, byku. – Chwilę potem udał się w stronę wyjścia.

Lili patrzyła na tę scenę z kamienną twarzą, ale można powiedzieć, że i z lekką zazdrością... Antek tylko nieznacznie przytaknął wujkowi i mrugając przy tym okiem, rzucił:

– Cześć, staruszku.

Wbrew przekonaniu Lili, jak również Antka, na tym rozmowa jednak się nie zakończyła, gdyż Bona, mijając się twarzą w twarz ze stojącą jak słup soli dziewczyną, pozwolił sobie jeszcze na parę słów:

– Z tego, co się dowiedziałem od moich starych towarzyszy, jest pani świetnie rokującym dowódcą. Dlatego nie mam wątpliwości, że doskonale pani wie, iż w Polonorum zawsze źle kończyli ci, którzy szukali tu miejsca do spełnienia wyłącznie własnych ambicji, jak i ci, którzy toczyli tutaj bezsensowne, osobiste konflikty...

– Jeszcze raz przepraszam za znieważenie starszego stopniem – wtrąciła posłusznie Lili, modląc się w duchu, by ta niefortunna rozmowa w końcu się skończyła.

– Tu nie chodzi o mnie, pani kapitan... – Bona ponownie się uśmiechnął. – Ja jestem już tylko starym dziadem, który nikogo nawet nie interesuje... Tu chodzi



o waszą przyszłość i o to, jak Polonorum będzie wyglądało kiedyś pod waszymi rządami... Widzicie przecież, co się dzieje teraz na świecie... To nie czas na fochy i wojenki z własnymi ludźmi... Dogadajcie się jakoś... Jesteście w końcu dorośli i gracie w tej samej drużynie – zakończył swój moralizujący wykład, po czym wyszedł.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Lili podniosła z ziemi obszerne kartonowe pudełko, a następnie podeszła do Antka.

– To są niewykorzystane testy z poprzednich lat. Z komunikacji, informatyki, psychologii, języków obcych, chemii pirotechnicznej, kryptologii, fizyki, sprzętu wojskowego, topografii i tak dalej... – wyjaśniła nadal z niewzruszoną miną. – W sumie to jakieś trzydzieści kilo papieru.

– No i? – zapytał ostrożnie Antek, mając wrażenie, że rozmawia właśnie z tykającą bombą zegarową.

– No i to, że ledwo tu przyszedłeś, i od razu masz fory – skomentowała oziębłe.

– Jakie znów fory? – zdziwił się Antek.

– Jak nie słyszysz, co do ciebie mówię, to sobie umyj uszy! To są niewykorzystane testy dla naszych przyszłych agentów. Więc, jak można się domyślić, mogą się kiedyś jeszcze pojawić na egzaminach... – skwitowała.

– A po co mi taka sterta makulatury? Nie mogłaś tego przynieść na pendrivie?

– Błagam cię, nie zadawaj mi takich durnych pytań... Chyba oczywiste jest, że dla bezpieczeństwa nie posiadamy tu cyfrowych wersji arkuszy egzaminacyjnych. Dziś szkolonym agentom trudniej o zdobycie zwykłej kartki niż zakodowanego pliku, znajdującego się nawet na najlepiej strzeżonym serwerze.

– W takim razie skąd je masz i po co mi one? – dopytywał.

– Generał Różewicz skombinował je specjalnie dla ciebie. Nikt poza nami o tym nie wie! – przestrzegła Lili, robiąc przy tym groźną minę. – Generał uznał, że nie masz wystarczająco dużo czasu, żeby przerobić materiał z naszego wieloletniego programu szkoleniowego, a co za tym idzie, przygotować się dobrze

do egzaminów. Dlatego kazał przerobić ci przynajmniej to... – wyjaśniła, nie ukrywając zniecierpliwienia.

– Jakie znowu egzaminy?! – obruszył się Antek. – Przecież mam być lada chwila zaprzysiężony, tak? A potem ruszam w teren... – oznajmił.

– Nie wiem, co tam sobie wyobrażałeś, ale kazano mi przekazać, że po uroczystym zaprzysiężeniu będziesz skierowany do naszej akademii, aby odbyć tam jeden semestr w trybie przyspieszonym, wraz z resztą kadetów z ostatniego roku.

– Co?! Jakiej akademii?! Po tym wszystkim, co udowodniłem? Przecież ja mam prawie trzydzieści lat! – sprzeczał się chłopak, nie wierząc w to, co słyszy.

– Nic ci na to nie poradzę... – skomentowała zimno dziewczyna. – Taki jest rozkaz i już... Jeśli chcesz, to składaj sobie zażalenia w dowództwie, ale wątpię, żeby i tam kogokolwiek obchodziło to, że coś sobie udowodniłeś – dodała złośliwie.

– A ja słyszałem, że jednak kogoś z góry to zainteresowało... – odparł nieskromnie.

– Nie moja sprawa, co słyszałeś. Dostałam to, więc przekazuję! – Rozzłoszczona przeciągającymi się przekomarzaniem dziewczyna celowo upuściła pudełko na nogi swojego podopiecznego.

– Aaaa!! Moja noga!!! Całkiem cię pogięło?! – wrzasnął Antek, prostując się jak struna z bólu.

– Przesyłka dostarczona do celu! Żebyś potem nie opowiadał, że chybiłam o centymetr czy coś w tym rodzaju...

– Jesteś nienormalna! – podsumował Antek, ściągając pudło z kolan i masując się po dopiero co zabliźnionej ranie.

– Nie histeryzuj... Taki duży chłopak, a biadoli jak zasmarkane dziecko... – parsknęła. – A może potrzebujesz kolejnego całuska w czółko na otarcie łez? – dodała złośliwie.

– Od ciebie? – zakpił chłopak.

- Jeszcze czego... – odrzekła z mrozącą krew w żyłach demoniczną intonacją.
- No tak... Ten twój kochaś blondasek mógłby tego nie zdzierżyć...
- Ostrzegam cię, Miko, lepiej dla ciebie, żebyś nie poruszał tego tematu – zagroziła, rumieniąc się nagle jak pomidor.
- To po cholereę odstawiasz tutaj taką szopkę? Przekaż mi to, co masz do przekazania, i daj mi spokój!
- Ja odstawiam szopkę?! – warknęła coraz bardziej nabuzowana dziewczyna.
- No chyba nie ja...
- A kto się zaczął handryczyć ze mną jak uparty osioł, gdy zaczęłam tłumaczyć, jakie dostałam rozkazy z dowództwa?
- Dobra, starczy! Nie będę się z tobą licytował... Wystarczająco już dzisiaj spieprzyłaś mi dzień... Masz mi coś jeszcze do powiedzenia? – zareagował stanowczo Antek, chcąc zatrzymać dalszą wspinaczkę po tej niekończącej się drabinie eskalacyjnej.
- Mam! – odparła Lili, z trudem hamując emocje. – W najbliższą środę siedemnastego stycznia odbędą się ceremonie zaprzysiężenia kadetów i awansów oficerskich. I ja, niestety, mam cię do tego wydarzenia przygotować... – Westchnęła, jakby nagle zrobiło jej się niedobrze.
- Tak, pamiętam, jak Paprocki o tym wspomniał, ale co masz na myśli, mówiąc „przygotować”?
- Mam po prostu dopilnować, żebyś wiedział, o co chodzi, i nie zrobił z siebie pośmiewiska... – wyjaśniła z ponurą miną. – Jutro pójdziesz ze mną i wszystko ci pokażę – dodała wyraźnie niepokieszona wizją tej perspektywy.
- Już nie mogę się doczekać... – skomentował Antek z równie wielkim entuzjazmem.
- I lepiej ogarnij się do jutra, bo nie mam zamiaru narobić sobie przy tobie wstydu! – rozkazała, grożąc przy tym palcem.
- Taa... Martw się o siebie – odbąknął chłopak.

– Mówię poważnie! Nie próbuj się nawet pokazywać w moim towarzystwie w tych dziadowskich gaciach i szlafroku – przestrzegła, po czym bez słowa pożegnania wypadła z sali.

# Ceremonie

Nazajutrz Antek z niecierpliwością – ale też lekką obawą – wyczekiwał przyścia Lili. Niestety nie doczekał się tego zaszczytu, gdyż około szesnastej zamiast dziewczyny w sali szpitalnej pojawił się mały, szczupły chłopiec, który okazał się jej posłańcem. Dzieciak był w wieku wczesnoszkolnym, ale mimo to zdołał przytachać ze sobą prawie czterdziestokilowy, czarny wojskowy plecak.

– Czółem, żołnierzu! Jak się nazywasz? – zagadał przyjaźnie Antek.

– Mój pseudonim to Iribis, ale koledzy mówią na mnie Iri – wyjaśnił.

– Ładnie... A ile masz lat, Iri?

– Prawie osiem – odpowiedział z dumą.

– Masz dużo siły jak na osiem lat – pochwalił go chłopak.

– E tam... Moi koledzy mają więcej... – zasmucił się.

– Nie przejmuj się, wszystko przyjdzie z czasem – pocieszył chłopaka Miko, czochrając jego kręcone, kasztanowe włosy.

– A mogę o coś zapytać? – Dzieciak zrobił niepewną minę.

– Pewnie, wal śmiało...

– Czy to ty jesteś tym włóczęgą, który tak bardzo chciał zostać agentem, że przechytrył wszystkich naszych ludzi i dostał się do naszych podziemi?

– Włóczęgą? – Antka aż zatkało ze zdziwienia. – Skąd taki pomysł? – zapytał, pretensjonalnie marszcząc brwi.

– Tak mówili starsi agenci. Że wyglądałeś jak włóczęga – wyjaśnił ośmiolatek.

– No ładnie... – Chłopak się zamyślił, zdając sobie sprawę z tego, że zdecydowanie będzie musiał poprawić swój wizerunek w organizacji. – Wiesz, Iri, może i tak wyglądałem, ale pozory mylą – dodał, poklepując chłopaka po plecach.

– Tak coś czułem, że to nieprawda! – ucieszył się Iri. – A to, że byłeś w podziemiach, to też ściema? – dopytywał dzieciak.

– Jeśli o to ci chodzi, to byłem w takim jednym wielkim magazynie.

– Wow! Nigdy nie byłem w podziemiach! Nam, młodym kadetom, nie wolno tam schodzić – oznajmił z przejęciem.

– Wszystko przed tobą – zapewnił go Antek.

– Pani kapitan kazała ci przekazać smartplaster i plecak. Instrukcja, co masz robić dalej, jest nagrana w wiadomości głosowej. Ja muszę niestety już wracać, bo za dziesięć minut mamy popołudniowe zajęcia z ruskiego sambo. Jeżeli się spóźnię, to znów będę musiał za karę całą noc przetrzymać w lesie na mrozie... – Roześmiał się tak, jakby karą za spóźnienie było co najwyżej pójście do kąta.

– No to leć, Iri! – pożegnał go Antek.

– A mogę powiedzieć kolegom, że cię znam? – zapytał z nadzieją w głosie.

– No pewnie, że tak! – Puścił oko do uradowanego dzieciaka, po czym wziął się do uruchamiania nowego smartplastra.

Okazało się, że nowy gadżet, który otrzymał od organizacji, został wyprodukowany przez polską firmę Novum Technology. Nie zdziwiło go to wcale, gdyż wiedział, iż założycielem i właścicielem tej korporacji jest młody miliarder Piotr Kowal.

Po uruchomieniu sprzętu i sporządzeniu na nim własnego profilu Antek otworzył wiadomość dźwiękową, którą przesłała mu dziewczyna.

No to posłuchajmy, co tam ciekawego masz mi do powiedzenia, czarnulko – skomentował w duchu, po czym wcisnął „play” i z nanogłośnika rozległ się surowy głos Lili.

*O osiemnastej masz być na dole. Czekałam w bibliotece! W plecaku znajduje się twój tymczasowy ekwipunek. W środku masz ciuchy, tabthina i inne podstawowe rzeczy codziennego użytku. Jeżeli się spóźnisz, to radź sobie sam! Aha, i umyj włosy! Nie mam zamiaru pokazywać się w towarzystwie kogoś, kto ma taki rosół na głowie!*

– Rosół na głowie... Bardzo śmieszne... – powtórzył Antek, parodiując złowrogi głos dziewczyny. – Do *Familiady* z takimi żartami... – mruknął, ewidentnie urażony tak trafnym przytykiem. – Ciekawy jestem, jak ona umyła sobie włosy, a tym bardziej nałożyła tapetę na buźkę, z kulami w obu rękach i z unieruchomionym barkiem! Kretynka! – dodał wyraźnie zagotowany niemiłą uwagą.

Za pięć osiemnasta Antek pojawił się w bibliotece. Reakcja czytelników była dokładnie taka, jakiej się spodziewał – znad książek oraz tabthinów z wolna zaczęły się podnosić zaciekawione głowy. Nie przejmując się tym jednak, wsparł się na kulach i wyciągnąwszy wysoko głowę, rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu dziewczyny – tej jednak nigdzie nie było.

Uzbijając się więc w cierpliwość, raz jeszcze przejrzał się w pobliskim lustrze, by upewnić się, czy czarny, obcisły sportowy kostium, który otrzymał w swojej nowej wyprawce, dobrze na nim leży, i czy świeżo umyte, spięte w samurajski kucyk włosy dobrze się prezentują. Nagle zza pleców dobiegł go wyraźnie rozdrażniony głos Lili:

– Co ty masz na sobie, idioto? – zachnęła się.

– Jak zwykle miłe powitanie, pani kapitan, nie mogło być inaczej – odpowiedział jej Antek, dygając teatralnie głową i próbując zachować mimo to koleżeński uśmiech.

– Trudno, nie ważne... Załatwmy to jak najszybciej i miejmy to już za sobą. Chodźmy! – westchnęła ze niecierpliwością.

– Poczekaj! – zatrzymał ją Antek. – O co ci chodzi? Chciałaś, żebym się dobrze prezentował... A to wdzianko wyglądało najlepiej...

– To jest strój do nocnych ćwiczeń, kretynie! Nikt w tym nie chodzi po oficynie na co dzień – westchnęła ciężko. – Matko! Czemu ja znów przez ciebie muszę brać udział w tym żalonym przedstawieniu – dodała z wyrzutem.

– No już nie przesadzaj – skomentował Antek, coraz mniej chętny na kontynuację tego spotkania.

– Nie przesadzaj?! Człowieku, to nie jest jakaś szkoła dla X-manów, tylko elitarna organizacja bojowo-wywiadowcza! Tu służą poważni ludzie! Wcale się nie dziwię, że mają cię za jakiegoś dziwaka...

– Okej, daj już spokój! Jeśli chcesz, to zaraz się przebiorę...

– Teraz chcesz się przebierać? Co ty sobie myślisz? Że ja mam tyle wolnego czasu co ty, żeby czekać, aż się łaskawie wystroisz?!

– Nie, ale myślę za to, że to spotkanie nie ma sensu – oznajmił zrezygnowany Antek. – I jeśli tego chcesz, to mogę stąd spadać, ale pamiętaj, że to ty zgłosisz swoim przełożonym, żeby przydzielili mi kogoś innego – zagroził.

– Dobrze, już dobrze! Zamknij się i po prostu za mną idź! – odparła dziewczyna, godząc się z tym, że nie ma w tej sprawie żadnego wyboru. Wskazała ręką na odległe regały z książkami i ruszyła przodem.

Na końcu pomieszczenia, pomiędzy wysokimi bibliotecznymi półkami, znajdował się nieduży korytarzyk, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak ślepa uliczka. Lili wyciągnęła jedną z książek z ostatniego regału i dotknęła delikatnie palcem wskazującym po wybranej stronie o numerze sześćdziesiąt trzy. Po paru sekundach półka rozsunęła się i oczom Antka ukazały się srebrne, pancerne drzwi.

– Na każdy dzień ustalona jest inna książka oraz inna strona – wyjaśniła chłodno. – Niech cię nie zwiedzie to, że te książki wyglądają na stare. Wszystkie mają wbudowane nadajniki i skanery biometryczne – poinformowała monotonnym głosem wypalonego zawodowo przewodnika wycieczek.

– Rozumiem – potwierdził posłusznie Antek.

– Ale książki to nie wszystko – kontynuowała, przykładając jednocześnie dłoń oraz oko do czytnika znajdującego się w masywnych, idealnie wypolerowanych



drzwiach. – To najbardziej strzeżone miejsce w całym kompleksie, więc aby drzwi się otworzyły, musisz przejść dodatkowo kolejną weryfikację biometryczną, a także weryfikację głosową.

Zaraz po tych słowach z głośnika umieszczonego nad ich głowami odezwał się mechaniczny kobiecy głos:

– Weryfikacja głosu, proszę się przedstawić.

– Kapitan Lilia. Numer agenta 352862305524835 – bezzwłocznie wyrecytowała dziewczyna i natychmiast po tym drzwi otworzyły się z sykiem, umożliwiając wejście do niewielkiego, sterylne i nieskazitelnie białego pomieszczenia.

Gdy tylko weszli do środka, drzwi natychmiast się za nimi zamknęły, a Lili tłumaczyła dalej:

– Tutaj także weryfikowany jest twój numer personalny, który każdy z nas ma przydzielony przez organizację, a także skanowana jest twoja dłoń, z tym że czasem prawa, a czasem lewa, w razie, jakby ci ktoś jedną odrąbał i dzięki niej chciał przedostać się do podziemi... System ochrony sam powiadomi cię, którą rękę przyłożyć do czytnika.

Mechaniczny głos ponownie odezwał się słowami:

– Przyłóż lewą rękę i podaj numer agenta.

Lili natychmiast wykonała polecenie.

– Zaawansowany sprzęt... – skomentował z uznaniem Antek. – Kto wam instalował tu te wszystkie zabezpieczenia?

– Jak to kto? – zdziwiła się dziewczyna. – Sami tu sobie wszystko robimy.

– I ja muszę to wszystko dzisiaj szczegółowo zapamiętać, żeby móc się tu potem dostać? Mam na myśli te wszystkie książki, strony i hasła – dopytywał.

– Nie! – zaprzeczyła ostro Lili. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci tutaj wchodzić! Będziesz upoważniony do odwiedzania tych pomieszczeń, dopiero gdy ukończysz wszystkie zaplanowane dla ciebie szkolenia – wyjaśniła.

– Rozumiem – przytaknął Antek. – Ale co w razie, gdy na przykład zapomnę hasła i zatrzasnę się w tej białej blaszanej skrzynce? Trzeba wtedy wezwać jakiegoś waszego pana Henia woźnego czy jak? – Roześmiał się.

– Nie, Miko – zanegowała chłodno Lili. – Tak się składa, że w razie podania dwukrotnie nieprawidłowego numeru agenta lub też przyłożenia nieprawidłowej ręki zostaniesz natychmiast porażony prądem o mocy tysiąca trzystu woltów, a wtedy nikt już nie usłyszy twoich zajebistych żartów – skwitowała, robiąc przy tym śmiertelnie poważną minę.

– Łooo! Grubo... – Antek ponownie się roześmiał.

– Zobaczmy, czy będziesz taki chojrak, gdy pierwszy raz będziesz tutaj wchodził sam... – Dziewczyna uśmiechnęła się cynicznie.

– Wybacz, po prostu próbowałem zniżyć się do poziomu twojego poczucia humoru i rozśmieszyć cię, ale jak widać i tak mierzyłem za wysoko...

Lili nic na to nie odpowiedziała, gdyż idealnie gładka ściana właśnie rozsunęła się na dwie części, obnażając wejście do skalnego, ciemnego tunelu.

Mimo że przed chwilą Antek kpił sobie w najlepsze, to teraz, gdy ujrzął tajemniczy korytarz, w głębi duszy poczuł zaskakujące podniecenie i zzerającą go ciekawość. Nie pytając więc o pozwolenie, trochę nieelegancko pozwolił sobie jako pierwszy wejść do tego intrygującego portalu.

– Dżentelmen z Bieszczad... – parsknęła pod nosem dziewczyna, nie mogąc odpuścić sobie skomentowania tego ewidentnego nietaktu.

Antek był jednak już tak zaaferowany, że nie zwrócił nawet uwagi na tę bądź co bądź słuszną uszczypliwość. Trudno mu się było zresztą dziwić, w końcu czekał na tę chwilę od dziecka...

Tymczasem podziemny korytarz skręcił mocno w lewo i prowadził ich coraz niżej i niżej. Nagle po przejściu około czterdziestu metrów chłopak dostrzegł delikatne światło przebijające się przez bardzo stare, kratowane drzwi. Stanął przed nimi i natychmiast otworzył buzię z wrażenia.

– No co tak patrzysz jak szpak w – wycedziła Lili, nie kończąc jednak znanego wszystkim powiedzenia, i tylko ponagliła surowo Antka: – No weź rozsuń te drzwi! I wchodź!

– Tak po prostu?

– No tak! – powtórzyła niecierpliwie.

– Bez żadnych biometrycznych pierdół? – zdziwił się Antek.

– Żadnych – potwierdziła z wyraźnym zniechęceniem, wypuszczając przy tym ciężko powietrze z płuc.

– Czyli teraz będzie już tylko średniowiecze? – dodał kpiąco chłopak, a minę miał tak szczerze uradowaną jak pies, który dopiero co wytaplał się w błocie.

Lili nie odwzajemniła jednak tego entuzjazmu, tylko popychając go niecierpliwie ręką, warknęła:

– Wchodzisz, do cholery, czy nie?!

– Ej! Nie widzisz, że mam kule! Nie popychaj kaleki! – zażartował, udając szczerą pretensję, ale nie chcąc już ryzykować kolejnej awantury, posłusznie rozsunął metalową kratownicę, za którą czekał już na niego świat – wymarzony i wyczekiwany od lat wczesnego dzieciństwa.

Antek wielokrotnie i na różne sposoby wyobrażał sobie chwilę, gdy będzie w końcu zaproszony do nieznanego i niedostępnego dla zwykłych śmiertelników rzeczywistości Polonorum. Ta jednak okazała się o wiele bardziej fascynująca, niż się tego spodziewał. Oto stał teraz na masywnych, czarnych granitowych schodach, a z nich rozpościerał się widok na potężną grootę skalną o owalnym kształcie. Grootę dokoła podpierało dwanaście zjawiskowych kolumn z zielonego marmuru, a u skalnego sufitu wisiały – niczym żyrandole – potężne, złote świeczniki z epoki romańskiej, podobne do tych, jakie znajdują się w Hildesheim, w kościele świętego Godeharda.

Jednak największe wrażenie zrobiły na nim obrazy, które wisiały pomiędzy kolumnami. Antek nigdzie i nigdy wcześniej nie widział takich dzieł, ale na pierwszy rzut oka udało mu się rozpoznać niektóre postacie i wydarzenia, które

były na nich uwiecznione. Na przykład na jednym z obrazów została ukazana mityczna, opisana w kronice Wincentego Kadłubka, lecz nieuznawana przez większość historyków bitwa, w której to Aleksander Wielki i jego wojska uciekają w popłochu przed armią Lechitów. Na kolejnym widniała najprawdopodobniej Wanda, odprawiająca stanowczym gestem germańskich swatów, a jeszcze inne dzieło przedstawiało dwóch aniołów pańskich, którzy przybyli z wizytą do Piasta Kołodzieja.

Za to na największym płótnie Antek rozpoznał Władysława Łokietka, siedzącego dostojnie na potężnym, grubo ociosanym kamieniu znajdującym się w jakiejś niewielkiej jaskini, z otaczającą go na klęczkach grupą dwunastu doborowych rycerzy. Jednak prawdziwym arcydziełem dla Antka wydawał się obraz przedstawiający różnobarwną konnicę sarmacką w bojowej szarzy. Poza tym w obszernej grocie znajdowało się też kilka portretów przedstawiających mitycznych, przedchrześcijańskich władców pradawnej Polski, których chłopak nigdy wcześniej nie widział.

– Niesamowite – westchnął.

– Skup się teraz – upomniała go natychmiast Lili. – Jeszcze nie raz będziesz miał okazję sobie popatrzeć – dodała, bardzo szybko wybijając go z błogiego zachwyty.

– Okej! To gdzie teraz idziemy? – zapytał, błyskawicznie podporządkowując się srogiej opiekunce.

– Zanim gdziekolwiek pójdziemy, zwróć uwagę na liczbę drzwi, które znajdują się w tej grocie.

– No... Z tego, co widzę, mamy ich cztery – zauważył.

– Dokładnie – po raz pierwszy zgodziła się z nim dziewczyna. – Te po lewej – wskazała ręką – prowadzą do skrzydła zachodniego, które jest nowo wybudowaną częścią tego podziemnego kompleksu. Tam są między innymi laboratoria, sale szkoleniowe, apartamenty oficerskie, siedziba głównego dowództwa, areszt oraz niewielka knajpa, nazywa się Rotmistrzowska. Z kolei te drzwi po prawej – Lili

odwróciła się w drugą stronę – prowadzą do naszego skarbca, ale także do archiwum, garaży, magazynów, pomieszczeń z serwerami oraz do siedziby naszych hakerów. To także nowo wybudowana część tego podziemnego systemu i jak już miałeś możliwość się przekonać, można się tam również dostać poprzez wejście od groty znajdującej się u podnóża kaplicy grobowej Czartoryskich.

– A jak transportujecie do magazynów te wszystkie kontenery i pojazdy? – sprytnie zauważył Antek.

– Mamy tutaj duży tunel, który swój początek ma w naszym lasku parkowym i prowadzi do największego z naszych magazynów, który także miałeś już okazję zobaczyć. Mogą poruszać się nim zarówno ludzie, jak i pojazdy. Tunelem tym dostarczamy głównie broń, amunicję oraz zapasy leków i żywności.

– Nie obawiacie się, że ruch do tak dużego tunelu będzie zauważony na przykład przez satelity szpiegowskie innych zaciekawionych tym miejscem agencji? – dociekał Antek.

– Nie ma takiej opcji – z przekonaniem zapewniła dziewczyna. – Wjazd do tunelu jest doskonale zamaskowany. Nawet chodząc wkoło niego, nie potrafiłbyś go wskazać. Za to rozkład uzupełniania zapasów jest precyzyjnie rozplanowany, a wszystko w promieniu pięciu kilometrów w trakcie takiej dostawy jest przez nas dokładnie monitorowane. Poza tym organizacja oficjalnie nie istnieje i żadnym służbom ani agencjom wywiadowczym, ani nawet największym twórcom literatury fantastycznej do głowy by nie przyszło, że w zamkniętej, prywatnej rezydencji polskiego miliardera w ogóle mogłoby coś takiego funkcjonować.

– Jakim cudem to wszystko tutaj powstało? – nie dowierzał Antek. – Kto wam to wszystko zaprojektował i wybudował?

– Jak to kto? Mówiłam ci już, że my... – odbąknęła nieprzyjemnie Lili, jakby urażona tym, że musi mu to raz jeszcze powtarzać.

– Przecież to nie jest budowa pensjonatu czy domu jednorodzinnego... Do tego potrzeba technologii, specjalistów!

– Mamy przecież swoich inżynierów i architektów... A w bursach siłę roboczą, składającą się z dziesiątków młodych i energicznych kadetów – wyjaśniła Lili.

– No a sprzęt? – dopytywał.

– Gdy pięć lat temu zaczęliśmy rozbudowę naszego dotychczasowego, pierwotnego systemu podziemnych korytarzy i grot, Piotr Kowal, na potrzeby tej inwestycji, stworzył fikcyjną spółkę budowlaną, która miała zająć się oficjalnie renowacją jego nowo nabytej posiadłości.

– Pierwotnego systemu korytarzy i grot? – powtórzył jeszcze bardziej zaintrygowany Antek.

– A widzisz te kolejne, czarne, wysokie drzwi na wprost ciebie?

– Wyglądają dość monumentalnie – skomentował Antek.

– To właśnie one prowadzą do najstarszej i najważniejszej w tym całym podziemnym kompleksie groty, zwanej tutaj Salą Ceremonialną. Dokładnie tam odbędzie się twoje zaprzysiężenie – wyjaśniła.

– No tak! Czwarty grobowiec – przypomniał sobie nagle Antek. – Bona wspomniał mi o tym! Powiedział, że to właśnie w podziemiach zamku Czartoryskich od wieków spotykała się Najwyższa Kapituła oraz podległe jej dowództwo... Zajrzymy do środka? – zapytał z nadzieją, podchodząc do potężnych, ponadczterometrowych drzwi.

– Nie, to miejsce otwierane jest tylko wtedy, gdy zjeżdża się tu Najwyższa Kapituła. – Lili szybko sprowadziła Antka na ziemię.

– Szkoda – skomentował, wzruszając bezradnie ramionami.

– Obejrzyj ją sobie podczas zaprzysiężenia, a teraz słuchaj, bo to nie koniec informacji. Do Sali Ceremonialnej można dostać się również za pomocą wąskiego tunelu, który wychodzi z podziemi zamku gołuchowskiego. Jednak tunel ten znają jedynie nieliczni i może z niego korzystać wyłącznie kapituła. Natomiast ta duża grota, w której się teraz znajdujemy, jest czymś w rodzaju centrum całego kompleksu i nazywamy ją potocznie Wielką Grotą Przodków. Wraz z Salą

Ceremonialną jest drugą z kolei po Grocie Łokietka w Ojcowie główną siedzibą Polonorum.

– Drugą po Grocie Łokietka?

– No... Przynajmniej tak głosi legenda... Nieważne – opowiedziała lekceważąco Lili, żałując w duchu, że poruszyła przy Antku ten temat.

– Jaka legenda?! – drążył nieustępliwie.

– A co, tego już wujek ci nie opowiedział? – zapytała z nieukrywanym przekąsem.

– Nie! Od dziecka wiedziałem o działalności organizacji. Bona, a wcześniej moi rodzice, przysposabiali mnie do niej. Nigdy jednak o tym mi nie opowiadali! – odpowiedział z całą powagą, rządny jakiegokolwiek wiedzy.

– Pójdiesz kiedyś do archiwów, to sobie poszukasz – splawiła go dziewczyna.

– No weź, nie bądź taka! – nalegał Antek.

– Miko! Nie jestem tutaj od opowiadania baśni! Mam ci tylko przekazać ogólną wiedzę o tym miejscu, żebyś mógł się w nim jakoś odnaleźć! – zaprotestowała.

– Okej, rozumiem – odparł ponuro. – Możesz mówić dalej... – Machnął niedbale ręką.

– No więc nasza organizacja wzięła swą potoczną nazwę od mitycznego państwa starożytnego, które ponoć kiedyś założyli nasi pogańscy przodkowie na terytorium dzisiejszej Polski. Nasza tradycja głosi bowiem, że historia owych przodków zaczęła się już podczas biblijnego podzielenia ludzkości przez Boga na odmienne języki i narody. Jak sam pewnie doskonale wiesz, podział ludzkości na różnorodne nacje był efektem gniewu Bożego, wynikającego z chęci wzniesienia przez ludzi wierzy Babel, czyli w rzeczywistości próbą stworzenia przez nich czegoś w rodzaju pierwszego rządu światowego i zarazem symbolu globalizmu urzeczywistniającego idee odwiecznego buntu człowieka przeciw własnemu Stwórcy. Według naszych podań to właśnie wtedy przodkowie Lechitów odłączyli się od reszty wyodrębnionych i pomieszanych narodów, wędrując daleko na północ i obierając sobie za dom ziemie, które stały się w przyszłości załącznikiem nowej,

chrześcijańskiej Polski. Jak wspominają nasze kroniki: „Narodu, który za sprawą Mieszka powrócił do łask jedyne, prawdziwego Boga i zarazem państwa, które stało się przedmurzem cywilizacji zachodniej, chroniąc ją własną krwią, przed zakusami barbarzyńskiej Azji – od wschodu – i imperium muzułmańskiego – od południa”. I tak dalej, i tak dalej – zacytowała niedbale i leniwie Lili, wyraźnie znużona już swoją rolą opiekunki.

– Widzę, że Paprocki doskonale wiedział, jak cię upokorzyć – zauważył Antek.

– Co masz na myśli? – zachnęła się dziewczyna.

– To, że idzie ci to jak krew z nosa – skomentował dosadnie.

– Jak ci się nie podoba, to mogę na tym skończyć! – zagroziła.

– Dobra, już dobra, mów dalej...

– Ale przyrzekam, że jeśli jeszcze raz coś powiesz niezwiązanego z tematem, to koniec wycieczki! – przestrzegła Lili.

– Już nic nie mówię.

– Przejdźmy więc do ceremonii – zaproponowała. – Obrzęd wcielenia cię do organizacji odbędzie się na samym końcu Sali Ceremonialnej, przed obliczem Najwyższej Kapituły. Specjalną szatę, potrzebną do tego rytuału, otrzymasz tego samego dnia, natomiast przysięgę, którą będziesz musiał wypowiedzieć, wyślę ci niebawem.

– Czy ktoś będzie jeszcze zaprzysiężony poza mną?

– Tak. Wraz z tobą przysięgać będzie jeszcze kilkunastu nowych agentów z ostatniego rocznika.

– Zawsze to raźniej – skomentował Antek z zadowoleniem.

– Ale od razu zaznaczam, że w trakcie przysięgi będziesz miał przeciętą dłoń – przestrzegła Lili.

– Dłoń? – powtórzył mimowolnie chłopak.

– Tak! – potwierdziła stanowczo. – Tutaj, wedle tradycji, przysięga się na własne życie, a niepodważalnym świadectwem przysięgi, którą złożysz przed Bogiem i Najwyższą Kapitułą, będzie właśnie twoja krew – wyjaśniła.



– No cóż, przywykłem w ostatnich tygodniach do najrozmaitszych okaleczeń – skomentował żartobliwie chłopak.

– Na tym nie koniec. – Lili upomniała go surowym wzrokiem. – Następnie, po wyrecytowaniu przysięgi zostaniesz cały zanurzony w wodzie. Jest to kolejna część obrzędu, która symbolizuje definitywne zerwanie z dotychczasowym życiem oraz wszelkimi osobistymi pragnieniami i marzeniami, które rozmijałyby się ze służbą dla organizacji i naszej ojczyzny – tłumaczyła skrupulatnie. – Po zakończeniu ceremonii zaprzysiężenia kadetów rozpocznie się kolejny ceremoniał, a mianowicie nominacje oficerskie – dodała.

– Będzie je można obejrzyć? – zainteresował się Antek.

– Nie, gdyż wszyscy zaprzysiężeni kadeci mają się wtedy jak najszybciej udać na salę operacyjną – wyjaśniła.

– Salę operacyjną?! Po co? Dopiero co z niej wróciłem...

– Pomyśl trochę! Co by było, gdyby wszyscy nasi agenci działający na świecie chodzili z identyczną blizną na ręce? – Dziewczyna westchnęła z niecierpliwością, rozdrażniona tym, że musi tłumaczyć tak oczywiste rzeczy.

– No przecież wiem, żartuję tylko... – Antek się uśmiechnął, pobudzony już samą myślą o zbliżającej się uroczystości.

– No więc pójdziecie tam i lekarze zrobią wam szybką korektę laserową, po której nie będzie widać przecięcia – sprecyzowała.

– Czy dawniej nie nacinano dłoni i nie pieczętowano przysięgi własną krwią? – zauważył Antek.

– Oczywiście, że nacinano, ale kiedyś biometryka nie była tak istotna. W dzisiejszych czasach musimy być bardziej ostrożni – wytłumaczyła Lili, jednak widać było po niej, że jest już piekielnie znudzona zadawanymi przez Antka, ponadprogramowymi pytaniami. – Możemy wrócić do tematu? – dodała chłodno.

– Proszę bardzo – odpowiedział posłusznie chłopak.

– Po tym wszystkim udacie się do Sali Rotmistrzowskiej, w zachodnim skrzydle, gdzie będzie zorganizowana impreza na waszą cześć.

– Fajnie. – Antek pokiwał z zadowoleniem głową. – A co potem? Co będę robił, gdy już się to wszystko skończy?

– Nadadzą ci numer identyfikacyjny i wracasz do szkoły, kadecie – powiedziała z przekąsem Lili. – W trakcie drugiego semestru ostatniego roku instruktorzy będą was przygotowywać do egzaminów, które podsumują cały okres szkolenia, trwający tu od trzeciego roku życia każdego agenta.

– To już mniej ciekawa perspektywa – przyznał Antek. – Myślałem, że wkuwanie w moim wieku mam już za sobą... – Westchnął niepokieszony.

– Wybij sobie z głowy takie podejście. My uczymy się tu całe życie – odpowiedziała Lili, pukając się wymownie palcem w czoło. – Co roku przechodzimy uaktualnione szkolenia i kursy – dodała pouczającym tonem.

– A co z zajęciami praktycznymi? – zapytał Antek, wskazując wzrokiem na swoją unieruchomioną nogę.

– Jeśli lekarz uzna, że jesteś wystarczająco sprawny, wtedy weźmiesz udział także w nich. W końcu z tego też będziesz musiał zdać egzamin – przestrzegła.

– Tak?! A ja myślałem, że już go tutaj zdałem... – Chłopak się roześmiał, mając na myśli oczywiście walkę, jaką stoczył zarówno z grupą krakowską, jak i śląską.

Lili jednak nic nie odpowiedziała na tę, godzącą w jej dumę aluzję, tylko robiąc zgorzkniałą minę, w milczeniu ruszyła w stronę wejścia prowadzącego do skrzydła zachodniego. Antek pośpiesznie podążył za nią, rozumiejąc już, że swym nieprzemyślanym żartem trafił w jej w najczulszy punkt.

Po chwili oboje siedzieli już razem przy stoliku w ciemnej, tonącej w dymie papierosowym sali, która wyglądała jak pospolity pub. Z racji tego, iż był to wieczór, z każdą minutą schodziło się do niego coraz więcej agentów, którzy zerkali na nich podejrzliwie. Knajpa utrzymana była w szarym, czarnym i bordowym kolorze, a wszędzie dokoła wisały stare, pożółkłe zdjęcia przedstawiające najróżniejsze postacie. Naprzeciwko stolika, przy którym siedział Antek, znajdował się także automat z ciepłymi posiłkami oraz stara, odrestaurowana szafa grająca. Natomiast lekko spelunowatego klimatu tej

niewybrednej miejscówce dodawał długi, niklowany bar, obsługiwany przez humanoida z oprogramowaniem w wersji barmana.

Był to jeden z popularniejszych modeli robotów, które od trzech lat niemalże całkowicie zalały branżę gastronomiczną w Polsce – odbierając tym samym pracę studentom. Trudno się jednak dziwić restauratorom, gdyż humanoid, nie dość, że w przeciwieństwie do żywego człowieka może pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, to jeszcze jest nieporównywalnie bardziej precyzyjny, nie pobiera wypłaty i co najważniejsze – nie trzeba za niego płacić ZUS-u.

Antek zauważył, że podobnie jak inne elektroniczne sprzęty znajdujące się w głównej siedzibie Polonorum robot również został wyprodukowany przez Novum Technology.

– Muszę przyznać, że coraz bardziej się mi tu podoba. Aż trudno uwierzyć, że żadne służby, zagraniczne czy też polskie, nie dotarły jeszcze do tego miejsca – dziwił się Antek.

– Nasza siedziba zawsze miała znakomitą ochronę wywiadowczą... Nie dotarli tutaj Szwedzi, nie dotarli zaborcy. Nie odkryli jej nawet hitlerowcy czy też komuniści. I tak już pozostanie... – odparła z całkowitym przekonaniem Lili, dodając: – Proszę! Oto twoja broń! – Wyciągnęła zza paska starego MAG-a, kaliber dziewięć milimetrów. Takiego samego, jakim posługiwał się Paprocki.

– Co to ma być? – zapytał szczerze rozbawiony Antek. – Myślałem, że dostanę jakąś nowoczesną, wypasioną kłamkę, a nie starego gniota rodem z *Ekstradycji*. Wy też nie załapaliście się na dekomunizację czy jak? – Roześmiał się.

– Nie marudź, tylko bierz! To broń tymczasowa! – rozkazała Lili. – Po zakończeniu szkolenia dostaniesz całą szafkę broni. Do wyboru do koloru... Ale póki nie zdasz egzaminów, musisz coś przy sobie mieć. – Wcisnęła mu pistolet do ręki. – A poza tym gównu się znasz, bo to bardzo dobre kopyto... – dodała.

– Przecież zawsze mogę skoczyć do domu, w Bieszczady, i przywieźć własną – zaproponował Antek.

– Nie! Po pierwsze, kadetom nie wolno opuszczać ośrodka bez pozwolenia, a po drugie, żadnej broni spoza agencji nie wolno ci już używać! Ewentualne badania balistyczne nie mogą się pokryć z żadnymi wcześniejszymi.

– Ale moja klamka jest w stu procentach czysta – przekonywał.

– Twojej klamki tam już w ogóle nie ma – skomentowała Lili.

– Jak to?

– A co ty myślisz, że zostawilibyśmy tam jakiegokolwiek ślady po tobie? Ty już oficjalnie nie istniejesz... Żyjesz już tylko w naszej rzeczywistości... Nasza ekipa sprzątająca usunęła stamtąd, a także z miejsca twojego wypadku, wszelkie ślady związane z twoją działalnością – wyjaśniła.

– Moją broń także? – zapytał niepocieszony tymi rewelacjami Antek.

– Broń, tabthiny, MAV-y, zdjęcia, ubrania, książki, artykuły codziennego użytku, ślady genetyczne... Jednym słowem wszystko – wymieniła dosadnie Lili.

– Ciekawe, co na to Bona...

– Nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, zresztą obiecał, że dla bezpieczeństwa, najszybciej jak to tylko możliwe, pozbędzie się tego domu i przeprowadzi w inne miejsce – poinformowała.

– No cóż... To niewielka cena w zamian za szansę, którą dała mi organizacja – skomentował dziarsko chłopak, nie dając po sobie poznać, że zasmuciła go ta informacja.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś myślał inaczej – skomentowała bezwzględnie dziewczyna. – Opowiem ci jeszcze o kodach dostępu, które będą ci potrzebne w trakcie przemieszczania się po strefie szkoleniowej i na tym dzisiaj zakończymy – dodała chłodno.

– Proszę bardzo, pani kapitan, zamieniam się w słuch. – Antek zdecydowanie odzyskał humor na myśl o tym wszystkim, co było mu dziś dane zobaczyć.

– A więc – zaczęła pośpiesznie, jakby lekko rozdrażniona tymi nagłymi uprzejmościami – kody, które ci teraz dam, będą ci potrzebne w bursach, na pływalni, strzelnicy, budynkach szkoleniowych oraz stadninie.

– Mamy tutaj stadninę?! – Antek aż poderwał się z krzesła.

– Miałeś nie przerywać! – przypomniała groźnie Lili.

– Sorry! – posłusznie rzucił Antek, chcąc nawiązać z dziewczyną przynajmniej względnie koleżeńskie relacje.

– Pamiętaj, że kody mają być przez ciebie wykute na blachę, a kartka natychmiast po tym spalona. Zrozumiano?! – zapytała groźnie, podając Antkowi zalakowaną szarą kopertę.

– Zrozumiano, pani kapitan! – odrzekł z uśmiechem chłopak, jednak srogie spojrzenie Lili nie zmiękło ani na moment.

– To by było na tyle... Masz jeszcze jakieś pytania? – zapytała z nieukrywaną nadzieją, że odpowiedź będzie brzmieć „nie”.

– Tak! Jedno...

– No to pytaj! Byle szybko... – ponaglała.

– Czego się napijesz?

– Albo pytasz serio, albo zaraz stąd idziemy... – zagroziła.

– Jak najbardziej serio! Napijesz się ze mną czegoś? – powtórzył.

– Chyba śnisz – syknęła jeszcze bardziej rozdrażniona.

– Przecież niewykluczone, że będziemy kiedyś razem pracować... Chyba możemy się w takim razie napić chociażby kawy – nie odpuszczał Antek.

– Nie zwykłam dwa razy powtarzać, Miko – powiedziała powoli i kąśliwie Lili. – Jeśli chcesz coś więcej wiedzieć, to pytaj! A jeśli nie, to wychodzę stąd, a ty razem ze mną, w przeciwnym razie...

– Tak, wiem, wiem... W tej waszej puszczy usmaży mnie tysiąc trzysta woltów – dokończył, cynicznie przewracając oczami, ale jednocześnie próbując szybko wymyślić jakieś pytanie.

– I co? Zastanowiłeś się? – Lili niemal unosiła się nad krzesłem, czekając tylko na odpowiednie hasło do ekspresowego wyjścia.

– Okej, w takim razie mam parę pytań – oznajmił Antek, na co dziewczyna tylko ciężko westchnęła. – Dajmy na to: dlaczego nazwałeś tę knajpę

Rotmistrzowską? I kto znajduje się na tych wszystkich starych zdjęciach? – zapytał, mimo wszystko nie tracąc entuzjazmu.

– Eh... Czy to ważne? – odsapnęła ciężko.

– Dla mnie tak – odparł natychmiast Antek.

– To proste. Na cześć Pileckiego – wyjaśniła niedbale.

– Pilecki był w organizacji? – zdziwił się chłopak.

– Nie był...

– No więc jakim sposo...

– Matko! Po prostu przez wzgląd na niewiarygodne rzeczy, jakich dokonał, uznano, że warto go w ten sposób tutaj upamiętnić – wtrąciła niecierpliwie.

– Mały gest dla pamięci wielkiego człowieka... – skomentował Antek.

– Dokładnie – dla świętego spokoju przytaknęła Lili. – Coś jeszcze? – dodała sucho.

– A ci wszyscy ludzie na zdjęciach?

– To są legendarni agenci, którzy byli w szeregach Polonorum.

– Czyli?

– Przecież nie będę ci o każdym z nich opowiadać! – oburzyła się Lili.

– No to chociaż o tym pierwszym z brzegu. Kim on był? – nalegał.

– To jest Widmo – powiedziała oschle. – Taki miał pseudonim... – doprecyzowała, widząc niepewną minę Antka. – Przez ponad dwanaście lat był najbliższym ochroniarzem cara Mikołaja II. W trakcie zaborów wykradł z administracji carskiej setki tysięcy dokumentów i dostarczył je nam. Do samego końca nikt z otoczenia cara nie zorientował się, kim tak naprawdę był. Ostatecznie próbował nawet uratować rodzinę carską przed bolszewikami, gdyż miała być to nasza karta przetargowa w walce o odzyskanie niepodległości. Nie zdążył jednak na czas wrócić do Carskiego Sioła. – Lili wzruszyła ramionami.

– I carską rodzinę wycięto w pień – podsumował Antek.

– Nie do końca... Udało mu się w ostatniej chwili wyciągnąć spod noża najmłodszą córkę cara, księżniczkę Anastazję...

– Brzmi to niewiarygodnie – przyznał z podziwem Antek.

– Ukrywaliśmy ją i chroniliśmy wywiadowczo przed komunistami do końca jej życia. Zmarła w latach dziewięćdziesiątych jako nieznana nikomu staruszka...

– Nieźle, historia powinna być pisana na nowo. A ten chudy facet na kolejnym zdjęciu? – postanowił potargować się jeszcze o jakieś informacje.

– To agent o pseudonimie Orfeusz. Był on najbardziej zaufanym oficerem Hitlera i ponoć niezrównanym mistrzem manipulacji... Pod koniec wojny, gdy Führer był już owładnięty paranoją, panicznie obawiając się zdrajców, ten znakomicie to wykorzystywał, doradzał Hitlerowi, tak aby jak najszybciej doprowadzić Trzecią Rzeszę do upadku... Ostatecznie odpowiadał także za przygotowanie Hitlerowi bezpiecznej podróży do Argentyny. Niestety, w dzień planowanego wyjazdu ktoś go po prostu zamordował.

– Wiadomo kto?

– Nie, ale podejrzewano, że mógł to robić ktoś z organizacji Werwolf, gdyż po śmierci Orfeusza zniknęły wszystkie zgromadzone przez niego dokumenty dotyczące prowadzonego przez Niemców w Sudetach projektu Riese – wyjaśniła zaskakująco obszernie Lili.

– Widzę, że lubisz historię – zauważył Antek, przytakując z podziwem.

– To ogólnie wszystkim tutaj znane, podstawowe wiadomości – odrzekła bez entuzjazmu. – Coś jeszcze? Bo naprawdę chciałabym już stąd iść – dodała, nie owijając w bawełnę.

– A ta ładna kobieta na zdjęciu wiszącym tuż nad tobą? – Antek walczył o każdą, kolejną minutę rozmowy, próbując mimo wszystko nawiązać ze swoją opiekunką jakiś wspólny temat.

– Ehh... – Lili po raz kolejny westchnęła. – To Anna Radziwiłłówna, znana bardziej jako Kate Adams. Pewnie nie wiesz, co to znaczy, ale nie była ze „Świtezi”.

– Wiem, co to znaczy! – wypalił dumnie Antek. – Oddano ją do organizacji w trybie jawnym, z rodu – pochwalił się dopiero co zdobytą od Bony wiedzą.

– Skoro już wiesz, co to „Świtez”, powiem ci tylko tyle, że była ona ulubioną kochanką Kennedy’ego. Znał ją tylko prezydencki Secret Service i w przeciwieństwie do innych kochanek JFK, jego żona nigdy się o niej nie dowiedziała... Co prawda Kennedy był kobieciarzem i traktował swoje zdobycze przedmiotowo, ale mimo to miała na niego wyjątkowy wpływ... Doradzała mu na przykład w sprawie łagodnego rozwiązania kryzysu kubańskiego, przekonując go między innymi tym, że nosi jego dziecko.

– Chcesz powiedzieć, że kochanka prezydenta decydowała o ewentualnym rozpoczęciu trzeciej wojny światowej? – parsknął z niedowierzaniem Antek.

– Jeżeli faceci myślą nie tą częścią ciała, co powinni, to tak się właśnie dzieje – skomentowała dosadnie.

– Co się z nią stało po śmierci prezydenta?

– Sterowane przez siatkę szpiegów z ZSRR amerykańskie środowisko komunistyczne nigdy jej tego nie wybaczyło... Z czasem zinfiltrowano ją i zlikwidowano. Tego samego dnia, gdy Kennedy został zastrzelony w Dallas, Kate Adams, a raczej Anna Radziwiłłówna, wyleciała z okna niewielkiego hoteliku na przedmieściach Waszyngtonu.

– To skoro się już tak rozgadałaś, to może się jednak czegoś napijesz? – powtórzył prośbę Antek, obdarzając dziewczynę serdecznym uśmiechem.

– Nie! – powiedziała stanowczo, wstając niespodziewanie od stolika. – Koniec rozmowy na dziś – zdecydowała.

– No już daj spokój – próbował załagodzić sytuację Antek. – Dobrze wiesz, że każda nowa informacja o organizacji jest dla mnie bardzo cenna...

– Chcesz wiedzieć więcej, to sobie załatw wstęp do archiwum, a nie wysługuj się mną. Wychodzimy! – rozkazała.

– O co ci znowu chodzi?! – Antek również zaczął tracić cierpliwość.

– O co mi chodzi?! – powtórzyła z niedowierzaniem Lili. – Ty jeszcze masz czelność o to pytać? Myślisz, że po tym jak obsmarowałeś mnie pomówieniami przed moim dowódcą i ośmieszyles na oczach moich kolegów, to teraz jakby nigdy



nic będziesz sobie urządzać ze mną pogawędki?! Zdurniałeś do reszty?! – wycedziła wściekle. – Jestem tu z rozkazu, a nie z przyjemności! – oznajmiła bezwzględnie.

– Ja też! Mimo że nie mam jakiejś szczególnej przyjemności słuchać twojego olewającego tonu, to jednak przymykam oczy na te ciągłe fochy i staram się być w porządku! – odrzekł na powrót rozeźlony Antek.

– O nie! – Lili zagroziła Antkowi placem. – W ten sposób nie będziemy rozmawiać – dodała totalnie rozjuszona, a coraz więcej siedzących przy piwie agentów żywo zainteresowało się tą widowiskową i gwałtowną wymianą zdań.

– Wiem, co cię boli! – warknął na to Antek, wyraźnie tracąc już panowanie nad sobą. – Nie chodzi wcale o to, że broniąc się przed oskarżeniami, powiedziałem prawdę, ale o to, że cię pokonałem...

– Chyba kpisz!

– Tak! O to, że ty, pupilka przełożonych i nienaganna superprymuska, mimo że szkoliłaś się tu przez całe życie, wraz ze swoimi chłoptasiami dostałaś manto od jakiegoś leszcza z prowincji! To jest właśnie nie do przełknięcia dla twojej urażonej dumy – odparł bez pardonu.

– Koniec tego! Zabieraj się stąd, Miko, i nie rób znowu przy wszystkich przedstawienia! – rozkazała dziewczyna, nerwowo rozglądając się wkoło i najwyraźniej żałując swojej ostrej reakcji, która jak kostka domina doprowadziła do tak niepożądanego obrotu sprawy.

– Nie. Nie wyjdę stąd, dopóki nie powiesz mi, co tak naprawdę do mnie masz! – zażądał Antek. – I wali mnie, czy się ktoś na nas patrzy czy nie! Wszystko mi jedno, i tak sama stwierdziłaś, że mają mnie tu za świra! – wykrzyczał wściekle.

– Okej! Okej! O nic mi już nie chodzi... – Zarumieniona ze wstydu Lili próbowała za wszelką cenę załagodzić sytuację. – Tylko wyjdźmy stąd – powiedziała wręcz błagalnym głosem, chcąc jak najszybciej zakończyć to przedstawienie.

Antkowi jednak puściły już wszelkie hamulce, więc nadal z uporem kontynuował:

– Wiem, że szlag cię trafia, bo nie możesz sobie darować, że daliście się przeze mnie wyrolować, i że z tego powodu wyszłaś na idiotkę, ale ja nie zamierzam kajać się i przeproszać za to, że próbowałem po prostu przeżyć! – podsumował, chwytając kule do rąk i tym samym dając do zrozumienia, że natychmiast wychodzi.

Gdy jednak próbował wykonać pierwszy krok, jak słup wyrósł przed nim kapitan Abakiewicz.

– No ładnie, ładnie... – Uśmiechnął się podstępnie. – Widzę, że telenowela wciąż trwa... – skomentował szyderycznym tonem.

– Czego chcesz? – zapytała go dyskretnie Lili.

– Powiedzieli mi, że tutaj będziesz... Chcę pogadać, unikasz mnie od dwóch tygodni – wyjaśnił pretensjonalnie.

– To nie jest dobry moment... Właśnie stąd wychodzę – odpowiedziała szorstko.

– No właśnie widzę – prychnął pod nosem. – Co to za schadzki z tym... – Popatrzył na Antka, po czym dodał: – Żołnierzykiem...

– Paprocki dał mi zadanie. Zresztą nieważne... Do widzenia! – zakończyła.

– Niańczenie tego przybłądy to jest to zadanie?! – zapytał drwiąco, również nie zwracając uwagi na to, że agenci siedzący przy stolikach obok podśmiechują się pod nosem z tego widowiska.

– Nie twój interes! I lepiej nie prowokuj mnie takimi tekstami, Maciek! – zagroziła.

– Szanowny panie kapitanie – wtrącił nagle prześmiewczo Antek – po tych wszystkich insynuacjach, które przedstawił pan na oczach całej agencji o rzekomej współpracy mojej i Lili, na pana miejscu zmykałbym stąd i nie plątał się w zasięgu jej ciosu. Kto jak kto, ale ja coś o tym wiem... – dodał, stając z Abakiewiczem oko w oko i śmiejąc się do niego prowokacyjnie.

– Możesz się nie wpięprzać w nieswoje sprawy?! – wypaliła Lili, uprzedzając odpowiedź Abakiewicza.

– Okej, już nic nie mówię – skomentował posłusznie Antek, podnosząc prawą rękę do góry w odruchu niewinności.

– Posłuchaj, chłopaczkę – zareagował Abakiewicz, mierząc wzrokiem Antka, który twardo wspierał się teraz na swoich kulach – siejesz ferment i prędzej czy później skończy się to dla ciebie tragicznie – przestrzegł.

– Już się boję... – Antek rozszerzył aktorsko oczy, udając przerażenie.

– Ej, Abakiewicz, chyba sobie tak nie pozwolisz? – krzyknął nagle jakiś agent z pobliskiego stolika, a cała sala wybuchła na to gromkim śmiechem.

Dumny oficer nic na to jednak nie odpowiedział, lecz nadal wyzywająco mierzył się wzrokiem z Antkiem, który z kolei, dostrzegając, iż Lili opuszcza właśnie cichaczem knajpę, powiedział tylko na koniec:

– Chętnie pogadałbym z tobą dłużej, panie oficerze, ale jak widzisz, ja też już muszę lecieć. – Nie zwlekając ani chwili, pokuśtykał pospieszenie w kierunku, w którym udała się jego opiekunka.

– Ej, wolniej, pani kapitan! – zawołał Antek, doganiając dziewczynę, gdy ta wspinała się już po czarnych granitowych schodach prowadzących do tunelu. – Sorry! Powiedziałem trochę za dużo... Puściły mi nerwy, ale nie tak chciałem zakończyć naszą dzisiejszą rozmowę... – tłumaczył się. – Nie wyjdę stąd przecież bez ciebie... – dodał, widząc, że dziewczyna nie zwraca na niego w ogóle uwagi.

– Kolejny raz dałam się wciągnąć w tę twoją błazenadę! – odparła w końcu nabuzowana jak gotujący się sagan.

– A co ja takiego robię? Chciałem się tylko z tobą napić i pogadać, wyjaśnić pewne sprawy, ale ty nie ułatwiasz... – narzekał chłopak, próbując nadążyć za pędzącą przez ciemny tunel dziewczyną.

– Odwal się ode mnie! W śróde ostatni raz będę miała z tobą do czynienia i po zakończeniu ceremonii nie chcę cię więcej widzieć na oczy!

– Ale... – próbował jeszcze jakoś zareagować Antek.

- Odepierz się ode mnie, człowieku, rozumiesz?! – kategorycznie zażądała Lili.
- Okej... Skoro tak chcesz, to tak będzie – skwitował dumnie chłopak i od tej chwili nie odezwali się do siebie już ani słowem.

\*\*\*

Noc z wtorku na środę ciągnęła się Antkowi niemiłosiernie. Podekscytowanie, wynikające z nadchodzącej wielkimi krokami ceremonii zaprzysiężenia, wzrosło w nim do tego stopnia, iż dopiero koło trzeciej nad ranem zmógł go upragniony sen.

– Młody, wstawaj! Wiesz, która godzina? – obudził go nagle tubalny głos tęgiego doktora.

– Nie... Która? – odpowiedział Antek, niemal zrywając się z łóżka.

– Jest już prawie trzynasta! Nie żebym cię wyrzucał, ale dziś masz się przeprowadzić do bursy dla kadetów i tam przygotować do ceremonii – przypomniał.

– Tak, wiem... Zasnąłem dopiero nad ranem i nie ustawiłem alarmu – wyjaśnił, rozcierając posklejane oczy.

– Ceremonia zaczyna się dopiero o siódmej, masz jeszcze trochę czasu. Kapitan Lilia przyniosła ci szaty... – poinformował.

– Lili tu była? – zapytał, jakby dopiero teraz przebudził się ze snu.

– Była...

– Czemu mnie nie obudziła?

– Najwyraźniej nie miała ochoty z tobą gadać. Kazała mi jednak przekazać, że masz na nią czekać za dwadzieścia siódma w bibliotece, przebrany i gotowy co ceremonii – wyjaśnił lekarz.

– Gdzie, w takim razie, ten mój ceremonialny strój? – Chłopak rozejrzał się wkoło.

– Na łóżku obok... – odpowiedział doktor, wskazując leniwie ręką na wyprasowane i złożone elegancko w kostkę szpitalne prześcieradło.

– Ma pan na myśli to coś? – Antek wytrzeszczył oczy ze zdumienia, przekonany, że lekarz robi sobie z niego żarty.

– Tak. To jest właśnie ten strój – potwierdził lekarz. – To coś w rodzaju białej togi – dodał.

– Białej togi? – powtórzył z rozbawieniem chłopak. – Przecież obok togi to nawet nie leżało... – zaprotestował.

– Eh... Z ciebie to jednak francuski piesek, Miko... Masz się tym tylko na chwilę owinąć wokół bioder, wleźć do beczki z wodą i koniec pieśni – dodał lekceważącym tonem.

– Okej, doktoru, już nie wybrzydzam – zapewnił Antek. – Zabieram swoje manatki i tyle mnie tu widziano – oznajmił wesoło, po czym dodał: – Czy Lili powiedziała panu, gdzie dokładnie mam się udać?

– Będziesz mieszkał w budynku C-2. Znajduje się niemal w samym centrum parku. Zakwaterowano cię w pięcioosobowym pokoju o numerze cztery. Znajdziesz bez problemu – zapewnił.

– Okej, dzięki za pomoc! I za wszystko w ogóle... – powiedział ze szczerą wdzięcznością Antek.

– Nie dziękuj. To mój obowiązek... Tylko żebym słyszał o tobie same dobre rzeczy. – Doktor pogroził palcem, po czym bez okazywania większych czułości opuścił salę.

Okolo pół godziny później Antek, z całym swoim dobytkiem na plecach oraz kulami w rękach, dowlókł się do bursy, w której znajdowały się pomieszczenia mieszkalne dla kadetów. Cały budynek wystawał zaledwie metr ponad powierzchnię gruntu, a jego płaski dach – niczym skandynawskiej hyty – zbudowany był z grubej warstwy mchu, na którym leżał teraz kruchy, zmarznięty śnieg. Gdy wszedł do środka i zapukał do drzwi z numerem cztery, otworzył mu wysoki, dobrze zbudowany młody chłopak o ciemnych włosach.

– Cześć, jestem Antek, wasz nowy współlokator – przedstawił się jako pierwszy nowo przybyły.

– Dominik Zamoyski, wchodzi śmiało – odrzekł bez entuzjazmu stojący w progu, który już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie lekko przemądrzałego paniczyka.

– Cześć wszystkim! – powiedział Antek, wchodząc pewnie do środka i rozglądając się za swoim miejscem do spania.

Reszta lokatorów leżała leniwie na łóżkach, poprzebierana w szaty i gotowa do ceremonii. W tle, z małego, bezprzewodowego głośnika, leciała jakaś ambientowa muzyka klubowa.

– Chłopaki, poznajcie Antka! – przedstawił go Zamoyski. – Tak, tego Antka! – powtórzył z przekąsem. – Naszego desperata z Bieszczad, o którym wszyscy ostatnio mówią! – zaanonsował z sarkazmem, ale wywołany chłopak nie był do końca pewny, czy ma to odebrać jako koleżeński żart czy też celowo wymierzoną w niego drwinę. – A to Dario, Czeczot i Lanca! Czyli chłopaki z ostatniego roku elitarniej akademii szkoleniowej Polonorum! – Zamoyski kontynuował prezentację z manierą amerykańskiego komentatora sportowego. – Nasi przyszli niezwyciężeni agenci! Kwiat rycerstwa i młodzieży polskiej! Zwłaszcza Lanca... – dodał ze śmiechem, wskazując ręką na opartego o ścianę chłopaka, który, jak na kadeta ostatniego roku, był wyjątkowo szczupły i w ogóle nie sprawiał wrażenia wysportowanego.

– Odwal się, Zamoyski – odrzekł niedbale chuderlak, nie podnosząc nawet wzroku znad swojego tabthina.

– Lanca! No nie obrażaj się... Czyż nie jesteś naszym kwiatem młodzieży? – zapytał kpiąco, po czym roześmiał się, a pozostała dwójka chłopaków głośno mu zawtórowała.

– Dlaczego jesteście już przebrani? – zapytał Antek, rzucając swój plecak na wolne łóżko.

– Mamy tu taki przesąd... – zaczął Czeczot, również dobrze zbudowany i wysoki, o krótkich, kręconych, szatynowych włosach.

– Że powinno się chodzić w tym wdzianku od samego rana, aż do ceremonii – dopowiedział Dario, krępy i niski blondyn.

– Dlaczego więc ty nie jesteś jeszcze przebrany? Nie wierzysz w przesady? – skierował pytanie do Zamoyskiego Miko, zaintrygowany jego odmiennością.

– Bo to tradycja dotycząca jedynie ludzi ze „Świtezi”, a ja jestem z rodu... – odpowiedział z nutą wyższości w głosie.

– Który jesteś rocznik, Antek? – zapytał nagle Czeczot, zmieniając szybko temat.

– Równo dwutysięczny... W sierpniu będę miał trzydziestkę... – Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, jak abstrakcyjnie zabrzmiało to w gronie czterech bez trosk młokosów.

– To ty stara dupa jesteś. My wszyscy jeszcze po dwadzieścia dwa latka – skomentował Zamoyski.

– A skąd pochodzisz? I czym się wcześniej zajmowałeś, zanim tu trafiłeś? – zapytał, wyraźnie zaintrygowany postacią Antka Czeczot. – Pytam, bo do tej pory nikt z zewnątrz bez decyzji z góry się tutaj nie dostał – dodał z wyraźnym uznaniem.

– Wybacz, stary, ale to prywatne sprawy... – odpowiedział Antek z zabójczą asertywnością w głosie.

– À propos ceremonii – tym razem temat zmienił Dario – widzieliście, że od wczoraj zaczęła zjeżdżać się już cała kapituła?

– Tak – potwierdził Zamoyski. – Wczoraj około dwudziestej, gdy wracałem z zamku, dostrzegłem, jak na podjeździe parkują dwa nowe rolls-royce’y. Gdy się tylko oddaliłem, w obstawie Chorsów wyszły z nich dwie zakapturzone postacie.

– Chorsów? – powtórzył żywo zaintrygowany Antek.

– To jedna z trzech najbardziej elitarnych grup w całej organizacji, ich herb to słońce w aureoli. Wszyscy tam mają bardzo długi staż i możliwie najwyższe skile do uzyskania.

– A jak dostać się do takiej grupy? – zapytał natychmiast chłopak, ale odpowiedzią na to najwyraźniej naiwne pytanie okazał się gromki śmiech spoglądającej na siebie ze szczerym rozbawieniem trójki kadetów.

– Okej... Pytania nie było... – zreflektował się Miko. – Ale powieddcie mi przynajmniej, jak się do nich mają takie grupy jak krakowska czy śląska, bo te miałem już przyjemność poznać – dodał.

– Żartujesz? – Zamoyski się zaśmiał. – Oni przy Chorsach to przedszkole. Każdy to wie – dodał z przekąsem.

– Po prostu grupy takie jak krakowska, śląska, wielkopolska, centralna, podlaska czy też północno-zachodnia to grupy dyżurne. Tam najczęściej trafiają młodzi, niedoświadczeni kadeci, tuż po zakończeniu szkolenia – wyjaśnił Czeczot.

– Ale każdy w końcu od tego samego poziomu kiedyś zaczynał – skomentował Antek. – Nawet ci elitarni i niedostępni Chorsi – dodał, zabierając się za rozpakowywanie swoich rzeczy.

Rozmowa o przygotowaniach do imprezy toczyła się między kolegami w najlepsze. Antek, przysłuchując się jej z ciekawością, również co jakiś czas wtrącał kilka zdań od siebie. Jednak gdy już rozgościł się na dobre w swoim nowym lokum, padł na świeżo zaścielone łóżko i zabrał się za powtarzanie przysięgi ceremonialnej, którą wysłała mu Lili, a którą miał dzisiaj wypowiedzieć przed Najwyższą Kapitułą.

Gdy wybiła osiemnasta, Dominik Zamoyski i Antek włożyli na siebie białe szaty – opasające im jedynie biodra – i wraz z Czeczotem, Lancą oraz Dariem opuścili budynek. Na zewnątrz czekała już na nich reszta kadetów, którzy nie robiąc sobie nic z pięciostopniowego mrozu, stali boso na śniegu, częstując się nawzajem papierosami.

– Patrz, Czeczot, są już jajogłowi! – powiedział Zamoyski, wskazując palcem na dwóch wyobcowanych chłopaków, którzy stali z dala od reszty grupy i zawzięcie o czymś dyskutowali.

– Jest też Zosia Skrzetuska! – zauważył Dario.



– I ma na sobie jedynie samą, skąpą togę – dopowiedział Czeczot dyskretnym podnieconym tonem.

– Szkoda tylko, że dwuczęściową... – Zamoyski westchnął z rozmarzeniem. – Przyznaj, Antek, że niezła z niej rusałka, co nie? – dodał, uderzając nowego kolegę zawadiacko w pierś.

Chłopak jednak w tym momencie po raz kolejny powtarzał treść przysięgi i w swym zamyśleniu nie zauważył w pobliżu nikogo szczególnego.

– Mówię ci, Antek, jak zagadam z ojcem, to po zakończeniu szkolenia może przeniosą mnie do tej samej grupy, w której wyląduje ona... – dodał ze szpanerską pewnością siebie.

Antek rozejrzał się więc po grupce kadetów, która stała przed nimi, i natychmiast dostrzegł w niej zgrabną, drobną blondynkę przepasaną od ramion do bioder takim samym białym płótnem jak reszta. Dziewczyna przywitała się z palącą częścią ekipy, po czym szybko dołączyła do dwójki niezbyt reprezentacyjnych i przebojowych kadetów, których Zamoyski dopiero co nazwał jajogłowymi.

Poza nią na ceremonię oczekiwały jeszcze tylko cztery dziewczyny, jednak żadna z nich nawet w połowie nie wzbudzała takiego zainteresowania wśród nowych współlokatorów Antka. Gdy tylko podeszli bliżej, czwarty z chłopaków, Lanca – który wyglądał teraz, jakby za chwilę miał zamarznąć na kość – natychmiast odłączył się od grupy Zamoyskiego i ruszył w stronę wspomnianych jajogłowych. Wtedy to właśnie blond włosy dziewczyna odwróciła się w ich stronę i Antek od razu rozpoznał w niej uroczą hakerkę, z którą rozmawiał w pamiętne niedzielne popołudnie.

– Antek?! – zawołała do niego z serdecznym uśmiechem, co wzbudziło niemałe poruszenie wśród reszty oczekujących, a zwłaszcza współlokatorów chłopaka, którzy zrobili miny, jakby dopiero co połknęli żabę.

– Cześć, Zosiu – odpowiedział nieco skrępowany Antek.

– Chodź do nas na fajeczkę! – zaproponowała rozradowana. – Potem pójdziemy razem do Sali Ceremonialnej – dodała urzekającym głosem.

– To ty palisz? – zapytał zdziwiony chłopak, nie bardzo wiedząc, od czego rozpocząć rozmowę.

– Na co dzień nie, ale dziś imprezujemy i robię mały wyjątek – oznajmiła, przytulając Antka i dając mu przyjacielskiego buziaka w policzek.

– Cześć, Zosia, chcesz wyjść z nami na miasto po zaprzysiężeniu? Mój ojciec załatwił nam przepustkę – wtrącił szybko Zamoyski, jakby chciał uzurpować sobie prawo do rozmowy z dziewczyną.

– Dziękuję ci, Dominik, ale spędzę afterparty w Rotmistrzowskiej wraz z moimi, jak ty to nazywasz, jajogłowymi – odpowiedziała z przekąsem.

– Ja tak powiedziałem? – Zamoyski zrobił minę niewiniątka. – Zosiu! Nigdy w życiu... – dodał z wytrawną pokrętnością, po czym zwrócił się do swoich kolegów, oczekując od nich aprobaty. – Hej, Czeczot! Słyszałeś kiedykolwiek coś takiego z moich ust? – zapytał kolegę, mrugając do niego znacząco okiem.

– Nie! Pierwszy raz słyszę! – odparł posłusznie chłopak w kręconych włosach, usilnie starając się zachować kamienną twarz. Mistyfikacja Zamoyskiego nie trwała jednak długo, gdyż zaraz po tych zapewnieniach rozbawienie wzięło górę na Czeczotem i ten wraz z równie rozbawionym Dariem wybuchli gromkim śmiechem.

– No właśnie... – skomentowała, nieurazona tym wcale Zosia, po czym biorąc niespodziewanie Antka pod ramię, dodała: – Zabieram wam kolegę, panowie. Widzimy się na ceremonii!

Antek wzruszył więc tylko bezradnie swoimi kulami, po czym oboje ruszyli w stronę oficyny. Dostrzegając jednak miny Zamoyskiego, Daria i Czeczota, wiedział już, że nie czeka go z nimi braterska i bezinteresowna przyjaźń. Za to grupa jajogłowych, z którą utożsamiała się Zosia, okazała się bardzo miłym i oryginalnym towarzystwem. Prócz niej w skład tej ekscentrycznej paczki wchodziło trzech przyjaciół, którzy rzeczywiście nie wyglądali na bogów wojny, a wręcz sprawiali wrażenie, jakby poruszali się w jakiejś innej, spowolnionej czasoprzestrzeni.

– To jest Lanca, którego już pewnie poznałeś – przedstawiła Zosia. – Lanca jest znakomitym inżynierem i nanoelektronikiem. Po zakończeniu szkolenia ma być przydzielony do nowo powstałej grupy technologicznej, którą poprowadzi miliarder, a nieoficjalnie członek Najwyższej Kapituły, Piotr Kowal – wyjaśniła. – Za to kolega po prawej to Oskar Kruszyński. Piekielnie zdolny biofizyk i mistrz gier RPG. Nasz trzeci kompan nazywa się Budrys. – Zosia odwróciła wzrok w stronę chłopaka idącego po lewej. – Jest psychofanem Gwiezdných Wojen, ale przede wszystkim geniuszem informatycznym i moim osobistym korepetytorem. Nie znam takich zabezpieczeń, których on by nie złamał...

– No już bez przesady, Zosiu... – zaprotestował niski, otyły rudzielec flegmatycznym głosem.

– A to jest właśnie Antek. – Zosia, niczym ukochana siostra, poczochnała go zadziornie po głowie. – Nasz nowy, nieco już podstarzały kadet! Poznajcie się – dodała z uśmiechem. – Jak już wszystkim wiadomo, wszedł do naszej organizacji, że tak powiem, z buta! Więcej mówić nie muszę, bo i tak sami sobie sprawdzicie – zdawała się szczerze uradowana z tej nowo zawiązanej znajomości.

– No stary... Wpadłeś tu niczym Chuck Norris. – Wysoki, blady i piegowaty biofizyk podał Antkowi na przywitanie rękę.

– Albo jak Szczęka w *Obietnicy szybkiej śmierci w dolinie węży* – dodał Lanca, po czym roześmiał się niczym gdacząca kura.

– Dobra, chłopaki, zejdźcie już ze mnie. Starczy tej beki... – zaprotestował Antek, doskonale jednak rozumiejąc, że są to tylko szczerze, niezłośliwe żarty.

Chociaż ekipa jajogłowych była – delikatnie mówiąc – z innej galaktyki, to Antek zdecydowanie wolał ten towarzyszący im brak przewrotności oraz spokój ducha, aniżeli nieustanny wyścig szczurów, jaki odbywał się między resztą towarzystwa.

Gdy cała grupa – dostosowując się do tempa kuśtykającego Antka – dotarła w końcu do oficyny, Zosia wyrzuciła do popielniczki reszkę dopalającego się papierosa, po czym oznajmiła dowódczym tonem:

– To co, panowie, nie będziemy czekać w bibliotece, tylko od razu schodzimy?

– Nie jesteś jeszcze przecież pełnoprawną agentką. Jak więc chcesz się tam dostać? – zapytał zdziwiony Antek.

– Spoko loko... Ja i Budrys już od dwóch lat mamy praktyki w grupie bezpieczeństwa cybernetycznego we wschodnim skrzydle, tak więc mamy dostęp do podziemi – powiedziała, mrugając znacząco okiem.

– Widzę, że gruba ryba z ciebie... – skomentował Antek.

– No nie taka znów gruba! – odpowiedziała z rozbawieniem, idealnie naśladowując chód modelki prezentującej się na wybiegu i mijając w ten sposób całą grupę kadetów, która oczekiwała w bibliotece, aż ktoś z instruktorów łaskawie wprowadzi ich do Sali Ceremonialnej. – Co tak stoisz, Zamoyski, tata nie załatwił ci wejściówki? – zadrwiła, przechodząc koło chłopaków z pokoju Antka, którzy również oczekiwali przed wejściem do podziemi. – Żartuję! – dodała natychmiast, z naturalną w jej stylu bycia serdecznością. – Dominik, weź swoich chłopaków, wejdziecie z nami! Może się jakoś pomieścimy... – zaproponowała.

– Ja jednak poczekam tutaj – oświadczył niespodziewanie Antek.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona Zosia.

– Umówiłem się, że tu będę – wyjaśnił lekko zmieszany tym usprawiedliwieniem.

– Co za różnica, czy będziesz czekał tu czy na dole? I tak zaraz wszyscy spotkamy się w Ceremonialnej.

– Wybacz, Zosiu, ale doświadczenie mówi mi, że lepiej, jeśli poczekam tutaj. – Zrobił bezradną minę. – Dla świętego spokoju... – dodał.

– Aha, już chyba rozumiem – przytaknęła, wskazując wzrokiem na wchodzącą do biblioteki Lili. – W takim razie widzimy się na ceremonii – rzuciła pośpiesznie i widać było, że promienny uśmiech powoli znika z jej twarzy.

– I jak? Gotowy? – zapytała sucho Lili, podchodząc do Antka i z dyskretnym zainteresowaniem obserwując wchodzącą do podziemi grupę jajogłowych, a dokładniej Zosię.

– Gotowy – potwierdził tonem, jakby miało to zastąpić „cześć”. – A właściwie to po co widzimy się przed ceremonią? Przecież wszystko już mi powiedziałaś... – zapytał równie oschle.

– Jeśli myślisz, że przyszedłam tu z własnej woli, to się grubo mylisz. Mam być dzisiaj twoim świadkiem przysięgi... To niestety dalsza część rozkazu pułkownika Paprockiego – westchnęła. – Jednak pocieszające jest to, że w razie zdrady agenta pierwszą osobą, która ma obowiązek go zlikwidować, jest właśnie jego świadek – oznajmiła, zdobywając się na cyniczny uśmiech.

– No rzeczywiście pocieszające... – odparł ponuro Antek. – A już miałem taki miły początek dnia – dodał, wzdychając ciężko.

– No właśnie widziałam, że miły... – skomentowała dwuznacznie. – Niezłą sobie ekipę znalazłeś, prawdziwy dream team...

– Słuchaj... Nie mam dziś ochoty na takie gadki. Muszę powtórzyć przysięgę. Wchodzimy czy będziemy się tutaj przekomarzać? – zapytał nadzwyczaj spokojnie, ale nie ukrywając swojego zniecierpliwienia.

– To na co czekasz? Ruszaj! – ponagliła Lili, jakby to nie z jej winy wynikała ta opieszałość.

Po niespełna pięciu minutach byli już w podziemiach. Ku zdziwieniu Antka na dole zebrało się tylu agentów, że trudno było się gdziekolwiek ruszyć. Wszyscy – prócz kadetów – byli elegancko ubrani i żywo dyskutowali, trzymając w dłoniach kieliszki z czerwonym winem. Gdy Antek zaczął schodzić ze schodów o kulach w towarzystwie Lili, co chwilę ktoś odwracał się w ich stronę i zadawał pytania w stylu: „Jak tam po sylwestrze, Lili?” albo „Słyszałem, że miałaś ostatnio niespotykane przygody, Lili!”.

Jeden z agentów podszedł nawet do nich, pytając wprost:

– Od kiedy to zajmujesz się niańczeniem kadetów, Lili? Zaczęłaś karierę w rekrutacji czy jak?

Antek bardzo szybko zrozumiał, dlaczego niesławna przygoda z nim w roli głównej, jak i jego obecne towarzystwo, nie było dziewczynie na rękę, a nawet

sprawiało jej sporo przykrości. Lili starała się mimo to robić dobrą minę do złej gry i na wszelkie kąśliwe żarty przytakiwała koleżeńsko bądź też odpowiadała sztucznym uśmiechem. Niestety chłopak zdał sobie sprawę również z tego, że jeśli tej nocy świętującemu towarzystwu nie zabraknie owego czerwonego trunku, sprawa Lili i Antka może się stać podstawowym tematem żartów i anegdot.

Nagle za ich plecami odezwał się jakiś przystojny, mocno opalony, łysy facet w czarnej atłasowej koszuli.

– Dzień dobry, pani kapitan! Kiedy cię w końcu do nas przydzielą? Nadal liczę na jakąś randkę...

– Cześć, Gjanto! – Lili po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnęła, najwidoczniej szczerze zadowolona z tego spotkania. – Randki nie było i nie będzie, poza tym co ja bym tam u was robiła na takim zadupiu? – Roześmiała się, mocno przytulając kolegę.

– Daj się przekonać! Ameryka Południowa jest piękna! Ale widzę, że u ciebie jak zwykle żyłeta zamiast języka. – Roześmiał się. – Nic się pod tym względem nie zmieniłaś... Może mi przedstawiś tego swojego podopiecznego. Słyszałem już o was niestworzone historie... – dodał wyraźnie rozbawiony.

– Gjanto... Daj spokój, to nie jest mój podopieczny tylko... – zaczęła pospiesznie tłumaczyć Lili, ale Antek przerwał jej w pół słowa:

– Jestem Antoni Miko. Jeśli chcesz mnie poznać, koleś, to się przedstaw prosto w oczy, a nie szukaj pośredników – wypalił groźnie.

– Luz! Kolego drogi, ja nie z tych! – Roześmiał się głośno, niespodziewanie obłapiając chłopaka na powitanie, jakby znali się co najmniej kilka lat. – Prawda jest taka, że ci, którzy próbowali sobie przed chwilą ulżyć złośliwymi docinkami, po prostu dostali kiedyś od naszej pani kapitan kosza – wyznał niedyskretnie i po raz kolejny wybuchł śmiechem, przechylając do gardła resztę zawartości kieliszka.

– W takim razie miło mi cię poznać – zreflektował się Antek. – Sorry za tę gadkę, ale większość gości jakoś działa mi tutaj na nerwy... Myślałem, że jesteś jednym z nich – wyjaśnił, podając koleżeńsko rękę nowo poznanemu agentowi.

– Spoko! Jestem przyjacielem Lili z czasów kadeckich. Byłem od niej cztery roczniki wyżej – zapewnił. – Od razu widać, że jesteś porywczy dzik! Z tych, co to nie dają sobie w kaszę dmuchać... – podsumował, klepiąc Antka po ramieniu. – Zresztą słyszałem o twojej eskapadzie, nie wiem, ile w tym prawdy, ale sądząc po twoich ranach, nie była to lekka przeprawa – wyznał, na co Lili wymownie przewróciła oczami.

Rzeczywiście, ledwo co zabliznione rany w okolicach obojczyka i na prawym udzie w skapej, białej todze, mocno rzucały się teraz w oczy.

– Żadna tam eskapada, po prostu za wszelką cenę chciałem być dzisiaj na tej imprezie i tyle – odpowiedział nonszalancko, czując, że coraz bardziej podoba mu się ta nieoczekiwana znajomość.

– O nie... Tylko nie on... – skomentowała nagle Lili, łapiąc się nerwowo za czoło i wbijając wzrok w ziemię.

– Kto? Paprocki? – zapytał zdumiony Gjanto, widząc, że z zachodniego skrzydła wyszedł właśnie wysoki, szpakowaty pułkownik.

– Nie mam na myśli Paprockiego... – Zaniepokojona dziewczyna westchnęła. – On w towarzystwie nawet by się do nas teraz nie przyznał – wyjaśniła, ewidentnie próbując ukryć przed kimś swój wzrok.

– To kto? – zapytał ponownie Gjanto.

Antek nie potrzebował już żadnej odpowiedzi, gdyż dostrzegł, że od strony wschodniej podąża groźnie w ich stronę szef grupy śląskiej, Bojar.

– Spokojnie – powiedział mimowolnie Antek, również lekko zbity z tropu. Pamiętał bowiem, że ostatnie spotkanie z tym człowiekiem nie należało do najprzyjemniejszych.

– Spokojnie... Łatwo ci mówić – burknęła niepocieszona Lili. – To ja znów będę musiała brać udział w tym cyrku – dodała wściekle.

– O nic się nie martw – powtórzył Antek, jednocześnie sam psychicznie nastawiając się na ewentualną konfrontację.

Bojar podszedł w końcu do nich z niepospolicie wredną miną, jednak pierwsze, co zrobił, to niespodziewanie ciepło przywitał się z Gjanto.

– Siemasz, stary byku! Nic jeszcze nie zżarło cię w tej dzikiej Brazylii? Nadal tropisz rodziny starych nazioli? – zapytał, potrząsając gwałtownie o wiele wątlejszą rękę mężczyzny.

– Jak widać nie zjadło... – Przyjaciel Lili niepewnie się uśmiechnął. – Za to ty jesteś jeszcze większy niż ostatnio. Co ty bierzesz, chłopie, że tak rośniesz?

– Tylko wołowinka, kolego! Od święta wazy, a w dni powszednie argentyńska! – zarzekał się olbrzym, kładąc rękę na sercu niczym nastoletni łobuz, który ma coś na sumieniu.

– Taa, już to widzę... A ja się nazywam Hitman... – Gjanto roześmiał się, co sprawiło wrażenie, jakby południowoamerykański żartowniś za wszelką cenę szukał guza.

Nagle Bojar, zaciskając pięści, wrócił do swego wyjątkowo nieprzyjemnego wyrazu twarzy, jednak nie wynikało to z bezpośrednich żartów Gjanto, ale z tego, że zwrócił się w stronę Antka.

– A ty co tak stoisz, ołowiany żołnierzyku? – burknął niskim głosem.

Antek nic na to jednak nie odpowiedział. Nie z tego powodu, że obawiał się groźnego wielkoluda, ale po prostu dlatego, że nie miał najmniejszego pomysłu, w jakim kierunku poprowadzić tak nietypowo rozpoczętą rozmowę. Zresztą widząc zaniepokojoną minę Lili, nie chciał doprowadzić do niepotrzebnej zadymy tuż przed rozpoczęciem ceremonii.

– Popatrz tylko na niego, Gjanto... – ponownie zwrócił się do przyjaciela Lili Bojar. – Taka krucha pizdeczka, ale nieźle nas ostatnio załatwił! – I jakby z niedowierzaniem i nieznacznym podziwem pokręcił kilkakrotnie głową.

Gdy nerwowa atmosfera wydawała się już sięgać zenitu, nieobliczalny kolos zamiast dać Antkowi w mordę – czego wszyscy się spodziewali – ryknął nagle śmiechem, dając do zrozumienia, że jego zbrodnicza mina i złowrogi image były tylko zwykłą aktorską zagrywką.



– Czyli, że swój chłop? – wtrącił niepewnie Gjanto z nieukrywaną nadzieją w głosie.

– No pewnie, że swój! – ryknął po raz kolejny olbrzym, śmiejąc się jeszcze głośno ze swojego fortelu, a po chwili zawtórowali mu również Gjanto oraz Antek, któremu plecy zdążyła już oblać rosa. Nawet Lili uśmiechnęła się nieznacznie pod nosem, dając upust niezaprzeczalnej uldze.

– Ha! Nieźle was wszystkich wrobiłem! Przyznajcie się! Mieliście pietra! – cieszył się jak dziecko Bojar.

– Nie strasz ludzi, człowieku! Już trzymałem rękę na gnacie – odpowiedział mu Gjanto, który rzeczywiście wyglądał teraz, jakby dopiero co rozminął się ze śmiercią.

– Niezły byłby ze mnie aktor, co nie, żołnierzyku? – zapytał dumnym głosem Bojar, tym razem kierując słowa do Antka.

– No... Muszę przyznać, że mnie wkręciłeś... Szacun! – przyznał chłopak, nie dowierzając, że żartuje teraz z tym samym gościem, który raptem dwa tygodnie temu wyrwał go żywcem z wraku samochodu i rzucił o ziemię jak przysłowiową lalką.

– Dla ciebie też szacun, kolego! – odwzajemnił się Bojar, poklepując Antka po plecach swoją potężną dłonią. – Odkąd służę w organizacji, nie pamiętam, żeby ktoś nas tak urządził! Nazywasz się Antek Miko, zgadza się? – dodał, uśmiechając się zawadiacko i podając rękę na przywitanie.

– Dokładnie – potwierdził Antek.

– A ja Bojar! – odpowiedział gigant. – Jeśli Paprocki pozwoli nam zostać dłużej, może będzie dziś okazja wypić „brudzia”? – oznajmił.

– Bardzo chętnie.

– Równie chętnie spotkałbym się z tobą na macie. Sprawdziłbym, ile jesteś wart bez tych twoich latających zabawek – zaproponował.

– Z przyjemnością. Jak tylko się wykuruję, jestem do twojej dyspozycji – zapewnił Antek z porażającą pewnością siebie, tak że nawet Lili i Gjanto wymienili

między sobą wymowne spojrzenia.

– Znakomicie! Zobaczymy, jak szybko pękają ci kości... – Bojar ponownie się roześmiał.

– A ja zobaczę, jak technika weźmie górę nad siłą – dodał z niewzruszonym przekonaniem chłopak.

– No to jesteście umówieni! – Szef grupy śląskiej zatarł z zadowoleniem ręce.

– Umówieni!

– Ale póki co muszę odnaleźć Paprockiego. Kazał mi podczas ceremonii chodzić za sobą krok w krok. Wiecie... Że niby obstawa osobista... – Roześmiał się, po czym dodał: – Powodzenia na ceremonii! – I wyraźnie ukontentowany przeprowadzoną rozmową, z uśmiechem od ucha do ucha, zaszył się w tłumie.

– W sumie to równy gość z tego olbrzyma... Co nie, Gjanto? – zwrócił się do nowo poznanego kolegi równie rozbawiony Antek.

– Jak większość ludzi tutaj, po głębszym poznaniu... – wyjaśnił opalony amant.

– Tępy, szowinistyczny kark – wtrąciła chłodno Lili, nie zgadzając się ze starym przyjacielem.

– Fakt, jest trochę dziwny – kontynuował Gjanto – ale da się lubić. Chociaż przyznam, że ciepło mi się zrobiło, gdy tutaj szedł. Pamiętam, że za młodych lat zawsze był trochę niezrównoważony...

– „Trochę niezrównoważony” to mało powiedziane – burknęła pod nosem dziewczyna.

– Ale jestem pewien, że jeśli Antek już raz go wykołował, to na macie uda mu się to po raz drugi... – Ponownie przyjacielsko poklepał chłopaka po plecach. – W końcu skoro się już do nas dostałeś, musisz mieć w sobie coś wyjątkowego – komplementował.

– Dobra! Starczy już tych hymnów pochwalnych, bo zaraz mnie zemdli... – zareagowała Lili. – Wchodzimy do Ceremonialnej! Za chwilę zacznie się zaprzysiężenie – rozkazała, po czym panowie zerknęli na siebie z wyrazem bezsilności i podążyli za panią kapitan.

Przeciskając się przez gawędzący i popijający wino tłum, Antek przekroczył w końcu futrynę wielkich, czarnych, dwuskrzydłowych drzwi i gdy znalazł się już w środku, zauważył, że Sala Ceremonialna jest utrzymana w podobnym stylu, co poprzedzającą ją Wielka Grota Przodków – przeważały tu czarne i zielone marmury, a na ścianach wisiało kilka obrazów przedstawiających wydarzenia z początków chrześcijańskiej Polski, jak i z czasów o wiele bardziej zamierzchłych. Ponadto wszystkie wykończenia na suficie, jak i na kolumnach były z litego złota, a nad głowami wisiały te same potężne świeczniki, które były jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu.

Cała Sala Ceremonialna była czymś w rodzaju miniatury Wielkiej Groty Przodków, poza jednym szczegółem – na końcu, zamiast dużych czarnych drzwi, stało owalne podwyższenie z dwunastoma grafitowymi marmurowymi tronami i coś w rodzaju wysokiej, zdobionej srebrnymi ornamentami nastawy ołtarzowej, wykonanej z drzewa hebanowego. Na samej górze tej oto zjawiskowej konstrukcji widniał napis w języku łacińskim: „Jesteśmy sumieniem, korzeniem i duchem narodu”. Poniżej znajdował się przytwierdzony do retabulum prosty srebrny krzyż oraz wykonane z tego samego kruszcu trybularze, w których tliło się przyjemnie słodkie kadzidło.

Antek zauważył również, że w miejscu, w którym w kościołach rzymskich zwykle znajduje się tabernakulum, stoi pionowo czarny, marmurowy blok w kształcie prostopadłościanu, a na nim postawiono przeszkloną gablotę, w której znajdowała się jakaś broń przypominająca duży nóż bądź też bagnet.

– Czy to nie jest aby jakaś końcówka włóczni? – zapytał Zosi, do której udało mu się w końcu precyzyjnie, a która stała wraz z resztą kadetów przed samym kamiennym podwyższeniem, uwieńczonym dumnie usadowionymi, marmurowymi tronami.

– Zgadza się, to jest włócznia... – potwierdziła z uśmiechem, wyraźnie zadowolona z tego, że Antek odnalazł ją w tłumie.

– Bardzo przypomina mi tą...

– Ofiarowaną Chrobremu przez Ottona? – wtrąciła z satysfakcją.

– Tak! Wygląda identycznie! Chcesz mi powiedzieć, że trzymają tu kopię włóczni świętego Maurycego? – zapytał, nie ukrywając zdziwienia.

– Nie, Antek... To jest włócznia świętego Maurycego – wyjaśniła hakerka.

– To co znajduje się w takim razie w skarbcu na Wawelu? – dopytywał zaintrygowany.

– Falszyfikat... Zresztą taki sam, jaki mają w skarbcu Schatzkammer w Wiedniu.

– Czyli, że to jest oryginał? – Antek szczerze nie dowierzał.

– Tak... To jest nasze najważniejsze insygnium, legitymizujące nas do sprawowania pieczy nad Polską. Taki swoisty mandat odziedziczony po pierwszych chrześcijańskich władcach – wyjaśniła z przyjemnością dziewczyna.

– I jak udało się wam, to znaczy nam – poprawił się chłopak – ją zdobyć?

– Od samego początku istnienia organizacji włócznia była pod naszą opieką. Dużo by gadać, ale jak jesteś ciekawy, to ci opowiem. – Śmiejąc się od ucha do ucha, ponętnie poprawiła sobie togę na biodrach.

– Z największą przyjemnością cię posłucham.

– Otóż Otton III – zaczęła z entuzjazmem – rzeczywiście podarował Chrobremu prawdziwą włócznię świętego Maurycego. I jak potwierdzają polskie kroniki, które są w posiadaniu tylko naszej organizacji, oraz inne, zagraniczne dokumenty w naszych rękach, jest to prawdziwa włócznia Longinusa, którą to, będąc jeszcze Kasjuszem, przebił bok Jezusa, i którą następnie przetopiono, aby umieścić w niej także gwoździe z Krzyża Świętego. Gal Anonim, choć często zakłamywał historię, pisząc ją pod dyktando polityczne, w tym wypadku również napisał szczerą prawdę, przyznając, iż podarowana Chrobremu lanca była autentyczna. Potwierdza to także w dużym stopniu wersja niemiecka, przedstawiona przez kronikarza Thietmara z Merseburga, który szczegółowo opisał zjazd gnieźnieński, a który zarazem nienawidził Polaków, traktując nas z pogardą, ale i z bojaźnią.

Zosia na chwilę przerwała. Dostrzegła, że Antek patrzył na nią z coraz większym zaciekawieniem.

– Kronikarz ten – kontynuowała – świadomy naszej potęgi, jaką przez tysiące lat, zwłaszcza w szóstym wieku naszej ery, szczyliło się państwo Lechitów, za wszelką cenę próbował sprowadzić naszą aktywność w Europie do roli zacofanych dzikusów ze wschodu. Zresztą nic dziwnego, gdyż Niemcy używali podobnych metod od zawsze, a ich największą bronią w próbach eksterminacji Polaków była właśnie permanentna germanizacja. Niemal za każdym razem polegała ona na niszczeniu naszych źródeł pisanych, podcinaniu ojczystych korzeni czy wprowadzeniu swoich wersji zakłamanej historii, co też prawie im się udało pod zaborem pruskim i austriackim. Ale wracając do włóczni Longinusa czy, jak niektórzy mówią, włóczni świętego Maurycego: Niemcy do tej pory nie mogą wybaczyć Ottonowi uległości wobec Chrobrego, a tajne germańskie organizacje, takie jak na przykład Holda, które działały w Niemczech przed wiekami i działają tam do dziś, nie mogą odżałować straty tejże arcyważnej dla nich relikwii. Uważają bowiem, że kto posiada to najważniejsze insygnium łacińskiej cywilizacji Zachodu, ten będzie ostatecznie panował w Europie – wyjaśniła obszernie.

– Bona wspominał mi kiedyś coś o tej Holdzie – wtrącił Antek.

– Holda to potężna organizacja... W trakcie praktyk pomagałam w jej cyberinfiltracji. Wiemy już, że jest przedłużeniem i konsolidacją poprzednich tajnych stowarzyszeń i niemieckich organizacji przestępczych, skupia wpływowych właścicieli koncernów chemicznych, bankowych, medialnych i przemysłu ciężkiego, ale także członków rodzin niegdysiejszych nazistów, polityków oraz byłych pracowników niemieckich służb wywiadowczych wywodzących się ze Stasi i Federalnej Służby Wywiadu BND – doprecyzowała.

– To samo wspominał wujek.

– Mają ogromny wpływ na to, co dzieje się w Europie, no i przede wszystkim mają to, czego nam zawsze brakuje, a mianowicie potężny budżet i własne media – przyznała Zosia.

– No ale naszym mecenasem jest miliarder, Piotr Kowal. – Antek zabłysnął nowo zdobytą informacją.

– Owszem, jest... Ale jego możliwości finansowe w porównaniu z takimi gigantami są mniej niż nikłe...

– Rozumiem... Co dalej z tą włócznią? – drążył Antek, oczarowany wiedzą, którą chętnie przekazywała mu dziewczyna.

– No cóż, oficjalna, znana światu wersja historyczna jest trochę inna od tej, o której wiemy w organizacji... Co prawda wspomniany Thietmar z Merseburga trafnie opisuje w ogólnie dostępnych źródłach, że w Cesarstwie Niemieckim modlono się do Boga o to, aby wybaczył Ottonowi tę hańbiącą decyzję, która sprawiła, że zaopatrzony w ich najważniejsze insygnium Chrobry stał się jeszcze potężniejszym i bardziej wpływowym władcą. Jednak z czasem narracja się zmieniła i kolejni kronikarze oraz historycy niemieccy, w których mniemaniu syn Mieszka miał być jedynie zwykłym trybutariuszem cesarza Niemiec, rozpowszechnili wersję, że Otton ofiarował Bolesławowi zaledwie symboliczną kopię owej włóczni. Ich strach przed prawdą, bardzo wówczas istotną, iż Niemcy straciły drogocenne insygnium, dające im mandat do sprawowania prymatu w Europie, był tak ogromny, że skłonili się do zakłamania własnej historii, i taka wersja do dziś oficjalnie widnieje w podręcznikach. Jednak stare organizacje germańskie, do końca świadome faktu utraty relikwii, próbowały ją wielokrotnie odszukać i odzyskać.

– Czyli jednak Otton nie przekazał Chrobremu repliki włóczni, tak jak to próbowano wmówić ludziom po latach – podsumował Antek.

– Oczywiście, że nie przekazał repliki – potwierdziła z przekonaniem Zosia. – Co więcej, w sprawie pielgrzymki Ottona III do Gniezna Gal Anonim także nie napisał całej prawdy...

– Dlaczego?

– Zapewne z powodu jakichś zewnętrznych nacisków – przypuszczała Zosia. – W każdym razie, wbrew temu, co pisał Gal, nasze kroniki podają, iż Chrobry był

już na tyle militarnie potężnym władcą i zarazem tak wielkim zagrożeniem dla Niemców, że Otton III zmuszony był wyruszyć do Polski, zasłaniając się wewnętrzną potrzebą odwiedzenia grobu świętego Wojciecha, aby przymilić się naszemu władcy i kurtuazyjnie zatrzymać jego ekspansję na zachód, którą Bolesław planował poprowadzić w celu odzyskania niegdysiejszych lechickich ziem, utraconych na rzecz germańskich plemion.

Antek chciał przerwać, ale Zosia szybko dopowiedziała:

– Gał, co prawda, opisuje, że Otton był pod wrażeniem tego, co zobaczył, odwiedzając Chrobrego na jego dworze, jednak według naszych podań cesarz był wręcz przerażony tym, co tam ujrzał. Zastał bowiem w Gnieźnie nie tylko pięknie wystrojone hufce rycerskie i wszelakie bogactwo, gdzie złoto było tanie jak srebro, a srebro powszechne jak siano, ale potężne, dobrze wyposażone konnice i oddziały wojów, które już samą swoją liczebnością budziły lęk. Nasze źródła podają również, że Otton cały swój pobyt w Gnieźnie odbył w towarzyszącym mu wielkim strachu przed potęgą, z którą się zetknął, a o której podbojach jedynie słyszał. Niebędący więc pewnym swego bezpiecznego powrotu i dalszych poczynań polskiego władcy, zdecydował się oddać Chrobremu swoje najcenniejsze insygnium cesarskie, aby udowodnić tym szczerą zamiary i jednocześnie pozyskać sobie wielkiego, wschodnioeuropejskiego sojusznika.

Zosia na chwilę urwała i uśmiechnęła się do Antka.

– Za to, na znak przymierza, ale i zarazem jako pokaz swojej siły, Bolesław ofiarował mu w prezencie spory oddział dobrze uzbrojonych wojów – dodała po chwili. – Napisał o tym także wspomniany przeze mnie Thietmar z Merseburga. Aby jednak umniejszyć potęgę Chrobrego, celowo nie przekazał on całej prawdy, podając, jakoby owych wojów było zaledwie trzystu... Jednak nasze kroniki są zgodne co do tego, iż w rzeczywistości był ich cały tysiąc, na pamiątkę tysięcznego roku, w którym odbył się zjazd.

– Czyli tak naprawdę polityką Ottona było raczej nieuniknione i wymuszone udobruchanie Polaków, niż szczerze zaproszenie ich do europejskiego stołu z pozycji siły – zauważył Antek.

– No oczywiście, że tak... Nawet analizując powszechnie znane źródła, i rozumując na chłopski rozum, można się domyślić, że jeżeli Chrobremu zależałoby na kajaniu się i aspirowaniu do bycia przyjacielem cesarza, sam jeździłby do niego i zabiegał o to na ziemi niemieckiej. W tamtym wypadku jednak to Otton osobiście zjawił się u niego, myśląc z początku, że zaimponuje mu swoją cesarską świtą i europejskim anturazem – potwierdziła Zosia.

– A co w takim razie z włócznią na Wawelu i tą w Wiedniu? – dopytywał Antek, coraz bardziej zadowolony z nowej, wyjątkowo serdecznej koleżanki.

– Są to oczywiście kopie... Chociaż Niemcy próbowali w przeszłości wykraść nawet tą znajdującą się na Wawelu, będąc przekonanym, że to właśnie ona jest prawdziwą. Jednak tylko my i Holda doskonale wiemy, że prawdziwa włócznia Longinusa ma wybity na klindze mały znak w kształcie krzyża i nie jest odrutowana, w przeciwieństwie do tych znajdujących się w Wiedniu czy też na Wawelu. Z relacji naszych agentów, którzy znajdowali się w otoczeniu Hitlera, wiemy również, że on także miał obsesję na punkcie tej relikwii. Przywiązywał dużą wagę do nadprzyrodzonych właściwości tego typu przedmiotów i wierzył, że jeśli odzyska utracone przed niespełną tysiącem lat insygnium, jego III Rzesza będzie trwać kolejne tysiąc.

Antek zmarszczył brwi i na powrót spojrzał po sali.

– Hitler wspomniał nawet w *Mein Kampf*, że oczarowała go magia płynąca z włóczni znajdującej się w Schatzkammer, dlatego też wykradł ją zaraz po przyłączeniu Austrii – opowiadała Zosia. – Szybko jednak potwierdziły się znane tylko nielicznym przypuszczenia, iż włócznia z austriackiego skarbcu to falsyfikat, tak więc rozczarowany tym faktem Hitler spodziewał się zastać oryginał właśnie w skarbcu królewskim na Wawelu. Po zajęciu Krakowa hitlerowcy oczywiście skonfiskowali wawelski egzemplarz i wywieźli go do Niemiec. Jednak w 1944 roku, po serii badań i ekspertyz, zwrócili ją nam, dając do zrozumienia, że to oczywista podróbka i zarazem podtrzymując kłamliwą wersję, że to oni byli i nadal pozostają posiadaczami oryginału, zarekwirowanego w Schatzkammer.



– Skąd wiadomo, że oddali tę samą? Ja nie uwierzyłbym hitlerowcom w taką dobroduszość – zauważył Antek.

– Kadeci, zamknąć jadaczki! Właśnie zaczyna się ceremonia! – zza ich pleców dobiegł ich nagle surowy głos Lili, która prawdopodobnie stała już tam jakiś czas, dyskretnie przysłuchując się entuzjastycznej rozmowie.

– Dzień dobry, pani kapitan – odpowiedziała chłodno Zosia i dalej, już znacznie cichszym tonem, kontynuowała rozmowę z Antkiem: – No właśnie oddali ją po to, żeby potwierdzić swoją wersję wydarzeń oraz nie dopuścić do tego, żeby ktokolwiek kiedykolwiek podważył autentyczność relikwii z Schatzkammer, ujawniając tym samym, że Niemcy nie mają bladego pojęcia, gdzie podziewa się oryginał. Poza tym polscy specjaliści, jak i sam kardynał Adam Sapieha, potwierdzili zgodnie, że to ten sam eksponat, który w 1940 roku został wywieziony do Niemiec.

– Zdaje się, że coś powiedziałam – wtrąciła po raz kolejny Lili.

– Tak jest, pani kapitan. Tylko jeszcze jedno zdanie i kończymy – zapewniła Zosia posłusznie.

– Nie jedno zdanie, tylko ma być tutaj całkowita cisza! – rozkazała. – Lada moment wchodzi kapituła – dodała ostro.

– O co ci znowu chodzi? – Antek odwrócił się do dziewczyny. – Jak tylko kapituła wejdzie, to wtedy skończymy... Póki co nikogo tutaj jeszcze nie ma. A jeśli przeszkadza ci nasza rozmowa, to nikt nie broni ci stanąć gdzie indziej – dodał oschle.

– Wyobraź sobie, Miko, że jako świadek muszę przeciąć ci dłoń i wytrzeć głowę po zanurzeniu w wodzie, ale już wiem, że pierwsze, co zrobię po tym rytuale, to złożę na was raport o lekceważenie wyższego stopniem oficera i niesubordynację – zagroziła.

– Aaa... Wsadź sobie gdzieś ten swój cały raport... – parsknął lekceważąco Antek. – Choćbyś nie wiem co robiła, nie popsujesz mi dziś tej wyjątkowej

uroczystości – oznajmił, po czym machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru z nią dalej rozmawiać.

Mina Lili po tej odpowiedzi była bezcenna, ale jeszcze lepszą zrobiła Zosia, wszystkimi siłami powstrzymując się, by nie parsknąć śmiechem. Z pewnością kłótnia ta toczyłaby się dalej, gdyby nie to, że ktoś nagle uderzył w gong i do sali – zza czarnego, hebanowego ołtarza – weszło kilku ubranych w eleganckie garnitury agentów. Rozstawili się oni natychmiast wzdłuż owalnego podwyższenia, rozglądając się czujnie wkoło. A kiedy gong zabrzmiał po raz drugi, zza tryptyku zaczęły wyłaniać się z wolna odziane w czarne płaszcze, zakapturzone postacie, których twarze zasłonięte były srebrnymi, przepięknie zdobionymi maskami. Antkowi natychmiast skojarzyły się one z tą, którą nosił trędowaty król Jerozolimy w filmie *Królestwo Niebieskie*.

Gdy tylko tajemniczy członkowie Najwyższej Kapituły poczęli ustawiać się w półkolu, każdy przed swoim tronem, cała sala natychmiast ucichła.

– Ci agenci, którzy ich wprowadzali, to Chorsi – skomentowała dyskretnie Zosia, szepcząc Antkowi do ucha i niemalże muskając go przy tym swoimi gorącymi wargami.

Chłopak był niemal pewny, że Zosia zrobiła to teraz tylko po to, żeby zagrać Lili na nerwach. Nie zamierzał jednak jej tego utrudniać, dlatego też wbrew obiekcjom swojej opiekunki chętnie podjął szeptaną konwersację.

– Wiem, Zamoyski mi o nich wspominał. Muszę jednak przyznać, że nie sprawiają wrażenia wyjątkowych twardzieli. Inaczej ich sobie wyobrażałem – stwierdził.

– Nie sprawiają, ale są... To absolutna elita. Miałam okazję poznać jednego z nich na szkoleniu z bezpieczeństwa cybernetycznego. To ten chudy siwy po lewej. – Wskazała wzrokiem. – Nazywają go Kłoda. Koleś potrafi dostrzec i zapamiętać ciąg dziesięciu tysięcy cyfr bądź liter wyświetlonych w przeciągu jednej dziesiątej sekundy. W porównaniu do tego pospolita pamięć fotograficzna to dziecinada...

– Ale zapamiętywanie cyferek chyba nie powoduje tego, że są tak niebezpieczni – wyszeptał najciszej, jak tylko potrafił, Antek.

– Wszyscy mają zdobyte najwyższe możliwe poziomy we wszelkich znanych nam sztukach walki. Kiedyś ponoć w jednym z gruzińskich barów natknęli się na chińską reprezentację olimpijską judoków. Zaczęło się oczywiście od słowa, a skończyło na tym, że władze komunistycznej partii Chin musiały tuszować pobyt ich kadry w szpitalnym oddziale ratunkowym w Tbilisi. – Dziewczyna dotknęła chłopaka ustami w małżowinę uszną.

– Zamkniecie się w końcu czy nie?! – zza pleców po raz kolejny dobiegł ich strofujący głos Lili.

Antek nie zdążył jej na to już nic odpowiedzieć, gdyż w tym samym momencie po sali poniósł się echem tubalny głos jednego z członków Najwyższej Kapituły.

– Jesteśmy sumieniem, korzeniem i duchem narodu! – wyrecytował tekst, który widniał na szczycie nasady ołtarzowej, po czym dodał gromko: – *Polonorum Imperio!*

– *Semper fideles!* – z hukiem odpowiedziała mu cała sala.

– *Amor Patriae!* – zawołał ponownie.

– *Nostra lex!* – odrzekł chórem cały tłum.

Po tych niosących się echem, ponadczasowych słowach, po których Antek dostał gęsiej skórki, przemawiający zakapturzony mężczyzna podszedł do gabloty z relikwią, a reszta Najwyższej Kapituły zasiadła na swoich szarych, marmurowych tronach.

– Kadet Skrzetuska! – zawołał nagle, biorąc do ręki włócznię świętego Maurycego, co bardzo zszokowało Antka, gdyż nie spodziewał się, że tak szybko i bez żadnego wstępu Najwyższa Kapituła przejdzie do rytuału zaprzysiężenia.

Zosia – również jakby lekko zaskoczona tak szybkim wyczytaniem jej osoby – wspięła się na podwyższenie, a w ślad za nią ruszyła jakaś starsza, tęga i wysoka agentka, która pełniła rolę jej świadka. Kobieta przejęła od zamaskowanego mężczyzny włócznię. Zosia uklękła przed zasiadającą na tronach kapitułą i zaczęła

głośno recytować treść przysięgi. Obserwujący to z ciekawością Antek zdał sobie nagle sprawę, że z powodu całego zamieszania z Bojarem nie zdążył ostatni raz powtórzyć treści formuły, dlatego po cichu recytował razem z hakerką.

Czuć było teraz wkoło, że atmosfera zrobiła się bardzo podniosła i mistyczna. Zaczęło się to udzielać również chłopakowi, który zaczął nagle podświadomie i nerwowo ruszać swoją zdrową nogą. Gdy Zosia skończyła wypowiadać słowa przysięgi, świadkowa natychmiast, bez cienia zachowawczości, szybkim ruchem rozcięła wewnętrzną część jej lewej dłoni. Krew trysnęła na posadzkę, jednak młodziutka kadetka nie pokazała po sobie nawet grama grymasu. Następnie prowadzący ceremonię członek kapituły podał jej do ucałowania Biblię oraz krucyfiks, po czym skinął głową na znak przyjęcia przysięgi i zaraz po tym obie panie zeszły z podwyższenia, udając się na prawą stronę Sali Ceremonialnej.

Dopiero teraz Antek zauważył, że pod ścianą, między dwiema marmurowymi kolumnami, stała duża drewniana beczka, którą wcześniej zasłaniała mu grupa starszych agentów. Zosia wdrapała się do niej, a świadkowa, kładąc rękę na jej głowie, wepchnęła ją pod taflę.

– Kadet Czeczot! – W tym samym czasie celebrans wezwał kolejnego z kadetów, jednak Antek nie zwrócił na to uwagi, gdyż cały czas z zaciekawieniem obserwował Zosię, do której świadkowa mówiła coś teraz uważnie, jednocześnie wycierając jej głowę białym, lnianym ręcznikiem.

Z czasem wywoływano kolejne osoby. Kadet Hebron! Kadet Zamoyski! Kadet Kruszyński! Kadet Agat! Kadet Herald! Kadet Wisławska! – z każdym kolejnym padającym pseudonimem czy nazwiskiem Antek zaczął się coraz bardziej niecierpliwić. Jak na złość jakiś cichy głos z tyłu głowy zaczął mu podpowiadać, że widocznie w ostatniej chwili kapituła zmieniła zdanie w jego sprawie, tak więc będąc już całkowicie zestresowanym, z pytającym wyrazem twarzy odwrócił się w stronę Lili, która tym razem uśmiechnęła się do niego zaskakująco przyjaźnie i uspokajająco.

– Kadet Miko! – wywołał go jako ostatnią osobę celebrans.

Antek, gdy tylko usłyszał swoje wyczekiwane w zniecierpliwieniu nazwisko, ruszył jak z kopyta, nie zważając na swoje ograniczenia związane z nie do końca sprawną nogą. Zanim jednak postawił pierwszy krok na podwyższeniu, demonstracyjnie upuścił kule.

– Co ty wyprawiasz?! – usłyszał za sobą nerwowy szept Lili. – Już załatwiłam z dowództwem, żebyś nie musiał robić tutaj scen i klękać z niesprawną nogą! Weź te kule! – dodała zaniepokojona.

Antek odwrócił się jednak do niej spokojnie i półszepem odpowiedział:

– To najważniejsza chwila w moim życiu. Nie pójdę do przysięgi jak niedołęga. Nie martw się, nie musisz mi pomagać...

Tak więc z bólem wspiął się na podwyższenie, po czym z lekkim zdenerwowaniem rozejrzał się po sali, z której zaczęły dobiegać do niego pojedyncze szepty. Kapituła również sprawiała wrażenie poruszonej osobą Antka, a zwłaszcza jedna z zakapturzonych postaci, która pomimo twarzy schowanej za srebrną maską ewidentnie zdradzała swoim wzrokiem żywe zainteresowanie. W końcu celebrans białą chustą wytarł włócznie z krwi poprzednika i podał ją Lili, natomiast Antek, chwiejąc się niebezpiecznie na nogach, wykonał swój pierwszy ruch do przyklęku.

Niestety innego scenariusza być nie mogło – chora noga ugięła się nagle pod ciężarem całego ciała i Antek gruchnął na kamienną posadzkę z głuchym łoskotem. Lili, widząc to, zawahała się przez chwilę – wyraźnie speszona sytuacją – ale po chwili podała kadetowi rękę, aby pomóc mu się podnieść. Chłopak spojrzał jej głęboko w oczy i również po chwili namysłu odwzajemnił uścisk, łapiąc ją mocno za prawy nadgarstek.

Gdy w końcu uklęknął w miarę stabilnie, na chwilę zamknął swoje oczy, by przypomnieć sobie ojca i matkę, którzy od dziecka przygotowywali go do tej chwili i z takim obrazkiem przed oczami zaczął wypowiadać słowa przysięgi.

– Ja, Antoni Miko, sługa Rzeczypospolitej Polskiej, przed Bogiem Wszechmogącym, który stworzył narody i dał im swoje miejsce i czas na ziemi, na

Słowo Boże i Krzyż Przenajświętszy przysięgam: stać w obronie ukochanej Polski i wiernych jej rodaków, nawet gdybym sam w tej walce na świecie zostać musiał. Do śmierci o prawdziwą niepodległość swej ojczyzny zabiegać, nawet jeśli zdrada bądź głupota rządzących stanie mi na drodze! Przysięgam ponadto być posłusznym i wiernym zasadom Polonorum, a nade wszystko swoim dowódcom i Najwyższej Kapitulie. Przynajmniej także wszelkie tajemnice organizacji zabrać ze sobą do grobu, choćby to największe katusze kosztować mnie miało, i wraz z moimi braćmi bezinteresownie Wielką Polskę do chwały, potęgi i praworządności prowadzić. Zdrajców ojczyzny zaś tropić i na sąd boski w razie konieczności odsyłać! Przysięgę tę krwią własną pieczętuję i do przelania jej świadka mojego przed Bogiem Najwyższym powołuję! – wyrecytował z niespotykanym dzisiejszego wieczoru zacięciem, po czym Lili zdecydowanym ruchem nacięła jego dłoń.

Następnie celebrans podał Antkowi do pocałowania Pismo Święte oraz krucyfiks i nieznacznym ruchem zakapturzonej głowy wskazał na beczkę z wodą, która znajdowała się po jego prawej stronie. Wtedy to wydarzyła się rzecz niespotkana – gdy Antek próbował stanąć na nogi, jeden z członków kapituły podszedł do niego i pomógł mu wstać. Był to ten sam człowiek, który wcześniej przyglądał mu się uważnie spoza oblicza srebrnej maski. W sali zapanowało ogólne poruszenie, nawet sam celebrans, zaskoczony tym widokiem, zastygł przez chwilę w bezruchu, a gdy Antek, z bezprecedensową pomocą członka kapituły stanął w końcu na nogi, ten przemówił nagle do tłumu spokojnym, młodzieńczym głosem:

– Oto człowiek, który zjawił się tu w nietypowych okolicznościach... Wykazał się on niesamowitym uporem i determinacją, aby móc znaleźć się w waszych szeregach! Determinacją, którą niektórzy z was muszą jeszcze wykazać... Przyjmijcie go tu jak swego i dajcie mu kredyt zaufania, który mu się należy, ale miejcie też na niego oko! A gdyby zszedł z drogi patriotyzmu i zdradził nas, marnotrawiąc ten kredyt, niech kara dla niego będzie stokroć surowsza, niż kiedykolwiek była wymierzana tutaj zdrajcom! – zaznaczył groźnym tonem, po czym spojrzał na Antka spoza srebrnej maski swoim przenikliwym wzrokiem.

Chłopak również przyjrzał się uważnie migocącemu blaskiem płonących świec, metalicznemu obliczu i podobnie jak reszta tu obecnych zrozumiał, że ma do czynienia właśnie z Piotrem Kowalem. Jednak dzięki tej niespodziewanej aprobacie poczuł nagle tak ogromny przypływ energii, iż niemal całkowicie zapominając o uszkodzonej nodze, przytaknął z wdzięcznością swojemu protektorowi, po czym energicznie ruszył w stronę wielkiej drewnianej beczki.

Tam za to poszło mu już o wiele sprawniej niż z niefortunnym przyklęgnięciem. Dzięki wyjątkowo silnym ramionom Antek wsparł się o krawędź drewnianego zbiornika i błyskawicznie przerzucił swoje ciało do środka. Natomiast Lili położyła mu rękę na głowie i mocnym pchnięciem wcisnęła go pod tafłę lodowatej wody. Gdy chłopak się wynurzył, ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał, że dziewczyna czeka na niego z białym ręcznikiem w ręce, ale także wyrazem twarzy o wiele serdeczniejszym niż dotychczas. Nie zwlekając ani chwili, położyła ona Antkowi na głowie przyjemnie miękką tkaninę i powiedziała do niego tak ciepło i spokojnie, jak nigdy wcześniej:

– Teraz popatrz mi w oczy, bo tego wymaga ta przysięga.

Antek zrobił to, o co poprosiła, i gdy ona delikatnie wycierała mu włosy i twarz, dostrzegł w jej spojrzeniu wyraźnie, że choć zaistniała sytuacja nie jest dla niej łatwa, to jednak traktuje swoją rolę świadka bardzo poważnie.

– Obmyśłeś się z dawnego życia, dawnych ambicji, planów i pożądań – zaczęła surowym, choć przyjemnym tonem – od dziś będziesz już całkowicie oddany służbie ojczyźnie i woli organizacji. Jako twój świadek szczerze przyrzekam bronić cię w niebezpieczeństwie, a w razie potrzeby poświęcić za ciebie własne życie. – Kapitan cały czas spoglądała Antkowi w oczy. – W razie zaś twojej zdrady, przyrzekam odnaleźć cię i jako pierwsza wykonać na tobie wyrok śmierci – dodała, po czym westchnęła ciężko.

– Nie wierzę – wyszeptał osłupiały Antek.

– W co nie wierzysz? – zapytała Lili, lekko speszona reakcją, ale nadal serdeczna i spokojna.

– To znaczy... Chciałem powiedzieć – motał się zakłopotany – że nie spodziewałem się, to znaczy, nie wiedziałem...

– Czego nie wiedziałeś? – wtrąciła w końcu dziewczyna, aby ułatwić Antkowi sformułowanie własnych myśli.

– Nie wiedziałem, że pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, tych wszystkich nieprzyjemności, na które cię naraziłem... Że będziesz musiała mi coś takiego przyrzekać... – wydukał.

– Nie drażmy już tego... Mam tylko nadzieję, że nie będę musiała wypełnić ostatniej części mojej przysięgi – zaznaczyła.

– Jak mi Bóg miły, nigdy w życiu!

– Wiesz... Może i dobrze się stało, że wtedy źle wycelowałam i nie wpakowałam ci tej kulki w łeb – zdobyła się na odważne wyznanie, po raz pierwszy szczerze uśmiechając się do chłopaka.

– A ja tam dalej myślę, że to nie była pomyłka... – Antek odwzajemnił uśmiech.

– Myśl sobie, co chcesz, agencie Miko... Wytarłam ci już włosy, więc na tym koniec ceremonii. Wyskakuj teraz z beczki, bo ludzie zaczynają na nas dziwnie patrzeć – zauważyła.

– Wydaje mi się, że mogłabyś je wytrzeć jeszcze dokładniej... – zażartował.

– Nie podniecaj się tak, to tylko symboliczny gest. – Lili zawiadacko rzuciła w Antka ręcznikiem.

– A wpadniesz potem na imprezę do Rotmistrzowskiej? – zapytał z nieukrywaną nadzieją w głosie.

– Yyyy... Nie! – odpowiedziała po chwili zawahania, wracając do swojego dawnego stanowczego tonu.

– Dlaczego nie?

– Muszę być tu jeszcze obecna podczas ceremonii zaprzysiężenia nowych oficerów i generałów, poza tym mam jeszcze dziś dużo pracy, a rano muszę wracać do Krakowa... – wyjaśniła.



– Nie mów mi, że będziesz jeszcze dzisiaj coś robić – sprzeciwił się Antek, bagatelizując odmowę.

– Skoro powiedziałam, że nie dam rady, to nie dam rady... – Westchnęła.

– Nie przesadzasz czasem? Dzisiaj nikt już tutaj nie pracuje.

– Ale ja nie jestem nikt – odparła zdawkowo Lili.

– Czy ty zawsze jesteś taka uparta?

– Proszę cię, Miko, nie przeginaj... – ostrzegła delikatnie dziewczyna.

– No dobra, już nic nie mówię – poddał się w końcu Antek, czując, że całkiem miła atmosfera, którą poczuł przez moment, zaczyna się niechybnie ulatniać.

– No to co... Powodzenia w organizacji – odpowiedziała mu Lili.

– Dzięki... Tobie też... – odparł posępnie chłopak.

– Trzymaj się – zakończyła dziewczyna, po czym pośpiesznie obróciła się na pięcie, znikając w tłumie.

Antek chciał jeszcze za nią zawołać, ale na szczęście w porę ugryzł się w język. Tak więc, nieco rozczarowany stanowczą odmową, ale zdecydowanie bardziej zadowolony z tego, co się dziś wydarzyło, wydostając się w końcu z beczki i wracając po swoje kule, zdał sobie sprawę, że chociaż dawno nie jest już tym małym chłopcem z sennego koszmaru, to jednak gdzieś w najskrytszych zakamarkach duszy najbardziej boli go to, iż żaden z jego rodziców nie doczekał tego wyjątkowego dnia.

# Odprawa

Minęła trzecia w nocy, a przy stoliku jajogłowych pękły już trzy zero siódemki johnnie'ego green label i litrowy, osiemnastoletni benRiach. Mimo to Antek wraz ze swoją nową paczką, czyli Zosią Skrzetuską, Lancą, Budrysem i Oskarem Kruszyńskim, nie zamierzali wcale opuszczać lokalu. Procenty dały się im mocno we znaki, toteż żywo dyskutowali na wszystkie możliwe tematy, począwszy od starych kultowych gier komputerowych po najnowsze modele karabinów szturmowych.

Cała grupa udała się oczywiście wcześniej na laserowe usuwanie blizn, gdzie przy okazji Antek umówił się na kolejny zabieg mający na celu zniwelowanie swoich dwóch dopiero co nabytych skaz, pozostałych mu po pamiętnym starciu z panią kapitan Lili oraz dowódcą grupy śląskiej, Bojarem. Po zakończeniu ceremonii oraz niezbędnych zabiegów kosmetycznych cała piątka jak jeden mąż czuła tak wielką chęć zresetowania i odprężenia się przy czymś mocniejszym, iż nie przebijając się nawet z mokrych ceremonialnych szat, pośpiesznie udała się wprost do baru.

Tego wieczoru humanoid w wersji bartendera miał pełne ręce roboty, gdyż w Rotmistrzowskiej zgromadziło się ponad pięćdziesięciu agentów. Również do stolika, przy którym siedział Antek wraz ze swoją nową paczką, co chwilę trzeba było donosić kolejne trunki, gdyż stale dosiadali się do nich jacyś podchmieleni, zaciekawieni chłopakiem starsi agenci i w ferworze dyskusji zawartość butelek znikwała w mgnieniu oka.

– Odkąd siedzisz przy naszym stoliku, cały czas ktoś chce z nami gadać. Do tej pory takie zainteresowanie w naszej ekipie wzbudzała jedynie Zosia – zwrócił się do Antka Lanca, wrzucając sobie kostki lodu do świeżo napełnionej szklanki whisky.

– No widzicie, chłopaki, dobrze wiedziałam, kogo do nas ściągnąć... – powiedziała dumnie dziewczyna, wypinając pierś.

– Dobra, już dobra, nie przesadzajcie – skomentował Antek, ale i on zauważył, że po niespodziewanym apelu, jaki do obecnych na ceremonii agentów wystosował jeden z członków kapituły, w którym rozpoznano Kowala, sporo ludzi chciało z nim zamienić parę zdań i dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości.

– Bo widzisz, Antek – zaczął tłumaczyć Oskar Kruszyński – do tego wyjątkowego miejsca można się dostać jedynie na cztery sposoby. Pierwszy, gdy jesteś sierotą z biduła, która wykazuje ponadprzeciętne zdolności. Drugi, jeśli jakaś wtajemniczona w organizację rodzina anonimowo odda cię do „Świtezi”. Trzeci, gdy rodzina oficjalnie odda cię do organizacji, czyli tak zwaną drogą jawną, z rodu, oraz czwarty sposób, którym jest wtajemniczenie do naszego grona poprzez decyzję kapituły w zamian za wybitne poświęcenie dla kraju i postawę absolutnego patrioty. To zdarza się bardzo, bardzo rzadko...

– Tak, wiem, już mi to wytłumaczono – oznajmił Antek.

– Domyślam się, ale mi chodzi o to, że ty chyba po raz pierwszy w najnowszej historii Polonorum wymyśliłeś sobie piąty sposób i wszedłeś tu całkiem sam, na własne życzenie... I co najważniejsze, nadal żyjesz. Twoje zdrowie, Antek! – dodał, podnosząc szklankę w geście toastu.

– Dokładnie – potwierdziła Zosia. – Dlatego właśnie wzbudzasz takie zainteresowanie u reszty agentów, nie pomijając oczywiście faktu, że jesteś całkiem... – dodała tajemniczo.

– Całkiem co? – zapytał Antek z głupkowskim uśmiechem, który idealnie odzwierciedlał jego poletane ego.

– Całkiem niegłupi – dokończyła Zosia, śmiejąc się z własnej wkrętki, na co Antek nieznacznie się zawstydział.

– Za to ty, Skrzetuska, jesteś już dobrze nawalona – wtrącił Lanca, chcąc koleżeńsko zripostować dziewczynie.

– Jak zwykle... – dodał Budrys, także stając po męskiej stronie racji.

– Ej! Co to ma znaczyć „jak zwykle”? – nieudolnie oburzyła się dziewczyna. – Nie róbcie mi tu jakiejś antyreklamy – zachnęła się, uderzając otyłego kolegę łokciem w brzuch.

I tak przyjacielska rozmowa trwała w najlepsze, aż w końcu Antek zauważył, że na sali zostali już tylko oni... Dochodziła czwarta nad ranem i na ekranie umieszczonym nad polerowanym przez humanoida barem retransmitowano skrót najnowszych informacji z kraju i ze świata.

– Cicho! – zaapelowała nagle Zosia, zatykając dłonią usta Budrysa, który właśnie opowiadał jakiś niewybredny dowcip o programistach. – Uwielbiam słuchać tych informacji z publicznej... – wyjaśniła. – Zwłaszcza gdy znam już wersję nieoficjalną. Mam wtedy niezły ubaw z ludzi, którzy wierzą w te bajki, co wieczór serwowane im przez przesadnie wytapetowane babki w studiu – oznajmiła z rozbawieniem.

W programie informacyjnym pokazywano teraz zdjęcia z Brukseli oraz Strasburga, gdzie setki urzędników z kartonowymi pudełkami w rękach opuszczały niepotrzebne już nikomu budynki unijnej administracji. Nagle z drugiego kąta sali, od strony wejścia, doszedł do nich łagodny, znajomy głos należący do starszego mężczyzny:

– Tak, dzieciaki, bawcie się dziś, ile się tylko da! Potem nie będzie już ku temu tak częstych okazji – oznajmił z uśmiechem.

– Witamy, panie generale! – zawołał Oskar Kruszyński, a cała reszta natychmiast poderwała się z krzeseł.

Jednak generał Różewicz, unosząc przyjaźnie dłoń przed siebie, dał znać, aby nowo zaprzysiężeni agenci darowali sobie dziś żołnierską etykietę i pozostali na

swoich miejscach. Pomimo dobronudusznego wyrazu twarzy sześćdziesięcioletni mężczyzna wyglądał na bardzo przygnębionego i niewyspanego.

– Czy mogę z wami strzelić jednego ceremonialnego? – zapytał, podchodząc do stolika i rozkładając ręce w geście przywitania.

– Ależ oczywiście! To dla nas zaszczyt! – wypalił Budrys, a generał, nie zastanawiając się ani chwili, zajął wolne miejsce tuż obok Antka.

– Moi kochani – zaczął powoli – gdy już niebawem skończycie swoje szkolenia, będziecie nam bardzo potrzebni... Obawiam się, że nie będzie taryfy ulgowej i od razu będziecie mieli pełne ręce roboty... Idą dla Polski ciężkie czasy – poinformował sennym głosem, a Zosia natychmiast podała mu pełną szklanę bursztynowego trunku.

– Wie już może, pan generał, jaka będzie reakcja naszej organizacji na aktualną politykę zagraniczną naszego rządu – zapytał niespodziewanie Antek, żądny jakichkolwiek nowych informacji.

– Naszego? – zaśmiał się generał. – Widzę, że bardzo optymistycznie patrzysz na rzeczywistość, Miko – dodał, koleżeńsko poklepując chłopaka po ramieniu.

– Zwał, jak zwał, panie generale. Chodzi mi raczej o to, czy rzeczywiście jest aż tak źle z naszymi elitami, jak nam powszechnie wiadomo – doprecyzował, nie zrażając się żartobliwym zbagatelizowaniem jego pytania.

– Koniec Unii, według niektórych, ma oznaczać dla nas dawno wyczekany start w nową świetlaną przyszłość – oznajmił generał, nagle poważniejąc. – Środowiska wolnościowo-patriotyczne oczywiście cieszą się, że ten prosocjalistyczny twór w końcu pierdyknął i że lada dzień wystartujemy z kopyta niczym Anglia w dwa tysiące dwudziestym roku... Wierzą, że ustalane będą teraz nowe, korzystne, bilateralne umowy handlowe pomiędzy niezwiązanymi unijnymi ograniczeniami partnerami, i w ogóle, że będziemy tu mieli ekonomiczny i polityczny renesans... – Ponownie zaśmiał się sam do siebie. – Rzeczywistość jest jednak o wiele bardziej prozaiczna, gdyż w naszej części Europy Unia wcale się nie skończyła... To tylko ta sama maskarada, jaką moje pokolenie pamięta z czwartego czerwca

osiemdziesiątego dziewiątego. Wtedy też pani z telewizji powiedziała Polakom, że skończył się dla nas komunizm, podczas gdy najwyższe posady w państwie nadal obejmowali ludzie ze starego systemu – wyjaśnił, po czym pociągnął słuszny łyk zmrożonego trunku.

– Mówiąc, że Unia wcale się nie skończyła, ma pan oczywiście na myśli Holdę... – słusznie zauważył Lanca.

– Między innymi – przytaknął generał.

– Spokojnie, panowie, do nas się nie dobiorą... Jesteśmy bardzo dobrze zabezpieczeni. Co prawda domyślają się, że ktoś od lat mąci im wodę pod nosem, ale cały czas szukają tylko igły w stogu siana. A już nasza w tym głowa, by szukali jej nadal – oznajmiła Zosia, wskazując na siebie i Budrysa jako niepodważalną gwarancję bezpieczeństwa cybernetycznego.

– Zgadzam się z tym w stu procentach, panno Skrzetuska – przytaknął rozbawiony tą autoprezentacją Różewicz. – Ubolewam jednak na tym, że nadal nie mamy tak dużego wpływu na rząd, jaki byśmy chcieli mieć, a ten jest już prawie całkowicie ugadany z politycznymi wysłannikami Holdy. I co tu dużo mówić: polscy przedstawiciele tego zdradzieckiego procederu nie mają wcale w tej układance wiele do powiedzenia. Cały czas śledziliśmy ich rozmowy. Wyobraźcie sobie, że ci durnie nie mieli nawet z początku pojęcia, z kim się układają i z jak niebezpiecznymi ludźmi przyszło im się bratać... Myśleli, że będą dożywotnio ustawieni, bo jakimś szczęśliwym trafem załapali się do tajnej i elitarnej europejskiej frakcji, która otworzy im drzwi do posadek w South Streamie i Bóg wie, gdzie jeszcze... A gdy niektórzy z nich pokapowali się, że to nie jest wcale biznesowa zabawa i że w rzeczywistości mają dla Holdy odwalać czarną, wywiadowczą robotę na szkodę własnego kraju, wtedy przewencyjnie i dyskretnie pokazano im, co może się stać z ich rodzinami, jeśli nagle zapragną się wycofać z układu.

Nastąpiła chwila ciszy. Mężczyzna powoli wyciągnął srebrną papierośnicę, a następnie odpalił ręcznie skręcanego papierosa i już z o wiele bardziej zrelaksowaną miną kontynuował:

– Przemądrzałe durnie... Chciwe, bezmyślne, ślepe durnie... – powtórzył dosadnie. – Siedzą w tym gównie po szyję i żeby nie pójść na dno ze swoimi zgromadzonymi majątkami, muszą brnąć w to dalej. Zero honoru... – skomentował. – Może przynajmniej przekażą tym swoim resortowym potomkom na przyszłość, że jak coś z daleka pachnie Stasi, a co za tym idzie, KGB, to wiadomo, że w tym towarzystwie nie będzie dla Polaków żadnych kompromisów – zakończył, wydychając obszernie dym papierosowy, jakby to przynosiło mu ulgę.

– Nie da się na nich jakoś wpłynąć? Spowodować, by bali się bardziej konsekwencji, jakie mogą ich za to czekać w Polsce? – zapytała dociekliwie Zosia.

– Cały czas działamy w tym temacie – oznajmił generał, ponownie przechylając szkło. – Właśnie jutro grupa krakowska i śląska rozpoczną akcję na swoim terenie, którą następnie przejmą wyżej postawione grupy. Jest to po części związane z przerzutem bardzo niebezpiecznych prochów, o których właśnie w tej chwili mowa w telewizji... – Unosząc dłoń z dopalającym się między palcami papierosem, wskazał na program informacyjny, a wszyscy automatycznie skierowali głowy w stronę cieniutkiego jak żyłeczka ekranu firmy Novum Technology, który wisiał nad barem. Leciała w nim teraz powtórka konferencji ministra spraw wewnętrznych, na której wspomniano o dwudziestu trzech ofiarach syntetycznej heroiny, która jakiś czas temu pojawiła się na polskim rynku.

– Wiem, co to jest. Analizowaliśmy te prochy na zajęciach – wyrwał się Lanca. – To tak zwana gorąca śmierć – skomentował.

– Dokładnie... I to właśnie dziś ostatecznie udało się nam potwierdzić, że ta syfiasta heroina w stu procentach pochodzi z chińskiej produkcji. Z tym że Chiny ludowe produkują ją za symboliczną kwotę na wydzierżawionych od Rosji terenach przemysłowych, które stały się już właściwie suwerennymi, gospodarczymi chińskimi enklawami – wyjaśnił, gasząc tłącego się ostatkiem żaru skręta.

– Oczywiście Rosjanie mają procent ze sprzedaży tego towaru – domyślił się Antek.

– Zgadza się. Za to Holda trzyma łapę na dystrybucji tego towaru na całą Europę. Dogadali się z Chińską Partią Komunistyczną i przerzucają ją przez obwód kaliningradzki, a następnie, po wwiezieniu jej na terytorium Polski, rozdzielają dostawy na poszczególne rynki europejskie.

– Czyli, że mamy tutaj także polski akcent – ponownie zauważył Antek.

– Tak – potwierdził generał. – Nad tranzytem tego gówna przez nasz kraj czuwa już kilku gości z MSW. – Różewicz wykrzywił twarz na znak obrzydzenia.

– A co to jest dokładnie za substancja? – dopytał chłopak, poruszony tym tematem.

– To bardzo złożona mieszanka, nowoczesne syntetyczne dragi, silnie uzależniające – wytłumaczyła Zosia.

– A jakie są skutki brania tego świństwa?

– Po jej zażyciu z początku czujesz się lepiej niż po najczystszym towarze sprowadzanym tu dla celebrytów. Przede wszystkim jest ona względnie tania i bardzo długo trzyma. Już dzięki niewielkiej dawce możesz nie spać nawet trzy doby, doznając przy tym maksymalnych doznań seksualnych, a poza tym doskonale zagłusza kaca i wyostrza smak do tego stopnia, że nawet najgorsze żarcie smakuje jak w trzygwiazdkowej restauracji – objaśniła szczegółowo.

– Dlatego młodym ludziom tak trudno jej sobie odmówić – wtrącił Oskar Kruszyński. – Jednak jeśli ktoś nie ma żadnych hamulców, to już zaledwie po kilku dniach intensywnego brania, a następnie nagłego odstawienia, może nawet wykitować.

– Zabawne jest to, że w Chinach nadal obowiązuje zakaz posiadania prochów pod karą śmierci, a na ruskiej ziemi ich chińska produkcja hula dwadzieścia cztery godziny na dobę – zaśmiał się Lanca.

– Trzeba pamiętać, że prócz długofalowego planu rozkładu cywilizacji Zachodu, jaki realizują komunistyczne Chiny, działalność ta przynosi im dodatkowe wpływy finansowe. Tylko w ostatnim miesiącu przetransportowali do Europy towar warty półtora miliarda dolarów – wyjął generał.



– To daje do myślenia... I tłumaczy, dlaczego w ten deal włączyli się także polscy politycy, nie bojąc się zaryzykować – zauważył Antek.

– Drogi panie Miko, wystarczy, żeby z tego stołu kapnęło im co miesiąc chociaż z pół procenta od całości... A pamiętajmy, że ten towar nabierze potem jeszcze większej wartości, gdy dotrze w końcu na Wyspy Brytyjskie, do Skandynawii czy też przez Gibraltar rozleje się na całą nieszczęsną Afrykę. Dopóki tego szlaku będą pilnować służby państwowe, inne mafie narkotykowe nie mają z nimi żadnych szans – dodał generał.

– Nie rozumiem, jak ludzie tego jeszcze nie dostrzegają... Przecież to już na gołe oko widać, że oni szykują nam tutaj istną Eurazję! Najpierw zalewają nas covidem i swoją tandetną produkcją, niszcząc przy tym naszych rodzimych przedsiębiorców, a do tego systematycznie właczają w nasze społeczeństwo strach będący ich socjotechnicznym narzędziem wynikającym z wrodzonej turańskości! – podniósł głos oburzony Lanca.

– Słuszna ocena! Równe dziesięć lat temu, rzekomo pochodzący z nieświeżego śledzia covid całkowicie sparaliżował cywilizację zachodnią, pozwalając Chinom w pewnym sensie wygrać wybory w Stanach Zjednoczonych i o mało nie doprowadził zachodniej gospodarki do skraju bankructwa – przypomniał Oskar.

– Podczas gdy chińska gospodarka hulała sobie wtedy w najlepsze... – dodał Antek.

– Dlatego pamiętajcie, moi drodzy – oznajmił generał, wstając nagle od stołu i dając do zrozumienia, że na niego już czas – pierwsza zasada działania wszelkiej maści komunistów brzmi: „chcesz zmienić rząd, wymień społeczeństwo na nowe” – zacytował. – A najlepiej na takie, które pochodzi z innego kodu kulturowego i cywilizacyjnego... – dodał, poprawiając sobie skrzętnie poły wysłużonej już marynarki.

– Święta racja, panie generale – zaaprobował Oskar. – Globaliści doskonale wiedzą, że społeczeństwa, którym bliskie są wartości konserwatywne

i patriotyczne, zawsze będą przeszkodą w zbudowaniu ponadnarodowego ładu i porządku.

– Dlatego my nigdy nie złożymy broni! – zapewniła Zosia.

– Miło mi było to wszystko słyszeć z waszych ust, kochani, i choć w Rotmistrzowskiej przyjemnie mija czas, to niestety muszę się już z wami pożegnać. Jak już wspomniałem, będziemy mieli w najbliższych dniach pełne ręce roboty – przypomniał, przytakując na pożegnanie.

– W takim razie dobrej nocy, panie generale – powiedział entuzjastycznie Antek, rad, że tym razem mógł spotkać się z Różewiczem w zgoła lepszym położeniu.

– Chciałeś powiedzieć dobrego poranka... – zauważył dowódca. – Ale rozumiem cię doskonale, Miko. Gdy byłem w waszym wieku, nieważne, czy to czwarta czy piąta rano, dla twojego ojca i reszty moich kolegów noc była zawsze młoda... – Generał się zamyślił, jakby nagle uciekł gdzieś daleko pamięcią. – Tak... Ksawery był ode mnie dużo starszy – wyznał, błędząc wzrokiem gdzieś w najskrytszych, przyjemnych wspomnieniach. – Mimo to przez długi czas się przyjaźniliśmy... Ostatni raz widziałem go dwadzieścia pięć lat temu, ale dziś, siedząc koło ciebie, miałem przez chwilę wrażenie, jakbym znowu rozmawiał z nim przy partyjce pokera. – Westchnął, uśmiechając się nieznacznie.

– Dziękuję, panie generale, to dla mnie bardzo ważne – wyznał Antek z największą powagą, jaką tylko potrafił z siebie wykrzesać.

– Powodzenia, panie Miko. – Generał koleżeńsko poklepał Antka po ramieniu, po czym bez zbędnych konwenansów udał się do wyjścia.

Chwilę po tym gdy obdarzony niepospolitą charyzmą dowódca opuścił salę Rotmistrzowską, wycieńczona świętowaniem grupa jajogłowych jednogłośnie zdecydowała się zakończyć imprezę. A gdy wracali już do swoich pokojów, boso stąpając po zmarzniętej ziemi, odziani jedynie w nadal wilgotne i skąpo prezentujące się togi, natknęli się niespodziewanie na idących od strony zamku Dominika Zamoyskiego, Czeczota oraz Daria. Byli oni równie dobrze wstawieni,

co osobliwa grupa naukowców, ale w przeciwieństwie do nich wystroili się w bardzo eleganckie, niewątpliwie drogie garnitury, którymi zapewne czarowali podczas odbytego tournée po nocnych kaliskich klubach.

Po krótkiej wymianie pijackich uszczypliwości pomiędzy obiema grupami Antek i Lanca dołączyli w końcu do swoich współlokatorów i udali się w kierunku bursy o numerze C-2. Gdy jednak chłopak, idąc o kulach, jako ostatni dotarł do budynku, otwarcie drzwi wejściowych uniemożliwiła mu nagle wyrosła jakby z podziemi, smukła, delikatna ręka Zosi.

– Mam dzisiaj dyżur w stadninie. Pomyślałam, że może masz ochotę mi pomóc – rzuciła prosto z mostu, nie zważając na zaskoczoną minę Antka, który nawet nie zauważył, że dziewczyna cały czas podążała jego śladem.

– Yyyy... Zosiu, szczerze to... Nie wiem, czy w tym stanie będę ci dzisiaj w czymkolwiek przydatny – odpowiedział, szczerze zaskoczony tą propozycją.

– Matko kochana, ale ty się od wszystkiego wzbranasz... – Westchnęła niepokieszona. – Naprawdę jesteś taki wycofany czy tylko takiego udajesz? – obruszyła się.

– Trudno powiedzieć... Zależy od dnia... Ale zapewniam cię, że nikogo przed tobą nie udaję... – wyjaśnił lakonicznie.

– Okej, powiedzmy, że rozumiem... – Zosia z uśmiechem pokręciła głową. – Ale mimo twojego braku jasnego określenia się wpadnij do stadniny! Pogadamy sobie, nie będzie mi tak nudno jak zwykle. Ja będę czyścić konie, a ty po prostu siądziesz wygodnie i sobie popatrzysz – zaproponowała. – Na konie oczywiście! – dodała z uśmiechem, zdając sobie sprawę z dwuznaczności wypowiedzianych słów.

– Zdajesz sobie sprawę, że to będzie dla mnie męczarnia – odpowiedział tajemniczo Antek.

– Masz na myśli moje towarzystwo czy zbliżający się właśnie wielkimi krokami, nieunikniony kac? – zapytała podejrzliwie.

– Kac owszem, może być problemem, ale nie to miałem na myśli... – Roześmiał się.

– A co?

– Ja po prostu uwielbiam jeździć konno, a aktualnie nie wiem, czy byłbym w stanie wskoczyć chociażby na kucyka – wyznał, robiąc przy tym bolesną minę i unosząc demonstracyjnie swoje kule.

– Dobra, dobra! Nie ściemniaj już! – Zosia zadziornie wycelowała swój wskazujący palec w sam środek odsłoniętego torsu Antka. – Bądź dziś o dziewiątej, i bez wymówek! – rozkazała.

– Dziewiątej wieczorem? – dopytał niepewnie.

– Oczywiście, że rano! – poprawiła go.

– Oszalałaś?! – wypalił chłopak.

– No dobra, niech ci będzie... Dziewiąta trzydzieści? – zaproponowała dziewczyna z nadzieją w głosie.

– Przecież o tej godzinie będę jeszcze pijany – wymigiwał się Antek.

– Ojejku! Narzekasz jak stara baba... – Hakerka z niecierpliwością pokręciła głową.

– Zosiu! Zdajesz sobie sprawę, że jest piąta rano?

– No już nie daj się tak prosić... – Dziewczyna westchnęła. – Pokażę ci naszą stadninę! To nasz prawdziwy powód do dumy – zachęcała. – Co prawda kiedyś świeciła pustkami, ale ostatnio Kował dobrze w nią zainwestował. Mamy w niej dwanaście klaczy i sześć ogierów z Janowa Podlaskiego. Nadal cię to nie przekonuje? – zapytała z nieukrywanym zdziwieniem.

– Dobrze, już dobrze... Wystarczy tego wiercenia dziury w brzuchu – roześmiał się na powrót Antek. – Stawię się na dziewiątą trzydzieści! – oznajmił z nieudawanym entuzjazmem. – Ale nie ręczę za mój stan – dodał natychmiast.

– Na pewno dasz radę! – zapewniła dziewczyna. – A tymczasem śpij dobrze, bo ja na pewno padnę do łóżka jak kłoda! Szczerze mówiąc, trochę jednak dzisiaj przeholowałam... – Posyłając buziaka Antkowi, odwróciła się dumnie na pięcie i z nieukrywanym zadowoleniem ruszyła w swoją stronę.

– Nawzajem... – westchnął sam do siebie Antek i ledwo pohamowując pokusę, która nakazywała mu kontynuowanie tej nocnej schadzki w jedynym rozsądnym dla każdego „zdrowego” faceta kierunku, udał się do swojego pokoju, gdzie czekało na niego ciepłe, upragnione łóżko.

Nazajutrz wprawdzie obudził się równo o dziewiątej, zgodnie z alarmem ustawionym w swoim smartplastrze, jednak po zaczerpnięciu głębszego oddechu wysuszonymi na wiór ustami i nieznacznym otwarciu przekrwionych i zapuchniętych oczu, bardzo szybko poległ w starciu z miażdżącą, skacowaną rzeczywistością. Błądząc więc palcem po wibrującej powierzchni ekranu dotykowego, po omacku włączył opcję „drzemki”, która zapewniała mu kolejne kilkanaście minut zbawiennego snu.

Jak się można było domyślić, Antek niemal natychmiast na powrót zanurzył się w błogą, senną czeluść, która bardzo szybko – zresztą nie pierwszy już raz – przyjęła formę dobrze znanej mu, wiejskiej kuchni przepełnionej aromatem przygotowywanego obiadu. Jak zwykle w tym nawiedzającym go co jakiś czas śnie leżał na drewnianej, kuchennej ławie i wpatrując się w sufit, co chwilę zerkał w swoją lewą stronę, sprawdzając, czy mama także znajduje się w pobliżu. Niestety i tym razem nie mógł dostrzec jej twarzy, gdyż młoda kobieta odwrócona była do niego tyłem. Jedynym wyjątkiem, jaki Antek dostrzegł, było to, że tym razem nie krzątała się ona wkoło starego kafłowego pieca, lecz siedziała za klawiaturą czarnego, bardzo wysłużonego już pianina.

– Antoś, zgadnij, co to za melodia – zwróciła się do niego nagle delikatnym i kojącym głosem.

Antek naturalnie znał linię melodyczną tego utworu na pamięć – matka grała mu ją przecież dziesiątki razy – jednak w tym momencie żadnym sposobem nie mógł przypomnieć sobie tytułu. Zmysłowa muzyka płynęła więc dalej, a on wciąż usilnie próbował odgadnąć melodię zgodnie z prośbą mamy. W końcu ogarnęły go z tego powodu paralizująca bezsilność i coraz większe zdenerwowanie, a obraz rodzinnego domu jak na złość zaczął się ponownie rozmywać.

Przeciwnie zaś do tego miały się dźwięki pianina, które teraz nieprzyjemnie i natarczywie zaczęły kłębić się w jego głowie. Nagle do Antka dotarł kolejny elektryzujący bodziec, który niczym zimne ukłucie przeszył i zdominował wszystkie zmysły naraz. Zapewne to ogólnie znane, niemiłe doznanie przeżył chyba każdy, komu choć raz w życiu zdarzyło się ocknąć ze świadomością, że po prostu zaspał i najzwyczajniej w świecie spóźnił się na coś niezmiernie ważnego.

– Tak! Już wiem! To walc a-moll Chopina! – przypomniał sobie w końcu, tracąc jednak bezpowrotnie kontakt z sentymentalną, senną rzeczywistością. – Grała mi go matka! – dodał z utęsknieniem i natychmiast po tym tysiące myśli, niczym rwący potok, naraz dotarło do jego świadomości, wypełniając boleśnie dopiero co trzeźwiejącą głowę.

– Ej, stary! No weź i zrób coś z tym! Ta melodyjka gra już od trzech minut! Zlituj się nad nami i odbierz ten telefon, w przeciwnym razie ten dzwonek porozsadza nam wszystkim głowy! – do uszu Antka dobiegł niespodziewanie pretensjonalny głos mocno zachrypniętego Dominika Zamoyskiego.

– Szlag! Ta melodia to przecież dzwonek mojego telefonu! – Antek poderwał się panicznie z łóżka, jakby ugodził go żywy piorun. – Cholera! Spotkanie z Zosią! – wymamrotał pod nosem, zły na siebie jak diabli, odbierając tym samym dobijające się od dłuższego czasu połączenie. – Halo! – rzucił zaspanym głosem, po czym bez pomocy kul, za to podpierając się ścian, wyszedł pośpiesznie na korytarz.

– No halo, halo! – z kompatybilnego z telefonem plasterka naklejonego za jego lewym uchem odezwał się wyraźnie zawiedziony głos Zosi Skrzetuskiej.

– Zosia?! – zapytał retorycznie Antek. – Skąd w ogóle masz mój numer? – dopytał.

– Zapomniałeś już, czym się zajmuję w organizacji? – odrzekła z wyczuwalnym, lecz nadal nie nazbyt natarczywym zniecierpliwieniem.

– A no tak, głupie pytanie... – potwierdził chłopak, wzdychając ciężko i próbując pozbierać myśli.

– Żartuję, głupku! Dałeś mi go wczoraj w Rotmistrzowskiej! Nie pamiętasz? – zachnęła się, próbując nieudolnie zaostrzyć swój ton.

– Aha... – skomentował bezmyślnie, gdyż nie przypominał sobie wcale takiej sytuacji.

– Słuchaj, dżentelmenie, jak się z kimś umawia na ustaloną godzinę, to się przychodzi, a nie robi tę osobę w konia! – nadal wypominała dziewczyna.

– Przepraszam, Zosiu, nie wiem, co powiedzieć... – szczerze odrzekł jej Antek.

– Nieważne... – zbagatelizowała nagle Skrzetuska. – Ale à propos koni: okazało się, że mam tu więcej do zrobienia, niż się spodziewałam. Tak więc może zdążysz się jeszcze dziś zrehabilitować – zaproponowała.

– Zosia, uwierz mi, ja naprawdę wstałem na czas! Chciałem jedynie na chwilkę przedłużyć sobie drzemkę i... – Zerkając na budzik, Antek zauważył, że wspomniana „chwilka” trwa już grubo ponad godzinę.

– Dobra, przystojniaku, nie tłumacz się już tyle... Uznam, że tej gafy nie było! – Dziewczyna w końcu się roześmiała. – Czekam na ciebie. Masz piętnaście minut! – rozkazała.

– Jak to piętnaście minut?! – obruszył się Antek. – Przecież ja jestem jeszcze w tym dziwnym stroju z ceremonii! – zaprotestował.

– Jak dla mnie możesz w nim zostać! – Tym razem Skrzetuska zaśmiała się tak głośno, że Antek poczuł, iż w miejscu za uchem, gdzie naklejony był transmitujący drgania do młoteczka i kowadełka malutki nanoplaster, ktoś właśnie przykłada mu udarową wiertarkę.

– Zosia, no weź! Daj mi się ogarnąć! – ponownie zaprotestował.

– Okej! W takim razie masz dwadzieścia minut! Pa! – uległa nieznacznie hakerka i nie czekając na jego odpowiedź, prędko się rozłączyła.

Pierwsze, co zrobił po zakończeniu tej przypominającej twarde negocjacje handlowe rozmowy, to niemal jednym haustem wypił ponad litr wody z butelki leżącej na biurku, którą jeden z chłopaków zapewne przygotował sobie na równie

ciężki poranek. Następnie wziął ekspresowy prysznic i po ostatecznym doprowadzeniu się do porządku popędził do stadniny, ile sił w kulach.

– Wiesz co, Antek... Ale z ciebie burak! Myślałam, że jesteś bardziej okrzesany... – przywitała go drwiąco Zosia, jednak jak zwykle z promieniejącym na twarzy, zniewalającym uśmiechem. Dziarsko trzymała w rękach widły, którymi rozrzucała właśnie świeżą ściółkę dla wspaniale prezentującej się gniadej klaczy, zadziwiająco cierpliwie oczekującej przed swoim boksem na dzisiejszą kosmetykę.

– Hej, miałas znać gafę za nieważną... – przypomniał roszczeniowo chłopak, rozglądając się z zaciekawieniem po okazałej, błyszczącej jeszcze nowością stajni.

– No niech ci będzie... – Westchnęła z politowaniem. – A pamiętasz w ogóle, że masz dzisiaj z nami pierwsze zajęcia?

– Tak, tak... – przytaknął z niezadowoleniem. – Wspominaliście mi o tym wczoraj... O której się zaczynają? – dopytał, zerkając jednocześnie na tabliczkę znajdującą się nad wejściem do boksu, na której widniał napis „Jasmin”.

– Zwykle codziennie zaczynają się o szóstej, poza niedzielą, która jest wolna, ale dziś wyjątkowo, wiadomo z jakich powodów, są przełożone na dwunastą – wyjaśniła. – Nie łudź się jednak, że będą skrócone czy coś w tym stylu. Gwarantuję ci, że jak zwykle będą trwać bite dziesięć godzin – oznajmiła, robiąc przy tym dziwnie podejrzany uśmieszek.

– Wydaje mi się, że dla mnie trwać będą jednak nieco krócej – odrzekł z całkowitą pewnością Antek, skupiając się teraz na zjawiskowym zwierzęciu i głaszcząc je ostrożnie wzdłuż latarni.

– A to niby czemu?

– A temu, że dziś zapewne mamy też zajęcia praktyczne w terenie – odparł enigmatycznie.

– No oczywiście, że mamy... Jak co dzień... – potwierdziła niedbale, jakby podchwytliwa odpowiedź chłopaka nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

– No więc tu masz wyjaśnienie – doprecyzował natychmiast, podniósłszy do góry jedną z kul w celu zaprezentowania swojej niedyspozycji, co lekko spłoszyło



konia.

– Ej! Uważaj! Straszysz mi moją Jasmin! – burknęła Skrzetuska, rzucając widły w kąt i łapiąc konia za kantar, aby ustawić go na powrót w pożądanym miejscu.

– Luz, dziewczyno, nie dramatyzuj... Tylko się lekko wzdrygnęła, u koni to normalka – uspokajał nonszalancko. – A swoją drogą, to naprawdę przepiękny angloarab... – skomentował potulnie, widząc, że po raz pierwszy Zosi tak wyraźnie nie spodobały się nieukrywane przez Antka chęci do opuszczania wspólnych zajęć.

– Zgadza się, to moja ulubiona klacz, cudowne zwierzę, wręcz do rany przyłóż... – przyznała z lubością. – Jeżdżę tylko na niej, dlatego też nią najczęściej się zajmuję. Wyjdziemy sobie teraz na świeże powietrze, bo muszę ją jeszcze przekuć i wyczyścić, a ty mi w tym pomożesz, drogi kawalerze – dodała, po czym łapiąc konia za uwiąz, wskazała Antkowi ręką, aby ruszył jako pierwszy. – No proszę, śmiało! Kuternogi i niedołęgi przodem! – wyjaśniła, dostrzegając zdziwienie na twarzy chłopaka.

– Ha! Ha! Boki zrywać! – prychnął. – Znalazła się kolejna dowcipna... – zadrwił, ruszając z wolna przed siebie.

– Ty! – Zosia grożąco wskazała nagle na Antka palcem, próbując zrobić przy tym autentycznie groźną minę. – Ja ci dam kolejną! – dodała, zaciskając usta i zwężając powieki. Nie udało jej się jednak zbyt długo wytrzymać w tej masce złościcy, tak więc szybko zwieńczyła swoją nieudolnie odegraną mistyfikację głośnym parsknięciem, które następnie przerodziło się w gromki śmiech.

Po chwili oboje chichrali się już tak głośno, iż kilka koni, które stało do tej pory posłusznie w boksach, powychylało łby na zewnątrz, aby się im lepiej przyjrzeć.

– Jak tylko skończą się zajęcia teoretyczne, to wskakuję do łóżka i zapominam o całym bożym świecie – oznajmił z rozmarzeniem Antek, gdy Zosia zabierała się właśnie do przekucia Jasmin ostatniej podkowy.

– Nie łudź się... – przestrzegła dziewczyna. – Dziś mamy taktykę czarną ze starym, schorowanym Morwą, a on na pewno nie wypuści cię z zajęć... –

Dziewczyna nadzwyczaj sprawnie wbijała gwoźdź za gwoździem w kopyto swojej ulubionej klaczy.

– I co ja miałbym tam niby robić? Stać i oglądać? – zapytał, obserwując z podziwem, z jaką wprawą i precyzją Skrzetuska obchodzi się z młotkiem.

– Jak go znam, to każe ci siedzieć i podliczać statystyki z odbytych ćwiczeń albo rozrysowywać plany kolejnych szturmów – wyjaśniła.

– Chyba sobie żartujesz! – Antek wytrzeszczył oczy z przerażenia.

– Niestety nie... Dziadzio lubi sobie dać w palnik, toteż niedługo wyślą go na emeryturę, ale póki co będziesz miał jeszcze okazję poznać jego metody pracy...

– Pocieszające... – skomentował posępnie.

– Tylko nie stawaj zbyt blisko niego. Zwykle zieje gorzelnią nie gorszą niż ty teraz – ostrzegła.

– Aaa... Jakoś przeżyję. Ważne, że coś się w końcu dzieje, bo już dawno się tak nigdzie nie wynudziłem, jak w tym cholernym szpitalu! – wyznał, wzdrygając się na samą myśl o basenach, cewnikach i igłach.

– Nie bój nic! Jeśli to cię pocieszy, to dzisiejsze ćwiczenia taktyczne z Morwą będą skrócone na poczet zajęć doszkalających z BJJ. Poprowadzi je taki jeden koleś, który przyleciał niedawno z Brazylii...

– A, to pewnie Gjanto – domyślił się Antek.

– Dokładnie! Nazywa się Gjanto! A ty skąd go znasz? – zdziwiła się dziewczyna.

– Poznałem go przed ceremonią, to bardzo w porządku gość. Powinnaś go kojarzyć ze starszych roczników.

– Niekoniecznie... Jeszcze zanim tutaj, w Gołuchowie, uruchomiono główną bazę szkoleniową, byliśmy szkoleni w najróżniejszych placówkach Polonorum w Polsce, jak i zagranicą. Nie mieliśmy więc styczności ze wszystkimi starszymi adeptami. Podobnie zresztą, jak z tą twoją znajomą, kapitan Lilią. Ją też po raz pierwszy zobaczyłam dopiero tutaj jakieś trzy lata temu, gdy była jeszcze świeżo upieczonym dowódcą w grupie krakowskiej.

– Czy ona też była dzieckiem z programu „Świtez”? – wypalił nagle z żywym zainteresowaniem Antek, na co Zosia zmierzyła go dziwnie podejrzliwym wzrokiem.

– Wygląda na to, że tak... Nie słyszałam, żeby kiedykolwiek posługiwała się tutaj jakimś nazwiskiem – odpowiedziała niepewnie.

– Ciekawe, czy była wzięta z jakiejś placówki adopcyjnej czy do organizacji oddała ją rodzina... – Chłopak się zamyślił, co już wyraźnie nie spodobało się Zosi, która przycinała właśnie końcówki gwoździ nadmiernie wystających z kopyta.

– Skoro jesteś taki ciekawy, to sam ją o to zapytaj – skomentowała, nie okazując przy tym ani grama entuzjazmu. – Jeśli zależało jej na tym, aby dowiedzieć się czegoś o sobie, to z pewnością jakimiś pokątnymi kanałami już dawno dotarła do pożądaných informacji – dodała oschle.

– Zdecydowanie wolałbym teraz wysprzątać tę całą stajnię, niż zapytać ją o cokolwiek, a już zwłaszcza o tego typu rzeczy! – zarzekł się stanowczo Antek.

– A to niby czemu? – dopytywała jakby nieco rozchmurzona tym niespodziewanym stwierdzeniem Skrzetuska.

– To jest akurat oczywiste. Po prostu chciałbym jeszcze pożyć trochę na tym świecie! – zażartował, co zdecydowanie już rozweseliło dziewczynę.

– Wiesz, Antek... Tak naprawdę nie ma to większego znaczenia, czy jesteś oddany z rodu czy też nie... Tak w jednym, jak i drugim przypadku musisz całkowicie zrezygnować ze swojej rodziny i poświęcić całe swoje życie dla organizacji... – zauważyła.

– Zgaduję, że sporo możesz powiedzieć na ten temat.

– Tak, sporo... Bo choć moi rodzice oddali mnie tutaj w wieku trzech lat, jak to się potocznie mówi „z rodu”, to i tak przez całe moje dzieciństwo widywałam ich zaledwie raz na trzy miesiące, a czasem nawet raz na pół roku. Jak doskonale wiesz, dla małego dziecka nie jest to już ta sama prawdziwa więź, jaką naturalnie wytwarza ono z rodzicami, mieszkając z nimi na co dzień w normalnym domu. Mimo to nigdy nie zamieniłabym mojego życia w organizacji na żadne inne. Nie

wyobrażam sobie również, że mogłabym być teraz tylko zwykłym, niczego nieświadomym szarym człowiekiem – oznajmiła z przepełniającą ją dumą. – Tutaj zawsze czułam, że mogę zostać kimś wyjątkowym, i myślę, że to poczucie i ta wewnętrzna potrzeba siedzą u mnie gdzieś głęboko w genach. Wiesz, co mam na myśli? – zapytała nagle, dostrzegając zamyśloną minę Antka.

– Wydaje mi się, że wiem... Czasem też sam sobie myślę, że jest mi to wszystko pisane tylko z racji samego pochodzenia... – potwierdził.

– Dokładnie! – wykrzyknęła z aprobatą hakerka, zadowolona z tego, że Antek myśli podobnie. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale od dziecka wszystko doskonale rozumiałam. Miałam w sobie to gorące pragnienie spełnienia się w tym, co mi przeznaczono, i zawsze odczuwałam nieopisaną dumę, iż jestem częścią tej najskrytszej historii mojej rodziny – oznajmiła z uczuciem.

– A w jaki sposób rodzice wytłumaczyli twoje zniknięcie? I co na to twoja matka? – zapytał wyraźnie zainteresowany tą historią.

– Moja mama to twarda babka... Zresztą w rodzinach, które są wtajemniczone, nie jest to nic nowego ani też nadzwyczajnego. Mój ojciec bowiem poznał ją właśnie w organizacji. Co prawda parę lat temu zakończyli już czynną służbę, bywa jednak tak, że dowództwo nadal ich do czegoś potrzebuje, wtedy stawiają się na rozkaz i z oddaniem wykonują pojedyncze zadania.

– No to niezła z was rodzinka. – Chłopak uśmiechnął się pod nosem. – A jak było z tym twoim nagłym zniknięciem?

– Po prostu: gdy oddawali mnie do Polonorum, dokładnie upozorowali mój wypadek. Zawsze się tak robi w tego typu sytuacjach... Tak więc oficjalnie dla sąsiadów, znajomych czy też reszty rodziny jako trzyletnia dziewczynka utonąłam w stawie znajdującym się nieopodal naszego domu – wyznała bez cienia zakłopotania.

– Czy twoi rodzice mieli jeszcze potem jakieś dzieci?

– Oczywiście, że tak. Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, nie jest to tutaj zabronione. Mamy w naszych szeregach małżeństwa, które związały się wewnątrz

Polonorum i które wychowują własne dzieci, nie uświadamiając ich o tym, czym się tak naprawdę zajmują. Tak jest też w przypadku mojego młodszego rodzeństwa, które do dzisiaj odwiedza z rodzicami mój mały dziecięcy grób, znajdujący się na terenie naszego wiejskiego majątku.

– Niesamowite... – Antek pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Dla nas to oczywiste, nigdy bowiem nie jest tak, iż cała rodzina o wszystkim wie... Zazwyczaj tylko kilku jej członków przekazuje tę tajemną wiedzę następnym pokoleniom. Natomiast wszelkie nagłe zgony i zniknięcia oraz wynikające z nich nieścisłości trzeba już tylko przed resztą rodziny dokładnie zatuszować. Ale my przecież znamy się na tym najlepiej... – powiedziała z nieukrywaną dumą, kończąc właśnie szlifować ostatnią podkutą podkowę.

– Nawet dla mnie brzmi to niewiarygodnie... – oznajmił z przejęciem Antek, rad, że mógł dowiedzieć się dziś tak wielu istotnych dla niego informacji.

– Taki już nasz los... Jesteśmy tylko niewidocznym korzeniem. – Zosia z głośnym westchnięciem zacytowała starą, znaną w Polonorum od wieków, sztandarową maksymę, po czym poklepała klacz po zadzie, zwracając się do niej z uczuciem: – No, moja piękna... Manicure masz już zrobiony, teraz cię jeszcze wyczyścimy. – Natychmiast wyciągnęła z plecaka dwa jednakowe zgrzebła, po czym jedno z nich rzuciła w stronę Antka.

– No chyba sobie żartujesz... Ledwo stoję o tych kulach, a do tego łeb pęka mi w szwach – zaprotestował.

– Nie marudź, leniuchu... Tyle możesz mi pomóc, to akurat najfajniejsza część tej pracy... – nakłaniała stanowczo dziewczyna i stając naprzeciwko kolegi, z tym że po drugiej stronie końskiego grzbietu, zaczęła rozczesywać, lśniącą, gniadą sierść.

– Odwiedziłaś w ogóle kiedykolwiek swój rodzinny dom? – wrócił do tematu Antek, wspierając się jedną ręką na kuli, a drugą delikatnie czesząc uważnie przysłuchującą się tej rozmowie Jasmin.

– Tak, ale przez całe życie, nie licząc pierwszych trzech lat, byłam tam zaledwie kilka razy... Zazwyczaj miało to miejsce wtedy, gdy rodzice wysyłali rodzeństwo na jakieś zagraniczne kursy językowe albo kolonie.

– Nie było ci wtedy żal, że rezygnujesz z tego wszystkiego, czego tam mogłaś doświadczyć?

– Wiesz... Czasem tego typu myśli przychodziły mi do głowy, jak chyba każdemu, jednak, tak jak już wspomniałam, zdecydowanie wolę to, co robię teraz i to, co będę dopiero robiła. Zresztą nikt tu na siłę nikogo nie trzyma. Jeśli nie czujesz się na siłach, możesz zrezygnować. Co prawda nie jest to łatwa i miła procedura, ale jak najbardziej, dopóki nie złożyłeś ślubów, jest ona możliwa. Nigdy jednak taka decyzja nie wchodziła nawet w grę! Byłaby to ogromna hańba dla mnie i dla mojego rodu – wyznała z powagą.

– W takim razie gdzie znajduje się twój rodzinny dom? – nadal dopytywał szczerze zaintrygowany Antek.

– Mój dom rodzinny to stary, niewielki dworek na Podlasiu, po wojnie okrutnie zdewastowany przez komunistów i zamieniony przez nich na spichlerze oraz chlewy dla świń. Szczęśliwie dziadek po wielu latach starań odzyskał naszą rodziną posiadłość i odbudował ją. Dziś jest to bardzo urocze miejsce... Jest tam cicho i przyjemnie, ale nie dla mnie taka sielanka. Z moim ADHD nie wysiedziałybym tam dłużej niż dwa tygodnie – wyznała, na koniec zwracając się również z pytaniem do Antka: – A ty? Powiedz coś o sobie. Dlaczego zdecydowałaś się za wszelką cenę do nas dołączyć?

– Tak się składa, że ja należę do tych osób, które nie lubią o sobie opowiadać...

– Ej, to nie fair! To ja się tu produkuję, a ty... – oburzyła się Zosia.

– Ponoć jesteś bardzo zdolną hakerką. Możesz mnie przecież przeświecić, co nie? – przerwał jej natychmiast Antek.

– Już to zrobiłam – przyznała niespodziewanie dziewczyna, chowając się natychmiast za grzbietem konia, aby nie trafić po tym wyznaniu na świdrujący, jaskrawy wzrok Antka.

– Serio? – zapytał całkiem poważnie.

– Tak, serio – powtórzyła równie dosadnie.

– I co?

– I nic! Nic o tobie nie ma! Jesteś jak duch... Albo nigdy nie widniałeś w żadnej dokumentacji, albo wszystko zostało dobrze wyczyszczone – przyznała z nietęgą miną.

– No to trudno... – Antek ponownie uśmiechnął się pod nosem, demonstrując tym samym swoją satysfakcję.

– Ej, no weź... Ja się przedstawiłam... – nalegała hackerka, rozczesując jednocześnie grzywę konia i robiąc przy tym minę małej naburmuszonej dziewczynki.

– No dobra... – zgodził się niechętnie Antek. – Urodziłem się w Rosji, a dokładnie w Irkucku na Syberii. Moja rodzina ukrywała się tam i jednocześnie pracowała dla organizacji. Gdy moi rodzice zginęli, przez jakiś czas mieszkałem z dziadkiem, a gdy on także zmarł, przedostałem się do Polski. Pod adresem, który przekazał mi dziadek, natrafiłem na mojego przybranego wujka, czyli Bonę. Od wczesnego dzieciństwa do służby w organizacji przygotowywali mnie rodzice, a gdy dotarłem do Polski moim szkoleniem zajął się właśnie on. Natomiast gdy skończyłem osiemnaście lat, robiłem to już własną ręką, jeżdżąc po całym świecie i odbywając kursy w najbardziej elitarnych jednostkach, oczywiście pod różnymi fałszywymi tożsamościami. W końcu, gdy uznałem, że to najwyższy czas, aby zacząć długo wyczekiwaną służbę w organizacji, dzięki prowokacyjnej akcji mojego wuja z początkiem nowego roku zawitałem w waszych skromnych progach... – opowiedział ekspresowo, jakby odczytywał te informacje z kartki.

– No... Nie wysiliłeś się zbytnio z tymi zwierzeniami, ale dobre i to... – Skrzetuska westchnęła niepocieszona. – A teraz chodźmy coś zjeść do kantyny, bo od tego podkuwania zgłodniałam jak wilk – dodała, odkładając zgrzebło i dając tym samym do zrozumienia, że na dzisiaj robota skończona.

– Właśnie miałem ci zaproponować to samo...

\*\*\*

Zbliżał się kwiecień, a wraz z nim, ze wszystkimi swoimi urokami, do parku gołuchowskiego zawitała wiosna, przebijając bogatą paletą barw resztki zalegającego śniegu. W niedzielę trzydziestego pierwszego marca Antek, wracając z kaplicy, rozsiadł się jak zwykle na ławeczce pod oficyną, by zapalić pierwszego od dłuższego czasu papierosa.

Gdy z początkiem mijającego miesiąca zaczął brać już czynny udział w zajęciach praktycznych, postanowił sobie trzymać się od tytoniu z daleka. Dziś jednak, zwabiony zapachem intensywnie parującej ziemi, która, skąpana w delikatnym marcowym słońcu, odtajała po mroźnej i śnieżnej zimie, nie oparł się pokusie puszczenia sobie dymka. Siedząc tak z rękoma rozłożonymi na całej długości oparcia i nogą założoną za nogę, delektował się ciszą zakłócaną jedynie śpiewem ptaków i szumem odchodzącego w niepamięć, chłodnego zimowego wiatru. Wtedy to znajdujący się na jego lewym przedramieniu smartplaster zaczął delikatnie wibrować.

– Aha... Święty spokój nie może zbyt długo trwać... – skomentował pośpiesznie. – Pewnie Czeczot albo Zamoyski chcą notatki na jutro – dodał, niechętnie zerkając na telefon.

Na ekranie pojawił się jednak komunikat o treści: „Wiadomość głosowa od Zosia S.”. Antek kliknął więc palcem w urządzenie i na powrót rozkładając się wygodnie na ławeczce, zaczął odsłuchiwać:

*Cześć, byczku! Wiem, że pewnie jeszcze śpisz i że jutro mamy egzamin, ale doszłam właśnie do wniosku, że wszystkiego, czego mogłam się nauczyć przez ostatnie dziewiętnaście lat, już się nauczyłam, i dziś nic więcej do głowy mi już nie wejdzie... Proponuję zatem wspólną przejażdżkę konną po parku, a następnie zimnego hoegaardena w Rotmistrzowskiej. Odmowy nie przyjmuję!*

A miałem jeszcze dziś powtórzyć kryptologię i pirotechnikę... – pomyślał Antek, słysząc zachęcający głos uroczej koleżanki. – Ale co ma być, to będzie! Nie



jestem w końcu najgorzej przygotowany, a poza tym nie pamiętam już, kiedy ostatni raz piłem piwo.

Natychmiast po podjęciu decyzji wysłał do Zosi krótką wiadomość tekstową: „Bede! O ktorej chcesz pojeździć?”.

Rzeczywiście, od pamiętnej nocy ceremonialnej cały ostatni rocznik miał taki nawal nauki, że Antek widywał się z Zosią jedynie na zajęciach lub w bibliotece, gdzie i tak nie było czasu na luźne rozmowy. Poza tym wszyscy kadeci ostatniego roku, po powrocie z codziennych, żmudnych zajęć, jak jeden mąż w samotności dzień i noc pilnie wkuwali teorię i ćwiczyli zadania praktyczne. Można powiedzieć, że w ostatnim, najbardziej intensywnym semestrze nikomu nie było lekko, a już zwłaszcza Antkowi. Co prawda w zajęciach praktycznych znacznie przewyższał umiejętnościami i doświadczeniem całą swoją grupę, jednak w teoretycznych – z racji, że nie wychował się w tutejszym systemie szkoleniowym – nadal miał ogromne braki. Gdyby nie pomoc jajogłowych i co druga zimowa noc spędzona przy espresso i udostępnionych mu przez nich cennych, archiwalnych notatkach, z pewnością nie nadałyby za aktualnym materiałem.

W zamian za korepetycje z bezpieczeństwa cybernetycznego czy robotyki chłopak mógł się odwdzięczyć Budrysowi, Oskarowi czy też Lancy, doszkalając ich w sztukach walki i najróżniejszych taktykach bojowych. Chociaż z wiadomych względów na ostatnim roku Akademii Polonorum jajogłowi mieli ustalony oddzielny program ćwiczeń praktycznych, to i tak te ich na pozór marne warunki fizyczne były wręcz doskonałą przykrywką prawdziwych umiejętności, które zaskoczyłyby nawet średniej klasy, zawodowego fightera mieszanych sztuk walki.

Późnym popołudniem Antek i Zosia wolnym kłusem przemierzali na grzbietach swoich wierzchowców rozległe hektary budzącego się do życia parku gołuchowskiego. Zosia jak zwykle dosiadała Jasmin, natomiast chłopak wybrał sobie siwą klacz czystej krwi arabskiej o imieniu Agnes, która również okazała się bardzo spokojnym i ułożonym koniem.

– Nie wolałeś wybrać sobie jakiegoś narowistego ogiera, z którym musiałbyś toczyć walkę o prymat w związku, jak na faceta przystało? – zapytała żartobliwie

Zosia, gdy jechali wzdłuż strumienia znajdującego się w samym sercu rodzącego się na powrót arboretum.

– Jestem kobieciarzem, więc naturalnym jest, że wybrałem kobietę – odparł nonszalancko Antek.

– Nieprawda! Po prostu jesteś wygodniem i jak zwykle idziesz na łatwiznę... – zanegowała dziewczyna.

– To dokładnie tak jak ty, wybierając robotę w komórce hakerów. Ciepły stołek, regularne godziny pracy... Nie narazisz się zbyt i dłużej pożyjesz... – zripostował, nie dając za wygraną.

– Och ty! To było poniżej pasa! – szczerze obruszyła się Zosia.

– Sama zaczęłaś – zauważył z rozbawieniem.

– No dobra... W takim razie zmiana tematu – szybko skapitulowała hakerka. – Widziałam dzisiaj w zamku sporo przyjezdnych agentów, w większości byli to ludzie z grupy tej twojej znajomej... – dodała podejrzliwym tonem.

– Lajkoniki?! Serio?! – Antka wielce zaintrygowała ta informacja, gdyż ani razu nie spotkał już Lili, od czasu kiedy pożegnała się z nim po złożonej przysiędze świadka ceremonii.

– Na to wygląda... – potwierdziła Zosia. – Zauważyłam również, że był wśród nich także ten cwaniak, zastępca dowódcy grupy, Abakiewicz – dodała z widoczną pogardą.

– O, widzę, że ty też go polubiłaś... – Antek się roześmiał.

– Daj spokój! – oburzyła się dziewczyna. – To zwykły napuszony buc! Przystawiał się raz do mnie, gdy byliśmy na prymicjach u jednej z moich koleżanek ze starszego rocznika. A zaznaczę jeszcze, że był już wtedy w związku z tą twoją panią kapitan.

– Hmm... – Miko westchnął, uśmiechając się przebiegle pod nosem. – To bardzo istotna informacja, Zosiu, dużo mówi o tym człowieku... A co to znowu są te prymicje? – zapytał zaciekawiony nowo zasłyszonym terminem.

– To jest po prostu impreza, którą organizują ci przyjaciele, gdy zaliczysz już swoją pierwszą, prawdziwą akcję... Taka nasza mała tradycja... Żartobliwie nazywamy to prymicjami – wyjaśniła.

– W takim razie tym bardziej nie mogę się doczekać mojej pierwszej akcji – przyznał. – Chociaż znając już tutejsze realia, wydarzy się to zapewne nieprędko... Ta cała procedura wcielania w struktury organizacji wlecze się niemiłosiernie... – narzekał, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo się myli.

– A wiesz może już, gdzie będziesz przydzielony?

– No co ty... Nic jeszcze nie wiem i szczerze mówiąc, trochę mnie to irytuje...

– Bo widzisz... Ja już wiem – odpowiedziała Zosia, nagle smutniejąc.

– Jak to? Kto cię o tym poinformował? – zapytał Antek z wyraźną nutą zazdrości w głosie.

– Generał Różewicz był tydzień temu u mnie i powiedział, że jeśli zdam bez problemu wszystkie egzaminy w pierwszym terminie, to czeka mnie wyjazd do Langley w Wirginii, i to na bardzo długo... – wyznała, a głos jakby nieznacznie jej się załamał.

– Uuuu! No to Dominik Zamoyski będzie załamany... Tak daleko ojciec na pewno nie załatwi mu przeniesienia – dodał bez ogródek.

– Zamoyski?! Chyba żartujesz... Byle dalej od tego bukieciarza... – prychnęła.

– Ty to jednak wybredna jesteś – skomentował nadal roześmiany Antek. – Myślisz, że przyjedzie po ciebie agent 007 na białym koniu? – skomentował, kręcąc przy tym wymownie głową.

– Nie... Wystarczy, że przyjedzie na siwej klaczy – odparła, sprawiając wrażenie małej urażonej dziewczynki.

– Oooo... A co to znowu za podteksty? – zapytał niepewnie chłopak, czując, że atmosfera niebezpiecznie się zagęszcza.

– Żadne podteksty – zaprzeczyła zawstydzona. – Po prostu chciałam się dowiedzieć, co ty na to, że wyjeżdżam...

– Hm... Cóż mogę powiedzieć... No szkoda, szkoda, że nasza paczka się rozleci. Szczerze mówiąc, trochę się już z wami zżyłem – oznajmił wymijająco.

– Co masz na myśli, mówiąc „z wami”? – bąknęła, jakby nieco zawiedziona tym wyznaniem, gdyż nie taką deklarację najwyraźniej chciała usłyszeć.

– No z jajogłowymi! A z kim? – doprecyzował, siląc się na żartobliwy ton.

– Spadaj! Sam jesteś jajogłowy! – odrzekła mu niepokieszona hakerka, starając się okazać teraz, tak obce jej naturze, oburzenie i próbując zarazem sięgnąć chłopaka swoim batem.

– Gołąbeczko kochana, przecież ty nie potrafisz nawet dobrze wycelować – zakpił Antek, zwinnie unikając uderzenia. – Wracaj lepiej przed komputer, kruszynko – dodał, prawdziwie rozbawiony tą sytuacją.

– Odszczekaj to! – rozkazała Zosia, próbując trafić go po raz kolejny.

– Jak mnie złapiesz, to odszczekam! – zawołał niespodziewanie i spiąłwszy energicznie konia, puścił się galopem w stronę lasu.

Zosia nie pozostała mu jednak dłużna i natychmiast ruszyła jego śladem. Pędzili więc tak razem dłuższą chwilę, utrzymując równe tempo, aż w końcu okazało się, że Agnes jest zdecydowanie bardziej wytrzymałym koniem niż Jasmin. Oczywiście Antek, świadomy tej przewagi, zaczął perfidnie to wykorzystywać, pozwalając zbliżyć się Zosi do siebie na metr, by następnie odskoczyć jej na dłuższy dystans.

W pewnym momencie, pędząc tak przez zarośniętą, leśną dróżkę, wypadli z impetem, wprost na otwartą parkową przestrzeń, gdzie powolnym stępem podróżowała sobie właśnie inna para jeźdźców. Antek, dostrzegając to, w ostatniej chwili, pociągnął za wodze swojej siwej, rozpędzonej klaczy i cudem tylko unikając zderzenia, zaledwie spłoszył karego ogiera, który w odruchu obronnym stanął dęba, o mało co nie zrzucając swojego jeźdźca z siodła. Natomiast Zosia, zdając sobie szybko sprawę z tego, że i jej nie uda się na czas zatrzymać swego konia, karkołomnym manewrem ominęła całe towarzystwo, również fartem unikając kraksy.

– Co to, do cholery, ma być! – ryknął rozłoszczony mężczyzna, który z powodu szaleńczej pogoni dwojga kadetów o mały włos nie wylądował w błocie. Na nieszczęście Antka był to niestety Maciej Abakiewicz, agent w stopniu kapitana i zastępca dowódcy grupy krakowskiej. Natomiast drugim jeźdźcem siedzącym na kasztanowym arabie z miną rozsierdzonej lwicy była pani kapitan Lilia, dowódczyni, a prywatnie partnerka Abakiewicza.

– Przepraszamy, panie kapitanie – zawołała Zosia, z trudem nawracając swojego rozbrykanego dziką przejażdżką konia.

– Skrzetuska! Chcesz się dowiedzieć, co to jest szkolenie karne?! – krzyczał rozłoszczony Abakiewicz, który z kolei bezskutecznie próbował opanować teraz zżymającego się od spłoszenia rumaka.

– Zabierajcie się stąd! Nie uspokoiimy naszych ogierów, jeśli dalej będziecie tu stać z tymi klaczami! – rozkazała nagle Lili, spoglądając na Antka, ale już nie z czystą nienawiścią, jak dawniej, za to z całą swoją surowością.

– Głusi jesteście?! Wypad stąd! Ale już! – powtórzył Abakiewicz, rozwścieczony jak nigdy przedtem.

– Już się zawijamy, pani kapitan – odpowiedział spokojnie Antek, wymownie spoglądając w rozpalone gniewem oczy dziewczyny.

– Będzie sporządzona z tego notatka, Miko! Możesz być tego pewien! – odpowiedział na to Abakiewicz, nadal próbując utrzymać w ryzach ogiera, który rozsierdzony tym gwałtownym zdarzeniem, obficie toczył pianę z pyska.

Antek spojrział na niego kamiennym wzrokiem, po czym bez większego entuzjazmu posłusznie mu zasalutował i batożąc Agnes w posklejaną od potu sierść, puścił się galopem w stronę stadniny. Również Zosia, wyraźnie przejęta tym niefortunnym zdarzeniem, prędko zasalutowała i nie czekając ani chwili dłużej, pognała jego śladem.

– Ja to mam do nich jakieś pieprzone szczęście! – skomentował niepokieszony chłopak chwilę później, zamykając swoją Agnes w boksie.

– Nie przejmuj się... – Zosia próbowała go rozchmurzyć. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że będą się tam akurat plątać? Każdemu mogło się zdarzyć... – przekonywała.

– Nie mogę zdzierzyć tego blondaska... – mruknął pod nosem, jakby mówił tylko do siebie. – Gdyby tylko nie był wyższy stopniem, to przy pierwszej lepszej okazji nakopałbym mu w to jego arystokratyczne dupsko – dodał wściekle.

– Oj, daj już spokój, Antek... Olej to... – uspokajała dziewczyna.

– Masz rację... Niepotrzebnie się przejmuję tym ćwokiem... Mam jednak nadzieję, że po zakończeniu egzaminów wyślą mnie gdzieś z dala od niego – oznajmił, starannie rozprostowując czaprak i odstawiając go na wieszak.

– A ja mam nadzieję, że będzie to gdzieś niedaleko Langley... – Skrzetuska się roześmiała, kładąc przyjacielsko rękę na ramionach Antka i trącając go zawadiacko swoimi biodrami, które w szarych sportowych bryczesach wyglądały tak apetycznie, jak istny *crème de la crème* w topowej trzygwiazdkowej restauracji.

– Może to i dobry pomysł? – zastanowił się głośno Antek. – Moglibyśmy tam razem pochłaniać dziesiątki burgerów i popijać je dobrze zmrożonym whisky! – dodał, odwzajemniając swoim masywnym udem zaczepnego kuksańca.

– Biorę w ciemno taką służbę! – skomentowała rozbawiona tą wyimaginowaną propozycją.

– A co ty w ogóle będziesz robiła w tej Ameryce?

– Ogólnie mówiąc, to powierzono mi bardzo żmudne i długofalowe zadanie... Mam być młodą, podrzędną stażystką w tamtejszym ośrodku CIA, urodzoną i wychowaną w Pensylwanii oczywiście. Moją karierę w Stanach zacznę więc od kserokopiarek i przynoszenia szefowi kawy. Wszystko po to, żeby nie było żadnych podejrzeń, gdy z czasem zacznę wspinać się na sam szczyt. Taki trochę *House of Cards* – wyjaśniła.

– No proszę... Czyli, że będziesz taką polską Evelyn Salt – zauważył Antek.

– Noo... Coś w tym rodzaju – przytaknęła, zadowolona z tego, że rozmowa tak dobrze się klei.

– W takim razie chodźmy na zasłużone piwko, by przy okazji oblać ten twój nowy *american dream* – zaproponował Antek i ruszył wraz z zawieszoną u jego torsu dziewczyną niczym jeden z filmowych bohaterów towarzyszących Dorotce w legendarnej podróży do krainy Oz.

– A wiesz co, Antek? – zapytała nagle Zosia, starając się dotrzymać mu kroku. – Wydaje mi się, że ta pani kapitan z grupy krakowskiej chyba coś do ciebie ma... –

– Ha, ha! – Roześmiał się głośno. – Tak, ma, ale chyba problem! – zapewnił.

– Wydaje mi się, że jednak coś więcej... Inaczej nie zachowywałyby się przy tobie tak nienaturalnie...

– Bzdura... – parsknął chłopak. – Jestem bardzo dobry z psychologii, a nic takiego nie zauważyłem...

– Phi! Z psychologii to ty jesteś akurat beznadziejny... – prychnęła Zosia. – Ale ja tam swoje widzę i wiem! Na pewno nie jesteś jej obojętny... Kobieta kobietę wyczuje... – skwitowała, stawiając na swoim, na co Antek nic nie odpowiedział, tylko zamyślając się na chwilę, podświadomie przypomniał sobie wręcz niewiarygodnie szczerą przysięgę Lili oraz to jej ciepłe i łagodne spojrzenie, które raptem na krótką chwilę obnażyła przed nim, gdy przyrzekała mu prosto w oczy.

Zupełnie tak, jakby była wtedy całkiem inną kobietą, a z pewnością totalnym przeciwieństwem tej, którą właśnie przed chwilą spotkałem podczas tego niefortunnego zdarzenia – pomyślał, a następnie przekierował swoje myśli ku orzeźwiającemu, schłodzonemu hoegaardenowi.

Po kilkunastu minutach dwójka kadetów siedziała już sobie wygodnie w Rotmistrzowskiej i relaksując się w najlepsze przy słusznych, dwulitrowych kufkach Hoegaardena, rozprawiała o niespodziewanej wizycie grupy krakowskiej w Gołuchowie.

– Coś się musiało wydarzyć, skoro przyjechali tu całą grupą... – zauważyła Zosia.

- Zwłaszcza że są tu z nimi także obydwójce dowódcy – potwierdził Antek.
- Których o mało dzisiaj nie stratowaliśmy... – dodała dziewczyna, krztusząc się ze śmiechu piwem.
- Może ma to jakiś związek z Holdą?
- Bardzo możliwe. Pogrzebałam ostatnio trochę na ten temat i dowiedziałam się, że dowództwo od wielu miesięcy przygotowuje dalekosiężny plan infiltracji i unieszkodliwienia tej niebezpiecznej dla nas organizacji – wyznała.
- Nie do wiary... Ludzie, których wystrychnąłem na dudka, działają sobie w organizacji w najlepsze, a ja tu muszę sterczeć i zdawać jakieś lipne egzaminy, które i tak nikomu do niczego nie będą potrzebne – żalił się, nie grzesząc przy tym skromnością.
- Nie do końca masz rację... Egzamin teoretyczny, który będzie trwał bite jedenaście godzin, daje naszym przełożonym sporą dawkę informacji nie tylko o twojej wiedzy, ale i umiejętności rozwiązywania problemów oraz o twojej psychice. Informacje te mogą bezpośrednio zdecydować o tym, gdzie ostatecznie trafisz po zakończeniu szkolenia – wyjaśniła szczegółowo.
- Mam mocną psychikę, bejbe – zażartował, parafrazując fragment popularnej kwestii pochodzącej ze starej kultowej polskiej komedii.
- No to zobaczymy jutro, czy będziesz taki kozak, jak cię podepną do wariografu...
- Że co proszę?! – zdziwił się Antek.
- Nie wiem, czy już ci ktoś wspominał, ale podczas egzaminu wszyscy będziemy podłączeni do specjalnie na tę okazję skalibrowanego sprzętu rejestrującego fizjologiczne reakcje organizmu.
- Żartujesz sobie ze mnie?
- Nie, mój drogi... Komisja egzaminacyjna, mająca wgląd w odczyt z twojego wariografu, będzie widzieć każdy twój brak wiedzy, oszustwo czy też zawahanie, a nawet to, czy naprawdę chcesz do toalety – oznajmiła, po czym ponownie wybuchła śmiechem, widząc nietęgą minę przyjaciela.



– No to mi teraz poprawiłaś humor... – odparł z sarkazmem chłopak.

– W takim razie może jeszcze po jednym kuflu? – zaproponowała.

– Ale jutro egzamin...

– Oj tam! Jeden kufel więcej nam nie zaszkodzi... Trzeba korzystać, póki czas. Wkrótce możemy już nie mieć w ogóle okazji, żeby się razem napić...

– Okej! To co, jeszcze raz to samo? – zapytał retorycznie Antek i wstając od stołu, podążył w stronę elektronicznego barmana.

I w ten oto sielski sposób dwójce serdecznych przyjaciół minęła reszta ostatniej niedzieli w ostatnim semestrze ostatniego roku akademickiego. W końcu, po opróżnieniu domówionych przez Antka dwóch kolejnych kuflów, chłopak zdecydował się zakończyć przyjemną rozmowę i odprowadzić lekko już podchmieloną Zosię do budynku, w którym znajdował się jej pokój. Spacerując z nią przez ciemny, oświetlony jedynie intensywnie jaśniejącymi na niebie ciałami niebieskimi park, miał dziwne wrażenie, że ktoś cały czas ich obserwuje... Nie chcąc popadać w paranoję, zbagatelizował przeczucia i dalej spokojnie delektował się pogodnym, wiosennym wieczorem oraz unoszącym się w powietrzu zapachem dopalających się w parku ognisk, które zorganizowali sobie inni agenci.

– Dziękuję ci za dziś, naprawdę miło mi się z tobą spędza czas – wyznała Zosia, gdy w końcu dotarli do drzwi budynku, w którym znajdowały się pomieszczenia mieszkalne przeznaczone dla żeńskiej części akademii.

– I vice versa. Prawdę mówiąc, po tych niespełna trzech miesiącach harówki brakowało mi właśnie takiego resetu – przyznał z lubością Antek.

I gdy stali tak oboje na czymś w rodzaju prowizorycznego ganku, a nad głową jarzyła się im oślepiająca ogrodowa lampa, Zosia, nagle jakby lekko rozdygotana i zestresowana, dyskretnym ruchem prawej ręki nacisnęła na wyłącznik światła, a drugą władczo przyciągnęła Antka do siebie, mocnym uściskiem dłoni przytrzymując go za kurtkę.

– A to na szczęście, żebyś jutro zbytnio się nie stresował... – wyszeptała i stając na palcach, wyciągnęła smukłą szyję, aby pocałować go w usta.

Byłby to bezsprzecznie jeden z najprzyjemniejszych i najgorętszych pocałunków, jakie chłopak kiedykolwiek w życiu otrzymał, gdyby nie to, że nagle usłyszał coś niepokojącego tuż za swoimi plecami.

– Poczekaj – powiedział ostrzegawczo, jednocześnie kładąc Zosi palec na ustach.

– Ale ty kombinujesz... Co znowu? – odpowiedziała mu wyraźnie zniecierpliwiona, jednak niemalże w tej samej sekundzie oboje wyciągnęli zza pasków swoją broń i skierowali ją w miejsce, w którym – teraz już całkiem wyraźnie – usłyszeli pretensjonalne chrząknięcie. Ktoś ewidentnie dał im tym sygnałem do zrozumienia, że nie są tutaj sami.

– Powiedziano mi, że będziesz w Rotmistrzowskiej, ale już cię tam nie było. Domyśliłam się więc, że możesz kręcić się gdzieś tutaj – z ciemności dobiegł ich posępny, pozbawiony emocji, kobiecy głos.

– Pani kapitan?! Co pani tutaj ro... – wypaliła z niedowierzaniem Zosia, dostrzegając stojącą nieopodal i mającą w mroku sylwetkę wysokiej, smukłej kobiety, po czym nie kończąc zdania, ugryzła się język.

Natomiast Antek nic na to nie odpowiedział, tylko zmierzył niezapowiedzianego gościa podejrzliwym spojrzeniem.

– Tak, to ja, Skrzetuska – odpowiedziała bez skrpułów Lili.

– Pani kapitan, jeśli chodzi o tę dzisiejszą sytuację w parku, to... – zaczęła tłumaczyć się Zosia, ale szefowa grupy krakowskiej natychmiast jej przerwała.

– Spokojnie... Nie jestem tutaj w tej sprawie, możesz więc wrócić do pokoju, Skrzetuska, jesteś wolna – oznajmiła chłodno. – A ty, Miko – zwróciła się do Antka – masz iść natychmiast ze mną, na miejscu dowiesz się, o co chodzi – wyjaśniła rozkazującym tonem. – I nie celuj we mnie! – dodała stanowczo.

– Nie bardzo jest mi na rękę płatać się teraz z tobą po zmroku. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale mam jutro egzamin – odparł sucho Antek, opuszczając pistolet, ale jednocześnie zastanawiając się, czy butna pani kapitan czegoś aby nie kombinuje.

– Nie ma dyskusji, Miko. Taki dostałam rozkaz z góry i w związku z nim mam cię niezwłocznie dostarczyć do zamku.

– Rozumiem. W takim razie daj mi chwilę, żeby mógł się pożegnać jak człowiek... Za chwilę cię dogonię – zaproponował.

– Okej, tylko szybko – odpowiedziała wybitnie lekceważąco, po czym odwróciła się na pięcie.

– Widzisz? Mówiłem ci... – Niepocieszony Antek westchnął, odwracając się na powrót do Zosi. – Takie już mam do niej zasrane szczęście... – dodał z wyrzutem.

– I to mnie właśnie martwi... – skomentowała pod nosem Zosia, również z nie najweselszą miną.

– Wygląda na to, że jest to jakaś pilna sprawa... Lepiej więc, żebyśmy się już dłużej nie ociągali. – Chłopak próbował jakoś wypełnić ciszę, która nagle zapanowała między nimi.

– No... Musi być pilna, skoro sama się pofatygowała, żeby szukać cię tu po zmroku... – skomentowała uszczypliwie.

– Nie bądź złośliwa... Nic na to nie poradzę, też bym wolał nie mieć z nią dzisiaj do czynienia, ale sama widzisz, to chyba jakieś fatum...

– Żebyś wiedział, że fatum! – potwierdziła ewidentnie zawiedziona i rozczarowana dziewczyna.

– No to trzymaj się ciepło! I powodzenia jutro! – Antek pożegnał się już bez większych czułości, po czym ruszył pośpiesznie we wschodnią stronę kompleksu.

– Powodzenia... – Niepocieszona Skrzetuska westchnęła i pełnym zrezygnowania, anemicznym gestem otworzyła drzwi do internatu.

Za to Antek, po krótkiej, sprinterskiej przebieżce, dogonił w końcu Lili, która umiarkowanym marszem zmierzała w stronę zamku.

– Nie możesz normalnie przyjść do mnie jak człowiek, tylko musisz nachodzić ludzi w ciemnościach? – wypalił od razu, gdy tylko do niej dobiegł.

– A co miałam niby zrobić? Krzyczeć i wołać za tobą po całym parku? Nie mam zamiaru robić z siebie wariatki – odparła ostro.

– To jeszcze nie powód, żeby odstawiać tu jakieś podchody!

– A ty co, przyszedłeś tu na służbę w organizacji czy bałamucić małolaty? – rzuciła niespodziewanie Lili, prędko jednak żałując, że nie ugryzła się w język.

– A co to w ogóle za pytanie?! – oburzył się chłopak.

– Dlaczego nie odbierałeś ode mnie wiadomości? – szybko zmieniła temat pani kapitan.

– Bo zostawiłem mój smartplaster w pokoju... Chciałem się na chwilę odciąć! Przed egzaminem każdy czegoś ode mnie chciał – wyjaśnił.

– Miko! To nie ośrodek leczenia uzależnień, żebyś się relaksował czy odcinał od świata! Smartplaster masz mieć cały czas przy sobie! – rozkazała groźnie.

– Dobrze! Wiem! Zmieńmy temat i nie tnijmy się znowu... W przeciwnym razie dalsza rozmowa nie ma najmniejszego sensu – zaproponował, wypuszczając głośno powietrze z płuc, aby tym sposobem uspokoić rozedrgane nerwy, na co Lili przytaknęła bezgłośnie z aprobatą.

Po chwili ciszy, jaka zapanowała podczas wspólnego marszu, Antek zwrócił się ponownie do Lili już bardziej wyważonym tonem.

– Czego oni mogą ode mnie chcieć, i to przed samym egzaminem?

– Nie wiem, dowiesz się wszystkiego na miejscu... Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że generał Różewicz kazał cię przyprowadzić na naszą odprawę – odparła również o wiele spokojniej.

– Czyli jednak podejrzewasz, o co może chodzić – zauważył.

– Podejrzewam... Ale mam nadzieję, że te podejrzzenia się nie sprawdzą – przyznała bez ogródek. – A teraz nic już nie mów i włącz do środka – rozkazała, wskazując dłonią na główne wejście do zamku.

W Sali Gobelinowej, naprzeciw okazałego kominka, czekała już spora grupa ludzi. Niektórzy z nich żywo dyskutowali, inni przechadzali się po komnacie, a jeszcze paru siedziało w milczeniu i rozmyślało. Antek od razu rozpoznał wśród nich Paprockiego, Abakiewicza oraz generała Różewicza, a gdy generał dostrzegł

także i jego przybycie, z powagą oznajmił wszystkim dokoła, dając do zrozumienia, że czekali już tylko na niego:

– No! Skoro jesteście już wszyscy, możemy rozpocząć odprawę.

Antek stanął więc na środku sali i natychmiast zasalutował całemu towarzystwu.

– Jeśli ktoś jeszcze nie miał sposobności poznać tego dżentelmena, to jest to nasz starszy kapral Antoni Miko. – Generał wskazał na niego ręką. – A to jest nasza dyżurna grupa bojowa, zwana krakowską, w niepełnym składzie, oczywiście... – zwrócił się ponownie do Antka i zaczął przedstawiać mu każdego z osobna: – Zaczynając od lewej strony, są z nami tutaj: podporucznik Gawra, porucznik Legwan, starsza sierżant Fija i plutonowy Buka. Oczywiście kapitana Abakiewicza i pułkownika Paprockiego miałeś już okazję poznać – przypomniał generał, a Antek i Maciek natychmiast wymienili między sobą iskrzące spojrzenia.

Generał jednak zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi i przedstawiał dalej:

– Po mojej prawej stronie stoją natomiast panowie generałowie: Maj oraz Eugeniusz Walewski.

Antek zasalutował po raz drugi, po czym usiadł wraz z resztą agentów na eleganckiej, zabytkowej sofie.

– Sprawa jest absolutnie priorytetowa! – zaznaczył Różewicz, przechodząc w końcu do sedna. – Dosłownie w ostatniej chwili udało nam się potwierdzić wczorajsze informacje o tym, że Holda i Czerwone Siłowniki coś jednak o nas wywęszyły i chcą się tymi informacjami między sobą wymienić. Jak doskonale wicie, wszystkie nasze pozostałe grupy są aktualnie w trakcie wykonywania swoich zadań i dlatego to właśnie wasza grupa zajmie się akcją dotarcia do łączników obu tych wrogich nam organizacji i wydobycia z nich informacji, które o nas posiadają. Ta akcja będzie przeprowadzona na wariackich papierach, inaczej mówiąc, czeka was całkowita improwizacja z ograniczoną ilością czasu, aby się do niej solidnie przygotować... – przyznał, nie owijając w bawełnę dowódca. –

Wracam właśnie ze spotkania z górą. Oczekiwania są jasne! W tej sytuacji jakiegokolwiek niepowodzenie nie jest brane pod uwagę! – zaznaczył z całkowitą surowością.

Po tych bezpośrednich, mocnych słowach, atmosfera w sali wyraźnie się zageściła.

– Przypomnę – ciągnął generał – że porucznik Got, a także mój syn, podporucznik Różewicz, z powodu blamażu, jakiego dopuścili się podczas niedawnej akcji w Bieszczadach, i związanych z nim konsekwencji w postaci odbycia szkoleń karnych, nie wezmą udziału w tym przedsięwzięciu – wyznał bez zawahania.

Antek dostrzegł, że pułkownik Paprocki zrobił minę, jakby udawał, że nie dosłyszał słów generała albo że nic o takowej akcji nie wie. Generał kontynuował:

– Niestety, parę dni temu wystąpił jeszcze jeden problem kadrowy dotyczący podporucznika Gawry. – Wskazał średniego wzrostu szatyna, siedzącego tuż obok Antka. – A mianowicie, został on zarejestrowany przez jedną z kamer znajdujących się w domu doradcy ministra spraw wewnętrznych podczas operacji związanej z chińską heroiną. Oczywistym więc jest, że ze względów bezpieczeństwa przez jakiś czas nie będzie mógł brać udziału w żadnych akcjach. To delikatna sprawa, dlatego musimy działać tak, aby jakikolwiek ślad, który mógłby ich na nas naprowadzić, był natychmiast wyeliminowany – wyjaśnił. – Dlatego też jest tu dzisiaj z nami starszy kapral Antoni Miko, i to on zastąpi Gawrę – oznajmił z przekonaniem Różewicz, a w sali nagle zrobiło się lekkie zamieszanie.

Pierwszą osobą, która zaprotestowała, był oczywiście pułkownik Paprocki.

– Panie generale, chciałbym zauważyć, że jako koordynator „Świtezi”, a także grup krakowskiej i śląskiej jestem w stanie w przeciągu godziny dostarczyć dziesięciu zastępczych agentów o dużo lepszym przygotowaniu i wyższym stopniu wojskowym.

– Dziękuję za troskę, pułkowniku, ale taka jest moja decyzja i jest ona ostateczna – odrzekł dosadnie Różewicz. – Uważam, że jest to najlepsza okazja,

aby sprawdzić faktyczną przydatność naszego nowego agenta – dodał, nie zwracając wcale uwagi na skwaszoną minę Paprockiego.

– Panie generale, z całym szacunkiem, ale żeby od razu kadet na tak poważną akcję?! – zaprotestował Abakiewicz. – Przecież on nie zna nawet specyfikacji naszego działania, będzie nam jedynie kulą u nogi – dodał z wyrzutem.

– Ta decyzja nie podlega negocjacji, kapitanie – odparł szorstkim głosem Różewicz.

– Jeśli mogę coś powiedzieć, panie generale – wtrącił się niespodziewanie Antek, który miał totalny mętlik w głowie. W końcu w tak zaskakujący sposób dowiedział się, że niemal z marszu weźmie udział w bardzo trudnej, newralgicznej operacji, i że właśnie generał nieoczekiwanie awansował go na stopień starszego kaprała, a przecież trzy belki podoficerskie otrzymywało się dopiero po zdaniu egzaminów.

– Słucham cię, Miko. Czyżbyś też miał coś przeciwko tej decyzji? – zapytał surowym głosem dowódca.

– Nie, panie generale! – odpowiedział dziarsko chłopak. – Ale chciałbym zauważyć, że jutro muszę stawić się na obowiązkowym egzaminie – dodał, starając się zarazem ograniczyć wyziew piwny, jaki wydobywał się z jego ust po dzisiejszej wizycie w Rotmistrzowskiej.

– Zapomnij o egzaminie, Miko. Teraz najważniejsze jest bezpieczeństwo organizacji. Jeśli podczas akcji zaprezentujesz doświadczenie i umiejętności godne agenta Polonorum, wtedy pomyślimy, co dalej z twoją przyszłością i ewentualnymi egzaminami – oznajmił. – Operacja ta będzie również dla nas najlepszym wyznacznikiem pokazującym, czy warto w ciebie w ogóle inwestować – dodał z lekkim przekąsem.

Co prawda Antek inaczej wyobrażał sobie swój oficjalny debiut w szeregach organizacji, ale szczerze ciesząc się z tej propozycji i nie bacząc na miny Paprockiego i Abakiewicza – które przypominały teraz roztapiające się na słońcu lody – odpowiedział Różewiczowi z entuzjazmem:

– Tak jest, panie generale!

– Doskonale! Skoro kadra jest już ustalona, przejdźmy zatem do szczegółów, które jako pierwszy przedstawi wam szef komórki archiwistycznej, generał Maj. – Różewicz zaanonsował starszego, drobnego mężczyznę w bordowej muszce i brunatnym, mocno przechodzonym już garniturze. Jego niedbała, siwa czupryna i okulary w rogowych oprawkach sprawiały, że mężczyzna przypominał raczej Woody’ego Allena niż zasłużonego generała wywiadu.

– Dobry wieczór państwu – powitał wszystkich słabym, niepewnym głosem. – Zacznę może od samego początku, czyli od informacji, na podstawie których możemy domyślać się, skąd Czerwone Siłowniki mają jakieś wiadomości o nas, gdyż to właśnie oni zaaranżowali wspomnianą przez generała Różewicza wymianę informacji z Holdą. A czy Holda ma o nas jakąś wiedzę? – generał zapytał sam siebie. – Tego niestety nie wiemy... Istnieje jednak prawdopodobieństwo, iż Siłowniki wiedzą, że szkopy nieświadomie mogą dysponować jakimiś informacjami i dlatego chcą ich naprowadzić na właściwy trop. Oczywiście aby samemu na tym skorzystać. Dla niemających wystarczającej wiedzy o Siłownikach przypomnę...

Generał przerwał na moment i odchrząknął, a Antek odniósł wrażenie, że jego ostatnie zdanie było skierowane szczególnie do niego.

– ...jest to najbardziej tajna, zbrodnicza i sadystyczna organizacja, jaka w ubiegłym wieku powstała w Rosji sowieckiej na potrzeby i polecenie Stalina. Po przegranej przez bolszewików bitwie warszawskiej w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku Stalin, obawiając się, że może zostać rozliczony i usunięty z partii za to, że nie ruszył ze wsparciem wojskowym dla Tuchaczewskiego, szybko zorganizował wokół siebie grupę najbardziej bezwzględnych, ale zarazem najlepszych swoich wiernych podwładnych. Nie byli to jednak ani zagorzali marksiści, ani też żadni inni socjalistyczni ideowcy. Była to jedynie zbieranina zwyrodniałych, aczkolwiek wyjątkowo inteligentnych ludzkich bestii. Największą satysfakcję w życiu sprawiały im pieniądze, władza i uprawianie swoich ulubionych, bestialskich pasji. Stalin przez całą swoją karierę nieustannie



obserwował takie rodziniki, a następnie ich dla siebie wyławiał. Dawał im wolną rękę i zarazem dostarczał nieskończoną ilość okazji do zaspokojenia swoich nieludzkich potrzeb. Mam tu na myśli przede wszystkim wymyślne tortury, sadystyczne morderstwa, rytualne gwałty i wszelkie inne tym podobne rozrywki. Wszystko to w zamian za wierną służbę, dyskrecję i bezgraniczne oddanie. I na takim oto gruncie wyrosła w końcu bardzo potężna organizacja, która od tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku sama zaczęła określać się mianem Czerwonych Siłowników, a która dziś jest odczuwalnym, gorącym oddechem na plecach każdego wpływowego rosyjskiego polityka, generała czy też oligarchy. Gdyby nie oni, Stalin nigdy nie utrzymałby się u władzy, nigdy też nie przeprowadziłby skutecznie wielkiej czystki i ostatecznie nie decydowałby w Jałcie i Teheranie o tym, jak będzie wyglądać późniejszy świat. Chociaż, jak większość z was wie, udało nam się do nich dotrzeć i w jakimś stopniu rozpracować, to trzeba pamiętać, że było to i jest nadal jedno z najbardziej zakonspirowanych zgromadzeń na świecie. Najlepszym dowodem na to jest fakt, iż pomimo istnienia Czerwonych Siłowników u boku Stalina w latach, gdy torował on sobie drogę do absolutnej władzy, o ich istnieniu nie mieli pojęcia nawet jego najwierniejszy człowiek od brudnej roboty, Nikołaj Jeżow, ani też całkowicie oddany mu Ławrientij Beria. Można śmiało powiedzieć, że Stalin stworzył tę grupę, aby była przede wszystkim zabezpieczeniem przed jego najbliższymi przyjaciółmi i współpracownikami. – Staruszek po raz kolejny odchrząknął.

Antek cieszył się z powodu tego, iż informacje, które skrupulatnie przekazywał teraz generał Maj, rozjaśniają mu nieco całą sytuację, ale jednocześnie czuł się trochę jak podczas lekcji historii, z niecierpliwością oczekując, aż wiekowy profesor poinformuje ich w końcu, jaką odegrają rolę w tej całej sprawie.

– Dzisiaj, drodzy państwo – kontynuował generał – Czerwone Siłowniki to hierarchiczna i wielokomórkowa, dobrze działająca resortowa mafia. Kiedyś, po śmierci Stalina, podzieliła się ona na dwa odrębne odłamy: pierwszy, składający się z dozgonnie wiernych komunistycznemu tyranowi stalinowców, oraz drugi, w którego szeregach znaleźli się między innymi ci, którzy bez skrupułów wcześniej

ukatrupili swojego starzejącego się już dyktatora. Jako anegdotę dodam, że wywodząca się ze wspomnianego drugiego odłamu grupa kilku Siłowników, która w przełomowym pięćdziesiątym trzecim roku przebywała wraz ze Stalinem w jednej z jego podmoskiewskich daczy, w ramach dozgonnej wdzięczności zafundowała mu udar lewej półkuli i krwawienie do wewnątrz żołądka. Oczywiście nie byłoby sobą, gdyby przy tej okazji nie zagwarantowali swojemu dobrodziejowi dodatkowej atrakcji, jaką było zdychanie w potwornej agonii przez cztery bite dni, bez możliwości uzyskania jakiegokolwiek pomocy. Zabronili oni oczywiście komukolwiek zbliżyć się do jego gabinetu i przeszkadzać w długim oraz wyjątkowo bolesnym odchodzeniu z tego świata. To właśnie ta grupa ludzi w przeciągu piętnastu kolejnych lat niemalże doszczętnie zlikwidowała całą swoją konkurencję i zaczęła tym samym przejmować kontrolę nad poszczególnymi organami sowieckiego mocarstwa.

Generał przerwał na moment, by wziąć głęboki oddech. Antek usłyszał, jak w płucach generała coś zaświszczało.

– Jednak kluczową dla Siłowników rolę w zagwarantowaniu sobie dzisiejszej, niezagrożonej niczym pozycji w strukturach Federacji Rosyjskiej odegrały przemiany lat osiemdziesiątych oraz dziewięćdziesiątych – ciągnął dalej Maj. – I mamy tutaj, moi drodzy, o wiele bardziej szczegółowe informacje na ten temat, gdyż i nasza organizacja zaczęła wtedy z wolna podnosić się ze zgliszczy i odbudowywać swoje dawne, zakonspirowane struktury. Wtedy to właśnie Czerwone Siłowniki zaczęły werbować w całym bloku wschodnim młodych zdolnych i łakomych na władzę przyszłych sukcesorów swojej spuścizny. Pan pułkownik oraz panowie generałowie zapewne pamiętają jeszcze rok dziewięćdziesiąty pierwszy, gdy z niepokojem patrzyliśmy na wydarzenia w Rosji. – Spojrzał w kierunku Walewskiego oraz Różewicza.

Obaj nieco znużeni tym obszernym wykładem mężczyźni przytaknęli mu z grzeczności.

– Otóż, czekaliśmy wtedy na to, jak też potoczą się losy puczu w tym rozpalonym zamieszkami, atomowym molochu na glinianych nogach i czy

ostatecznie dojdzie do obalenia Jelcyna za sprawą wojska oraz starej komunistycznej generacji. Wiedzieliśmy przecież doskonale, kto za tym puczem stoi i kto tak naprawdę chce powrotu do wielkiego, hermetycznego Związku Radzieckiego, aby dalej kręcić tam swoje interesy i trzymać miliony zastraszonych Rosjan pod twardym butem. Był to oczywiście misternie uknuty przez Czerwone Siłowniki, a następnie zrealizowany za pomocą armii plan, którego celem było zatrzymanie tragicznej dla nich w skutkach pieriestrojki, uniemożliwiającej im utrzymanie absolutnej kontroli nad państwem, jaką do tej pory mieli. Całe szczęście próba odzyskania realnej władzy się nie powiodła; pucz został powstrzymany, Jelcyn wyszedł na legendarny czołg, a Siłowniki zostały z niczym...

Antkowi przed oczami stanęło słynne zdjęcie.

– Cieszyliśmy się niezmiernie, bo oto na jakiś czas zniknęło z horyzontu widmo jednego z naszych najniebezpieczniejszych wrogów – kontynuował generał. – Pozbawione oficjalnych państwowych narzędzi, potrzebnych do sprawowania władzy, środowisko Siłowników nie było w stanie w żaden sposób zagrozić odradzającemu się Polonorum. Cieszyliśmy się, tym bardziej że w jakimś stopniu rekompensowało to naszą wielką porażkę z czwartego czerwca osiemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to w Polsce niemalże cały komunistyczny aparat władzy, wraz ze swoimi układami i szarymi eminencjami, przeszedł bez żadnych konsekwencji do rzekomo nowej, niekomunistycznej trzeciej RP. Jak to jednak w historii bywa, nie było nam dane zbyt długo celebrować tego stanu rzeczy. Niestety, Siłowniki, mimo srogiej porażki, bardzo szybko zrobiły gruntowną reorganizację personalną polegającą na tym, iż piastujące od wielu dekad władzę stare, pamiętające jeszcze Stalina, dziewięćdziesięcioletnie leśne dziadki przekazały pałeczkę swoim synom, wnukom, córkom i tak dalej, i tak dalej... Z kolei ta, wychowana w duchu totalnej bezkarności i bezgranicznie pożądająca władzy świeża krew bez pardonu ruszyła po swoje... A jak odbywało się ich dojście do całkowitej władzy? – zapytał nagle, mocno zaangażowany w swoją rolę

staruszek, mimo że lekko znużeni już tym drobiazgowym wykładem słuchacze potraktowali to jako pytanie retoryczne.

Antek także zaczął odczuwać, iż płynący właśnie w jego żyłach hoegaarden coraz mocniej wyparowuje i że zaczyna go z wolna dopadać lekki, ale za to nieznośnie nużący kac.

– Otóż na fali przemian – kontynuował niestrudzony generał – które zachodziły w nowej, demokratycznej Rosji, wyhodowali sobie własnych oligarchów oraz poumieszczali w wojsku i administracji państwowej świeżych, dopiero co zwerbowanych ludzi. W końcu całkowicie opanowali oni wywiad, sądownictwo, FSB, a także sporo wpływowych stanowisk w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kulminacyjny moment nastąpił jednak dopiero w roku tysięcznym dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, gdy byli już zdecydowanie lepiej zabezpieczeni i przygotowani do przejęcia władzy niż podczas pamiętnego, nieudanego puczu. Tak więc pewnego grudniowego wieczoru jak gdyby nigdy nic zjawili się z wizytą u nadal pełniącego jeszcze urząd prezydenta Rosji, Borysa Jelcyna, i grzecznie wyjaśniając mu, jak się sprawy mają, tym samym przedstawili mu tak zwaną propozycję nie do odrzucenia. Jednak, by nie popełnić błędów z przeszłości i nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, szlachetnie oszczędzili go, gwarantując jednocześnie dozgonne bezpieczeństwo dla jego córek. Efekt tych odwiedzin znamy oczywiście wszyscy...

Antek dostrzegł, że starszy generał spojrział wymownie po wszystkich obecnych w Sali Gobelinowej agentach.

– Ja jednak postaram się to wam przedstawić z mojej perspektywy... – zaproponował Maj. – Otóż w pamiętną sylwestrową noc, w jednej z naszych starych wywiadowczych kwater oczekiwaliśmy wraz z grupą najbliższych współpracowników i zarazem przyjaciół, przy kilku butelkach taniego szampana, nadchodzącego z wielkim hukiem nowego roku. Nagle ktoś dla żartów włączył w telewizorze transmitowane prosto z Kremla tradycyjne, prezydenckie orędzie noworoczne. W orędziu tym lekko podchmielony Jelcyn złożył jak zwykle nierealne życzenia narodowi rosyjskiemu, po czym całkowicie niespodziewanie

oznajmił, że odchodzi ze stanowiska, gdyż przyszedł czas oddać władzę nowym, lepszym i co ważniejsze, potężniejszym od niego ludziom, którym, jak to sformułował, nie będzie stawał na drodze. Pamiętam to jak dziś... – Westchnął ciężko. – Od momentu wypowiedzenia tamtych enigmatycznych słów przemówienie prezydenta Rosji zaczęło ciągnąć się niemiłosiernie – dodał, najwyraźniej nieświadomy zabójczego tempa swojej własnej wypowiedzi.

Antek powiódł wzrokiem po agentach. Większość wydawała się zatopiona we własnych myślach.

– W końcu, po około dziesięciu minutach toczenia swoich nieskładnych wycopin, Jelcyn dobrnął do meritum i nareszcie wymienił imię swojego następcy. Uwierzcie mi państwo – staruszek wziął teraz głęboki oddech – nogi się pod nami ugięły! Ten stary moczymorda oznajmił bowiem, że namaszcza na nowego prezydenta Rosji dobrze nam znanego i obserwowanego od dawna młodego podpułkownika KGB, Władimira Władimirowicza... Nie mogłem wtedy uwierzyć, że to, co właśnie widzę w telewizji, dzieje się naprawdę... Zresztą wszyscy jak jeden mąż staliśmy tam jak słupy soli, z szeroko otwartymi ustami, bo choć cały świat nie miał pojęcia, kim w ogóle jest ten gość, to my doskonale wiedzieliśmy, od kogo on pochodzi. Po chwili jak szalone rozdzwoniły się nasze stare, ciężkie niczym cegły telefony komórkowe i w agencji zrobiło się ogromne zamieszanie. Każdy z nas zastanawiał się gorączkowo, jak mogliśmy to przeoczyć i do tego dopuścić... To była najgorsza noc sylwestrowa w mojej karierze! – podsumował generał, robiąc przy tym wyraźnie zboląłą minę.

W tej samej chwili Antek mimowolnie spojrział na Lili, która również, jakby podświadomie, nieznacznie zerknęła w jego stronę. Wyglądało na to, że oboje przypomnieli sobie, w jakich to nietypowych okolicznościach przyszło im spędzić swojego ostatniego sylwestra. Chłopak doszedł także przy tej okazji do wniosku, że zdecydowanie wolałby sto razy obejrzeć wspomnianą transmisję z przynudzającym Jelcynem, niż przechodzić raz jeszcze przez piekło, jakie zgotowała mu ta niepozornie wyglądająca dziewczyna.

Tymczasem generał Maj nadal nieustrudzenie produkował się, aby dostarczyć im jak najwięcej potrzebnej wiedzy.

– Siłowniki rozegrały to po mistrzowsku... – przyznał. – Po cichu i zupełnie niezapowiedzianie wstawili na urząd prezydenta człowieka znikąd, a zarazem swoją najbardziej zaufaną figurę, która z czasem okazała się wyjątkowo sprawna i jeszcze bardziej wpływowa. Dzięki niej dostali nieograniczony dostęp do wszystkich instytucji państwowych, czyli de facto absolutnej władzy, za którą tak bardzo tęsknili... *Chapeau bas!* – zaakcentował na koniec, jakby mimo wszystko doceniając kunszt tego niebywale wyrefinowanego politycznego zagrania. – A więc, moi drodzy! – oznajmił następnie generał, nieznacznie podnosząc głos. – To były informacje ogólne, dotyczące genezy waszego najbliższego przeciwnika, natomiast po zakończeniu odprawy zostanie wam udostępniona z archiwum, specjalnie na tę okazję sporządzona, szczegółowa dokumentacja przedstawiająca historię infiltracji Czerwonych Siłowników przez naszych ludzi na przełomie ostatnich dziesięcioleci. Pamiętajcie, że w trakcie akcji każdy najmniejszy szczegół i każda informacja, jaką będziecie znali na ich temat, może być na wagę złota i uratować wasze życie! A teraz pozwólcie, że przejdę do kolejnego wątku, a mianowicie tego, w jaki sposób Czerwone Siłowniki mogły się o nas dowiedzieć oraz dlaczego domyślają się, że nadal aktywnie działamy...

Zanim jednak staruszek kontynuował, poprawił swoją bordową muchę, a dopiero następnie dziarsko zabrał się do dalszej części wykładu.

– A więc, jak większość z was zapewne się domyśla, ewentualne przecieki na nasz temat, krążące gdzieś wśród wrogich nam środowisk, są oczywiście pokłosiem działalności największego zdrajcy w historii naszej organizacji, czyli Bolesława Katnica! – zagrzmiął niespodziewanie staruszek. – Ten człowiek, drodzy agenci, to najczarniejsza karta w naszej wielowiekowej historii. Renegat, który przez swoje chore ambicje o mało co nie doprowadził do unicestwienia całego Polonorum. Jak większość z nas, był oczywiście wychowankiem programu „Świtez” i trafił tu jako czteroletnia sierota wojny polsko-bolszewickiej, zwerbowana gdzieś w okolicach Kowna.

Antek poruszył się na sofie. Nigdy wcześniej nie słyszał o Katnicu.

– Po przyjęciu go do organizacji natychmiast nadano mu pseudonim Meteor i rozpoczęto jego szkolenie. Od samego początku wykazywał nieprzeciętne umiejętności. Był wzorowym kadetem i wrócono mu karierę wybitnego agenta. Po serii spektakularnych akcji, jakie udało mu się przeprowadzić już na samym początku służby, bardzo szybko awansował. To właśnie jemu i jego podwładnym zawdzięczaliśmy wspomniane przeze mnie wcześniej doskonałe infiltrowanie Czerwonych Siłowników. To on ich odkrył! Drodzy agenci... To on ich również rozpracował i ostatecznie, w roku trzydziestym szóstym, jako podstawiony przez nas młody oficer NKWD o stworzonym na tę potrzebę nazwisku Katnic, zakreślił się na tyle blisko Stalina, by w końcu przesiąknąć do jego tajnej organizacji jako nasz kret. Niestety, gdy kariera Katnica nabierała tempa, jego znakomita skuteczność w działaniu i wynikające z niej spektakularne sukcesy wywiadowcze całkowicie odwróciły uwagę przełożonych od rozwijających się w jego głowie niepokojących, wywrotowych poglądów. Towarzyszący mu przyjaciele, jak i dowódcy, zachwyceni jego działaniami, w pewnym momencie po prostu przeoczyli bądź też zbagatelizowali fakt, iż pod wpływem pasma nieustających sukcesów oraz dzięki idącym za nimi nowym kontaktom oraz intelektualnym przygodom, począł zmieniać się w walczącego z religią, ale także z republikańskimi wartościami skrajnego, ponadnarodowego socjalistę. W końcu taki stan rzeczy, iż ktoś nagle z bardzo wierzącej i konserwatywnej osoby z czasem staje się radykalnym, zagorzałym ateistą oraz marksistą, nie jest jeszcze powodem do natychmiastowego odsunięcia go od skutecznych działań i wydalenia z szeregów organizacji. Mamy i zawsze mieliśmy w Polonorum wielu zasłużonych agentów, którzy z wiekiem poprzyjmowali najróżniejsze światopoglądy. A jednak, tak gwałtowna zmiana u tak wyjątkowego agenta powinna zapalić w głowach niektórych wyższych stopniem i bardziej doświadczonych dowódców lampkę ostrzegawczą...

Generał uniósł energicznie palec wskazujący. Najwyraźniej chciał dać do zrozumienia obecnym w pomieszczeniu dowódcom, aby nigdy nie bagatelizowali

u swoich podkomendnych podobnych oznak odchylenia.

– Najgorsze było to, że całkowicie zlekceważono jego fascynacje socjotechniką i wszelkimi skutecznymi narzędziami wykorzystywanymi w celu kontrolowania mas, które to sam, jako wytrawny ideolog, uważał za ślepe, głupie i niezdolne do decydowania o samych sobie – Generał Maj westchnął ciężko. – Najwyraźniej nie zwrócono również uwagi na dyskusje, jakie zaciekle toczył z innymi członkami organizacji. Mam tu oczywiście na myśli lansowane przez niego wizje radykalnych zmian w społeczeństwie Drugiej Rzeczypospolitej, jak i w samej organizacji. Dopóki jednak wzorowa służba Katnica przynosiła oczekiwane efekty, a organizacja dzięki temu pozornie rosła w siłę, uważano jego odmienne przekonania za zaledwie niegroźne, ideologiczne, utopijne marzenia. Nawet jeśli ktoś w końcu odważył się nieśmiało ostrzegać w tej sprawie, szybko studzono jego zaniepokojenie, powtarzając przy tym, że w końcu tak zasłużony agent może pozwolić sobie na snucie najróżniejszych intelektualnych fanaberii.

Tymczasem robiło się coraz później, a tempo wypowiedzi starego dowódcy wcale nie wzrosło. Wręcz przeciwnie, z każdą kolejną minutą zaczęło sukcesywnie zwalniać. Jednak Antek, który szczerze marzył już o szklance orzeźwiającej wody, starał się mimo to sprawiać wrażenie wyjątkowo skupionego.

– Jednak wbrew tym pobożnym zapewnieniom – kontynuował generał – agent Meteor, czy jak kto woli, Bolesław Katnic, widząc, że jego nieustanne nawoływanie do zmian w organizacji nie przynosi oczekiwanego skutku i że żaden z uwielbiających go dowódców nie traktuje tych postulatów poważnie, porytowany takim stanem rzeczy niespodziewanie zdecydował się postawić sprawę na ostrzu noża. Korzystając więc z tego, iż nadal cieszył się wyjątkowym posłuchem wśród członków Najwyższej Kapituły, w kwietniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zażądał od niej natychmiastowego osobistego spotkania. Góra, z początku niechętna na jakiegokolwiek rozmowy o rewolucyjnych zmianach, jakie miałyby nastąpić w organizacji, ostatecznie po niejednogłośnej decyzji przychyliła się do jego prośby. Spotkanie odbyło się oczywiście w Rumunii, gdzie, z powodu przygotowań do nieuchronnie zbliżającej się wojny,



której wybuchu organizacja spodziewała się lada chwila, zorganizowano tymczasową siedzibę głównego dowództwa.

Antek ponownie spojrzął na zebranych w sali agentów i pomyślał, że gdyby kiedyś jakiś artysta chciał przedstawić na płótnie obraz autentycznej, wzbudzającej wewnętrzny niepokój, mistycznej stypy, to z pewnością mógłby się inspirować tym spotkaniem.

– Zanim jednak Katnic przedstawił tam swoje żądania wobec kapituły – kontynuował staruszek – na samym wstępie skrytykował ją za to, iż jest całkowicie nieprzygotowana do możliwej okupacji niemieckiej i tym samym powinna niezwłocznie rozpocząć współpracę ze Stalinem, jeśli w ogóle chce przetrwać nadchodzącą wielkimi krokami wojnę. Następnie oskarżył członków o wykazywanie przesadnej troski o rządzące w Polsce elity ziemiańskie i sanacyjne oraz wyraźne faworyzowanie członków pochodzenia arystokratycznego w strukturach organizacji. Nie omieszkał również wspomnieć, że to on jest aktualnie najbardziej zasłużonym członkiem w całej organizacji, i że to właśnie jego nieocenione dokonania dają mu realny mandat do pokierowania nią w czasach niepokoju. Na zakończenie przedstawił kilka swoich wspomnianych postulatów, będących zaledwie namiastką wielkiej reformy, jaka za jego rządów miałaby czekać organizację. Były to między innymi: zmiana dotychczasowej nacjonalistycznej i nieidącej, według niego, z duchem światowych przemian nazwy Polonorum, na PLON, czyli Podziemną Ludową Organizację Nadzoru, oraz odebranie rodom arystokratycznym dotychczasowych przywilejów i usunięcie z organizacyjnej rzeczywistości wszelkich odniesień do dawnych, monarchistycznych, szlacheckich czy też chrześcijańskich korzeni.

Antek dostrzegł, jak generał Maj przewrócił z niedowierzaniem oczami, jakby ciarki przeszły go na samą myśl, iż te postulaty mogłyby być kiedykolwiek spełnione.

– Chyba nikogo to nie zdziwi, jeśli powiem, że wystąpienie Katnica spotkało się z bezwzględnym oburzeniem i że bez wdawania się z nim w jakąkolwiek polemikę kapituła natychmiast wydała rozkaz aresztowania go. Niestety, w trakcie

oczekiwania na wyrok w jednym z naszych konspiracyjnych aresztów udało mu się wydostać na wolność. Jak się potem okazało, Katnic, od samego początku domyślając się, iż po przedstawieniu swoich racji zostanie zatrzymany, z pomocą zaufanego towarzysza wywodzącego się z grona Czerwonych Siłowników wprzód zaplanował swoją ucieczkę. Spotkał się więc z kapitułą, tak bezwzględnie określając swoje cele, tylko po to, by sprawdzić, czy choć jeden z jej członków bądź członków generalnego dowództwa ujmie się za nim. Mógłby w ten sposób znaleźć na przyszłość słaby punkt w dowództwie i zarazem wyłom naruszający w organizacji mur jedności, umożliwiający mu zebranie po swojej stronie ludzi, którzy myślą podobnie jak on. Tak się jednak nie stało i jak już wspomniałem, nie podjęto z nim nawet minuty dyskusji. Za to wszyscy jego przełożeni, niestety zbyt późno i z bolesnym rozczarowaniem, przejrzeni na oczy. Dotarło do nich bowiem, kogo tak naprawdę wychowali sobie pod własnym nosem, i że jeśli teraz pójda na jakiegokolwiek ustępstwa wobec niewdzięcznego wychowanka, mogłoby to się skończyć próbą przejęcia przez niego organizacji siłą lub nawet zniszczenia jej. Zapytacie zapewne, skąd taka buta i zuchwalstwo u tego bądź co bądź jeszcze bardzo młodego i dotychczas szczerze oddanego agenta.

Generał popatrzył po zebranych. Grupa krakowska nadal siedziała w grobowej ciszy, znieruchomiała, nieskora do zapytania, skąd owo zuchwalstwo. Niezrażony tym jednak Maj, tak jak sam sobie pytanie zadał, tak sam sobie na nie odpowiedział.

– Trzeba pamiętać, moi mili, że Katnic, pomimo swojego młodego wieku, już wiele razy uniknął niechybnej śmierci w trakcie przeprowadzania dziesiątek kluczowych dla organizacji, brawurowych akcji. Został także najmłodszym w historii podpułkownikiem, na którego awansowano go w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat. Z tych to właśnie powodów prędko stał się bezgranicznie wierzącym w towarzyszącą mu nadludzką nieśmiertelność fanatykiem własnego przeznaczenia. Po ucieczce z aresztu, podczas której zabił trzech naszych agentów, zlikwidował także swojego pomocnika, który ryzykując życie, przyszedł mu na ratunek. Szczęśliwie dla nas zabójstwo to oznaczało tylko jedno: Katnic nie chciał,

aby Stalin lub też ktokolwiek z Siłowników dowiedział się czegokolwiek o jego prawdziwym pochodzeniu... Rozpoczął zatem ryzykowną grę na dwa fronty; był bowiem tak pewny siebie, iż chcąc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, postanowił z jednej strony zwodzić dyktatora, dając mu rzekomo zdobyte, lecz niewiele warte informacje o tajnej polskiej organizacji, a jednocześnie planował pozbyć się go i już jako jego następcę, z przejętą przez siebie nową, komunistyczną wersją Polonorum, kontynuować czerwoną rewolucję, której liderem w dalszym pochodzie na zachód miałyby zostać nie sowiecka Rosja, ale nowa ludowa Polska!

Oznajmiając to, dowódca przełknął z ulgą ślinę, jakby rad, że szczęśliwie nigdy do tego nie doszło.

– Tymczasem w lecie czterdziestego czwartego zwycięstwo zdecydowanie zaczęło przechylać się na stronę aliantów i wszyscy zadawali sobie pytanie, jak ostatecznie potoczą się losy Polski w tym geopolitycznym zawirowaniu. Również Katnic, rozumiejąc, że scenariusz, który pisze wojna, może w każdym momencie obrócić się na jego niekorzyść, i że nie zostało mu zbyt wiele czasu do działania, doszedł do wniosku, że nie obejdzie się bez pomocy Czerwonych Siłowników, gdyż sam nie jest w stanie usunąć naraz wszystkich członków kapituły, jak również innych, nieprzychylnych mu i nieskorych do zmian agentów. Podczas tej judaszowej komitywy z Siłownikami musiał jednak bardzo uważać i realizując swój zbrodniczy plan, działać tak, by Stalin nie dowiedział się całej prawdy o jego podwójnej grze i próbie wysłużenia się jego ludźmi. W przeciwnym razie ten z pewnością kazałby go zabić, a Polonorum, o którego przejęciu marzył Katnic, wytropić i całkowicie zlikwidować. Przypuszczamy, że od tamtego właśnie momentu zaczął stopniowo dozować Stalinowi prawdziwe informacje o nas, jednak nadal na tyle ostrożnie, by nie pogrążyć całkowicie swoich dawnych kompanów, a jedynie wytrzebić najlepszych i najniebezpieczniejszych z nich oraz zastraszyć i osłabić całą resztę.

Wyraźnie rozemocjonowany treścią własnego wykładu generał rozpiął nagle ostatni guzik swej koszuli i poluźnił muchę. Nie dało się ukryć, że wydarzenia z tak

odległych i zamierzchłych dla młodych agentów czasów wciąż intensywnie żyją w wyobraźni staruszka.

– Myślę, że jesteśmy zgodni w tym, iż Meteor był najohydniejszą poczwarą, jaka wychowała się w naszej organizacji – kontynuował. – Niestety musimy również przyznać, że był wówczas także najlepszym z naszych szpiegów. Tak więc tuż po jego spektakularnej ucieczce w kwietniu trzydziestego dziewiątego wszystkie podjęte przez niego działania szły dokładnie po jego myśli, a mianowicie Stalin połknął haczyk, a w Polonorum z każdym kolejnym tygodniem zaczęli znikać ludzie. Kapituła, zdając sobie szybko sprawę, że Katnic nie ustąpi już ze swojej drogi i nawet po wybuchu wojny nadal będzie ścigał ich i eliminował, wraz z generalicją postanowiła, iż nie można dopuścić do sytuacji, w której doszłoby do odwrócenia sojuszy i w której to Stalin oraz jego Siłowniki stanęliby ramię w ramię z Francuzami czy też Brytyjczykami. Dowództwo Polonorum bowiem, na podstawie swoich poufnych informacji, już od stycznia tego samego roku wiedziało, iż zawarcie porozumienia dotyczącego czwartego rozbioru Polski pomiędzy ministrami spraw zagranicznych Niemiec i Rosji to już tylko nieunikniona kolej rzeczy, podobnie jak to, że przyjaźń między Hitlerem a Stalinem nie potrwa zbyt długo i że wkrótce oba zbrodnicze imperia skoczą sobie do gardeł.

Antek znów usłyszał, jak generał głośno odsapnął, gdyż złapał lekką zadyszkę spowodowaną nieco szybszym teraz tempem wypowiedzi.

– Ustalono więc, że w razie takiej ewentualności – ciągnął dalej – trzeba jak najdłużej zatrzymać naszych wykrętnych zachodnich sojuszników po swojej stronie, aby w razie wojny między III Rzeszą a sowiecką Rosją nie przyszło im do głowy przyłączyć się do Stalina i jego Siłowników w walce z Hitlerem. Wszyscy w dowództwie doskonale zdawali sobie sprawę, że jeśli nie uda się tego dokonać, to my, jako organizacja, ale przede wszystkim jako państwo i naród, będziemy skończeni... Oczywiście było bowiem to, że Stalin w zamian za pomoc Brytyjczykom w walce z III Rzeszą zażąda dla siebie władzy nad całym terytorium Polski oraz Europy Środkowo-Wschodniej, a to umożliwiłoby Katnicowi nieograniczone możliwości w prześladowaniu nas i stopniowym dożynaniu, gdyż

wiedział przecież o nas prawie wszystko! Na koniec pozostałoby mu jedynie usunąć starzejącego się już tyrana i wraz z nowym, „czerwonym” Polonorum i zapewne częścią swoich zaufanych Siłowników stanąć na czele wielkiej światowej socjalistycznej rewolucji.

Generał zdjął wadzącą mu w jego emocjonującej prelekcji muchę i nerwowym ruchem wcisnął ją do kieszeni marynarki, po czym kontynuował:

– Zdecydowano więc, że należy przekonać aliantów do bezwzględnego pozostania w sojuszu tak zwaną metodą kija i marchewki. Z tym że w odwrotnej kolejności, bo postanowiono, iż zostanie do tego użyta prowadzona przez nas od ponad dziesięciu lat, ściśle tajna operacja o kryptonimie „Krawiec”, która miała na celu przeniknięcie naszych ludzi do struktur wywiadu Drugiej Rzeczypospolitej i jednoczesne wsparcie go w walce z wywiadami niemieckim i sowieckim. W akcji wzięło udział dwóch naszych najwybitniejszych matematyków i kryptologów, jakimi wtedy dysponowaliśmy, czyli Henryk Zygański i Jerzy Różycki. Jako studenci matematyki na Uniwersytecie Poznańskim wzięli udział w rekrutacji do wojskowego programu szkoleniowego dla przyszłych agentów polskiego wywiadu. A odbyło się to w ten sposób, iż opiekunowie tegoż oto programu wystosowali prośbę do władz uczelni, aby te sporządziły im listę najwybitniejszych dwudziestu studentów. Wywiad Rzeczypospolitej Polskiej nie miał pojęcia, że na tej właśnie liście znalazło się dwóch naszych podstawionych agentów. Musicie wiedzieć, że cały ten piekielnie żmudny proces rekrutacji i przygotowania do pracy w polskim wywiadzie trwał aż cztery lata i z całej grupy ukończyło go zaledwie trzech najwybitniejszych studentów; w tym oczywiście dwóch naszych ludzi, którym bezzwłocznie zaproponowano pracę w poznańskiej filii biura szyfrów o nazwie BS4. Wtedy to operacja „Krawiec” w końcu zaczęła przynosić oczekiwane efekty w postaci udanej inwigilacji polskiego wywiadu oraz pozyskania przez naszych chłopaków na poczet organizacji nowego, wybitnego agenta, jakim był ów trzeci student, a jak się później okazało, jeden z najwybitniejszych matematyków w historii świata, Marian Rejewski. Nasi chłopcy, już na samym początku dostrzegając, że ma o wiele większe zdolności od nich, słusznie poprosili

o pozwolenie na zwerbowanie go do pracy dla nas, na co kapituła natychmiast wydała zgodę. Zatem od tej chwili praca już nie tylko dwóch, ale trzech naszych agentów bardzo szybko zaowocowała znakomitymi osiągnięciami. Już w grudniu trzydziestego drugiego udało im się złamać uważany dotychczas za niemożliwy do rozszyfrowania kod niemieckiej enigmy – z nieukrywaną dumą oznajmił generał.

Mimo że Antek cały czas walczył z nieodpartą pokusą ziewnięcia, zauważył, iż sprawa ta zaczyna nabierać jednak jakiejś ciekawszej treści, tak więc wyprostował się demonstracyjnie i całą swoją silną wolą zmusił do jeszcze mocniejszej koncentracji.

– Gdy w styczniu trzydziestego trzeciego Rejewski, Zygański i Różycki byli w stanie już całkowicie deszyfrować przechwycone przez polski wywiad niemieckie kryptogramy – kontynuował w wątplym, lecz nieustrudzonym głosem generał Maj – natychmiast nam je przekazywali i tym sposobem wiedzieliśmy w organizacji o niemalże każdym ruchu, jaki planowali Niemcy. Przede wszystkim jednak to, iż udało się nam złamać kod enigmy, a następnie skonstruować maszynę do deszyfracji, zwaną bombą kryptologiczną Rejewskiego, spowodowało, że polski wywiad, jak i nasza organizacja zyskały mocną kartę przetargową w ewentualnych negocjacjach sojuszniczych. Plan ten miał jednak jedną wadę, gdyż jeszcze w grudniu trzydziestego ósmego roku, na niespełna pięć miesięcy przed buntem Katnica, Niemcy niespodziewanie udoskonalili swoją enigmę, dodając do niej dwa dodatkowe „bębenki”, co gigantycznie zwiększyło ryzyko na to, że ich depesze będą na powrót nie do rozszyfrowania... No ale to na pewno pamiętają już państwo z podstaw kryptologii – wtrącił generał, wytrzeszczając wymownie oczy w stronę agentów grupy krakowskiej.

Oni jednak, nadal niewzruszeni, siedzieli w milczeniu i ze skupieniem słuchali bądź raczej cierpliwie oczekiwali na koniec wykładu.

– Z początku jednak zbyt mało się tym nie przejmowano, gdyż sądzono, że chłopaki równie szybko jak w poprzednich latach poradzą sobie z nowymi modyfikacjami. Niestety, z czasem okazało się, że nie będzie to takie proste, jak zakładano. Tymczasem zbliżało się lato i wojna mogła wybuchnąć w każdej chwili,

a oczekiwanych efektów nadal nie było widać... Tu trzeba z przykrością przyznać, że po prostu cała ta sprawa z końcem maja trzydziestego dziewiątego zaczęła nam się wymykać spod kontroli... Szybko okazało się również, że problemem jest nie tylko uciekający czas, ale też niewystarczające finansowanie i brak odpowiednio wyszkolonych kadr.

Staruszek rozłożył ręce w geście bezradności. Potarł opuszkami kciuków i palców wskazujących, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że to odwieczny problem nie tylko organizacji, ale i całej Polski.

– Dotychczasowy koszt produkcji sześciu bomb kryptologicznych Rejewskiego kosztował bowiem tyle samo, co roczny budżet całego wydziału szyfrów. Natomiast po modyfikacjach, jakie do enigmy wprowadzili Niemcy, obliczono, że wywiad musiałby wyprodukować ich aż sześćdziesiąt! A przecież z wiadomych powodów wojsko polskie nie było w stanie opłacić budowy tak dużej liczby nowych maszyn deszyfrujących. Nagle, moi drodzy, staliśmy się ślepi i głusi, gdyż zbyt uzależniliśmy się od tego rodzaju pozyskiwanych informacji. Jak się słusznie domyślacie, nasza karta przetargowa z każdym kolejnym dniem, zaczęła gwałtownie tracić na wartości, choć oczywiście, nadal była jeszcze bardzo cenna! Na domiar złego Katnic, wraz ze zbliżającą się wojną, z każdym tygodniem coraz bardziej deptał nam po piętach. W końcu zostaliśmy zmuszeni do przekierowania wszelkich możliwych środków i sił w jak najszybsze uruchomienie nowej, alternatywnej operacji, której nadano kryptonim „Walter Alf”, a której celem było zdobycie jakichkolwiek informacji na temat nowej, ulepszonej niemieckiej enigmy. Kapituła podjęła jednocześnie dość ryzykowną decyzję o anonimowym dostarczeniu sporej ilości złota pochodzącej z naszych rezerw, które pokryłoby koszty wyprodukowania nowych bomb kryptologicznych. Niestety... Pomimo naszych wysiłków i jasnych sygnałów, które różnymi kanałami wysyłaliśmy do dowódców polskiego wywiadu, iż potrzeba nam zaledwie trzech tygodni na dostarczenie wszelkich potrzebnych informacji dotyczących ulepszeń zastosowanych w nowej enigmie, polski wywiad, zrezygnowany dotychczasowymi

niepowodzeniami, zaprzestał dalszych prób rozpracowania niemieckich depesz i zdecydował się zwrócić z pomocą do Francuzów oraz Brytyjczyków...

Generał Maj machnął energicznie ręką w geście beznadziei, dając do zrozumienia, że polski wywiad w jednej chwili spartolił lata ich ciężkiej pracy.

– Ostatecznie oficjalne zakończenie operacji „Krawiec” miało miejsce w lipcu, na pięć tygodni przed wybuchem wojny, kiedy to w siedzibie wywiadu BS4, utworzonej w miejscowości Pyry w podwarszawskim Lesie Kabackim, pojawili się, zaproszeni przez stronę polską, przedstawiciele wspomnianych, rzekomo sojuszniczych wywiadów. Tam też poinformowano ich o naszych przełomowych dokonaniach w dziedzinie kryptologii i zaproponowano współpracę w dalszym łamaniu kodu unowocześnionej enigmy. Nie muszę chyba tłumaczyć, że dla Polonorum była to całkowita klęska, gdyż nasza wieloletnia praca poszła na marne, a bombę kryptologiczną, która miała być naszą szansą na utargowanie faktycznego sojuszu w późniejszych etapach wojny, Brytyjczycy dostali po prostu na tacy...

Po sali poniosło się głośnie chrząknięcie generała Maja, jakby właśnie przygotowywał zapas sił do kulminacyjnej części wykładu.

– Tego, co się wydarzyło dalej, nie muszę chyba państwu tak szczegółowo przypominać, wszyscy doskonale bowiem wiecie, że gdy jesienią tego samego roku brytyjscy kryptoanalitycy z Bletchley Park, na podstawie replik enigmy, które im przekazaliśmy, skonstruowali w końcu wystarczającą liczbę nowych bomb Rejewskiego, Polska, już jako rozbity przez Niemców i Rosjan, totalnie przegrany sojusznik, nie była im do niczego potrzebna... No! Może tylko do nadstawiania za nich karku na wszelkich odległych od kraju frontach oczywiście... – dodał z przekąsem.

– A co z naszymi ludźmi z wydziału BS4? – niespodziewanie z szeregu milczących towarzyszy wyrwała się młoda, rudowłosa dziewczyna siedząca koło Antka, którą generał Różewicz kilkanaście minut temu przedstawił jako starszą sierżant Fiję. – Czy nie próbowano kontynuować operacji „Walter Alf”? Przecież sprawa była rozwojowa... Organizacja nadal dzięki niej mogła zdobyć jakąś nową



kartę przetargową... – dociekała, wyraźnie zaintrygowana nowo poznanymi wiadomościami.

Pytanie to, choć względnie banalne, rozbudziło w końcu nieco zneruchomiałe towarzystwo, gdyż wszyscy nagle obrócili się w stronę dziewczyny. Jedynie Abakiewicz, z surową miną wpatrując się w ogień liżący strzelającymi językami czarne, opalone ściany kominka, nie dał po sobie poznać jakiegokolwiek zainteresowania.

– Bardzo dobrze, moja droga! Dociekliwość jest tutaj jak najbardziej wskazana. – Generał Maj się uśmiechnął, rad z tego, że ktoś w końcu nawiązał z nim jakąkolwiek dyskusję, na co usatysfakcjonowana dziewczyna odwzajemniła się szczerym, lecz jakby nieco zawstydzonym uśmiechem. W tym samym momencie Antek dostrzegł kątem oka, iż obserwująca tę nazbyt serdeczną i infantylną reakcję swojej podwładnej Lili prychnęła cicho pod nosem.

– Oczywiście, że próbowano – generał odniósł się do zadanego pytania – jednak zamieszanie związane z wojną, a także intensywna działalność Katnica doprowadziły bardzo szybko do poważnej destabilizacji naszej organizacji. Ginęło coraz więcej kluczowych dla tej operacji agentów, a kapitule i generalicji brakowało już nowych miejsc, w których można było bezpiecznie planować nowe operacje i następnie nimi dowodzić. Działo się tak między innymi dlatego, iż Katnic w anonimowych donosach do Gestapo, a także NKWD, nieustannie podawał coraz to nowsze miejsca naszych kryjówek, opisując je jako rzekome siedziby polskich podziemnych i reakcyjnych band. Natomiast polski wywiad, a wraz nim, dla niepoznaki, nasi wybitni matematycy, musiał ratować się ucieczką do Rumunii, a następnie do Francji, gdzie oczywiście nadal kontynuowano pracę na rzecz organizacji, ale przede wszystkim na rzecz Francuzów i Brytyjczyków. – Generał wzruszył ramionami. – Tego, że dzięki bombie Rejewskiego aliancom udało się ostatecznie pokonać Hitlera, a wojna w zasadzie trwała kilka lat krócej, niż zakładano, chyba nie muszę wspominać... Są to przecież informacje powszechnie znane. Jeśli chodzi zaś o naszych chłopaków, to Rejewski po wojnie został wygaszony jako agent i skończył karierę matematyka jako zwykły urzędnik

państwowy. Różycki, niestety, zginął podczas wojny i jedynie Zygalski pod płaszczykiem prowincjonalnego nauczyciela kontynuował pracę dla naszej komórki wywiadowczej w Londynie.

Antek kolejny raz zanotował w myślach znaczące westchnięcie generała.

– Warto wspomnieć, że wyjątkowo bolesnym doświadczeniem nie było jednak tylko totalne fiasko naszego realizowanego latami, misternego planu, ale też świadomość, że pomagając Brytyjczykom, sami kręcimy na siebie bat, gdyż w pewnym sensie pomagamy wspierać w walce z Hitlerem dogadaną już na sztywno z aliantami sowiecką Rosję; tę samą, która kolejny raz okazała się największym katem w naszej tragicznej historii... Jednakże, pomimo rozlicznych kłopotów, osłabiona i zdziesiątkowana organizacja podjęła jeszcze jedno i zarazem ostatnie, niezwykle skomplikowane przedsięwzięcie. Tym razem, gdy współpraca Stalina i aliantów zacementowała się już na dobre, postanowiono obnażyć ten szatański sojusz na oczach zachodniej opinii publicznej i tym samym definitywnie go zakończyć. Od samego początku wojny bowiem nasi dowódcy optowali za tym, by nie pomagać za nadto Sowietom, gdyż w razie ich ewentualnej klęski w starciu z Hitlerem Brytyjczycy wraz z naszą pomocą i przy całkowitym zaangażowaniu Amerykanów są ostatecznie w stanie pokonać osłabioną działaniami na wschodnim froncie III Rzeszę. Na podstawie tej właśnie myśli geopolitycznej zaplanowano operację o kryptonimie „Dark Tomb”. Była ona, jak się państwo domyślają, wspomnianym kijem na karki przewrotnych alianckich sojuszników i zarazem naszych sowieckich oprawców. Zajęli się nią przede wszystkim nasi ludzie działający w biurze propagandy Goebbelsa, jak i nasz jedyny agent znajdujący się w najbliższym otoczeniu Hitlera, czyli dobrze znany wam ze zdjęcia w Sali Rotmistrzowskiej Orfeusz.

Antek zerknął kolejny raz na Lili, gdyż przypomniał sobie właśnie, z jak wielkim oporem opowiadała mu o owym legendarnym szpiegu, gdy po raz pierwszy odwiedził w jej towarzystwie Salę Rotmistrzowską. Dziewczyna tym razem jednak nie odwzajemniła jego spojrzenia i jakby z większą ciekawością

wśluchiwała się w informacje, które obficie serwował im wąty, lecz niestrudzony staruszek.

– A więc operacja „Dark Tomb” miała na celu wzbudzenie wśród zachodnich mediów możliwie jak największego rozgłosu w sprawie zamordowania przez Rosjan ponad dwudziestu jeden tysięcy wziętych do niewoli polskich obywateli, z czego ponad dziesięć tysięcy oficerów. Nasi agenci działający w Berlinie mieli za zadanie naprowadzić Niemców, którzy prawdopodobnie już co nieco wiedzieli o tej zbrodni, na las katyński i przy użyciu ich narzędzi propagandowych ujawnić całemu światu miejsce tej okropnej kaźni, a także ukryte pod jego powierzchnią polskie zbiorowe mogiły. Następnym etapem było zdobycie od Niemców wszelkiej możliwej dokumentacji sporządzonej podczas wykonanej przez nich ekshumacji i dostarczenie jej jak najszybciej polskiemu rządowi na uchodźctwie, jako dowód niezbędny do obnażenia prawdziwych intencji Stalina oraz skompromitowania niebezpiecznego dla Polski sojuszu.

Generał nagle sposepniał i zamilkł... Antek pomyślał, że zapewne jemu też stanęły przed oczami przerażające sceny z katyńskiego lasu, które doskonale pamiętał z czarnobiałych, niemieckich archiwów filmowych.

– Plan oczywiście w jakimś stopniu zaczął w końcu działać... – Staruszek otrząsnął się z zamyślenia. – Przynajmniej na tyle, iż Brytyjczycy zmuszeni byli nagle lawirować pomiędzy prawdą, honorem a ich własnym interesem. Zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli dojdzie do powszechnego ujawnienia niewygodnych dla nich faktów związanych z mordem katyńskim, nie będą już mogli potraktować Polaków, jak to się popularnie mówi, z buta, a wtedy niezwykle kruche porozumienie, jakie wiąże ich z komunistycznym, zbrodniczym tyranem, pryśnie niczym mydlana bańka. Bądź co bądź Stalinowi również nie było na rękę wyciąganie tej potwornej zbrodni na światło dzienne, tym bardziej że Polska strona żądała niezależnego śledztwa, które miałyby być przeprowadzone przez Czerwony Krzyż. Z tego, że jest to zagrożenie dla ustalonych za plecami Polaków nowych sojuszy, zdawał sobie również sprawę Katnic. Taki rozwój wydarzeń, w którym świat zachodni, a co gorsza Ameryka, zacznie nagle baczniej interesować się

sprawą Polski, wybitnie nie był mu na rękę. Podpuszczał więc Stalina, aby ten usilniej nakłaniał Churchilla do zwiększenia nacisku na przebywający w Londynie polski rząd na uchodźstwie, a najlepiej na jego niezwłoczne usunięcie i zastąpienia nowym, utworzonym z zaufanych jemu polskich komunistów.

– Znamy historię, panie generale, i domyśliliśmy się już, że operacja „Dark Tomb” również zakończyła się fiaskiem... W końcu to Alianci wygrali wojnę, a nas przehandlowano Rosjanom w Jałcie i Teheranie. Chcielibyśmy się natomiast dowiedzieć, jaką rolę w tym wszystkim ostatecznie odegrał Katnic i jak to się ma do naszej jutrzejszej akcji – wypaliła niespodzianie Lili, z nutą pretensji i zniecierpliwienia w głosie. – Wybacz pan, że przerwałam, ale jest już bardzo późno, a ja, jako dowódca, odpowiadam za to, żeby jak najszybciej przygotować tę akcję – dodała bez ogródek.

– Masz rację, moja droga. Wybaczcie skrzywienie starego historyka... – Generał nieco się zmieszał. – Odnosząc się więc do pani pytania, muszę szczerze przyznać, że nie wiemy dokładnie, co tak naprawdę się wydarzyło i jaki ostatecznie wkład miał Katnic w niepowodzenie tej dobrze rokującej operacji. Wiemy tylko, że czynił on intensywne przygotowania do usunięcia polskiego rządu na uchodźstwie, a zwłaszcza jego premiera i naczelnego wodza polskich sił zbrojnych, Władysława Sikorskiego. Gdy jednak tylko dotarła do nas ta informacja, mimo wszystko musieliśmy natychmiast działać, było bowiem oczywiste, że jeśli likwidacją naczelnego wodza zajmie się tak skuteczny zabójca jak Meteor, dni Sikorskiego będą policzone. Niestety, największym naszym problemem w tamtym czasie była utrudniona komunikacja. Rząd na uchodźstwie był stosunkowo młodym tworem i nie mieliśmy w jego otoczeniu żadnego swojego człowieka. Próbowaliśmy więc dotrzeć do naczelnego wodza na najróżniejsze sposoby, aby ostrzec go przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, w jakim się znalazł, ale zarazem nie pozostawić po sobie najmniejszego śladu, na który mógłby natrafić jakikolwiek inny wywiad, nawet polski.

Generał Maj, kładąc nacisk na dwa ostatnie słowa, rozwarł szeroko zmęczone oczy, robiąc przy tym wymowną minę.

– Nareszcie, gdy w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku generał Sikorski wizytował oddziały polskie na bliskim wschodzie, za pomocą anonimowej przesyłki udało nam się bezpiecznie i bez przeszkód dostarczyć mu komplet dokumentów, które zdobył dla nas Orfeusz, a które przedstawiały bardzo szczegółowo cały przebieg ekshumacji, którą Niemcy przeprowadzili w kwietniu tego samego roku na zbiorowych polskich mogiłach w lesie katyńskim. Generał naturalnie był wstrząśnięty tymi dokumentami, gdyż na liście zamordowanych przez Sowiec polskich oficerów było wielu jego znajomych oraz przyjaciół. Ponoć wściekł się do tego stopnia, iż natychmiast zarządził niezwłoczny powrót do Londynu, między innymi po to, aby czym prędzej rzucić tymi druzgocącymi dowodami na biurko Churchilla, a następnie ujawnić je zachodniej opinii publicznej. Wszyscy w organizacji byli zgodni, że po tak głośnym obnażeniu prawdy o barbarzyńskich praktykach, jakie stosują radzieccy komuniści, sojusz aliancko-rosyjski nie może przetrwać. Jednakże w tym momencie dla operacji „Dark Tomb” zaczęły się prawdziwe schody, gdyż na zlikwidowaniu Sikorskiego oraz zniszczeniu dostarczonych przez nas szczegółowych dowodów mogło zależeć już nie tylko Stalinowi czy też Katnicowi, ale również Brytyjczykom. I tutaj ślad się rozmywa, droga pani kapitan. – Generał skinął głową w stronę Lili.

Dziewczyna odwzajemniła się miną osoby, która bez skutku sterczy już od paru godzin w PRL-owskiej kolejce po chleb.

– Mogę jedynie dodać – kontynuował starszek – że nasi dowódcy raz jeszcze telefonicznie ostrzegli generała Sikorskiego, domyślając się, że lada dzień także do Katnica dotrze informacja o tym, iż naczelny wódz jest już w posiadaniu niewygodnych dla Stalina oraz Brytyjczyków dokumentów ujawniających prawdziwych sprawców mordu katyńskiego. Jako anonimowi informatorzy przekazali mu, by nie działał pochopnie i nie śpieszył się zbytnio ze swoim powrotem do Londynu. Sikorski jednak zbagatelizował to ostrzeżenie i głęboko wierząc w to, że Brytyjczycy grają z nim uczciwie, natychmiast opuścił Kair i lecąc do Londynu, przekonany, iż Anglicy nie pozwolą, by włos spadł mu z głowy, zatrzymał się na międzylądowanie i odpoczynek w ambasadzie brytyjskiej na

Gibraltarze. Z niej to, jak wam doskonale wiadomo, wrócił do Londynu, ale już niestety w trumnie... – Po tej puencie generał zamilkł.

Wśród słuchających go agentów zapanowała lekka konsternacja.

– Bo widzicie państwo! – Generał nagle podniósł głos, jakby chciał dodać tej chwili jeszcze więcej dramaturgii. – Być może będziecie mieli to za jakieś histeryczne nudzenie starego dziada, ale muszę wam, młodym, to powiedzieć! Wielokrotnie największą zgubą dla Polaków była ich przesadna wiara w czyjś honor i przeświadczenie, że jeśli my gramy czysto, to inni, a zwłaszcza nasi sojusznicy, zapewne zrobią to samo... Nic z tych rzeczy! Zapamiętajcie to sobie raz na zawsze! I mówię to przede wszystkim do pani kapitan. – Spojrzał teraz na Lili z całkowitą powagą. – Gdy będzie pani planować tę swoją akcję, niech pani wie, że zwłaszcza kacapom, a także tym, którzy się z nimi układają, nigdy nie wolno ufać! Bo drzemie w nich turańska, antycywilizacyjna i bezbożna mentalność, która siłą lub podstępem zniszczy wszystko, co stanie na jej drodze... U nich nie ma honoru, męstwa, litości i innych tym podobnych cech, znanych nam w naszej, europejskiej kulturze. Nie ma również dla nich i nie będzie rzeczy, do których nie byliby zdolni, aby tylko utrzymać swoje wpływy. Dlatego miejcie oczy szeroko otwarte, bo każdy, kto z nimi trzyma, ostatecznie zawsze będzie taki sam... Nie dajcie się zwieść, jak to niestety zrobili nasi poprzednicy...

Na sali zapadła cisza. Generał, kończąc to krewkie pouczenie, energicznie poprawił poły swej wysłużonej marynarki.

– Zmierzając już do końca mojego wyczerpującego wywodu – dodał po chwili – wspomnę jeszcze, że nie wiem, ile procent udziału w morderstwie i przejęciu dowodów o zbrodni katyńskiej miał wywiad brytyjski, ile Stalin, a ile grający w swoją grę Katnic. Jednak dowody jasno wskazują na to, iż czwartego lipca czterdziestego trzeciego roku ktoś w Moskwie doskonale wiedział, że na Gibraltarze przebywa Sikorski wraz z córką i swoimi ludźmi, a pomimo tego ten ktoś, ryzykując poważny skandal dyplomatyczny, wysłał tam samego Iwana Majskiego wraz z grupą, jak się potem okazało, Czerwonych Siłowników. Jak powszechnie wiadomo, poskutkowało to tym, iż wojskowy liberator generała

w niejasnych okolicznościach, zaledwie kilkanaście sekund po starcie, wodował i dziwnym trafem dopiero po około ośmiu minutach unoszenia się na powierzchni poszedł na dno. Zaskakujące było również to, iż czeski pilot wyszedł z tego wodowania całkowicie bez szwanku, podczas gdy zwłok córki generała nawet nie odnaleziono. Nie wspominając już o tym, że nigdy nie ustalono również ostatecznej listy ofiar tej zaaranżowanej katastrofy. Myślę, że nie zaskoczy także państwa wzmianka o tym, że na Gibraltarze tego samego dnia znajdował się również jeden z najbardziej zaufanych ludzi Katnica, a mianowicie znany ludziom nawet w światowej popkulturze jako największy brytyjski zdrajca i zarazem najśłynniejszy rosyjski szpieg Kim Philby... Przypadek? – zapytał z ironicznym uśmiechem generał Maj. – Nie, drodzy państwo – zapewnił. – W naszym świecie nie ma takich przypadków... – zakończył, oddając głos generałowi Walewskiemu.

O rany! To jeszcze nie koniec – pomyślał Antek, przeciągając się i z trudem powstrzymując ziewnięcie. W tym czasie generał Walewski energicznie wstał i nerwowo zaczął wygładzać swój elegancki, czarny garnitur.

Mężczyzna ten był wysokim, krótko ściętym brunetem. Mierzył około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Jego blada, koścista, gładko ogolona twarz sugerowała, że jest człowiekiem surowym, a pojawiająca się gdzieniegdzie nieznaczna siwizna tylko dodawała mu powagi.

– Dobry wieczór państwu – zaczął dziarsko. – Niektórzy z was mieli już okazję mnie poznać. – Zerknął wymownie na Abakiewicza, który nagle jakby obudził się z letargu. – Przez wiele lat byłem w delegaturze luksemburskiej, gdzie zajmowałem się infiltracją tamtejszych banków i zakładanych w nich tajnych kont, służących przede wszystkim rosyjskim politykom oraz oligarchom. Aktualnie od kilku miesięcy jestem szefem komórki obejmującej kraje Beneluksu i z racji tego, że to właśnie moja grupa przechwyciła informację o spotkaniu łączników Holdy z Siłownikami, będę także obserwatorem i audytorem waszej akcji... Ale za nim o tym, jestem zmuszony wrócić jeszcze do kilku dawniejszych wydarzeń, które są niezwykle istotne, a o których nie powiedział generał Maj – oznajmił jakby z usprawiedliwieniem.

Antek nie zmartwił się jednak tym, że kolejny raz zagłębią się w otchłań historii, gdyż generał mówił szybko i energicznie – czuć było, że jego wykład to będzie krótka piłka.

– A więc, tak jak już wspomniano, operacje „Krawiec”, „Walter Alf” i „Dark Tomb” zakończyły się niepowodzeniem. Stalin w okupowanej przez niego Polsce zainstalował swój polskojęzyczny, komunistyczny rząd, a my toczyliśmy walkę o przetrwanie z Katnicem i jego sługusami. Dzięki Bogu nie udało mu się ostatecznie osiągnąć swoich celów i zostać tym samym drugim dyktatorem, gdyż natychmiast po śmierci Stalina silniejsi i bardziej wpływowi od niego członkowie Czerwonych Siłowników bardzo szybko zepchnęli go na drugi tor. Udało mu się jednak mocno przetrzebić naszą kapitułę i osłabić organizację na tyle, że w latach pięćdziesiątych właściwie przestała normalnie funkcjonować i dla ratowania tego, co jeszcze zostało, pozostali agenci zmuszeni byli rozpiezchnąć się i ukrywać po całym świecie.

Generał zaniósł się kaszlem palacza, a Antek, zamyślając się na chwilę, podniósł głowę do góry i z trudem stłumił ziewnięcie.

– Pan Miko powinien o tym chyba najlepiej wiedzieć! – zagrzmiął nagle Walewski, dostrzegając, że Antek pośpiesznie próbuje zamknąć szeroko rozwarte usta – O ile dobrze pamiętam, to między innymi pański dziadek musiał wtedy uciekać do Rosji i tam latami ukrywać się gdzieś w samym sercu syberyjskiej dziczy – dodał napominająco.

– Tak jest, panie generale! – potwierdził natychmiast szczerze zawstydzony Antek.

– Co wy robicie po nocach, kapralu, że zasypiacie na odprawie? – zapytał srogo Walewski.

– Przepraszam, panie generale, to już się więcej nie powtórzy – zapewnił zmieszany i zerkając kątem oka na miny Lili, Abakiewicza oraz reszty grupy krakowskiej, dostrzegł, że wszystkie zgodnie mówią mu tylko jedno: co ty tu w ogóle robisz?



– Mam nadzieję... – skwitował surowo generał, po czym wrócił do dalszych wyjaśnień: – Wasza operacja otrzyma kryptonim „Masterpiece”. Jak już wam wiadomo, będziecie musieli ustalić, co tak naprawdę wiedzą o nas Czerwone Siłowniki i na jaki trop chcą naprowadzić Holdę. A do tego będzie wam potrzebna szczegółowa wiedza o Katnicu. I choć nie jesteśmy pewni, ile w rzeczywistości ten człowiek zdradził o naszym istnieniu i czy aby po swojej śmierci nie zostawił komuś jakichś wiadomości o nas, to jednak jesteśmy przekonani, że to on jest kluczem do tej całej sprawy... Wiemy za to na pewno, że miał syna. Lecz tego, gdzie teraz jest, jak ma na imię i czy w ogóle pozostawiono go przy życiu, nie jesteśmy w stanie na tę chwilę ustalić.

Generał rozłożył ręce w geście niemocy, a przez grupę krakowską przemknął szept.

– Warto jednak wspomnieć, że jednym z istotnych tropów może być sprawa grobowców... – dodał enigmatycznie, a młodzi agenci, słysząc te słowa, wyraźnie się poruszyli. – Otóż po wojnie Katnic dostał obsesji na punkcie tych legendarnych kwater, tak więc zaciekle tropił i torturował wszystkich, którzy mogli coś na ten temat wiedzieć. W owych grobowcach miały się znajdować bowiem pokaźne ilości zdeponowanego złota, jak i starożytne pisma oraz kroniki, które zmusiłyby historyków na całym świecie do zmiany dotychczas znanej nam historii powszechnej. Jednak według pewnych przesłanek było tam również jakieś bardzo ważne insygnium, na którym Katnicowi zależało najbardziej. Wbił on sobie bowiem do głowy, że bez zdobycia owego tajemniczego przedmiotu nie będzie w stanie spełnić swojej wielkiej dziejowej misji. Swoją drogą, dziwne, co nie? – zapytał generał z rozbawieniem. – Niby ateista, a taki przesądny – skomentował. – Ale to nieważne! – natychmiast poprawił się, lekceważąc swoją dygresję. – Za chwilę dostaniecie materiały, w których znajdują się wszystkie do tej pory zgromadzone informacje o Katnicu, a także o Czerwonych Siłownikach. Jest to około czterystu pięćdziesięciu dokumentów. Będziecie mieli czas do rana, żeby przed rozpoczęciem akcji natrafić na jakiś ślad, który mógłby pomóc ustalić nam, jak, kiedy i co na nasz temat Katnic przekazał swoim czerwonym kompanom...

Słyszając te słowa, Antek zdał sobie szybko sprawę, jak monotonna i żmudna praca czeka go dzisiejszej nocy, dlatego też słusznie zdecydował, że po zakończeniu odprawy nie wróci do swojego pokoju, lecz uda się wprost do oficyny, by nie tracić czasu i od razu zabrać się za wertowanie tych wszystkich dokumentów.

– Panie generale – odezwał się nagle jeden z agentów, którego przedstawiono Antkowi jako Legwana. Był on dobrze zbudowanym, obciętym niemal na łyso blondynem. W przeciwieństwie do tępego wyrazu twarzy, jakim obdarzał wszystkich wkoło, jego głos brzmiał nadzwyczaj przyjemnie.

– Słucham, poruczniku.

– Nawet gdyby Katnic interesował się grobowcami, skąd miałby osiąść jakąkolwiek wiedzę na ich temat, skoro nie mamy jej nawet my... – zauważył młodzieniec. – Zakładając oczywiście, że one w ogóle istniały – dodał z drwiącym uśmiechem.

– Chociażby stąd, że podczas zorganizowanej przez niego obławy na kapitułę w lutym czterdziestego dziewiątego roku udało mu się schwytać i zabić pięciu jej członków, a także towarzyszących im kilku generałów. A prawdopodobnie to właśnie wśród nich znajdowali się ci, którzy posiadali wiedzę na temat tego, gdzie mogą się one znajdować.

– Ale panie generale, przecież w tamtych czasach wszyscy mieli zaplombowaną w zębach kapsułkę z cyjankiem. W razie sytuacji bez wyjścia każdy mógł ją natychmiast przegryźć. Dlatego też Katnic nie mógł się od nich czegokolwiek dowiedzieć o tych rzekomych grobowcach – wtrąciła się ponownie rudowłosa dziewczyna.

– Mogło tak być, a mogło tak nie być – skwitował filozoficznie generał. – Nie wiemy, jak dokładnie przebiegały obławy organizowane przez Katnica, gdyż mało kto z nich wychodził żywy... Ale znając jego kreatywność, możemy przypuszczać, że mogły się one potoczyć w najróżniejszy sposób. Dostrzegłem również nutę ironii w waszych pytaniach, gdy odnosiliście się do wspomnianych przeze mnie

grobowców... Wiem, że wasze pokolenie z dystansem podchodzi to takich historii, ale pamiętajcie jednak, że to zwykle najmniejszy szczegół prowadzi do uzyskania odpowiedzi, a kto nie bierze wszystkich opcji pod uwagę – zaznaczył mocnym tonem generał – ten z pewnością go przeoczy.

– Gdzie ma odbyć się spotkanie ich łączników? – zapytała nagle Lili, najwyraźniej nadal zniecierpliwiona tym, że z powodu nadgorliwości jej podwładnych odprawa stale się przeciąga.

– W pewnym sensie można powiedzieć, że na ziemi niemieckiej, pani kapitan – odpowiedział lakonicznie generał. – Gdyż za taką Holda nadal uważa Warmię i Mazury... – doprecyzował po chwili. – Jednak ten temat omówimy już szczegółowo z panią i panem Abakiewiczem, jak tyko otrzymamy dokładniejsze dane z terenu, które powinny do nas dotrzeć jeszcze przed świtem – wyjaśnił.

Antek spojrzawszy na Lili i zauważył, że dziewczyna pomimo próby zachowania niewzruszonej twarzy jakby nieznacznie się denerwowała. W sumie trochę już ją znał, a poza tym wcale się jej nie dziwił, gdyż nic nie wskazywało na to, by operacja „Masterpiece” była pierwszym lepszym starciem z jakimś klasycznym wywiadem, ale z naprawdę niebezpiecznymi ludźmi, którzy po latach ponownie mogli zagrozić Polonorum.

– Panie i panowie, proszę, oto nośniki pamięci z niezbędnymi materiałami – odezwał się w końcu milczący do tej pory generał Różewicz. – Życzę pracowitej nocy, a panią kapitan Lilię i kapitana Abakiewicza poproszę jeszcze o pozostanie z nami – dodał, rozdając każdemu po przezroczystym, plastikowy paseczku z pamięcią zewnętrzną.

Antek jako pierwszy odebrał od generała nowiutki thindrive z widniejącą na nim nazwą „Novum Technology” i nie czekając na resztę grupy, ruszył samotnie w stronę oficyny.

# Piramida

Dochodziła piąta rano. Antek, zaszyty gdzieś pomiędzy regałami biblioteki, po wypiciu drugiego, piekielnie mocnego espresso, pobudzonym, choć zmęczonym wzrokiem przeglądał otrzymane na odprawie materiały. Zbliżał się już ku końcowi, ale jak dotąd nie udało mu się natrafić na jakikolwiek ślad, który jednoznacznie prowadziłby do kogoś, kto mógłby dziś dysponować otrzymaną od Katnics wiedzą na temat Polonorum. Nagle zza regałów, które tworzyły korytarz prowadzący do miejsca, gdzie znajdowało się wejście do podziemi, dotarł do niego jakiś męski, stłumiony głos.

– Tak, panie generale... Jestem całkowicie pewien, że tak poważna akcja, delikatnie mówiąc, nie powinna być przez nią prowadzona – powiedział cichym głosem mężczyzna, tak że Antek ledwo był w stanie to dosłyszeć.

– Chyba ma pan rację, pułkowniku... Te argumenty, które pan przedstawił, rodzą sporo wątpliwości... Jednak z drugiej strony chciałbym dać tej zdolnej dziewczynie szansę zrehabilitowania się – odpowiedział nieco głośniejszym głosem mężczyzna, którego charakterystyczny głos Antek rozpoznał natychmiast. Był to przedstawiony mu na odprawie audytor operacji „Masterpiece”, generał Walewski.

– Doskonale rozumiem pańską wyrozumiałość, panie generale, w końcu to także moja podopieczna i oczywiście, że zależy mi na jej dobrym imieniu... W tym wypadku jednak nie może być miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. To zdecydowanie zbyt ważna operacja. Niech pan tylko pomyśli, generale; jeżeli kolejny raz się pomyli i popełni jakiś strategiczny, fundamentalny błąd, to jakie

mogą być tego skutki? – przekonywał pułkownik, którego Antek tym razem rozpoznał bez problemu. Drugim rozmówcą był bowiem Paprocki i najwyraźniej nakłaniał generała Walewskiego do zasadniczych zmian personalnych w jakiejś planowanej przez nich operacji.

Tylko w jakiej? – zastanawiał się.

– Dobrze więc, niech tak będzie... Przekonał mnie pan, pułkowniku – odrzekł na to generał, przechodząc wraz z towarzyszącym mu Paprockim przez sam środek biblioteki.

Antek jednak był tak głęboko schowany między regałami, że ani on ich nie widział, ani oni nie byli w stanie go dostrzec.

– Dziękuję, panie generale, że docenił pan moją sugestię! – podniecił się Paprocki, podnosząc nieco ton. – Myślę, że w takich okolicznościach to kapitan Abakiewicz będzie idealnym kandydatem do dowodzenia operacją „Masterpiece” – dodał z przesadnie służalczą nadzieją w głosie.

Antkowi natychmiast serce забиło mocniej, jak gdyby pochłonał właśnie jednym haustem kolejną filiżankę podwójnego espresso.

Jasny gwint! – przeklął w duchu. Jeżeli to ten frajer będzie dowodził akcją, to wróży to dla mnie tylko kłopoty – rozmyślał gorączkowo, jednocześnie przysłuchując się dokładniej odgłosom kroków dochodzących z końca sali. Teraz wydawało mu się, że poza Walewskim i Paprockim jest tam ktoś jeszcze...

– Doskonała propozycja, pułkowniku – zaaprobował generał. – Przeczynałem, że do tego pan zmierza... – oznajmił z nieznaczną satysfakcją, po czym zwrócił się niespodziewanie do trzeciej, zachowującej do tej pory całkowite milczenie osoby: – A czy ty, kapitanie, zgadzasz się na objęcie dowództwa?

– Tak jest, panie generale! Gwarantuję panu, że pod moim okiem „Masterpiece” przejdzie do historii! – zapewnił dziarsko rozemocjonowany tą najwyraźniej spodziewaną nobilitacją mężczyzna. – Wyciągnę z tych kacapów wszystko, co się tylko da! – dodał z niemal szaleńczą pewnością siebie.

No to sprawa się wyjaśniła... – westchnął cicho niepocieszony Antek, gdyż trzecią osobą, która wcześniej towarzyszyła starszym oficerom, był młody zastępca dowódcy grupy krakowskiej, a prywatnie partner Lili – Maciej Abakiewicz.

– Doskonale! Liczę w takim razie od pana na jak najszybsze, i co ważniejsze, jak najlepsze wiadomości z przebiegu tej akcji – podsumował generał Walewski, po czym cała trójka opuściła bibliotekę.

No to pani kapitan znalazła sobie dżentelmena... – skwitował Antek, wyobrażając sobie już minę dziewczyny, gdy ta zostanie poinformowana o utracie dowództwa, a następnie ponownie zanurzył wzrok w ekranie bibliotecznego tabliczka, na którym widniała właśnie dokumentacja bestialsko zmasakrowanych ciał należących do ofiar Katnica.

Gdy jednak minęła szósta rano, Antek, zdając sobie sprawę, iż dalsze wertowanie akt nie przyniesie już żadnego efektu, przeciągnął się szeroko – wydając przy tym odgłos budzącego się ze snu niedźwiedzia – po czym wstał od biurka i zaczął zastanawiać się, o której i skąd wyruszy wraz z grupą krakowską na planowaną akcję.

Nagle po raz drugi w ciągu doby przeszył go ten sam, nieprzyjemny dreszcz, wydobywający się wprost z jego wnętrzości.

– Smartplaster! – krzyknął z wyrzutem, przypominając sobie, że ten nadal leży w jego pokoju, od czasu gdy wraz z Zosią Skrzetuską wybrał się na konną przejażdżkę i przedegzaminowe piwo... Kolejny dreszcz przeszedł go, gdy dotarło do niego, że mimo iż na zapoznanie się z aktami miał czas do rana, to jego dowódcy już od kilku godzin mogli przecież próbować się z nim kontaktować w sprawie akcji.

Cholera! Że ja zawsze muszę być taki nieogarnięty – zaklął i natychmiast rzucił się pędem w stronę wyjścia.

Nie ubiegł jednak zbyt daleko, gdyż zaraz po wypadnięciu z prowadzących na zewnątrz głównych drzwi oficyny natrafił wprost na stojącą tam kapitan Lilię – o mały włos jej nie tratując.

– Miko, patrz pod nogi! Gdzie ty masz oczy?! – zareagowała jak zwykle ostro, odsuwając się w ostatniej chwili i pośpiesznie wyrzucając papierosa, którego właśnie dopalała.

– To ty palisz?! – chlapnął szczerze zaskoczony Antek, nie myśląc wcale o konsekwencjach tego dość niedyskretnego pytania.

– Nie palę! Ale to wyjątkowa sytuacja... – usprawiedliwiła się pośpiesznie, równie mocno zaskoczona tym spotkaniem. – A w ogóle to jak ty się zwracasz do dowódcy?! To nie twoja sprawa, kapralu! – dodała, szybko opamiętując się i ustawiając podwładnego do porządku.

– Błagam cię, daj już spokój z tym kapralem, mów do mnie po ludzku... – zaprotestował, ale Lili całkowicie zignorowała tę uwagę, po czym zażądała wyjaśnień:

– Gdzie znów lecisz?! Nie wiesz, że za chwilę jest zbiórka w magazynie?

Antek zrozumiał, że dziewczyna z pewnością dowiedziała się już o odebraniu jej dowództwa i zapewne stąd ten papieros i jeszcze podlejszy humor niż zwykle.

– Tylko mi nie mów, że Abakiewicz kazał nam się spotkać w podziemiach... Przecież doskonale wie, że nie mam możliwości dostania się tam samemu i że będę ją miał dopiero po zakończeniu egzaminów... – odpowiedział z wyrzutem chłopak.

– Jaki Abakiewicz? Co ty znowu bredzisz, Miko? – zdziwiła się dziewczyna, zerkając na niego podejrzliwie, a Antek natychmiast zrozumiał, że Lili o niczym jeszcze nie wie. Zrobiło mu się więc z tego powodu nieprzyjemnie gorąco, gdyż w żadnym wypadku nie zamierzał teraz zostać tragicznym posłańcem tej „dobrej” nowiny. – Spałeś na tej odprawie czy co? – burknęła z pogardą w głosie dziewczyna, nerwowo poprawiając swój czarny, obcisły strój.

– Nie... To znaczy... Miałem na myśli, że... – motał się chłopak, nie wiedząc, jak wybrnąć z tego jakże niefortunnego pytania.

– Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jesteś i na jakim świecie żyjesz? – szczęśliwie przerwała mu te wybitnie nieskładne wyjaśnienia jeszcze bardziej rozeźlona

dziewczyna. – Weź się w końcu ogarnij, człowieku, bo za chwilę wylecisz z mojej grupy na zbity pysk! – dodała z nieudawaną groźbą.

Antek oczywiście mógł z łatwością teraz usprawiedliwić swoje na pozór niepoważne pytanie, ale zdecydował się konsekwentnie brnąć w nieporozumienie.

– Sorry... Coś mi się po prostu pomieszało... Cały tydzień ślęczałem nad zadaniami egzaminacyjnymi, a teraz całą noc nad tymi dokumentami... Wybacz, to chwilowe zaćmienie... – skłamał.

– Chwilowe zaćmienie?! Chyba permanentne! – prychnęła z pogardą, dociekając po raz kolejny: – Pytałam, gdzie znowu lecisz...

– Ja? Gdzie lecę? – powtórzył głupkowato.

– Tak, ty! – powtórzyła ze zniecierpliwieniem.

– Eee... No wiesz... – zaczął wymijająco, gdyż wcale nie miał ochoty przyznawać się, iż nieodebrane wiadomości, które zapewne jakiś czas temu do niego wysłała, nadal czekają w smartplastrze, który od wczorajszego rana jak gdyby nigdy nic leżał w pokoju.

– Zadałam pytanie, Miko! – powtórzyła groźnie. – Jak to, biegiesz gdzieś i nie wiesz gdzie?! – dodała z nieukrywaną ironią.

– A tam... Nic pilnego, leciałem właśnie po... – Już miał coś wymyślić, gdy nagle dziewczyna, podnosząc wysoko brwi w oznace satysfakcji, wypaliła:

– A może po swój smartplaster?

– No... Właściwie to tak... – wybełkotał, robiąc przy tym minę psa, który po zdemolowaniu mieszkania próbuje wzbudzić litość u swojego właściciela.

– Nigdzie nie musisz już iść – odparła enigmatycznie.

– Co? Jak to?

– Tak to, że byłam w twoim internacie i wzięłam go za ciebie – wyjaśniła, wyciągając cieniuteńki telefon z kieszeni.

– Skąd wiedziałaś, że tam jest? Grzebałaś w moich rzeczach?! – ton Antka z prośby o litość zamienił się teraz w oburzenie.



– To chyba oczywiste, że miałam go już od paru godzin na podglądzie – oznajmiła z satysfakcją.

– Co?! – niemalże krzyknął chłopak.

– A co ty sobie wyobrażałeś, Miko? Dowódca musi wiedzieć, co przed i w trakcie akcji robią jego agenci – odparła mocno poirytowana pretensjami podwładnego. – I nigdy więcej, nie podnoś na mnie głosu, dobrze ci radzę! – dodała ostrzegawczo.

– No dobra... Już rozumiem... Ale jak ci się to udało zrobić? Przecież założyłem na nim *Fantomasa* i blokadę namierzania – zapytał, studząc nieco swoją złość.

– Serio? – odpowiedziała mu z miną wytrawnej cyniczki.

– Okej, pytania nie było... – Chłopak westchnął, doskonale rozumiejąc przytyk. – Ale i tak muszę wrócić do pokoju po resztę moich rzeczy – dodał.

– Nie, nie musisz... – zaprzeczyła natychmiast.

– Ale...

– Ale zejdziesz teraz ze mną do magazynu i dostaniesz tam nową broń oraz cały potrzebny ci podczas tej akcji nowiutki sprzęt – wytłumaczyła chłodno. – Weźmiesz tam także prysznic... Nie chciałeś chyba jechać na akcję w wyświechtanych treningowych łachach, śmierdząc na kilometr piwem oraz stajnią... – dodała szyderczo.

– Czyli, że na odprawie było...

– Tak, Miko, było czuć... – potwierdziła dziewczyna, jakby czytając w jego myślach.

– Okej – odpowiedział jej krótko, nie próbując się już w żaden sposób upierać.

– Doskonale, w takim razie za mną! Udamy się tunelem wychodzącym z grotu pod kaplicą grobową. Stamtąd jest szybciej do magazynów z bronią – rozkazała.

– Ooo! Znajome miejsce... Nie wiedziałem, że jesteś taka sentymentalna – skomentował ze śmiechem Antek, ale z pewnością nie był to śmiech złośliwy.

– Nie przeginaj pały... – ponownie ostrzegła go dziewczyna, zwiężając groźnie powieki.

– Luz... Żartuję tylko... A może jeszcze po papierosku? Przed zejściem w dół, co? – zaproponował żartobliwie, jednak odpowiedź mogła być tylko jedna:

– Nie!! I wspomnij komuś o tym choć słowo, to wrócisz na egzaminy szybciej, niż ci się zdaje!

Około dwóch godzin po tym, jak Antek – pod czujnym okiem swojej pani kapitan – zaopatrzył się w niezbędny sprzęt i odpowiednio przysposobił do akcji, cała grupa krakowska pędziła już w swoich służbowych range roverach, kierując się w stronę północno-wschodniej Polski. W pierwszym samochodzie, który prowadził porucznik Legwan, znajdowali się również Antek oraz starsza sierżant Fija. W drugim natomiast – z około półgodzinnym opóźnieniem – podróżowali dowódcy: pani kapitan Lili i kapitan Abakiewicz, a wraz z nimi najmłodszy członek Lajkoników, plutonowy Buka.

Antek doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wciśnięto go do grona tych ludzi niejako na siłę i obawiał się trochę o to, czy aby we właściwy sposób zostanie przez nich przyjęty. Obawiał się jednak nie dlatego, że potrzebował jakiegoś psychicznego komfortu, wsparcia czy też poczucia, iż jest dla nich rzeczywiście potrzebnym i pełnowartościowym członkiem ekipy, ale głównie z tego powodu, że doskonale rozumiał, iż jeśli chcą wykonać tę operację na najwyższym poziomie, nie może być między nimi nawet cienia rywalizacji czy też uprzedzenia – w razie zaś skrajnie niebezpiecznej sytuacji niezbędne będzie im wręcz bezgraniczne zaufanie do siebie.

Pozostałe prywatne odczucia dotyczące tej akcji były teraz dla niego drugorzędne. W końcu przez ostatnie dziesięć lat – pod przykrywką najróżniejszych fałszywych tożsamości – przewinął się przez kilka najlepszych jednostek specjalnych na świecie i doskonale wiedział, czym jest prawdziwe braterstwo broni, a także jak zdobyć w swoim oddziale odpowiednią pozycję oraz szacunek. Widząc jednak, jak niepoważnie i nazbyt protekcyjnie traktują go jego

dowódcy, spodziewał się, że prędzej czy później te niebezpiecznie toksyczne relacje mogą wpłynąć negatywnie na losy wykonywanego zadania.

– Myślicie, że współpraca Holdy i Siłowników to coś poważniejszego i rzeczywiście może grozić nam zdekonspirowanie? – zapytała Fija, obracając swoją bladą, piegowatą twarz w stronę Antka, który podróżował z nimi na tylnym fotelu.

Chłopak już chciał jej na to coś odpowiedzieć, ale uprzedził go Legwan – chłopak o aparycji jaskiniowca, ale za to o bardzo przyjemnym, ciepłym głosie.

– Jeśli informacje, które prawdopodobnie posiadają, zaczną się im nagle składać w jedną całość, to z pewnością przyjrzą się temu bliżej.

– A ty co sądzisz, Miko? – ponownie zapytała dziewczyna, dając do zrozumienia, że bardziej zależało jej na opinii nowo pozyskanego członka grupy niż starego kumpla.

– Nie wiem jak wy, ale ja nie dogrzebałem się w tych aktach do niczego szczególnego – odrzekł zdawkowo. – Uważam więc, że wszystko, co teraz sobie wyobrażamy i czego się domyślamy, ostatecznie okaże się zgoła inne od rzeczywistości... Żeby spekulacje miały jakikolwiek sens, najpierw musimy mieć jakiś wiarygodny trop, a tego z całą pewnością nam tutaj brak. Dlatego proponuję nie tracić czasu na jałowe domysły i zostawić ten temat. Wszystko i tak okaże się dopiero na miejscu – spuentował.

Powiedział to jednak z tak wyraźną nutą wyższości intelektualnej oraz niezachwianą pewnością siebie, jakby od samego początku znajomości chciał pokazać swoim kompanom, że pomimo najniższego z nich stopnia wojskowego i nieukończonego jeszcze szkolenia, to on jest tutaj najbardziej doświadczonym agentem, i że nieuniknionym jest, iż z czasem to na niego spadnie odpowiedzialność bycia mózgiem, a także nieformalnym liderem pierwszego range rovera.

– W sumie racja... Nie ma co gdybać, i tak nic teraz nie wymyślimy. Wygląda na to, że „Masterpiece” będzie totalną improwizacją... – potwierdziła Fija,

zarzucając jakby celowo przed Antkiem swoim gęstym, rudym kucykiem.

– Ciekawe, jaką strategię opracowała kapitan Lilia – zapytał tym razem Legwan.

– Dokładnie – potwierdziła dziewczyna. – I ciekawe też, co to za dziura, ten cały Sztynort – dodała, wspominając nazwę miejscowości, do której zmierzali.

– Nic mi to nie mówi... – Legwan pokręcił z bezradnością głową – A tobie, Miko? – zapytał, po raz pierwszy od momentu wyjazdu kierując słowa bezpośrednio do Antka.

– Mi również... A poza tym nie wiem, dlaczego mnie o to pytasz, skoro to z twoją koleżanką rozmawiała Lili przed samym wyjazdem – odrzekł sucho Antek, niezadowolony z tego, iż młodszy agent z premedytacją zwraca się do niego po nazwisku.

– Ale mi pani kapitan powiedziała tylko tyle, by nie wjeżdżać bezpośrednio do tej miejscowości, ale jak najszybciej znaleźć jakieś dyskretne, bezлюдne miejsce w lesie, najlepiej pomiędzy Sztynortem a półwyspem Kirsjaty – natychmiast zareagowała młoda pani sierżant, próbując przerwać zaostrzającą się wymianę zdań.

– A czy kazała nam wysłać współrzędne, gdy już znajdziemy odpowiednie miejsce? – dopytywał osiłek.

– Nie... Nic o tym nie wspomniała. Może uznała, że to dla nas oczywiste... – Rudowłosa wzruszyła ramionami.

– Akurat o to się już nie martwcie... – wtrącił enigmatycznie Antek. – Lili ma nas cały czas na oku, gdyż dokładnie wie, gdzie znajduje się smartplaster każdego z was – wyjaśnił niedbałym tonem.

– Co?! – zapytali jednocześnie zaskoczeni agenci, nie próbując nawet ukryć swojego zdziwienia.

– Przecież żeby móc coś takiego zrobić, musiała dostać specjalne upoważnienie od przełożonych. Nie można sobie tak po prostu inwigilować naszych agentów, od

tego jest specjalna komórka kontrwywiadowcza – zauważył szczerze poruszony tą informacją Legwan.

– Widocznie generalicja musi komuś nie do końca ufać, skoro dano jej tak wysokie uprawnienia... – zauważyła dziewczyna.

– Chyba nawet wiem komu... – burknął pod nosem Antek, trochę zniesmaczony tym jednoznacznym spostrzeżeniem, ale jego towarzysze najwyraźniej tego niedosłyszeli.

– A jak ci się udało w ogóle do nas trafić? W jaki sposób dostałeś się do Gołuchowa? – zmieniła niespodziewanie temat dziewczyna, chociaż Antek przeczuwał, iż tylko kwestią czasu jest, aż padnie to nieuniknione pytanie.

– Nic szczególnego. Trochę szczęścia, trochę doświadczenia, trochę przecucia. Po prostu tropiłem waszych ludzi krok po kroku... – odpowiedział, nadal podtrzymując lekko beztroski i zdawkowy ton oraz aktorsko kierując swój nieobecny wzrok gdzieś w odległe, rozbudzone wiosną pola, które właśnie mijali.

– Ale jak ich namierzyłeś? – dopytywała wyraźnie zainteresowana dziewczyna. – Przecież nie mogłeś jechać tuż za nimi, gdyż wtedy z pewnością by się zorientowali. Pluskwa też nie wchodzi w grę, ponieważ nasze auta zawsze są skanowane przed wyjazdem – dociekała.

– To proste... Wleciałem im pod maskę moim wojskowym MAV-em chwilę po tym, jak wyruszyli w drogę.

– Hm... Ciekawy sposób... – przytaknął z uznaniem Legwan, teraz nieco bardziej zaintrygowany chłopakiem.

– Ale przecież, żeby podrzucić im MAV-a, najpierw musiałeś jakoś trafić do naszej siedziby w Krakowie, prawda? – dociekała dziewczyna.

– To wy dwoje byliście tymi zamaskowanymi komandosami, którzy razem z Paprockim aresztowali i wywieźli Bonę z naszego domu? – niespodziewanie pytaniem na pytanie odpowiedział jej Antek.

– Tak, to byliśmy my... – odparła niepewnie Fija, zaskoczona tym trafnym spostrzeżeniem.

– No więc, podczas gdy wy wyprowadzaliście mojego wuja, ja zawiesiłem się pod podwoziem waszego navigatora i zainstalowałem wam pluskwę. Na wasze nieszczęście byliście tak pewni siebie i tak bardzo śpieszyło się wam z powrotem do Krakowa, iż całkowicie pominęliście podstawowe procedury bezpieczeństwa – wyjaśnił dobitnie, a słysząc to niechlubne oskarżenie, młodzi agenci wyraźnie się zawstydzili, zerkając na siebie z wyrzutem.

– Ale to nie miała być żadna akcja, a jedynie rutynowa interwencja – wtrąciła usprawiedliwiająco Fija. – Najzwyklejsze unieszkodliwienie uzbrojonego cywila, taki był status tego zadania – zarzekała się.

– To z kolei nie najlepiej świadczy o waszym przygotowaniu wywiadowczym, gdyż podczas przesłuchania Bony, ten, jak to ujęłaś, uzbrojony cywil wisiał sobie pod sufitem w sieni i cały czas was obserwował. – Antek lekko się roześmiał, nie ukrywając swojej satysfakcji.

– Racja! – potwierdził niespodziewanie Legwan. – Ale to nie była nasza wina... Potraktowaliśmy tę interwencję jak zwykłe, rutynowe zadanie, gdyż nikt nie poinformował nas, iż grozi nam tam konfrontacja z niebezpiecznym, wyszkolonym agentem. Dlatego to nasze dowództwo powinno całkowicie odpowiadać za to, co się tam stało – tłumaczył się usilnie.

– Nie zgodzę się z tobą – bez ogródek zanegował chłopak. – Owszem, wywiadowczo byliście w dupie, ale mimo to zapomnieliście, że w tej robocie nigdy nie można nikogo lekceważyć! – skwitował, jakby nieco wychowawczo podnosząc ton.

– Ale gdyby nie to nasze niedopatrzenie, nie byłbyś teraz tutaj z nami – skomentowała dziewczyna, próbując obrócić całą napiętą rozmowę w niewinny żart.

– A gdyby nie mój rozsądek i zachowawczość, podczas gdy obezwładnialiście mojego wuja uderzeniem w głowę, was też mogłoby już tutaj nie być... W końcu, obserwując to skandaliczne przesłuchanie, które odbywało się w mojej kuchni, w każdej chwili mogłem was bez najmniejszego problemu zabić – kontynuował

odgrywanie roli obojętnego chojraka Antek, jakby cała ta sytuacja z pamiętnej sylwestrowej nocy była dla niego zaledwie kaszką z mleczkiem.

– Wiesz, Antek, ja nawet chciałem zeskanować nasz samochód zaraz po wyjściu z twojego domu – przyznał w końcu młody porucznik, niespodziewanie zwracając się do chłopaka po imieniu. – Pomyślałem sobie jednak: głucha noc, mróz, jakieś zadupie, kto tu będzie nam o tej godzinie cokolwiek podkładał... Zresztą pułkownik kazał nam się jak najszybciej stamtąd zwijać, by jak najprędzej znaleźć się w Krakowie – przyznał z zadziwiająco szczerą pokorą.

– Taa... Paprocki... – Antek westchnął. – Ten bezmyślny dureń z góry założył, że będzie miał do czynienia z jakimś wsiowym chłopaczkiem, który pod okiem starego, emerytowanego agenta bawi się w stodole w żołnierzyka – zripostował.

– W sumie to prawda... Trudno się w tej sprawie z tobą nie zgodzić – przyznał młodzieniec.

– Owszem, trudno – odparł bezwzględnie Antek, nie zmniejszając ani o gram bijącej od siebie buty i zabójczej pewności siebie. – Chociaż trochę was rozumiem... W końcu gdy nieudolny dowódca wpuści swoich ludzi w maliny, często nie są oni już w stanie nic zrobić... – dodał, jakby chcąc jednak dorzucić małą łyżkę miodu do wylanych na głowy młokosów hektolitrów dziegciu.

Wiedział doskonale, że młodzi agenci połknęli haczyk i że podświadomie wzbudził w nich należyte poczucie respektu, jaki powinni zachować wobec starszego, zdecydowanie bardziej doświadczonego partnera.

– A zmieniając temat... Ile mamy jeszcze do celu? – zapytał, przeobrażając swój chłodny ton na bardziej koleżeński i z założonymi za głowę rękami nonszalancko rozsiadł się na wygodnej kanapie range'a.

– Zostało nam niecałe trzy i pół godziny! W tym momencie właśnie mijamy Kutno, sir! – odparła natychmiast dziewczyna, żartobliwie naśladowując wojskowy ton, jakby odpowiadała co najmniej swojemu dowódcy.

Żarty żartami, ale Antka upewniło to tylko w przekonaniu, że pomimo o wiele niższego stopnia ma już tych dwóch młodziaków w kieszeni, i że w razie

kryzysowych sytuacji podświadomie zdadzą się na jego komendę.

Gdy wybiła jedenasta, cała trójka – czekając, aż dojedzie do nich reszta ekipy – rozpoczęła szczegółowy obchód leśnej, warmińsko-mazurskiej gęstwiny, w której się zainstalowała. W międzyczasie Antek zaczął także raz jeszcze sprawdzać swój nowo otrzymany sprzęt, który to pośpiesznie kompletował przed wyjazdem na akcję.

Chociaż w dobrze wyposażonym magazynie organizacji proponowano mu najróżniejsze nowoczesne cacka, on jednak zdecydował się na stary, ale za to sprawdzony karabin modułowy polskiej produkcji MSBS Grot. Podobnie również w przypadku wyboru pistoletu – pomimo dostępności kilku nowych światowych produkcji on wybrał swojego ulubionego fn five-seven. Lecz gdy zabierał się właśnie do testowania najnowszej generacji gogli ISS, drugi hybrydowy range rover grupy krakowskiej – prowadzony przez kapitana Abakiewicza w trybie elektrycznym – niemalże w całkowitej ciszy zajechał na wyznaczone miejsce.

– Fija, Legwan i Miko, do mnie! – natychmiast zawołała Lili, pośpiesznie wychodząc z auta.

– Kto wybrał to miejsce? – zapytała surowo, stając naprzeciw pośpiesznie dobiegających do niej agentów.

– Starszy kapral Miko! – odpowiedziała natychmiast Fija.

– Od kiedy to decyduje za was niższy stopniem?! – ostro naskoczyła na dziewczynę.

– Pani kapitan, ja proponowałam inne miejsce, ale...

– W porządku – uspokoiła ją Lili. – Miejsce jest bardzo dobre – dodała obojętnym głosem, a Antek, słysząc ten specyficzny komplement, tylko uśmiechnął się w duchu.

– Nie mogłam wam podać rano szczegółowego planu dzisiejszej akcji, gdyż do ostatniej chwili docierały do nas coraz to nowsze wiadomości od informatora z komórki dowodzonej przez generała Walewskiego. Teraz na dziewięćdziesiąt dziewięć procent wiemy już, że człowiek Siłowników zatrzymał się w pobliskim



hotelu, a dokładnie w wykupionym przez niemiecką spółkę hotelarską starym, pruskim pałacu rodziny Lehndorffów. Mamy też informacje, że na terenie Sztynortu oraz w jego okolicy, mogą znajdować się także agenci Holdy, dlatego nie pozwoliłam wam wjeżdżać bezpośrednio do tej miejscowości.

– Pałac Lehndorffów? Czy to aby nie jest dawna siedziba Ribbentropa? – zauważyła z rozbawieniem Fija.

– Tak – potwierdził Legwan. – Wygląda na to, że kacapy i szkopy robią się znów niebezpiecznie sentymentalni... – skomentował.

– Dobra! Wystarczy już tych ciekawostek! – Lili ze zniecierpliwieniem podniosła głos. – Czym by to miejsce kiedyś nie było, mamy tu teraz, na naszej ziemi, wyjątkowo niebezpiecznych nieproszonych gości. I jeśli rzeczywiście kręcą się gdzieś w pobliżu tego pałacu, bacznie wszystko obserwując, tym bardziej musimy zachować szczególną ostrożność i wzmożoną czujność, zrozumiano?!

– Tak jest, pani kapitan! – odpowiedzieli jednocześnie.

– Dlatego też, ze względów bezpieczeństwa, bezpośrednią weryfikacją tego człowieka oraz ewentualnym przejęciem go zajmiemy się tylko ja i Maciek, natomiast cała reszta pozostanie w odwodzie – wytłumaczyła.

– Chciałbym zauważyć – wtrącił się Antek – że jeśli nie jest to tylko jakiś leszcz... a na pewno nie jest, skoro wysłali go tutaj w tak ważnej sprawie... to czy nie obawiasz się, że wasza dwójka może nie wystarczyć do przejęcia go bez wzbudzenia większego zamieszania?

– Po pierwsze, powiedziałam, że do ewentualnego przejęcia, więc, jeśli będzie potrzebne wsparcie, na pewno o nie poprosimy. Po drugie, jeszcze nie skończyłam, Miko, więc nie przerywaj mi i nie zwracaj się do mnie podczas akcji na ty... – odpowiedziała stanowczo, lecz zaskakująco spokojnie.

Widać było, że jest nieco spięta i nie tak pewna siebie, jak to zwykle miała w zwyczaju. Najwyraźniej i ona zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że operacja „Masterpiece” już na poziomie planowania nie miała nic wspólnego z majstersztykiem, będąc zaledwie jedną wielką improwizacją.

– Obawiam się, że jeśli coś pójdzie nie tak, na posiłki może być o wiele za późno – wtrącił ponownie Antek. – Dlatego myślę, że mógłbym się tam przydać... We trójkę możemy załatwić to szybciej i sprawniej – zaproponował prosto z mostu, ale na jego słowa natychmiast ostro zareagował Abakiewicz:

– Do kurwy nędzy, ileż można powtarzać?! Czy ty nie rozumiesz, Miko, co to znaczy „nie przerywać”?

Obaj panowie natychmiast wymienili iskrzące spojrzenia, jednak Antek szybko zrozumiał, że nic tym sposobem nie wskóra, dlatego odpowiedział mu z wymuszonym posłuszeństwem, ale i lekkim przekąsem:

– Tak jest... Panie kapitanie...

– Posłuchaj mnie uważnie, Miko – zareagowała również Lili, surowym, jednakże nadal spokojnym głosem. – Nie będę tolerować niezdyscyplinowania, więc jeśli dalej będziesz utrudniał i nie dostosujesz się do moich warunków, będę zmuszona odsunąć cię od akcji, rozumiesz? – zagroziła.

– Ja chciałem tylko zaproponować konieczną według mnie pomoc – odrzekł chłopak ze słyszalną rezygnacją w głosie.

– Pytam, czy rozumiesz – powtórzyła o wiele ostrzejszym głosem.

– Tak jest – potwierdził bez większego zaangażowania.

– To dobrze... – skomentowała pani kapitan, biorąc przy tym głęboki oddech sugerujący jeszcze większe zniecierpliwienie, a następnie zawołała w stronę najmłodszego z agentów, który oparty teraz o maskę samochodu notował coś z zapalem w swoim tabthinie.

– Plutonowy Buka!

– Tak jest, pani kapitan! – odpowiedział posłusznie niski, tłuściutki chłopak w bujnych, czarnych kręconych włosach i o kupidynowej twarzy, nie odrywając jednak wzroku od ekranu urządzenia.

– Podpiąłeś się już pod system zakładu energetyki oraz komputer sterujący zabezpieczeniami hotelu?

– Tak jest, pani kapitan! – powtórzył, tym razem z dobrze słyszalną satysfakcją.

– Doskonale... Gdy tylko zacznie się akcja, będziesz tutaj czekał na moje rozkazy, a w razie gdybyś, obserwując monitoring, zauważył coś niepokojącego, od razu poinformujesz o tym cały zespół.

– Ma się rozumieć, pani kapitan! – przytaknął po raz wtóry, odrywając się w końcu od urządzenia i spoglądając z niemal dziecięcym zadowoleniem w ich stronę.

– Co do reszty, waszym zadaniem będzie przede wszystkim ubezpieczać i dostarczać nam cały czas informacje o tym, co dzieje się dookoła pałacu. Miko i Fija – Lili spojrzęła z powagą na stojących ramię w ramię podwładnych – wy, jako tajniacy, będziecie pełnić rolę zwykłych zaliczających pobliskie knajpy turystów. Natomiast Legwan będzie czekał w pobliżu z samochodem, w razie gdyby konieczne było przejście obserwowanego delikwenta bądź też szybka ewakuacja. Miejsce, w którym będziesz czekał, za chwilę razem ustalimy – wyjaśniła.

– Tak jest, pani kapitan – potwierdził spokojnym, niskim głosem rosły młodzieniec, a wraz z nim przytaknęli także Fija i Antek.

– Buka! – kolejny raz zwróciła się do chłopaka, który cały czas wystukiwał coś na cienkiej klawiaturze swojego tabthina.

– Tak, pani kapitan?

– Wprowadź do hotelowego systemu bookingowego rezerwację dla pary o nazwisku Nowak – zażądała.

– Jakie mam podać imiona?

– Dajmy Tomasz i Anna – rzuciła bez zastanowienia. – Masz to zrobić tak, żeby w systemie widniało, iż jest to zabukowane już od miesiąca. I wybierz jakiś duży pokój na drugim piętrze, najlepiej jak najbliżej wschodniego skrzydła – dodała.

– Robi się! – po raz kolejny potwierdził wręcz z nieadekwatnym do sytuacji rozbawieniem.

– I jeszcze jedno, obraz ze wszystkich dostępnych kamer znajdujących się w okolicach pałacu ma być oczywiście przesłany do naszych gogli ISS.

– Tak jest! Do piętnastu minut powinniście mieć już dostępny obraz z całej okolicy – zapewnił Buka.

– Idealnie... W razie gdyby doszło do jakiejś nieplanowanej strzelaniny, gogle mogą nam się bardzo przydać, a więc miejcie je cały czas schowane przy sobie! Zrozumiano? – Lili na powrót zwróciła się do trójki agentów stojących przed nią na baczność.

– Tak jest, pani kapitan! – odpowiedzieli chórem.

– Maciek! Podaj mi wydruki. – Lili tym razem zawołała Abakiewicza, który stojąc teraz koło jednego z range roverów, wyglądał, jakby odleciał gdzieś myślami i z niecierpliwością na coś wyczekiwał.

– Maciek! – powtórzyła z rozdrażnieniem.

– A tak... Proszę bardzo, zastanawiałem się nad czymś – usprawiedliwił się natychmiast, wręczając jej plik dokumentów, na co Lili odwzajemniła się wymownym spojrzeniem.

– Łącznikiem może być jedna z tych trzech osób – wyjaśniła, rozdając każdemu po trzy zdjęcia, na których widnieli potencjalni agenci Siłowników. – Od teraz macie znać te mordy na pamięć! – dodała surowo.

– A jakieś informacje o ludziach Holdy? – zapytał nieśmiało Legwan.

– Niestety... Nasi ludzie z zachodnich delegatur nie wiedzą, kto może się tutaj pojawić... – Lili wzruszyła ramionami. – Dodatkowo macie tu jeszcze plan hotelu oraz mapę Sztynortu. Kto nie ma pamięci fotograficznej, niech postara się to wykuć jak najszybciej na pamięć. Mamy jeszcze trochę czasu przed rozpoczęciem akcji. – Wręczyła całej trójce dodatkowe kartki.

– A co z uzbrojeniem? – zapytała Fija.

– To ma być cicha i dyskretna akcja. Bierzemy tylko po jednym gnacie z tłumikiem, a pod ubrania cywilne zakładamy jedynie cieniutkie kamizelki kuloodporne z cieczą magnetoreologiczną.

– O której zaczynamy? – wtrącił się do rozmowy Antek.

– O piętnastej zakwaterujemy się z Maćkiem w pałacu, a wtedy wy musicie być już na swoich pozycjach. I pamiętajcie – pouczyła ich, podnosząc grożąco palec – nie siedźcie cały czas w jednym miejscu, bezustannie się poruszajcie, zmieniajcie knajpy, rozglądajcie się po parkingach i zaułkach, ale w razie czego bądźcie cały czas w pobliżu – tłumaczyła nazbyt skrupulatnie, co Antek uznał za wyraźne zdenerwowanie i brak pewności siebie.

– A jaki jest ostateczny cel akcji? – zapytała Fija.

– Nie ma ostatecznego celu – oznajmiła pani kapitan, wzruszając ramionami. – Sprawa, jak sami widzicie, jest rozwojowa... Dlatego najpierw rozpoznajemy potencjalnego agenta, obserwujemy go i cierpliwie czekamy, aż doprowadzi nas do swoich towarzyszy. Gdy ten etap operacji pójdzie pomyślnie, wtedy podejmiemy dalsze decyzje...

W tym samym momencie na odkrytym przedramieniu Abakiewicza zawibrował smartplaster.

– To Paprocki... Czego on może teraz chcieć? – oznajmił młody kapitan, spoglądając na Lili ze szczerym zdziwieniem.

– I dlaczego dzwoni do ciebie, a nie do mnie? – obruszyła się na to dziewczyna, wyraźnie zaniepokojona tym niespodziewanym połączeniem.

– Nie wiem... Kontynuuj odprawę, Lili, a ja odbiorę i dowiem się, o co chodzi – zaproponował, odchodząc nieco w bok, a ona, zerkając na niego z ukosa, wróciła do omawiania swojego planu.

– A więc – westchnęła – wiem, że to brzmi monotennie, ale muszę to znów powtórzyć: dziś macie być szczególnie wyczuleni i ostrożni! „Masterpiece” to wyjątkowo delikatna akcja! Pamiętajcie, przede wszystkim rozpoznajemy, obserwujemy, a dopiero po dogłębnej analizie ewentualnie wchodzimy na twardo. To nie ma być efektowna, ale efektywna akcja! Jasne?! – powtórzyła, jakby dla własnego spokoju.

– Lili! – przerwał jej nagle Abakiewicz, wyraźnie siląc się na ton, który nie zwiastuje niczego dobrego.

– Co jest?! – odparła natychmiast, a Antek, wyczuł w jej głosie jeszcze większe zaniepokojenie niż dotychczas.

– Pułkownik Paprocki właśnie przekazał mi, że jest decyzja dowództwa... – zaczął niepewnie Maciek, robiąc przy tym zmieszaną minę.

– No mów! O co chodzi? – ponagliła dziewczyna, z absolutnym i nieco przerażającym skupieniem wpatrując się w jego oczy.

– O to, że generalicja zadecydowała, iż to ja mam przejąć dowodzenie – oznajmił w końcu jednym tchem, najwyraźniej chcąc mieć to już za sobą.

– Jak to ty? – zapytała niepewnym i zarazem zamyślonym głosem.

– Nie wiem, Lili... – Abakiewicz wzruszył tylko ramionami, jakby sam był zaskoczony tą niespodziewaną informacją. – Najlepiej będzie, jeśli przełączę rozmowę i sama ich o to zapytasz – zaproponował i mówiąc to, nacisnął na swój smartplaster, a z kolei dziewczyna, dotykając plasterka naklejonego za jej uchem, przechwyciła połączenie, oddalając się pośpiesznie od swoich podkomendnych.

Fija oraz Legwan z nieudawanym zdziwieniem przyglądali się teraz dwójce dowodzących nimi oficerów, a nawet Buka, w nieodpartym zaciekawieniu, podniósł anemicznie w ich stronę swoją pulchną, kupidynową twarz – do tej pory nieustannie zanurzoną w ekranie swojego komputera. Tylko Antek wiedział, co tak naprawdę jest grane, dlatego spojrzał w stronę Abakiewicza z niemal prowokującą podejrzliwością.

Po chwili Lili wróciła do reszty grupy z miną, jakby dopiero co rozstrzelano jej wszystkich ludzi i powiedziała bezbarwnym, spokojnym głosem:

– Nie ma najmniejszych wątpliwości... Maciek przejmuje dowodzenie...

Antek natychmiast dostrzegł w jej zrezygnowanych, lecz jakby tym bardziej groźnych oczach, że była to dla niej niewypowiedzianie ciężka próba – właśnie na oczach całej grupy dowództwo podważyło jej kompetencje, wiarygodność oraz pozycję, na którą ciężko pracowała, od momentu gdy tylko zakończyła szkolenie i rozpoczęła służbę w organizacji.

– A więc jednak... Nie przesłyszałem się... – skomentował Abakiewicz, robiąc przy tym tak poważną minę, na jaką było go tylko stać.

Znakomicie odegrane... – pomyślał Antek, ze szczerym zaciekawieniem przyglądając się aktorskim umiejętnościom swojego nowego dowódcy. Nie planował jednak pakować się w niepotrzebne kłopoty i uświadamiać Lili, kiedy i w jakich okolicznościach tak naprawdę została podjęta decyzja o tej nagłej zmianie.

– Dobrze więc! W takim wypadku większość rozwiązań, jakie zaproponowała pani kapitan, pozostaje bez zmian – zaczął gwałtownie Abakiewicz, a jego posepny, współczujący głos nagle i z wyjątkową łatwością zdominował na powrót ton pełen dumy i jakiegoś dziwnego, niezdrowego podniecenia. – Jest jednak kilka kluczowych kwestii, które musimy ustalić na nowo – dodał natychmiast.

– Maciek, jeśli chcesz, mogę ci mniej więcej nakreślić, jak mogłyby według mnie wyglądać ewentualne dalsze etapy naszej akcji. Na pewno ułatwi ci to dowodzenie – zaproponowała dziewczyna, ponownie lekko ożywionym głosem.

– Dziękuję ci, Lili, ale nie trzeba... – zaskakująco szybko i stanowczo zbył swoją towarzyszkę świeżo upieczony dowódca.

– Bo wiesz... Najlepszym wyjściem byłoby, gdyby zaraz po zakończeniu śledzenia łącznika oraz dotarciu na miejsce jego spotkania z wysłannikiem Holdy rozpocząć...

– Powiedziałem, że nie trzeba – natychmiast przerwał jej Abakiewicz, już o wiele bardziej władczym i surowszym tonem.

– Okej... Jak tam chcesz... – odparła niepewnie, bardzo zaskoczona i zmieszana tak bezwzględną i ostateczną odmową.

– Uwaga! Robimy tak – kontynuował zdecydowanym głosem mężczyzna – namierzamy kacapa, upewniamy się, że to on, i natychmiast go zawijamy. Ale żeby czasem jakimś dziwnym trafem nie wywinął się nam, odwiedzimy go we trójkę. Mam tu na myśli mnie, Lili i Legwana. W momencie zaskoczenia nie będzie miał z nami żadnych szans – przekonywał kapitan, emanując jeszcze większą pewnością

siebie niż zwykle. – Następnie przywozimy go tutaj i robimy takie przesłuchanie, o którym nie opowiadały mu nawet najstarsze bolszewickie leśne dziadki... Ostatecznie, gdy już wszystko nam wyśpiewa, wtedy ja podszyję się pod niego i osobiście pojedę na spotkanie z Holdą.

– Czy ja dobrze słyszę? Ty chcesz spotkać się z agentami Holdy?! – wtrąciła nagle wyraźnie zszokowana Lili.

– Dokładnie tak – odparł sucho. – I chcę zarazem przekazać im wiadomość od Siłowników, którą z pewnością, po kilkunastu minutach przesłuchania, podzieli się z nami schwytany delikwent. A gdy dowiemy się już wszystkiego, co szwaby będą miały na tę informację do powiedzenia, wtedy wkraczacie i zgarniacie całe to nieproszone towarzystwo. Jeśli okaże się jednak, że będzie ich nieco więcej, niż przypuszczamy, nie brać żywcem, tylko na miejscu likwidować, rozumiemy się? – zaakcentował władczym tonem.

– Ale Maciek, nie tak miało być! Mieliśmy unikać ostrego starcia! – po raz kolejny zareagowała Lili, szczerze zaniepokojona butnymi słowami swojego zawodowego i towarzyskiego partnera.

– Spokojnie! – zapewnił z wyraźnym rozdrażnieniem. – Jesteśmy w stanie zrobić to w takim stylu, w jakim od lat robili to najlepsi agenci w Polonorum – zapewnił. – Trzeba w końcu udowodnić górze, że nasza grupa nie jest tylko jakąś zbieraniną zachowawczych rezerwowych młokosów – dodał szorstko, zdecydowanie zniecierpliwiony ciągłymi pouczeniami swojej dziewczyny.

– Maciek, to nie jest dobry pomysł. Przemyślmy to jeszcze raz, razem! Nie musisz tego ogarniać sam, przecież mogę ci w tym pomóc... – nalegała, ewidentnie łudząc się co do prawdziwych intencji swojego partnera.

– Lilia... Naprawdę przykro mi, że tak się stało i że nagle postawiono cię w tak niezręcznej sytuacji... Mimo wszystko to nie jest koncert życzeń... Musisz pogodzić się z tym, że teraz to ja dowodzę i że to ja wezmę odpowiedzialność za organizację tej akcji... Dlatego zrobimy to tak, jak ja uważam za stosowne. Koniec tematu! – podsumował ostro, na co Lili otworzyła jeszcze usta, jednak po chwili



zastanowienia na powrót je zamknęła i całkowicie zrezygnowana nic już nie odpowiedziała.

Bezsprzecznie był to dla niej już drugi – po kompromitującej akcji przeprowadzonej na przełomie nowego i starego roku – tak bezwzględnie uczący pokory, bolesny cios. Niefortunnie rzeczywistość, w której jeszcze przed chwilą była pewną siebie, niepodważalną panią sytuacji, w przeciągu zaledwie kilku minut gwałtownie sprowadziła ją do poziomu zwykłego pionka, tkwiącego niemalże w tym samym bezradnym położeniu co Antek. Natomiast Abakiewicz, czując się już w swojej nowej roli jak ryba w wodzie, nie ukrywając emanującego tym stanem rzeczy podniecenia, począł kontynuować prezentację swojego, jakże wybitnego planu operacji – o wydającym się Antkowi coraz bardziej oksymoronicznym kryptonimie „Masterpiece”.

\*\*\*

Minęła osiemnasta, a pogoda jak na tak wczesną porę roku okazała się tego popołudnia wręcz wakacyjna. Antek, rozpostarłszy się wygodnie w wiklinowym koszu udostępnionym dla turystów w niewielkim, nadbrzeżnym ogródku piwnym, leniwie sącząc cydr, z uwagą obserwował przewijające się rzesze przyjezdnych, a także obsługujących ich tubylców, całkowicie nieświadomych tego, co właśnie święci się dziś w tej niewielkiej, prowincjonalnej osadzie. Dosłownie przed chwilą przespacerowała przed nim Fija, która w zwiewnych wiosennych ciuszkach i z ogromnym kwiatem wpiętym w rude włosy, a także potężnym czarnym terierem rosyjskim, który dominującym krokiem ciągnął ją mocno w stronę pałacu Lehndorffów, wyglądała jak zakręcona artystka, szukająca natchnienia wśród tajemniczej, mazurskiej natury. Antek długo przyglądał się tej komicznej scenie, po czym skomentował w myślach:

Skąd ona wytrzasnęła tego psa? Idealny kamuflaż... W życiu bym nie powiedział, że taka na pozór zwichrowana panienska, może być potencjalną maszynką do zabijania.

Roześmiał się w duchu. Jednak gdy od tego momentu minęło już ponad półtorej godziny, Antek zaczął się lekko niepokoić, gdyż do tej pory ani Abakiewicz, ani nawet Lili nie wydali mu jeszcze żadnego konkretnego polecenia. Właściwie to w ogóle nikt się z nim nie kontaktował od czasu przybycia na miejsce. Wkrótce też, wraz z zapadającym zmrokiem, nad Sztynortem zaczęły niespodziewanie pojawiać się szare, ociążałe chmury, co szybko zepsuło wakacyjny nastrój i spowodowało, że na zewnątrz natychmiast zrobiło się chłodno i wietrznie. Chłopak więc, po zjedzeniu przepysznego węgorza na werandzie jednej ze sztynorckich smaźalni, udał się prędko do niewielkiej lokalnej speluny, usytuowanej na skraju tutejszego lasu, o wymownej nazwie Pod Lepkimi Rączkami. Chciał tym sposobem znaleźć się teraz możliwie jak najbliżej wspomnianego pałacu, by w razie wyczekanego sygnału do akcji błyskawicznie ruszyć do działania.

Gdy tylko wszedł do środka, natychmiast w twarz uderzył go gorący podmuch zamglonego powietrza, będącego w rzeczywistości mieszaniną potu, wydychanego alkoholu oraz unoszącego się gęsto znad stolików dymu papierosowego. Antek usadowił się więc na jednym ze starych odrapanych hokerów stojących przy barze i aby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, bez zastanowienia poprosił o pięćdziesiątkę wściekłego psa. Barman od razu wziął się za przygotowywanie szota, a tymczasem on dyskretnie zaczął rozglądać się po zakamarkach tego, delikatnie mówiąc, oryginalnego przybytku zasilonego mocną reprezentacją odklejonych od społeczeństwa, najróżniejszych autsajderów i wykolejeńców.

Bardzo szybko dostrzegł więc, że w lewym rogu, pod ścianą, siedzi jakiś pulchny, na pierwszy rzut oka niepasujący do tego towarzystwa siwy staruszek, który konsumując klasyczną peerelowską delicję, a mianowicie meduzę i lornetę, również przygląda mu się kątem oka. Wkrótce jednak niepozorny senior nie był już jedynym wyjątkiem, gdyż z każdą kolejną minut, łypała na niego coraz większa część biesiadującego tu towarzystwa.

Hm... Chyba nie pasuję do tego obrazka... – pomyślał. Zbyt porządnie wyglądam, a poza tym przesiadują tu najwyraźniej sami stali bywalcy, którzy

zapewne biorą mnie teraz za psa... Nie ruszam się jednak stąd, bo lepszego miejsca wypadowego w razie rozpoczęcia akcji, z pewnością już nie znajdę.

Miejsce rzeczywiście było idealne, gdyż pałac znajdował się stąd zaledwie dwieście metrów w linii prostej. Jednak by choć na chwilę zejść z oczu podejrzliwie przyglądającej mu się gawiedzi, po wypiciu drugiego kielicha Antek wyszedł się przewietrzyć i nieco rozejrzeć. Na zewnątrz zapanował już niemal całkowity mrok, a z wolna zasnuwająca granatowe niebo, gęsta powłoka deszczowych chmur pogrążała mazurską osadę w tym większej ciemności.

– Przecież za chwilę będzie totalna noc, na co oni czekają? – mruknął pod nosem, odpalając papierosa i wpatrując się w rozświetlone okna pałacu.

Nagle dopływ prądu do całej miejscowości został gwałtownie przerwany, a jedynym źródłem światła została już tylko delikatna czerwona luna – pozostałość po słońcu, które zaszło za zachodnim brzegiem jeziora.

Zaczął się... – pomyślał, wdeptując papierosa w ziemię i zupełnie nie zwracając uwagi na gromki odgłos niezadowolenia dochodzący z wnętrza baru, który także pogrążyła egipska ciemność.

Począł również gorączkowo zastanawiać się, co w tym wypadku robić, gdyż wciąż nie otrzymał przecież żadnych nowych poleceń, a więc obowiązywał go nadal stary rozkaz nakazujący jedynie obserwację osady i pozorowanie pospolitego turysty. Nie mógł jednak udać się bez pozwolenia w stronę pałacu, gdyż mogłoby to spowodować niespodziewane komplikacje w akcji, a z drugiej strony nie miał też ochoty kontaktować się z Abakiewiczem i pytać o to, czy ten łaskawie ma dla niego jakieś dalsze zadania, gdyż po pierwsze, Abakiewicz mógł być teraz w trakcie wykonywania operacji, a po drugie, po prostu nie chciał się przed nim płaszczyć, i tyle...

Raptem jednak, po zaledwie trzech minutach rzekomej awarii elektryczności, światło na powrót zawitało w całej okolicy i niemalże w tym samym momencie Antkowi zawibrował na przedramieniu jego milczący już od wielu godzin smartplaster.

– Tak? – odebrał pośpiesznie.

– Tu Abakiewicz, twoje zadanie, Miko, właśnie się skończyło. Bądź jak najszybciej w miejscu zbiorczym! – odparł krótko dowódca.

– A co z łącznikiem? – zapytał pośpiesznie chłopak, czując, że butny kapitan chce jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Już po krzyku, kapralu... Kacap jest z nami. Tylko nie kręć się czasem koło pałacu, żebyś nie wzbudził niepotrzebnego zainteresowania – przestrzegł szorstko.

– Tak jest! Rozumiem! – odrzekł posłusznie Antek, rozeźlony jednak tym, że nic nie wiedział o rozpoczęciu działań. – A gdzie są podstawione samochody? – dodał prędko, zdając sobie sprawę, że nieprzychylny przełożony totalnie go teraz zlewa.

– Gdzie są podstawione samochody? – powtórzył z ironią w głosie Abakiewicz. – Nigdzie... – wyjaśnił szybko i równie drwiąco. – Nie mamy czasu, Miko, na zbieranie ludzi, którzy robią wyłącznie rozpoznanie w terenie... Masz być jak najszybciej w miejscu zbiorczym, żołnierzu! To nie jest daleko, a mała przebieżka dobrze ci zrobi. – Dowódca natychmiast się rozłączył.

– Sukinsyn! – wycedził przez zęby Antek, kręcąc z niedowierzaniem głową. – No sukinsyn! – powtórzył, rozglądając się dokoła i upewniając, czy aby nikt nie obserwował jego rozmowy.

Następnie oddalił się kilkanaście metrów od barwnej spelunki, w której na powrót zawitały światło oraz huczna szantowa muzyka, i wyciągając zza pazuchy swoje gogle ISS, puścił się pędem w stronę ciemnego, gęstego lasu.

Po około piętnastu minutach szybkiego biegu na przełaj dotarł w końcu do miejsca zbiorczego. Ku jego zdziwieniu okazało się jednak, że nie ma tam ani ich samochodów, ani nikogo z grupy krakowskiej, kto by na niego czekał. Wokół panowała jedynie głucha cisza.

– Czyżbym się pomylił? – powiedział sam do siebie zdyszonym głosem. – Nie... Niemożliwe, to na pewno było tutaj – dodał prędko, nerwowo rozglądając się wkoło.

Ale zaraz po tych słowach dostrzegł w noktowizorze jakąś postać, która w odległości około stu metrów przemknęła za drzewami. Przełączył więc gogle na tryb termowizyjny i po kształtach promieniującego ciepłem ciała natychmiast rozpoznał, że była to dziewczyna. Następnie wyciągnął broń oraz wycelował i zawołał głośno:

– Fija, to ty?!

Po czym w odpowiedzi usłyszał:

– Podaj kryptonim akcji!

Był to z pewnością głos Fii, jednakże Antek, podobnie jak jego młodsza koleżanka, wolał się upewnić, gdyż w ostatnich latach coraz bardziej popularne w wywiadzie oraz siłach specjalnych stały się generatory mowy.

– „Masterpiece”! – odpowiedział posłusznie. – Za to ty podaj imię generała, który przynudzał na odprawie! – zażądał.

– Maj! – odkrzyknęła kobieta.

– W porządku! Idę w twoją stronę! – oświadczył, widząc, jak czerwona termowizyjna plama o smukłych, kobiecych kształtach pokazuje, aby się udał za nią.

Gdy w końcu dobiegł do niej, od razu zapytał, nie ukrywając swojego oburzenia:

– Jak wróciłaś?

– Normalnie, samochodem... Buka zgarnął mnie nieopodal jeziora – wyjaśniła jakby nigdy nic, na co Antek pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Przecież zbiórka miała się odbyć w ustalonym poprzednio miejscu. Gdzie są wszyscy? – drążył wyraźnie pretensjonalnym tonem.

– W ostatniej chwili Abakiewicz uznał, że to jednak nie jest zbyt dobra lokalizacja i zdecydował się przenieść miejsce zbiorcze jeszcze dwa kilometry w głąb lasu.

– Czemu nikt nie poinformował mnie o rozpoczęciu akcji?

– Nie było takiej potrzeby. Nie zapominaj, że jesteś tylko kapralem... Poza tym wszystko poszło bardzo szybko i sprawnie, zawinęli go w mgnieniu oka. Jednak Abakiewicz dobrze to wszystko wykombinował – wyjaśniła z nutą wyższości w głosie, na co Antek nic już nie odpowiedział.

Po paru minutach milczącego marszu dotarli w końcu do dwóch range roverów, które stały zaparkowane wśród gęstych leśnych zarośli. Gdy tylko się zbliżyli, zza jednego z samochodów od razu wychylił się Legwan. Antek spostrzegł, że stali tam także Lili oraz Abakiewicz, którzy najwyraźniej wyciągali teraz od przechwyconego łącznika wszelkie potrzebne im informacje. Wszystko to odbywało się oczywiście w całkowitych ciemnościach – każdy przecież miał na sobie gogle ISS, które wyróżniał znakomity tryb noktowizyjny. Na miejscu nie było również słycać żadnych krzyków ani głośniejszych rozmów, za to zza pleców Abakiewicza dochodziły odgłosy nerwowego oddechu i bolesnego stękania, wydawane jakby przez nos – przechwycony agent miał zapewne zakneblowane usta.

Po chwili stania w bezruchu Antek zdecydował się w końcu podejść bliżej samochodów i gdy tylko to zrobił, od razu dosłyszał ściszony, zjadliwy głos swojego nowego dowódcy:

– Myślisz, że będę do ciebie mówił po rusku? O nie, kacapku... Ja wiem, że ty gawarisz pa polski... Na twoje nieszczęście nie jesteśmy w Rosji i żaden z twoich kolegów ci tutaj nie pomoże... Tutaj pomoc może ci już tylko współpraca z nami, rozumiesz? A więc proponuję zacząć raz jeszcze. Powiesz mi, jak brzmi hasło weryfikujące obie strony ustalone specjalnie na spotkanie, które ma się niebawem odbyć, a wtedy może oszczędzę ci resztę twoich palców, okej?

Antek dostrzegł, że młody kapitan brutalnie wyciąga przechwyconemu łącznikowi knebel z ust.

– Job twoju mać! – odpowiedział mu Rosjanin, po czym roześmiał się cichym, zgaszonym głosem niczym wariat, który dopiero co uciekł z domu bez klamek.

– Ooo... Czyli jednak jesteś twardzielem. – Lili roześmiała się drwiąco. – W takim razie potraktujemy cię jak twardziela... Wiedz jednak, że chociażby za tę chińską heroinę, którą pomagacie rozprowadzać wśród polskich dzieciaków, nasza determinacja w zadawaniu ci bólu przerośnie twoje wszelkie wyobrażenia – dodała równie szyderczym tonem.

– Laszki, laszki... W kogo wy się bawicie? Wy nic nie wiecie i nic nie możecie... – odparł ze śmiechem jeniec, posługując się tym razem niemal idealną polszczyzną.

– Ty idioto, dalej myślisz, że nic ci się tu nie stanie?! Że jako Siłownik jesteś nietykalny? – warknął wściekle Abakiewicz i Antek zrozumiał, że na nieszczęście przesłuchiwanego butny oficer wyraźnie traci nad sobą panowanie.

– W dupie mam wasze pogrożki, wy obsrane Polaczki! Gównu możecie mi zrobić! – skwitował Rosjanin, również podnosząc głos.

– Posłuchaj mnie uważnie, kacapski śmieciu, nie myśl sobie, że to jakaś gra psychologiczna czy coś w tym rodzaju – kontynuował Abakiewicz – To prosta jak drut oferta – cedził słowa. – Masz dwie opcje: albo teraz zaczniesz mówić i skończysz co najwyżej w naszym areszcie, bez bólu i we względnym spokoju, albo będziesz przez długi czas utrzymywany przy życiu i torturowany, aż w końcu puścisz parę z pyska. A gwarantuję ci, że mamy do tego ludzi, którzy potrafią utrzymać funkcje życiowe naszych wrogów nawet przez bity rok... – zagroził.

– Pewnie po takim przywitaniu poczułeś się jak u swoich – ponownie przejęła inicjatywę Lili. – Nic z tych rzeczy... Pierwsze wrażenie potrafi być bardzo mylne... My nie wywodzimy się z waszej turańskiej cywilizacji, dlatego w przeciwieństwie do was i waszych bezwzględnych metod dajemy ci uczciwie szanse ratunku oraz sensowne wyjście z tej beznadziejnej dla ciebie sytuacji. Ale... Jeśli nie chcesz skorzystać z naszej dobrej woli, sam wydajesz wyrok na siebie i skazujesz się na wyjątkowo parszywy koniec. Takie już mamy zasady; śmiecie podobne do ciebie, które przyjeżdżają na naszą ziemię, próbując wprowadzać swoje zasady i targać się na bezpieczeństwo naszej ojczyzny, zawsze kończą parszywie... Masz trzy minuty, zastanów się dobrze, bo może się szybko okazać,

że jednak nie jesteś taki twardy, jak ci się wydaje... A uwierz mi, że rok nieustających przesłuchań to jednak sporo czasu. Twój poprzednik często już po trzech tygodniach bardzo żałował złego wyboru, z którego niestety nie ma już odwrotu.

– Siłownik nigdy nie zdradzi swoich braci! Możecie mnie tu nawet żywcem ćwiartować! Jebana, polska swołocz! – ryknął schwyty intruz, a jego głos poniósł się echem po leśnej głuszy.

Tymczasem Antek podszedł jeszcze kilka kroków bliżej i tym razem już bez żadnego problemu ujrzał całą nieciekawą dla obu stron sytuację. Lili ponownie zatykała kneblem usta Rosjanina, natomiast Abakiewicz, jeszcze bardziej nachylając się nad twarzą nieszczęśnika, wręcz wysapał przez zaciśnięte zęby, jak gdyby tłumiał w sobie ostatkiem sił wybuch białej gorączki:

– Nie pieprz mi tu o honorze, a tym bardziej o jakiejś urojonej lojalności „braci Siłowników”! Obaj wiemy, że nikt z was nie wierzy w takie bzdury! Połowa tych twoich koleżków wsypałaby cię w zamian za zagwarantowanie im wygodnej celi, z dostawą świeżych dziewczynek, kawioru i prochów! Ta fasadowa moralność i braterstwo są tyle warte, ile wasze podłe bandyckie życie! Prawda jest taka, że za parę dni słusznie będą cię podejrzewać, o to, że się rozprułeś. Dlatego nikt się za tobą nie ujmie, nikt cię nie odnajdzie i nikt ci nie pomoże! – wyliczał zajadle. – Gdy ty będziesz udawadniał odwagę i oddanie tej swojej zbrodniczej organizacji, twoi przełożeni, te stare spasiono knury, będą w tym samym czasie jak gdyby nigdy nic dalej korzystać z życia, wożąc się po moskiewskich burdelach swoimi złotymi, kiczowatymi bentleyami! Wiem, że masz w tej chwili ich obraz przed oczami... Doskonale wiesz, o czym mówię, bo i tobie, zwykłemu pionkowi, co nieco skapnęło z tego bandyckiego stołu! – zakończył, przecierając usta.

– Dokładnie tak jest, śmieciu... – wtrąciła Lili. – Wyobraź sobie, co na przykład teraz robią twoi szefowie? No? Przecież ich dobrze znasz... Naprawdę myślisz, że martwią się o ciebie? Trudzą się i głowią, jak by tu wyciągnąć cię z tarapatów? Przecież jesteś tylko szeregowym cynglem lub co najwyżej jakimś podrzędnym kapo, zresztą to bez różnicy... Jesteś po prostu zwykłym trybikiem



w tej ograbiającej biednych pocziwych Rosjan szatańskiej maszynie. Mało tego, dostałeś od swoich przełożonych szansę... Miałeś być łącznikiem w bardzo ważnym przekazie informacji, ale od momentu w którym zostałeś przez nas przechwycony, jesteś już dla nich trupem. Nawet jeśli my cię wypuścimy, to przesłuchają cię oni, a na koniec, w podziękowaniu za wszelkie zasługi, wpakują ci kulkę w łeb albo wrzucą do pieca hutniczego, tak dla zasady – wyjaśniła drwiąco, a skrępowany mężczyzna próbował jej na to coś odpowiedzieć, jednak mocno wbity w usta knebel spowodował tylko, że wydał z siebie jakiś niezrozumiały, nerwowy pomruk.

– Już tym razem nie zagniesz rzeczywistości, cwaniaczku – na powrót do przesłuchania włączył się Abakiewicz. – Twoja sytuacja jest jasna... Od momentu wpadnięcia w nasze łapy jesteś już dla nich ścierwem... Dlatego ja nie widzę sensu, żebyś nadal chronił ich dupy. Pomyśl o sobie! – zaproponował po raz kolejny, jakby chwilowo zmuszając się do odegrania roli dobrego policjanta.

– Wybieraj! Albo korzystasz z naszego koła ratunkowego, albo sam siebie posyłasz do diabła... – dodała Lili, jednak uparty więzień nadal milczał.

– No wybieraj! Albo oni, albo ty! – zawtórował kapitan, gotując się teraz w środku jak rozpalony sagan.

– Okej... Skoro tak... Nasza oferta wygasa... – dodał po chwili milczenia, zdając sobie sprawę, że na darmo strzępi język, a następnie odwróciwszy się w stronę Antka i Legwana, warknął tymi słowami:

– A wy co tak stoicie?!

– Ja czekam na dalsze rozkazy – odpowiedział mu oziębłe Antek.

– Dobrze... W takim razie pomóż Fii zabezpieczyć teren. Kręćcie się dokoła i od razu dajcie znać, gdyby zbliżał się tu ktoś nieproszony – odpowiedział zaskakująco konstruktywnie. Najwyraźniej ta przeciągająca się patowa sytuacja zaczynała go przerastać i brakowało mu rezonu.

– A czy pan kapitan sprawdził, czy gość nie jest czasem namierzany? – zapytał niepewnie Antek, chcąc zachować jak najbardziej oficjalną formę i zarazem nie dać

po sobie poznać, jakoby nawiązywał do trzech pluskw, które w przeciągu dwóch dni założył Paprockiemu oraz grupie krakowskiej.

– Jeśli ci o to chodzi, Miko, to oczywiście, że zeskanowaliśmy go i nie ma w sobie żadnych robaków ani chipów. Dlatego nie zadawaj głupich pytań i idź wykonać swoje zadanie – odpowiedział w swoim stylu, ale nadal zadziwiająco spokojnie Maciek.

– A ja, panie kapitanie? – odezwał się Legwan, o którym Abakiewicz, w widocznym zamyśleniu, jakby zupełnie zapomniał.

– Ty przebierz się w strój szturmowy, w razie gdybyśmy musieli nagle udać się na spotkanie z Holdą. A teraz dajcie nam spokój, musimy się z Lili skupić na złamaniu tego skurwiela.

– A jeśli nic nie powie? – zapytał raz jeszcze Antek, zanim zdążył ugryźć się w język.

Pytanie to wyraźnie rozeźliło Abakiewicza, jednak chłopak zadał je, dlatego że wyczuł, iż on także – widząc niespotykany upór u przesłuchiwanego – wziął już tę fatalną możliwość pod uwagę.

– Już moja w tym głowa, żeby powiedział... Zresztą, to nie wasz problem, kapralu, wy macie się skupić na swojej robocie – odrzekł dobitnym tonem, dając do zrozumienia Antkowi, że stąpa po kruchym lodzie i by lepiej dzisiaj nie przeciągał struny.

– No nie wiem... – Antek nie byłby sobą, gdyby nie pokusił się o komentarz.

– Czego, do kurwy nędzy, znowu nie wiesz, Miko?! – warknął Abakiewicz, zupełnie już nie ukrywając swojej złości.

– Chciałem tylko powiedzieć, iż na gołe oko widać, że on nic nam nie powie... Widziałem już takich... To psychopata przygotowywany na taką ewentualność od dziecka. Obawiam się, że na nic się zda to całe wasze pranie mózgu – wyjaśnił spokojnie, brnąc dalej i nie zważając na dalsze konsekwencje tego wyjścia przed szereg.

– Jeszcze może powiedz to głośniej, kretynie! A najlepiej idź i oświadczyć mu to prosto w twarz, w razie gdyby jednak cię nie usłyszał! – wycedził Abakiewicz, z trudem opanowując drżącą w jego wnętrzu furję.

– Miko! Masz rozkaz? To go wykonaj i nie dyskutuj z dowódcą! – wkroczyła nagle Lili, spostrzegając, że wymiana zdań między mężczyznami staje się coraz bardziej napięta.

– Pani kapitan, ja chciałem tylko doradzić, bo moim zdaniem... – rzucił Antek, ale nie dane mu było skończyć, gdyż natychmiast przerwał mu rozwścieczony oficer.

– Jeśli zaraz nie wykonasz tego, co ci kazałem, wylatujesz na zbity pysk! To jest moje ostatnie ostrzeżenie! Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział sucho, odwracając się i posłusznie udając we wskazane miejsce.

Do Antka dotarło bowiem, że nie ma sensu kopać się dalej z koniem. I chociaż złość i niemoc mieszały się w nim na przemian, posłusznie zagryzł wargi i postanowił sobie nie wtrącać się już i nie doradzać dowódcy aż do samego końca akcji – nawet jeśli wszystko miałoby zmierzać ku katastrofie.

– Widać, że nie jesteś wychowany w Polonorum – wypaliła nagle Fija, gdy od paru minut odbywali już wspólny obchód.

– Tak? Co ty nie powiesz... – Antek nie miał nastroju do rozmowy.

– Tak, brakuje ci dyscypliny. Byłam akurat na linii z Legwanem i wszystko słyszałam... Jesteś wyjątkowo uparty i arogancki – dodała z przekąsem.

– Chciałem tylko pomóc... Poza tym nie będę udawał potulnego durnia, gdy widzę, że coś idzie nie tak...

– Jesteś tylko kapralem, zostaw dowodzenie i myślenie innym.

– Ha, ha! – roześmiał się Antek. – Może i w tej waszej śmiesznej hierarchii jestem kapralem, ale w rzeczywistości to ja powinienem dowodzić tu wami wszystkimi! Mam więcej doświadczenia w terenie niż cała wasza grupa razem wzięta. Nie mów mi, że nie wiem, co to dyscyplina, bo nigdy żyć, w żadnej

jednostce, w której służyłem, nie wchodziłem moim przełożonym w paradę, z tym że oni zawsze doskonale wiedzieli, co w danej sytuacji robić... – odparł z wyrzutem.

– A do tego jeszcze jesteś próżny i zachowujesz się jak urażona primabalerina – dosadnie skwitowała pani sierżant.

– Wiesz co, dziewczynko – zapytał Antek cwaniacko – jeśli naprawdę nie widzisz, że to wszystko, co się dzisiaj dzieje, idzie w złą stronę, to ewidentnie brakuje ci rozumu i nosa do tej roboty... – wyznał bez ogródek. – Powinniśmy od początku trzymać się planu Lili! Natomiast Abakiewicz, chcąc za wszelką cenę wzbudzić podziw w szeregach agentów Polonorum i zaimponować brawurową i zarazem debiutancką akcją swoim przełożonym, zapędził się w kozi róg. Niestety, z tego, co widzę, jego duma i głupota doprowadzą nas ostatecznie wszystkich w jedno wielkie gówno. I wiesz co? Nawet podobną obawę dostrzegłem dziś na twarzach Lili oraz Legwana. Najwyraźniej oni też zdążyli już zauważyć, że plan Abakiewicza zmierza donikąd.

– O nie! To już jest jawna niesubordynacja, Miko, oraz podżeganie przeciwko dowódcy! – skrytykowała go ostro dziewczyna.

– Poprawka – odparł ze śmiechem Antek. – Ty nie tylko nie masz nosa do tej roboty... Ty jesteś po prostu zwykłą idiotką – palnął, kolejny raz nie zdążając ugryźć się w język.

– Co ty powiedziałeś?! – oburzyła się Fija. – Jestem starsza stopniem! – przestrzegła.

– To sobie bądź – odburknął chłopak, odwracając wzrok od swojej rozmówczyni i skupiając się na obserwowaniu okolicy.

– W takim razie mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość! – oznajmiła tajemniczo, rozjuszona teraz niczym osa.

– No... Już się boję... – Antek ponownie się roześmiał, całkowicie obojętny na to, co odpowie mu pani sierżant.

– Wiedz, że cały czas nagrywałam tę rozmowę, i po zakończeniu akcji sporządzę na ciebie notatkę! Wtedy zobaczymy, kto się okaże idiotą – wypaliła z satysfakcją.

– Po zakończeniu akcji? Żartujesz? – zakpił chłopak. – Przykro mi to mówić, ale mam wrażenie, iż mimo twojego skrupulatnego wyszkolenia głupota i krótkowzroczność, którymi się odznaczasz, wpędzą cię do piachu, zanim ta poroniona akcja jeszcze na dobre się zakończy. Zwłaszcza że nie wiadomo przecież, w co nas ten kretyn Abakiewicz dzisiaj jeszcze wciągnie... – oznajmił bez pardonu. – No i? Nagrało się czy mam powtórzyć? – dodał buńczucznie, a Fija otworzyła tylko usta z oburzenia i totalnie zszokowana nic już nie odpowiedziała.

Antek jednak doskonale wiedział, że trochę przesadził. W końcu w środku nie był aż takim bufonem, jakim na pierwszy rzut oka mógł się wydawać... Z początku chciał nawet jakoś cofnąć swoje słowa, przeprosić lub wytłumaczyć, że tak naprawdę co innego miał na myśli, jednak ostatecznie zdecydował, iż najlepiej będzie, jeśli w ogóle nie będzie się odzywał i tym samym bardziej komplikował sytuacji.

Może rzeczywiście zaślepia mnie próżność? – powiedział sobie w duchu, gdy nadal w milczeniu krążyli wokół miejsca zbiorczego. A może to niechęć do Abakiewicza steruje podświadomie moim zachowaniem? Może nie patrzę obiektywnie na sprawę? – zastanawiał się.

Na szczęście jednak rozsądek szybko wziął nad nim górę i właściwe myśli natychmiast wypchnęły mu z głowy bezsensowne samobiczowanie.

Aaa tam... Czego bym dziś nie zrobił, opinia, jaką wystawi mi Abakiewicz, bez względu na moje zasługi w akcji, zapewne będzie taka sama... Może lepiej byłoby dla mnie, gdybym dziś pisał ten cholerny egzamin... – Wyobraził sobie zawiedzioną minę generała Różewicza.

Zbliżała się godzina dwudziesta druga. Lodowaty wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, a z nieba co jakiś czas spadały zimne wiosenne, pojedyncze krople deszczu, zwiastujące nieuniknioną ulewę. Antek nadal patrolował teren wokół

miejsca, gdzie jego dowódcy nieustrudzenie przesłuchiwali przechwyconego agenta Czerwonych Siłowników. W końcu, gdy przestał już liczyć na to, że któryś z dowodzących oficerów rozkaże mu dziś robić co innego, niż tylko błędnie krążyć wkoło, poczuł wibracje smartplastra naklejonego na swoim przedramieniu i dotykając palcem na kompatybilny plasterek znajdujący się za lewym uchem, odebrał połączenie.

– Tak jest, pani kapitan?

– Przerwij patrol i przyjdź przebrać się w strój szturmowy. Legwan zastąpi cię na ten czas – rozbrzmiał mu w uszach surowy, pośpiesznie wypowiedziany rozkaz.

– Czyli, że ruszamy za chwilę na akcję? – zapytał nieco ożywiony tą informacją, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi, gdyż Lili natychmiast po przekazaniu wiadomości się rozłączyła.

Po pięciu minutach Antek był już na miejscu. Gdy podszedł do auta, w którym znajdował się cały jego sprzęt, a za którym odbywało się zarazem przesłuchanie przetrzymywanego łącznika, zauważył, że atmosfera jest jeszcze bardziej nerwowa niż poprzednio – Lili stała z założonymi rękoma w kamiennym zamyśleniu, natomiast Abakiewicz, cały zgrzany, zasapany i obryzganym krwią, bezradnie opierał się o maskę potężnego SUV-a. Jeśli zaś chodzi o schwytanego agenta, miał on solidnie pokiereszowaną twarz, a rozebrane do bielizny ciało obficie pokrywała krew. Widząc to wszystko, Antek nie pokusił się jednak o żaden komentarz, tylko w całkowitym milczeniu zabrał się do wyciągania swoich gratów z bagażnika.

– Lili, nie będę się z nim dużej bawił... – wysapał zdeprymowany dowódca, ściągając gogle z twarzy i przecierając spocone czoło.

– Co masz na myśli? – zapytała retorycznie dziewczyna.

– To, że do tych sukinsynów przemawia tylko jeden język... Ten sam, jakim się na co dzień posługują... Trzeba w tym wypadku olać zasady i skończyć się z nim patyczkować... – wyjaśnił enigmatycznie.

– Chcesz, żebym wyciągnęła kable? – zapytała zamyślonym głosem.

Oboje stwarzali wrażenie, jakby w ogóle nie zauważali Antka, który jak gdyby nigdy nic przeładowywał swój nowy karabin szturmowy.

– Wyciągaj... Nie czas na zabawę w dżentelmenów... Spotkanie z Holdą może się odbyć lada moment... Nie mamy innego wyjścia. Jeśli teraz go nie złamiemy, jedni i drudzy na pewno się pokapują, że interweniowaliśmy, a wtedy tym bardziej się nami zainteresują. Nie możemy dopuścić, żeby z powodu jakichś pobudek etycznych nasza akcja przyniosła jeszcze gorszy efekt, niż gdybyśmy jej w ogóle nie przeprowadzali... – przyznał, wyraźnie już nie tak pewny siebie jak na początku.

– Jak chcesz... Ale to twoja decyzja – odpowiedziała mu Lili posępnym głosem.

– Podpinaj te kable i nie praw mi tutaj morałów! – odwarknął ostro Abakiewicz, rozdrażniony tak wymowną odpowiedzią.

Lili otworzyła posłusznie maskę swojego range rovera, natomiast Abakiewicz ponownie nasunął gogle na oczy i po raz wtóry zwrócił się do przesłuchiwanego Rosjanina:

– Skoro nie przekonują cię nasze zachodnie maniery, to przejdziemy do waszych dzikich, sowieckich zwyczajów.

– Chcesz mnie usmażyć? Zabić? No to śmiało, próbuj, ty mały zasrany *Przeku!* – roześmiał się cicho mężczyzna, plując obficie krwią z głęboko porozcinanych ust.

– O nie... Nie dam ci umrzeć – zanegował jakby z szaleńczym zadowoleniem dowódca grupy krakowskiej. – Trudno... Jak nie zaśpiewasz dziś, to zaśpiewasz innym razem... Tak jak już ci obiecałem, będziesz miał na to cały rok, ale póki co... – Nie kończąc zdania, wyciągnął z auta dwa długie metalowe szpikulce.

– Miko! – nagle zwrócił się z obłądną miną do Antka, który właśnie był w trakcie sprawdzania swojego wyposażenia.

– Słucham, panie kapitanie. – Chłopak natychmiast przerwał swoje zajęcie.

– Zatkaj mu usta kneblem, a następnie mocno przytrzymaj mu głowę i tors, żeby się nie wiercił – rozkazał.

Antek nie był zbyt zadowolony z faktu, że wykonując ten rozkaz, upaprze się krwią przesłuchiwanego, jednak nie zamierzał się już więcej sprzeczać z i tak już wyjątkowo rozsierzdzonym dowódcą. Zakneblował więc usta przesłuchiwanemu i złapał z całej siły rękoma za jego głowę, ale w tak umiejętny sposób, aby utrzymać jak najmniejszy kontakt z jego spoconym i zakrwawionym ciałem.

W niemal tym samym momencie, bez żadnego ostrzeżenia, Abakiewicz, robiąc solidny zamach, z całych sił wbił pierwszy szpikulec w nagie udo delikwenta. Mężczyzna zawył z bólu i spiął mięśnie z taką siłą, że Antek ledwo utrzymał jego głowę w bezruchu – uderzenie Abakiewicza było naprawdę potężne i bolesne.

Wygląda na to, że kość udowa rozszczepiła się na pół – pomyślał Antek, z niesmakiem zerkając na nogę nieszczęśnika.

– No! To teraz mam nadzieję, że czujesz się w końcu odpowiednio obsłużony... – wycedził oficer, wpatrując się prosto w oczy przesłuchiwanego Siłownika. – Ale żebyś nie pomyślał, że jesteśmy gołosłowni... – dodał drwiąco i ponownie wziął szeroki zamach, po którym z podobną siłą wbił więźniowi drugą szpilę. – Miko! Ustaw mu prosto głowę, do cholery, żebym mógł mu spojrzeć w oczy! – rozkazał, widząc, że przesłuchiwany łącznik wyrywa się z bólu na wszystkie możliwe strony.

– Tak jest! – odpowiedział Antek i próbując ustawić do pionu drgającą z bólu głowę Rosjanina, wyczuł nagle, że za jego uchem, tuż pod zlepionymi od krwi włosami, znajduje się jakaś dziwna, niewielka blizna.

Zaciekawiony tym spostrzeżeniem wykorzystał moment, gdy Abakiewicz sprawdzał podane mu przez Lili przewody, i raz jeszcze palcami dokładnie przebadał owo zagadkowe znamię.

Hm... Gdzieś to już widziałem... – zamyślił się na chwilę.

Co prawda nie potrafił czytać Braillem, ale wyraźnie czuł, że blizna przypominała równy, geometryczny półksiężyc.



– Co tak zastygłeś przy nim, Miko?! Ty też chcesz, żeby cię trochę podładować? – warknął Abakiewicz, podchodząc z błyszczącymi klemami w rękach. – Ustaw mu głowę tak, żeby patrzył na mnie, i odsuń się! – dodał złowieszczo.

– Skończ się przebierać i ogarnij się szybciej – natychmiast wtrąciła Lili, bojąc się, że Antek na nowo rozpocznie utarczkę słowną z kapitanem.

– Tak jest – odpowiedział sucho chłopak, nie mając wcale najmniejszego zamiaru odpowiadać dojeżdżającemu go dowódcy.

Zabrał się więc za dalsze przysposabianie do ewentualnego szturmu, ale jednocześnie cały czas próbował przypomnieć sobie sytuację, w której spotkał się z podobnym znamieniem na szyi.

Tymczasem Abakiewicz, nie zwlekając wiele, podpiął iskrzące klemy do długich, błyszczących szpikulców, a schwytyany przez nich agent, rozciągnął się w agonii na całej długości metalowego krzeselka, do którego był przytwierdzony, po czym zamarł jakby w jednej pozycji, podrzucany w górę i w dół przez gwałtowne, nieustanne drgawki. Po ośmiu sekundach trwania tej czynności dowódca grupy krakowskiej w końcu oderwał klemy.

– No więc, jak będzie, uparty kacapku?! Dalej masz ochotę na żarty? – zwrócił się z dzikim uśmiechem do Siłownika. – Przestrzegam, że możemy tu spędzić sporo czasu. Mamy też pełny bak, więc w razie rozładowania baterii nie będzie problemów z powrotem do domu – dodał, kolejny raz wyciągając przesłuchiwanemu knebel z ust.

Jak się jednak okazało, ku przeraźliwemu zdziwieniu Abakiewicza, mężczyzna, zamiast błagać o litość, roześmiał się jeszcze bardziej furiacko niż przedtem, jakby prąd, którym tak sowicie go potraktowano, dostarczył mu więcej energii do walki.

– Jesteście w dupie... Jesteście w totalnej dupie... Pomimo tych waszych gogli na mordach widzę to w waszych oczach! – oznajmił z diabelskim szyderstwem. – Możecie mnie tutaj usmażyć, ale i tak nic ze mnie nie wyciągniecie... Job wasza mać, Lachy! – dodał, spuszczaając głowę z wyczerpania.

Abakiewicz, nie dowierając w to, co właśnie widzi, i nie bacząc na konsekwencje swojego działania, w totalnej wściekłości oraz bezradności ponownie podpiął klemy, a krzyk z niezakneblowanych ust Siłownika poniósł się daleko po lesie.

Jednak mimo tego – delikatnie mówiąc – nierozważnego zachowania domorosłego dowódcy, ani Antek, ani nawet Lili nie zamierzali wchodzić mu teraz w drogę, stąd też agonía przesłuchiwanego trwała jeszcze dłużej.

Nagle wśród potwornych wrzasków nieszczęśnika Antkowi zaświtało jedno małe wspomnienie, po czym niespodziewanie cała masa związanych z tą myślą innych wspomnień rozlała się po jego głowie jak lawina. Po raz kolejny więc, nie zważając, jak to się dla niego skończy, głośno zawołał w stronę Abakiewicza, który właśnie po raz trzeci zamierzał podpiąć do prądu cuchnące już spalenizną uda Rosjanina.

– Przestań! Zabijesz go!

– Że co?! – Młody dowódca natychmiast odwrócił się w stronę Antka, robiąc przy tym minę, jakby nagle sufit zwałił mu się na głowę. – Coś ty powiedział? – dodał z wściekłością.

– Zabijesz go i nic nam już nigdy nie powie! – powtórzył stanowczo chłopak, na co Abakiewicz otworzył usta w niedowierzaniu.

– Lili, odepnij z auta te pieprzone kable! – Antek zdecydował się również zwrócić do świadkowej swojej ceremonii zaprzysiężenia, licząc na to, że tym razem ujmie się za nim.

Dziewczyna jednak, szczerze zaskoczona tak śmiałą reakcją, spoglądała to na niego, to na Abakiewicza, i ostatecznie nie zdecydowała się na jakikolwiek ruch.

– Miałeś już moje ostrzeżenie, Miko! A teraz wypierdalaj stąd! I to już! Możesz wracać nawet na nogach! – wybuchł dowódca, rzucając przewody na ziemię, po czym gwałtownie ruszył w jego stronę.

– Powiedziałem tylko, że go zabijesz, a ja wiem, jak go przesłuchać, żeby nam wszystko wyśpiewał! – wypalił pośpiesznie, podnosząc ręce w geście pojednania

i dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru w żaden sposób konfrontować się ze swoim przełożonym.

– Powiedziałem ci, wypierdalaj z mojej grupy! Masz dziesięć sekund na zabranie swoich rzeczy! – krzyczał Abakiewicz, w ogarniającym go amoku nie słuchając nawet, co Antek chce mu przekazać.

– Posłuchaj mnie... – powtarzał spokojnie chłopak, nadal trzymając ręce w górze.

– Zejdź mi z oczu, fagasio, bo w przeciwnym razie... – cedził przez zęby młody kapitan, stając niebezpiecznie blisko Antka, ale ten, nadal wyjątkowo opanowany, począł tłumaczyć na nowo.

– Posłuchaj mnie! Tkwię w tym samym gównie po uszy co ty i również nie jest mi na rękę niepowodzenie tej akcji... Sam przed chwilą powiedziałeś, że spotkanie z Holdą może odbyć się lada moment, tak? – zapytał, nie oczekując jednak od Abakiewicza żadnej odpowiedzi. – Tymczasem my nadal nic o tym sukinsynu nie wiemy. I choćbyś spalił go na węgiel, on nie piśnie ani słowa! Powiedzmy sobie prawdę w oczy: nie masz teraz innego wyboru, jak tylko mnie posłuchać. Schowaj dumę do kieszeni i daj sobie pomóc... – zaproponował, a jego ton przypominał teraz wykład pedagoga, który prowadzi zajęcia z wyjątkowo trudną młodzieżą.

– I co takiego niby zrobisz, Miko? – warknął podejrzliwie, ale najwyraźniej zdał sobie sprawę z tego, że Antek ma rację. Nie miał już innego wyboru.

– Gwarantuję ci, że wycisnę z niego wszystko, tylko daj mi piętnaście minut i jeden z naszych samochodów! – wyjaśnił tajemniczo.

– Chyba całkiem popieprzyło ci się w głowie, Miko! Myślisz, że dam ci stąd uciec w takim momencie i pojechać nie wiadomo gdzie i do nie wiadomo kogo?! – zapytał jakby lekko rozbawiony tym niezrozumiałym żądaniem.

– Daj mu to cholerne auto i niech jedzie! – wtrąciła się niespodziewanie Lili.

– Aaa! Czyli ty też dałaś się mu już omamić... – zapytał, odwracając się gwałtownie w stronę swojej partnerki.

– Przestań! Nie mamy innego wyjścia! – odparła mu ostro Lili.

– A jaką mi dajesz gwarancję, że nie pojedzie poinformować swoich ruskich kolegów o tym, gdzie właśnie się znajdujemy? Czy to się czasem nie składa w jedną całość? – zapytał sam siebie. – Przyszedł do nas z niewiadomą przeszłością i nie wiadomo skąd... A teraz, w kulminacyjnym momencie akcji, nagle postanawia zniknąć... Natomiast ty chcesz mu to jeszcze ułatwić! Chociaż w sumie chyba raz już mu to ułatwiłaś, co nie? – skwitował oskarżycielsko.

– Maciek, przestań! Niczego mu nie ułatwiałam! Nie doszukuj się na siłę jakichś urojonych spisków, tylko skup się lepiej na tym, jak wybrnąć z tej beznadziejnej sytuacji! Nie widzisz, że ten kacap ma rację? Jesteśmy w totalnej dupie! Dlatego jeśli Miko ma jeszcze jakikolwiek pomysł, to dajmy mu szansę! – przekonywała.

– Paprocki twierdzi, że to czerwony kret! – krzyknął oficer, próbując bronić swoich podejrzeń autorytetem nienawistnego pułkownika.

– Przypomnij sobie dobrze, Maciek, czy ty zawsze robiłeś to, co kazał ci Paprocki... – naciskała dziewczyna, a słowa zabrzmiały jak groźba. – Nie! – odpowiedziała za niego. – Więc nie pieprz mi teraz o jego farmazonach, tylko zacznij myśleć samodzielnie! – dodała z niecierpliwością.

– Czas ucieka... – wtrącił cicho Antek, czując już, że Abakiewicz dał się jednak przekonać.

– Dobrze... Niech tak będzie... Ale jeśli Miko okaże się zdrajcą i pograży nas całkowicie, ja za to nie odpowiem – zagroził.

– Wezmę to na siebie... – odparła zimnym głosem Lili. – Tylko daj mu to pieprzone auto! – powtórzyła groźnie.

– Bierz! – Abakiewicz rzucił w Antka brelokiem z kluczykami. – Ale jeśli nie pojawisz się za piętnaście minut, przyrzekam, uruchomię najwyższy stopień alarmowy, stosowany dla zdrajców w organizacji. A wtedy szukać cię będzie całe Polonorum. W kilka godzin, bez zbędnych ceregieli Chorsi wytropią cię i zabiją! I nie pomogą ci już ckliwe opowieści o wspaniałym tatusiu – zagroził, po czym wziął głęboki oddech i odwrócił się do wszystkich tyłem.

Po chwili Antek pędził już z zawrotną prędkością drogą prowadzącą wprost do sztyrnorckiej osady, starając się jednocześnie wyczyścić splamione krwią ręce. Przez głowę przewijały mu się teraz wspomnienia, które próbował poukładać sobie w logiczną całość.

– Dokładnie to samo znamię za uchem miał ten koleś, z którym walczyłem w nielegalnych zapasach w Al-Hudajda – powiedział do siebie i jeszcze intensywniej zagłębił się w odległe wspomnienia. – Tak... Bez wątpienia to musi być to – zamruczał pod nosem i pokiwał z zadowoleniem głową.

Po około trzech minutach zatrzymał się z piskiem opon przed pierwszą lepszą tawerną i nie bacząc na przyglądających mu się z zaciekawieniem turystów, wbiegł pędem do środka. Następnie podszedł do najbliższego stolika, przy którym raczyły się drinkami cztery osamotnione damy w wieku około trzydziestu lat i zagadnął do nich z kokieteryjną uprzejmością:

– Dobry wieczór paniom...

– Dobry wieczór – odpowiedziały zgodnie chórem.

– Wybaczą panie, ale pozwolę zabrać sobie od was jedną małą rzecz – powiedział nonszalancko, po czym przysiadając się do nich, dyskretnym, niemal niezauważalnym ruchem ręki zwinął coś ze stołu.

Dziewczyny najwyraźniej wcale tego nie spostrzegły, robiąc jedynie szczerze zaciekawione miny, a jedna z nich – najśmielsza i najbardziej wstawiona – zapytała kuszącym głosem:

– Ale co my takiego cennego możemy mieć, żeby chciał to skraść taki nieznajomy przystojniak jak ty?

– Dziękuję, ale właśnie już zdobyłem to, na czym mi najbardziej zależało – odparł wymijająco Antek, celowo spoglądając w rozmarzone oczy dziewczyny.

– To znaczy? – zapytała całkowicie zdezorientowana kobieta, a reszta dziewczyn zachichotała cicho.

– Zdobyłem pani uwagę – rzucił pociągającym tonem, wstając od stolika i kłaniając się nisko. – A teraz panie wybaczą, ale muszę już iść, nie będę się

paniom naprzykrzał – dodał z szerokim uśmiechem.

– Ależ ty się nam wcale nie naprzykrzasz! Skądże znowu! Może wypijesz z nami małego drinka albo czystą? – zaproponowała druga, błyskawicznie podsuwając Antkowi butelkę wódki, która chłodząc się w coolerze, zapewne czekała na powrót swoich prawdziwych właścicieli.

– Daj spokój, Anka! Nasi chłopcy zaraz wrócą z papierosa! – zganiła ją natychmiast trzecia, najbardziej rozsądna z dziewczyn, na której zauroczenie Antek najwyraźniej potrzebowałby nieco więcej czasu.

– Aaa... Czyli panie nie są same... – odpowiedział jej, odgrywając minę szczerze zawiedzionego Don Juana.

– No niestety nie – przytaknęła dziewczyna, przesuwając wiaderko z lodem i wódką z powrotem do siebie. – Ja też chętnie bym się z tobą napiła, ale w tej sytuacji lepiej się stąd zabieraj, bo szkoda mi twojej pięknej buźki... – dodała z przekąsem.

– No jeśli pani tak mówi, to może rzeczywiście szkoda... – odpowiedział Antek ze szczerym rozbawieniem. – Może innym razem – dodał, po czym mrugnął znacząco okiem i pośpiesznie ruszył w stronę wyjścia.

Gdy tylko dotarł do drzwi, minął się w nich z grupką cuchnących tytoniem i gorzałą osiłków, którzy żywo coś komentując, zmierzali właśnie w stronę stolika, przy którym Antek dopiero co adorował samotnie upijające się dziewczyny. Mężczyźni spojrzeli na niego podejrzliwie, jednak bez żadnych zaczepek pocłapali w stronę swoich dam, kołysząc na prawo i lewo szerokimi barkami.

No... W ostatniej chwili... Trudno byłoby im wytłumaczyć, że nie miałem złych zamiarów... – pomyślał, śmiejąc się pod nosem, po czym wskoczył pośpiesznie do samochodu.

– Gdzie byłeś? – zapytał szczerze zaciekawiony Abakiewicz, próbując zrozumieć cokolwiek z tej tajemniczej nieobecności, która rzeczywiście zajęła Antkowi jedynie piętnaście minut.

Lili również spoglądała na niego z nieukrywanym zdziwieniem i zarazem nadzieją, że jakimś cudem uda mu się wyciągnąć ich z tej beznadziejnej sytuacji. Antek jednak nie odezwał się do nich ani słowem, lecz natychmiast podszedł do śmiertelnie wymęczonego Rosjanina, zwracając się do niego spokojnym, choć stanowczym tonem.

– Nie chcesz mówić i nie chcesz się uratować, chociaż dajemy ci ku temu szansę... Okej, twój wybór. Jednak na twoje nieszczęście wiem, dlaczego jesteś gotów dać się tutaj wykończyć... I nie będę cię od tego odwozić. Zrobimy to jednak po mojemu – oznajmił enigmatycznie, wyciągając nieszczęśnikowi knebel z ust, na co Abakiewicz nadał się jak ropucha, spoglądając z wyrzutem na Lili, która mimo wszystko starała się zachować kamienną twarz.

– Możesz mnie zabić, polski psie, na nic innego nie czekam! – odparł nadal niczym niewzruszony Siłownik.

– Dobrze, ale tak jak wspomniałem, zrobimy to po mojemu... I gwarantuję ci, że zanim oddam ci tę przysługę, wyśpiewasz wszystko baranim głosem! – niespodziewanie ryknął na koniec Antek.

– I tak ci nic nie powiem, obsrany laszku – powtarzał jak mantrę, przepelniony niespotykaną zaciętością łącznik.

– Taki jesteś pewien? To powąchaj to... – Antek nachylił się nad pokiereszowanym mężczyzną i przyłożył mu palec do nosa.

Natychmiast po tym zabiegu agent Siłowników zrobił minę, jak gdyby miał arachnofobię i ktoś przyłożył mu ogromnego pająka do twarzy. Abakiewicz i Lili, choć także dostrzegli reakcję, kompletnie nie rozumieli, co takiego się wydarzyło, gdyż Antek celowo zasłonił przesłuchiwanego swoim ciałem.

– Już wiesz, co to jest, prawda? – wyszeptał Rosjaninowi na ucho i z dziką satysfakcją malującą się na twarzy wyciągnął swój pistolet z kabury. – Wyobraź sobie, że jadąc tu, dokładnie nasmarowałem tym specyfikiem zawartość mojego magazynku – mówił na tyle cicho, aby słyszał go jedynie przesłuchiwany i teatralnie przystawił mu lufę do serca.

– Jebany polski brudas! – wysapał mężczyzna z wściekłością i zarazem dzieciennym przerażeniem w oczach.

– Mów, jak się nazywasz! – krzyknął Antek, oficjalnie już rozpoczynając swoje przesłuchanie.

– Nic... ci... nie... powiem – wycedził mężczyzna, ale już wyraźnie nie tak pewny siebie jak poprzednio.

– Nie będę się z tobą bawił w gry psychologiczne... Nie mam tyle czasu, co moi dowódcy! Ta akcja to dla mnie być albo nie być w mojej firmie! – wyznał, odgrywając wściekłość najlepiej, jak tylko potrafił. – Dlatego jeśli teraz nic nie powiesz, zastrzelę cię jak psa! I zrobię to, wpakowując ci cały magazynek w serce. Następnie naładuję go jeszcze raz i oddam po jednym strzale w łeb, a także kolejno w każdą z kończyn! Wiesz, co to dla ciebie oznacza? – dodał, jeszcze mocniej przyciskając lufę do piersi łącznika.

– Nie! – krzyknął nagle mężczyzna. – Nie! Proszę! Nie! – wybełkotał pośpiesznie z niezrozumiałym dla Lili i Abakiewicza przerażeniem.

– Mów, jak się naprawdę nazywasz! Liczę do trzech! Raz! Dwa! – wrzasnął Antek.

– Rusłan! Nazywam się Rusłan – wypalił w końcu łącznik, widząc, że palec Antka, spoczywający na spuście, zadrgał niebezpiecznie.

– Głośniej! Tak, żeby wszyscy słyszeli! – rozkazał.

– Przecież mówię! Nazywam się Rusłan! – Mężczyzna niespodziewanie rozplakał się i zawył w panicznym lęku jak zmalretowany pies, który daremnie błaga swojego oprawcę o odrobinę litości.

– Doskonale... – skwitował Antek. – I tak masz odpowiadać na moje pytania – zagroził.

– Tak! Wszystko powiem! Tylko nie zabijaj mnie z tej broni, proszę! – Hardy Rosjanin rozplakał się jeszcze rzewniej ku coraz większemu zdziwieniu obojga dowódców.



– Ale jak zobaczę, że się zbyt długo namyślasz albo zaczynasz coś kombinować, to...

– Nic nie kombinuję! Powiem wszystko! – zarzekął się przerażony agent. – Tylko daj mi słowo, że nikt mnie z tego gnata nie zabije, gdy skończycie przesłuchanie! – błagał.

– Mam ci dać słowo? – Szczerze rozbawiony Antek się roześmiał.

– Tak! Daj mi słowo! Daj mi oficerskie słowo! – powtórzył z nadzieją w głosie. – Wy, Lachy, macie takie zasady! Musicie się tego trzymać!

– No popatrzcie tylko, drodzy oficerowie, jaki znawca rycerskiego *savoir-vivre*'u się znalazł... – zadrwił chłopak, spoglądając na totalnie zszokowanych dowódców.

– No to masz problem, kolego, bo ja nie jestem oficerem... – Chłopak wzruszył ramionami. – Takie słowo mogą ci dać tylko moi przełożeni – dodał, a słysząc alternatywną propozycję, Siłownik spojrzał błagalnie w stronę dwójki oniemiałych oficerów. – To jak? Dajecie mu to słowo? – ponaglił Antek, chcąc jak najszybciej kontynuować przesłuchanie.

– A więc to tak! To taka ta wasza sowiecka logika... – obruszył się na to Abakiewicz, zwracając się do przesłuchiwanego. – Ty, Polaku, daj słowo honoru, a my ci kulkę w potylicę! Znam ja już te wasze zapewnienia! – dodał równie mocno rozwścieczony jak wcześniej.

Trudno było jednak określić, co tak na prawdę było źródłem tej złości – czy wymyślne żądania Rosjanina, czy może fakt, iż Antkowi błyskawicznie udało się to, czego on nie osiągnął od samego początku przesłuchania.

– Dajecie ten parol czy nie? – powtórzył chłopak z wyrzutem.

– Mam kłaść honor na stole, przy którym układasz się z jakimś kacapskim bydłem? – nie odpuszczał Abakiewicz.

– Ja daję moje słowo – wtrąciła nagle Lili, również mocno zniecierpliwiona przeciąganiem się tej sytuacji.

– Dobrze, w takim razie kontynuujemy. – Antek klasnął w ręce z zadowoleniem i ponownie nachylił się nad mężczyzną.

Rosjanin jednak, chcąc się upewnić i lepiej zabezpieczyć, zaczął ponownie skomleć:

– Ale pamiętaj, daliście słowo honoru! Wy, Lachy, nie możecie złamać słowa! – nalegał żałośnie.

– I tak będzie! – warknął na przesłuchiwanego z rozdrażnieniem.

– Ale on nie przyrzekł! Niech on też to powie! Niech też przysięgnie! – Rosjanin raz jeszcze błagalnym wzrokiem spojrzał na kipiącego ze złości Abakiewicza.

– Abakiewicz! Daj mu, do jasnej cholery, to słowo honoru i zaczniemy wreszcie to przesłuchanie! – nie wytrzymał w końcu Antek i podniósł głos na swojego dowódcę.

– Maciek! Słyszysz?! – zaaprobowwała równie rozjątrzona Lili.

– Dobrze... Niech wam będzie! Masz słowo polskiego oficera, że nie zastrzelimy cię z jego broni, sukinsynu – wydukał bezbarwnie, zaciskając zęby.

– Masz to, czego chciałeś! A więc wracamy do pytań! – oznajmił ostro Antek. – Ale jeśli choć raz się zająkniesz, wtedy to ja nacisnę na spust! Rozumiesz to? – zagroził, a mężczyzna przytaknął energicznie głową.

– Czyli nazywasz się Rusłan?

– Tak jest.

– To imię całkowicie wyjaśnia moje przypuszczenia... – Pokiwał głową, dając upust swojej satysfakcji. – No więc powiedz mi, Rusłan, dla której komórki Siłowników pracujesz? – dodał, baczniej się mu przyglądając.

– Dla komórki w Groznym.

– To twoja rodzima komórka?

– Tak, urodziłem się w tym mieście – przyznał bez wahania.

– Czyli wszystko jasne. Dla większości twoich czeczeńskich rodaków jesteś zdrajcą... – zauważył Antek, rozbawiony tym wymuszonym wyznaniem.

– Wszystko zależy od punktu widzenia...

– Taa... – prychnął chłopak. – A powiedz mi, gdzie miałeś się udać zaraz po zakończonej misji?

– Do moich przełożonych z wyższego szczebla – odparł dwuznacznie.

– Czy ja mówię niewyraźnie?! – ryknął niespodziewanie na wycieńczonego Czeczena.

– Krasnogorsk – poprawił się natychmiast łącznik, widząc, że lufa pistoletu mocniej przylgnęła do jego piersi.

– Krasnogorsk? – zdumiał się aktorsko Antek, jakby pierwszy raz o tym słyszał.

– Tak! Krasnogorsk pod Moskwą – potwierdził szczerze Siłownik.

– Chyba nadal się nie rozumiemy... – Chłopak westchnął, ponownie poprawiając sobie dłoń na pistolecie.

– Mówię prawdę! Miejscem, w którym mam zdać raport, jest Krasnogorsk – zapewnił Czeczen, widząc, że mina Antka zmienia się w coraz groźniejszą.

– Serio?! – odparł zajadle. – Masz mnie za idiotę? Myślisz, że nie wiem, gdzie leży Krasnogorsk?

– Nie! Skądże znowu! – zapierał się z powracającym dziecięcym przerażeniem łącznik.

– To mów dokładnie, gdzie masz zdać raport, do cholery! I nie próbuj ze mną grać na czas! – ryknął ponownie Antek, tak iż nawet Lili – pierwszy raz widząc go w takiej roli – wzdrygnęła się lekko.

– Krasnogorsk! Ulica Karbysheva! – wypalił pośpiesznie Czeczen.

– Numer!

– Numer nie ma tu znaczenia.

– Jak to nie ma znaczenia? – Przesłuchujący chłopak ściągnął gwałtownie gogle z twarzy i spojrzał przerażonemu intruzowi prosto w oczy. – Posłuchaj, Ruslan, nie mamy już wiele czasu, dlatego przestrzegam cię, jeszcze jedna pokrętna odpowiedź i pierwsza ostrzegawcza kulka trafi w twoje kolano. Chyba nie chcesz sobie

amputować nogi?! – dodał, przykładając pistolet do pokiereszowanego uda mężczyzny, a ten pokręcił tylko głową, dając do zrozumienia, że nie ma takiego zamiaru.

– Komórka znajduje się w podziemiach siedziby Atom Bank of Siewiersk i obejmuje obszar kilku znajdujących się tam budynków – wyznał w końcu.

– Dobrze, tyle mi na razie wystarczy. Wrócimy jeszcze do tego tematu... A teraz powiedz mi, jakie jest ustalone hasło weryfikujące waszą tożsamość przed wymianą informacji z Holdą.

– Moje hasło brzmi: tysiąc sześćset dwanaście, a ich odpowiedź to: tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt pięć.

– Doprawdy wzruszające... – Antek się roześmiał. – Wy naprawdę bawicie się jeszcze w taką symbolikę? – dodał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Nie ja ustalałem te hasła – przyznał z powagą Rusłan.

– Domyśliłem się... Czeczeńcy tacy jak ty są tylko narzędziem w ich rękach... – Antek poklepał go po policzku jak poczciwego, posłusznego chłopinę. – Ależ oni nas muszą nienawidzić, skoro bolą ich jeszcze tak zamierzchłe sprawy... – dodał z zamyśleniem, po czym prędko wrócił do rzeczy: – O której jest spotkanie z Holdą?

– O północy – odpowiedział bez namysłu łącznik.

Antek zerknął na smartplaster, a wraz z nim zrobili to również Abakiewicz, Lili oraz Buka, który wychylając się już od kilku minut zza drugiego samochodu, obserwował z ciekawością, jak Miko rozprawia się ze schwytanym szpiegiem.

– Jest za pięć jedenasta! Mamy tylko godzinę! – skomentowała Lili.

– Gdzie ma się odbyć to spotkanie? – dopytał surowym głosem chłopak.

– W piramidzie... – odparł niepewnie Rusłan.

– Gdzie?! – niemal jednocześnie spytała cała trójka.

– No w piramidzie... – powtórzył, patrząc błagalnym wzrokiem na Antka, aby ten z powodu tej nietypowej odpowiedzi nie podjął jakiejś pochopnej decyzji co do jego nogi.

– W jakiej znowu, kurwa, piramidzie?! Nie igraj z nami, bo przyrzekam, że po raz pierwszy w życiu złamię oficerskie słowo! – wtrącił się Abakiewicz, chcąc ponownie ruszyć w stronę przesłuchiwanego, ale Lili powstrzymała go od tego, łapiąc go energicznie za rękę.

– Nie igram z wami, przyrzekam! – zarzekał się Czeczen, spoglądając na Antka w taki sposób, jakby paradoksalnie to on miał być dla niego ostatnią deską ratunku przed nieprzewidywalnym oficerem. – Mówię prawdę! Holda ma tutaj jakąś piramidę, pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Rapie – dodał, robiąc przy tym szczerze przerażoną minę.

– Jeśli chcesz nas wykiwać i celowo wysłać w jakieś maliny, to... – nie odpuszczał Abakiewicz.

– Daj mi dokończyć przesłuchanie! – przerwał mu Antek. – Potem możesz sobie dowodzić, ile tylko będziesz chciał – oznajmił stanowczo, po czym nie zwracając uwagi na wściekłą minę swojego dowódcy, znów odezwał się do jeńca: – Dlaczego akurat to miejsce i czego oni tam w ogóle szukają?

– Póki co niczego tam nie szukają... To my mamy naprowadzić ich na ten trop... Ta piramida znajduje się głęboko w lesie należącym niegdyś do potężnego, pruskiego majątku ziemskiego, którego właścicielem był członek starej germańskiej i wolnomularskiej organizacji o nazwie Pod Trzema Koronami, po której schedę przejęła Holda. Według dokumentu, na który niedawno natrafiliśmy podczas porządkowania archiwów, baron von Fahrenheit natrafił na ślad jakiejś nieznanego mu dotychczas polskiej niejawnej organizacji, która według niego od lat bruździła pod nosem zaborców, niwecząc ich wspólne plany. Nawet po trzecim rozbiorze, gdy państwo Polaków zniknęło z mapy świata, organizacja ta nadal infiltrowała niemieckich, a także rosyjskich polityków i wojskowych. Wtedy to właśnie von Fahrenheit, który był także doradcą finansowym króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II, jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności zdemaskował dwóch waszych agentów umieszczonych na wysokich szczeblach wschodniopruskiej administracji. Parę dni po tym odkryciu baron jednak już nie żył...

– Co to za informacje, którymi macie naprowadzić ich na nasz trop? – naciskał Antek, wyraźnie zafascynowany tym, co opowiada potulny już niczym baranek Czeczen.

– To treść dokumentu, o którym wspomniałem. Znajduje się w nim wzmianka, iż parę dni przed śmiercią von Fahrenheit spisał obszerną notatkę na temat waszej organizacji, którą następnie ukrył gdzieś w piramidzie pełniącej rolę rodzinnego grobowca – wyjaśnił obszernie i bez ponagłań.

– Jakim cudem posiadaliście notatkę niemieckiego wolnomularza?

– Ktoś natrafił na nią w trakcie klasyfikowania starych, ściśle tajnych dokumentów należących niegdyś do carskiej administracji. Baron bowiem, nie będąc pewnym, czy może zaufać komuś ze swojego najbliższego otoczenia, skontaktował się z nami. W liście zamieścił również prośbę, aby carski wywiad zainteresował się ukrytą przez niego notatką, a następnie ostrzegł władze dwóch bratnich zaborców.

– I co? Ochrańca przekazała to ostrzeżenie? – dopytywał zaciekawiony Antek.

– Prawdopodobnie rewelacje te sprawiały wrażenie tak niewiarygodnych i wyssanych z palca, iż carska ochrańca całkowicie je zbagatelizowała...

– To już się nie dziwię, dlaczego tylu carów zginęło w zamachach... – skomentował chłopak, wyraźnie zadowolony z ilości otrzymanych informacji.

– Wystarczy już tego maglowania! – przerwał niespodziewanie Abakiewicz. – Wiemy już tyle, ile trzeba... Nie zostało nam wiele czasu, dlatego osobiście dokończę go przesłuchiwać w drodze do piramidy! – rozkazał, jakby odzyskując opanowanie i utraconą pewność siebie.

Antek przytaknął.

– W takim razie niech Fija i Legwan wracają natychmiast z obchodu i zbierajmy się stąd raz-dwa! Buka niech położy jakąś folię na tylne siedzenia i niech zapakuje tego kadyrowca do auta! – zawołał mobilizująco i zarazem zagalopowując się celowo w swoich kompetencjach, dał swoim dowódcom do

zrozumienia, że to dzięki niemu odzyskali względną kontrolę nad tą nieszczęsną akcją.

– Buka, słyszałeś? Pakuj tego sukinsyna do auta, w trymiga! – potwierdził niespodziewanie Abakiewicz, po chwili zwracając się jednak do Antka: – A ty, Miko, lepiej się nie zapominaj...

Chłopak skinął nieznacznie głową, z trudem powstrzymując się od okazania choćby grama słusznie należącej mu się satysfakcji.

– Hej, Miko, po co wróciłeś do Sztynortu? – zapytała Lili, dyskretnie podchodząc do pakującego się chłopaka, tak by nie dostrzegł tego Abakiewicz.

– A skąd wiesz, że tam byłem? – zapytał rozbawiony tym pytaniem.

– Nie zapominaj, że nadal mam twój smartplaster na namiętności – odpowiedziała musztrująco. – No więc mów: po co tam pojechałeś? – dodała już o wiele przyjaźniejszym tonem.

– Po nic nadzwyczajnego... – odparł, chowając resztę swoich cywilnych rzeczy do plecaka i podśmiechując się pod nosem z tak nieodpartej dociekliwości swojej przełożonej.

– Jak to nic nadzwyczajnego? Mów!

– Pojechałem tam tylko po ogórki i smalec...

– Po co?! – zapytała raz jeszcze, by upewnić się, czy aby na pewno się nie przesłyszała.

– No przecież mówię, że po ogórki i smalec – powtórzył. – Z tym że ogórki zjadłem po drodze – dodał z rozbawieniem, jednak Lili, nie dzieląc tego entuzjazmu, spojrzała na niego jak na totalnego głupka.

– Zrobiłeś za nas robotę, Miko, ale to nie znaczy, że musisz się teraz ze mnie nabijać... – skomentowała wyraźnie urażona tym zdawkowym potraktowaniem.

– Na litość boską, nie nabijam się z ciebie... Naprawdę przywiozłem ze sobą tylko smalec... – powtórzył, wrzucając plecak do auta i zamykając klapę bagażnika. – No sama pomyśl, połącz fakty... Przecież ten wasz rosyjski łącznik to stary kadyrowiec, prawda? – zapytał.

– Prawda – przytaknęła, główkując intensywnie.

– I nadal nie rozumiesz? – dodał z satysfakcją.

– No tak! Przecież to takie proste... – zorientowała się w końcu dziewczyna. – Czeczenia, komórka w Groznm, smalec – wyliczała, mówiąc sama do siebie i zarazem błyskawicznie łącząc wszystkie informacje.

– Wygląda na to, że Czerwone Siłowniki werbują w swoje szeregi także czeczeńskich renegatów wywodzących się z bezpośredniego otoczenia klanu Achmata i Ramzana Kadyrowów, którzy podczas drugiej wojny czeczeńskiej zdradzili swoich rodaków, stając po stronie Kremla – wyjaśnił dokładniej.

Tymczasem Abakiewicz podszedł nieco bliżej nich, udając, iż sprawdza coś na swoim smartplastrze. W rzeczywistości jednak przysłuchiwał się uważnie prowadzonej przez nich rozmowie.

– To pewnie jakaś transakcja wiązana – zauważyła Lili.

– Oczywiście, że tak – potwierdził Antek. – Tym bardziej nie powinno nikogo dziwić to, dlaczego zrównany z ziemią Grozny wygląda dziś jak drugi Dubaj – zażartował i otwierając tylne drzwi range rovera wskoczył na tylną kanapę.

– Ale jak wpadłeś na to, żeby pojechać po ten smalec? – W głosie Lili z każdym kolejnym słowem słyhać było coraz większy, niespotykany do tej pory podziw.

– A to już jest moja słodka tajemnica... – Roześmiał się. – Mogę ci jedynie powiedzieć, że miałem już raz okazję poznać podobnego typa podczas podziemnych, zakazanych walk zapaśniczych, w których brałem udział w Jemenie – dodał, nie próbując już nawet zdobywać się na jakąkolwiek skromność.

– Jakim cudem wywiało cię aż do Jemenu? – zapytała coraz bardziej zaciekawiona.

– Jeszcze jako dwudziestoletni dzieciak pracowałem w prywatnej kanadyjskiej agencji wywiadowczej zabezpieczającej transport morski. Innymi słowy ochranialiśmy statki wpływające do Kanału Sueskiego oraz rozpracowywaliśmy



i rozbijaliśmy pirackie bandy działające na terenie trójkąta somalijskiego. To były fajne czasy... – Westchnął z rozmarzoną miną. – Byłem młody, głody przygód i zarabiałem tam tyle forsy, że nie nadążałem jej wydawać. – Roześmiał się szelmowsko.

– To trzeba było z tego nie rezygnować – skomentowała dziewczyna.

– O nie... Wtedy nie byłbym z wami tutaj i co gorsza, nie przydałbym się wam w przesłuchaniu – odparł już z zupełną powagą, spoglądając w lekko speszone tym zaskakującym spojrzeniem oczy dziewczyny.

– No, Miko... Zdyscyplinowanym podkomendnym to ty może i nie jesteś, ale muszę przyznać, że zagranie z tym smalcem było genialne... Nigdy bym na to nie wpadła... – przyznała dziewczyna, zdobywając się na niewyraźny uśmiech.

– Mieliśmy w tym jednak dużo szczęścia. Gdyby to był zwykły szeregowy Siłownik o rosyjskiej narodowości, byłby nie do złamania. Prędzej by nam tutaj wykitował, niż coś z siebie wykrztusił... Bona wspominał mi kiedyś, że niektórzy ich agenci potrafią zachować milczenie nawet pod wpływem najmocniejszych środków odurzających.

– Rzeczywiście, sama się dziś przekonałam, że są nieludzko wyszkoleni... – przytaknęła.

– No ale skoro w ostatniej chwili domyśliłem się, że nasz przechwycony gagatek to czeczeński fundamentalny islamista, wiedziałem już, że pełny magazynek wysmarowany swojskim, wieprzowym smalcem w zupełności wystarczy, aby go złamać... – Roześmiał się, jeszcze mocniej wskazując na swoją przebiegłość.

– Racja... Można ich torturować, można grozić im śmiercią, ale nic sobie z tego nie robią... Jednak gdy zagroźisz, że nafaszerujesz ich wieprzowinką, z której powodu, będąc nieczystymi i zhańbionymi, nie posiadają obiecanego rajy, od razu śpiewają jak należy – skomentowała z rozbawieniem.

– Nie zapominaj o przyobiecanych siedemdziesięciu dwóch dziewicach, które czekają na nich w rajy w zamian za śmierć w walce z niewiernymi. Miałem dziś

nieodparte wrażenie, że to właśnie wizja utraty tej kuszącej perspektywy przeraziła naszego łącznika najbardziej – przypomniał Antek.

– No! To zdecydowanie zbyt duże poświęcenie jak dla faceta w zamian za trzymanie języka za zębami – skwitowała żartobliwie Lili i dostrzegając powracających z obchodu Legwana oraz Fiję, dodała: – Tylko nie obrośnij w piórka, Miko... I przebieraj się w końcu. Migiem!

Dziewczyna zatrzasnęła drzwi samochodu.

– Wszyscy do wozów! Za pół godziny mamy być w Rapie! – rozległ się po chwili gromki rozkaz milczącego do tej pory Abakiewicza.

– Tak jest, panie kapitanie! – odpowiedzieli zgodnie Fija i Legwan.

– Jedźcie pierwsi i miejcie oczy szeroko otwarte! My będziemy się trzymać dwa kilometry za wami, więc w razie jakichś przeszkód na drodze natychmiast nas informujcie. Widzimy się pod piramidą, kapral Miko wszystko wam wyjaśni w drodze – dodał, po czym dziarsko wskoczył do samochodu.

Gdy tylko prowadzony przez Legwana hybrydowy SUV ruszył z kopyta – targając przy tym intensywnie pachnącą, wilgotną leśną ściółkę – Antek raz jeszcze spojrzął w stronę Lili i ku swojemu zdziwieniu dostrzegł, że ta ponownie się do niego uśmiechnęła. Nie miał jednak co do tego stuprocentowej pewności, gdyż akurat nie założył gogli, więc równie dobrze mogło być to przywidzenie. Pewny był natomiast jednego: jeśli ta akcja jakimś cudem się uda, to Abakiewicz nie będzie już mógł przemilczeć w raporcie jego kluczowego wkładu w skuteczne wyciągnięcie informacji od przechwyconego agenta.

# Dowódca

Dziesięć minut przed północą – z dokładnością co do minuty – pierwszy zespół dotarł do lasu w miejscowości Rapa, a chwilę po nim na miejscu pojawił się także samochód dowódców. Po krótkiej odprawie dotyczącej drugiego etapu operacji „Masterpiece”, Antek i Lili wraz z Abakiewiczem zaszyli się w leśnej gęstwinie w odległości około stu metrów na południe od miejsca, gdzie powinna znajdować się wskazana przez Czeczeńca piramida.

Również Fija oraz Legwan ulokowali się w podobnej odległości od celu, tyle że od strony północnowschodniej. Buka został jakieś dwieście metrów dalej na południe, w miejscu, gdzie zostawiono samochody, i pilnując schwytanego szpiega, obserwował jednocześnie pobliski teren na radarze krótkiego zasięgu.

Poza tym Antek uznał wręcz za cud fakt, iż bez dłuższego zastanowienia się Abakiewicz zgodził się na propozycję Lili, aby to on razem z nią ubezpieczał go w trakcie spotkania z Holdą.

– Uwaga! Zakładam soczewki, sprawdźcie, czy macie podgląd – zwrócił się do Lili i Antka, którzy w czarnych bojowych kombinezonach i kominiarkach siedzieli teraz na potężnym, zbutwiałym pniu, dostrajając obraz w swoich goglach ISS.

– U mnie obraz idealny – oznajmiła Lili, zaraz po tym jak Abakiewicz nałożył sobie na gałki oczne przezroczyste soczewki z wystającym z nich, prawie niewidocznym, cieniutkim niczym pajęcza nić przewodem, który wetknął między rzęsy.

– Ja też mam okej – potwierdził Antek.

Były to soczewki typu Transparent View Camera trzeciej generacji, które ostatnimi czasy stawały się coraz popularniejsze w jednostkach specjalnych. Nieostrzegalne gołym okiem, mogły rejestrować obraz, jaki aktualnie docierał do oczu ich właściciela, jednocześnie gwarantując mu przy tym nieskazitelne widzenie. Co prawda były one zbyt cienkie, by mieć pamięć wewnętrzną i moc nagrywać, jednak umożliwiały transmisję na żywo widzianego przez ich użytkownika obrazu do kompatybilnych gogli ISS, które posiadali inni członkowie oddziału, a także centrum dowodzenia – oczywiście jeśli nie było ono zbyt daleko. Największym fenomenem tego sprzętu było jednak to, iż zasilany był on wyłącznie za pomocą ciepła, jakie wydobywało się z powiek użytkownika, a także jego gałek ocznych.

Abakiewicz zamrugał więc kilka razy, aby soczewki dobrze się ułożyły i z miną niewzruszonego kowboja ruszył w stronę, gdzie miało odbyć się umówione przekazanie informacji.

– Nie wtrącajcie się w rozmowę, jeżeli nie dam ku temu wyraźnego pozwolenia – rozkazał na odchodne i rozpinając elegancką, skórzaną kurtkę, schował pistolet za pazuchę.

– Zrozumiano – odpowiedzieli posłusznie Antek i Lili, a w oddziałującym na młoteczek i kowadełko smartplastrze naklejonym za lewym uchem chłopaka odezwały się także potwierdzające głosy sierżant Fii oraz porucznika Legwana.

– Uwaga! Wszyscy w gotowości! Ktoś się zbliża od północnego zachodu i idzie wycinką prowadzącą wprost do piramidy – rozbrzmiał w eterze ostrzegawczy komunikat Buki, który śledził na radarze wszystko, co działo się wkoło umówionego miejsca spotkania.

– Jest sam? – zapytał Abakiewicz.

– Tak, jest całkowicie sam... W promieniu czterystu metrów od współrzędnych, które podał nam Rusłan, nie ma nikogo oprócz was.

– Doskonale, wygląda na to, że Holda nie wie o przechwyconym kacapie... Mamy go więc jak na widelcu, idealnie... – skomentował, zadowolony z takich

okolicznościach dowódca.

– No to zaczynamy przedstawienie – dodała Lili.

– Tak jest, zaczynamy – potwierdził z entuzjazmem Abakiewicz, kierując się na północ.

Tymczasem skumulowane na niebie od kilku godzin deszczowe chmury były już tak czarne i gęste, iż las ogarniała teraz wręcz nieprzenikniona ciemność – gdyby nie gogle z noktowizorem, Antkowi trudno byłoby dojrzeć cokolwiek z odległości piętnastu metrów.

– Idealne warunki na małą strzelankę... Nie wiem jak ty, ale ja uwielbiam działać w ograniczonej widoczności. Taką aurę można bardzo dobrze wykorzystać na własną korzyść... – skomentował, odwracając wzrok w stronę Lili, która przykucnęła w takiej pozycji, jakby czekała na jakiś sygnał do startu.

– Mam nadzieję, że nie będzie ku temu okazji... Uważam, że przede wszystkim powinno się działać dyskretnie. To w końcu jedna z priorytetowych zasad naszej organizacji – odrzekła, patrząc uważnie w stronę, w którą udał się Abakiewicz.

– Co jeszcze powiedział wam ten kadyrowiec?

– Niewiele... Mieliśmy zaledwie dwadzieścia minut, żeby raz jeszcze zweryfikować to, co powiedział nam do tej pory, i upewnić się, czy to miejsce w ogóle jest wiarygodne... – wyznała.

– Niewiele, czyli co? – dociekał Antek.

– Powiedział, że na samym wstępie Maciek powinien zapytać tego gościa, czy cokolwiek wie o tym miejscu, a także o jego niegdysiejszych właścicielach. Dopiero gdy wysłannik Holdy odpowie na to pytanie, wtedy może wspomnieć, że prawdopodobnie jest tu ukryta jakaś informacja, która mogłaby pomóc Holdzie oraz Czerwonym Siłownikom zwalczyć wspólnego wroga – wyjaśniła.

– Coś jeszcze?

– Wspomniał o tym, że ustalono wcześniej, iż rozmowa ma się odbyć po niemiecku, ale dla bezpieczeństwa łączników żadna ze stron nie będzie wcześniej informować, kogo wyśle na spotkanie. Dodał również, że Maciek ma mu

zagwarantować, iż jest tu całkowicie sam i żeby zaraz po zakończeniu spotkania dla niepoznaki udał się na północ, w stronę granicy z obwodem kaliningradzkim. W sumie to trudno było z niego coś więcej wyciągnąć, gdyż cały czas panicznie powtarzał, aby nie zabijać go kulami z twojego magazynku, który nasmarowałeś smalcem...

– Widać, że wziął sobie pogrózkę do serca... Można będzie z niego jeszcze sporo wyciągnąć, używając tego argumentu... – Antek się roześmiał, jednak Lili nie podzieliła tego entuzjazmu i tylko sucho skomentowała:

– Tak, wiem, Miko, ale teraz już koniec gadania... Maciek jest już prawie na miejscu... Skup się!

Antek przełączył więc tryb gogli na obraz transmitowany z soczewek Abakiewicza i ujrzał, jak ten wychodzi z gęstego lasu na długą wąską wycinkę, na której końcu w ciemności majaczył jakiś foremny kształt przypominający potężny ostrosłup. Kiedy młody oficer podszedł bliżej, Antek dostrzegł również, iż zza budowli, która rzeczywiście okazała się wysoką co najmniej na szesnaście metrów piramidą, wychodzi mężczyzna w czarnym płaszczu, z parasolem w prawej ręce oraz w eleganckim kapeluszu na głowie. Co ciekawsze, twarz nieznanego okazała się w całości obszernie owinięta bandażem.

– Tysiąc sześćset dwanaście – rzucił szorstko w języku niemieckim Abakiewicz, podchodząc bliżej do tajemniczego wysłannika Holdy.

– Dobry wieczór... Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt pięć – odpowiedział mu zaskakująco spokojnie Niemiec.

Abakiewicz zamrugał kilka razy oczami, by przyjrzeć się uważniej twarzy łącznika i zarazem dostrzec w niej jakiś charakterystyczny szczegół, jednak na nic się to zdało, gdyż uniemożliwiały to pokrywające całą jej powierzchnię – prócz wąskiego paska wzdłuż oczu i ust – grube, medyczne bandaże.

– Dobry wieczór – odpowiedział nieznanemu po chwili zastanowienia, z nienagannym niemieckim akcentem. – Jak zwykle, gdy nasze interesy spotykają

się w jednym punkcie, nad Polaczkami zbierają się czarne chmury – zażartował wysłannik Holdy, po czym wskazał parasolem na czarne jak smoła niebo.

– Jest szansa, że i tym razem tak będzie... – potwierdził Abakiewicz.

– Jesteś sam? – zapytał Niemiec, zmieniając nagle ton na szorstki i podejrzliwy.

– Oczywiście, tak jak to było ustalone – potwierdził z niezachwianą pewnością.

– Doskonale, w takim razie przejdźmy do rzeczy... Co takiego chcecie nam przekazać i czego w zamian chcecie się dowiedzieć?

– Zaraz wszystko ci wyjaśnię... Ale zanim o tym, wytłumacz mi, dlaczego nie chcesz pokazać twarzy. O ile pamiętam, podczas ustalania zasad spotkania nie było mowy o kamuflowaniu się... – zapytał sprytnie Abakiewicz, próbując dać do zrozumienia, że to on dyktuje warunki.

– Cóż... Miałem mały wypadek przy pracy... Chyba nie myślisz, że mam to gównem na twarzy dla przyjemności... – odparł zimnym, wyjątkowo nieprzyjemnym tonem. – Więc albo zacznij mówić, w czym rzecz, albo nie marnuj mojego czasu, którego i tak nie mamy zbyt wiele. Poza tym za parę sekund lunie z nieba jak z cebra, a ja nie lubię sterczeć na deszczu... – Otworzył parasol, po którym niemal w tym samym momencie zaczęły stukać z wolna lodowate, wiosenne krople deszczu.

– Dobrze... W takim razie powiedz mi, co w ogóle wiecie o tym miejscu? – zapytał nieco zbity z tropu tak bezwzględna odpowiedzią zamaskowanego mężczyzny dowódca grupy krakowskiej.

– Wiemy tyle, ile nam potrzeba... – odparł lakonicznie. – Spodziewasz się, że dam ci jakieś informacje, zanim ty podasz mi swoje? Chyba nie na tym miało polegać to spotkanie...

– Wysłali cię tu po to, żeby robić nam łaskę, czy po to, żeby się czegoś dowiedzieć? – zapytał ostro Abakiewicz.

– To wam zależało na spotkaniu. Nie nam... Ale skoro już tu jestem, to mów, o co chodzi...

– Baron von Fahrenheit był waszym człowiekiem, prawda? – zapytał w końcu wprost lekko już zniecierpliwiony oficer.

– Może był, a może nie był... – ponownie enigmatycznie odpowiedział mu Niemiec.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła, a na domiar złego Abakiewicz nadal zachowywał dystans około dziesięciu metrów od swojego rozmówcy – tak jakby nie do końca mu ufał. Antek, z zapartym tchem obserwując transmisję z tego dziwnego spotkania, zauważył, że Niemiec również wyczuł podejrzaną zachowawczość u potencjalnego rosyjskiego wysłannika.

– Tak się składa, że od lat ktoś nam skutecznie bruździ pod nosem... Możliwe, że to ktoś z polskiego wywiadu. A my właśnie znaleźliśmy informacje o tym, kto to może być... – zaczął na nowo Abakiewicz. – Zaproponowaliśmy to spotkanie, gdyż informacje te pochodzą od waszego człowieka... Przedstawił się on jako baron von Fahrenheit – dodał pewniejszym tonem i ruszył z wolna w stronę Niemca.

– Daj spokój... Przecież obaj dobrze wiemy, że polski wywiad to mrzonka... Od dziesięcioleci skutecznie infiltrujemy go my, jak i wy. A z tego, co mi wiadomo, człowiek, o którym mówisz, zmarł w dziewiętnastym wieku i ja osobiście nie widzę z nim żadnego związku... – odrzekł zdawkowo.

– A jednak, laszki od lat coś knują i von Fahrenheit, który rzekomo nie miał z wami nic wspólnego, coś na ten temat wiedział... I najwyraźniej było to coś ważnego, skoro tak bardzo zależało mu, aby przyjść z tym do nas.

– Polacy nie zrobią niczego bez naszej wiedzy – szorstko zripostował Niemiec.

– Jeśli tak, to jak wytłumaczysz mi te wszystkie ostatnie dziwne wypadki, które chodzą po kontrolowanych i opłacanych przez was politykach. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię...

– Oczywiście, że wiem... Ale chociażby tak jak w przypadku dystrybucji chińskiej heroiny, kontrolowane przez nas Polaczki to często również wasze Polaczki... I niewykluczone, że te porachunki to wasza robota...



– W takim razie wiedz, że to nie my za tym stoimy – odpowiedział Abakiewicz tonem zachęcającym do prowadzenia dalszej dyskusji.

– Jeśli to nie wy, i jeśli nie był to też polski wywiad, bo przecież byłoby nam o tym wiadomo, to w takim razie kto? – zapytał tym razem wyraźnie zaniepokojony Niemiec.

– No właśnie... Prawdopodobnie ktoś, kto działa całkowicie niezależnie od polskiego rządu, i nie mam tu na myśli żadnej grupy przestępczej.

– Po co on mu o tym mówi?! Przecież teraz będziemy musieli przejąć albo zabić tego Niemca – wypalił nagle oburzony Antek, wyłączając mikrofon i zwracając się tylko do Lili.

– Cicho, Miko! Maciek próbuje wzbudzić w nim więcej zaufania, podpuszcza go – odparła zbywająco.

– Mi to wygląda tak, jakby to ten Niemiec podpuszczał Abakiewicza. Póki co powiedział temu szwabowi o wiele więcej, niż sam zdołał od niego wyciągnąć... – zaprotestował ze szczerym zaniepokojeniem.

– Miko, cicho bądź, bo słucham! – syknęła dziewczyna, więc chłopak pokręcił tylko z niezadowoleniem głową i zamilkł.

– Chcesz powiedzieć, że w Polsce jest ktoś, kto działa niejawnie i ma na tyle mocne wpływy, aby próbować się z nami konfrontować? Że niby jakaś organizacja? Coś na wzór Holdy czy też tych waszych Siłowników? – zapytał z ledwo widocznym kpiącym uśmiechem na zabandażowanej twarzy.

– Tak uważamy – odpowiedział całkiem poważnie Abakiewicz, stojąc już niemal oko w oko z tajemniczym łącznikiem Holdy.

– Lili, ewidentnie ten Niemiec go podpuszcza... – powtórzył cicho Antek.

– Nie przesadzaj... – ponownie zbyła go pani kapitan.

– Mówię ci, coś tu jest nie tak... Albo on coś wie, albo coś przeczuwa... – dodał z zaniepokojeniem.

– Jest podejrzliwy, jak każdy w tym fachu – skomentowała sucho.

– Ale on jest zbyt pewny siebie i zbyt dobrze przygotowany. Miał nawet skądś informacje co do sekundy, o której spadnie deszcz...

– Przecież Buka cały czas sprawdza radar i nie ma tu nikogo oprócz tego Niemca i nas. Bądź spokojny... On jest tu całkiem sam – zapewniła. – Zresztą ja też sprawdziłam, o której zacznie lać, więc nie dramatyzuj – dodała dosadnie, po czym Antek odpuścił i nasłuchiwał dalej.

– Czyli sugerujesz, że my możemy mieć jakieś informacje o tej organizacji i do tej pory nie byliśmy tego świadomi? – dopytywał niemiecki łącznik, nadal uśmiechając się lekceważąco do swojego rozmówcy.

– Tak jest – odpowiedział wciąż śmiertelnie poważny Abakiewicz.

– A niby skąd?

– Ten wasz baron jakimś trafem zdemaskował niegdyś ludzi należących do tej tajnej, polskiej organizacji – wyjaśnił.

– Skoro baron pracował dla nas, dlaczego nie poinformował o tym swoich ludzi, tylko poleciał z tym do was?

– W wiadomości, którą do nas wysłał, wytłumaczył, że jednym ze zdekonspirowanych przez niego szpiegów okazał się jego bardzo dobry przyjaciel. Czując się więc osaczonym i nie wiedząc już, komu może zaufać w swoim środowisku, a komu nie, w wyniku ogarniającej go paranoi prześladowczej postanowił, że poinformuje drugiego z trójki polskich zaborców, czyli nas. Jednak gdy tylko to zrobił, kilka dni potem już nie żył – wyznał obszernie.

– Nic o tej sprawie nie wiemy... I prawdę mówiąc, nie interesowaliśmy się tym miejscem, dopóki nas tu nie zaprosiliście. Nadal więc nie rozumiem, w czym mogę ci pomóc?

– Baron w swojej wiadomości przekazał nam, że wszystko, czego dowiedział się o tej dziwnej organizacji, spisał i ukrył na terenie swojej posiadłości, a dokładnie w tej piramidzie. Dlatego chcemy, żebyście trochę pogrzebali w swoich archiwach na temat von Fahrenheida oraz tego miejsca. Być może traficie na jakieś

informacje, dzięki którym dopadniemy polską bandę, mieszającą nam w interesach – zaproponował.

– Czyli mówiąc wprost: chcesz, żebym przekazał wam informacje o naszej organizacji i jej potencjalnym członku tylko dlatego, że opowiedziałeś mi jakąś bajkę sprzed dwóch stuleci?

– Nie interesują nas wewnętrzne sprawy Holdy. Chcemy tylko, żebyście nam pomogli znaleźć informacje, z których możemy zrobić wspólny użytek...

– Niestety obawiam się, że nic tu dzisiaj nie wskórasz, mój rosyjski przyjacielu – odrzekł cynicznie niemiecki łącznik. – Bo widzisz, my nie zwykliśmy obdarowywać taką wiedzą kogokolwiek, nawet gdy proponuje nam się coś w zamian...

– Czyli rozumiem, że odrzucacie koleżeńską propozycję współpracy – zaszachował Abakiewicz, coraz bardziej rozdrażniony tym, że rozmowa nie układa się po jego myśli.

– A od kiedy wy jesteście tacy partnerscy i koleżeńscy? To do was niepodobne... – zripostował Niemiec, który, jak słusznie zauważył Antek, do tej pory nie podzielił się żadnymi cennymi informacjami, podczas gdy Abakiewicz opowiedział już o rzekomej polskiej organizacji o wiele za dużo.

– A od kiedy to wam nie zależy na kontrolowaniu i niszczeniu odwiecznego wroga? To też do was niepodobne – odparł sprytnie Abakiewicz.

– Mam uwierzyć, że mieliście tę informację od dziewiętnastego wieku i dopiero teraz się nią z nami dzielicie? – Łącznik Holdy się roześmiał. – A może chodzi wam o coś innego? Obaj przecież wiemy, że od dawna macie chrapkę na przesmyk suwalski... A to przecież nasza ziemia i podobnie jak Królewiec prędzej czy później wróci do nas... – odpowiedział, tym razem jakby z wyraźną groźbą.

– Póki co to formalnie nadal ziemia Polaków... – odpowiedział mu uszczypliwie Abakiewicz, ale Niemiec parsknął tylko na to śmiechem.

– Ten zabandażowany sukinsyn go podpuszcza! Sprawdza go – wtrącił ponownie Antek. – Poza tym nie byłby taki cwany, gdyby nie miał kogoś

w odwodzie – dodał z przekonaniem.

– Przestań, przecież Buka dałby nam natychmiast znać...

– Mówię ci, Lili, on się zorientował, że coś tu jest nie tak... A teraz, gdy dowiedział się już wystarczająco dużo, nie podzielił się z Abakiewiczem żadną przydatną wiedzą... Wątpię też, aby nadal wierzył jeszcze w tę naszą, nieudolną mistyfikację...

– A dlaczego miałyby nie wierzyć?

– Bo jest cwany i wyczuwa, że Abakiewicz coś ma... Powinniśmy go natychmiast ściągnąć, zanim zrobi coś naszemu genialnemu dowódcy... – przestrzegł z przekąsem.

– Bądź cierpliwy! Daj mu działać... Na razie nic się takiego nie dzieje – uspokajała dziewczyna, jednak nie miała już takiej pewności w głosie jak jeszcze parę minut temu.

– Dopiero teraz przypadkiem natrafiliśmy na ten dokument – kontynuował tymczasem Abakiewicz. – Gdybyśmy o nim wiedzieli wcześniej, na pewno byśmy się z nim do was zgłosili... Więc albo ze mną współdziałasz, albo się żegnamy i przekazuję moim przełożonym, że nie wykazujecie zainteresowania – postawił w końcu sprawę na ostrzu noża.

– A kto powiedział, że nie wykazujemy zainteresowania współpracą? – odparł pośpiesznie Niemiec, a jego usta rozwarły się w szerokim uśmiechu, tworząc szczelinę między bandażami.

– Takie do tej pory odniosłem wrażenie... – skomentował posępnie dowódca krakusów.

– Spokojnie, chciałem tylko sprawdzić, czy nic nie kombinujesz... W końcu z tego miejsca jest zaledwie trzydzieści minut na nogach do granicy z obwodem kalinogradzkim. Skąd mam wiedzieć, czy po uzyskaniu potrzebnych informacji ode mnie nie odwiedzą nas tu twoi koledzy i nie postarają się o to, żeby już nikt o mnie nigdy nie usłyszał? – zaśmiał się.

– Myślisz, że zaryzykowałibyśmy popsucie naszych relacji i interesów takim nierozsądnym zagranem?

– Bez urazy, ale już cały świat poznał, czym są wasze rosyjskie gwarancje pokojowe. – Zamaskowany mężczyzna roześmiał się tym razem na cały głos.

Abakiewicz nic na to jednak nie odpowiedział, tylko nadal z ponurą miną i ubraniem przemokniętym do suchej nitki stał i wpatrywał się groźnie w Niemca.

– No dobrze... – zgodził się w końcu nieznajomy, widząc nieprzejednaną minę Siłownika. – Ale skoro mamy zacząć współpracę, najpierw wejdźmy do środka tego niepospolitego monumentu i sprawdźmy, czy to, co opowiadasz, nie jest aby jakąś historyjką wyssaną z palca... – Wskazał Abakiewiczowi na solidną kratę, osłaniającą równie potężne drzwi prowadzące do wnętrza tajemniczej budowli.

– Nie podoba mi się to... – powiedział do siebie Antek, ale nie na tyle cicho, aby nie dotarło to do uszu Lili.

– Nie panikuj, Miko – odpowiedziała pouczającym tonem.

– Nie widzisz, że ta rozmowa w ogóle nie ma sensu? Powinniśmy ściągnąć tego szkopa, a tę piramidę spenetrować całkiem sami – zaproponował.

– Przed przyjazdem sprawdziłam to miejsce, ta piramida rzeczywiście należała kiedyś do von Fahrenheida. Tam w środku są tylko gołe ściany i kilka rozpadających się trupów, dlatego jeśli ten Niemiec jednak coś wie, może w końcu podpowie nam, gdzie i czego, powinniśmy szukać – wyjaśniła.

– On już niczego nam nie podpowie! Pokapował się, że Abakiewicz go okłamuje i ewidentnie coś kombinuje...

– Zamknij się, Miko, bo próbuję skupić się na tym, co mówią – zbyła go po raz kolejny.

– Jak sobie chcesz... Ale ja nie będę tu stał i patrzył, jak wszystko idzie po myśli tego niemiaszka – oznajmił nagle i niespodziewanie ruszył przed siebie.

– Miko! Co ty robisz?! Stój! W tej chwili! – wyszeptała wściekle Lili, widząc, co zamierza Antek.

– Posłuchaj mnie choć raz i chodź tam ze mną, zanim będzie za późno! – odpowiedział jej wręcz błagalnym głosem.

– Rozkazuję ci stać! – zaprotestowała.

– W takim razie trudno... Odpowiem za niesubordynację... Przełączam się na smartplaster, powodzenia! – oznajmił, by po chwili zniknąć w ciemnościach.

Tymczasem rozmowa pod piramidą toczyła się dalej.

– Ta krata i drzwi wyglądają dość solidnie – zauważył Niemiec, przyglądając się uważnie wejściu do piramidy.

– Skoro to wasze włości, to zapraszam przodem, otwieraj ten szwabski przybytek – chytrze zaproponował Abakiewicz.

– Chcesz znaleźć tę informację, to sam sobie go otwórz, przecież masz przy sobie klamkę... Po prostu wyciągnij ją i przestrel zamki w kratkach, a potem w drzwiach – zaproponował na przekór Niemiec.

– A niby dlaczego ja?

– Masz pistolet z tłumikiem, prawda? Wy czerwoni zawsze takie nosicie... – zablefował.

– Oczywiście, że mam, a ty co? Może nie masz?

– Mam, ale bez tłumika. Chyba nie chcesz, żebym narobił tu teraz rabanu...

– Ale żeby to przestrelić, będę potrzebował co najmniej dwóch magazynków – opierał się młody dowódca.

– W czym problem, po prostu zmienisz magazynek, na pewno masz ich kilka... – zablefował ponownie wysłannik Holdy. – Przypominam, że nie mam dużo czasu... Albo teraz rozpieprzasz te drzwi, albo wracasz z niczym... – dodał, okazując coraz większe zniecierpliwienie.

– Dobrze... ale twój gnatać ma być na widoku, gdy będę zmieniał magazynek – zażądał z każdą minutą coraz bardziej podejrzliwy Abakiewicz.

– Jeżeli cię to uspokoi, przyjacielu, to położę go nawet pod twoimi nogami – zaproponował niespodziewanie mężczyzna.

– Aż tak bardzo mi ufasz? – roześmiał się, szczerze zaskoczony tym posunięciem Niemca, Abakiewicz.

– W końcu sam dałeś mi gwarancję, że nie zaryzykowałibyście interesów jakimś głupim posunięciem, prawda? Zresztą gdy tylko wyłamiemy to wejście, wtedy oddasz mi moją kłamkę z powrotem. I pamiętaj, że jeśli rzeczywiście jest tam coś ukryte, to bez mojej pomocy możesz tego nie odnaleźć – przestrzegł.

– A jeśli sama amunicja nie pomoże?

– Jeśli amunicja nie pomoże, wtedy nie będziemy mieć już innego wyjścia, jak tylko zrobić tu trochę huku i użyć małego ładunku wybuchowego. Myślę, że i to obaj mamy przy sobie... – Mężczyzna uśmiechnął się przebiegle, jakby chciał dać do zrozumienia, że czyta rzekomemu rosyjskiemu łącznikowi w myślach.

Abakiewicz wskazał więc palcem na broń Niemca, a ten bez żadnego zawahania rzucił mu ją pod nogi. W tym samym jednak momencie w uchu dowódcy grupy krakowskiej odezwał się niespodziewanie głos Antka:

– Abakiewicz, on coś kombinuje, wcale nie zależy mu na dostaniu się do środka! Mam wrażenie, że chce cię czymś zająć i gra na czas! Obezwładnij go i spieprzaj stamtąd jak najszybciej! Jestem blisko ciebie, w razie czego pomogę ci...

Po tych zaskakujących słowach wyczuwającego niebezpieczeństwo Antka – który nie bawił się już ani w zachowawczość, ani w wojskowe konwenanse – złośliwy grymas przewiął się po twarzy Abakiewicza.

– Coś nie tak? – zapytał podejrzliwie Niemiec, gdyż nie umknęło to jego uwadze.

– Nie! Wszystko w porządku... Odsuń się od kraty, bo polecą rykoszety – zapewnił z całą stanowczością, po czym obaj cofnęli się parę kroków.

Tymczasem Antek, znajdując się już w odległości około trzydziestu metrów od piramidy, z niepokojem obserwował scenę za pomocą trybu noktowizyjnego w swoich goglach ISS. Aura była doskonała do skradania i śledzenia wroga, gdyż

dookoła panowała totalna ciemność i słycać było jedynie deszcz oraz szum targanych silnym, szkwałowym wiatrem drzew.

– Abakiewicz! Nie daj sobie wystrzelać całego magazynku! Ten sukinsyn coś kombinuje! – powtórzył ostrzegawczy komunikat chłopak.

Młody oficer ponownie jednak nic nie zrobił sobie z tej sugestii i żądny wejścia do środka budynku stanął dziarsko w rozkroku, wymierzając dokładnie w najsłabsze elementy okratowania.

– Abakiewicz! Nie bądź głupi! Posłuchaj mnie choć raz! – powtórzył Antek, ale zdał sobie szybko sprawę, że dalsze apelowanie nie ma najmniejszego sensu.

Po chwili dało się słyszeć serię cichych, świszczących wystrzałów, które z metalicznym łoskotem raz po raz rozrywały solidne zabezpieczenia. Gdy tylko ucichły, Antek, aby zobaczyć, co kombinuje przebiegły, zabandażowany Niemiec, ponownie przełączył tryb gogli na transmisję z soczewek dowódcy. Łącznik podniósł jednak tylko ręce do góry – w geście bezbronności – i wskazał Abakiewiczowi głową, by ten szybciej zmienił magazynek. Gdy tylko kapitan sięgnął ręką za pazuchę, łącznik Holdy, rozglądając się wkoło, bezbarwnym i pozbawionym emocji głosem powiedział cicho:

– Schweine...

W tym samym momencie do uszu Antka, pomimo deszczu i intensywnego szumu drzew, dotarł jakiś odgłos przypominający szelest łopoczącej na wietrze folii aluminiowej. Przełączył się więc ponownie w tryb noktowizyjny i natychmiast zwrócił wzrok w lewą stronę, skąd dobiegał dziwny dźwięk. Jak się prędko okazało, ku jego nieopisanemu zdziwieniu, zaledwie kilka kroków od niego jakby spod ziemi wyrósł niczym leśny upiór zamaskowany komandos, z którego wiatr zdmuchnął czarną płachtę, od zewnętrznej strony pokrytą powłoką do złudzenia przypominającą leśną ściółkę.

Żołnierz, nieświadomy obecności Antka, nie rozglądając się dokoła, podniósł swój zamaskowany karabin i wymierzył w stronę Abakiewicza, który z kolei, nie



mając jeszcze przeładowanego pistoletu, odwrócił się w stronę Niemca, pytając podejrzliwie:

– Mówiłeś coś do mnie?

Łącznik kolejny raz uniósł tylko niewinnie ręce i poruszył negująco głową. Antek jednak już doskonale rozumiał, że słowo wymamrotane pod cwany nosem wysłannika Holdy to rozkaz dla zaczajonego snajpera, aby ten bezzwłocznie zlikwidował niepewnego i podejrzanego rosyjskiego agenta. Nie czekając więc na taki rozwój wydarzeń, Antek w mgnieniu oka również przyłożył do ramienia swojego grota i bez rozkazu i zastanowienia wypuścił pojedynczy pocisk prosto w skroń zamaskowanego, niczego niespodziewającego się żołnierza.

Mózg komandosa w hollywoodzkim stylu wystrzelił z lewej strony przeszytej na wskroś czaszki, w drastyczny sposób odrywając się od reszty ciała. Niestety jednak ostatni wysłany z niego impuls, zaadresowany do palca wskazującego, najwyraźniej zdążył dotrzeć do celu i karabin, znajdujący się nadal w zamierającej dłoni snajpera, wystrzelił w kierunku nieświadomego Abakiewicza.

Młody kapitan Polonorum upadł bezwładnie na ziemię.

– Żyjesz?! – zawołał natychmiast Antek, przełączając gogle z powrotem na obraz transmitowany z soczewek swojego dowódcy.

– Żyję... Dostałem przez kamizelkę w kręgosłup... – wydyszał szeptem.

Na szczęście Niemiec tego nie dosłyszał. Przekonany, że Abakiewicz leży już trupem albo co najmniej dogorywa, podniósł z ziemi upuszczony przez siebie pistolet i dla upewnienia się, iż rzekomy rosyjski agent już nigdy nikomu nie opowie o tym spotkaniu, wymierzył lufę wprost w jego potylicę.

– Od początku mi się nie podobałeś, ty fałszywa słowiańska świno! – powiedział po polsku, ale ze słyszalnym, twardym niemieckim akcentem. – Już od momentu gdy łągałeś, że jesteś tu sam... Bo widzisz, tak się składa, że moi ludzie natychmiast poinformowali mnie, że jest tu z tobą ktoś jeszcze i co ciekawsze, jakimś dziwnym trafem kwiczy po polsku. Sprawdziłem też co nieco informacji o tym miejscu, zanim się tu zjawiłem. I wiesz co? Gdybyś był kacapem,

wiedziałybyś, że Czerwoni niespełna dziewięćdziesiąt lat temu dokładnie przeczesali ten teren, nic jednak wtedy nie znajdując. A więc, *auf wiedersehen*, zakłamanym Polaczku! Dzięki za dostarczenie mi całkiem interesujących informacji... – dodał z wyższością.

Jednak gdy zamierzał już nacisnąć na spust, aby dobić sparaliżowanego Abakiewicza, nagle w leśnej gęstwinie rozległ się kolejny strzał. Był to oczywiście pocisk wystrzelony przez Antka, sprintem zmierzającego w ich stronę. I chociaż słaba widoczność, liczne zarośla oraz szaleńczy bieg uniemożliwiły mu pewne wycelowanie w zabandażowaną głowę przeciwnika, to jednak bezbłędnie wypuścił pocisk prosto w jego klatkę piersiową. Niestety, agent Holdy najprawdopodobniej także włożył ciekawą kamizelkę z cieczą nienewtonowską, podobną do tej Abakiewicza, dlatego też natychmiast po upadnięciu swą zabandażowaną twarzą wprost w błotnistą ziemię poderwał się na kolana, krzycząc z bólu i piekielnej złości „Scheiße!”, po czym w totalnym szoku, dusząc się i panicznie próbując złapać oddech, wstał na równe nogi i chwiejnym krokiem – kierując się na północ – czmychnął w leśną gęstwinę.

Zapewne byłaby to jego ostatnia ucieczka w życiu, gdyż Antek, dobiegając do piramidy, wymierzył po raz drugi – tym razem w jego głowę – lecz od ostatecznego naciśnięcia spustu powstrzymał go przeraźliwy krzyk Lili, który rozbrzmiał równie mocno na linii, jak i za jego plecami:

– Miko, gleba!

Usłyszawszy to ostrzeżenie, chłopak nie zastanawiał się ani ułamka sekundy i rzucił się na ziemię niczym rażony gromem, a w tym samym momencie kilka centymetrów nad jego głową przeleciała mu seria świszczących kul, niosąc ze sobą dobrze mu już znany od lat odgłos. Odwrócił się więc bezzwłocznie w stronę, z której oddane zostały strzały, aby jak najszybciej odeprzeć atak, ale z wyraźną ulgą dostrzegł, iż jego niedoszły zabójca upuścił już karabin i kołysząc się bezwładnie na nogach, z przestrzelonym czołem upada niczym sflaczały manekin na rozmokniętą ziemię.

– Teraz jesteśmy kwita! – rzuciła pośpiesznie Lili, przykucając kilka kroków za ciałem swojej ofiary i wypatrując w skupieniu kolejnego przeciwnika.

– Chciałaś powiedzieć raczej: jak to dobrze, że cię posłuchałam i poszłam za tobą – odparł jej lekko pyszałkowatym tonem Antek, szczerze wdzięczny w duchu za uratowanie mu życia.

– Teraz to nieistotne! Uważaj, bo może być ich więcej! – ostrzegła, nadal czujnie rozglądając się dookoła. – Sprawdź, co z Maćkiem, ja cię osłaniam – dodała stanowczo.

Antek podbiegł więc natychmiast do Abakiewicza, który właśnie rozpaczliwie próbował podnieść się z ziemi. Gdy chłopak chciał go podźwignąć, ten odepchnął go ręką i odwarknął wściekle:

– Puść mnie, sam wstanę!

– Jak chcesz, ale nie nadajesz się teraz do walki. Musisz się gdzieś zaszyć, póki nie sprawdzimy terenu. Pozostając tutaj, na otwartej przestrzeni, jesteś łatwym celem – dodał pouczająco, ale gdy tylko to powiedział, szum deszczu i szelest drzew ponownie przeszył odgłos tym razem odległej o kilkaset metrów, intensywnej wymiany ognia.

– Fija! Legwan! Co tam się dzieje? – natychmiast zapytała Lili, rozglądając się nerwowo wkoło i wypatrując kolejnego zagrożenia.

– Biegliśmy do was ze wsparciem, ale ktoś przeciął nam drogę od północy i mocno nas ostrzeliwuje! – odezwała się na linii rudowłosa dziewczyna.

– Jest ich co najmniej pięciu! – dodał Legwan, głośno sapiąc i oddając kolejne serie z karabinu.

W tym samym momencie odezwał się także wyraźnie przerażony i zaskoczony takim obrotem sprawy Buka.

– Pani kapitan, nic z tego nie rozumiem! Tu nikogo wcześniej nie było na radarze! Nie wiem, skąd oni się biorą! Jest ich coraz więcej, jakby wyrastali spod ziemi! – krzyczał.

– Bo mieli na sobie płachty maskujące Ghost RAM – wtrącił Antek. – Właśnie jeden taki sukinsyn wyrósł mi z ziemi niemal przed nosem. Na szczęście był za bardzo skupiony na zlikwidowaniu naszego kapitana i nie zauważył mnie... – dodał z przekąsem.

– Płachty RAM?! – zapytała zaskoczona Lili. – To przecież ściśle tajna technologia wzięta z amerykańskiego programu tworzącego niewidoczne dla radarów samoloty stealth. Słyszałam kiedyś o tym, ale byłam pewna, że te płachty to dopiero prototypy i że wyprodukowano ich zaledwie kilkanaście sztuk!

– Wygląda na to, że jednak trochę więcej i najwyraźniej niektórzy mają już dostęp do takiego sprzętu... – zauważył Antek. – Nie ma też wątpliwości, że leżeli tu od kilku godzin! Cały czas byli jego obstawą i w razie gdyby coś poszło nie tak, mieli się uaktywnić – dodał, spoglądając w stronę, w którą uciekł łącznik.

– A co z tym zabandażowanym? Zraniłeś go?

– Nie wiem... Dostał w kamizelkę...

– Widziałem na radarze, że uciekł do lasu, gdzieś na północ. Trzeba go jak najszybciej wytropić. Za dużo się o nas dowiedział... – wtrącił Buka.

– Nie! Nie możemy go teraz szukać – zanegowała Lili. – Przy takiej pogodzie może to trwać godzinami! Nie wiadomo też, ilu mają ludzi w pobliżu. Dlatego ruszamy na pomoc Fii i Legwanowi. Natychmiast! – dodała ostro, chcąc najwyraźniej przejąć dowódczą inicjatywę.

– A co z nim? Po takim strzale może mieć nawet złamany kręgosłup... – Antek wskazał na Abakiewicza, który podpierając się o piramidę, w oślepiającym bólu próbował wykonać pierwszy krok.

– Maciek! – Lili zwróciła się teraz do swojego partnera stanowczo i bez krzty współczucia. – Spróbuj się jakoś dostać do samochodów i tam zostań razem z Buką. W razie gdyby akcja się przeciągała, nie czekajcie na nas, tylko jedźcie jak najszybciej do naszej najbliższej komórki! Dostarczcie im tego Siłownika i zdajcie raport z tego, co się tutaj stało – rozkazała, na co Abakiewicz popatrzył na nią spode łba, ale nic już nie mówiąc, pokiwał tylko potwierdzająco głową.

– Miko, ruszamy! Gazem! – krzyknęła dziewczyna.

– Ale ja idę pierwszy!

Lili, słysząc to, zawahała się na moment, po czym pośpiesznie odpowiedziała:

– Dobra! Niech ci będzie... Idź!

Po chwili pędzili już na wschód, skąd nadal dochodziły do nich, przerywane co jakiś czas ciszą, odgłosy zajadłej wymiany ognia.

– Pani kapitan, macie dwóch szwabów przed sobą, biegną w tę samą stronę, co wy, i próbują zająć Fiję i Legwana od południa! – zameldował Buka.

– Jeśli mnie okrążą, nie dam rady odeprzeć kolejnego natarcia! – natychmiast wtrąciła Fija, również słysząc ten niepokojący komunikat.

– Jak daleko od nich jesteśmy? – zapytała Lili, która podążała kilka metrów za Antkiem.

– Jakieś sto metrów, biegniecie wprost na nich! Wygląda na to, że o was nie wiedzą, moglibyście ich zaskoczyć – zaproponował młody plutonowy.

– Fija! Legwan! – Lili ponownie zwróciła się do dwójki osaczonych agentów Polonorum. – Za moment będziemy za waszymi plecami! Uważajmy, żeby nie otworzyć do siebie nawzajem ognia! Jest bardzo słaba widoczność! – ostrzegła.

– Tak jest! – odpowiedziała pośpiesznie Fija, jednak Legwan nie potwierdził otrzymanego rozkazu.

– Legwan, słyszysz?! Idziemy do was od tyłu! Nie otwieraj do nas ognia! Rozumiesz? – powtórzyła Lili, ale i tym razem porucznik nie odpowiedział. – Fija, co jest? Gdzie jest Legwan? Dlaczego nie odpowiada? – zwróciła się do rudowłosej dziewczyny.

– Nie wiem! Był intensywny ogień i rozbili nas... Straciłam go z oczu jakieś pięć minut temu! Teraz łądują do mnie z każdej strony! Spychają mnie na południowy zachód! Nie mogę już nawet ich kontratakować! – krzyczała.

– Legwan! – zawołała raz jeszcze Lili, ale próżno było spodziewać się jakiegokolwiek odpowiedzi.

Wtem Antek dostrzegł jednego z wrogich komandosów, który nie oglądając się za siebie, niczego nieświadomy pędził w stronę Fii, aby okrążyć ją i zadać jej cios prosto w plecy. Był to najwyraźniej jeden z tych żołnierzy, o których uprzedzał ich Buka. Chłopak, nie wahając się ani chwili i korzystając z tego, że wspomniany intruz nie wie, iż ma za sobą przeciwnika, posłał mu kulkę zaadresowaną prosto w czapę.

– Miko! Kolejny na drugiej! – ostrzegła Lili, widząc, jak z gąszczu po prawej stronie wyłania się nagle kompan ukatrupionego nieszczęśnika.

Ten jednak, prędko spostrzegłszy zagrożenie, natychmiast posłał solidną serię w stronę Antka, który szczęśliwie uskoczył za jedno z drzew na czas, ale poczuł jednocześnie, że jeden z pocisków musnął jego kombinezon w okolicy ramienia. Wtedy to Lili, której intruz najwyraźniej w pierwszej chwili w ogóle nie zauważył, odbiegając nieco w prawo, puściła w jego kierunku kilka krótkich serii. Nie zrobiły one na nim jednak zbyt wielkiego wrażenia, gdyż bez pardonu odpowiedział jej gęstym ogniem, skutecznie zmuszając ją do ukrycia.

– Lili! Nie będziemy się z nim patyczkować na odległość! Jest zbyt mgliście i ciemno na takie macanki! Nie ma czasu, osłaniaj mnie! – zaproponował Antek i zarzucając karabin na plecy, a jednocześnie wyciągając swój pistolet, dzikim slalomem między drzewami ruszył w stronę Niemca.

Kolejne długie serie natychmiast posypały się w jego stronę, ale fatalne warunki pogodowe powodowały, iż nieustępliwy szkop nie mógł dobrze namierzyć chłopaka. Antek pędził więc w stronę swojego celu, robiąc przy tym karkołomne uniki i niczym znikający punkt raz pojawiał się, a raz znikał we mgle. Lili w tym czasie, aby pomóc swojemu podkomendnemu w szalonym rajdzie, wypatrzywszy powalone drzewo, za którym w dogodnej pozycji strzeleckiej usadowił się ów intruz, po raz kolejny wypuściła kilka pocisków w jego stronę, skutecznie burząc mu koncentrację i ściągając jego uwagę na siebie.

Zmuszony do reakcji przeciwnik odpowiedział jej krótką serią, ale na tyle celną, iż kolejny raz musiała schować się za jedno z obszernych drzew. A gdy tylko komandos na powrót zwrócił się w stronę Antka, aby ponownie ostrzelać jego

pozycję, ku swojemu śmiertelnemu zdziwieniu dostrzegł, iż ten, mierzy już do niego z odległości zaledwie dziesięciu metrów.

– Czysto! – zawołał do Lili lekko drżącym głosem, gdy nie dając wrogowi najmniejszych szans na reakcję, w pełnym biegu wpakował mu dwie kule między oczy.

– Legwan, odezwij się! – Lili ponownie podjęła próbę skontaktowania się ze swoim młodym porucznikiem, próbując jednocześnie nadążyć za pędzącym teraz niczym dziki zwierz Antkiem. – Może ma uszkodzony smartplaster i nie może odpowiedzieć? – zapytała jakby sama siebie.

– Nie sądzę – bąknął dwuznacznie Antek, nadal biegnąc i wypatrując przed sobą kolejnych przeciwników. – Strzały dochodzą teraz z lewej strony – dodał, dysząc ciężko.

– Buka! Widzisz na radarze, gdzie jest teraz Legwan? – Pani kapitan zwróciła się do plutonowego, który ukryty w range roverze bacznie śledził posunięcia walczących.

– Nie mam pojęcia! Jeszcze kilka minut temu widziałem, jak walczył z dwoma szkopami naraz, będąc na granicy zasięgu mojego radaru! Potem wyszli poza widoczną dla mnie strefę na wschód. Jesteście niedaleko tego miejsca. To tylko szturmowy sprzęt krótkiego zasięgu używany do taktyki czarnej, więc jeśli nie zmienicie kierunku, was też za chwilę stracę z oczu! – wyjaśnił.

– Przyjęłam! A co z Fiją? Widzisz ją? – dopytywała.

– Póki co tak, bo zaczęła wycofywać się bardziej na południowy zachód. Od północy i od wschodu ścigają ją cztery osoby. Są coraz bliżej niej! – oznajmił.

– Fija, słyszysz mnie? – natychmiast zwróciła się do podwładnej Lili.

– Tak jest, pani kapitan!

Słychać było, że dziewczyna przedziera się przez las, a w jej pobliżu świszczą kule.

– Fija! Nie wdawaj się już w żadną walkę, oszczędzaj amunicję! Zmień kierunek i wycofuj się na południe tak długo, jak tylko dasz radę! My sprawdzimy,

co z Legwanem, i zaraz po ciebie przyjdziemy! Rozumiesz?! – rozkazała.

– Tak jest! – potwierdziła zziębnięta dziewczyna.

Tymczasem Antek nieco zwolnił i wytrzeszczając szeroko oczy, doszukiwał się na obrazie swoich gogli sylwetki zaginionego porucznika.

– Nikogo tu nie widzę – szepnął do siebie, a następnie zwrócił się do plutonowego: – Buka, jesteś pewny, że twój sprzęt pokazał, iż chwilę temu, ktoś tutaj przed nami był?

– Tak! Potem zniknęli z radaru zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym jesteś.

– To dlaczego teraz nikogo tu nie widać i nie słychać? – odparł zaniepokojony takim stanem rzeczy, czując się zarazem jak kaczką, która wyfrunęła z szuwarów i bezradnie oczekuje na nieuniknioną porcję rozgrzanego śrutu.

– Nie mam pojęcia! – odparł plutonowy.

– Cholera jasna! Nikogo tu nie ma! Na moim namiarze też ani śladu sygnału z jego smartplastra... – syknęła równie zaniepokojona Lili.

– Buka! Czy możesz jakoś przemieścić radar nieco na wschód, żeby poszerzyć pole widzenia? – zaproponował Antek.

– Tak, już to zrobiłem! Podczepiłem go pod drona i właśnie leci w waszą stronę! Jeśli go nie zauważą i nie zestrzelą, zaraz będę widział więcej! – wyjaśnił plutonowy.

– Bardzo dobrze! – skomentowała Lili. – Masz już coś? – dodała z nadzieją i nieukrywaną niecierpliwością.

– Jeszcze nic... Jeszcze nic... – powtarzał cicho Buka. – Chwila... Chwila... – mruzczył pod nosem. – Przełączę na kamerę termowizyjną zainstalowaną w dronie – zaproponował, podczas gdy Antek i Lili ostrożnie i zachowawczo posuwali się na wschód.

– Skup się, Buka! Nie mamy czasu! – ponaglił go szorstko chłopak.

– Tak jest! Coś jest! – wrzasnął w końcu jak oparzony.

– Gdzie?! – odparli niemal jednocześnie Miko i Lili.



– Widzę jakiś niewielki ślad na termowizji! Tuż obok Antka!

– Obok mnie? – zapytał zaskoczony chłopak, nie dostrzegając wkoło nikogo prócz podążającej za nim Lili.

– Dosłownie jakieś dwa metry od ciebie – wyjaśnił Buka.

– Może to jakieś leśne zwierzę? – dociekał, zwracając się do plutonowego z wyraźną nieufnością.

– To nie wygląda jak zwierzę... I się nie rusza! Poza tym sygnał termowizyjny tego czegoś stale słabnie i wydaje mi się, że... – gorączkowo zapewniał młody agent, lecz nie dane mu było skończyć, gdyż Antek nagle przerwał mu twardym, surowym tonem:

– Zgadza się, Buka... Chyba coś znalazłem – przyznał, dostrzegając na ziemi kawałek wytatuowanej ludzkiej ręki.

– Co to jest? – natychmiast zapytała Lili.

– Chyba czyjeś ramię... – odparł niepewnie.

– Ramię?!

– Tak... Z podwiniętym rękawem i wytatuowanymi niemieckimi napisami na przedramieniu oraz dłoni – sprecyzował, ściągając gogle z oczu i pochylając się nad znaleziskiem. – Chwila! – dodał natychmiast. – To nie jest tylko ramię, to całe ciało!

– Nic takiego nie widzę! – zauważył zaskoczony Buka.

– Bo jest przykryte płachtą Ghost RAM. To trup... – wyjaśnił Antek, zrywając z reszty ciała szeleszczącą, pokrytą od wierzchniej strony mchem czarną płachtę.

– Trup czy nie... Wychodzi na to, że nadal może ich być tutaj o wiele więcej, niż pokazuje nam radar. Oni mogą być dosłownie wszędzie, a my jesteśmy na pieprzonym polu minowym – wtrąciła zaniepokojona Lili.

– Dokładnie tak... Jesteśmy dla nich wystawieni jak na talerzu... Trzeba stąd jak najszybciej zniknąć – potwierdził Antek, ale gdy tylko to powiedział, poczuł potężne uderzenie w sam środek brzucha, tak jakby ktoś przyłożył mu dłuto do

ciała i z całych sił uderzył w nie dziesięciokilowym młotem. Natychmiast upadł na plecy.

– Lili, na ziemię! – krzyknął rozpaczliwie, ale głos zamarł mu w gardle, gdyż przeszywający ból przepony całkowicie sparaliżował oddech.

– Miko, co jest? – zapytała dziewczyna, słysząc odgłos wystrzału i automatycznie kładąc się na ziemi.

– Sukinsyn jest w ukryciu! Trafił mnie w kamizelkę! – wysapał Antek, ledwo wypowiadając słowa i kurczowo trzymając się za brzuch.

– Dasz radę wstać?

– Tak... Daj mi tylko chwilę na złapanie oddechu – wystękał ciężko, masując energicznie sparaliżowaną przeponę i spoglądając jednocześnie na leżące obok niego truchło komandosa Holdy.

– Ten trup to była przynęta... Snajper umyślnie zostawił odkrytą rękę, abyśmy się tym miejscem zainteresowali – zauważyła Lili, leżąc na przesiąkniętej od ulewy ziemi i rozglądając się czujnie wkoło.

– Ale to się nie trzyma kupy! Przecież zlikwidować tego gościa mógł tylko Legwan... A on z pewnością nie ukrywałby go pod płachtą... – zaprzeczył Buka.

– Wydaje mi się, że to nie Legwan go tam ukrył... – odparła dziewczyna.

– Też mi się tak wydaje... – zgodził się z nią Antek.

Chłopak spostrzegł, że ciało rosnącego żołnierza przykrywa jakąś niewielką leśną rozpadlinę. Złapał więc z ciekawości za kołnierz nieboszczyka i energicznym ruchem przyciągnął go ku sobie.

– Nie podoba mi się to... To jakaś cholernie dziwna sytuacja... Nie podnoście głów, bo inaczej wystrzelają was tam jak kaczkę! – ostrzegł Buka.

– Trudno, nie mamy wyjścia! Trzeba zaryzykować! Wstajemy, choćby nas mieli jak na dłoni! – odparła na to heroicznie Lili. – Prędzej dam sobie odstrzelić łeb, niż zostawię tutaj Fiję i Legwana samych sobie! – zarzekła się stanowczo.

– Lili...

– Co takiego?

– Obawiam się, że Legwan... – wydyszał ciężko i wy dostał ciało Niemca z zapełniającego się wodą barłogu.

– Że co Legwan?! – zapytała panicznie.

– Że... że już mu nie pomożemy... – dokończył Antek i mimo niepewnego tonu sły chać było, że mówi już o wiele spokojniej. Ból z każdą sekundą ustawał, a do płuc wracał głęboki oddech.

– O czym ty mówisz? – warknęła zaskoczona lakonicznym wyjaśnieniem.

– Lili... Znalazłem go... – oznajmił Antek, a ona, słysząc te słowa, zrozumiała w końcu, co chłopak miał na myśli.

– Gdzie on jest?

– Wrzucili go do rozpadliny i przywalili ciałem jednego ze swoich, a następnie całość przykryli płachtą – odpowiedział jej spokojnie Antek.

– Teraz i ja go widzę na radarze – wtrącił wyraźnie zszokowany Buka.

– Jesteś pewny, że to on? – dopytała Lili, jakby z nadzieją, że Antek jednak się myli.

– To on... – potwierdził bezbarwnie, na powrót zakładając gogle, które skierowane w stronę leżącego w bezruchu rosłego młodzieńca wyświetliły informację: „brak czynności życiowych”.

– Niemożliwe! Przecież bym o tym wiedziała... – nie dopuszczała tej informacji do siebie Lili. – Powinam była dostać informację z jego smartplastru o zatrzymaniu akcji serca! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Szkopy zerwały mu smartplaster z ręki – wytłumaczył natychmiast Antek.

Lili nie odpowiedziała. W eterze sły chać było jednak, jak dziewczyna nerwowo oddycha i pociąga nosem – ta reakcja mówiła o wiele więcej niż słowa...

– Lili! Nie odwrócimy już tego... Stało się... Nadal jednak możemy jeszcze uratować Fiję! – zarządził Antek, szybko przerywając tę rozpaczliwą konsternację.

– Wiem, Miko, nie musisz mnie uczyć takich rzeczy – odpowiedziała posepnie.

– Musimy tylko jakoś pozbyć się tego pieprzonego kampera, który pewnie tylko czeka, aż podniosę łeb.

– Wiesz, że nawet jako twój dowódca nie mogę kazać ci iść na pewną egzekucję... A jeśli tylko wstaniesz, to wielce prawdopodobne jest, że natychmiast zginiesz. Wtedy jednak nie pomożemy również Fii – oznajmiła zaskakująco szczerze.

– Za przeproszeniem, pani kapitan, ale mam w dupie takie kalkulacje! Niczego innego teraz nie pragnę, jak tylko skoczyć tym skurwielom do gardeł – skwitował dosadnie Antek, dając do zrozumienia, że nie bierze pod uwagę żadnych innych asekuracyjnych scenariuszy.

– Rozumiem, Miko... A możesz określić, z jakiej odległości padł strzał? – odrzekła wyraźnie podbudowana i zmotywowana tak bezwzględny stanowiskiem chłopaka.

– Sądząc po odgłosie wystrzału, wydaje mi się, że nie bliżej niż z sześćdziesięciu metrów.

– A więc ja przebiegnę w lewo jako wabik. Natomiast ty będziesz musiał dostrzec, skąd zostanie wystrzelona seria! – zaproponowała.

– Wybacz, ale tym razem zrobimy po mojemu – zaprotestował natychmiast Antek, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Czyli? – zapytała nad wyraz spokojnie dziewczyna, nawet nie protestując.

– Jeśli dron przełączony na promieniowanie cieplne nie widzi tego szwaba, to na pewno płachta maskująca będzie go także chronić przed termicznym trybem naszych gogli.

– Z pewnością tak...

– Jednak skoro jest przygotowany do strzału i nadal ma rozgrzaną lufę, z pewnością wystawia ją teraz minimalnie poza tę swoją pelerynę niewidkę...

– Małe szanse, że go zobaczysz z tej odległości – skomentowała Lili.

– Wiem... Ale jeśli się do niego wystarczająco zbliżę, może wtedy dojrzę jakiś mały czerwony punkcik, w który pošlę mu ołowianą przesyłkę.

– Ale w tym trybie gogli trudno się poruszać w tak wymagającym terenie. Termiczny noktowizor służy do chwilowego rozpoznania, a nie biegania po lesie

i strzelania – zauważyła pani kapitan.

– Już nie raz tak robiłem, poradzę sobie... – zapewnił.

– Okej... Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... Nie chcę dziś stracić kolejnego człowieka...

– O mnie nie musisz się martwić, poradzę sobie z nim. Za to ty biegnij do Fii, póki nie jest za późno – odpowiedział z zimną krwią.

– Nie ma mowy! Jestem twoim dowódcą i świadkiem twojej przysięgi... Nie puszcze cię na niego bez osłony – zaprotestowała.

– Nie dramatyzuj! Rozprawię się z tym sukinsynem i zaraz do ciebie dołączę!

– Ale...

– Nie ma teraz innej alternatywy, Lili! – przerwał jej. – Chcesz uratować Fiję? W takim razie ruszamy na mój znak! – Nie dając dziewczynie czasu na dalsze deliberacje, odliczył: – Raz! Dwa! Trzy! Go!

Oboje w jednej chwili zerwali się z ziemi. Antek ruszył przed siebie, nieco w lewo, w gęsty młodniak. Lili zaś w tył i zdecydowanie w prawo. Zamaskowany niemiecki komandos najwyraźniej uznał, że Lili będzie dla niego łatwiejszym celem i posłał za nią długą serię.

Chyba wyczerpałeś magazynek, frajerze... – skomentował w duchu Antek, słysząc odgłos.

Rzeczywiście, przedzierając się ostrożnie przez gęste knieje, znalazł się w odległości około dwudziestu metrów od ukrywającego się komandosa. Wtedy dosłyszał dźwięk repetowanego magazynku. Decydując się więc na duże ryzyko, wyskoczył niespodziewanie ze świerkowego młodniaka i spojrzał w stronę, z której dobiegł go metaliczny dźwięk przeładowywanego karabinu. Niemal natychmiast w trybie termowizyjnym dostrzegł, gdzie tuż nad ziemią majaczy niewielka rozmazana plamka ciepła. Nie zastanawiając się ani chwili, przełączył swój karabin szturmowy na ogień ciągły i nieco na oślep, intensywnie ostrzelał podejrzane miejsce. Następnie odskoczył nieco w prawo, chowając się za starym kopiastym mrowiskiem i nasłuchiwał, czy jego wybór był właściwy.

Po około dwóch minutach Antek stwierdził, że nie licząc wiatru, deszczu i dobiegających od północnego zachodu odgłosów strzelaniny, nie dotarły do niego żadne inne niepokojące dźwięki – wyglądało na to, że kamper został unieszkodliwiony. Podniósł się więc ostrożnie z ziemi, przełączył gogle na tryb noktowizyjny i powoli udał się w miejsce, w które wcześniej posłał gęstą serię ze swojego grota. Okazało się, że w zaroślach spod grubej warstwy mchu wystawała lufa karabinu. Chłopak złapał za rozgrzaną jeszcze broń i poderwał ją gwałtownie do góry, odsłaniając tym samym schronienie żołnierza. To, co pozornie wyglądało na leśną ściółkę, w rzeczywistości było płachtą kamuflującą, która przykrywała ciało obficie podziurawionego przez kule nieszczęśnika.

– Skąd macie taki sprzęt? Kto wam to dostarcza? – skomentował z zainteresowaniem, dotykając od wewnętrznej strony czarnego, śliskiego materiału. – Potraktowałeś mojego człowieka jak przynętę, a sam wystawiłeś się jak żółtodziób – dodał chłodnym głosem, a następnie ruszył biegiem w stronę, skąd nieustannie dobiegały odgłosy wymiany ognia.

– Buka! Ile zostało mi jeszcze drogi do Lili i Fii? – zapytał, pędząc sprintem w kierunku północnozachodnim.

– Jeszcze jakieś trzysta pięćdziesiąt metrów! Biegnij ostrożnie i uważnie. Jeszcze kilku szkopów może być schowanych pod płachtami – odpowiedział natychmiast plutonowy.

– Wiem, ale nie mam już czasu na dokładny rekonesans! Muszę dotrzeć do nich jak najszybciej... – skwitował, sapiąc i biegnąc z dziką zajadłością niczym pies gończy za uciekającą zwierzyną.

Targały nim teraz sprzeczne emocje. Z jednej strony czuł beznadzieję i rozpacz z powodu śmierci swojego młodego, nowo poznanego kompana, z drugiej zaś płonął w jego sercu żywy ogień zemsty i żołnierskiej złości – pragnął jak najszybszego i ostatecznego rozliczenia swoich wrogów... Czuł także instynktownie, że znów jest w swoim prawdziwym żywiole – przecież dopiero co wręcz podręcznikowo ustrzelił czterech wyjątkowo niebezpiecznych intruzów stąpających swoimi bandziorskimi buciorami po jego polskiej ziemi i co

ważniejsze, nie doznał przy tym jak dotąd żadnej poważniejszej rany... Ten wojowniczy cug mógł zrozumieć tylko ten mężczyzna, który choć raz w życiu – walcząc dla wyjątkowo ważnej sprawy bądź o życie swoich najbliższych – otarł się o śmierć. To poczucie potęgowała również świadomość, iż kładąc na szali swoje polskie, żołnierskie serce oraz wszelkie umiejętności, jakie we krwi i pocie czoła posiadał, jest niczym rasowy predator, który wyeliminuje każdego bandytę wkraczającego na jego terytorium – bez względu na jego liczebność.

Tak... Do tego zostałem stworzony i do tego byłem od dziecka szkolony – powiedział sobie w duchu. Na świecie są trzy typy ludzi: owce, wilki i psy pasterskie... Od ciebie zależy, kim będziesz... – przypomniał sobie słowa ojca, gdy przed oczami, zaczęły mu nieznośnie przewijać się obrazy zlikwidowanych dopiero co przeciwników.

Zdecydowanie, pomimo nieciekawej sytuacji, ryzyka i śmiertelnego niebezpieczeństwa, Antek czuł się w tym ciemnym, zamglonym lesie jak ryba w wodzie.

– Pieprzony Abakiewicz... – zaklął nagle przez zaciśnięte zęby, nie zwalniając swego rajdu pomiędzy leśnymi ostępami i przypominając sobie tym razem zwłoki zamordowanego Legwana, młodego patrioty, który najlepsze lata służby dla Polski miał dopiero przed sobą. Antek zdał sobie sprawę, że pomimo krótkiej znajomości naprawdę polubił tego chłopaka.

Gdybyśmy od początku trzymali się planu Lili, nie doszłoby to tego... – myślał gorączkowo.

Odgłosy strzelaniny zaczęły ustawać. Chłopak stwierdził, że zapewne jednej i drugiej stronie brakowało już amunicji.

– Lili, jestem już prawie na miejscu! Jak się trzymacie? – zapytał, dostrzegając w oddali sylwetkę swojej przełożonej.

– Nadal nie mogę się przebić do Fii! Próbuję oszczędzać naboje! Jak daleko jesteś za mną? – odparła nerwowo pani kapitan.

– O ile to na pewno jesteś ty, to jakieś czterdzieści metrów, może mniej – oznajmił, zwalniając i próbując zastopować zadyszkę, która była wynikiem intensywnego przełajowego biegu.

Nagle wymiana ognia zupełnie ustała.

– Gdzie jest Fija? – zapytał natychmiast, gdy tylko dotarł do Lili.

– Leży za tamtym powalonym drzewem, jakieś dwadzieścia pięć metrów przed nami. Jest ranna, nie ma amunicji i nie może atakować ani się wycofać. Nie dostali się do niej tylko dlatego, że od dziesięciu minut osłaniam ją ostatkami amunicji.

– Ilu ich jest?

– Z początku zaatakowało nas pięciu albo sześciu – niespodziewanie odezwała się młoda rudowłosa agentka. – Jednego zlikwidował Legwan, a jednego ja. Prawdopodobnie więc zostało ich trzech albo czterech.

– Więc posłuchaj mnie teraz uważnie, Fija! Leż za tym drzewem i się nie podnoś! Pewnie ucichli, dlatego że planują ostatnie zmasowane uderzenie... – domyślał się Antek.

– Albo się wycofali... W końcu wiedzą, że zginęło już siedmioro ich ludzi i że w każdej chwili mogą przyjść nasze posiłki – dopowiedziała pani kapitan.

– Nie byłbym takim optymistą...

– W takim razie jaka decyzja, kapralu? – odparła niespodziewanie Lili, co Antka niemal ścięło z nóg.

– Nie ja tu jestem dowódcą – odpowiedział z całą swoją skromnością – ale gdyby to ode mnie zależało, pomimo ostrzału spróbowałbym dostać się bliżej Fii, by oddać jej mój pistolet i następnie otwierając do nich zmasowany ogień, całą trójką uciec jak najszybciej w stronę naszych range roverów. Nawet gdyby za nami ruszyli, z pomocą wyjdą nam Buka i Abakiewicz.

– Szczerze mówiąc, liczyłam na mniej ryzykowny pomysł, Miko... Myślę, że bezpieczniej byłoby nam poczekać na wsparcie na zajętych pozycjach.

– Im dłużej tu jesteśmy, tym gorzej dla nas... Nie wiadomo, ilu ich jeszcze jest i co mają w zanadrzu. W końcu jadąc tu, nie spodziewaliśmy się, że dojdzie do tak



ostrej, regularnej bitwy, dlatego tym bardziej nie ma co dłużej przeciągać tej opłakanej akcji. Poza tym zanim Buka i Abakiewicz tu dotrą, oni mogą zdążyć nas okrążyć...

– Dobrze... W takim razie... – zaczęła Lili, ale nie dane jej było skończyć, gdyż konfrontacja z jeszcze większym impetem rozgorzała na nowo.

W odległości zaledwie trzech metrów od zwałonego drzewa, za którym leżała Fija, wybuchł potężny granat, wystrzelony przez jednego z komandosów Holdy. Kawałki ziemi i zbutwiałych gałęzi obszernie wystrzeliły w powietrze. Antek, widząc to, zerwał się natychmiast w stronę bezradnie leżącej, rudowłosej dziewczyny, ale niestety równie szybko upadł na ziemię, zmuszony do tego przez jednego z przeciwników, który wypuszczając krótką serię, chybił niemal o włos od jego głowy.

Lili także próbowała wychylić się zza drzewa, jednak drugi z komandosów co kilka sekund wystrzeliwał w jej kierunku pojedynczy pocisk. Tymczasem kolejny granat, wystrzelony przez trzeciego z Niemców, eksplodował dosłownie przy samym pniu powalonego drzewa, za którym ukrywała się wyraźnie już przerażona takim obrotem sprawy Fija. Na szczęście potężny, powalony pień przyjął na siebie całą siłę wybuchu, jednak wyrzucony w powietrze niemal na metr, mocno uderzył w spanikowaną agentkę, o mało jej nie przygniatając.

– Zabierzcie mnie stąd! – krzyknęła w końcu rozpaczliwie, próbując podnieść się z ziemi w oszołomieniu i panice.

– Fija! Nie wstawaj! – zawołali jednocześnie do ogłuszonej dziewczyny Antek i Lili.

– Wyciągnijcie mnie stąd! Oni mnie rozwałą na kawałki! – krzyczała niczym ofiara tortur, która postradała zmysły, kolejny raz próbując wstać.

– Fija leż!! – ryknął ponownie chłopak.

Dziewczyna jednak, po mocnym uderzeniu w głowę, najwyraźniej nie do końca świadoma tego, co się wokół niej dzieje, nagle zerwała z twarzy swoje gogle oraz kominiarkę i w przerażeniu zaczęła czołgać się niezdarnie w ich stronę.

– Fija! Nie! Nie idź do nas! Zostań za tym drzewem! – krzyczała Lili.

Niestety wbrew ostrzeżeniom obojga kompanów dziewczyna, nadal patrząc na nich błędnym wzrokiem i rozpaczliwie targając ziemię, czołgała się w ich kierunku.

– Fija łap!

Antek, leżąc na ziemi, rzucił jej swój pistolet. Niestety trafił półtora metra za nią. Szczęśliwie jednak ten niezamierzony brak precyzji spowodował, iż dziewczyna nieco oprzytomniała i zaczęła cofać się w stronę zwalonego pnia.

– Weź go i schowaj się ponownie za drzewo! Zaraz cię stamtąd zabiorę! Tylko nie ruszaj się z miejsca! – nawoływał Antek, obmyślając gorączkowo, jak by tu przebrnąć dwadzieścia kilka metrów i nie zarobić kulki w łeb.

– Pani kapitan! – za ich plecami odezwał się nagle zasapany głos Buki, na co Lili oraz Antek odwrócili się nerwowo za siebie, podświadomie celując w jego stronę.

– Jestem! Co mam robić? – zapytał niski, krępy agent z kręconymi włosami, który przybiegł z pomocą w cywilnym ubraniu oraz z samym tylko karabinem i goglach na głowie.

– Bardzo dobrze! – odparł Antek. – Jak tylko ruszę w stronę Fii, ładujcie w nich, ile tylko wlezie! Zrozumiano? – rozkazał, ewidentnie przejmując już inicjatywę w dowodzeniu. – Uwaga! Na mój znak, teraz! – krzyknął, po czym desperacko poderwał się z ziemi.

Niestety zaledwie sekundę później kolejny granat wybuchł jakieś dwa metry od miejsca, gdzie ukrywała się bezradna i przerażona dziewczyna. Potężny pień ponownie przyjął na siebie cały impet uderzenia, a gorący podmuch rozpalonego powietrza uderzył biegnącego pod osłoną ognia swoich towarzyszy Antka w twarz. Siła eksplozji zachwiała nim na moment, ale nie przeszkodziło mu to w dostrzeżeniu jednego z komandosów, który właśnie załadowywał do karabinu czwarty już z kolei granat, aby ostatecznie ukatrupić zaszczutą ofiarę.

Chłopak skupił na nim wzrok, najlepiej jak tylko potrafił, po czym, czekając przez moment, aż pewny siebie szkop ponownie wyceluje w stronę dziewczyny, z ponad sześćdziesięciu metrów wpakował mu kulkę wprost w granatnik usadowiony pod lufą karabinu.

– Aaaaa! – ryknął wściekle Antek, nie ustając w biegu i obserwując jednocześnie, jak potężny wybuch pochłania żołnierza Holdy, a także stojącego kilka metrów dalej kompana.

Prędko okazało się jednak, że błyskotliwe zdetonowanie przez Antka czwartego z ładunków zadziało nie tylko na korzyść agentów Polonorum. Niestety, ta wyjątkowo głośna eksplozja tak przeraziła ogłuszoną i skrajnie przerażoną Fiję – która tylko cudem przeżyła trzy poprzednie, niewystarczająco celne – że tym razem nie wytrzymała nerwowo i celując na oślep w stronę swego oprawcy, puściła się w rozpaczliwej ucieczce ku swoim towarzyszom.

– Fija, leż! Nie podnoś się z ziemi! – krzyczeli teraz jednocześnie Lili i Buka, jednak do oszołomionej dziewczyny nic już nie docierało.

Antek za to dostrzegł właśnie trzeciego wroga, który świadomy już nieuchronnej porażki niczym samobójczy kamikaze wychylił się zza zarośniętego jaru i rezygnując z ostrzeliwania biegnącego w jego stronę wroga, wyjątkowo perfidnie skierował resztki swojej amunicji w kierunku uciekającej dziewczyny. Nie zwlekając więc chłopak błyskawicznie i w pełnym biegu wymierzył w napastnika, przestrzeliwując mu jednym celnym strzałem tchawicę. Agent Holdy – niczym robot pozbawiony zasilania – runął na zimne, nasączone deszczem leśne runo, natomiast Fija z rozłożonymi ramionami, dobiegła do Antka, splatając się z nim w mocnym, braterskim uścisku.

Zapewne jeszcze jeden albo dwa kroki więcej, a wycieńczona i otepiała dziewczyna upadłaby na ziemię, szczęśliwie jednak w ostatniej chwili Antek pochwycił ją w ramiona. Radość nie trwała jednak zbyt długo, gdyż przyciskając ją mocno do siebie, od razu poczuł, że po zimnym, przemoczonym kombinezonie dziewczyny spływają obfite strużki ciepłego płynu, a jej ciało błyskawicznie wiotczeje mu w rękach.

– Lili, apteczka! Szybko!! – zawył histerycznie, odwracając się w stronę osłaniających go towarzyszy.

– Nie mamy nic ze sobą! Wszystko zostało w aucie! – odkrzyknęła drżącym głosem pani kapitan, pośpiesznie do nich biegnąc.

– Ma dwie rany postrzałowe nad łopatkami w okolicach karku; tam, gdzie kamizelka nie pokrywała ciała! Trzeba jej jak najszybciej założyć xstaty i reanimować! – wręcz zażądał, kładąc dziewczynę na ziemi.

– Antek, mówię ci, że xstaty są w aucie! – wyjaśniła Lili, dobiegając do nich.

– Czemu Buka nie wziął ich ze sobą?! – wrzasnął wściekły na cały świat.

– Nie było na to czasu... Buka przybiegł tu najszybciej, jak mógł, chciał nam pomóc! – tłumaczyła, klęcząc przed nieprzytomną dziewczyną i dokładnie oglądając jej obrażenia.

Natomiast Buka stał tylko nieruchomo i słysząc groźne słowa Antka, bez słowa patrzył na tę żalosalną scenę.

– Gdzie jest Abakiewicz?! – ryknął ponownie chłopak. – Niech weźmie auto i przywiezie tu te jebane opatrunki! – nie dawał za wygraną, próbując rozpaczliwie reanimować dziewczynę, z której sączyło się coraz więcej krwi.

– Antek... Ona ma dużo więcej obrażeń... – uświadomiła go ostrożnie Lili, niespodziewanie zwracając się do niego po imieniu i zarazem patrząc na ciało dziewczyny z nieukrywaną beznadzieją w oczach.

– Na pewno jest tu w pobliżu jakaś droga! Niech Abakiewicz ruszy dupę i przywiezie apteczkę!

– Prócz karku ma przestrelone biodra i tętnicę udową... – zauważyła Lili, próbując w końcu oderwać Antka od bezsensownej reanimacji i wcisnąć mu na powrót karabin w dłoń.

– Nie! Boże, nie! – krzyczał, dostrzegając teraz obfity krwotok wydobywający się z okolic miednicy, a jednak nadal nie ustawał w rozpaczliwym masażu zalanej gęstą krwią klatki piersiowej.

– Antek! Przeszył ją od góry do dołu całą ostatnią serią... Już po wszystkim! Zostaw ją! – Pani kapitan nadal próbowała oderwać go od ciała dziewczyny.

– Nie! Trzeba podtrzymać jej sztucznie oddech i jak najszybciej ściągnąć tu nasze służby medyczne! – upierał się.

– Miko! Nawet gdybyśmy ją położyli teraz na stole operacyjnym, nic by to nie dało. Teraz musimy skupić się już tylko na jak najszybszej ewakuacji! W przeciwnym razie może zginąć tu ktoś jeszcze!

– Boże! – krzyknął raz jeszcze chłopak, zaprzestając w końcu masażu serca, i w totalnym zrezygnowaniu i beznadziei usiadł, przemoczony i zbrukany krwią, obok całkowicie bladego już ciała młodej agentki.

– Antek, bierz karabin i zwijamy się stąd! Zrobiłeś, co mogłeś – nalegała Lili, rozglądając się z niepokojem.

– Mogliśmy zrobić więcej! – wrzasnął rozjuszony, jak gdyby ktoś dźgnął go właśnie w żywą ranę.

– Byliśmy przygotowani tylko na krótkie wejście i przechwycenie agenta... W rezultacie wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez dużo liczniejszą sekcję znakomicie wyszkolonych żołnierzy Holdy – odezwał się w końcu Buka zimnym i posępnym głosem. – Pani kapitan ma rację... Zrobiłeś, co mogłeś... Sam zlikwidowałeś prawie wszystkich! Pomyśl, że mogło się to skończyć o wiele gorzej... – dodał niepewnie.

– Ale jej nie uratowałem! I Legwana też nie – warknął. – Mam się pocieszać tym, że mogło się to gorzej skończyć?! To powiedz to jej! No powiedz jej, że mogło się to dla nas gorzej skończyć! – ryknął, wskazując ręką na nieruchome ciało dziewczyny, której bujne rude włosy rozsypały się po ziemi jak podczas snu albo niewinnej zabawy. – Myślałem, że taką amatorkę odstawia się tylko w wojsku poborowym, a nie w Polonorum! – dodał, wstając nagle na równe nogi, jakby chciał dać do zrozumienia młodemu plutonowemu, aby dobrze się zastanowił, zanim coś jeszcze powie.

– Miko! Daj mu spokój! Przede wszystkim to ja, jako dowódca, po raz pierwszy straciłam moich ludzi! Jeśli chcesz mieć pretensje, to tylko do mnie! – wtrąciła Lili, również podnosząc głos. – Ale nie zapominaj też, że Legwan i Fija to tacy sami agenci jak my! Oni nie byli jakimiś dziećmi! Nie mogłeś ich wszystkich pilnować i niańczyć. Traktując ich w ten sposób, urągasz ich pamięci i umniejszasz heroizm i poświęcenie, jakim się wykazali – dodała, zamykając dziewczynie zgasłe oczy.

– Nic nie rozumiesz! – odwarknął jej Antek.

– Doskonale rozumiem, Miko, uspokój się! – powtórzyła ostro.

– Właśnie, że nie! Podczas obchodu powiedziałem Fii, że jest idiotką i że jej głupota wpędzi ją do piachu, zanim jeszcze skończy się ta akcja... – wysapał, parskając obficie śliną.

Lili chciała coś na to odpowiedzieć, ale zaskakujące wyznanie kompletnie odjęło jej mowę. Milczeli tak całą trójką przez jakiś czas, po czym Antek ściągnął nagle kominiarkę i z nieukrywanym bólem na twarzy spojrzął daleko, w głąb ciemnego, szumiącego lasu. Po chwili, ku jego wielkiemu zdziwieniu, dostrzegł, iż z daleka pomiędzy drzewami zamigotało jakieś delikatne czerwone światełko. Wymierzył więc błyskawicznie w to miejsce swojego grotu i trzymając palec na spuście, zaczął przyglądać mu się z uwagą. Światełko to jednak bardzo szybko zgasło.

– Miko, co jest? – zapytała natychmiast Lili, gwałtownie podnosząc się z ziemi i również stawiając broń w pogotowiu.

– Nie wiem, mam wrażenie, że widziałem tam jakieś światło – wyjaśnił posępnie.

– Ja nic nie widzę...

– Ja też nie – potwierdził Buka.

– Na pewno widziałem majaczące światełko. Jeszcze parę sekund temu przemieszczało się w linii prostej na wschód.

– Może to być ktokolwiek... Leśniczy albo mieszkańcy – zauważyła Lili. – Przed chwilą odbyła się tu prawdziwa bitwa. Było głośno i może ktoś poinformował policję... Tym bardziej musimy się stąd wynosić. Jeszcze by tego brakowało, żeby zrobili nam blokady na drogach – dodała zaniepokojona.

– A może po prostu za długo byłeś dziś w noktowizorze i coś ci się przywidziało... Jakiś przeblysł albo powidok – zaproponował Buka.

– To nie żaden powidok! Na pewno coś tam widziałem! – odpowiedział wyraźnie zdenerwowany chłopak. – Może to ktoś od nich, kto nas szpieguje? Wątpię, by kręcił się tak blisko nas jakiś leśniczy albo przypadkowy mieszkaniec. Kto normalny, po usłyszeniu takich wybuchów, pchałby się w sam środek lasu?! Poza tym to kompletne odludzie – dodał z wyrzutem.

– Miko, jesteś przemęczony, a do tego w szoku! Mogło ci się wydawać. Poza tym nie mamy czasu na weryfikowanie takich rzeczy, gdyż musimy natychmiast zabrać stąd ciała i się ewakuować!

– Moim zdaniem to ten szwab z zabandażowaną mordą! Obserwuje nas teraz, bo chce się jeszcze czegoś więcej o nas dowiedzieć – zarzekał się Antek.

– Miko! Ten agent spod piramidy już dawno siedzi w bezpiecznym miejscu i zdaje relację ze zdarzenia swoim przełożonym. Zawijamy się stąd w tej chwili! To jest rozkaz!

– W takim razie wystrzelę w powietrze. Zobaczymy, jak zareaguje – odparł i nie pytając o pozwolenie, natychmiast wypuścił kilka pocisków w niebo.

Światełko znów się zapaliło, ale tym razem zaczęło szybko się oddalać.

– Teraz widzisz?! – zapytał Antek, nie ukrywając szczerego wyrzutu na twarzy.

– Tak – odparła niemal oniemiała Lili.

– W takim razie wy zabierzcie stąd ciało Fii, a ja pobiegnę to sprawdzić! – zaproponował.

– Nie! To nie jest dobry pomysł! Jeśli to rzeczywiście ten łącznik, to może być to kolejna zasadzka. Nie możemy tu zostać ani minuty dłużej! – zanegowała.

– Lili, trzeba to sprawdzić!

– Nie ma mowy!

– Lili... – nalegał Antek.

– Nigdzie nie idziesz, Miko! – zza pleców Antka odezwał się głos Abakiewicza, który chwiejąc się i kuśtykając, niczym widmo wyłonił się z zarośli.

– Chyba trochę się spóźniłeś, panie dowódco – odparł mu złośliwie niepokieszony tym, że Abakiewicz wyraźnie zaskoczył ich swoim bezszelestnym przybyciem.

– Nie ty to będziesz oceniał, Miko! Tak jak powiedziała pani kapitan, zwijamy się stąd w tej chwili! – warknął, patrząc na swojego podkomendnego spode łba.

Antek zamyślił się przez chwilę.

– Wiesz co, Abakiewicz?! – rzucił bez ogródek, z wymalowaną pogardą na twarzy. – Mam gdzieś twoje nieudolne rozkazy! Wal się! – Natychmiast, nie bacząc na konsekwencje, puścił się pędem w stronę, z której docierało nadal malutkie, migocące, czerwone światełko.

Biegł, ile sił w sforsowanych nogach, jednak po chwili światełko ponownie zgasło i nie za bardzo wiedział, w którą stronę ma się teraz udać. Założył więc ponownie gogle na oczy, jednak w trybie noktowizyjnym również niczego szczególnego nie zauważył. Przełączył zatem na tryb termowizyjny i natychmiast dostrzegł małą plamkę, szybko poruszającą się na północny wschód. Przyśpieszył i niespodziewanie wybiegł na puste, leżące odłogiem pole.

Tymczasem uciekająca termowizyjna plama oddaliła się już od niego jakieś trzysta metrów w linii prostej. Antek, wiedząc, że nie ma możliwości dogonić tajemniczego delikwenta, a jednocześnie nie chcąc, omyłkowo trafić na jakiegoś policjanta czy też ciekawskiego tubylca, krzyknął, jak najgłośniejsz potrafił:

– Kim jesteś? Stój, bo strzelam!

Wtem czerwony, niesprecyzowany kształt, który majaczył na ekranie gogli, niespodziewanie zatrzymał się i niemalże w tym samym momencie odgłosy deszczu i hulającego wiatru przeszył huk wystrzału pochodzący zapewne z jakiejś starej, myśliwskiej śrutówki. Antek poczuł bolesne szarpnięcie w okolicach lewego



biodra. Kawalki rozgrzanego metalu wbiły się pod skórę i natychmiast zaczęły palić go jak diabli.

– Pieprzony sukinsyn! – krzyknął sam do siebie i nie mając już wątpliwości co do intencji tajemniczego, wrogo nastawionego obserwatora, błyskawicznie wymierzył w jego stronę.

Niestety po naciśnięciu spustu nic się nie wydarzyło. Magazynek był już pusty.

– Niech cię szlag! – parsknął Antek, ostatecznie tracąc uciekiniera z oczu, i z wyraźnym zrezygnowaniem opuścił broń.

Po około dziesięciu minutach wrócił w końcu do miejsca, gdzie zaparkowane były range rovery. Już z odległości trzydziestu metrów dostrzegł, iż cała ekipa jest gotowa do wyjazdu. Ciało Fii i Legwana leżały bezwładnie w bagażniku, a Buka właśnie zawijał je w czarną folię.

– To ty, Miko? – zapytała ostrożnie Lili, widząc, że ktoś się do nich zbliża, i wymierzając karabin w stronę, z której dochodził odgłos ciężkiego, powolnego stąpania.

– Tak, to ja... – odpowiedział wyraźnie zrezygnowanym tonem.

– Dlaczego kulejesz i co to był za dziwny wystrzał? – zapytała, zauważając jego niezdarny chód.

– Tak jak przypuszczałem, był to ktoś, kto nas obserwował i podsłuchiwał. A do tego wypalił do mnie z jakiejś myśliwskiej śrutówki – wyjaśnił ponuro.

– Dostałeś?! – dopytywała, nie ukrywając zaniepokojenia.

– Tak, ale nie za mocno... Kilka fragmentów śrutu utknęło mi w lewym udzie – zbagatelizował.

– Dorwałś go? – wtrącił zaciekawiony Buka.

– Niestety nie... Uciekał zbyt szybko, a mi skończyła się już cała amunicja... – Westchnął, rzucając wymownie karabin na ziemię.

– Dziwne... – Lili się zamyśliła. Spakowała mokry kombinezon do plecaka i dodała: – Koleś ze śrutówką?

– Wygląda na to, że nie tylko Holda i Siłowniki obserwują to miejsce... Tutaj musi znajdować się coś bardzo ważnego... Trzeba tu będzie wrócić – zauważył Antek.

– Ale na pewno nie dziś ani nie jutro – zapobiegawczo skomentowała dziewczyna. – Poza tym ściągnij wreszcie te przemoczone ciuchy i wskakuj do auta, wyruszamy za pięć minut – ponagliła, nie odnosząc się jednak wcale do jawnego nieposłuszeństwa, jakim dopiero co się wykazał, ruszając w pościg za nieznanym.

– Dobrze, ale zanim wyruszamy, chcę najpierw zamienić kilka słów z tym kadyrowcem – zażądał. – Muszę zapytać go o jedną, bardzo ważną rzecz, nim go stąd zabierzecie – wyjaśnił.

– To niemożliwe – odpowiedziała stanowczo.

– Lili... Wiem, że nie mamy zbyt dużo czasu, ale to tylko jedno krótkie pytanie – nalegał.

– To niemożliwe, bo on nie żyje... – Dziewczyna odwróciła twarz, żeby uniknąć jego spojrzenia.

– Jak to, kurwa, nie żyje?! – wypalił agresywnie Antek, czując, że złość na nowo zbiera się w nim gwałtownie.

– Sukinsyn odgryzł sobie język, gdy Maciek zostawił go, by udać się do nas. Zanim zdążyliśmy tu wrócić, zadławił się własną krwią – oznajmiła posepnym tonem.

– Zajebicie! Po prostu świetnie! – Antek histerycznie kopnął w stojący obok, spróchniały pniak, który rozprysnął się na kawałki. – Jesteśmy w totalnej dupie! – dodał wściekle, jednocześnie celowo wypatrując w ciemnościach Abakiewicza, który teraz – jakby niepodobny do siebie – przyjął postawę człowieka, który za wszelką cenę chce zapaść się pod ziemię.

– Miko! Nie będziemy tego teraz rozsądzać... Pakuj się do auta i jedziemy! – powtórzyła groźnie Lili.

– Nigdzie nie jadę... – mruknął niespodziewanie pod nosem Antek, zastanawiając się nad czymś intensywnie.

– Że co?! – zareagowała ostro, wyraźnie zaniepokojona taką odpowiedzią pani kapitan.

– Miko, głuchy jesteś?! W tej chwili pakuj się do wozu! Bez dyskusji! – wypalił w końcu zniecierpliwiony Abakiewicz, który to tej pory o dziwo nie wtrącał się do dyskusji.

– Nie z tobą rozmawiam, skończony frajerze! – odwarknął bez zastanowienia chłopak.

– Odpowiesz za to zuchwalstwo, prostaku! Jestem twoim dowódcą, a ty od samego początku nie podporządkowujesz się rozkazom!

– Zuchwalstwo?! – Antek dziko się roześmiał, a jego jaskrawoniebieskie oczy zaświeciły się teraz jak ślepią u wygłodniałego wilka. – Nie odwracaj kota ogonem, Abakiewicz! To ty tutaj jesteś zuchwałym i zadufanym w sobie pajacem, a nie prawdziwym dowódcą! Gdybyśmy posłuchali Lili i przeprowadzili akcję według jej planu, te dzieciaki nadal by jeszcze żyły! – ryknął, wskazując ręką na czarną folię, w którą owinięte były ciała młodych agentów. – Trzeba było dyskretnie śledzić kacapów i dowiedzieć się, o czym rozmawiają z Holdą! W ten sposób wiedzielibyśmy o nich o wiele więcej! Ale ty chciałeś zrobić wielkie wejście! Chciałeś mieć swój spektakularny, legendarny debiut! No to masz! – Ponownie wskazał na ciała kolegów.

– Wszystko szło, tak jak założyłem! Z tym że Lili przeoczyła informację o tym, iż czerwoni już raz tutaj byli i dokładnie przetrzepali to miejsce – zaczął nieco panicznie tłumaczyć się młody kapitan. – Gdybym o tym wcześniej wiedział, nie wystawiłbym się przed tym Niemcem jak frajer! – dodał wściekle.

– Nie zrzucaj winy na Lili, ty zdradziecka gnido! Ten szkop od początku rozegrał cię, tak jak chciał! Informacja, o której mówisz, niczego by nie zmieniła! Z nią czy bez niej, ten cwaniaczek wyprowadziłby cię w pole, a potem odstrzelił jak psa.

– Miko, przestań! – zareagowała ponownie Lili. – Maciek ma rację... To była ogólnodostępna informacja, a ja ją przeoczyłam. Był pośpiech, a jednocześnie przesłuchiwaliśmy tego kadyrowca... Zawaliłam... Mogłam zrobić lepsze rozeznanie przed akcją – przyznała bez krzty obłudy.

– Zwariowałaś?! Przecież dosłownie w ostatniej chwili dowiedzieliśmy się o tej pieprzonej piramidzie! Skąd niby mogłaś wszystko o tym miejscu wiedzieć?! – Antek rozłożył ręce w geście bezradności.

– Wiem, co do mnie należało, i nie potrzebuję adwokata, Miko – odparła sucho.

– Ale wkrótce będziesz potrzebować, jeśli z powodu własnego zaślepienia nie przestaniesz kręcić na siebie bata! Nie widzisz, że ten laluś próbuje się teraz od wszystkiego wymigać i obraca cię przy tym wokół palca?

– Zamknij mordę, Miko, zanim będzie dla ciebie za późno – warknął ponownie Abakiewicz.

– To dla ciebie jest już za późno! Po pierwsze, to dowódca odpowiada za całość akcji, a po drugie, cała twoja koncepcja była nieprzemyślana, naiwna oraz wykonana za wszelką cenę i po łebkach – Antek parsknął śliną na prawo i lewo.

– Teraz jesteś taki mądry, Miko? A dopiero co o mało nie poszczałeś się z radości, gdy przesłuchiwałeś tego kacapa i gdy wyciągając z niego zaledwie kilka zdań, mogłeś mieć udział w tej, jak to nazwałeś, naiwnej akcji! – zripostował dowódca grupy krakowskiej.

– Bo robiłem, co mogłem, żeby ratować ten twój zasrany plan! I nie wytykaj mi, że źle go przesłuchałem, bo ty, nieudolna arystokracino, nawet nie potrafiłaś go na chwilę przypilnować! Dzięki tobie mamy teraz gówno, a nie świadka! – nieustępliwie wytykał błędy chłopak.

– Ja nie jestem tu od pilnowania jeńców! – oburzył się Abakiewicz, jakby publicznie zlekceważono jego niepospolite pochodzenie.

– A ja myślę, że po tym jak popisałeś się swym dowódczym kunsztem, twoim zasranym obowiązkiem było jedynie siedzieć tu na dupie i pilnować cennego

świadka! Mogłeś tej nocy zrobić choć jedną pożyteczną dla nas rzecz, ale to też spierdoliłeś!

– Koniec kłótni! – wrzasnęła w końcu Lili. – Będziemy to wszystko omawiać przed naszymi przełożonymi! A teraz, Miko, wskakuj do auta! Natychmiast! – zażądała.

– Powiedziałem już, że nigdzie z wami nie jadę!

– Jeżeli teraz zdezerterujesz, Miko, to cię legalnie rozwalę! – zagroził Abakiewicz, wyjmując pistolet z kabury i wymierzając go w Antka.

– Miko! Posłuchaj go i wsiadaj! – powtórzyła coraz bardziej zaniepokojona takim rozwojem sprawy dziewczyna.

– Nie rozumiesz, Lili, że ja nie mam dokąd wracać? – wyznał szczerze chłopak.

– Co to za brednie?! Oczywiście, że masz! Udowodniłeś dziś, że jesteś doświadczonym i skutecznym agentem. Możesz być pewny, że uczciwie uwzględnię to w moim raporcie – zapewniła.

– Czy ty urwałaś się z choinki? – zapytał Antek, robiąc przy tym totalnie zszokowaną minę. – Czy już całkowicie straciłaś kontakt z rzeczywistością? Przecież przez tego kretyna – wskazał ręką na Abakiewicza, który nadal z rozwścieczoną miną celował w jego stronę – który chciał pobawić się w Jasona Bourne’a, mamy tu dwóch nieżyjących, dopiero co wyszkolonych agentów, a nasz największy wróg wie o nas więcej niż kiedykolwiek wcześniej! Nie łudź się, Lili, każdy z nas za to odpowie, ale możesz być pewna, że on już znalazł sobie kozła ofiarnego i dlatego najbardziej odpowiem za to ja!

– Uspokój się, Miko! Wszystko przedstawimy w raportach, tak jak było! Na pewno nie poniesiesz odpowiedzialności za tę akcję! – zapewniała pani kapitan, jednak na jej twarzy nie było już widać ani grama wiary w to, co mówi.

– Powiem ci, jak będzie, Lili. Paprocki odetnie się od was, a ode mnie odetnie się Różewicz, który dał mi kredyt zaufania i nadstawił za mnie głowę. Jak tylko wrócimy, od razu rozwiążą waszą grupę, a was wyślą na szkolenia karne i dotkliwie zdegradują. Z kolei mnie zabiorą na niekończące się przesłuchania

i dzięki uprzejmości twojego kochasia wezmą za potencjalnego kreta, który zjawiając się nagle w organizacji jako dywersant, rozwalił najbardziej priorytetową akcję od środka. Jestem pewien, że on już się o to wszystko postara... – Ponownie wskazał na Abakiewicza, który słysząc te słowa, przybladł, a jego złośliwy grymas nagle zamienił się w nieznaczny przestech.

– Nie świruj, Miko! Nawet jeśli tak by było, są jeszcze przecież moje zeznania...

– Za które kolejny raz posądzą cię o współpracę ze mną!

– W takim razie co chcesz teraz zrobić? – zapytała Lili, rozkładając w końcu ręce i dając do zrozumienia, że nie ma siły przedstawiać mu kolejnych argumentów.

– Chcę doprowadzić tę sprawę do końca, inaczej nie mam po co wracać do organizacji... – wyjaśnił.

– Nigdzie nie idziesz! – natychmiast wtrącił się Abakiewicz.

– Bo akurat ty mnie, łajzo, zatrzymasz... – Antek roześmiał się szyderczo.

– A żebyś wiedział! Bo może rzeczywiście od początku to ty jesteś tutaj pieprzonym kretem! Dziwnym zbiegiem okoliczności, odkąd się u nas pojawiłeś, wszystko zaczęło się w naszej grupie sypać! Teraz zaś, gdy już zrobiłeś swoje, czmychasz nie wiadomo gdzie jak szczur! Paprocki miał rację: siejesz zamieszanie i dywersję, bo jesteś podstawiony przez ruskich!

– Maciek, przestań! – ostro zareagowała na to Lili.

– A ty co, znów go bronisz?! – wzburzył się Abakiewicz, a na jego twarzy na powrót zawitał wściekły grymas.

– Nie bronię go, tylko mówię, jak było! Zapomniałeś już, że on uratował ci dzisiaj życie?! Gdyby we właściwym momencie nie odstrzelił tego snajpera, zbierałabym teraz twoją głowę do wiaderka – warknęła z wyrzutem.

– Aha! Czyli jednym słowem, jesteście bohaterami dnia, za to śmierć Fii i Legwana to tylko moja wina. Szkoda tylko, że to nie ja byłem w pobliżu nich, gdy

ginęli... Zresztą, co tu kryć... Coraz bardziej zaczyna mi śmierdzieć ta wasza dziwnie zażyła znajomość... – wycedził zajadle młody dowódca.

– Maciek! Powiedziała ci, przestań pieprzyć! – oburzyła się dziewczyna, łypiąc na swojego partnera jak wygłodniała lwica.

– Ha! A nie mówiłem?! On już sobie przygotowuje w tej swojej przebiegłej główce odpowiednią dla siebie linię obrony... To zwykły, zakłamany tchórz i sukinsyn – wtrącił Antek, śmiejąc się złośliwie.

– Ty też się zamknij, Miko! – zwróciła się do chłopaka z równie groźną miną Lili. – I nie martw się o swoją skórę – zapewniła po raz kolejny – pomogę ci się z tego wygrzebać, ale musisz zacząć słuchać naszych rozkazów! Pomimo tego, co się dzisiaj stało, Maciek i ja jesteśmy twoimi dowódcami! Dlatego ostatni raz powtarzam: przebieraj się i włącz do tego cholernego auta!

– To zwykły oszust, a nie dowódca... Prawda jest taka, że gdyby nie zakulisowe działania tego karierowicza, to ty dzisiaj byś nami dowodziła... Zaprzeczysz temu, Abakiewicz? – zwrócił się do młodego kapitana z celową dociekliwością Antek, a Lili natychmiast zauważyła, że po tych słowach kapitanowi gwałtownie zadrżała dłoń, w której kurczowo trzymał wymierzony w chłopaka pistolet.

– O czym tym mówisz, Miko?

– O niczym... Pozwól, że wezmę z auta moje rzeczy, i zabieram się stąd – zbagatelizował chłopak i udając, że tematu nie było, odwrócił się w stronę bagażnika, w którym schowany był jego plecak.

– Antek! Co chciałeś w ten sposób powiedzieć? – naciskała dziewczyna.

– Lili, nie widzisz tego, że on od początku celowo mąci, żeby nastawić nas przeciwko sobie? – żarliwie przekonywał wyraźnie zdeprimowany takim obrotem sprawy Abakiewicz.

– Nie ciebie pytałam – rzuciła lekceważąco pani kapitan.

– To wasza sprawa, wyjaśniajcie ją między sobą... – dodał niedbale Antek.

– Antek! Nie wkurzaj mnie! W tej chwili skończ, co zacząłeś! – zażądała.

– Okej! Jak sobie chcesz! – zgodził się w końcu, szczerze żałując, że w ogóle rozpoczął ten temat. – Miałem trzymać język za zębami, ale skoro ten kretyn nie daje za wygraną, to mogę powiedzieć, że odebranie ci dowództwa to wyłącznie jego sprawka! – odparł i jak gdyby nigdy nic zabrał się za pakowanie swojego plecaka.

– Jak to?! O czym ty mówisz? – oburzyła się dziewczyna, robiąc szczerze zaskoczoną minę.

– Lili, on łże jak pies! Mąci i kręci od samego początku! Robi dokładnie to, co powinien robić każdy kret! – nieustannie zarzekał się kapitan, jednak w jego tonie nie było już słycać dawnego przekonania.

– Jedyną osobą, która tutaj mąci, jesteś ty, Abakiewicz! – odpowiedział na to Antek, lekceważąco nie przerywając jednak pakowania się i nie spoglądając nawet na swojego dowódcę. – Wiem, że celowo razem z Paprockim oczerniliście Lili i podstępnie podważyliście jej kompetencje przed całym dowództwem. Wszystko po to, by na twoją korzyść odsunęli ją od dowodzenia. Zdradziecko dogadaliście się za jej plecami i upiekliście tym samym dwie pieczenie na jednym ogniu: Paprocki mógł odegrać się na Lili za skompromitowanie go nieudaną akcją w Bieszczadach, za to ty dostałeś w końcu swoją szansę na rozpoczęcie z wielkim hukiem kariery dowódcy – wyznał szczegółowo.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała zdruzgotana tymi rewelacjami dziewczyna.

– Słyszałem rozmowę, jaką obaj odbyli z generałem Walewskim, gdy poprzedniej nocy wertowałem akta Czerwonych Siłowników w bibliotece – wyjaśnił.

– Lili, nie słuchaj go! To pieprzony łgarz! Wymyślił sobie na poczekaniu tę historyjkę – zarzekał się kapitan, jednak po jego minie widać było, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż tym razem nikogo już nie przekona.

Dostrzegając to, Antek postanowił więc do końca wykorzystać sytuację i dołożyć jeszcze kilka ciepłych słów swojemu uzurpowanemu dowódcy:



– No to powodzenia, panie kapitanie! – Roześmiał się, zarzucając plecak. – Może jeszcze uda ci się uratować swoją wątpliwą karierę odpowiednio przedstawionymi zeznaniami na mój temat! – zakpił i odwracając się plecami do swoich dowódców, ruszył powoli na północ.

– Stój, bo ci rozwalę łeb za dezercję! – wrzasnął na to ogarnięty niemalże białą gorączką Abakiewicz.

Pomimo otaczających ich ciemności bez problemu można było dostrzec, że jego źrenice niemal wychodzą z orbit w piekielnej wściekłości.

– A strzelaj sobie, frajerze... W końcu zostało ci jeszcze trochę czarnej folii na kolejnego trupa... – odparł chłopak całkiem już spokojnym tonem i nie odwracając się za siebie, zniknął w leśnym gąszczu.

# Państwo Aristow

Tandetny chiński zegar z kukułką, zawieszony na lekko zgrzybiałej ścianie hostelowego pokoju, właśnie wybił południe, a z oklejonego taśmą, wiekowego już radiodbiornika popłynęła melodia hejnału mariackiego, nadawanego przez Program Pierwszy Polskiego Radia. Antek, leżąc w starej, odrapanej wannie wypełnionej wodą po same brzegi, usłyszał ostry dźwięk trąbki i nerwowo przebudził się z nieplanowanej drzemki.

– Już dwunasta? – zdziwił się, kątem oka zerkając na zegar przez uchylone drzwi zaparowanej łazienki. – Przydałoby się coś wrzucić na ruszt... – mruknął do siebie, odkręcając stopą kurek z gorącą wodą i jednocześnie odpalając papierosa.

Złapał do płuc głębokiego bucha i z lubością wypuścił dym, odchylając głowę do tyłu. Następnie leżał tak jeszcze przez chwilę i patrzył w obrośnięty pleśnią sufit, napawając się przyjemnymi dreszczami, które wywołał otaczający go z wolna, gorący strumień wody, wirujący w wystygniętej, gdyż napełnionej już ponad godzinę temu, wannie.

Nagle po obskurnym apartamencie poniósł się donośny dźwięk pukania do drzwi:

– Proszę przyjść za pół godziny! Teraz biorę kąpiel! – zawołał donośnie, jednakże pukanie powtórzyło się i to ze zdwojoną mocą. – Dobra! Dobra! Już idę! – warknął zniecierpliwionym głosem, niezadowolony z tego, że ktoś przerywa mu chwilę zasłużonego relaksu po dwóch wyjątkowo trudnych i nieprzespanych nocach.

Przepasał się więc ręcznikiem, przechylił w gardziel butelkę whisky – która stała na mokrej posadzce – i z odbezpieczonym pistoletem za plecami udał się powoli w stronę drzwi.

– Kto tam?! – zapytał niezbyt przyjaznym tonem, opierając się barkiem o futrynę.

– Mam nadzieję, że masz coś na sobie, bo w przeciwnym wypadku nie zamierzam wchodzić do środka! – zza drzwi dobiegł go jak zwykle przemądrzały głos Lili.

Zaskoczony tym Antek natychmiast otworzył drzwi i bez wahania wymierzył do dziewczyny z pistoletu. Oboje patrzyli na siebie przez kilka sekund, po czym chłopak, trzymając papierosa w ustach, zapytał szorstko:

– Kto jeszcze jest tutaj z tobą?

– Nikt, jestem tu sama! Odłóż tego gnata, głupku... – wypaliła, odpychając go ręką i władczo wkraczając do środka.

Antek wychylił się i rozejrzał podejrzliwie po obu stronach korytarza, ale nie dostrzegłszy nic niepokojącego, zamknął na powrót drzwi.

– Jak mnie tutaj znalazłaś? – zapytał nadal nieufnie.

– Zapomniałaś już, że miałam zamiar na twój smartplaster?

– To niemożliwe... Zresetowałem go do ustawień fabrycznych i ponownie zainstalowałem mu *Fantomasa* – zaprzeczył Antek.

– Zrobiłeś to, dopiero gdy dotarłeś z powrotem do Sztynortu. Nietrudno było mi się domyślić, w jakim lokalu się zakwaterujesz – odpowiedziała z wyraźną satysfakcją.

– Po co tu przyjechałaś? Chcesz wywiązać się z przysięgi, która nakazuje ci mnie zlikwidować w wypadku zdrady, czy może przysłał cię ktoś z góry? Widziałaś się już z dowódcami? – z nieukrywaną nieufnością wypytywał chłopak, podświadomie rozmasowując obszerny krwiak będący skutkiem kuli, która trafiła go w kamizelkę poniżej klatki piersiowej.

– Spokojnie, z nikim się nie widziałam i nikt mnie nie przysłał – zapewniła Lili. – Po prostu przemyślałam sobie to, co powiedziałaś, i gdzieś w połowie drogi do Gołuchowa zawróciłam do ciebie.

– Do mnie? Hmm... – Chłopak zamyślił się, szczerze zdziwiony i jednocześnie nieco rozbawiony zaskakującą deklaracją.

– Myślałam, że będziesz bardziej zadowolony... – skomentowała szorstko dziewczyna, niepoczyszona tak zdystansowaną reakcją Antka.

– Zadowolony? A niby z czego? – odburknął z wyrzutem.

– Że nie zostajesz sam na sam z tą całą popapraną sprawą... – wytłumaczyła, ewidentnie tracąc już swoją i tak wiszącą na włosku cierpliwość.

– To znaczy z jaką sprawą?

– Boże, Miko, jaki ty czasem jesteś oporny! Przecież powiedziałeś, że chcesz doprowadzić tę sprawę do końca, prawda? Skoro więc nasza sytuacja i tak już jest beznadziejna, a nasze kariery, jak sam wczoraj stwierdziłeś, definitywnie skończone, to pomyślałam, że skoro nie mam już nic do stracenia, spróbuję pomóc ci to wszystko naprawić – wyjaśniła, kończąc swój wywód ciężkim, zniecierpliwionym oddechem.

– No... teraz, gdy po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie stawiałaś się przed dowództwem i zdezerterowałaś, rzeczywiście nie masz już nic do stracenia... – Roześmiał się, odzyskując w końcu nieco dobrego humoru.

– Nie zdezerterowałam! – oburzyła się Lili.

– Ale jeśli twój kochaś przedstawi swoją wersję wydarzeń komu trzeba, to możesz być pewna, że wyślą po nas egzekutorów.

– Zwariowałaś? Nie przesadzaj... Zbyt dużo znacę dla tej organizacji, żeby mnie tak po prostu zlikwidowali bez zapoznania się ze sprawą – prychnęła z wyższością.

– Mimo to nie będą zachwyceni twoją samowolką i tym samym nie ułatwią ci działania na własną rękę...

– O to się nie martwię... Skoro tak nierozgarnięty agent jak ty radzi sobie w takich okolicznościach, ja tym bardziej nie będę miała z tym problemu. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Okej, jak tam chcesz... Ale sama się na to piszesz! I żeby nie było do mnie pretensji, jak coś pójdzie nie tak – odparł Antek, podnosząc ręce w geście niewinności.

– Dobra, dobra... Nie jestem małą dziewczynką, a ty nie zgrywaj mojego tatusia... – zachnęła się. – A w ogóle, to jadłeś cokolwiek od wczoraj? – dodała już o wiele przyjaźniej.

– Nie – odparł krótko chłopak, zaskoczony tą niespodziewaną zmianą tonu.

– Kupiłam po drodze jakąś chińszczyznę. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt wybredny, bo prawdę mówiąc, trochę ostygła, zanim cię tu znalazłam – oznajmiła, kładąc na odrapanym stoliku zapakowane w przezroczystą siatkę dwa plastikowe pudełka.

Koniec świata... – pomyślał w duchu Antek, patrząc na Lili i nie wierząc własnym oczom. Jego dotychczas wyjątkowo nieprzejednana przełożona – dla której jeszcze niedawno był najbardziej znenawidzoną osobą na świecie – nagle liczy się z jego zdaniem i przyjeżdża do tego zapchlonego, mazurskiego kurwidołka, przywożąc dla niego jedzenie. Jakby tego było jednak mało, po raz pierwszy od początku swojej służby, ryzykując życie, jawnie nie podporządkowuje się rozkazom swoich dowódców...

– No więc jak? Dalej będziesz stał w tym ręczniku i gapił się na mnie jak krety czy polejesz mi w końcu coś mocniejszego? – zaproponowała, przerywając niezręczną ciszę. – Wiem, że coś piłeś, bo jedzie od ciebie gorzelnią na kilometr – dodała, szybko wyrywając Antka z zamyślenia.

Po kilku minutach siedzieli już razem na starych, wysłużonych fotelach i zajadając się makaronem z wołowiną, pociągali z butelki, żywo dyskutując:

– Dlaczego wróciłeś akurat do Sztynortu? – zapytała Lili.

– Najciemniej pod latarnią. Poza tym wydaje mi się, że nie sprawdziliśmy jeszcze tutaj wszystkiego... – wyjaśnił.

– To znaczy czego?

– Mam wrażenie, że spotkaniem pod piramidą zainteresowaliśmy się nie tylko my, Holda czy Siłownicy...

– Mówisz o tym człowieku, który obserwował całe zdarzenie, a na końcu do ciebie wystrzelił? – domyśliła się.

– Tak. Czuję, że to był ktoś niezwiązany ani z Holdą, ani z kacapami – zapewnił.

– Ale kto mógł się jeszcze tutaj pojawić? Wywiad litewski, białoruski? A może ktoś z Zachodu? – głośno zastanawiała się dziewczyna.

– No co ty, Lili... Jaki znowu wywiad... Ze strzelbą i śrutem? Daj spokój... Żadne oficjalnie działające zagraniczne służby nie zbliżyłyby się do tak niebezpiecznego towarzystwa z amunicją na borsuki... – zaśmiał się Antek.

– No to kto, do cholery? Gajowy? – Lili również parsknęła śmiechem.

– Oczywiście nie można zaprzeczyć, że mógł być to ktoś z tubylców... ale z pewnością nie był to zwykły cywil, gdyż miał na tyle odwagi, aby obserwować nasze starcie, i na tyle przebiegły, żeby pozostać przy tym prawie niezauważonym.

– Czyli jednym zdaniem: wyszkolony gość, który dobrze znał teren i najwyraźniej w jakiś niewyjaśniony sposób wyniuchał, że coś dzieje się pod piramidą – podsumowała dziewczyna. – Masz na myśli jakiegoś starego resortowca? – zapytała w zamyśleniu, po czym spoglądając ponownie na Antka i nie czekając na jego odpowiedź, zaczęła wymieniać swoje propozycje: – Esbek? Emerytowany milicjant albo wojskowy?

– Milicjant z pewnością nie, to nie ta liga – zdecydowanie zaprzeczył Antek. – Raczej obstawałbym za tym, iż to ktoś z ostatnich leśnych dziadków z SB albo nawet z samego WSI. W końcu tylko ludzie z bezpieki albo komunistycznego wywiadu wojskowego, jako moskiewskie pacholki pośrednio związane ze

środowiskiem Siłowników, mogli coś na temat tego miejsca, jak to zgrabnie ujęłaś, wyniucać – wyjaśnił.

– Tylko jakim cudem miałyby trafić do nich informacja o spotkaniu, o którym nie wiedziała nawet większość niewtajemniczonego w struktury Siłowników personelu Łubianki? Przecież komunistyczne służby Polskiej Republiki Ludowej nigdy nie miały na Kremlu aż takich chodów...

– Właśnie nad tym zastanawiałem się rano, w trakcie wyciągania sobie śrutu z nogi, i chyba wpadłem na pewien trop... – wyznał Antek.

– W takim razie zamieniam się w słuch – odparła Lili.

– Ooo! To chyba jakaś nowość – skomentował z przekąsem.

– Korzystaj, pókim miła, i lepiej mnie nie drażnij – surowo ostrzegła dziewczyna, ale na jej twarzy ponownie pojawił się nieznaczny uśmiech.

– Właśnie taki mam zamiar.

– No więc mów! Co wykminiłeś?

– Przejrzałem rano trochę informacji o tej piramidzie. Rzeczywiście Rosjanie odwiedzili to miejsce w czterdziestym piątym, beczeszcząc i plądrując grobowiec pruskiego barona.

– No i?

– No i doszedłem do wniosku, że wraz z czerwonoarmistami mogli pojawić się tam przecież także przywiezieni na sowieckich czołgach nowi, polskojęzyczni zarządcy stalinowskiej Polski.

– To bardzo możliwe... – Lili pokiwała potwierdzająco głową. – W końcu bająnskie posiadłości i mauzolea wielkich magnatów to zbyt intratne miejsca, by po wygranej wojnie nowe, „nastojaszczę” władze nie miały się nimi osobiście zainteresować...

– Otóż to... tylko dlaczego, zakładając oczywiście, że był to jakiś młodszy sukcesor tego bezpiecznego środowiska, nagle wrócił tu akurat wczoraj? I to dokładnie w tym samym czasie co Holda i Siłowniki? Tym bardziej że wiadome było, iż wiele lat wcześniej ich sowieccy towarzysze przeszperali to miejsce,

niczego szczególnego nie znajdując – zapytał Antek, jednak powiedział to takim tonem, jakby już dawno znał odpowiedź i tylko czekał, by Lili sama na nią wpadła.

– No właśnie! Skąd ten ktoś wiedział o wczorajszym miejscu i czasie spotkania? Przecież żeby posiadać taką wiedzę, musiałyby również doskonale znać Czerwone Siłowniki i mieć od nich jakiś przeciek – dodała niepewnie dziewczyna, z miną oczekującą potwierdzenia, czy aby idzie to w parze z tokiem myślenia Antka.

– Powiem więcej – Antek zaśmiał się tajemniczo – jestem przekonany o tym, że ten ktoś nie tylko wiedział, kim są Siłowniki, ale także po co się tam pojawili i czego szukali – dodał z wyraźnie bijącą od niego, niezachwianą pewnością siebie.

– Chwila, chwila... – Lili roześmiała się lekceważąco. – Twierdzisz, że ten gość znalazł się tam dlatego, że wiedział o pozostawionej przez barona wzmiance na temat Polonorum? – dodała z niedowierzaniem.

– Dokładnie tak! – Chłopak klasnął w ręce, jakby nagradzając tym samym spostrzegawczość swojej pani kapitan. – I to właśnie staram ci się od samego początku rozmowy uświadomić – dodał, odgrywając przy tym nonszalanckie, intelektualne zlitowanie nad skołowaną koleżanką.

– Chyba zwariowałeś – skwitowała chłodno, jakby lekko dotknięta tym zbyt dosadnym komentarzem.

– No skoro miał przy sobie broń i znał miejsce, w którym miały spotkać się Holda i Siłowniki, oczywistym jest, że musiał również wiedzieć, w jakiej sprawie... – dedukował Antek.

– Niiieeee... No co ty... To niemożliwe! Chyba zbyt daleko odleciałeś, Miko, w tym swoim dochodzeniu. – Dziewczyna pokręciła negująco głową, jednocześnie zdrowo pociągając z gwinta.

– Okej, czyli rozumiem, że według ciebie był to gajowy albo przypadkowy myśliwy, który zagubił się w lesie w trakcie nagonki? – odparł jej równie prześmiewczo.



– Nie! Wcale tak nie uważam... – zaprotestowała, zdając sobie sprawę, jak nierealnie to zabrzmiało. – Jednak według tego, co mówisz, musiałyby to być ktoś od nas... Nie ma takiej możliwości, żeby ktokolwiek inny, nawet ze starych, polskich komunistycznych służb, wiedział cokolwiek o Polonorum – skwitowała.

– Ale ja właśnie miałem na myśli kogoś od nas... – przytaknął. – Oczywiście w pewnym sensie... – dodał tajemniczo.

– Myślisz, że Walewski wysłałby za nami kontrwywiad? – zapytała niepewnie Lili.

– Kontrwywiad?! – roześmiał się Antek. – Z amunicją na lisy i jenoty? Śrut, który wyciągnąłem z mojego uda, miał średnicę niewiele ponad cztery milimetry... – dodał z rozbawieniem.

– No tak... Nikt od nas nie przyjechałby tu z takim sprzętem... – przyznała, uderzając się wymownie w czoło.

– Ja, co prawda, jestem jeszcze krótko w organizacji, ale też o takowym nie słyszałem – przytaknął Antek, uśmiechając się pod nosem.

– No to kto jeszcze według ciebie mógłby posiadać jakieś wzmianki o nas, nie będąc jednocześnie wysłanym tam z ramienia Siłowników? – zastanawiała się gorączkowo, czując pewien intelektualny dyskomfort spowodowany tym, iż jej podwładny zdawał się celowo przeciągać tę satysfakcjonującą go grę w zgadywanki.

– Lili, błagam cię... – skomentował chłopak, ponownie kręcąc z politowaniem głową.

– No co?! – obruszyła się w końcu dziewczyna, tracąc resztki cierpliwości.

– No to, że kazaliście mi ślęczeć całą noc nad aktami Meteora, a teraz sama pytasz mnie, kto mógł jeszcze o nas wiedzieć i wynieść tę informację poza mury organizacji...

– Chcesz powiedzieć, że to Katnic? – wypaliła dziewczyna, o mało nie krztusząc się makaronem.

– To on zmartwychwstał?! – odparł żartobliwie Antek, jednak natychmiast powstrzymał śmiech, gdyż zauważył, że Lili wcale się to nie spodobało.

– Nie, głupku, nie mam na myśli jego osobiście, ale to, że mógł jednak przekazać komuś jakąś wiedzę na nasz temat...

– Wiem, Lili, żartuję sobie... – Zaśmiał się, ale tym razem już nie zadziornie, ale całkowicie szczerze i przyjaźnie. – Rozbawiło mnie tylko czekanie, aż sama do tego dojdiesz... – przyznał z przekąsem, racząc się słuszną porcją trunku.

– Z tym że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie leżałam cały ranek w wannie i nie rozmyślałam nad tym godzinami... – odgryzła się dziewczyna, ale na jej usta o dziwo również powrócił uśmiech.

– Dlatego, moja droga, to jeszcze nie koniec nurtujących mnie w tej sprawie nieścisłości i zagadek, z którymi próbowałem się w tej wannie zmierzyć – zapewnił z rozbawieniem.

– Co masz na myśli?

– A nie zdziwiło cię, dlaczego czerwonoarmiści, a wraz z nimi zapewne również i NKWD, drobiazgowo penetrując ten grobowiec w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, nie znaleźli tam żadnych informacji od von Fahrenheida? – zapytał Antek, budząc w sobie tajemniczy ton.

– No rzeczywiście... To trochę dziwne... Przecież tak wpływowa persona, jak ten cały baron, z pewnością nie bawiłaby się w jakieś niepoważne ceregiele, wysyłając obcemu wywiadowi w liścikach urojone historie o ukrytych we własnym grobie rewelacjach na temat śmiertelnie niebezpiecznej dla obu zaborców polskiej tajnej organizacji.

– No więc dlaczego jej wtedy nie znaleźli? – dociekał chłopak.

– Nie wiem... Była zbyt dobrze ukryta? – gorączkowo zastanawiała się Lili.

– No co ty... Radziecka swołocz potrafiła nawet odcinać nieboszczykom głowy i grzebać im w bebeczach, byleby tylko znaleźć tam coś cennego... Myślisz, że w swoim padlinożernym i szabrowniczym cugu nie natrafiłaby na celowo umieszczoną tam wiadomość?

– Czyli, że ktoś wcześniej ją stamtąd usunął? – odpowiedziała pytaniem na pytanie dziewczyna.

– Niby kto?

– Jacyś przyjaciele von Fahrenheida albo ktoś z naszych agentów, których baron zdemaskował? – analizowała.

– Raczej wątpię, by ktoś z jego przyjaciół o tym wiedział, skoro baron dla bezpieczeństwa zwrócił się z tym aż do obcego wywiadu...

– No tak... Wspominał o tym Czeczen... – przypomniała sobie Lili.

– Z kolei nasi ludzie – kontynuował Antek – też nie mogli o tym wiedzieć, gdyż w przeciwnym wypadku odnaleźliby tę wiadomość i byłoby nam o tym wiadomo do dziś – wyjaśnił. – Ale co, jeśli ta informacja o Polonorum w trakcie przeczesywania tego miejsca rzeczywiście tam była i czerwonoarmiści się na nią wtenczas natknęli? – zapytał tajemniczo.

– Jeśliby tak było, to akcję u Sowietów musiał nadzorować ktoś, komu zależało na tym, by te znalezione informacje nie wyszły na światło dzienne i by natychmiast zamknąć tą sprawę, uznając ją za zwykły fake news... – zauważyła dziewczyna.

– No... Myśl dalej, myśl dalej... – zachęcał Antek.

– Czyli musiał to być ktoś, kto nadzorował plądrowanie piramidy i natrafiając na te informacje, celowo zataił je przed swoimi mocodawcami z Kremla – dodała nieśmiało.

– No właśnie. A komu z czerwonoarmistów zależałoby na tym, aby w Związku Radzieckim nigdy nie usłyszano historyjki o jakimś dziwnym, nieznanym dotąd Polonorum? Jaki dowódca albo komisarz zaryzykowałby w tamtych czasach życie, zachowując za wszelką cenę tak na pozór idiotyczne informacje dla siebie, jednocześnie ukręcając tej sprawie łeb? – dodał, ponownie promieniejąc pełnią satysfakcji.

– Czyli znów trop prowadzi do Katnica... – słusznie odgadła Lili.

– Wszystko na to wskazuje – przytaknął Antek. – Jednak tym razem do niego osobiście... Bo tylko on wówczas o nas wiedział i tylko on miał wystarczające

możliwości, aby skutecznie przechwycić i zataić te doniesienia przed koleżkami z Czerwonych Siłowników oraz swoim głównym mocodawcą, czyli samym Stalinem... W przeciwnym razie, jako wychowanek Polonorum i zarazem jego niegdysiejszy agent wprowadzony jako kret w szeregi Siłowników, skończyłyby w piecu hutniczym – dodał, wrzucając do ust ostatni kęs orientalnej wołowiny.

– Chyba masz rację. Wygląda na to, że to najrozsądniejszy trop... Muszę przyznać, że trochę cię nie doceniałam, Miko – wyznała z nieudawanym podziwem Lili, również zgarniając pałeczkami do ust resztki błyszczącego od tłuszczu makaronu.

– Spokojnie... Wstrzymaj się z tymi komplementami, póki nie dojdziemy do tego, z jakiego środowiska pochodził ten nieznajomy obserwator, skąd wiedział o spotkaniu i czy rzeczywiście otrzymał kiedyś od Katnica jakąś informację na nasz temat.

– Jeśli uważnie słuchałeś na odprawie, to wiesz, że istnieje wzmianka, iż Katnic prawdopodobnie miał jakiegoś potomka – zauważyła Lili.

– O to się akurat nie martw... Potrafię słuchać ze zrozumieniem, nawet tak przynudzających gości jak generał Maj – zażartował Antek, mrugając do dziewczyny.

– Ten potomek Katnica mógłby być naszym kolejnym punktem zaczepienia – zaproponowała, dając do zrozumienia chłopakowi, że nie tylko on na coś wpadł.

– Owszem, mógłby być, ale myślę, że to dopiero wierzchołek góry lodowej – odpowiedział filozoficznie.

– W takim razie co robimy?

– Jak to co? Jedziemy do Moskwy! Trzeba sprawdzić, kto dokładnie zorganizował spotkanie pod piramidą i czy poinformował jeszcze kogoś, kto mógł znać Katnica. Zaczniemy od adresu, który wyśpiewał nam Rusłan – oznajmił, przechylając kolejny, sowity łyk bursztynowego płynu, a następnie podając go Lili.

– Krasnogorsk, ulica Karbysheva, siedziba Atom Bank of Siewiersk – wyrecytowała dziewczyna, nadzwyczaj ochoczo przejmując butelkę.

– Dokładnie – potwierdził, po raz pierwszy prawdziwie rad z tego, że spędza czas w towarzystwie swojej pani kapitan.

– Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że o ile Buka nie przekona przełożonych do naszych dobrych intencji, to lada moment będziemy mieć na karku całe Polonorum?

– Wyobraź sobie, że to dla mnie żadna nowość. Przeżyję i tym razem... – zapewnił.

– No tak... Przeżyjesz, bo to nie ja cię będę ścigać! – zaznaczyła.

– Uff... Od razu mi lepiej – przekomarzał się, szczerze rozweselony Antek.

– A tak na serio, to trzeba to jakoś zorganizować... Holda na pewno powiadomiła już czerwonych o tym, że przechwyciliśmy ich agenta, więc będą się mieć na baczności. I musimy gdzieś skombinować lewe dokumenty. – Lili prędko wróciła do swojego pouczającego, surowego tonu.

– Bądź spokojna... Mam już pewien plan, ale zanim go uruchomimy, najpierw zszyciesz mi kilka niewielkich ran po tym myśliwskim śrucie, a potem pójdziemy się czegoś napić w pobliskim barze, w końcu wypiął mi już połowę whisky, które miałem przeznaczone na cały wieczór.

– A więc to tak... Chciałeś się znieczulić przed szyciem, cykorze... – zadrwiła już zdecydowanie lekko wstawiona.

– Nie odwracaj kota ogonem... Zaraz zobaczymy, jakie masz umiejętności chirurgiczne.

– Nasz egzamin z medycyny zdałam na dziewięćdziesiąt pięć procent, ale zaznaczam, że nie byłam wtedy po pół litrze szkockiej... – wyznała i natychmiast wybuchła śmiechem.

– Doprawdy pocieszające...

– A gdzie ty w ogóle chcesz iść do tego baru? – dodała z żywym zaciekawieniem, ale i nieznacznym zaniepokojeniem tak śmiałą propozycją.

– Tu niedaleko... – odparł zdawkowo.

– No... Ja chętnie zmieniałabym to obskurne lokum, ale nie wiem, czy w naszej sytuacji to bezpieczne... Lepiej się zbytnio nie wychylać... Holda, Siłowniki, a także nasi mogą teraz obserwować najbliższą okolicę – przestrzegła.

– Nie bój nic... Chcę się tu tylko trochę rozejrzeć... Zresztą sprawdzałem i nie ma tam żadnych przemysłowych kamer. To totalna speluna o przytulnej nazwie Pod Lepkimi Rączkami. Spodoba ci się – wyjaśnił z zadowoleniem.

– No tak... Mogłam się domyślić... Najpierw gościsz mnie w tym zatęchłym apartamencie, następnie zabierasz do równie prestiżowego lokalu... – zadrwiła, ale z nadal niegasnącym i zarazem niepodobnym do niej rozbawieniem oraz jakimś niespotykanym dotąd błyskiem w oczach, który sprawiał, że Antkowi robiło się coraz cieplej i cieplej „we wnuku”, jak mawiają górale.

– Nie marudź i zabieraj się za cerowanie mojej cennej nogi – zarządził Antek, podając jej igłę i nić chirurgiczną. – Im szybciej skończysz, tym szybciej wyjdziemy na miasto – dodał, niezmiernie zadowolony z nawiązania przyjacielskich relacji ze swoją niegdysiejszą oprawczynią.

\*\*\*

Dochodziła godzina trzecia po południu. Dwójka działających na własną rękę agentów Polonorum siedziała sobie wygodnie w kącie zadymionej, miejscowej speluny i rozpracowywała kolejną butelkę.

– Wypijmy raz jeszcze za pamięć Fii! – zaproponował zmęczonym głosem Antek i delikatnie uniósł szkło.

To samo natychmiast zrobiła Lili, dodając:

– Wiesz, Antek... Pamiętam, że Fija bardzo długo nie mogła zdać egzaminów... Niestety nie miała jakichś specjalnych predyspozycji do tej roboty... Była jednak uparta i nadrabiała wszystko ciężką pracą. Z początku zaproponowano jej nawet robotę wtyczki w jakiejś zagranicznej administracji państwowej. To byłaby wygodna i spokojna robota, ale ona za wszelką cenę chciała być w jednostce operacyjnej i koniec końców postawiła na swoim...

– Zachowała się bardzo odważnie, do samego końca... – przyznał szczerze chłopak. – Od rana dopadają mnie myśli, że gdybyśmy się do niej nie przedostali, to Fija nie miałyby innego wyjścia, jak samemu coś wymyślić i wykaraskać się z tego. A tak, widząc nas, podświadomie odpuściła sobie odpowiedzialność za swój los i zdała się całkowicie na nasz ratunek... – Westchnął.

– Nie mów tak... Stało się i już tego nie cofniesz... Taka jest nasza praca... Nie możesz się o takie rzeczy obwiniać... Tym bardziej że to ty jako jedyny nie popełniłeś tam żadnego błędu – z trudem i jakby trochę nieśmiało wyznała Lili. – Widziałam cię w akcji i zwracam honor – dodała, wstydliwie odwracając wzrok.

– No nie wierzę... Chyba muszę to nagrać! – zażartował Antek. – Możesz to powiedzieć raz jeszcze? – dodał, udając, że szuka w kieszeniach czegoś do nagrywania.

– Miko, nie przeginaj... – zagroziła dziewczyna, uśmiechając się lekko.

– Tylko sobie żartuję... Wypijmy w takim razie raz jeszcze za pamięć Legwana! – Przechylił szklankę do dna.

– Za pamięć Legwana! – powtórzyła Lili, czyniąc to samo.

– Jak dla mnie trochę za ciepła ta szkocka, pójdę po lód – zaproponował Antek i natychmiast ruszył w stronę baru, przeciskając się między stolikami.

Przechodząc jednak koła starego, łysego mężczyzny z dużymi plamami wątrobowymi i charakterystycznymi uszami odstającymi niczym radary, poczuł, że przeżywa właśnie coś w rodzaju déjà vu – miał wrażenie, że gdzieś już widział tego staruszka, i to w bardzo podobnej sytuacji.

A no tak! Widziałem go tu, gdy czekałem na rozpoczęcie akcji... To musi być jakiś stały bywalec... – wytłumaczył sobie w myślach, po czym przeszedł do rozmowy z barmanem.

Jednak w oczekiwaniu na to, aż pracownik baru przyniesie mu z zaplecza świeży lód, Antek dyskretnie odwrócił się za siebie, by raz jeszcze przyjrzeć się starszemu mężczyźnie. Gdy jednak zerknął na niego, okazało się, że ten również

intensywnie przygląda się jemu. Wymienili więc krótkie spojrzenie, po czym starszek – jakby nigdy nic – na powrót zwrócił wzrok w stronę swojego kieliszka.

– Lód dla pana! – burknął potężnie zbudowany, niemal dwumetrowy, przypominający szefa gangu motocyklowego barman, skutecznie wybijając chłopaka z zamyślenia.

– Dziękuję – odpowiedział uprzejmie i jednocześnie rejestrując w pamięci to niepospolite towarzystwo, bez pośpiechu ruszył do swojego stolika.

– Lili, nie wydaje ci się, że ten dziadzio z łysą pałą cały czas nas obserwuje? – zagadnął do dziewczyny, zastanawiając się, czy aby nie ma jakichś urojeń wynikających z permanentnego w ostatnim tygodniu niewyspania.

– Nie... – wtrąciła krótko Lili, wrzucając lód do szklanek.

– Widziałem go tutaj ostatnio, gdy czekałem, aż łaskawie dacie mi znać o rozpoczęciu akcji. Wydaje mi się, że co chwilę na nas zerka...

– Masz rację, wydaje ci się... – zbagatelizowała Lili. – Dzisiaj przyjrzałam się tutaj już każdej mordzie i mogę z pewnością stwierdzić, że wszyscy nas na okrągło obserwują – dodała lekceważąco.

– Może masz rację... W końcu jesteśmy przyjezdni, a po drugie, trochę nie pasujemy do tego towarzystwa...

– Trochę to chyba mało powiedziane... – Parsknęła, umiejętnie udając minę blachary, boleśnie rozczarowanej grubością portfela swojego adoratora, który zabrał ją na pierwszą randkę rodzinnym samochodem przeznaczonym dla klasy średniej.

– No już nie rób z siebie takiej świętoszki. Niejeden z tych zakapiorów to przy tobie niewinny ratlerek – zażartował. – I wybacz na chwilę, bo muszę właśnie wykonać pilny telefon – oznajmił tajemniczo, odsłaniając na przedramieniu swój smartplaster marki Novum Technology.

– Jaki znowu telefon? Do kogo masz zamiar dzwonić? – zareagowała energicznie dziewczyna, a jej wzrok na powrót stał się dociekliwy i surowy.



– Do kogoś, kto pomoże nam załatwić bezproblemowy wjazd na terytorium Federacji Rosyjskiej – wytłumaczył spokojnie.

– W takim razie masz dodać mój smartplaster do tej rozmowy. Chcę wiedzieć o wszystkim, co będziesz uzgadniał – zażądała.

– Ależ ty jesteś wścibska – zachnął się Antek.

– Albo robimy to razem i wiem o wszystkich twoich decyzjach, albo natychmiast zawijam się stąd i zdaję w Gołuchowie raport o tym, że dogadujesz się w tej sprawie z nie wiadomo kim – zagroziła, a jej mina ponownie przypominała tę z początków ich niełatwej znajomości.

– Dobra! Dobra! Niech będzie... I tak bym ci przecież to wszystko przekazał... – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie denerwuję się, tylko wolę mieć na wszystko oko – wytłumaczyła, lekko jednak zawstydzona swoim gwałtownym uniesieniem.

– Rozumiem, nie ufasz mi – skomentował sucho chłopak.

– Ufam ci, ale skoro zdecydowałam się działać z tobą poza regulaminem, muszę wiedzieć o wszystkim, więc nie obrażaj się na moją dociekliwość i powiedz, do kogo dzwonisz – wyjaśniła, widząc, że Antek wstukuje na klawiaturze smartplastra jakiś długi, zawiły numer.

– Sama zobaczysz... – odrzekł tajemniczo, po czym nacisnął palcem za ucho, gdzie znajdował się minismartplaster.

– Halo? Z kim mam przyjemność? – odezwał się już po pierwszym sygnale przyjemny głos młodej dziewczyny.

– Cześć, Zosiu, to ja, Antek.

– Antek?! Dlaczego dzwonisz z jakiegoś dziwnego numeru?

– Dla bezpieczeństwa w odpowiednim momencie uruchomiłem *Fantomasa*, więc numeru nie zapisuj, bo po tej rozmowie nie będzie już istniał.

– Antek, błagam cię, nie musisz mi mówić, jak działa *Fantomas*! – zachnęła się lekko obrażonym tonem. – Pytam, dlaczego nie dzwonisz ze swojego normalnego

agencyjnego numeru – dodała, dając wyraźnie do zrozumienia, że czuje się niedoceniona przez swojego kolegę z roku.

– A no tak... Sorry... Po prostu mam za sobą, delikatnie mówiąc, nie najciekawszą noc – usprawiedliwił się.

– Domyślam się, ale muszę mieć pewność, że ty to na pewno ty... Generatory mowy są ostatnio w służbach na porządku dziennym...

– No to sprawdzaj – śmiało zaproponował Antek.

– Okej, w takim razie powiedz mi, gdzie planowaliśmy całymi dniami zajadać się burgerami i pić amerykańską whisky?

– Łatwe pytanie, łatwa odpowiedź – skomentował. – Oczywiście w Langley, gdy już się tam zdomowisz – dodał z uśmiechem, na co Lili zrobiła dziwnie dociekliwą minę.

– Okej, to mi absolutnie wystarczy – odparła Zosia, również głośno się przy tym śmiejąc.

– Posłuchaj, Zosiu... Dzwonię, bo potrzebuję twojej pomocy... – wyłożył w końcu kawę na ławę, natychmiast poważniejąc.

– Zwykle, gdy tak mówisz, masz na myśli moje notatki z zajęć...

– Nie tym razem... Teraz naprawdę potrzebuję pomocy... To bardzo poważna sprawa – stwierdził jeszcze bardziej posępnym tonem.

– Dobrze... Pomogę ci, jak tylko będę mogła, ale najpierw wyjaśnij mi, co się w ogóle z tobą dzieje. Organizacja huczy od plotek! Buka i Abakiewicz są ponoć od rana przesłuchiwani, a w publicznych mediach cały czas pokazują zdjęcia z lasu w powiecie gołdapskim na Mazurach, gdzie w nocy jakaś mafia czy inna grupa zbrojna urządziła sobie krwawą jatkę tuż przy granicy z obwodem kaliningradzkim. Podali jeszcze, że ten ktoś musiał posprzątać stamtąd sporo trupów, gdyż policja i ABW znalazły dużo śladów krwi oraz niezidentyfikowane ludzkie szczątki, prawdopodobnie pozostałe po wybuchu granatów. Przynajmniej taka jest oficjalna wersja, podawana dla przeciętnego Kowalskiego...

– A co mówią ludzie w Polonorum? – dopytywał Antek, zerkając na Lili, która w skupieniu przysłuchiwała się rozmowie przekierowanej do swojego minismartplastra.

– Mówi się, że była jakaś poważna akcja i że doszło do ostrej wymiany ognia z agentami Holdy, którzy ponoć sporo już o nas wiedzą. Cały Gołuchów jest postawiony na nogi!

– A o mnie coś mówili?

– No oczywiście, że tak! Słyszałam, że ponoć po nieudanej akcji nawialiście razem z tą twoją wiecznie niezadowoloną z życia panią kapitan i że wbrew rozkazom zaczęliście działać na własną rękę. Rozważane jest teraz wysłanie za wami pościgu...

– No to grubo... – skomentował chłopak.

– Ale jak ty się tam w ogóle znalazłeś? Miałeś przecież zdawać egzaminy? I czemu nic mi nie powiedziałeś, że jedziesz?! – Zosia próbowała choć trochę wzbudzić oburzenie w swym delikatnym, słodkim głosie.

Lili za to zrobiła jeszcze bardziej zdziwioną i zarazem zniesmaczoną minę, wynikającą zapewne z dość dosadnego określenia, jakim posłużyła się jej młodsza koleżanka po fachu.

– Posłuchaj, Zosiu – zaczął powoli Antek – nie mogłem ci wtedy nic powiedzieć, bo sam się o tej akcji dowiedziałem zaledwie kilkanaście minut po naszym spotkaniu... Teraz jednak to nieważne... Musisz mi pomóc i zaufać – dodał, zmieniając ton na bardziej ciepły i błagalny.

– Tak jak już powiedziałam, pomogę ci, ale najpierw wytłumacz mi dokładnie, co tam się, do cholery, wydarzyło! – zażądała ponownie, na co Lili pokiwała negująco głową.

Antek zlekceważył jednak tę jednoznaczną sugestię i począł natychmiast tłumaczyć:

– Bo widzisz, Zosiu... żeby sprawdzić moją przydatność do organizacji i zastąpić braki kadrowe, generał Różewicz dosłownie w ostatniej chwili

wmontował mnie w bardzo trudną i improwizowaną akcję o kryptonimie „Masterpiece”. Niestety Abakiewicz, używając swoich wpływów u Paprockiego i generalicji, podstępem i na moment przed rozpoczęciem operacji przejął dowodzenie naszą grupą i wszystko poszło nie tak... Wpadliśmy w zasadzkę, rozpętała się ostra strzelanina, skutkiem czego zginęli dwaj młodzi agenci grupy krakowskiej...

– Kto zginął? – dopytywała się Zosia, wyraźnie zszokowana tym doniesieniem.

– Fija i Legwan – odparł Antek jeszcze bardziej posępnie.

– Boże... Dobrze ich znałam... Byli ze starszych roczników, ale jeździliśmy razem na szkolenia... – wyznała z ciężkim sercem.

– My mieliśmy trochę więcej szczęścia i dlatego nadal żyjemy...

– My, to znaczy kto? – dociekała.

– Ja, Lili, Abakiewicz i Buka...

– To dobrze, że jesteś cały i zdrowy... Martwiłam się, bo przeczuwałam, że skoro ta hetera przyszła wtedy po ciebie, to z pewnością jesteś wmieszany w tę sprawę... – przyznała z zabójczą szczerością w głosie, co spowodowało u Lili niemal wytrzeszcz oczu.

– Dzięki Bogu wyszedłem z tego prawie bez szwanku – potwierdził Antek, chcąc przerwać niezręczną wypowiedź młodszej koleżanki. – Ale jak już wiesz, najtragiczniejszym skutkiem tej nieudanej akcji jest to, iż Holda i Czerwone Siłowniki posiadły pewne informacje na nasz temat. Oczywiście nie jest to jakaś szczegółowa wiedza, jednak z pewnością zdali sobie już sprawę, że od wielu lat na terytorium Polski i nie tylko funkcjonuje podziemny i niezależny od polskiego rządu projekt, bardzo niebezpieczny dla ich interesów.

– To bardzo niedobrze...

– Tak, wiem... Dlatego właśnie ja oraz moja pani kapitan – Antek spojrzał wymownie na Lili – zdecydowaliśmy się tego tak nie zostawiać i na własną rękę doprowadzić tę sprawę do końca. Oczywiście wbrew rozkazowi Abakiewicza

i regulaminowi, który nakazuje nam wrócić i oddać się do dyspozycji dowództwa – wyznał.

– Ja oraz moja pani kapitan?! – powtórzyła Zosia z nieukrywaną drwiną w głosie. – Przecież dopiero co mówiłeś, że ona cię nienawidzi i że odstrzeliłaby cię, gdyby tylko miała ku temu okazję... – przypomniała, będąc najwyraźniej całkowicie zdezorientowana takim obrotem sprawy.

Natomiast Lili wyglądała, jakby połknęła żabę, a lekko zaczerwieniony tym faktem Antek z nerwowym uśmiechem na twarzy wymijająco utkwiał wzrok w stojącym na stole pojemniku z lodem.

– Zosiu... Tak się składa, że w tej kwestii sytuacja nieco uległa zmianie...

– Nieco? – Blondynka prychnęła z rozbawienia i jakby zarazem z rozczarowania.

– Prawdę mówiąc, z początku tylko ja zdecydowałem się odłączyć od mojej sekcji i dokończyć akcję w pojedynkę, jednak Lili niespodziewanie przysłała mi z pomocą, gdyż zdała sobie sprawę, że jej rzekomo wierny adorator Abakiewicz cały czas knuł za jej plecami, odbierając jej podstępnie dowodzenie grupą... – Antek cały czas błądził wzrokiem po blacie, aby przypadkiem nie natknąć się na surowe spojrzenie Lili.

– Chyba nie muszę ci mówić, że średnio mi się ten twój wypad podoba... – skwitowała Zosia.

– Pod jakim względem? – odparł zuchwale, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Pod każdym względem! – odpowiedziała dosadnie, chcąc jednocześnie ukryć prawdziwe powody niezadowolenia.

– Zosiu... To pomożesz mi czy nie? – powtórzył chłopak, tym razem o wiele bardziej stanowczo, skutecznie kończąc słowną przepychankę.

– Dobra, co chcesz, żebym zrobiła? – wypaliła prosto z mostu, wzdychając przy tym wymownie.

– Musimy jak najszybciej dostać się do Moskwy, dlatego potrzebujemy na jutro dwa paszporty z obywatelstwem rosyjskim – oznajmił.

– Nie będzie to łatwe w tak krótkim czasie, ale coś wymyślę – oznajmiła oschle. – Na jakie nazwisko mam przygotować te papiery? – dodała.

– Na nazwisko Aristow, imiona to: Nadieżda i Borys. Wprowadź nas do systemu jako młode, bezdzietne małżeństwo z sześcioletnim stażem. Paszport Borysa niech kończy się za dwa lata, za to Nadieżda niech ma sześć lat, wyrobiony tuż po zmianie nazwiska z panińskiego – instruował.

– Dobrze... Jakie więc twoja żoneczka ma mieć nazwisko panińskie? – zapytała uszczypliwie hakerka.

– Najlepiej sama znajdź jej jakichś trefnych rodziców, pod których można by ją podpiąć w systemie rosyjskiego MSW...

– Zrobi się – wtrąciła chłodno.

– I nie zapomnij wprowadzić nas do rejestru jakiegoś urzędu miasta, a najlepiej Moskwy. Mam na myśli dokumenty o zawarciu związku małżeńskiego, miejsce zameldowania oraz akty urodzenia i tak dalej... W razie szczegółowej kontroli na granicy lepiej zabezpieczyć możliwie jak najwięcej luk w systemie – przestrzegł.

– Antek! Nie dobijaj mnie... Przecież wiem, jak się robi lewe paszporty! Nie musisz mi tego wszystkiego tłumaczyć – przerwała mu dziewczyna, jeszcze bardziej oburzona tym, że na domiar wszystkiego traktuje ją jak małą, nierozgarniętą uczennicę.

– Wiem, Zosiu, wiem... Wolę się upewnić, więc nie złość się na mnie – załagodził sytuację.

– Okej... A jakie podróże państwo Aristow odbyli wcześniej? Muszę umieścić tam jakieś wizy, żeby było bardziej wiarygodnie – zaproponowała nieco udobruchana zaskakującym tonem przyjaciela.

– Możesz wrzucić tam kilka wiz z miejsc, gdzie zazwyczaj spędzają wakacje Rosjanie. Najlepiej z Izraela, Turcji czy Egiptu – zaproponował.

– Dobrze... Musicie mi tylko wysłać jakieś zdjęcia. Nie będę teraz szperała w waszych aktach, które są na serwerach organizacji, bo to zbyt duże ryzyko – wyjaśniła przezornie.

– Nie ma problemu, zdjęcia prześlemy ci za piętnaście minut – zapewnił.

– Chcesz, żebym je jakoś przerobiła?

– Dokładnie tak. Przerób mi oczy na brązowe, za to Lili zrób jasnoniebieskie.

Mam ze sobą pigmenty do zabarwiania tęczówki oka, więc nie będzie z tym problemu – oznajmił.

– A jakie chcecie mieć włosy?

– Ja zetnę moje długie włosy i zrobię sobie irokeza, ale na zdjęciu zrób mi zwykle, krótkie.

– Nie ma problemu... A dla tej kręcącej nosem zołzy? – dopytała Zosia, zanim Antek zdążył wejść jej w słowo i tym samym zagłuszyć kolejną, niezręczną uszczypliwość.

– Przefarbuje się na blondynkę, więc na zdjęciu zrób jej coś w ten deseń – odparł, patrząc z nietęgą miną na coraz bardziej oburzoną Lili, przysłuchującą się tej rozmowie z otwartymi ustami.

– Chcesz, żeby miała taki jak ja czy ciemniejszy? – dodała kąśliwie.

– Obojętne... Może być taki jak ty – odrzekł zdawkowo, wyraźnie skonfundowany sytuacją.

– No dobra, niech jej będzie... Żeby wyglądała, jak na ponętą, rosyjską żoneczkę przystało, dam jej mój słomiany blond... – Westchnęła z wyrzutem.

– Zosiu, naprawdę nie pasują do ciebie te niepotrzebne złośliwości – skomentował w końcu Antek.

– Coś ci się nie podoba? – odparła nadzwyczaj surowo.

– Znaczy się... Chciałem powiedzieć, że jesteś niezastąpiona! – poprawił się natychmiast. – Doprawdy nie wiem, jak ci się za to odwdzięczę... – dodał, siląc się na najszczerzy ton, jaki tylko potrafił z siebie wydobyć.

– Ale ja za to wiem... Jak tylko wrócisz z tej ruskiej eskapady, to stawiasz mi za to dobrą kolację – zaproponowała.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Antek i ponownie zerknął na Lili, która miała teraz minę, jakby zemdlilo ją od tych wszystkich kokieteryjnych życzliwości.

– Postaram się te wszystkie dane wprowadzić do systemu jeszcze dzisiaj. Pozostaje nam jednak rozwiązanie problemu biometrii... Mam tu co prawda kilka niewykorzystanych biodegradowalnych nakładek na palce z nowymi liniami papilarnymi, ale jak ja wam to do jutra wszystko dostarczę?

– No i tu właśnie mam do ciebie kolejną prośbę – odezwał się z pokorą Antek, czując, że bezwzględnie weryfikuje granice przyjacielskiej lojalności.

– Nie mów! Sama zgadnę... Mam do ciebie przyjechać, tak? – zapytała drwiąco.

– Dokładnie tak – odrzekł z wyjątkową powagą.

– A zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile ryzykuję, wam pomagając?

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę... Dlatego zadzwoniłem właśnie do ciebie... Nikt inny by tego lepiej i dyskretniej nie zrobił – przekonywał.

– Dobrze... Ale w takim razie podnoszę cenę! To ma być obrzydliwie droga knajpa! Przynajmniej z dwiema gwiazdkami... – zażądała.

– Zosiu, zrobię wszystko, co w mojej mocy – zapewnił, czując wewnętrznie, że osiągnął zamierzony cel.

– To bardzo wymijająca odpowiedź, ale powiedzmy, że ci wierzę... – Blondynka ponownie westchnęła. – Kiedy i gdzie chcesz się spotkać? – dodała.

– Spotkamy się jutro w Białej Podlaskiej, do Moskwy pojedziemy koleją... Oficjalnie będziemy wracać z wycieczki objazdowej po Polsce.

– Rozumiem, że bilety też mam wam kupić...

– Tak będzie bezpieczniej – zapewnił.

– Jakieś konkretne połączenie czy pierwsze lepsze?

– Kup bilety na jutrzejszy pociąg relacji Nicea–Petersburg, który przekracza granicę w przejściu kolejowym Brześć–Terespol. Tam są lżejsze kontrole turystów niż na lotniskach, a pogranicznicy mniej dociekliwi. Musisz jednak tak wprowadzić informację do białoruskiego systemu granicznego, aby wykazało im, że przekraczaliśmy granicę w tym samym miejscu zaledwie tydzień temu. Nie będą



w stanie tego sprawdzić, w tych pociągach nie ma kamer. Podobnie zrób na przejściu granicznym między Białorusią a Rosją – poprosił.

– W której klasie chcecie podróżować?

– Najlepiej, jeśli będzie to kuszетка pierwszej klasy, tylko nie premium. Mamy sprawiać wrażenie młodego, średnio zamożnego małżeństwa, a nie rzucających się w oczy krezusów.

– Z tym młodym to trochę przesadziłeś, zwłaszcza jeśli chodzi o twoją towarzyszkę podróży. W końcu chyba jest nieco starsza od ciebie... – Zosia ponownie nie mogła darować sobie uszczypliwej uwagi. – Nie przejmuj się, chociaż na paszportach postaram się, byście wyglądali na młodych i średnio zamożnych – dodała z przekąsem, na co Antek nie próbował już nawet spojrzeć w stronę Lili, doskonale wyobrażając sobie teraz, jaką musi mieć minę.

– Nic się nie martw, dobry makijaż i będziemy oboje wyglądać jak boskie dwudziestki – zripostował w końcu, zaskakująco dystansując się od tego przytyku i o dziwo nieco rozbawiając tym stwierdzeniem zde gustowaną dotychczas Lili.

– No dobra, Antek, daruję ci już – stwierdziła z wyraźnie wyczuwalną litością w głosie młoda hakerka. – Mów, co ci jeszcze potrzeba – szybko wróciła do tematu.

– No więc na pewno potrzebujemy jeszcze kilku kart kredytowych na nasze nazwisko, jakichś spreparowanych zdjęć do portfela, najlepiej z dzieciństwa, dwóch walizek i ubrań. Resztę potrzebnych rzeczy wyślę ci później w wiadomości tekstowej.

– Zrobi się... O której chcesz się spotkać?

– Pociąg wyrusza ze stacji o siedemnastej trzydzieści, więc postaraj się być za dziesięć piąta.

– Gdzie dokładnie?

– Gdzieś w okolicach dworca kolejowego... Dokładną lokalizację podam dziesięć minut przed spotkaniem.

– W takim razie już wszystko wiem – potwierdziła sucho.

– Nie będziesz miała problemów, żeby wyjechać niespostrzeżenie z Gołuchowa? – zapytał Antek szczerze zatroskanym głosem.

– Każdy, kto pozytywnie zaliczył egzaminy, ma miesiąc urlopu... A ja już dawno zgłaszałam, że po zakończeniu szkolenia w pierwszej kolejności pojadę odwiedzić rodziców w naszym majątku na Podlasiu. Będę więc miała po drodze... – oznajmiła.

– To świetnie się składa – z ulgą skomentował chłopak, zauważając jednocześnie, że na wspomnienie o rodzicach Lili nagle uciekła gdzieś wzrokiem w dalekie zamyślenie.

– Jeszcze sobie pan czegoś życzy, panie Miko? – dopytała Zosia, udając tym razem głos przesadnie uprzejmej ekspedientki.

– Nie... Dzięki... I tak już zrobiłaś dla mnie zbyt wiele – odparł całkowicie szczerze.

– W takim razie do jutra i nie wczuwaj się za bardzo w rolę tego męża! – zawołała, próbując wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu, ale bez rezultatu.

– Do jutra! Uważaj na siebie i miej oczy dookoła głowy! – przestrzegł z ojcowską troską.

– Spokojnie... W końcu jestem najlepszą absolwentką „Świtezi” na roku... Sto procent z każdego egzaminu teoretycznego – pochwaliła się nieskromnie.

Słyszając to wyznanie, Lili przewróciła wymownie oczami.

– No to gratulacje! Chociaż przyznam, że nie jestem tym faktem zbyt zdziwiony... – Antek się roześmiał.

– A ja tym, że znów robisz coś na własną rękę, i że jesteś nieodpowiedzialny i niezdyscyplinowany!

– To się okaże! Trzymaj się, Zosiu! Pa! – zakończył rozmowę chłopak, po czym natychmiast zwrócił się do wyraźnie nadal skwaszonej Lili: – Dziewczyna zapowiada się na niezłą agentkę, nie sądzisz?

– Pozwól, że tego nie skomentuję – odburknęła z obojętną miną.

– Pamiętaj, że ona ratuje dupy nam obojgu... I wystawia się tym samym na spore ryzyko.

– Antek! Słyszałam twoją rozmowę... Nie musisz mi jej recenzować! – odwarknęła, jakby niezadowolona z tego, że musiała jej słuchać na własne życzenie.

– Spokojnie, Lili, to były tylko luźne, głupie pogaduszki... – uspokajał. – Nalej jeszcze po jednym, a ja pójdę się przewietrzyć i przy okazji przyjrę się temu dziadkowi – dodał, wstając z miejsca.

– Antek, daj spokój... Uparłeś się na jakiegoś starego miejscowego pijaczka – burknęła rozdrażniona.

– Może i tak, ale gdy rozmawiałem z Zosią, on cały czas mnie obserwował. A do tego bez przerwy trzyma kurczowo przy sobie starą materiałową siatkę, nie zauważyłaś? – zdziwił się.

– Wiesz co? Może rzeczywiście idź się już lepiej przewietrz, bo chyba już za dużo wypiełeś... – zaproponowała, bagatelizując sprawę i odwracając się w drugą stronę, najwyraźniej nadal urażona tym, co przed chwilą usłyszała na swój temat.

Po chwili Antek, stając wprost pod lekko kołyszącym się na wietrze afiszem z wymalowaną na czerwono nazwą: „Pod Lepkimi Rączkami”, wyciągnął papierosa i spojrzał z zadumą na zachmurzone niebo. Nagle z niewybrednego przybytku wyszedł tajemniczy staruszek i odpinając od barierki swój mocno wysłużony, elektryczny motorower, zachwiał się lekko na nogach.

– Chyba za dużo wódeczki... Może lepiej będzie, jak go pan poprowadzi – zagadnął koleżeńsko chłopak.

Staruszek jednak uśmiechnął się tylko uprzejmie, po czym wskoczył dziarsko na siodło i przy cichym gwiździe elektrycznego silnika ruszył przed siebie. Antek obserwował go jeszcze przez jakąś chwilę, po czym wdeptał w ziemię niedopalonego papierosa i na powrót udał się do środka.

– No i co, detektywie? Wyśledziłeś coś? – zapytała z przekąsem Lili, gdy dotarł do stolika.

– Nie zauważyłem nic szczególnego... – wyznał w zamyśleniu. – Ale nie wiedzieć czemu, jakoś nadal nie daje mi spokoju ten zgrzybiały zgreb – dodał, przechylając energicznie całą zawartość szklanki.

– Chyba wystarczy już tej posiadówki na dziś, trzeba się przygotować na jutrzejszy wyjazd – zwróciła uwagę Lili.

– Spokojnie, jeszcze mamy kupę czasu... Wyluzuj – odrzekł leniwie Antek, niespodziewanie podarowując dziewczynie przyjacielskiego kuksańca w żebra.

– Weź się nie wygłupiaj... – Pani kapitan ewidentnie spieszyła się tym zaskakującym, lecz całkiem przyjemnym dla niej gestem. – Za długo tutaj siedzimy... Wzbudzamy niepotrzebne zainteresowanie wśród tubylców. Sam słyszałeś, że w mediach non stop trąbią o naszej nocnej akcji – dodała ze szczerym zaniepokojeniem.

– Wiem, ale... – Chłopak przerwał i się zamyślił. Po chwili gwałtownie wstał i robiąc niemal przerażoną minę, dodał szeptem: – Jasna cholera...

– Co jest? – zapytała cicho Lili, widząc, że ludzie w barze zwrócili na nich baczniejszą uwagę.

– Już wiem! – odparł o wiele głośniejszym głosem, odwracając głowę w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział wspomniany staruszek.

– Antek! Co ty robisz?! Siadaj! Wzbudzasz niepotrzebne zainteresowanie! Wszyscy na ciebie patrzą! – cedziła przez zaciśnięte zęby dziewczyna, utrzymując przy tym, nienaturalny, nerwowy uśmiech.

– Lili! To ten staruch walił do mnie ze śrutówki wczoraj w nocy! – oznajmił w końcu, ruszając w stronę wyjścia.

– Co takiego?!

– Mówię ci... To był on!

Antek wybiegł z lokalu. Lili także chciała za nim wyjść, ale drogę niespodziewanie zagroził jej wielki brodaty barman.

– Kolega zostawił panią samą z rachunkiem? – zapytał niskim głosem, na co Lili odpowiedziała mu zdawkowo:

– Nie, skądże znowu. Uregulujemy należność. Musimy się tylko przewietrzyć...

– Dobrze, to kolega niech się przewietrzy, a pani poczeka tu na niego razem ze mną – warknął, zastawiając drzwi swoją potężną, wytatuowaną ręką.

Tymczasem Antek pędził już w stronę, w którą pięć minut temu odjechał starszy mężczyzna. Biegł tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to pokierszowana przez śruty noga, jednak już po kilkudziesięciu metrach doszedł do wniosku, że dalszy pościg jest bezsensowny – staruszek mógł przecież udać się gdziekolwiek i szukanie go teraz po całej osadzie nie byłoby zbyt rozsądnym rozwiązaniem. Podparł się więc bezradnie pod boki, a potem, lekko dysząc, z nieukrywanym niezadowoleniem ruszył z powrotem w stronę speluny.

– Przepraszam! Może mi pan powiedzieć, kim był staruszek na tym elektrycznym motorowerze? – wypalił natychmiast do barmana, gdy tylko wszedł do środka.

Potężny mężczyzna zrobił na to srogą minę, po czym odpowiedział mu nieprzyjemnym tonem:

– Posłuchaj, lalusi, od kiedy to zostawia się kobietę samą z niezapłaconym rachunkiem? – Wskazał głową na Lili, która z równie niezadowoloną miną zabierała się do opuszczenia lokalu.

– Coś nie tak? – odparł ostro Antek. – Czyżby koleżanka nie uregulowała należności? – dodał, spoglądając wyzywająco w oczy butnego brodacza.

– Uregulowała... Inaczej bym jej stąd nie wypuścił... I co więcej, musiałyby to za ciebie jakoś odpracować. – Zarechotał obrzydle, podchodząc bliżej chłopaka i stając z nim oko w oko.

– W takim razie to nie twoja sprawa, kto za kogo tutaj płaci – odpowiedział bez cienia uległości Antek, co ewidentnie wzbudziło jeszcze większe niezadowolenie u osiłka, zaskoczony tak niepokorną postawą nieznanego wobec jego bezsprzecznie groźnej osoby. – Tak więc zapytam cię raz jeszcze – kontynuował Antek, nie dając gospodarzowi speluny czasu na sformułowanie myśli, kotłujących

się teraz w jego totalnie skołowanej głowie. – Znasz tego starszego gościa, który siedział tutaj przed chwilą? – dodał, wyciągając szyję ku górze, by lepiej spojrzeć roslému osiłkowi w oczy.

– Tutaj wszyscy się dobrze znają... – odparł natychmiast olbrzym, nachylając się nad dużo niższym chłopakiem, jakby chciał wystraszyć go samą swoją posturą.

– Czy to był jakiś mieszkaniec Sztynortu? Często tutaj bywa? – dopytywał z uporem Antek, niewzruszony niebezpiecznie zagęszczając się atmosferą.

– Posłuchaj mnie uważnie, pajacu – zagrzmiał barman, a z jego ust dało się wyczuć gorące uderzenie czosnku i sfermentowanego chmielu – nikt w tym barze nie powie ci ani słowa na temat żadnego z nas... A jeśli myślisz, że możesz zgrywać przede mną chojraka, bo jesteś z psiarni, to nic bardziej mylnego. Mam w chuju twoją odznakę, którą pewnie chowasz w kieszeni, i za chwilę osobiście pomogę ci stąd wyjść, nawet przez zamknięte drzwi! – zagroził, oddychając ciężko.

Jednak szczęśliwie sytuację udało się załagodzić i parę minut później dwójka agentów wracała już pośpiesznie w stronę apartamentu.

– Lili, nie musisz mnie poganiać jak jakaś żona, która próbuje dociągnąć swojego nawalonego męża do domu... – obruszył się Antek, gdy dziewczyna, pędząc przed siebie, co chwilę pretensjonalnie odwracała się w jego stronę.

– To ruszaj się szybciej! Zwróciłeś na nas tyle uwagi, że teraz musimy jak najszybciej znaleźć się w hostelu – odwarknęła.

– Lili, wyluzuj! – uspokajał, próbując za nią nadażyć.

– Tak, wyluzuj... Mało brakowało, a trzeba byłoby się stąd natychmiast ewakuować z powodu jakiejś bezsensownej burdy w tym zapchlonym lokalu – odparła z wyrzutem.

– Nie ufasz mi? – Antek rozłożył ręce w geście rozczarowania. – Wszystko było pod kontrolą! Nie stałaby mu się żadna krzywda... Ja naprawdę wiem, co robię... I kilka głębszych tego wcale nie zmienia. Jeszcze tego od wczoraj nie zauważyłaś? – dodał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Ufam ci, Antek, i wiem, że udowodniłeś, że masz łeb na karku, ale mimo to musimy być ostrożniejsi! Nie możemy prowokować takich sytuacji, a tym bardziej ganiać po mieście jakichś Bogu ducha winnych ludzi!

– Lili, posłuchaj mnie! Ten gość na sto procent nie pojawił się w tej knajpie przypadkowo. Był w niej, gdy czekałem na rozpoczęcie akcji i właśnie przed chwilą zdałem sobie sprawę, że był także pod piramidą, obserwując nas i strzelając do mnie – przekonywał usilnie.

– Co w tym dziwnego, że był wtedy w knajpie? Przecież on może tu sobie codziennie siedzieć i pić od rana do nocy! Co taki ledwo stojący na nogach cherlak miałby robić pod piramidą w takim towarzystwie i w taką pogodę?!

– Mówię ci, że to on!

– W takim razie skąd ta pewność? Oświeć mnie...

– Stąd, że ten staruch przyjechał tu na motorowerze. Gdy dopalałem papierosa, dostrzegłem, że zamigotała mu w nim tylna lampka stopu, jakby była zepsuta i coś w niej nie stykało...

– No i co z tego? – Lili wzruszyła ramionami.

– No przecież to mogło być to samo czerwone, migotające światełko, które widzieliśmy wtedy w lesie... To, za którym pobiegłem!

– Ale gdyby to był pojazd elektryczny, wtedy zobaczyłbyś na termowizji plamę cieplną emitowaną przez jego silnik albo w ogóle zobaczyłbyś jakiś pojazd – słusznie zauważyła dziewczyna.

– Ten motorower miał także niezależny napęd na łańcuch i jeśli ten gość specjalnie nie użył silnika, to oznacza tylko tyle, że jest bardziej przebiegły, niż nam się wydaje. A poza tym sama wiesz, że była to wyjątkowo pochmurna oraz ciemna noc, i że nikłe, majaczące światełko to jedyne, co można było dostrzec z takiej odległości... – wyjaśnił obszernie.

– Antek, nawet jeśli rzeczywiście ten wiekowy pijaczek był tam w trakcie strzelaniny, w co szczerze wątpię, to i tak teraz już tego nie zweryfikujemy...

Musimy się w końcu na poważnie zająć jutrzejszą akcją i nie możemy ryzykować, plątając się po okolicy.

– W takim razie jeszcze dzisiaj poproszę Zosię, aby przesłała mi akta wszystkich starych, żyjących jeszcze esbeków, a także oficerów wywiadu wojskowego, którzy działali w tym okręgu – nie odpuszczał chłopak.

– I co? Będziesz dzisiaj śleczął kolejną noc nad całą masą akt?! Antek! Przecież nie spaliśmy już ponad dwie doby. Jutro nie będziesz się do niczego nadawał... – zaprotestowała.

– Nie mamy wyjścia! Trzeba to sprawdzić, jeśli chcemy cali i zdrowi wrócić z Moskwy. Jeśli mam rację, to nie jest wykluczone, że ten zgrzybiały cwaniaczek podsłuchiwał nas w tym barze za pomocą jakiegoś rejestratora, który tak skrzętnie ukrywał w tej siatce.

– Miejscowy lump specjalnie przyszedł tam dzisiaj o konkretnej godzinie, aby nagrywać przyjezdnych z siatki leżącej pod stołem? Antek, czy ty na pewno się dobrze czujesz? – po raz kolejny zakpiła Lili.

– Lili, mówię ci... Dzieje się tu coś dziwnego... Wydaje mi się, że jest tutaj ktoś, kto zdecydowanie za dużo o nas wie. Mam dziwne wrażenie, że śledzi nasz każdy krok, i to od samego początku... – przekonywał niestrudzenie. – To musi być jakaś czwarta strona tego konfliktu i myślę, że ona na razie nie reaguje, a tylko obserwuje i czeka, jak dalej rozwinie się ta cała sytuacja – dodał cicho, gdy wchodzili właśnie do wnętrza małego, obskurnego hostelu.

– Nawet gdyby tak było, to w knajpie panował okropny gwar, a ty nie dość, że byłeś w odosobnionym miejscu, to jeszcze rozmawiałeś bardzo cicho, zarówno ze mną, jak i z tą twoją Skrzetuską... Nie ma szans, żeby któreś z tych baracheł było nas tam w stanie nagrać, tym bardziej trzymając dyktafon w jakiejś starej torbie... – podsumowała i wybiegła energicznie schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdował się wynajęty przez Antka apartament.

\*\*\*



Wybiła godzina dwudziesta. Antek siedział na starej, wyświechtanej i poplamionej – lepiej było nie wiedzieć czym – kanapie i z trudem utrzymując otwarte oczy, mozolnie przeglądał na pożyczonym od Lili tabthinie akta byłych funkcjonariuszy tutejszej bezpieki, które przesłała mu Zosia.

– Chyba miałaś rację... Nie jestem w stanie tego dzisiaj ogarnąć, ale może gdybyśmy razem nad tym popracowali, to szybciej byśmy na coś trafili... – zawołał w stronę łazienki, gdzie Lili kończyła właśnie farbować na blond swoje gęste, czarne jak smoła włosy.

– Sorry, Antek, jak tylko wstrzyknę sobie pigment do oczu, kładę się natychmiast spać. Padam z nóg i na pewno nie będę zarywać trzeciej nocy z rzędu na szukanie jakiegoś dziadka, który przyszedł się napić do knajpy... Zresztą tobie radzę to samo. Obniżona percepcja u agenta to jednocześnie gorsza skuteczność, a my powinniśmy być jutro w stu procentach pewni swoich możliwości – odmówiła stanowczo.

– Okej... W takim razie też odpuszczam... – Westchnął ciężko, po czym wstał i podszedł w stronę uchylonych, październikowych łazienkowych drzwi.

– Pomóc ci z pigmentem? – zapytał, zaglądając nieśmiało do środka.

– Nie, nie trzeba. Mam lustro, poradzę sobie – odrzekła pośpiesznie.

– Wolę zapytać... Wiesz, miałem kiedyś takiego kumpla... Pracowałem z nim przez chwilę w prywatnej agencji wywiadowczej, która zajmowała się zbieraniem informacji o konkurencji dla dużego koncernu naftowego poszukującego inwestycji w obiecujących, ale za to niebezpiecznych regionach świata. Zajmowaliśmy się razem obserwacją nowo powstającej, rosyjskiej platformy wiertniczej, którą budowano na Morzu Arktycznym. Podszywaliśmy się tam przez kilka miesięcy pod młodych rosyjskich inżynierów o blond włosach i niebieskich oczach. Kumpel, który miał naturalnie brązowe oczy, pewnego wieczoru źle zaaplikował sobie pigment i rano obudził się z totalnie niebieską gałką oczną. Wyglądało to komicznie, jakby wsadził sobie sztuczne oko do szklanki z atramentem. Przez cały tydzień miałem z niego niesamowity polew, chociaż jemu wcale nie było do

śmiechu, gdyż przez cały ten czas, musiał zestresowany chodzić w opatrunku i udawać przed kierownikami budowy, że wpadł mu opiłek do oka... – Antek się roześmiał.

– Rozumiem, że ty oczywiście nie musiałeś farbować oczu na niebiesko? – zapytała niespodziewanie Lili, kłując swoją tęczęwkę cieniutką szpilką, zwieńczoną malutką, błękitną fiolką.

– No... W tamtym wypadku nie musiałem – potwierdził, mrugając powiekami.

– A wiesz, co sobie pomyślałam wtedy, gdy ci się przyjrzałam pierwszy raz z bliska? Zaraz po tym jak mnie reanimowałeś w tej zdemolowanej łazience? – zaskoczyła chłopaka kolejnym pytaniem pani kapitan.

– To ty po tym srogim laniu w ogóle jeszcze myślałaś? – odpowiedział zadziornie.

– Nie zaczynaj znowu... – przestrzegła, odkładając natychmiast igłę i odwracając się w jego stronę w geście ostrzeżenia.

– No więc? Co pomyślałaś? – natychmiast wrócił do tematu.

– Już nic... – Lekko urażona dziewczyna zabrała się na powrót do zmiany koloru oczu.

– No jak już zaczęłaś, to mów...

– Nic ważnego...

– Ej! No powiesz w końcu czy nie... – naciskał, szczerze zaintrygowany.

– Pomyślałam sobie: jakim trzeba być kretyńcem, aby zafarbować oczy na kolor jaskrawoniebieski, gdy ma się tak ciemne włosy i karnację... Zadowolony z odpowiedzi? – Zachichotała złośliwie.

– Aaaa... Wiem, że nie to chciałaś powiedzieć – skomentował, machając na dziewczynę ręką w sposób, w jaki okazuje się zrezygnowanie i rozczarowanie.

– Nie trzeba było mnie przedrzeźniać... – zripostowała. – A tak na serio... Ty czasem aby naprawdę nie farbujesz sobie tych oczu? – dodała po chwili, ujawniając swoje zaciekawienie.

– No co ty... Takie już mam od dziecka... To po moim dziadku, on miał identyczne. Wiem, że to wygląda trochę...

– Dziwnie... – weszła mu w słowo Lili.

– Chciałaś powiedzieć: niezwykle – natychmiast poprawił ją chłopak – ale już nic na to nie poradzę. Nie będę sobie przecież co tydzień farbował oczu na brązowo... – dodał z rozbawieniem, dostrzegając, że Lili poprzez odbicie w lustrze spojrzała na niego z tak nietypową przenikliwością, jakiej nigdy jeszcze u niej nie zauważył.

– Nawet nie najgorzej ci w tym irokezie – skomentowała w końcu, lekko speszona faktem, że jej wzrok przez chwilę zdradził zbyt wiele zainteresowania, niż mogła sobie na to pozwolić.

– Mówisz serio? – spytał mile zaskoczony Antek.

– Oczywiście, że tak...

– Czyli, że... – zaczął niepewnie chłopak.

– Tak... Dobrze się domyślasz... Ten twój rzekomo samurajski kucyk pasował do twojej profesji jak pięść do nosa.

– Aaa... No to już wiem, dlaczego Abakiewicz chodził ciągle w tej swojej pieczołowicie ulizanej, klasycznej, przedwojennej fryzurze! – zażartował, jednak nie był to zbyt trafny żart, co chłopak dostrzegł natychmiast, gdy Lili, nie mówiąc nic, spojrzała w lustro takim wzrokiem, że Antek natychmiast dodał: – Okej, okej... Wiem, wiem... To nie było śmieszne.

– A jak twoja noga? Szwy trzymają czy trzeba poprawić? – odparła zaskakująco miło, o dziwo nie ciągnąc kolejnej z już niezliczonych słownych przepychanek. Dziewczyna niespodziewanie wróciła do ciepłego, koleżeńskiego tonu.

– Nie... Wszystko w porządku... – odpowiedział totalnie zaskoczony, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, że słysząc jej miły głos i widząc ją w nowej, niekojarzącej się ze złymi wspomnieniami odsłonie ma przed sobą najbardziej zjawiskową dziewczynę, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał.

– Coś nie tak? – wtrąciła niepewnie Lili, stojąc powabnie w białym hostelowym szlafroku i patrząc na niego podejrzliwie. – Coś źle zafarbowałam? Włosy? Oczy? – dodała, jeszcze dokładniej przeglądając się w lustrze.

– Nie... Nie... – bąknął Antek, biorąc przy tym głęboki wdech studzący jego bogatą męską wyobraźnię. – Chciałem tylko przyznać, że właśnie o taką metamorfozę chodziło... Profesjonalne podejście do sprawy... W życiu bym cię nie poznał... – odpowiedział wymijająco. – Pan Borys Aristow będzie miał całkiem niezłą żonkę – dodał, czując, że pogrąża się właśnie w tanią gadkę w stylu sanatoryjnego Casanovy.

– Całkiem niezłą żonkę? – powtórzyła z wymalowaną na twarzy udawaną litością.

– No... Nawet bardziej niż całkiem – poprawił się natychmiast, robiąc przy tym głupkowaty uśmiech.

– Już zapomniałeś, jaki przykaz dała ci ta twoja rozchichotana małolata? – odgryzła się Lili, przypominając mu ostatnio wykonaną rozmowę.

– Po pierwsze, to ona nie jest... – zaczął powoli Antek.

– Powiedziała ci, żebyś za bardzo nie wczuwał się w rolę męża – zagłuszyła jego odpowiedź dziewczyna, wchodząc mu w słowo.

– No tak, ale powtarzam ci, że...

– I wiesz co? Przynajmniej w tym jednym punkcie zgadzam się z tą pospolitą gęsiareczką – oznajmiła, ponownie mu przerywając, po czym wyszła pewnym krokiem z łazienki, mijając Antka w drzwiach niczym napuszona modelka na pokazie Victoria's Secret.

– Spoko, możesz spać w moim łóżku... Ja się prześpię na kanapie – zawołał Antek, widząc, jak dziewczyna bez skrpułów kieruje się w stronę jego świeżo pościelonego wyra.

– Naprawdę? Ustąpisz mi miejsca i pójdziesz na kanapę? – zapytała, udając serdecznie zaskoczoną tą życzliwą propozycją. – Błagam cię, Miko... Chyba nie powiesz mi, że brałeś pod uwagę jakąś inną opcję? – dodała, błyskawicznie

zmieniając ton i zakopując się głęboko pod kołdrą, buchnęła mocnym, lecz stłumionym przez poduszkę śmiechem.

– Okej... Czuj się jak u siebie... – rzucił niedbale Antek, kiwając z niedowierzaniem głową.

– Czuję się... Dobrej nocy – odpowiedziała, ziewając jednocześnie, na co chłopak roześmiał się pod nosem, rozkładając obolałe ciało na wysłużonej sofie.

Nazajutrz dwójka agentów Polonorum wykorzystała do oporu godzinę hotelową, budząc się dopiero przed jedenastą. Po szybkiej toalecie i niezbyt smacznym śniadaniu, serwowanym w hostelu, z naładowanymi bateriami oraz pełnymi brzuchami udali się w stronę pobliskiego lasu, gdzie uprzednio Lili ukryła swoje auto.

Gdy w końcu wyruszali ze Sztynortu, wybiła równo dwunasta. Aby dotrzeć do Białej Podlaskiej na czas, musieli poświęcić co najmniej cztery godziny jazdy, a do tego potrzebowali dodatkowo około pół godziny na ukrycie gdzieś po drodze zbyt rzucającego się w oczy range rovera oraz znalezienie innego samochodu. W końcu w okolicy Giżycka zostawili SUV-a na jakimś małym, zarośniętym dzikim parkingu i bez pytania właściciela o zgodę „pożyczyli” sobie stojącego obok, pasującego jak ulał czarnego transportera, całkowicie pozbawionego okien w części ładunkowej.

– Jest już za dziesięć piąta, dzwonię do Zosi – powiedział Antek, wyglądając ostrożnie przez uchylone, rozsuwane drzwi volkswagena.

– Mam nadzieję, że wszystko zrobiła tak jak trzeba – skomentowała chłodno Lili, siedząc na pace samochodu z tabthinem w rękach i przeglądając akta bezpieczeństwa przesłane przez młodą hakerkę.

– Spokojnie, jeśli o nią chodzi, jestem pewny, że wszystko będzie na tip-top – zapewnił Antek, raz jeszcze obserwując, co dzieje się na zewnątrz i wpisując jej numer na smartplastrze.

– Tylko nie zapomnij dodać mój smartplaster do rozmowy – przypomniała surowo pani kapitan, podnosząc głowę znad komputera. – Chcę wiedzieć, co tym

razem będzie miała zabawnego do powiedzenia...

Chłopak przytaknął leniwie głową, a w jego smartplastrze rozbrzmiał dźwięk sygnału połączenia.

– Halo – po chwili odezwała się Zosia.

– Halo, jak tam, wszystko gra? Jesteś już na miejscu? – zapytał Antek.

– Odpowiem ci, ale najpierw weryfikacja... – zażądała. – Powiedz mi, w jaki sposób zginęłam według oficjalnej wersji, którą rodzice przedstawili reszcie mojej rodziny, gdy jako dziecko zabrano mnie do organizacji...

– Utopiłaś się w stawie nieopodal waszego dworku – odparł bez zastanowienia.

– No to już przynajmniej teraz wiem, że to, co do ciebie mówię, nie wchodzi ci jednym uchem i nie wypada drugim – zaśmiała się młoda hakerka.

– Zawsze słucham tego, co mówisz, Zosiu, ale pogadamy sobie, jak będziesz już na miejscu... My jesteśmy na Lotniczej i siedzimy w czarnym transporterze, jakieś sto metrów od stacji – wyjaśnił.

– W takim razie zerknijcie do tyłu – odpowiedziała z nieukrywaną satysfakcją w głosie Zosia, na co Antek poderwał się z podłogi VAN-a, spoglądając w boczne lusterka samochodu.

Było w nich widać, jak około dwadzieścia metrów za autem idzie w ich stronę drobna, ukryta pod przeciwsłonecznymi okularami oraz czarną kurtką z kapturem dziewczyna, ciągnąca za sobą dwie sporych rozmiarów walizki.

– Nieźle, domyśliła się nawet, gdzie jesteśmy... – skomentował Antek i rozłączył połączenie, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Natomiast Lili nawet nie drgnęła, tylko nadal w skupieniu przeglądała kolejne akta.

– Cześć! – wypaliła wesoło blondynka, wrzucając dyskretnie oba bagaże do vana.

– Cześć! Wskakuj! – odpowiedział Antek i już chciał dodać coś miłego na przywitanie koleżanki, ale błyskawicznie ubiegła go Lili, zwracając się do młodej agentki wyjątkowo ozięble:

– Jesteś pewna, że nie masz za sobą ogona? Nie wypuścili cię czasem z Gołuchowa jako przynęty?

– Jestem w stu procentach pewna, że nie... Ale oczywiście rozumiem, że nie bez powodu jest pani przewrażliwiona na tym punkcie – zripostowała równie oschle Zosia, ściągając okulary i usadawiając się naprzeciw Antka.

– Nie rób sobie jaj! Pytam poważnie! Jesteś pewna, że nie podejrzewają cię o kontaktowanie się z nami? – warknęła Lili, nadal nie podnosząc głowy nad cieniutkiego ekranu komputera.

– Tak, jestem tego pewna. Poza tym nie zostawiłam za sobą żadnych śladów... – odparła posłusznie.

– Szukają nas? – dociekała pani kapitan.

– Z tego, co wiem, to tak, ale robią to dyskretnie... – wyjaśniła, patrząc zimnym wzrokiem na dowódczynię grupy krakowskiej. – Ponoć wysłali kilka sekcji w teren... Dziś między innymi sprawdzają rejon Rapy i Sztynortu, ale bardziej pod kątem Holdy. Chyba Różewicz wam ufa i dlatego załagodził trochę sprawę przed generalnym dowództwem i kapitułą – dodała.

– Pewnie Buka mu wszystko wytłumaczył – wtrącił Antek.

– Niewykluczone jednak, że w każdej chwili mogą wypuścić za wami Chorsów – zauważyła Zosia. – A jeśli oni trafią na wasz trop, to...

– To niech sobie wypuszczają... Za parę godzin będziemy już daleko stąd, o ile nic nie sknociłaś... – bezwzględnie przerwała jej Lili.

– O to niech panią kapitan głowa nie boli. Radzę lepiej skupić się pani na swoim zadaniu – odpowiedziała Zosia, wyraźnie siłąc się na zachowanie spokoju.

– Przywiozłaś wszystko, co było na liście? – Dowódczyni po raz pierwszy podniosła wzrok znad tabthina i spojrzała świdrująco w stronę świeżo upieczonej agentki Polonorum.

– Tak jest, pani kapitan.

– Mam nadzieję, że kupiłaś mi jakieś sensowne ciuchy, bo w przeciwnym razie będziesz z powrotem biegła do sklepu je wymieniać... – skomentowała, odkładając

komputer i podnosząc się z ziemi.

– Nie śmiałabym popełnić takiej nieprofesjonalnej gafy, pani kapitan – zapewniła Zosia z przesadnie uprzejmym uśmiechem.

– W takim razie daj to wszystko Antkowi, a ja pójdę rozejrzeć się po okolicy – zaproponowała i wychodząc z furgonu, ostentacyjnie trzasnęła drzwiami.

– No! Lubić to my się raczej nie będziemy... – powiedziała hakerka, gdy tylko Lili wystarczająco oddaliła się od samochodu.

– Nie przejmuj się... Zresztą ona nie jest taka zła, jak myślałem... Po prostu nie ufa obcym i dopiero gdy pozna się na kimś, wtedy zmienia do niego nastawienie – przekonywał Antek.

– Wydaje mi się, że w moim przypadku chodzi jej o coś zupełnie innego... Ale to tylko moje domysły... – Zosia westchnęła.

– Były jakieś problemy? – zapytał Antek, szybko wracając do tematu wyjazdu.

– Nie, wszystko poszło zadziwiająco gładko... Paszporty, bilety, ciuchy i całą resztę macie spakowane w walizkach.

– Znakomicie – przyznał z zadowoleniem.

– Za pół godziny pociąg odjeżdża z peronu, powinniście się już zbierać...

– Spokojnie, Zosiu, wszystko pod kontrolą. Najpierw przebiorę się ja, a następnie Lili. Do pociągu wejdziemy w ostatniej chwili, żeby nie plątać się zbyt długo przed dworcowymi kamerami.

– O to się nie martw, kupiłam ci czarne okulary, bluzę z kapturem i czapkę z daszkiem. Ta twoja pani kapitan też po zmianie włosów wygląda nie do poznania – szczerze zauważyła Zosia.

– Mam taką nadzieję... – skomentował.

– A gdzie wasze ciuchy szturmowe i broń?

– Wszystko zostawiliśmy w skrytce w podłodze range rovera. Uznaliśmy, że w razie kontroli lepiej nie mieć zbyt wiele szpeju przy sobie... Tak więc do Moskwy zabieramy zaledwie dwa gnaty i kilka magazynków.



– Rozumiem... Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – zapytała młoda hakerka, nieco smutno patrząc w oczy Antka.

– Tak, jest jeszcze jedna sprawa. Bądź z nami w kontakcie przez cały czas. W razie gdyby w Moskwie coś poszło nie tak, będziemy potrzebować twojej pomocy.

– Już nad tym myślałam... Będę waszymi uszami i oczami w sieci... – Rozpromieniła się.

– Naprawdę świetnie... Tylko co ja mogę ci teraz powiedzieć? Chyba jedynie tyle, że jesteś wprost niezastąpiona. – Antek ponownie pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Powiedz, że wywiązesz się z obietnicy...

– Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy – powtórzył mechanicznie.

– Jak zwykle wymijająca odpowiedź...

– Zosiu, wiesz, że w pierwszej kolejności muszę w ogóle wrócić żywy z tej wycieczki, żeby z tobą gdziekolwiek pójść...

– Żeby tylko nie był to powrót w stylu *from Russia with Love* – skomentowała złośliwie.

– Nie bądź uszczypliwa, wiesz przecież, że to nie o to chodzi... Mamy teraz trudne zadanie do wykonania i na tym się wszyscy skupiamy, tak?

– Wiem, wiem... – uśmiechnęła się smutno – Chciałabym po prostu pojechać tam z wami – przyznała.

– Nie bądź niemądra... Przecież to niemożliwe w tej sytuacji – sprzeciwił się natychmiast.

– No już daj spokój z tym pouczeniem. Tak tylko sobie głośno myślę...

– Sorry... Czasem zapominam, jak inteligentna jesteś i...

– I dlatego traktujesz mnie jak młodszą siostrę – wtrąciła z wyrzutem dziewczyna.

– Jak siostrę?! Teraz to już trochę przesadziłaś – odparł, kiwając z politowaniem.

– Nieważne, na mnie już czas – skwitowała. – Wydaje mi się, że twoja pani kapitan wraca, a ja wolałabym oszczędzić sobie kolejną rozmowę z nią... – dodała cicho, puszczając do Antka oko i wskazując wzrokiem na uchylone drzwi, zza których słychać było kroki.

– Doskonale cię rozumiem... – Antek uśmiechnął się dyskretnie.

Zosia szybko musnęła go w policzek i błyskawicznie wyskoczyła z wozu, starając się nie wejść w drogę pani oficer, która z posępną miną czekała już przed rozsuwanymi drzwiami.

\*\*\*

Kontrola graniczna na przejściu kolejowym Terespol–Brześć przebiegła bez większych trudnień. Antkowi i Lili najpierw zeskanowano opuszki palców, na których znajdowały się całkowicie niewidoczne, biodegradowalne nakładki z liniami papilarnymi przypisanymi do nowych, spreparowanych paszportów, a następnie – dla zasady – białoruskie służby graniczne bardzo pobieżnie przejrzały oba bagaże. Nie wszystko poszło jednak tak sprawnie, jak to było wcześniej zaplanowane, gdyż jak na złość akurat dzisiaj uległo awarii stanowisko do automatycznej zmiany rozstawu kół w pociągach, które z Europy Zachodniej udają się na wschód. Na domiar złego usterka okazała się na tyle poważna, iż mozolna naprawa urządzenia ostatecznie opóźniła wjazd w głąb Republiki Białorusi o dobre kilka godzin.

– Chyba za moment ruszamy – bąknął Antek, wyglądając przez okno kuszетки i obserwując uwijających się wokół pociągu pracowników białoruskiej kolei.

– Najwyższy czas! Dochodzi już dwudziesta pierwsza, straciliśmy sporo cennego czasu... – odpowiedziała mu zniecierpliwiona Lili, nadal przeglądając profile byłych pracowników bezpieczeństwa oraz wywiadu wojskowego.

– No i jak tam? Nadal nic nie znalazłaś? – odparł na to mimowolnie Antek, odchodząc od okna i przeciągając się leniwie.

– Nic a nic... Nie wiem, czy to szukanie w ogóle ma sens... Tu są same akta z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Ci goście albo już nie żyją, albo wyglądają dziś całkowicie inaczej niż na tych nieaktualnych zdjęciach... Poza tym ty to miałeś robić, a nie ja... – odpowiedziała z wyrzutem.

– No dobrze... Zostaw to już i odpocznij. Ja to za chwilę dokończę – zaproponował.

– *Fuck!* – zakląła niespodziewanie dziewczyna, wyraźnie ożywionym głosem.

– Co jest? Powiedziałem coś nie tak?

– Nie! Nie oto chodzi... Podejdź tu, prędko! Jeśli mnie oczy nie mylą, to chyba miałeś racje! – wyjaśniła. – *Fuck! Fuck!* – powtórzyła z jeszcze większą zajadłością.

– Znalazłaś coś?

– No chodź i sam zobacz! – ponaglała, po czym wskazała mu na tabthinie zdjęcie tęgiego mężczyzny w średnim wieku i krótkich, ciemnych włosach z sumiastym wąsem nad wargami.

– No i co myślisz? – dodała natychmiast, bacznie przyglądając się reakcji Antka.

– Jasny gwint! To chyba on? – skomentował niepewnie.

– Ma te same duże oczy, odstające uszy... Kształt czaszki też wydaje mi się ten sam – wyliczała.

– Wrzuć to zdjęcie do programu postarzającego – zaproponował.

Lili wpisała więc kilka komend w pierwszym lepszym programie graficznym, po czym stukając niecierpliwie paznokciami w klawiaturę, oczekiwała na rezultat.

– To on! – zawołali wspólnie, gdy po chwili na ekranie pojawiło się zdjęcie ludzako przypominające starca, który przyglądał im się w pamiętnej spelunie.

– Na sto procent to on! – powtórzył Antek, jakby chciał jeszcze dosadniej dać Lili do zrozumienia, iż kolejny raz mu nie ufając, popełniła właśnie poważny błąd.

– Wystarczyłoby dodać jeszcze kilka plam wątrobowych i byłby identyczny... – skomentowała z lekkim zawstydzeniem. – Miałeś rację –

przypadła, uciekając jednocześnie przed przepełnionym satysfakcją wzrokiem fikcyjnego małżonka.

– Kazimierz Baum, pseudonim: „Różga”. Tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa w powiecie węgorzewskim od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. W tym samym okresie jednocześnie szeregowy działacz Solidarności, w której zajmował się inwigilacją kolegów oraz wynoszeniem niezbędnych dla bezpieczeństwa informacji z tajnych spotkań związkowców – nigdy oficjalnie niezłustrowany przez organy III RP – przeczytał jednym tchem Antek.

– Dokumenty z jego działalności w SB zaginęły z początkiem lat dziewięćdziesiątych. Prawdopodobnie zostały zniszczone bądź nadal są gdzieś ukrywane. Kazimierz Baum od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego do roku dwa tysiące czternastego był zwykłym i niewzbudzającym większej uwagi funkcjonariuszem Straży Granicznej, pełniącym służbę w rejonie obwodu kaliningradzkiego – doczytała Lili.

– Dokumenty zostały zniszczone bądź nadal są gdzieś ukrywane... Czemu mnie to nie dziwi... – dodał Antek, prychnając pod nosem.

– A to cwany sukinsyn! Nieźle się zaszył w tym Sztynorcie – syknęła zajadle pani kapitan.

– Pytanie tylko, z czyjego polecenia miał oko na to wszystko, co działo się wokół piramidy – zapytał sam siebie chłopak, w zamyśleniu podchodząc z powrotem do okna pociągu.

– Wiemy już, że na pewno nie na polecenie Holdy ani Siłowników – odpowiedziała Lili, padając z wytchnieniem na łóżko, najwyraźniej zadowolona, iż nie musi już więcej grzebać tej nocy w wyjątkowo nużących aktach bezpieczeństwa, skrupulatnie gromadzonych niegdyś przez ludzi Polonorum.

– Zgadza się, tylko co z tym faktem robimy? – nadal zastanawiał się Antek, patrząc, jak konduktor daje maszyniście znak do odjazdu.

– Póki co możemy być tylko bardziej ostrożni... – skomentowała dziewczyna, wzruszając ramionami.

– Teraz nie tylko możemy, ale musimy być absolutnie ostrożni! – poprawił ją natychmiast. – Zwracaj jutro uwagę na każdy, nawet najmniejszy niepokojący sygnał! Skoro jesteśmy już pewni, że ktoś przez ten cały czas nas obserwował, to nie możemy wykluczyć, że wie o naszym wyjeździe do Moskwy – dodał, robiąc przy tym najbardziej zaniepokojoną minę, jaką Lili kiedykolwiek dostrzegła na jego twarzy.

– To już na miejscu się okaże, czy będzie tam na nas czekać komitet powitalny, czy też nie – spuentowała dziewczyna. – A póki co kładźmy się spać. Podczas nocnej kontroli granicznej z Rosją musimy sprawiać wrażenie zerwanego ze snu, zwykłego małżeństwa, w przeciwnym razie mogą mieć co do nas jakieś podejrzenia... Kacapy, w odróżnieniu do funkcjonariuszy białoruskich, są bardzo skrupulatne i potrafi ich zaniepokoić najmniejszy gest – tłumaczyła.

– Wiem... I właśnie zdałem sobie sprawę, że zapomnieliśmy o tym, iż lubią od czasu do czasu przeprowadzać przeszukiwanie kuszetek przy pomocy psów... – zauważył Antek, drapiąc się po głowie z zakłopotaniem.

– O to się akurat nie martw, już o tym pomyślałam... Przed wyjściem do pociągu spakowałam naszą broń do hermetycznej folii o zapachu maskującym proch i dezorientującym psy, a gdy byłeś w toalecie, schowałam to wszystko za paździerzowym obiciem łóżka. Psy niczego nie wyczują – poinformowała z typową dla siebie pewnością.

– No to bardzo dobrze, bo na śmierć o tym zapomniałem... – rzucił z uznaniem.

– W końcu od czego jest żona – zażartowała, wypinając dumnie pierś.

– Wiesz co? Zdecydowanie wolę właśnie ten, nieczęsto występujący u ciebie uśmiech, od stale powtarzającego się, sarkastycznego grymasu – skomentował Antek, również odwdzięczając się dziewczynie szczerym uśmiechem.

– No to już wiesz, jak to działa – odrzekła lakonicznie.

– Jak? – zapytał szczerze zaciekawiony chłopak.

– Im rzadziej będziesz mnie irytował, tym rzadziej będziesz ten grymas oglądał – wyjaśniła z wyraźnym rozbawieniem. – A tymczasem muszę skorzystać z toalety... – dodała i wyjątkowo powabnym krokiem udała się do drugiej części kuszетки.

Pociąg w końcu ruszył, a nocny krajobraz, składający się z oświetlonych białoruskich domów i ulic, z wolna zaczęła wypierać panorama smaganych wiatrem, odludnych, niknących w ciemnościach równin. Antek, zostawiając włączoną obok siebie jedynie niewielką lampkę nocną, rozłożył się wygodnie na fotelu stojącym naprzeciw okna i wsłuchując się w monotony stukot pędzącego składu, w głębokim zamyśleniu spoglądał na przewijające się mu przed oczami, nieodżałowane kresy dawnej Rzeczypospolitej.

– Łazienka jest już wolna, teraz możesz iść ty... – przerwała mu niespodziewanie zadumę Lili, stając naprzeciwko okna. W lustrzanym odbiciu można było dojrzeć, że ma na sobie jedynie luźno związany, na wpół koronkowy peniuar oraz wystającą spod niego czarną, lśniąca bieliznę.

Nie był to jednak zwykły, pospolity ciuszek z sieciówki, ale wręcz ekskluzywne, odzieżowe arcydzieło.

– To musiało kosztować majątek – skomentował Antek, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na tę nieprzewidzianą i zaskakująco przebojową prezentację swojej, bądź co bądź, przeważnie skrytej i powściągliwej pani kapitan.

– Może i tak... Nie zmienia to jednak faktu, że ta twoja Zosia samosia, chcąc najwyraźniej dać mi coś do myślenia, celowo i złośliwie kupiła mi zbyt duży biustonosz, skutkiem czego dobre dwadzieścia minut musiałam bawić się w przerabianie go... – skarżyła się, jednak o dziwo w jej tonie nie było ani krzty szczerzej złośliwości.

Nie dało się ukryć – po prostu Lili doskonale zdawała sobie sprawę, iż wygląda teraz jak milion dolarów i dlatego nawet drobna złośliwość ze strony młodszej koleżanki nie mogła zepsuć jej zadowolenia, wynikającego ze świadomości posiadania tak potężnej władzy, jaką daje kobietom od wieków ich własne ciało...

– Mimo tego niedopatrzenia chyba jednak musisz przyznać, że ta „Zosia samosia” zna się na rzeczy... Nie będę nawet próbował ukrywać, że ten ciuch, który ci kupiła, wygląda niezmiernie – odparł zadziornie, nie chcąc mimo wszystko dać swojej przełożonej pełni satysfakcji.

– Ciuch? – zapytała z lekkim zdziwieniem.

– No... W sensie na tobie, oczywiście... – poprawił się szybko, wystarczająco ukontentowany wzbudzeniem szczerych wątpliwości u emanującej przesadną pewnością siebie dziewczyny.

– No niech ci będzie... – zgodziła się z uśmiechem. – Powiedzmy, że wyjątkowo mogę ją za to pochwalić. Chyba minęła się z powołaniem, zapowiada się na bardzo dobrą stylistkę – dodała, nie odmawiając sobie nuty złośliwości, po czym z boską gracją ruszyła w stronę łóżka.

– Rozumiem, że i tym razem mam warować niczym pies na kanapie, czy raczej na ziemi... – zapytał retorycznie Antek, dokładnie skanując ciało dziewczyny, gdy obrócona do niego tyłem rozścielała sobie pościel.

– No widzisz, Antoś – odpowiedziała nadzwyczaj pieszczotliwie – tak krótko ze sobą pracujemy, a już rozumiemy się bez słów... – dodała, wskakując błyskawicznie pod kołdrę.

– A co z nocną kontrolą graniczną? – dopytał z nieukrywaną nadzieją w głosie.

– A ty myślisz, że niby dla kogo włożyłam do spania taką bieliznę? Nie wiesz, że gdy ci wyposzczeni pogranicznicy zobaczą w trakcie kontroli roznegliżowaną i zerwaną ze snu żoneczkę, to od razu wszystko pójdzie gładko? Wiem z doświadczenia... Na tych durni ze służb mundurowych to zawsze działa... – Mrugnęła znacząco.

– I znów masz na twarzy ten cwaniacki uśmieszek... – skomentował niepokieszony Antek, odwracając się na powrót w stronę okna.

– Oj tam, nie marudź... Jak będzie kontrola graniczna, to cię obudzę, a wtedy zobaczysz, jak się prawidłowo urabia Ruskich... Dobrej nocy! – rzuciła z satysfakcją i teatralnie przewróciła się na drugi bok.

Koła pociągu stukwały przyjemnie i usypiająco. Antek leżał na ziemi, przykryty jedynie kocem, który znalazł w szafie, i z założonymi za głowę rękami wpatrywał się błędnie w sufit. Przez głowę przepływał mu teraz obfity potok myśli – a to o tym, kto mógł mieć taką wiedzę i możliwości, aby wysłać pod piramidę swojego człowieka, lub też, jak zabrać się do jutrzejszej akcji... Ostatecznie jednak jego myśli zatrzymały się na Zosi Skrzetuskiej oraz Lili.

Aaaa! Muszę się skupić bardziej na tej robocie, a nie na babach... – w końcu powiedział sobie dziarsko w duchu, otrząsając się z tego zbędnego zamyślenia. Ostatecznie przecież to na taką właśnie szansę czekałem całe życie... Nie będzie łatwo, ale teraz przynajmniej mogę naprawdę się wykazać. To jest moje być albo nie być... Trzeba się ogarnąć i nie zawracać sobie niczym i nikim innym głowy... – zarzekał się w myślach.

I rozmyślając tak głęboko, nie zauważył nawet, kiedy opadły mu powieki i nagle, nie wiadomo skąd, niezliczony już raz znalazł się na tej samej starej drewnianej ławie w małej, skromnej, wiejskiej kuchni. Jak zwykle w tym powracającym do niego nieustannie śnie po kuchni rozchodził się przyjemny zapach przypalanej na ogniu cebuli oraz świeżych warzyw dodawanych do bulionu gotującego się na kaflowym piecu – tym wszystkim sennym doznaniom towarzyszył łagodny śpiew jego matki...

– Antoś? A w którym roku odbyła się bitwa warszawska? – zapytała pieszczotliwym głosem, przerywając nagle swój hipnotyzujący śpiew.

Antek, jak zwykle pełen entuzjazmu, spróbował natychmiast odpowiedzieć matce, jednak jego głos, jakby przez kogoś złośliwie zakłęty, po raz kolejny uwiązł mu w gardle – mógł tylko niczym wyciągnięta z wody ryba ruszać bezgłośnie ustami.

– A pamiętasz daty trzech rozbiorów Polski? – kontynuowała przytulnym głosem mama.

Jednak Antek, nie potrafiąc wydobyć z siebie głosu, jak zwykle pragnął już tylko w geście rozpaczliwie spojrzeć swojej matce w twarz... Niestety, dawno już



napisany przez jego podświadomość scenariusz tego snu nieuchronnie podążał w tym samym, nieszczęsnym kierunku – cały czas odwrócona do niego plecami niczym zacięta płyta gramofonu matka bez ustanku zadawała pytania, a on czuł, że przepelnia go złość i paraliżująca niemoc.

Nagle kuchnia znajomo zawirowała, po czym wypełnił ją nieprzyjemny chłód. Antek – będąc już na cienkiej granicy złudzenia i świadomości – wiedział doskonale, jak skończy się ta mara...

# Niedźwiedź, sygnet i tancerka

Noc była czarna i zimna jak ta, która przykryła las podczas niefortunnej akcji pod tajemniczą piramidą w Rapie. Tym razem jednak to nie Antek zaciekle ścigał swoich wrogów, korzystając z egipskich ciemności, które ogarnęły leśną gęstwinę, ale wręcz panicznie przed nimi uciekał. I choć połowicznie zdawał sobie sprawę, że ponownie ogarnął go ten bezsensowny koszmar, to mimo to nie potrafił albo nie chciał się z niego wydostać...

– Boisz się, mały Polaczku? – powtarzał się jak mantra kat, celując w klęczącą przed nim parę ludzi, odwróconą do Antka plecami.

Antek znał już tę kwestię na pamięć... Doskonale znał także rozpaczliwy krzyk dobywający się z leżącego na dachu roztrzaskanego auta, jak zwykle pojawiającego się w tle tego tragicznego widowiska. Niestety i tym razem finał sennej gehenny nie mógł być inny; za chwilę kat wykona bezlitosny wyrok, rozstrzelane ciała upadną twarzami w błoto, a wrzaski dobywające się z zatapianego wodą samochodu ucichną...

Mimo to Antek kolejny raz dał się porwać złudnej, sennej nadziei i na nowo postanowił dostać się do wraku auta, aby sprawdzić, czy aby nie znajdują się w nim jego rodzice. Znowu nic z tego. Ciało małego chłopca, w którym był nieznośnie uwięziony, drżało niczym galareta, a strach nie pozwalał mu się ruszyć z miejsca ani na krok...

Wtem, wyraźnie rozbawiony taką tchórzliwą postawą kat, któremu cień złowrogo zasłaniał twarz, wymierzył lufę pistoletu w kierunku pary oczekujących

na klęczkach nieszczęśników i gdy już miał pociągnąć za spust, Antek, jakby porażony prądem, nagle zerwał się ze snu...

– Cholera jasna! Znowu te jebane zwidy, kiedy to się w końcu skończy! – wysapał prawdziwie rozwścieczony, rozglądając się wkoło. Lili wciąż jednak spała jak zabita, a pociąg w nocnej ciszy z przyjemnym stukotem nadal sunął po torach. Westchnął z ulgą. – Uff... Wygląda na to, że tym razem przynajmniej nie krzychałem... – wyszeptał, przecierając z czoła pot, który obficie oblał mu całe ciało.

Szlag by to... Chyba muszę się przebrać. Mam przemoczoną całą koszulkę i dres – pomyślał i gdy już podnosił się z ziemi, kątem oka dostrzegł, iż coś ciemnego i długiego mignęło za szybą pociągu... Coś jakby... Dłoń w czarnej rękawiczce?

– Lili! Obudź się! – zawołał półgłosem.

– Co jest? – Dziewczyna natychmiast poderwała się z łóżka.

– Chyba widziałem kogoś za oknem... – odparł niepewnie.

– Za oknem? – powtórzyła z niedowierzaniem. – A niby kogo?

– Nie wiem... Chyba jakiś fragment ludzkiej ręki... – wyszeptał, ścisząc zapobiegawczo głos.

– To chyba czy na pewno? – dopytała z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– No mówię ci, że nie jestem pewien! – obruszył się chłopak, czując, że Lili ponownie mu nie dowierza. – Przebudziłem się na moment i wtedy coś dziwnego mignęło mi przed oczami... – dodał.

– Antek... – Lili usiadła na łóżku.

– Co? – odburknął, spodziewając się kolejnego kazania na temat swoich urojeń.

– Nie czujesz, że pociąg jedzie teraz jakoś dziwnie wolno? – zauważyła.

– Rzeczywiście... zwalnia... – potwierdził, wsłuchując się w zmieniającą się gwałtownie częstotliwość stukotu kół.

– Przesuń się! – rozkazała nagle władczym tonem.

– Po co? – zapytał zdziwiony.

– Po jajco! Przesuń się! – powtórzyła stanowczo, energicznie zeskakując z łóżka. – Coś rzeczywiście jest nie tak, dla pozoru lepiej położę się z tobą! – wyjaśniła.

– No... dobra – odparł Antek, w tej sytuacji nie próbując nawet protestować.

– Może to tylko twoje senne przewidzenie, ale pomimo tego pociąg zatrzymuje się o wiele za wcześnie... Do granicy rosyjskiej został jeszcze kawał drogi... Dlatego dla bezpieczeństwa musimy teraz bezwzględnie sprawiać wrażenie młodego, szalenie zakochanego w sobie małżeństwa – oznajmiła.

– Które leży na ziemi? – zapytał, nadal zszokowany takim obrotem sprawy.

– To tym bardziej pasuje do młodego, szalonego małżeństwa, głąbie! – burknęła. – Nigdy nie turlałeś się z kobietą po podłodze? – dodała nerwowo, kładąc się niespodziewanie na swoim zdezorientowanym podwładnym i oplatając go mocno smukłymi, długimi nogami.

Antek poczuł, jak jej gładkie i ciepłe uda suną po jego twardych i chłodnych rękach, i jak to przyjemnie emanujące z nich ciepło przenika wprost do jego wnętrzości, rozpalając najpierw kręgosłup, a następnie wszystkie zakończenia nerwowe aż po najcieńsze końcówki włosów. Gdyby nie fakt, że sytuacja naprawdę była niepokojąca, a Lili niezmiennie utrzymywała minę czujnego psa obronnego, gotowego rzucić się do gardła każdemu, kto wejdzie do kuszетки, byłoby to z pewnością jedno z najprzyjemniejszych doznań, jakie Antek zaznał w swoim życiu.

– Nie mamy przy sobie broni... – zauważył, wpatrując się z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów w uniesioną nad nim dziewczynę.

– Jeśli ktoś niepożądany rzeczywiście jest w pobliżu, to już za późno na broń... – wyszeptała, wbijając wzrok w drzwi kuszетки. – W razie jakiejś nieplanowanej wizyty, musimy do końca grać rolę zwykłych, panicznie przestraszonych cywili, którzy nie mają zielonego pojęcia o samoobronie. Rozumiesz? – dodała dowódczym tonem.

– Tak jest... Ale co, jeśli na to nie pójdą? – zapytał, nie mogąc jednocześnie oprzeć się widokowi jędrnej, wyciągniętej jak struna szyi przełożonej.

– W odpowiednim czasie, na mój rozkaz, zrobimy nieoczekiwany zwrot akcji i zlikwidujemy ich z zaskoczenia – poinstruowała, nadal tkwiąc nieruchomo w silnych objęciach Antka, co miało sprawiać wrażenie najprawdziwszej małżeńskiej czułości.

– Nie chcę cię martwić, Lili, ale wydaje mi się, że jeśli ktoś naprawdę był za oknem pociągu i obserwował nas, to już doskonale wie, że jeśli nie spaliśmy od początku razem, to jesteśmy raczej wyjątkowo podejrzaną parą... – zauważył, szeptaając jej niemal do ucha.

– Nic na to już teraz nie poradzimy – skomentowała sucho.

– To trzeba było grać kochającą małżonkę od samego początku – wytknął, wyrywając się z przyjemnego letargu i próbując ponownie skupić się na obserwowaniu okna.

– A skąd niby, do cholery, miałam wiedzieć, że ktoś będzie chodził po dachu pędzącego pociągu? – zachnęła się. – O ile to rzeczywiście prawda... – dodała z przekąsem.

– I to ma być ten profesjonalizm, o którym mówiłaś? – skwitował Antek, a w tym momencie pociąg zatrzymał się w szczerym polu.

– Teraz bądź cicho! Nie pora na przekomarzanie... – syknęła dziewczyna, tkwiąc w wyzywającej pozie tuż nad torsiem chłopaka i nasłuchując uważnie.

– Póki co nie słyhać nic niepokojącego... Wygląda na to, że to tylko zwykły postój... – wyszeptał w końcu Antek, gdy po kilku minutach oczekiwania w całkowitej ciszy w ich wagonie nie wydarzyło się nic specjalnego. – Możesz chyba kontynuować odgrywanie swojej roli, dobrze ci to idzie... – dodał żartobliwie, a jego dłoń podświadomie wylądowała pod koronkowym szlafrokiem Lili, gdzieś na wysokości pośladka.

– Nawet nie próbuj! – syknęła jak zmija pani kapitan i błyskawicznie zacisnęła kościstą dłoń na jego gardle.

– Sorry! No już, daj spokój... Żartowałem tylko... – wydyszał skrzeczącym głosem, czując, że pod wpływem znanego mu już dobrze od czasu nocy sylwestrowej żelaznego uścisku Lili oczy wychodzą mu na wierzch.

– Jeśli wymyśliłeś sobie tę historię z oknem po to, żebyś odstawiła przed tobą to całe zbierne przedstawienie, to wrócę do Polski pierwszym lepszym pociągiem z Moskwy... – zagroziła i jeszcze zajadłej ścisnęła szyję chłopaka.

– Nie... No co ty! Zwariowałaś?! Niczego sobie nie wymyśliłem... A teraz chciałem tylko zażartować i pokazać, że też wiem, jak dobrze odgrywać swoją rolę... – zachrypiął rozpaczliwie.

– Przyrzekam, że jeśli kłamiesz, to wyrwę ci żywcem krtań, ty pieprzony zbrojeńcu! – wysapała wściekle, siadając brutalnie kolanami na jego klatce piersiowej.

Antek miał już jednak dość tego przesadnie protekcyjnego traktowania, więc z nieukrywaną złością złapał w końcu za napiętą niczym stalowa lina dłoń dziewczyny i z wielką siłą oderwał go od swojej szyi.

– Odbiło ci?! – fuknął wściekle, bez pardonowo wyginając teraz przedramię swojej fikcyjnej żony.

– Wykorzystałeś sytuację, żebyś sobie połapać za tyłek! – odwarknęła.

– Po pierwsze, nic nie wykorzystałem, a po drugie, nie złapałem, tylko musnąłem! A raczej przesunąłem dłoń nieco wyżej, a to jest znaczna różnica! – zaprzeczył, nie siląc się już na zachowanie cichszego tonu.

Lili oczywiście miała już na to tłumaczenie odpowiednią ripostę, jednak nie zdążyła wydobyć z siebie nawet jednego słowa, gdyż w tym samym momencie ciemne, zaciszne pomieszczenie przeszył ogłuszający dźwięk pękającego szkła, które rozsypało się wkoło splecionych w nienawistnym uścisku kochanków niczym kryształowy deszcz. Niestety, następnymi atrakcjami tego niepodziewanego wtargnięcia okazali się wrzucony przez rozbitą szybę granat gazowy, a chwilę po nim przypięty do liny, rosły mężczyzna w szarym mundurze oraz w masce przeciwgazowej i z karabinem w ręku.

Widząc to, Lili w mgnieniu oka wróciła do roli pospolitej, młodej mężatki i piszcząc przeraźliwie, przywarła do ciała leżącego na ziemi męża.

Uzbrojony mężczyzna, nie bacząc jednak na ten bardzo przekonujący pokaz przerażenia i hysterii, złapał ją bezwzględnie za włosy i pociągnął do siebie z taką mocą, iż bez problemu wypadła ona z objęć leżącego i równie mocno przerażonego tak brutalną napaścią męża, którego mistrzowsko odegrał Antek.

– Borys! Nie puszczaj mnie! – wrzasnęła po rosyjsku z nienagannym moskiewskim akcentem, przeraźliwie dławiąc się przy tym gazem, ale nadal nie przestając odgrywać swojej roli, za którą bezsprzecznie mogłaby otrzymać nagrodę amerykańskiej akademii filmowej.

– Co ty robisz, człowieku?! Czego ty od nas chcesz? Zostaw moją żonę w spokoju! Błagam! – do panicznego skowytu Lili dołączył się również Antek, wstając ostrożnie z ziemi i unosząc jedną rękę w poddańczym geście, a drugą zatykając sobie usta i nos.

– Zamknij ryj! – ryknął w języku białoruskim żołnierz, stłumionym przez maskę gazową głosem, a w tej samej chwili drzwi kuszетки wypadły z zawiasów i do środka wpadło kolejnych dwóch uzbrojonych intruzów.

– Proszę, zostawcie moją żonę! Nadia! Nadia! – krzyczał błagalnie Antek, brutalnie obezwładniony przez dwójkę zamaskowanych osiłków, jednak biały, gryzący dym coraz bardziej wypełniał mu płuca i powodował, że trudniej mu było mówić.

– Powiedziałem: zamknij ryj! – wrzasnął ponownie mężczyzna, wyrzucając jednocześnie nieprzytomną już Lili przez rozbite okno pociągu. Skrępowany, ale za to nadal postawiony do pionu Antek dostrzegł jednak, że szczęśliwie pod oknem wagonu stało kolejnych dwóch żołnierzy, którzy przechwyciwszy dziewczynę w locie, ustrzegli ją przed niebezpiecznym uderzeniem w kolejowy tłuczeń.

– Brać to ścierwo i wyjazd z nim! – huknął ponownie mężczyzna w kierunku dwóch brytanów, którzy trzymali Antka w uścisku, a ci, słysząc bezwzględną komendę, z łatwością poderwali go w powietrze, po czym bez namysłu, również

wyrzucili na zewnątrz. Niestety, w przeciwieństwie do Lili, Antek nie miał miękkiego lądowania, gdyż nieprzechwycony przez nikogo, gruchnął boleśnie plecami i głową o usłany twardym grysem nasyp kolejowy.

– Bierzemy ich bagaże i zabieramy się stąd! Raz-dwa! – rozkazał kolejny z mężczyzn, który trzymając na ramieniu niczym zwinięty dywan nieprzytomną Lili, podążył bez pośpiechu w stronę trzech stojących w oddali szarych furgonów.

– Chętnie przypilnuję tę wyuzdaną suczkę podczas transportu, szefie! – zażartował nagle jeden z żołnierzy, wyskakując energicznie z wagonu i ściągając przy tym maskę gazową z twarzy.

– Oni należą do Diektiera! Jeśli ją ruszysz, to on rozjebie ci łeb! Rozumiesz? – odparł groźnie mężczyzna, podrzucając zwiotczone ciało Lili, tak aby lepiej sobie rozłożyć jego ciężar na potężnym barku.

– Tak jest! – odpowiedział z całkowitym respektem żołnierz, a następnie zabrał się za podnoszenie Antka z ziemi.

– Ciężki skurwiel... Będzie miał ze sto kilo! – narzekał drugi, który przyszedł mu w tym pomóc.

Jednak Antek już nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co działo się wokół niego – otumaniony i zdławiony gazem bojowym patrzył jedynie na wprost przytomnie w stronę, w którą zabrano Lili, a następnie, gdy przeciągnięto go kilkanaście metrów niczym worek ziemniaków, puścił obfitego pawia, po czym stracił do reszty świadomość.

\*\*\*

Dudnienie dyskotekowych subwooferów i niemiłosiernie jarzące się, pomarańczowe światło powitało Antka z powrotem wśród żywych... Rozglądając się więc wkoło, spostrzegł, iż całym ciałem leży w zimnej, cuchnącej i ogarniającej go zewsząd wodzie, a jego głowa spoczywa na zziębniętych i pokrytych gęsią skórką nogach Lili. Dziewczyna, również siedząc po pas w lodowatych ściekach,



opierała się plecami o szarą odrapaną ścianę i ze zsiniałymi wargami w milczeniu na niego spoglądała.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał cicho, czując, że za chwilę zwymiotuje po raz drugi.

– Nie wiem gdzie, ale wygląda to na jakąś zalaną kotłownię – odparła równie dyskretnie. – Przebudziłam się dopiero wtedy, gdy nas tu zamykano...

– Dobrze, że się ocknęłaś – zauważył Antek.

– Żebyś wiedział... Ten gaz tak cię sponiewierał, że o mało nie utopiłeś się w tym zatęchłym rynsztoku. Musiałam cały czas podtrzymywać ci głowę... – przyznała.

– Zawsze źle reagowałem na wszelkiego rodzaju gazy bojowe – skomentował, próbując jednocześnie wstać, jednak potworny helikopter w głowie skutecznie nie pozwolił mu powrócić do pionu.

– Lepiej mów do mnie po rosyjsku, mogą nas tutaj podsłuchiwać – ostrzegła go dziewczyna. – Poleż jeszcze przez chwilę – zaproponowała troskliwym tonem.

– Dobrze... – Przytaknął anemicznie głową. – Myślisz, że wiedzą, kim naprawdę jesteśmy? – dodał szeptem.

– Nie wiem, ale z pewnością nie była to żadna elitarna jednostka, tylko jacyś zwykli, przeszkoleni najemnicy. Gdybyśmy mieli przy sobie broń, zginęliby w przeciągu trzech minut – odpowiedziała równie mocno przyciszonym głosem.

– Racja... To ich wejście do pociągu to była totalna amatorka... Niezsynchronizowane, bez zabezpieczenia pleców... – wyliczał chłopak. – Ten ich śmieszny dowódca dostałby kulkę w czoło, zanim wjechałby do środka na tej linii – przyznał.

– Ale jeśli wtedy byśmy ich załatwili, nie dotarlibyśmy aż tutaj... A to dziwne miejsce może nam przysporzyć sporo cennych informacji... – zauważyła.

– Pytanie tylko, czy są aż tacy głupi i niedouczeni w swoim fachu, czy może rzeczywiście zbagatelizowali sytuację, biorąc nas za zwykłych, niegroźnych cieci... – zastanawiał się.

– Obstawiam raczej to drugie... Ci durnie najwyraźniej nie są świadomi tego, jakie lisy wpuścili do tego swojego zapchlonego kurnika... – Uśmiechnęła się dyskretnie. – Tak więc póki co musimy nadal odgrywać parę przerażonych, uprowadzonych rosyjskich turystów – przypomniała.

– Dobrze, tylko tym razem, wczuwając się w rolę kochającej małżonki, postaraj się mnie przy tym nie udusić... – skomentował z przekąsem.

– Sorry, ale sam się o to prosiłeś...

– Dobra... Nieważne... – skwitował Antek, nie mając siły ani nastroju na przekomarzenie się. – Nad nami znajduje się chyba jakiś klub muzyczny – dodał, szybko zmieniając temat.

– Też się nad tym zastanawiałam... Być może to jakaś nora dla szemranego towarzystwa – dedukowała.

– Szlag by to... – przeklął Antek. – Ale ta woda zimna, w ogóle nie czuję stóp... – dodał, ponownie rozglądając się dokoła.

– A co ja mam powiedzieć? Siedzę tu w samej bieliźnie, tyłkiem na betonie – oburzyła się Lili.

– Chyba lepsze to niż leżenie po szyję w tych śmierdzących szczynach... – zripostował Antek.

– To proszę bardzo... Wstań, jeśli ci będzie przez to lepiej – burknęła pod nosem.

– Dobra już, dobra... Sytuacja nie jest łatwa, ale przynajmniej się nie kłóćmy... – odezwał się koncyliacyjnym tonem, próbując z wolna podnieść się do pionu i walcząc przy tym z powracającymi nieustannie odruchami wymiotnymi.

– Zaczynam wątpić, czy to w naszym przypadku w ogóle możliwe... – odparła sucho.

– Wybacz, ale w tej sytuacji chyba nie mamy innego wyjścia, jak przemóc się i trzymać nasze uprzedzenia i animozje na wodzy... – skomentował pouczającym tonem. – Swoją drogą, ciekawe, jak daleko nas wywieźli i czy w ogóle jesteśmy

jeszcze na terenie Białorusi... – dodał, podnosząc się w końcu i opierając o obficie pokrytą grzybem ścianę.

– Zerwali nam smartplastry z rąk, a także zabrali mój komputer. Nie dowiemy się więc, ani gdzie jesteśmy, ani która jest godzina – wyjaśniła.

Nagle poprzez dudniący bas niosącej się po tym obskurnym budynku klubowej muzyki zza ściany kotłowni dobiegł ich dźwięk przeraźliwie skrzypiących, metalowych drzwi.

– Ktoś tu idzie, siadaj koło mnie i udawaj otępiałego i bezbronnego! – rozkazała natychmiast Lili, na co Antek powtórnie położył głowę na zziębniętych udach swojej fikcyjnej małżonki.

– Akcja poszła jak po maśle, szefie! Wszystko zajęło nam zaledwie kilka minut! – zza drzwi odezwał się donośny, niski głos jakiegoś mężczyzny.

Antek od razu poznał, że należał do człowieka, który podczas uprowadzenia ich niósł nieprzytomną Lili na swoim ramieniu.

– A co z maszynistami i konduktorami?! Nikogo nie informowali? Nie robili problemu? – dopytywał inny, ewidentnie nieprzyjemny typ.

Obaj tym razem rozmawiali jednak nie po białorusku, ale po rosyjsku.

– Ani trochę, szefie. Jednemu rzuciliśmy parę stówek, drugi dla przykładu dostał solidnego kopa w dupę. Tak więc obaj bez zastanawiania zgodzili się zatrzymać skład na te kilka minut – wytłumaczył dumnym tonem.

– Bardzo dobrze, Wasyl – pochwalił go nieznajomy. – Jeśli to rzeczywiście oni, to wszyscy macie dziś premię... Ale jeśli nie, to koniec z dupczeniem dziewczynek na mój koszt i prochami za darmo! – zagroził następnie.

W końcu drzwi do zalanego wodą pomieszczenia otworzyły się, a w futrynie stanął niski, krępy mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Jego pomarszczona i czerwona jak burak twarz zdradzała, że nie stroni od alkoholu oraz innych używek. Uśmiechnął się podstępnie w stronę swoich nowo dostarczonych gości i eksponując przy tym kilka wielkich, złotych zębów, powiedział ohydnie chrypiącym głosem:

– I to mają być te sprytne Polaczki, które przebierają się za Ruskich?

– Tak jest, proszę pana – potwierdził natychmiast potężny sługus, na co jego wyjątkowo obleśny szef, z wypiętym dumnie i wielkim jak bęben brzuchem, który wystawał spod rozpiętej, hawajskiej koszuli, ruszył w stronę uwięzionej pary, krocząc uważnie po wystających z wody, betonowych płytach.

Antek od razu zrozumiał, że musi to być jakiś lokalny kacyk, który działa tutaj za cichym przyzwoleniem władz i zapewne zajmuje się prowadzeniem nielegalnych atrakcji dla dorosłych, z których owi przedstawiciele władz chętnie korzystają... Natomiast Lili, skutecznie ukrywając w sobie nieopisaną wściekłość wynikającą z tego, że znalazła się w tak poniżającej i nieprzyjemnej sytuacji, siedząc nadal nieruchomo w wodzie, obiecywała sobie w duchu, że jeśli ten czerwony, napęczniały wrzód zaledwie zbliży się do niej ze swoimi tłustymi łapskami, to bez najmniejszego ostrzeżenia ukręci mu ten świński łeb...

Istotnie, nieznamy watażka sprawiał wręcz wrażenie filmowego, zamożnego oprycha rodem z pocztu czarnych charakterów znanych wszystkim z serii filmów o Jamesie Bondzie. Na dodatek uroku typowego, kacapskiego sutenera dopełniały mu białe, tandetnie mieniące się spodnie od garnituru oraz mokasyny z krokodylej skóry o ciemnoczerwonej barwie, idealnie zlewające się z kolorem jego twarzy.

Ku zadowoleniu Lili mężczyzna stanął jednak w odległości około czterech metrów od nich – zapewne ze względów bezpieczeństwa – a tuż za nim do kotłowni wtrądziło się dwóch rośłych pomagierów w niechlujnych dresach oraz ortalionowych kurtkach, które w iście wschodnim stylu idealnie komponowały się z zawieszonymi na ramionach, odbezpieczonymi kałasznikowami.

– Panie Diektiar, to na pewno oni! Sprawdziliśmy to najlepiej, jak było to tylko możliwe... – zapewnił kolejny raz drugi z żołnierzy, widząc, że ich szef, przyglądając się uważnie dopiero co uprowadzonym przybyszom, ewidentnie nie jest co do tego przekonany.

– To czemu, do kurwy nędzy, wyglądają całkiem inaczej, niż opisywał ich Rózga! – zagrział nagle, na co Antek i Lili wymienili między sobą wymowne

spojrzenie.

– Szukaliśmy ich bardzo długo! Co prawda w pociągu było też kilka innych par, ale to właśnie oni najbardziej przypominali tę opisaną przez niego... – tłumaczył się nerwowo osiłek.

– Może ten stary, zgrzybiały cap ma już problemy ze wzrokiem i źle coś panu przekazał – wtrącił się ponownie Wasyl, próbując wesprzeć w wytłumaczeniach swojego kolegę.

– Nie jestem pewien... Według mnie nie wyglądają na groźnych... Raczej na zesraną ze strachu parkę piękniśców!

– Powtarzam panu, że inne pary znajdujące się w pociągu zupełnie nie pasowały do opisu! – stanowczo zarzekł się oprych.

– Nie wiem... – Niepocieszony Diektiar westchnął. – Ale jeśli się pomyliliście i trafiła do nas para zwykłych rosyjskich cywili, to jeszcze tej nocy obsługa pociągu powiadomi o tym rosyjski MSZ, a oni natychmiast skierują się z tym do białoruskich służb i będziemy mieć tu kurewską zadymę! – wysapał wściekle.

– Szefie... Niech się szef tak nie gorączkuje... Przecież każdy tutaj wie, że ma pan za sobą w Moskwie takie plecy, że te białoruskie pacholki mogą panu naskoczyć... – z litościwym grymasem na twarzy próbował jakoś udobruchać swojego rozsierzonego pana rosły zakapior.

– Wasyl! Nie wyprowadzaj mnie z równowagi takim bezmyślnym pierdoleniem! – wrzasnął na to Diektiar. – Pracujesz dla mnie tyle lat i nie domyśliłeś się jeszcze, że pozwalają mi na prowadzenie tego kurwidołka, dzięki któremu macie co żreć i w którym możecie sobie dupczyć od rana do nocy tylko dlatego, że prowadzę go w dyskrecji, nie wchodząc niepotrzebnie Białorusinom w drogę?! – ryczał, odwracając się do swoich podwładnych i obryzgując ich przy tym śliną. – Dlatego oznajmiam ci, że jeśli spierdoliłeś tak prostą robotę i zamiast polskich agentów uprowadziłeś jakichś niewinnych, rosyjskich szaraczków, to nawet moi moskiewscy protektorzy się wkurwią i będą żądać, aby poleciała za to czyjaś głowa! Jak myślisz, Wasyl, czyja to będzie głowa? – zapytał retorycznie.

– Spokojnie, szefie, nawet gdybyśmy się pomylili, jakoś to odkręcimy, jak zwykle... – zapewniał opryszek, ale z minuty na minutę wyraźnie uchodziła z niego uprzednia pewność siebie.

– Pewnie, że odkręcimy, kretynie! Z tym że ja wcale nie mam zamiaru przyjmować tutaj kolejny raz niepotrzebnych kontroli z Kremla, które przysporzą mi tylko dodatkowych kosztów! Wystarczy już, że odpalam im co miesiąc majątek! – wysapał wściekle, grożąc podwładnemu palcem.

– Szefie... Innych podobnych do opisu, jaki dał nam Różga, w pociągu nie było! Niech szef się dokładniej przyjrzy... – usilnie przekonywał podwładny.

– Miał być atletycznie zbudowany brunet w długich czarnych włosach i nienaturalnie niebieskich oczach oraz wysoka brunetka...

– No i są! – zapewniał. – Po prostu dla niepoznaki facet przed wyjazdem ściął sobie włosy, a dziewczyna przefarbowała się na blond...

– Tylko skoro są tak niebezpieczni, jak mówił Różga, to dlaczego nawet nie próbowali się bronić? – zauważył Diektiar.

– Nie mam pojęcia... Może tak skutecznie ich zaskoczyliśmy, że nie mieli już wyjścia, jak tylko oddać się potulnie w nasze ręce... – zaproponował Wasyl.

– A może ci prawdziwi szpiedzy zwiali wam gdzieś, gdy zatrzymano pociąg...? – nie dowierzał Diektiar.

– Szefie! Nikt stamtąd nie miał szansy zwać! A jeśli rzeczywiście zaszła pomyłka, to tylko dlatego, że widocznie ten pański Różga wskazał nam zły pociąg... – tłumaczył się nadal Wasyl.

– Różga na pewno podał wszystko, tak jak należy! Przyrzekł mi na własne życie, że miał schowany przy sobie mikrofon kierunkowy i podsłuchując ich, usłyszał dokładnie, kiedy mają wyjechać z Polski! – zagrzmiał, a następnie wskazał palcem na Antka i rozkazał: – Ty! Wstawaj!

– Proszę zostawić mojego męża! On się bardzo źle czuje, nie może wstać! – natychmiast zaskamlała Lili, udając absolutnie przerażoną.

– Zamknij się, suko, nie do ciebie mówię! – wrzasnął na nią Diektiar.

– Czego wy od nas chcecie? On jest ledwo przytomny! – odpowiedziała mu, teatralnie zanosząc się płaczem.

– Powiedziałem ci, głupia kurwo, żebyś się zamknęła! – Diektiar poczerwieniał jeszcze bardziej, po czym ostrzegawczo wyciągnął zza paska niewielki złoty rewolwer, zdobiony kością słoniową.

– Nazywam się Borys Aristow i mogę pana zapewnić, że nie mamy nic wspólnego z żadnymi szpiegami... To jest jakaś okropna pomyłka – wysapał w końcu Antek.

– Jesteśmy zwykłymi ludźmi! Prowadzimy z mężem kilka małych bazarów osiedlowych, nie zadajemy się z nikim, kto by mógł mieć z wami do czynienia! Dlaczego nas tutaj trzymacie? – kontynuowała niestrudzenie Lili.

– W takim razie niech twój mężulek wstanie! Zobaczymy, jaki z niego sklepikarz! – rozkazał rozsierdzony kacyk.

– Słyszysz, co pan Diektiar mówi? Wstawaj, śmieciu! – powtórzył Wasyl, widząc, że Antek się ociąga.

– No ruszaj dupę, bo ci pomogę! – dodał drugi z oprychów, ruszając nagle w stronę anemicznie podnoszącego się z ziemi więźnia.

– Stój, kretynie! – wrzasnął na niego Wasyl. – Nie zbliżaj się do nich z bronią! Jeśli już otrzeźwieli po tym gazie, to mogą być niebezpieczni! Wiem, jak dobrze wyszkolone są takie fałszywe mendy... Jeden głupi ruch, a obezwładnią cię i podziurawią jak ser – ostrzegł.

– Wasyl ma rację... – przytaknął surowo Diektiar, jeszcze baczniej przyglądając się Antkowi i wymierzając rewolwer w jego głowę – Nigdy nie wiadomo, czy nie odgrywają nam tu jakiegoś wcześniej przygotowanego przedstawienia. Lepiej nie ryzykować i dmuchać na zimne – dodał pouczająco. – Jak nie możesz wstać, to niech ci żoneczka pomoże! – ponownie zwrócił się do Antka. – W przeciwnym razie obojgu wam przestrelę piszczele! – zagroził, na co Lili podniosła się jeszcze większym płaczem i rozpaczliwie zaczęła dźwigać wycieńczonego małżonka w górę.

– No widzicie! Jak się chce, to się da! Wystarczy tylko mała motywacja... – Diektiar się roześmiał, wskazując lufą na Antka, który z pomocą Lili stanął w końcu na własne nogi. – Rzeczywiście... Wcale nie mały z ciebie chłop... – kontynuował. – Z postury nie wyglądasz mi na sklepikarza – zauważył. – Ale jeśli naprawdę okaże się, że jesteście tylko parą niewinnych turystów i przez pomyłkę zaprosiliśmy tu nie tych ludzi, co trzeba, to nic nie szkodzi... Jeszcze jutro wrócicie sobie tam, skąd przyjechaliście – zapewnił.

– Dziękujemy! Na pewno tak będzie! Bo to proszę pana z pewnością jakaś pomyłka! – wypaliła błagalnie Lili.

Diektiar, słysząc to, uśmiechnął się tylko z wypisaną podejrzaną chciwością na purpurowej twarzy i powiedział:

– Żabuniu... Nawet jeśli nasza weryfikacja potwierdzi to, co mówicie, i zanim moi ludzie grzecznie odwiozą was na najbliższy pociąg do domu, musimy jeszcze uregulować między nami pewne rachunki... Nie zapominajcie, że wasz przyjazd tutaj kosztował mnie sporo trudu i pieniędzy... – Zarechotał obrzydłe.

– Mamy trochę oszczędności na koncie! Niech nas pan tylko wypuści, a my wypłacimy je panu i nie wspomnimy o tym nikomu ani słowa – wysapał błagalnie Antek, a Lili, potwierdziła to szczerym łkaniem, kryjąc rozpaczliwie twarz w jego ramieniu.

– Nie takie rachunki miałem na myśli... – odrzekł coraz bardziej rozbawiony tym przedstawieniem Diektiar. – Twojej żonci co prawda sporo brakuje do tabunu moich dziewczynek, ale nie przeszkadza to w tym, by mogła dla mnie dzisiaj co nieco zarobić... Zawsze przecież znajdą się jacyś hojni amatorzy takich niezdarnych, przerażonych cipek... – Roześmiał się. – Tak jak wspomniałem, zatrzymanie tego jebanego pociągu trochę mnie kosztowało, a ja nie zwykłem dokładać do interesu... – wyjaśnił z iście diabolicznym błyskiem w oczach, na co Lili zawyła jeszcze przeraźliwiej, chowając się jednocześnie za plecami Antka, który z kolei przyjął teraz nieco komiczną postawę, przypominającą wyprowadzonego z równowagi łamagę, który w obronie ukochanej gotów jest po raz pierwszy w życiu dać komuś po mordzie.



Diektiar nie przejął się tym jednak wcale i mówił dalej:

– Jeśli zaś o ciebie chodzi, sklepikarzu – spojrzał na Antka – pomimo twojego błaznowatego zachowania na pierwszy rzut oka widać, że jesteś lepiej zbudowany niż większość moich chłopaków... Albo więc musisz dużo ćwiczyć po godzinach, albo nie jesteś tą osobą, za którą się podajesz... – Zmienił nagle wyraz twarzy na bezwzględny i niepokojąco poważny.

– Ma pan racje! Ćwiczę z kolegami po pracy, ale jest to zajecie większości mężczyzn w Moskwie... Przecież nie można porywać ludzi z tego powodu, że są wysportowani! – tłumaczył się rozpaczliwie.

– Panie Diektiar! My naprawdę nie mamy nic wspólnego z tym, co pan mówi! Proszę nas puścić wolno! Uzbieramy tyle pieniędzy, ile pan stracił, i oddamy zaraz po powrocie do domu! – ponownie wtrąciła Lili.

– Cicho! – ryknął watażka, kolejny raz celując rewolwerem w Antka, który uniósł przed siebie dłonie w błagalnym geście. – Widzicie go, chłopcy? – kontynuował drwiąco. – Pan Aristow mówi nam, że ćwiczy z kolegami po zakończeniu pracy na bazarze... A według mnie wygląda, jakby trenował ze Specnazem albo przynajmniej kosztującym krocie, prywatnym trenerem personalnym – zauważył.

– Zgadza się panie Diektiar – potwierdził Wasyl. – Coś tutaj ewidentnie śmierdzi... Wycieczki pierwszą klasą po Europie, ekskluzywne ubranka dla żonki, a do tego nienaganna muskulatura, której utrzymanie musi kosztować go pewnie kilka wypłat rocznie... – wyliczał. – To chyba ciut za dużo jak na jarmarcznego handlarza... – dodał, próbując przypodobać się swojemu mocodawcy.

– Mi też nie wydaje się, by moskiewska klasa średnia mogła sobie na to wszystko pozwolić... – mruknął pod nosem Diektiar. – Ale spokojnie, spokojnie... Jego też przetestujemy... Zaraz znajdzie się dla niego robota... Nie może przecież tak być, żeby żona pracowała, a mąż leżał do góry brzuchem, co nie? – dodał drwiąco.

– Ma szef na myśli klatkę? – zapytał drugi z podwładnych, szczerząc przeżarte próchnicą zęby.

– Dokładnie... Klatka szybko da nam odpowiedź, z kim rzeczywiście mamy do czynienia – przyznał. – W końcu mamy dzisiaj noc gladiatorów, prawda? – Uśmiechnął się do Antka tajemniczo. – Sala będzie wypełniona po brzegi, a moi goście chętnie obejrzą w akcji takie niezapowiedziane, świetnie prezentujące się, świeże mięsko... – dodał z jakimś dziwnym, psychopatycznym rozmarzeniem w oczach.

– Znakomity pomysł, szefie! – zawtórował Wasyl. – Walcząc o życie, będzie musiał się bezwzględnie bronić, a wtedy zobaczymy, jaki z niego turysta...

– Ale póki co niech ściągnie z siebie te śmierdzące łachy! – rozkazał nagle Diektiar. – Muszę go lepiej obejrzeć i ocenić, ile jest wart... – dodał, potrząsając zachęcająco rewolwerem.

Antek doskonale zrozumiał to polecenie, jednak udając, że z powodu skrajnego wycieńczenia nie dotarło ono do niego, stał nadal w bezruchu i panicznie zasłaniał swoim ciałem, kuląc się za nim, przemoczoną i wyziębioną Lili.

– Słyszałeś, co powiedział szef? Ściągaj łachy, naszprycowana koksem pizdo! – powtórzył żądanie Wasyl, będąc wyraźnie zazdrosnym o idealnie wypracowane, atletyczne proporcje Antka, których samemu – pomimo brania końskich dawek „teścia” i metanabolu – nie udało mu się nigdy osiągnąć.

Niestety w tej sytuacji niemożliwym było dalsze udawanie głupa i Antek zdał sobie sprawę, że to już koniec całej ich misternej mistyfikacji. Na ciele miał tyle blizn i obrażeń po starciach, które przytrafiły mu się podczas akcji w Rapie, że nie sposób było wytłumaczyć tego żadnymi wypadkami przy pracy, a już zwłaszcza u moskiewskiego, drobnego przedsiębiorcy.

– No szybciej! Rozbieraj się! – poganiał Wasyl, widząc, że Antek ewidentnie się ociąga.

– Chłopaki, już nawet wiem, jaki strój mu damy! – wtrącił Diektiar, przyglądając się uważnie, jak Antek próbuje odkleić od siebie przemoczony

longsleeve.

– Chyba się domyślam, szefie. – Drugi z pomagierów zarechotał. – Ten skórzany? Z tego filmu o... o... o... – opryszek z trudem formułował myśli – no z tym... co go wzięli do niewoli... Jak mu tam było? – Głowił się okrutnie. – No tego... Markusa! – wystrzelił nagle, robiąc przy tym wyjątkowo błyskotliwą minę.

– Nie Markusa, tylko Maximusa, debilu! – poprawił go kolega.

– Markusa, Maximusa czy innego kutasa, jeden chuj! – zakpił ignorancko Diektiar. – Ważne, że w tym wdzianku na tle reszty tego całego odrażającego barachła będzie wyglądał jak prawdziwa gwiazda Hollywood. Nasi klienci zeszczą się z wrażenia... – Kacyk wyraźnie rozmarzył się tym pomysłem. – Damy go na sam koniec jako wisienkę na torcie! – dodał, rechocząc jak nadęta ropucha.

– A co jeśli w klatce rzeczywiście okaże się, że jest tym jebanym sklepikarzem? – Wasyl niespodziewanie przerwał przyjemne rozmarzenie swojego szefa.

– Już wam mówiłem... Boleśnie za to zapłacicie... A jego, o ile wyjdzie z klatki w jednym kawałku, odstawicie z tą cizią na najbliższy pociąg... – zagroził, łapiąc przy tym nieprzyjemnie świszczący oddech, a niemal w tym samym momencie przemoczona koszulka Antka upadła na mętną taflę wody.

– Ożeż kurwa... – wyszeptał wyraźnie zaszokowany kacyk, celując teraz o wiele dokładniej w stronę Antka i jednocześnie wodząc przenikliwie wzrokiem po jego obszernym krwiaku, mieniącym się żółcią i fioletem w okolicach pępka. Szczęściem w nieszczęściu było jednak to, że jego poprzednie – o wiele poważniejsze obrażenia – wynikające z próby dostania się do Gołuchowa, zostały szczęśliwie usunięte metodą laserową zaledwie kilka dni przed rozpoczęciem egzaminów i zarazem nieplanowanym udziałem w operacji „Masterpiece”.

– A teraz ściągaj te hajdawery! Już! – ponaglił Diektiar, a po jego purpurowej twarzy przemknął nerwowy grymas.

Antek nie miał więc już innego wyjścia, jak tylko opuścić w dół ciężkie, przesiąknięte wodą dresy, obnażając tym samym, pokiereszowane myśliwskim

śrutem udo.

– Oooo! – zawołał jeszcze bardziej zaskoczony watażka, dostrzegając serię świeżo opatrzonych ran. – Drogi panie Aristow... To, co widzę, w zupełności mi wystarcza... – mruknął pod nosem z satysfakcją, jednak po chwili w miejscu malującego się na jego twarzy zaskoczenia szybko pojawił się niepokój.

– Dopiero co pozszywany, szefie... – zauważył Wasyl, kładąc demonstracyjnie palec na spuście swojego kałasznikowa, jakby tylko czekał na rozkaz do jego użycia.

– Ta noga, panowie – kontynuował Diektiar – to na sto procent robota Rózgi... Staruch opowiadał mi, że wypalił do jednego z ludzi, którzy brali udział w tej nocnej jatce nieopodal miejsca, które kazałem mu pilnować – wyjaśnił.

– To co z nimi robimy, szefie? – zapytał jakby nieco zestresowany tym odkryciem Wasyl, nadal trzymając swój karabin w gotowości.

– Trzymajcie ich cały czas na muszce, a ja zwołam tu resztę chłopaków z bronią. Jednak musicie być teraz bardzo ostrożni! – zarządził. – Gdyby zaś pod moją nieobecność pan sklepikarz zaczął coś kombinować, zastrzelcie go bez rozkazu! – dodał ostro, spoglądając wymownie w oczy Antka.

– Tak jest! – odparli natychmiast.

– Gdy dotrze do was reszta chłopaków, skujcie im porządnie ręce i nogi. Za pół godziny mają być na górze, gotowi do występów...

– A gdzie dokładnie mamy ich postawić, szefie? – dopytał Wasyl.

– Dziewczynę przypnijcie łańcuchem do pierwszej lepszej wolnej rury i niech tam pod okiem kogoś z bronią kręci tyłkiem. Jeśli zaś chodzi o niego, bardzo ostrożnie przetransportujcie go do reszty zawodników oczekujących na walki...

– Tak jest! – powtórzyli.

– I raz jeszcze przypominam: bądźcie ostrożni i niech nikt nie zbliża się do nich z bronią! – pouczył, odwracając się w stronę drzwi.

– Ale tak sobie teraz myślę, szefie – wtrącił niepewnie drugi ze sługusów – że jeśli to ktoś ze służb specjalnych, to może lepiej w ogóle ich stąd nie

wypuszczać? – zaproponował z lekkim zdenerwowaniem.

– A wy to niby kim, do kurwy nędzy, jesteście?! – ryknął, wyraźnie rozzłoszczony tą sugestią Diektiar. – Ochroniarzami z supermarketu?! Za co wam płacę, darmozjady?! – dodał, ponownie obryzgując podwładnych śliną.

– Szefie, ja chciałem tylko... – począł tłumaczyć się opryszek.

– Wasyl obiecywał mi, że zrobi z was dobrze wyszkolony, prywatny oddział, tak? – rozsierdzony kacyk nie dał mu szans na jakiegokolwiek wyjaśnienia. – Inwestuję w was w chuj pieniędzy! Płace za amunicję, anaboliki, treningi i kursy, a teraz ty mówisz mi, że boisz się przetransportować dwóch rozbrojonych gołodupców z jednej kondygnacji na drugą?! – wrzeszczał.

– Zgadza się szefie, ale...

– Nie ma żadnego ale! – przerwał ponownie watażka. – Rób to, co do ciebie należy, albo wypierdalaj stąd i już do końca życia oglądaj się za siebie! Dlatego, że za dużo już tutaj widziałeś! – zagroził.

– Bez nerwów, szefie... Za pół godziny będą gotowi... – zapewnił w końcu Wasyl, zerkając z surowym wyrzutem na swojego kolegę.

– No! I to mi się podoba! – pochwalił go Diektiar. – Tak powinna wyglądać odpowiedź dowódcy oddziału, a nie jakieś tam babskie jójczenie! – dodał, wyraźnie już udobruchany.

– Ma się rozumieć! – potwierdził Wasyl.

– Jeśli się sprawisz, jak trzeba, może nawet pozwolę ci się zabawić jedną noc ze Stokrotką... I chociaż to nie towar dla takiego kundla jak ty, to w tym wypadku zrobię wyjątek, niech stracę... – oznajmił z uśmiechem, prezentując przy tym serię złotych zębów. – A tymczasem wykonam telefon, gdzie trzeba, i za dwie godzinki przyjedzie tu po nich specjalna delegacja z Kremla, która z pewnością przeleje nam pokaźną sumkę za przechwycenie tej kreciej rodzinki – dodał, zwracając swój obleśny uśmiech w stronę stojących w bezruchu więźniów.

– Będzie zrobione na sto procent, szefie! – po raz kolejny przytaknął oprych, jeszcze bardziej nakręcony kuszącą obietnicą, o której do tej pory nawet nie śnił.

– Chcę dziś zarobić na tych kłamliwych ścierwach podwójnie! – oznajmił Diektiar. – Niech wystąpią przez co najmniej godzinę i odpracują mój transport oraz apartament z basenem! A potem zajmie się nimi już kto inny... – dodał, kierując się do wyjścia.

Antek, słysząc to niespodziewane i niepokojące wspomnienie o delegacji z Kremla, zawołał jeszcze w stronę wychodzącego watażki:

– Panie Diektiar! Przyznam się! Przyznam się, kim jestem! – oznajmił niespodziewanie, tak że nawet Lili przestała łąkać i wychyliła głowę zza jego ramienia.

– Ooo... Coś takiego... Pan sprzedawca nagle się opamiętał... – Kacyk roześmiał się z satysfakcją, stając w futrynie drzwi i odwracając się na powrót w stronę więźniów.

– Panie Diektiar, ja jestem tylko zwykłym podrzędnym żołnierzem w moskiewskiej mafii! Małym, szeregowym pionkiem – doprecyzował. – Zawaliłem dużą robotę w Polsce i teraz ukrywam się przed moimi mocodawcami. Tę laskę poznałem na Mazurach! – Wskazał na Lili takim gestem, jakby była mu od tej chwili całkowicie obojętna. – Ona nawet nie wie, kim jestem! Myśli, że zajmuję się biznesem w Europie Zachodniej... To zwykła rosyjska dziwka, jeżdżąca do Polski w poszukiwaniu ekskluzywnego sponsoringu! – zapewniał. – Zabajerowałem ją, a następnie zapłaciłem jej dziesięć koła euro za to, by w trakcie podróży do Moskwy nieustannie, bez względu na to, co się stanie, udawała moją żonę... – wyjaśnił. – Zapewniam też, że zgromadziłem w Polsce sporą sumkę... Jeśli pan chce, wskażę panu, gdzie przechowuję te pieniądze... – zaproponował. – Ale błagam! Niech mnie pan nie wydaje w ręce nikogo z Moskwy! Jeśli pan to zrobi, moi szefowie dowiedzą się o tym i znajdą mnie, a wtedy nic pan na mnie nie zarobi... – wysapał jednym tchem.

– Twoje kolejne opowiadki, kolego, to już nie moja broszka... Nie mam zamiaru bawić się w kotka i myszkę z takimi śmieciami jak wy... – parsknął. – Moi dobrzy, starzy znajomi bardzo szybko pomogą ci ustalić, kim w końcu jesteś:

gangsterem czy jednak sklepikarzem... – oznajmił z obojętną miną i wyszedł z obskurnego pomieszczenia.

– Panie Diektiar! Jestem naprawdę dobry w tym, co robię! – krzyknął za nim doniośle Antek. – Mogę się panu przydać! Jeśli ochroni mnie pan przed moimi szefami, będę dla pana pracował! Nie pożałuje pan! – wołał niestrudzenie. – Przrzekam, że zrobię z tych chłoptasiów prawdziwych kozaków! A tę dziwkę niech pan sobie weźmie! – zaproponował z desperacją, starając się na wszelki możliwy sposób przekupić bezwzględnego grubasa i nie dopuścić do niepożądanego i bardzo niebezpiecznego dla nich wizyty z najwyższego bandziorskiego szczebla, jakim były bezsprzecznie rosyjskie służby.

Diektiar jednak nie okazał już najmniejszego zainteresowania tą propozycją i po chwili odgłos jego kroków zanikł w mrocznych, podziemnych zaułkach tego obleśnego kompleksu.

\*\*\*

Ogłuszający wrzask pijanego tłumu, zmieszany z dźwiękami klubowej muzyki, bez trudu przebijał się przez gipsową atrapę kamiennego tunelu, który miał imitować katakumby dla gladiatorów rodem ze starożytnych, niewolniczych aren. Antek, siedząc w nim na małej drewnianej ławeczce – jak słusznie przewidzieli pomagierzy Diektiera, przebrany w strój Maximusa Decimusa – przyglądał się dyskretnie kilkunastu nieprzyjemnie wyglądającym i potężnie zbudowanym wojownikom, którym także kazano założyć najróżniejsze kiczowate, hollywoodzkie stroje. Mimo bacznej obserwacji nowego i nie napawającego zbyt optyimizmem otoczenia, cały czas próbował jednocześnie zebrać w sobie myśli i jak najprędzej znaleźć jakiś szybki sposób na wydostanie się stąd. I chociaż ku jego zdziwieniu nikt z siedzących wokół brytanów go nie zaczepiał – prawdę mówiąc, wszyscy zdawali się skupieni tylko na sobie – to jednak, z powodu wszechogarniającego hałasu, trudno mu było się skupić. Szczerze mówiąc, nie tak to sobie wyobrażał, gdy żołnierze Diektiera prowadzili go tutaj skutego grubym łańcuchem.

Ciekawe, gdzie jest teraz Lili? – pomyślał, nie potrafiąc zgasić w swojej głowie niemile widzianego zaniepokojenia. Nie obawiał się jednak tego, że Lili nie poradzi sobie z jakimś natrętnym klientem Diektiara, ale tego, że nie miał pojęcia, gdzie ją zabrano. W razie próby ucieczki trudno byłoby mu ją znaleźć w zakamarkach tego, jak się okazało dość rozległego budynku.

– I jeszcze ta pieprzona ekipa z Kremla, która ma być tu za półtorej godziny... Mam co do nich złe przeczucia... – mruknął do siebie.

Nagle skrzypiąca krata na końcu tunelu otworzyła się po raz kolejny i jeden z uzbrojonych po zęby najemników Diektiara, odpowiedzialnych za pilnowanie zawodników w tunelu, zawołał głośno:

– Teraz do klatki wchodzi Aro, Srebrnikow, Pasza i ten nowy! – wskazał lufą karabinu na Antka.

– Ale ja przecież miałem wejść na końcu... – zaprotestował Antek, wiedząc, że nie znalazł jeszcze żadnego pomysłu na wydostanie się z tego iście barbarzyńskiego miejsca.

– Zmiana planów! Szef kazał przyśpieszyć „zapasy z niedźwiedziem”! Ruchy! Wychodzić! – rozkazał, na co Antek posłusznie wstał i wraz z trzema zdecydowanie największymi zawodnikami w stawce ruszył w stronę podniesionej kraty.

– Zapasy z niedźwiedziem? – zagadnął do jednego z przeciwników, który parł przed siebie pewnie, jakby zahipnotyzowany światłem dobywającym się z końca długiego tunelu.

– Za chwilę się przekonasz, robaczku – odpowiedział Antkowi grubym, drwiącym głosem.

Chłopak zauważył, że potężny wojownik ma na sobie sporo blizn oraz tatuaż z napisem „Aro”. Zaciekawiony więc jego osobą, zapytał pośpiesznie:

– Walczysz tu dla kasy?

– Zgłupiałeś? – prychnął. – Dla kasy walczyli tylko ci, którzy wyszli przed nami... Kto normalny walczyłby dla kasy w takiej jatce, jaką nam tu



przygotowano... – Zaśmiał się ponownie.

– To z jakiego powodu tu jesteś? – dopytał zaintrygowany.

– Jeszcze tylko ta walka i odrobinę swój wyrok śmierci... – odparł lakonicznie. – Podobnie zresztą jak Pasza i Srebrnikow – dodał, wskazując głową w stronę pozostałych przeciwników.

– Właściciel tego burdelu nałożył na was karę śmierci?! – zdziwił się.

– Nie, idioto! – warknął zniecierpliwiony Aro. – Co ty, z choinki się urwałeś? Nie wiesz, że Diektiar rozsyła propozycje po wszystkich więzieniach z byłego bloku wschodniego i dyskretnie skupuje dla siebie zawodników z ciężkimi wyrokami? Osoby takie jak ja dostają możliwość odpracowania tu zainwestowanych przez niego pieniędzy. Kontrakt jest prosty: powalczysz tu trochę i jeśli przeżyjesz, to nie dość, że dobrze zarobisz, to jeszcze wyczyścisz sobie papiery... – wyjaśnił.

– Dobry układ – zauważył Antek.

– Niby tak – przyznał – ale czym innym jest odrabiać dożywocie, a czym innym zasłużyć sobie na anulowanie kary śmierci... Bo wtedy jest stąd tylko jedno wyjście... – oznajmił, spoglądając na Antka, jak na jakiś wyjątkowo smakowity kąsek.

– Jakie? – odparł mimowolnie, próbując dotrzymać kroku rosłemu zwyrodnialcowi.

– Trzeba wyjść z tej klatki żywym... – Aro szturchnął Antka zadziornie w ramię. – Jako jedyny! – dodał gromko, po czym roześmiał się przerażająco.

Po tej odpowiedzi Antek szybko zrozumiał, że Aro, który sprawił na nim pozytywne wrażenie, nie nadaje się jednak do tego, by zawiązać z nim bliższą znajomość mającą na celu wspólne wydostanie się z tego krwawego cyrku. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko nastawić się na najgorszy możliwy scenariusz...

– Witamy naszych kolejnych wojojooownikóóóóów! – zawył nagle estradowym głosem jakiś wysoki, łysy konferansjer – nieudolnie naśladowując

Michaela Buffera – gdy czwórka wojowników wyłaniała się kolejno z podziemnych ciemności i prezentowała w świetle przeraźliwie oślepiających reflektorów.

– Przed nami Aaaaaroooo! – wołał głośno, a tłum odpowiadał mu dzikimi owacjami. – Sreeeebrniiiiikooooow! Iiiiiii Paaaaaszaaaa! A także, niespodzianka wieczoru, Boooryyyyysss Aaaariiiistooooow! – zagrział do mikrofonu, a jeszcze bardziej nakręcona niezapowiedaną wcześniej atrakcją gawieź ryknęła ze zdwojoną siłą.

Mocno ogłuszony i oślepiony Antek stanął więc na arenie pokrytej złotym, przesiąkniętym krwią piaskiem i mrużąc przyzwyczajone do ciemności oczy, rozejrzał się wkoło. Na półokrągłej, wysokiej trybunie w kształcie podkowy siedziało około stu pięćdziesięciu mężczyzn, popijających z kryształowych kielichów drogie alkohole i wykrzykujących imiona zawodników, na których postawili pieniądze. Niektórzy zasiadali tam ze swoimi żonami bądź też kochankami, jednak większa część z nich obsypywała banknotami młode, roznegliżowane dziewczyny Diektiara, chętnie siadające im na kolanach.

Gdzie, do cholery, jest Lili? – zastanawiał się, wciąż wypatrując dziewczyny przez potężną, metalową klatkę, która niczym ogromna ptaszarnia odgradzała owalną, piaszczystą arenę od publiczności.

– Proszę państwa, zapowiada się nie lada widowisko! Mamy tutaj aż trzech zawodników z aktualnymi wyrokami śmieeeeercciiiiii!

Tłum ponownie szaleńczo zareagował na tę emocjonującą informację.

– Panie prokuratorze – konferansjer zwrócił się do jednego z widzów, który namiętnie eksplorował teraz intymne zakątki jakiejś, ewidentnie nieletniej, dziewczyny, która z równie namiętnym oddaniem łąsiła się do niego. – Czyż to nie pan wysłał obecnego tu Srebrnikowa na krzesło elektryczne? – zapytał z rozbawieniem, na co wywołany mężczyzna wstał – brutalnie zrzucając dziewczynę z kolan – i w pijackim szale począł wykrzykiwać coś oraz wymachiwać grubym, spiętym srebrnym klipsem plikiem dolarów.

– Proszę państwa, o ile dobrze zrozumiałem, pan prokurator powiedział, że dzisiaj postawił na Aro! – ryknął, a tłum jak na zawołanie zaniósł się szaleńczym śmiechem. – To oczywisty wybór z pana strony, prokuratorze! – kontynuował prowadzący. – Lepiej, żeby się pan nie pomylił! Szkoda byłoby stracić tak szanownego, stałego klienta jak pan, gdyby zamiast Ara, wyszedł stąd na wolność Srebrnikow! – zażartował, a tłum kolejny raz dał upust swojej radości.

Antek nie podzielał jednak tego entuzjazmu... Stał za to niewzruszony i spokojny, z uwagą przyglądając się rozpostartej nad głowami skazańców konstrukcji, z nadzieją znalezienia w niej jakichś słabych punktów. Przyglądał się także bacznie żołnierzom Diektiara, którzy rozstawieni dookoła areny, odpowiadali za zapewnienie bezpieczeństwa jego hojnym klientom.

– Trzech naszych najpopularniejszych skazańców doskonale już państwo znacie z poprzednich starć, które bezkonkurencyjnie wygrali! – grzmiał dalej prowadzący. – Muszę jednak wspomnieć kilka słów o naszym nowym, niemalże egzotycznym rodzyнку! – Wskazał w końcu ręką na zastygłego w bezruchu Antka. – To moskiewski sklepikarz, na którego karę śmierci nałożyli koledzy z jego własnego gangu! Tak więc, nawet jeśli jakimś cudem dzisiaj wygra, to i tak zbyt wiele życia mu już nie zostało! – zadrwił, prześmiewczo odnosząc się do zmyślonych opowieści Antka, na co tłum – rozbawiony tak niewiarygodną historyjką – ponownie ryknął śmiechem.

Prowadzący nagle zamilkł, robiąc przy tym tajemniczą minę.

– Tej nocy ci oto wojownicy otrzymają szansę powalczenia nie tylko o swoją wolność, ale i życie! Jednakże... – zawiesił głos. – Jak to bywa zwykle w walce finałowej, przeszkadzał im będzie w tym nasz stary wyga, a wasz największy ulubieniec! Niedźwiadek Saaaaaaszaaaaa! – ryknął łysielec, a wtem z kolejnego tunelu po przeciwległej stronie areny wybiegł potężny, brunatny niedźwiedź kamczacki i niczym aktor na scenie – wśród gromkich owacji na stojąco – potrząsnął agresywnie masywną mordą, rozrzucając swoją ślinę na wszystkie strony.

– Boże kochany... – powiedział cicho Antek, stając nagle w pozycji gotowej do ucieczki. – Jeszcze się w coś takiego nigdy nie bawiłem... Proszę cię, miej i tym razem na mnie oko... – dodał w szczerej, błyskawicznej modlitwie, truchlejąc nieco w duchu i zastanawiając się gorączkowo, co w takiej sytuacji zrobić.

– Widowisko czas zacząääääääć! Brawa dla idących na śmieeeeeerć! – z ust konferansjera padła długa komenda, po czym rażące światło oświetlające publiczność nagle zgasło, a ryczący głośniej niż cała widownia rozwścieczony niedźwiedź – uznając to najwyraźniej za znak do ataku – powolnym krokiem ruszył w stronę czwórki zawodników.

Arena w kształcie podłużnego owalu miała około dwudziestu metrów długości i dwunastu szerokości. Razem z pięciometrową klatką, która tworzyła nad nią coś w rodzaju sklepienia, sprawiała wrażenie gigantycznej, metalowej pijawki. Antek wypatrzył już sobie dogodne miejsce, na które mógłby się wdrapać i przeczekać atak rozpędzającego się niedźwiedzia, jednak zanim wykonał pierwszy krok, zdążył już otrzymać ogłuszające uderzenie od jednego z wojowników, niespodziewanie znajdującego się za jego plecami.

– Nie śpij! – ryknął rozbawiony Aro, najwyraźniej bardzo zadowolony z faktu, iż tak szybko uporał się z pierwszą przeszkodą na swej drodze ku wolności.

Uderzenie z tak zwanego partyzanta było tak piorunujące i celne, że Antkowi momentalnie zrobiło się ciemno przed oczami i niczym bokser na ringu zachwiał się niebezpiecznie na nogach.

– I mamy pierwszego pechowca! – skomentował prowadzący, widząc, jak niedźwiedź nabiera impetu i rusza wprost na zamroczonego Antka.

Ten jednak, czując pod nogami zbliżający się tętent potężnych łap i zdając sobie sprawę z konsekwencji, jakie wynikną ze zderzenia z tym potężnym zwierzęciem, niemalże w ostatniej chwili padł na ziemię jak martwy, za to niedźwiedź, zaskoczony tak nieznanym mu dotąd zachowaniem swojej ofiary, w pełnym pędzie, jakimś cudem nie pochwycił Antka swoimi spienionymi

szczękami, lecz zagalopowując się aż pod samą klatkę, poturbował go jedynie kilkoma silnymi uderzeniami swoich łap.

– Niesamowite! Sklepiarz dalej się trzyma! – ryknął komentator, widząc, jak Antek natychmiast podrywa się z ziemi i nadal jeszcze nieco podłączony, chwiejnym krokiem rusza na drugi koniec klatki.

Na szczęście niedźwiedź – nadal odwrócony do Antka tyłem – ani trochę nie zainteresował się jego ucieczką, lecz zwrócił swoją uwagę na trójkę wojowników, którzy teraz, kurczowo trzymając się sklepienia klatki, wisieli nad nim jak skwierczące kielbaski nad ogniem.

– Czy wy to widzicie?! Wygląda na to, że Pasza jako pierwszy zdecyduje się na skok! – relacjonował rozemocjonowany prowadzący, z niedowierzaniem obserwując, jak najmniejszy z trójki zwyrodniałców rozhuśtuje się na rękach, aby skoczyć jak najdalej od zwierzęcia, które w ślad za swoimi ofiarami podjęło próbę wspinania się po metalowej konstrukcji.

– Jest! Udało mu się! – wrzasnął z zadowoleniem, gdy krępy wojownik wylądował bezpiecznie tuż za grzbietem rozsierzonego misia.

Brutalne przedstawienie zaczęło się rozkręcać w najlepsze, a ludzie widząc, że szykuje się właśnie pierwsze, bezpośrednie starcie pomiędzy zawodnikami, natychmiast przekierowali swoją uwagę na biegnącego z całych sił Paszę, który nie zwlekając ani chwili, wybił się wysoko w powietrze i runął na Antka z kaskaderskim kopniakiem, rodem z filmów z Bruce'em Lee.

Tym razem jednak chłopak nie miał zamiaru dać się zaskoczyć i ustawiając się pewnie w pozycji obronnej, w całkowitym skupieniu wyciągnął swoją długą, umięśnioną nogę i idealnie rozkładając środek ciężkości, błyskawicznie zszedł z linii ciosu, trafiając przeciwnika w przepoń.

Uderzenie było wprost druzgocące; Pasza odbił się od twardej niczym stalowy pal nogi Antka, dokładnie tak, jak odbijają się samochody od niewzruszonych przeszkód podczas testów zderzeniowych – cała siła, jaką skazaniec włożył w efektowny skok, nagle obróciła się przeciwko niemu.

– Woooooow! Co za uderzenie! – huknął komentator, a publiczność, widząc tak spektakularny pokaz umiejętności, po raz pierwszy poderwała się z miejsc.

Pasza tymczasem zwijał się z bólu i nie mogąc złapać oddechu, z wymalowanym na twarzy szczerym przerażeniem wpatrywał się w Antka.

– Dobij go! Dobij go! – zaryczała publika, pokazując przy tym najróżniejsze drastyczne gesty.

Antek podszedł więc do ciężko znokautowanego przeciwnika, złapał go za fraki i niczym workiem ziemniaków cisnął mocno w prawy skraj areny. Publika – przekonana, iż to zaledwie preludium do ostatecznego, śmiertelnego zwieńczenia tego solowego starcia – krzyczała jeszcze żywiej:

– Dobij go! Dobij go!

Antek jednak, nie zważając na dzikie zachcianki tłumu, zostawił w spokoju leżącego bezradnie i nadal jeszcze duszącego się Paszę i podobnie jak jego dwaj pozostali przeciwnicy zaczął wspinać się po konstrukcji odgradzającej go od rozszalałych widzów. Tłum z kolei, rozwścieczony tak zaskakująco asertywnym zachowaniem niesfornego wojownika, przy akompaniamencie wszechobecnych gwizdów począł ciskać w arenę pustymi butelkami, kieliszkami, a nawet niedopalonymi cygarami.

– Co ty robisz, kretynie! Jeśli nie będziesz zabijał swoich przeciwników, klienci zbojkotują zakłady, a twoja umowa z panem Diektiarem będzie nieważna! – zagroził natychmiast komentator, zakrywając dłonią mikrofon i podchodząc do klatki w miejscu, gdzie usadowił się Antek.

– Nie mam żadnej umowy z tym spasionym wieprzem! – odfuknął w odpowiedzi, po czym korzystając z wysokiego położenia, ponownie rozejrzał się uważnie wkoło areny.

– Drodzy państwo! Nasz sprzedawca gladiator powiedział właśnie, że ma ochotę na dłuższą zabawę! I dlatego zostawia sobie swoją pierwszą ofiarę na koniec! Takiej gry jeszcze tutaj nie było! – perfidnie skłamał prowadzący, na powrót dobywając swojego mikrofonu, a publika natychmiast nagrodziła tę kuszącą

informację głośnymi brawami. – Obstawiajcie, kochani, obstawiajcie! – namawiał. – Robi się coraz ciekawiej! Szanse na wygraną Borysa Aristowa właśnie poszły ostro w górę! Brawa dla niego! – przekonywał, licząc na to, że nafukana i uchłana do dna hałastra nie zauważy, iż w rzeczywistości dzieje się tu coś podejrzanego. – Drodzy państwo, spójrzcie tylko, co dzieje się po prawej stronie areny! – kontynuował, sprytnie odwracając teraz uwagę publiczności od cierpiącego Paszy i zupełnie biernego wobec niego Antka, a jednocześnie wybierając nerwowo jakiś numer na ekranie swojego smartplastra.

Tymczasem Aro i Srebrnikow, których przebiegły miś trzymał od dłuższej chwili w szachu, nie mając już sił na dalsze wiszenie w tej niewygodnej i wymagającej nie lada wytrzymałości pozycji, zdecydowali się w końcu, na desperacką próbę ucieczki i podobnie jak Pasza rozhuścili się na rękach, po czym oddali skoki niemalże w tym samym momencie. Niedźwiedź, dostrzegając jednak, iż większy i cięższy Aro wylądował tuż za jego zadem, w ułamku sekundy obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i dosięgając pechowego uciekiniera, trafił go swoją potężną łapą w okolice nerek.

Cios zadany przez ponadsześciusetkilowe, rozsierdzone zwierzę był tak potworny, iż nie dało się go w żaden sposób porównać z uderzeniem, jakie zaledwie chwilę temu Antek zaserwował Paszy. Rosły wojownik, niczym gumowa, pozbawiona kręgosłupa zabawka, złamał się w pół i przelatując w tej przeraźliwie nienaturalnej pozycji z dobre cztery metry, uderzył bezwiednie głową w jedną z metalowych ram klatki – to było dokładnie to, na co od samego początku czekały przybyłe tu, zdegenerowane moralnie masy. Gorący aplauz przetoczył się przez całą salę, za to Antek, widząc, jak ogromny niedźwiedź obwąchuje teraz swoją pogruchotaną i z pewnością nieżyjącą już ofiarę, uświadomił sobie, jak wiele szczęścia miał tej nocy, i to od samego początku walki. Przeżegnał się więc, będąc szczerze zaniepokojony swoim dalszym losem, i po raz kolejny rozejrzał wkoło, gorączkowo szukając jakiegoś wyjścia z tej niebezpiecznej sytuacji.

Nagle w oczy rzuciła mu się niewielka, kameralna loża na końcu obszernego pomieszczenia, w której znajdowały się trzy stanowiska z tańczącymi

dziewczynami. Nie przykułoby to jednak w ogóle jego uwagi, gdyby nie fakt, iż jedna z tańczących tam dziewczyn ruszała się wyjątkowo nieatrakcyjnie, a wręcz można powiedzieć: pokraccie.

– Lili? – szepnęła do siebie, przyglądając się jej uważnie.

To była rzeczywiście ona – z przypiętym łańcuchem do nogi, trzymając się jedną ręką długiej, błyszczącej rury, rozpaczliwie próbowała wykonywać coś, co nawet w jednej trzeciej nie można było nazwać tańcem, a już na pewno nie erotycznym... Delikatnie mówiąc, na tle dwóch ponętnie poruszających się obok niej koleżanek Lili wyglądała na wyjątkowo ograniczoną rytmicznie. Wyraźnie nie podobało się to także zamaszystemu mężczyźnie, który nie zważając na toczący się za jego plecami krwawy turniej, oczekiwał na obejrzenie zwalającego z nóg pokazu nowego nabytku Diektiara.

Antek dostrzegł także, iż Lili również zerka co chwilę w jego stronę i uważnie obserwuje to, co dzieje się na arenie. Co prawda odległość między nimi była zbyt duża, aby sobie coś zakomunikować, ale mimo to Antkowi przemknął już przez głowę pewien plan...

– Złaż na dół, tchórzliwa pizdo! – zamyślenie przerwał nagle Srebrnikow, stając tuż pod wiszącym na konstrukcji klatki Antkiem i machając do niego ponaglająco ręką. – Załatwmy to od razu, zanim ten misiek przestanie interesować się truchłem Ara! – namawiał. – Ten z nas, który wygra, dobiję Paszę i zakończy w końcu ten cyrk! – zaproponował.

– A co z niedźwiedziem? – zapytał Antek.

– Niedźwiedź to tylko utrudnienie, a nie przeciwnik, durniu! Wolność otrzymuje ten, kto zlikwiduje wszystkich przeciwników! Złaż na dół! – ponaglił. – Jeśli któryś z nas zginie, zwierzę natychmiast zostanie zapędzone do swojej dziury, taka jest umowa z Diektiarem! Więc złaż, natychmiast! – krzyczał, jednocześnie jednym okiem nerwowo oglądając się na niedźwiedzia, który póki co w najlepsze bawił się bezładnym ciałem Ara, miotając nim po ziemi, niczym szmacianą lalką.



Antek więc, po chwili zastanowienia, zerknął ostatni raz w stronę Lili i bez najmniejszego ostrzeżenia skoczył wprost na barki zniecierpliwionego Srebrnikowa. Obaj panowie upadli boleśnie na ziemię, jednak to Antek – dzięki wykorzystaniu ciała przeciwnika, jako żywego amortyzatora – znacznie zmniejszył siłę wysokiego upadku.

– Proszę państwa, i to jest właśnie toooo! Ostateczne rozwiązanieeeee! – ryknął entuzjastycznie komentator, z niepokojem jednak obserwując, jak tym razem zachowa się Antek.

Srebrnikow był co prawda bardzo silnym zakapiorem o niepospolitych warunkach fizycznych, jednak jego uliczne triki – w starciu ze śmiertelnie niebezpiecznymi umiejętnościami Antka – były mu w stanie zagwarantować co najwyżej chwilową obronę i zbędne złudzenie... Oczywiście chłopak to doskonale wiedział, dlatego chciał podpuścić kipiącego pewnością siebie oprycha w taki sposób, by podobnie jak w przypadku Paszy zaledwie obezwładnić go, a następnie przejąć władzę nad losami turnieju i co za tym idzie – nad zakładami, które organizował Diektiar. Wizja zwrócenia ludziom przyjętych już przez niego pieniędzy oraz zniszczenia reputacji tego iście turańskiego przybytku z pewnością przeraziłaby go, zmuszając zarazem do pertraktowania z Antkiem poprzez kraty areny.

Powinno się udać... Muszę tylko przypilnować, aby ten wygłodniały misio zbyt szybko nie wysłał nas na tamten świat – rozmyślał, jednocześnie bez wysiłku unikając ciosów bezradnego i totalnie rozwścieczonego tym faktem przeciwnika.

Tymczasem publiczność była coraz bardziej znudzona i rozwydrzona... Powtórnie w stronę Antka, który ewidentnie bawił się swoim przeciwnikiem, uchylając od zakończenia walki, poleciały butelki po napojach. Dostrzegając to niezadowolenie tłumu, prowadzący ponownie zaczął krzyczeć w stronę walczących, dyskretnie przy tym zakrywając mikrofon:

– Walczyć, skurwiele! Bo unieważnimy wam kontrakt! – groził. – Srebrnikow! Atakuj go, do kurwy nędzy! – rozkazał wściekle.

– Atakuję! Ale on cały czas się uchyla i odskakuje! – usprawiedliwiał się mocno zasapany już więzień.

Nagle jeden z żołnierzy, na rozkaz Diektiar, który niespodziewanie pojawił się na miejscu, począł szturchać niedźwiedzia długim ostrym prętem, aby ten przestał się w końcu bawić ciałem uśmierconego zawodnika i ruszył na walczących w stójce Antka i Srebrnikowa. Widząc to żalosne przedstawienie, rozwścieczona gawiedź zaczęła rzucać w klatkę już nie tylko butelkami po napojach, ale wszystkim, co tylko nawinęło się im pod rękę: od własnych butów począwszy nawet po kocieteryjne części garderoby, we wściekłości zerwane z dziewczyn, które udostępniał do towarzystwa Diektiar.

– Walcz, ty cholerny sukinsynu! Albo wrzucę też na arenę tę twoją podrózną kurewkę! – zachrypiał Diektiar, podchodząc do klatki i trzęsąc się ze złości, jakby dostał ataku Parkinsona.

– Nie użyjesz wobec nas siły, spaślaku! – odpowiedział mu tajemniczo Antek, markując jednocześnie uderzenie low kickiem.

– Ty zasrany gnoju! Myślisz, że zaszantażujesz mnie zakładami?! W dupie to mam, czy zeżre cię ten niedźwiedź czy nie?! Jesteś na mojej łasce i to ja zadecyduję, jak zakończy się to przedstawienie! – wrzeszczał, plując przy tym niemal na odległość dwóch metrów.

– Masz mnie za durnia, ty stary wieprzu?! – odwarknął Antek, po raz wtóry uchylając się przed uderzeniem z półobrotu. – Za chwilę będzie tu delegacja z Moskwy, którą sam osobiście zaprosiłeś! I tak się akurat składa, że ja wiem, kim są ci ludzie i do czego są zdolni! Mogę ci już teraz przyznać, że zarówno ja, jak i moja partnerka, jesteśmy dla nich bezcennym łupem! I jeśli nie zastaną nas tu żywych, z wściekłości puszczą tę budę z dymem – oznajmił.

– Gównu wiesz! Mam w Moskwie takie plecy, że to dla mnie jeden chuj, jaką decyzję wobec was dzisiaj podejmę! Nawet jeśli moi znajomi przyjadą tu na darmo, to zabawią się na mój koszt i nikt nawet nie kiwnie palcem z twojego

powodu, cwelu! – zripostował Diektiar, jednak jego zdenerwowana mina i coraz mniej pewny ton mówiły zupełnie co innego.

– Spróbuj, a sam się przekonasz! – odparł Antek, starając się właśnie wydostać z klinczu. – Informacje, jakie posiadam, są dla nich sto razy cenniejsze od tego całego twojego cuchnącego grajdołu! Jeśli zginę, to twoi protektorzy zamiast zrobić ci przelew, nakarmią tobą twojego własnego niedźwiedzia! – zagroził.

– Nie pierdol mi tu o sprawach, o których nie masz bladego pojęcia! Nie znasz moich protektorów! Od samego początku łągałeś jak pies i robisz to dalej! Jeśli za chwilę nie zaczniesz walczyć, to osobiście ukatrupię batogiem tę twoją pokraczną cizję, a dopiero potem nakarmię nią Saszę!! Zostanie ci po niej tylko niedźwiedzie łajno! – ryknął, wskazując jednocześnie żołnierzowi, aby znacznie ostrzej potraktował upartego zwierzaka, niezamierzającego wcale przerwać zabawy polegającej na podrzucaniu zwłok Ara.

W końcu niedźwiedź, ugodzony ostrym narzędziem prosto w nos, wpadł w taką furję, iż wyrzucił sflaczałe i pokiereszowane ciało skazańca na kilka metrów. Nie zaznając jednak przy tym wystarczającego upustu gniewu, nareszcie zainteresował się „tańczącymi” ze sobą w najlepsze pozostałymi zawodnikami.

– Tak jest! O to chodziło! Zobaczmy, co teraz powiesz, kłamliwy cwaniaczku! – zawołał Diektiar, łapiąc za przęśła klatki i trzepiąc nimi z podniecenia.

– Powiem, że jeśli za chwilę czegoś nie zrobisz i nie wyciągniesz mnie stąd, to Czerwone Siłowniki utną ci ten nadęty świński łeb! – odkrzyknął, nie widząc innego wyjścia i ostatecznie decydując się na bardzo niebezpieczny blef...

– Co?! – warknął wściekle Diektiar. – Co ty bredzisz, fałszywy skurwysynu?! – dodał, próbując sprawić wrażenie, jakby nie wiedział, o czym mowa.

Najwyraźniej jednak słowa Antka trafiły tym razem w sedno, gdyż rozbawiony kacyk zbladł nagle i zachwiał się na nogach, jakby cała krew odpłynęła mu z ciała.

– To Siłowniki są twoimi protektorami, prawda?! – powtórzył z satysfakcją Antek, przyjmując na gardę, kolejne ciosy potwornie zmęczonego już Srebrnikowa.

– Nie wypowiadaj tych słów publicznie, gnoju! – zagroził, panicznie rozglądając się przy tym wkoło, by upewnić się, że nikt z tłumu nie dosłyszał ich wymiany zdań.

– Mam nie wspominać o Siłownikach?! – zawołał drwiąco chłopak, kątem oka obserwując niedźwiedzia, który przyczajonym, ostrożnym krokiem szykował się już do kolejnego ataku.

– Zamknij ryj! – wrzasnął Diektiar, ewidentnie tracąc panowanie nad sytuacją i jeszcze bardziej siniejąc na twarzy.

– Wiem o nich wszystko, dlatego ścigają mnie od dawna! – blefował nadal. – Ale zamiast dostać mnie teraz na tacy, dzięki twojej pazerności znajdą tu jedynie moje truchło! – dodał wściekle, widząc, że niedźwiedź ruszył w końcu do ostatecznego ataku.

W tym samym momencie Srebrnikow, który na moment zaprzestał bezowocnej walki – ze zdziwieniem przyglądając się tej dziwacznej rozmowie – dosłyszał za plecami niespodziewany i ogłuszający ryk rozwścieczonego zwierzęcia i gdy gwałtownie obrócił się za siebie, dostrzegł, iż jest ono zaledwie o kilka kroków od niego. Nie czekając więc ani chwili, zerwał się do panicznej ucieczki w stronę najbliższych krat, jednak gdy już chciał się na nie wspiąć, silne ręce Antka złapały go za szyję i bezwzględnie powaliły na ziemię.

– Co ty robisz, świrze?! – krzyknął przerażony, upadając wprost na niego.

– Chciałeś ze mną walczyć, bandziorze? To walcz! – zdążył jedynie odpowiedzieć Antek, przygwożdżając do siebie przeciwnika żelaznym uściskiem, po czym rozpędzona kamczacka bestia rzuciła się na nich obydwu.

Tłum, widząc to wszystko, był teraz niemalże wniebowzięty – z całą pewnością nigdy przedtem nie widziano tu tak nieprzewidywalnego widowiska, jak to, które urządził im niepozorny sprzedawca... Co prawda co poniektórzy zastanawiali się, z czego wynikało tak niezrozumiałe zachowania Antka i dlaczego pod areną nagle pojawił się rozwścieczony Diektiar, ale mając pod nosem tak niepowtarzalną atrakcję, całkowicie to zbagatelizowali.

Tymczasem uderzenie niedźwiedziego cielska było tak potężne, iż rzuciło obydwoma szamocącymi się wojownikami brutalnie o kraty. Antek jednak, który w ostatniej chwili sprytnie zasłonił się ciałem Srebrnikowa, odczuł je o wiele słabiej. Wtem, wśród demonicznych wrzasków publiczności, dało się słyszeć przeraźliwe krzyki Diektiera, który machając gwałtownie rękami, przywoływał do siebie oddalonego o kilka metrów łysego komentatora:

– Przerwij to! Słyszysz?! Przerwij, kurwa, tę walkę! – wrzeszczał zdesperowany, wiedząc, że rozjuszony zwierzę za kilka sekund rozszarpie obu zawodników.

Do Diektiera najwyraźniej dopiero teraz dotarło to, co powiedział chłopak, i dlatego bez chwili zawahania zdecydował się poświęcić wszystkie wpływy z całej dzisiejszej nocy, a także swoją reputację, byleby nie musieć przekazać złych wiadomości swoim czerwonym opiekunom.

– Jak mam to przerwać?! – pytał zdezorientowany konferansjer, zasłaniając mikrofon i robiąc przy tym zdziwioną minę.

– Nie wiem, kurwa, jak, ale masz to zatrzymać! Za to ci płacę, żebyś nad tym wszystkim panował! – wrzeszczał, rozglądając się bezsilnie wkoło w celu znalezienia jakiegoś innego rozwiązania.

Natomiast niedźwiedź, jeszcze bardziej rozochocony udanym atakiem, jakby specjalnie dla wiwatującej widowni spektakularnie stanął na tylnych łapach i chcąc zmiażdżyć zapędzone pod okratowaną ścianę ofiary, runął na nie z ogłuszającym rykiem. Antek, przewidując ten śmiertcionośny cios – nadal leżąc pod ledwo przytomnym Srebrnikowem – złapał go w pas oburącz, a następnie przeturlał się wraz z nim w bok, cudem unikając zmiażdżenia.

– Zastrzelić niedźwiedzia! Zastrzelić niedźwiedzia! – począł krzyczeć Diektier do swoich żołnierzy, jednak ci stali w bezruchu, całkowicie zszokowani tym, co słyszą.

– No, kurwa, nie stać tak, tylko strzelać! – ryczał wściekle, wymachując tłustymi łapskami. – Strzelać, mówię! – powtórzył, lecz ci nadal nie rozumiejąc

sensu tego rozkazu, zaczęli biec w jego stronę, aby upewnić się, czy aby dobrze go dosłyszeli.

Z kolei niedźwiedź, nic nie robiąc sobie z chybionego ciosu, siepnął kolejny raz zakończoną długimi pazurami łapą i wyrwał otumanionego Srebrnikowa z kurczowego uścisku Antka. Cała sala zwyrodniałych moralnie widzów zawrzała po raz kolejny, widząc, jak ciężko zraniony skazaniec wylądował niemal pod nogami Diektiera, z tym że po wewnętrznej stronie klatki.

– Głusi jesteście?! Strzelać do niedźwiedzia, mówię! Już! – krzyczał Diektier do osłupiałych żołnierzy, którzy w pośpiechu dobiegali do niego. – No strzelać, wy tępe skurwysyny! – wrzeszczał, jednak szybko spostrzegłszy, że jego podwładni uznali, iż zapewne upił się, naćpał albo postradał zmysły, wyrwał jednemu z nich karabin, po czym wycelował w swojego pupila, który właśnie docisnął Antka łapą do klatki, aby zadać mu ostateczny cios.

Po sali rozległy się odgłosy krótkiej serii, charakterystycznej dla kałasznikowa.

Rozszalała publika, gęsto zasiadająca na otaczającej arenę trybunie, słysząc odgłos broni – której gościom nie można było wnosić do środka – i nie rozumiejąc, co się dzieje, naraz poderwała się z miejsc i tratując siebie nawzajem, ruszyła do panicznej ucieczki. Natomiast niedźwiedź, czując, że coś mocnego i bolesnego uderzyło go w zad, otrzepał się, po czym jeszcze z większą agresją docisnął Antka do krat, zatapiając spienione szczęki w jego szyi i barku.

Nie tak to miało być... – pomyślał zrezygnowany Antek, czując, jak pod naporem cuchnącego, spoconego cielska zaczynają trzeszczeć mu wszystkie kości.

Zaledwie chwilę po uczuciu ostatecznego zrezygnowania bardzo szybko ogarnęło go niespotykane zdziwienie – niedźwiedź już po raz drugi pochwycił go pyskiem, a on – godząc się ze śmiercią – ani razu nie poczuł tego charakterystycznego bólu, rozrywającego na strzępy zakończenia nerwowe, który poznał już niegdyś za młodu, gdy ukąsił go pies.

Czyżbym już odpływał? – zastanawiał się, odczuwając jedynie potworny ucisk na torsie i masę ohydnej śliny toczącej się po szyi. Nie, to jednak nie to... – dodał

po chwili w duchu, totalnie zdezorientowany niesamowitą sytuacją.

Odchylił więc nieco głowę w bok i z wielkim trudem pozostając w tej pozycji, spojrzał w pysk zwierzęciu, które nadal bezowocnie, próbowało zasmakować choć odrobiny ludzkiego mięsa. Jak się szybko okazało, stary Sasza – zapewne z powodu starości, złego stanu zdrowia lub nieodpowiednich warunków, w jakich był trzymany – stracił dosłownie wszystkie zęby, stąd mógł zaledwie szarpać ramię Antka twardymi, pustymi dziąsłami.

Ten niedźwiedź jest szczerbaty! – zakrzyknął w myślach, błyskawicznie odzyskując resztki nadziei na ocalenie.

W tym samym jednak momencie nad bezradnie szamotającym się pyskiem kamczackiej bestii pojawił się w końcu przerażony i biały jak ściana Diektiar, przystawiając zza krat karabin do głowy swojego czworonoga. Jednak gdy już miał nacisnąć na spust, wtem niespodziewanie ręka Antka wystrzeliła spod potężnego cielska i pociągnęła lufę karabinu w dół.

Kolejny, tym razem pojedynczy strzał przetoczył się po arenie, wokół której panowało teraz niewyobrażalne zamieszanie. Niedźwiedź, odurzony hukem wystrzału z bliskiej odległości oraz piekącym zapachem prochu, który obficie rozpylił się na jego nosie, odskoczył gwałtownie w tył, po czym zaczął nerwowo bić się łapami po pysku.

– Ty skurwysynu! – usłyszał Antek, łapiąc upragniony, głęboki oddech i prędko odwracając się za siebie. Był to oczywiście głos Diektiera, który leżąc jak długi na betonowej posadzce, trzymał się kurczowo za postrzelone tuż nad kolanem udo.

– Niedźwiedzia zajebać, a jego wyciągnąć stamtąd żywcem! W razie ucieczki strzelać mu po nogach! – ryknął do swoich żołnierzy, zwijając się z bólu.

Antek, nie czekając jednak ani chwili na wykonanie rozkazu przez najemników watażki, sięgnął niepostrzeżenie za kraty i wyciągając się niczym człowiek guma błyskawicznie pochwycił z ziemi upuszczoną przez Diektiera broń. Następnie ruszył pędem w stronę najbliższego wyjścia – tego samego, z którego poprzednio wypuszczono Saszę. Szczęśliwie uniknąwszy również ostrzału ze strony całkowicie

dezorientowanych i niezdecydowanych w działaniu najemników, znalazł się nagle w ciemnym, śmierdzącym mokrą sierścią i odchodami tunelu. Niestety, jak się prędko zorientował, zaszczute i przerażone zwierzę, również postanowiło skorzystać z tej samej, dobrze sobie znanej drogi ucieczki, depcząc mu po piętach.

Boże! Żeby tam tylko było jakieś wyjście! – modlił się w duchu, biegnąc, ile sił w nogach.

– Jest! – krzyknął radośnie, dostrzegając na końcu grubą kratownicę i przyczepioną do niej wielką żeliwną kłódkę.

Wycelował więc w biegu i kilkoma pojedynczymi strzałami roztrzaskał toporne żelastwo na kawałki. Następnie biorąc większy rozpęd, potraktował bramkę z bara, w ostatnim momencie unikając kolejnego kontaktu z rozszalałym misiem, który wypadł za nim z tunelu niczym z procy.

– Jest tam! Strzelaj po nogach! – krzyknął Diektiar do jednego ze swoich żołnierzy, dostrzegając Antka, który z trudem przedzierał się teraz wśród tratującej się nawzajem hordy upitych gości.

Antek w porę jednak dostrzegł mierzącego w niego najemnika i uprzedzając go, ostatnim nabojem, jaki pozostał mu w magazynku, przestrzelił mu pierś.

– Brać go! On nie może stąd uciec! Brać go żywcem! – wrzeszczał Diektiar do reszty swoich chłopaków, sam jednak uciekając ze swoją krwawiącą nogą w całkiem inną stronę.

Tymczasem chłopak, nie czekając na reakcję totalnie spanikowanego oddziału watażki, prędko dobiegł do zastrzelonego żołnierza, którym okazał się Wasyl, i wrywając broń z jego martwych, zaciśniętych kurczowo dłoni, wymierzył w ich stronę. Jednak reszta najemników, widząc, że tajemniczy i śmiertelnie niebezpieczny sklepikarz ponownie dzierży w dłoniach w pełni załadowanego kałasznikowa, rozpierzchła się na wszystkie strony, nie próbując nawet konfrontować z nim swoich umiejętności strzeleckich.

Chociaż raz Bóg wlał wam trochę rozumu do tych pustych łbów... – pomyślał z ulgą Antek, szczerze rad, iż nie musiał kolejny raz wysyłać żadnego z tych



pogubionych chłopaków na tamten świat.

– Teraz trzeba wyrwać stąd Lili – powiedział do siebie i spojrzał ponownie w stronę, gdzie okrutnie upokorzona pani kapitan zmuszona była eksponować swoje kobiece wdzięki.

Niestety, z tego miejsca niewiele było widać... Antek nie był nawet w stanie stwierdzić, czy Lili nadal się tam znajduje. Zwłaszcza że ściśnięte tabuny klientów, nie mogąc wydostać się z lokalu, wręcz wchodziły sobie na plecy, jeszcze bardziej tarasując wyjście.

Przecież to tylko kilka strzałów, skąd taka histeria?! – zastanawiał się, obserwując rozpaczliwie traktujących się nawzajem tłum ludzi.

Odpowiedź na to pytanie przyszła mu jednak bardzo szybko, gdyż nagle po sali rozległ się dobrze mu już znany ryk Saszy, który krocząc spokojnie w stronę traktującej się publiki, mimo krwawiącego zadu, zdawał się wyjątkowo podekscytowany takim obrotem sprawy.

No! To teraz wy możecie się poczuć jak na prawdziwej arenie! Obejrzyście sobie misia z bliska! – Roześmiał się i ruszył w stronę łoży, w której powinna znajdować się Lili.

Gdy dotarł już do miejsca, w którym zainstalowane były wysokie, chromowane rury do tańca erotycznego, spostrzegł, iż rozgrywa się w nim zadziwiająca sytuacja – w jednym z foteli siedział ten sam zamaszysty klient, którego Antek wcześniej dojrzał z areny. Mężczyzna ten, najprawdopodobniej nachlany w sztok, nic nie robiąc sobie z całego zamieszania, jakie miało miejsce w lokalu, chichrał się do rozpuku, obserwując szamotającą się Lili, która, będąc na granicy hysterii, próbowała bezskutecznie uwolnić się od przypiętego do nogi łańcucha.

Antek przyłożył więc karabin do ramienia i popisowym strzałem, rozpruł jedno z jego solidnych, stalowych ogniów na pół. Zaskoczona dziewczyna podskoczyła do góry, wykonując unik przed kolejnym strzałem, jednak gdy spostrzegła, że to jego sprawka, uśmiechnęła się tylko i niczym pantera zwinnie zeskoczyła z podestu. Jednak najbardziej zdziwił chłopaka fakt, iż nadal rozpostarty w fotelu

mężczyzna – najwyraźniej odurzony używkami do granic świadomości – widząc to, co się dopiero wydarzyło, nie rzucił się wcale do ucieczki, lecz zaniósł jeszcze dzikszym i głośniejszym śmiechem. Nie mogło się to dla niego dobrze skończyć... Kto jak kto, ale Antek wiedział o tym doskonale.

– Nadia, nie mamy czasu! Musimy iść! – zaapelował więc, widząc, na co się właśnie zanosi.

Jednak okrutnie upokorzona dziewczyna zrobiła minę, jakby czekała na tę chwilę od dawna, i bez okazania krzty litości, wybijając się wysoko w górę – z tak zwaną obrotówką – kopnęła rechoczącego bydlaka prosto w twarz. Zboreźny wieprz boleśnie wylądował na plecach, robiąc przy tym fikołka wraz ze swoim fotelem.

– Zostaw go! Stracił przytomność... – zawołał Antek, widząc, że Lili ma zamiar jeszcze dołożyć delikwentowi, lecz tym razem w o wiele drażliwsze miejsce.

– A to niby czemu?! – oburzyła się, obdarzając chłopaka podejrzliwym spojrzeniem.

– Przecież mogłaś go zabić tym uderzeniem – słusznie zauważył.

– Ten wredny sukinkot rżał ze mnie przez bite półgodziny, gdy ja musiałam tutaj...

– Widziałem, co musiałaś... – przerwał jej. – I przynajmniej z ulgą mogę stwierdzić, że nigdy nie zrobisz kariery w tym prymitywnym biznesie... – Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Powinnam urwać mu jaja! – zachnęła się.

– Daj spokój... Gość jest totalnie naćpanym wrakiem... A my musimy jak najszybciej znaleźć Diektiera i wyciągnąć z niego, co się da, zanim zjawią się tu Siłowniki – odparł pouczającym tonem.

– Siłowniki?! – powtórzyła, otwierając usta z osłupienia.

– Tak... Siłowniki... To ich miał na myśli Diektier, mówiąc, że poinformuje o nas swoich protektorów z Moskwy – wyjaśnił.

– Skąd wiesz? Może chodziło mu raczej o FSB albo jakąś inną zorganizowaną grupę przestępczą? – nie dowierzała.

– Wyobraź sobie, że gdy uganiałem się po arenie z tym cuchnącym misiem, Diektiar przyszedł sobie ze mną pogadać... – odpowiedział lakonicznie.

– Wiem, widziałam to z daleka – przyznała z powagą, okazując tym samym swój podziw.

– No więc, próbując się jakoś wydostać z tej nieciekawej sytuacji, zaryzykowałem i zablefowałem... Skłamałem mu, że ścigają nas Czerwone Siłowniki i że jesteśmy dla nich bezcenni. Wiesz... Pomyślałem sobie, że ten knur, działając od lat w tak ryzykownym biznesie, na pewno musiał coś o nich słyszeć, i że może warto go nimi postraszyć...

– I jak na to zareagował? – dociekała.

– Ten dureń nieświadomie przyznał się, że to właśnie ich ściągnął, aby nas zweryfikowali...

– Niesamowite, ale akcja... – skomentowała z nieukrywanym zdumieniem. – Ale to oznacza, że mogą tu być lada moment – dodała i się zamyśliła, robiąc przy tym szczerze zaniepokojoną minę.

– Dlatego właśnie chcę cię pospieszyć i odwieść od dręczenia tego naćpanego palanta – odparł.

– Dobrze więc... Chodźmy! – zgodziła się, zrzucając ze stóp wysokie, niewygodne szpilki, które kazano jej włożyć przed swoim debiutanckim występem.

– Tylko ostrożnie! Nadal kręcą się tu gdzieś najemnicy Diektiar, a do tego po budynku biega rozszalały niedźwiedź. Uwierz mi, nie chciałabyś się z nim spotkać... – ostrzegł.

– Wiem, to też zauważyłam... Szczerze mówiąc, przez chwilę myślałam, że już po tobie. Zresztą, co to za debilny pomysł, żeby się dać tak podłożyć? – zapytała, jakby lekko zaniepokojona o stan psychiczny Antka.

– Musiałem sprowokować jakąś sytuację, w której zdesperowany Diektiar zatrzyma widowisko albo użyje w pobliżu mnie broni... Co prawda sytuacja trochę

wymknęła mi się spod kontroli, ale ostatecznie cel został osiągnięty. – Uśmiechnął się swoim standardowym, szelmowskim uśmiechem, co Lili jak zwykle skomentowała gestem mówiącym coś w stylu: „jesteś niemożliwy”.

Co prawda Antek nie bardzo wiedział, gdzie mógł ukryć się przed nimi Diektiar – nie znał przecież planów budynku, a do tego na arenę wyprowadzono go prosto z jego podziemnych, zawiłych zakątków – na szczęście jednak Lili, mając dobry podgląd ze swojego „stanowiska pracy”, zauważyła korytarz, do którego wbiegł obficie krwawiący kacyk w asyście trzech ochroniarzy.

– Stań za mną i nie wychylaj się, dopóki nie zdobędziesz broni – polecił dziewczynie, gdy zbliżyli się do ciemnego zaułku korytarza oświetlonego jedynie czerwoną „burdelową” latarnią.

– Na bank są gdzieś za rogiem po prawej stronie, słyszałam, jak przeładowali... – stwierdziła Lili.

– Wiem, też to usłyszałem – potwierdził Antek.

– Chyba musisz zaryzykować i załatwić ich za jednym razem – zaproponowała.

– Chciałbym zauważyć, że nic innego dzisiaj nie robię, tylko w kółko ryzykuję...

– No to wyskakuj! Nie mamy już zbyt wiele czasu.

– Lili, wiem, że ci kolesie nie są orłami, ale jeśli jest ich trójka, to jakimś cudem, nawet na ślepo, któryś z nich może trafić... A zdaje się, że już dziś całkowicie wykorzystałem limit szczęścia – obruszył się.

– W takim razie daj karabin, ja to zrobię – zaproponowała, czując, że od początku akcji nie dokonała jeszcze niczego wyjątkowego.

– Spokojnie, Lili, mam pomysł, patrz! – odrzekł pośpiesznie i bez ostrzeżenia krzyknął w języku rosyjskim w stronę ukrywających się ochroniarzy Diektiera: – Słuchajcie! Zależy nam tylko na tym tchórzliwym wieprzu, który ukrył się w swojej melinie, zostawiając was tu samych na pewną śmierć!

– No to chodź! Zobaczymy, kto się tu wystawi na pewną śmierć! – odparł mu głos jakiegoś pewnego siebie, młodego chłopaka.

– Nie bądźcie naiwni! Widzieliście już doskonale, co potrafię... Szkoda ryzykować dla tej wrednej, egoistycznej mendy, która ostatecznie nie zapłaci wam ani za wasze życie, ani za wasze zdrowie! – przekonywał.

– A skąd niby mamy wiedzieć, że nas puścisz żywo... – wtrącił się kolejny z najemników, najwyraźniej bardziej skory do porozumienia.

– A nie zauważyliście, że oszczędziłem waszych kumpli pod areną, pozwalając im uciec?! Wierzcie mi, że w przeciwieństwie do waszego szefa nie jestem bezwzględny zabójcą! Jednak jeśli nie dacie mi wyboru, to będzie to z pewnością wasz ostatni dzień w pracy...

– Gównu nam zrobisz! To wąski korytarz, a my mamy ze sobą trzy kałachy! Nie przebijesz się! – zagroził ponownie butny młodzieniec, ewidentnie nie zgadzając się ze swoim kolegą.

Słyszając to, Antek wychylił się więc błyskawicznie zza rogu i zanim którykolwiek z przeciwników zdążył w ogóle w niego wymierzyć, postrzelił jednego z nich w kolano. Krzyk nieszczęśnika poniósł się echem po ciasnej, betonowej przestrzeni.

– I co? Teraz już rozumiecie? – zawołał ponownie Antek. – Mogłem mu równie dobrze strzelić w czoło, jednak tego nie zrobiłem... Dlatego proponuję ostatni raz: rzućcie broń i wypieprzajcie stąd albo wystrzelam was kawałek po kawałku! – zagroził.

– Dobrze, już dobrze, oddajemy! Tylko do nas nie strzelaj! – zawołali tym razem zgodnie jednym, błagalnym głosem.

– W takim razie rzućcie broń w moją stronę! – rozkazał, po czym trzy kałasznikowy natychmiast wylądowały na ziemi tuż pod jego nogami.

– A teraz wypad, już! – powtórzył ostro, wychylając się zza ściany i wskazując im lufą drogę do wyjścia.

Dwaj młodzi pomagierzy Diektiara poderwali więc pod ręce skamlącego z bólu kolegę i unikając groźnego wzroku Antka, wybiegli jak najszybciej z pomieszczenia.

– Widzisz, Lili? Ten zjeb zatrudnił tutaj bandę dzieciaków i idiotów, którzy nie mają zielonego pojęcia o walce. W takim wypadku zastraszenie to najlepsze wyjście – skomentował pouczająco.

– Dobra, już dobra, profesorze – odparła z przekąsem – powiedz mi lepiej, jak przebijemy się przez te metalowe drzwi – zapytała, przyglądając się solidnie zabezpieczonemu wejściu.

– Spędziłem tu wystarczająco dużo czasu, żeby przekonać się, iż Diektiar to wyjątkowy tandeciarz i centuś... Daję sobie rękę uciąć, że skoro jego niedźwiedź nie miał zębów, to te drzwi tylko sprawiają wrażenie pancernych, a w rzeczywistości to jakaś lipa... Bierz broń i ładujemy w nie, aż wylecą z zawiasów! – rozkazał, po czym oboje, odsuwając się nieco od wejścia, przełączyli karabiny na ogień ciągły i zaczęli siec nimi niemiłosiernie.

Wkrótce stało się tak, jak podejrzewał Antek – pod zmasowanym atakiem dwóch niezawodnych kałasznikowów drewniane drzwi – obite jedynie cienką, prowizoryczną blachą – migiem rozleciały się w drzazgi.

– Wiem, wiem... Znów miałeś rację – mruknęła złośliwie dziewczyna, przerywając ogień i dostrzegając w oczach Antka znany jej już od dawna błysk niepokornej satysfakcji.

– Lata teorii kontra lata praktyki, pani kapitan – skomentował butnie, dostrzegając z kolei, jak po twarzy dziewczyny przemknął niepohamowany cień zazdrości.

– Wiesz, Miko, chyba jednak łatwiej było mi cię znieść, gdy byłeś nierozgarniętym i nieporadnym farciarzem – zripostowała dosadnie, jednak na jej ustach nie pojawiła się żadna oznaka złośliwości, ale raczej delikatny uśmiech.

– Doskonale wiesz, że nigdy nim nie byłem... Tylko dla ciebie mniej bolesnym było uważać mnie za takiego – skwitował filozoficznie.

Lili, czując, że tym razem trafił ją wyjątkowo celnie, nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła banalnie i szablono:

– No to wchodźmy! Miej oczy dookoła głowy! Nie wiadomo, co ten sukinsyn trzyma w środku...

Zaczęli się powoli skradać w stronę posiekanych na wióra drzwi, nasłuchując uważnie dźwięków dochodzących z wewnątrz zagadkowego pomieszczenia.

– Czysto – szepnęła dyskretnie, jako pierwsza wchodząc do środka.

Antek, podążając tuż za jej plecami, pomyślał, iż pomieszczenie przypomina mu coś w rodzaju poczekalni dla uciążliwych petentów, zapewne zwykle oczekujących w zniecierpliwieniu, aż butny kacyk przyjmie ich w końcu do gabinetu. Zauważył również, że niewybredny wystrój wnętrza żywo przypomina mu ubiór Diektiera, idealnie odzwierciedlając jego parszywy gust...

Były tu tanie landszafty, zawieszane na przemian z oprawionymi w złote ramy fotkami najpopularniejszych gwiazdeczek z branży porno, mieniące się brokatem tapety w biało-czarne pasy oraz wielki kiczowaty żyrandol ze złotych bibelotów, przyprawiający Antka o mdłości... Jak by tego było jednak mało, podobnie jak w korytarzu, wszystko to okraszone było złotymi kinkietami, które oświetlały na jaskrawoczerwono.

Raptem Lili dostrzegła, że w kącie, za masywną, skórzaną, białą sofą, na ozłaczonym wieszaku w stylu Ludwika XVI, wisi kilka kobiecych ubrań, a dokładnie szlafrok, buty i dwie pary dresowych kompletów.

– Daj mi chwilę! – szepnęła do Antka, wbiegając cichaczem za sofę i ściągając dresowe ubrania z wieszaka.

– Lili... A co, gdyby nas teraz zaskoczył? – zapytał pretensjonalnie, celując uważnie w drzwi do gabinetu oraz kątem oka zerkając, jak dziewczyna odkłada karabin i pośpiesznie wciąga na siebie szary dres, a następnie wciska stopy w białe, damskie adidas.

– Nie mam zamiaru gonić całą noc w tych obscenicznych szmatach... – syknęła, robiąc przy tym ostrzegawczą minę.

– No wiesz... Mi tam twój strój wcale nie przeszkadza – zażartował Antek, szybko jednak dostrzegając w oczach dziewczyny to samo niebezpieczne

spojrzenie, którym obdarzyła go w pociągu, miażdżąc jego krtań. Postanowił więc dla świętego spokoju nie rozwijać tego tematu i skupić się lepiej na przedostaniu do kolejnego pomieszczenia.

Wtem, gdzieś zza ściany, dobiegł ich skrzypiący dźwięk zardzewiałych zawiasów u zapewne dawno nieotwieranego okna.

– On ucieka! – krzyknęła Lili, na co chłopak, nie bawiąc się już w zbędną ostrożność i sprawdzanie pozostałych pomieszczeń, puścił się pędem przed siebie, taranując przy tym kolejne drzwi.

Szybko okazało się, że w ostatnim, ciemnofioletowym pokoju z czarnymi, rzeźbionymi szafami oraz mnóstwem starej, kolekcjonerskiej broni, Antek dostrzegł Diektiarę, który krwawiąc obficie z postrzelonej nogi, w samych tylko białych gaciach i z ciągnącym się za nim długim bandażem, próbował niezdarnie wydostać się przez okno.

– Stój, bo rozwalę łeb! – ryknął Polak, posyłając dla ostrzeżenia krótką serię nad głową sterczącego na parapecie grubasa.

O dziwo szachrajski watażka podniósł posłusznie ręce w górę, jednak straciwszy przy tym równowagę, niczym bezwiedny tobołek gruchnął do wnętrza pokoju, obryzgując sownie krwią swoją ekskluzywną, kremową wykładzinę.

– I co, cwaniaczku? Nie zdążyłeś się opatrzyć i wystroić na wizytację swoich szanownych koleżków? – zapytał cynicznie Antek, podbiegając prędko do spaślaka i dając mu prewencyjnie solidnego kopniaka wprost w postrzelone udo.

Diektiar zawył niemiłosiernie, spoglądając błagalnie w oczy Antka. Był ewidentnie porażony tak bezwzględny potraktowaniem go przez kogoś, kto odznacza się wyjątkowo łagodną powierzchownością i w niczym nie przypomina typowych zakapiorów, z jakimi na co dzień miał do czynienia.

– Przechowuję tu sporo kasy! – wyznał. – Dam ci ją, jeśli chcesz, tylko puść mnie wolno! – nie zwlekając, rozpoczął negocjacje, leżąc jednocześnie bezradnie na plecach niczym obezwładniony żółw kołyszący się na własnej skorupie.



– Sram na twoją kasę, obleśny wieprzu! Zatrzymaj ją sobie na udobruchanie swoich czerwonych opiekunów! – odwarknął i łapiąc Diektiarza za cielsko, jednym sprawnym ruchem obrócił go na brzuch.

Mężczyzna ponownie zawył z bólu niczym ugodzony dzidą bawół, jednak Antek nic sobie z tego nie robiąc, zwrócił się na powrót do Lili z nienagannym moskiewskim akcentem:

– Nadia! Ja go przepytam o parę spraw, a ty przeszukaj inne pomieszczenia! – rozkazał.

– Tak jest! – odpowiedziała posłusznie i nie próbując już dalej walczyć o prymat w dowodzeniu akcją, bezzwłocznie wykonała polecenie.

– Kim jest Różga? – rozpoczął przesłuchanie chłopak, bezzwzględnie zawiązując Diektiarowi na szyi jakąś leżącą w pobliżu, wysłużoną, sadomasochistyczną smycz, którą kacyk zapewne często zakładał swoim dziewczynom, i owijając jej drugim końcem jego kostki u nóg, zaciągnął z całej siły.

– Aaaaa! Kurwa! Udusisz mnie! – ryknął boleśnie Diektiar, wygięty teraz niczym zwierzyzna łowna.

– Mów! Kim był ten staruch, który ci o nas powiedział! – powtórzył Antek, jeszcze mocniej zaciągając węzeł.

– Aaaaa! Skurwysynu! Złamiesz mi kręgosłup! Aaaaa! Moja noga! Wykrwawię się!

– Jeśli nie zaczniesz mówić, będzie jeszcze gorzej! – zagroził.

– Różga to stary pijaczek, którego nająłem kilka lat temu, aby miał oko na to, co dzieje się w Rapie – wyjawiał w końcu, sapiąc boleśnie.

– Kim on jest?

– Nikim! To tylko stary, splukany esbek! Zwykła kanalia, która straciła esbecką emeryturę i teraz za parę stówek zrobi wszystko, o co go poprosisz... – dyszał.

– Czego miał tam dokładnie pilnować? – dociekał Antek.

– Powiem, ale poluzuj to, bo się uduszę! – zażądał, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Poluzuję, jak powiesz.

– Kazałem mu obserwować tę jebaną piramidę! – wysapał, teraz już niemal siniejąc na twarzy.

– Skąd wiedziałeś o tym miejscu? – nie odpuszczał Antek.

– Od ojca! Ale popuść to, bo tu, kurwa, za chwilę zejde! – błagał, a chłopak, dostrzegając, że kacyk rzeczywiście nie udaje i zaczyna z wolna odpływać, błyskawicznie poluzował smycz.

– Mów ze szczegółami, co ci ojciec o tym powiedział! Bo w przeciwnym razie zacisnę pasek jeszcze raz, ale tym razem ostatecznie! – zagroził.

– Dwadzieścia parę lat temu mój zgred zdychał w szpitalu z powodu przerzutów raka prostaty – wyznał posłusznie. – Gdy tylko zostawałem z nim sam na sam, cały czas bredził coś o tej piramidzie i ukrytej w niej tajemnicy. Kazał mi mieć na to miejsce oko... – dodał, próbując uspokoić oddech.

– Co dalej! – popędzał go Antek.

– Nie wziąłem tego na poważnie... Ten stary dziad pod koniec życia był bez przerwy naładowany morfiną! Myślałem, że mu się coś popierdoliło w głowie! Poza tym miałem wtedy ciekawsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się takimi pierdołami – oznajmił.

– To dlaczego jednak ostatecznie wysłałeś tam swojego człowieka?

– Kilka lat temu pilnie potrzebowałem kasy i pomyślałem sobie, że to jednak sprawdzę... W końcu niewykluczone, że ten stary, pazerny chuj mógł zamelinować tam jakąś sumkę. Pojechałem więc do Polski sprawdzić to osobiście. W środku nie znalazłem jednak nic prócz kilku trupów z pourywanymi głowami.

– Od kogo dowiedziałeś się o Siłownikach i jak zdobyłeś ich protekcję? – Antek przeszedł do sedna, celowo przy tym dociskając kręgosłup Diektiara kolanem.

– Pierdol się! Możesz mnie nawet udusić, ale tego i tak ci nie powiem! – odwarknął, jakby nagle przybyło mu nieco odwagi.

– Wedle życzenia... – syknął chłopak i ponownie pociągnął za owiniętą wokół kostek smycz, wzbudzając u Diektiera jeszcze mocniejszy skowyt.

Nagle do gabinetu wpadła Lili.

– Borys! Tutaj są jakieś solidne drzwi, zamknięte na kilka zamków! Nie wiem, czy uda mi się je otworzyć!

– A ja słyszałem, że macie ponoć rozpracowane wszystkie wyprodukowane dotychczas zamki na świecie... – skomentował uszczypliwie.

– To prawda, ale ten jest jakiś inny... Pierwszy raz go widzę na oczy – wyjaśniła, rozkładając bezradnie ręce.

– W takim razie próbuj dalej, a jak się nie uda, to trudno... Ja w każdym razie muszę się jeszcze trochę pomęczyć z tym obsrańcem. – Wskazał głową na siniejącego ponownie Diektiera, który walcząc zaciekle z zaciągniętą na szyi i nogach smyczą, szamotał się niczym opętany.

– Dobrze! Powiem! Powiem ci wszystko! – zaskrzeczał w końcu, czując, że ewidentnie przegrywa swoją walkę o przeżycie.

– Więc powtarzam ostatni raz... Od kogo dowiedziałeś się o Siłownikach i jak zdobyłeś ich protekcję? – ponowił pytanie.

– Od nikogo! Jestem ich resortowym dzieckiem! – niemal krzyknął, rozwścieczony swoją niemocą.

– Jak to resortowym dzieckiem? – powtórzył za nim Antek, nie ukrywając swojego zdziwienia.

– Normalnie, kurwa! Mój ojciec był niegdyś wysoko postawioną personą w tej organizacji! Przed śmiercią kupił mi ten klub, załatwiając ochronę... A teraz popuść to! – wydyszał.

– Popuszczę... jeśli odpowiesz mi na jeszcze jedno, bardzo ważne pytanie: jak nazywał się twój ojciec?

– Po chuj ci to wiedzieć? Przecież on już dawno nie żyje... – zdziwił się.

– Mów, jak się nazywał, bo wykorzystam wobec ciebie inne sadystyczne sprzęty, którymi się tutaj zabawiasz – zagroził.

– Kurwa! Przecież on nie żyje! – powtórzył, walcząc zaciekle o odrobinę zbawiennej porcji tlenu.

– Mów, jak się nazywał, bo za chwilę zdechniesz! – huknął stanowczo Antek i zaciągnął smycz z taką siłą, iż coś nieprzyjemnie chrupnęło w ekstremalnie wygiętym kręgosłupie grubasa.

– Katnic! Kurwa! Nazywał się Katnic! – wydyszał ochryple.

– Katnic? – powtórzył z niedowierzaniem Antek, natychmiast popuszczając węzeł.

– Tak! Tak się właśnie nazywał... – potwierdził, biorąc głęboki, upragniony wdech. – Nic ci nie przyjdzie z tej wiedzy, bo za chwilę będą tu moi ludzie i ciężko odpowiesz za wszystko, co zrobiłeś z moim klubem! – dodał, jakby wraz z napływającym do jego mózgu tlenem powracał mu dawny rezon.

Antek nie potrzebował już jednak żadnych dodatkowych odpowiedzi. Wszystko teraz nagle mu się rozjaśniło... Kawałeczki tej zawilej układanki, z którą zmagał się od momentu wyjazdu z Gołuchowa, w końcu zaczęły składać się w jedną całość...

– Wiesz co, tępaku? – na powrót zwrócił się do watażki, który korzystając z poluzowania paska, starał się ponownie uspokoić oddech.

– Co? – odpowiedział mimo woli mężczyzna.

– Wiesz, dlaczego twój ojciec kazał ci pilnować tamtego miejsca?

– Czemu? Oświeć mnie... – odwarknął.

– Nie z powodu pieniędzy, ale dlatego, że chciał cię chronić, kretynie! – wyjaśnił, na co Diektiar wytrzeszczył oczy, zaskoczony tym, iż Antek wie cokolwiek na ten temat.

– Co ty bredzisz?

– Twój ojciec prawdopodobnie był w Rapie, gdy Armia Czerwona wkraczała do Polski i w trakcie penetrowania majątku jednego z tamtejszych arystokratów,

którym jako zaufany człowiek Stalina zapewne kierował, natrafił na bardzo niebezpieczne dla was dokumenty...

– Niby co miałyby tam takiego znaleźć? – dociekał zaintrygowany tymi zaskakującymi rewelacjami.

– Jakimś cudem, w szabrowanej przez nich piramidzie, będącej rodzinnym grobowcem wpływowego pruskiego barona, znalazły się niewygodne notatki, zdradzające prawdziwe pochodzenie twojego ojca oraz wzmianki o śmiertelnie niebezpiecznym dla Siłowników środowisku, z którego w rzeczywistości się wywodził...

– Co ty pierdolisz? Jakie środowisko? – oburzył się kacyk. – Mój zgred od zawsze był człowiekiem Siłowników! – dodał, najwyraźniej nie dowierzając w to, co słyszy.

– To widocznie jeszcze bardzo mało wiesz o Meteorze...

– O kim, kurwa?

– Meteor! – powtórzył dosadnie. – Tak naprawdę nazywał się twój stary... – wyjaśnił. – Imię to nadali mu ludzie, którzy byli największymi wrogami tego całego waszego czerwonego burdelu... Tak więc jakakolwiek wzmianka, która docierając do Siłowników, mogłaby naprowadzić ich na prawdziwe pochodzenie twojego ojca, musiała być przez niego natychmiast przechwycona.

– Kto w takim razie umieścił tam tę informację? – dopytał, jakby dając Antkowi wiarę w to, co mówi.

– Baron, o którym wspominałem. Dobrze znał ludzi z otoczenia twojego ojca i mając z nimi na pieńku, chciał wystawić ich rosyjskiemu wywiadowi. Miało to jednak miejsce wtedy, gdy wywiadem w Rosji zajmowała się jeszcze carska ochrana...

– Carska ochrana?! Ja pierdołę! To co ja mam z tym wspólnego?! – zeźlił się kacyk, któremu wyjaśnienia Antka zrobiły niemałe zamieszanie w głowie.

– Jajco, kretynie! Widzę, że intelektu to ty jednak nie odziedziczyłeś po tatusiu... Wyobraź sobie, że jeśli Siłowniki dowiedzą się, że przez cały czas,

pilnując tej pieprzonej piramidy, kontynuowałeś ukrywanie zagrażającej ich bezpieczeństwu tajemnicy ojca, obedrå cię żywcem ze skóry i powieszą ją tutaj jako przestrogę dla innych – oznajmił kąśliwie.

– Wal się! Nie jestem żadnym zdrajcą i nie mam zielonego pojęcia, o czym do mnie pierdolisz! Zawsze byłem lojalny wobec Kremla i uczciwie dzieliłem się z nimi dochodami! Możesz sobie w dupę wsadzić te wątpliwe brednie! – zarzekał się, jednak złość z jego twarzy powoli zaczęła wypierać przestach.

– Bez względu na to, co powiesz, jesteś na dobre wplątany w tę historię, o której Siłowniki, natrafiając w archiwach na list od barona, co nieco już wiedzą... Zresztą już wyobrażam sobie, jak tłumaczysz swoim koleżkom, że będąc niewinnym i nieświadomym, jednocześnie wysłałeś pod piramidę swoich ludzi, aby pilnowali waszego sekretu... – Antek roześmiał się głośno. – Mogę dać ci jednak wyjście z tej beznadziejnej sytuacji... – dodał, podnosząc swoje kolano z pleców spaślaka, jakby na znak dobrej woli.

– A to niby jakie? – odburknął pośpiesznie kacyk, z chytrą nadzieją w głosie.

– Bierzemy twój najszybszy wóz, pakujemy cię do bagażnika, a następnie znikamy stąd, zanim oni się tutaj zjawią... Po wszystkim zostaniesz naszym świadkiem i w zamian za użyteczne informacje o Siłownikach i twoim ojcu otrzymasz dozonną ochronę oraz szansę na nowy start – zaproponował.

– Nie mogę! – wypalił nerwowo po chwili gorączkowej kalkulacji Diektiar, a widząc pytające spojrzenie chłopaka, wydukał, wyraźnie przerażony samą myślą o tym, że mógłby oszukać swoich wieloletnich opiekunów: – Bo... bo oni znajdują mnie wszędzie!

– Zaufaj mi, zagwarantujemy ci całkowite bezpieczeństwo.

– Gówna prawda! Nic mi nie jesteś w stanie zagwarantować! Ty ich nie znasz! Nie wiesz, do czego są zdolni! – krzyczał panicznie.

– Właśnie ci udowodniłem, że znam ich aż za dobrze... Żeby jednak cię bardziej upewnić, dodam, że Siłowniki nie mają bladego pojęcia o działalności i możliwościach moich ludzi, więc w starciu z nimi są właściwie bez szans...

Gwarantuję całkowite bezpieczeństwo w zamian za zeznania – powtórzył propozycję.

– A kim wy, kurwa, jesteście? Jakimiś jebanymi Avengersami? – zakpił.

– Coś w tym stylu... – Antek się zaśmiał, szczerze rozbawiony tym porównaniem.

Diektiar myślał intensywnie.

– A co z moim klubem? Co z pracownikami i moimi pieniędzmi?

– Wóz albo przewóz... Masz trzy sekundy na decyzję... W przeciwnym razie my znikamy stąd, a ty spróbuj jakimś cudem wytłumaczyć się im z tego, co tu zaszło... Ciekawe, jak długo będziesz w stanie kłamać im w żywe oczy... – prychnął z pogardą Antek.

– Okej, dobra, niech ci będzie! Zgadza się! Lecz w takim razie musimy stąd natychmiast spieprzać! Oni powinni tu być lada moment... – panikował.

Nagle z końca korytarza rozległ się przeraźliwy krzyk Lili.

– Borys! Chodź tu szybko!

– Co jest? Otworzyłaś w końcu te drzwi? – odparł niezadowolony, że dziewczyna przerywa mu końcową pertraktację z tak kluczowym dla nich informatorem.

– Tak! Chodź tutaj i sam zobacz! – odpowiedziała mu równie stanowczym głosem.

– Siedź tu, sukinsynu, i ani drgnij! Będę miał cię cały czas na oku! – przestrzegł Diektiera, po czym ruszył w stronę Lili.

– No szybko! Rusz się! – ponaglała.

Antek przyśpieszył więc nieco, cały czas jednak zerkając na związanego skórzanym paskiem kacyka.

– O co chodzi? – zapytał zaniepokojony, podchodząc do roztrzęsionej koleżanki.

– Chyba wiem, do kogo należały te ciuchy, które zwinęłam z wieszaka... – dopowiedziała enigmatycznie, po czym usunęła się z drzwi, aby mógł wejść do

otwartego przez nią pokoju i sam się przekonać.

– Boże jedyny... – wyszeptał cicho chłopak, gdy tylko przekroczył masywne drzwi.

W małym pokoju przypominającym łaźnię wyłożoną czarnymi i czerwonymi kafelkami wisiało na ścianach kilkanaście najróżniejszego rodzajów urządzeń do sadomasochistycznych tortur. W pomieszczeniu tym, podobnie jak w innych, także świeciło purpurowe światło – najwyraźniej bardzo upodobane przez Diektiera – i swoim ponurym, wątłym blaskiem oświetlało leżące na posadzce dwie całkowicie nagie dziewczyny. Każda z nich miała zapięty na nadgarstkach ten sam łańcuch, którego resztkę wisiała nadal na kostce Lili i obie nie dając żadnych znaków życia, mocno krwawiły z intymnych części ciała.

– Pilnuj tego gnoja! – rozkazał Lili drżącym głosem Antek, po czym ostrożnie zbliżył się do kobiet. – To nie są ofiary gangsterskich porachunków ani nieudanych interesów biznesowych... To bydle robiło to z nimi dla zabawy! – zauważył. – To musiało go najwyraźniej podniecać – dodał wściekle, unosząc delikatnie dłoń i sprawdzając tętno jednej z nieszczęśniczek.

Dopiero teraz, gdy z jej bladej, delikatnej szyi odchylił gęste rude włosy, dojrzał, jak bardzo poranioną miała skórę – niemalże na całej szerokości ramion i pleców widniały głębokie rozcięcia, poparzenia i obszerne krwiaki.

– Jedna jeszcze dogorywa, druga jest już zimna... – oznajmił smutnym głosem, przyglądając się uważnie ich okrutnie wychłostanym pośladkom oraz udom, na których wytatuowano toporną cyrylicą dwa bliźniacze napisy: „Własność Diektiera”.

Natomiast Lili, sumiennie dostosowując się do rozkazu Antka, spojrzała na kacyka z tak bezwzględną miną, że ten natychmiast spuścił z niej wzrok i struchlał, jakby go tu w ogóle nie było.

– Odkujmy tę, która jeszcze żyje, i zabierzmy ją stąd – zaproponowała.

– Mogę ją uwolnić, ale nie jesteśmy jej w stanie zabrać ze sobą... – zaprotestował chłopak. – Jeśli w ogóle przeżyje śpiączkę, to obudzi się dopiero za



kilkanaście godzin... Nos ma jeszcze cały biały od prochów – wyjaśnił, spoglądając bezradnie na zdruzgotaną jak nigdy przedtem panią kapitan.

– To uwolnij ją, w razie gdyby jednak przeżyła – zażądała, łapiąc się za głowę z niedowierzania, na co Antek wystrzelił dwa pociski z kałacha, tak w łańcuch jednej, jak i drugiej.

Brutalnie odszczepione od ściany srebrne żelastwa wraz z bezwładnymi rękami dziewczyn opadły z łoskotem na czarną glazurową podłogę.

– Zrobiliśmy, co się dało, a teraz zabierajmy się stąd, natychmiast! – zarządził po chwili konsternacji, dostrzegając, w jak niebezpieczny sposób Lili nadal spogląda na Diektara.

– I co?! Może chcesz go z nami wziąć i obiecać mu bezpieczeństwo z naszej strony? – odparła z oburzeniem.

– Nie bądź niemądra... Przecież wiesz, że możemy z niego jeszcze wiele wyciągnąć i tym samym w jakimś stopniu ograniczyć tragiczne skutki operacji „Masterpiece”... Nie zapominaj, że właśnie dlatego zdecydowaliśmy się kontynuować to na własną rękę...

– Ja tam bym go przesłuchała siłą, na początek odcinając mu jaja... A gdyby nam już wszystko wyśpiewał, osobiście wpakowałabym mu kulkę w łeb – oznajmiła, drgając z wściekłości na całym ciele.

– Nie świruj! Nie jesteśmy od tego, żeby ubolewać nad losem pokrzywdzonych ludzi, a tym bardziej uzależniania swoich działań i obowiązków od ich życiowych tragedii... Poza tym nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć, ale to właśnie Diektar jest synem Katnica – oznajmił, wstając z posadzki i podchodząc do Lili.

– Kim jest?! – Dziewczyna po raz drugi złapała się za głowę.

– Synem Katnica! – powtórzył jeszcze dosadniej.

– Ożeż ty... – Wytrzeszczyła szeroko oczy.

– Więc nie myśl sobie, że nie ogarnia mnie szal, gdy widzę, do czego takie bydlęta są zdolne – zarzekał się. – W innych okolicznościach sam zastanowiłbym się nad tym, czy nie uwolnić ziemi od takiego wrzodu, ale w naszej sytuacji ten

gość dosłownie spadł nam z nieba, zanim jeszcze dotarliśmy do Moskwy... Rozumiesz to? – dodał, łapiąc Lili za barki i wstrząsając nią lekko.

Lili oczywiście rozumiała to doskonale, jednak na krótką chwilę musiała dać upust emocjom, które po tym, co zobaczyła, wyjątkowo nachalnie atakowały jej zwykle chłodny i wyrachowany umysł. I choć nic nie odpowiedziała, to jej oczy zdradzały wszystko – gdyby tylko mogła, bez namysłu dokonałaby na Diektiarze defenestracji, korzystając z okna, które sam sobie uprzednio otworzył.

– A teraz rozwiążemy go i zwiejemy z nim tą samą drogą, którą on sam chciał przed nami uciec – zaproponował Antek. – Zauważyłem, że pod oknem jest niewielki daszek, po którym można zejść – dodał, opuszczając z ulgą przerażający pokój „zabaw”.

– Trzymaj, to chyba twoje – zwróciła się do niego dziewczyna, kładąc mu na dłoni zwinięty w rulonik smartplaster, który poprzednio odebrano im w pociągu.

– O! Super! – ucieszył się. – A paszporty też znalazłaś?

– Tak, wszystko było w komodzie – odrzekła posępnie, nadal mocno przybita tym, co zobaczyła.

– Znakomicie! – pochwalił ją. – A teraz wynosimy się stąd – zarządził, poklepując ją pocieszająco po ramieniu.

– Borys, uważaj! – krzyknęła niespodziewanie Lili, jednocześnie błyskawicznym uderzeniem lewej ręki wpychając Antka z powrotem do miejsca kaźni, a sama oddając w Diektiarza szybką serię z karabinu.

– Niiieee! Co ty robisz?! – wrzasnął chłopak, wybiegając z przerażeniem na korytarz.

Jak można się było spodziewać, na zalanym krwią kremowym dywanie w bezruchu leżał teraz martwy Diektiar, podziurawiony ołowiem niczym szwajcarski ser.

– Niiieee! Niiieee! Niiieee! – wrzeszczał wściekle Antek, uderzając przy tym ręką w ścianę. – Teraz już wszystko na nic! – dodał, odwracając się z groźnym wzrokiem do dziewczyny.

– Nie było innego wyjścia – skomentowała chłodno, wzruszając na to ramionami.

– Jeśli zabiłaś go, żeby się na nim zemścić, to...

– Zobacz lepiej, co ma w dłoni i co leży przed nim na ziemi – przerwała mu natychmiast.

Antek przyjrzał się więc uważniej truchłu niedoszłego świadka, którego dopiero co udało mu się namówić na swoistą „koronę”, i pod jego bledniejącymi palcami dostrzegł niewielką szklaną rurkę, z której nie dalej niż na metr wyleciała mała igielka zakończona lotką.

– A to fałszywa menda... – Westchnął.

– Miał to w gumce od gaci... Dosłownie na moment spuściłam z niego wzrok, żeby dać ci smartplaster, a gdy ponownie na niego zerknęłam, on trzymał już to gówno wymierzone w ciebie – wyjaśniła.

– To zapewne igła z jakimiś paraliżującymi układ nerwowy toksynami... – skomentował. – Czyli jednak Bona miał rację... – dodał, schylając się i podnosząc z dywanu maluteńką, choć bardzo niebezpieczną broń.

– To znaczy? – zaciekawiała się Lili.

– Miał rację, gdy przestrzegał mnie, iż z kacapami nie ma sensu prowadzić żadnych pertraktacji, bo zawsze cię okłamią, kiedy nadarzy się im ku temu odpowiednia okazja, albo ukatrupią, gdy tylko odwrócisz wzrok... – sparafrazował.

– Więc mogłam nie spuszczać z niego wzroku ani na sekundę – skomentowała ponuro. – Straciliśmy bezcenny materiał dowodowy – przyznała.

– Trudno... Mogło skończyć się gorzej... Ważne, że uratowałaś mi życie, a ja czegoś tam się jednak dowiedziałem... – uspokajał, przyglądając się uważnie metalowej igielce.

– W takim razie nie mamy tu nic więcej do roboty – odparła, przekraczając ciało Diektiara i przyglądając mu się uważnie.

– Zgadza się... Trzeba stąd wiać... – potwierdził Antek, podchodząc do otwartego okna, z którego rozpościerał się widok na intensywnie świecący księżyc

oraz szumiący pod nim gęsty, mroczny las. – To co, idziesz? Lepszej drogi nie będzie, musimy zejść tędy... – ponaglił, wychodząc na niewielki daszek i nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi.

– Daj mi sekundę! Muszę coś jeszcze sprawdzić... – oznajmiła, nachylając się nad leżącym Diektiarem i usilnie próbując ściągnąć coś z jego dłoni.

– Lili? Co ty tam robisz?! – zainteresował się.

– Zwróciłeś uwagę na ten jego sygnet? – odpowiedziała tajemniczo.

– Tak, widziałem go... A co?

– Muszę się mu bliżej przyjrzeć. Coś mi chyba przypomina... – wyjaśniła.

– Tylko szybko, proszę cię!

– Już! – rzuciła pośpiesznie dziewczyna, gdy nieruchomy palec kacyka chrupnął nieprzyjemnie i już po kilku minutach pędzili biegiem przez las, kierując się intuicyjnie na zachód.

– No i jak? Twój już się włączył? – zapytała dziewczyna, spoglądając na przedramię Antka, gdzie przyklejony smartplaster ładował się pod wpływem ciepła wytwarzanego przez jego skórę.

– Jeszcze nie. A twój?

– Mój już powoli odpala, ale to nadal za mało, żeby uruchomić GPS i dowiedzieć się, gdzie w ogóle jesteśmy... – odparła, przeskakując w biegu przez stary zbutwiały pniak.

– Za dziesięć minut powinny działać oba, ale póki co trzeba odbiec jak najdalej od burdelu Diektiara. Gdy Siłowniki pojawią się na miejscu i zobaczą, co tam się wydarzyło, na pewno zaczną nas szukać... – pouczył Antek.

– Zwłaszcza że ktoś odważył się rozstrzelać człowieka, który był pod ich ochroną – dodała Lili.

– Na szczęście nie było tam żadnych kamer... Ktoś najwyraźniej dopilnował tego, żeby ludzie, którzy odwiedzali to miejsce, nie byli przez niego nagrywani – zauważył.

– Ja też nie dopatrzyłam się tam żadnego sprzętu do nagrywania.

– Ciekawe, czy Siłowniki połączą sprawę Diektiera ze zniknięciem ich łącznika... – Chłopak się zamyślił, nadal jednak nie zwalniając tempa. – Niewykluczone przecież, że Holda zdążyła się już z nimi skontaktować, i być może jadąc tu, przygotowali się na to, iż będą mieć do czynienia z tymi samymi osobami... – dodał po chwili namysłu.

– W pierwszej kolejności będą musieli się jednak uporać z biegającym po budynku misiem, któremu oddałeś wolność, gladiatorze! – zażartowała Lili, próbując za wszelką cenę utrzymać tempo Antka.

– Dzięki... Właśnie mi przypomniałaś, że wyglądam w tym stroju jak palant... – skomentował.

– W takim razie pozwól, że cię zacytuję: mi tam twój strój wcale nie przeszkadza... – wyrecytowała.

– Bardzo śmieszne... – zachnął się Antek.

Oboje, mimo wyczerpującej przygody, która zaczęła się od momentu uprowadzenia ich z pociągu, o dziwo mieli nadal dobre humory i biegnąc niestrudzenie, uśmiechali się co jakiś czas do siebie.

Po przebyciu jeszcze około trzech kilometrów w linii prostej na zachód nagle ich oczom ukazał się dość niecodzienny widok, a mianowicie dwa identyczne, przebijające się przez leśną gęstwinę, rozświetlone księżyce – jeden jaśniał intensywnie nisko nad ziemią, drugi zaś był jego wiernym odbiciem poniżej linii horyzontu.

– Chyba dobiegliśmy do jakiegoś jeziora... – zauważyła Lili, zwalniając bieg.

– Na to wygląda... Spróbuj włączyć nawigację – zaproponował Antek, również przechodząc do marszu.

– Minusem tych smartplastrów jest to, że szybko się rozładowują, gdy pozostają odlepione od ciała. Dawne smartfony pod tym względem były dużo lepsze – skomentowała, po raz drugi próbując uruchomić nawigację.

– Co jak co, ale tym razem powinny naładować się szybciej niż zwykle. W końcu trochę się zgrzaliśmy podczas tego biegu...

– Jeszcze chwila... Jest! – oznajmiła z zadowoleniem, gdy na ekranie ukazała się ich aktualna lokalizacja.

– No i co ci pokazuje? – zapytał zniecierpliwiony, przyglądając się niezmaconej, ciemnej jak noc tafli jeziora.

– Nie uwierzysz...

– No mów! – ponaglił.

– Jesteśmy właśnie nad wschodnim brzegiem Świtezi... – odparła, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Że gdzie?! Żartujesz sobie ze mnie?

– Mówiłam, że mi nie uwierzysz...

– Dziwne... – skwitował.

– No to trzeba przyznać, że ten zboczony wieprz, zagnieździł się w całkiem ciekawej okolicy – zauważyła Lili.

– Nie on, tylko jego ojciec... – poprawił ją Antek. – To Katnic najpierw kupił, a następnie przekazał mu ten szatański przybytek – dodał.

– Może jednak Meteor miał w sobie jeszcze jakiś ostatni zdrowy, patriotyczny sentyment? – zażartowała. – W końcu historycznie i kulturowo to bardzo ważne dla Polaków miejsce...

– No... Szkoda tylko, że już nie nasze... – Westchnął z rozmarzeniem chłopak.

– Wygląda jak nie z tej planety. Jakby jedno niebo łączyło się z drugim – zawtórowała nostalgicznie.

– Widziałem już raz coś podobnego na płaskowyżu Altiplano – pochwalił się Antek. – Cudowny widok... – dodał.

– Zgadzam się... Urocze miejsce... Może nawet są na tym jeziorze lilie? – podekscytowała się.

– O nie! Jedna Lilia tutaj już zdecydowanie wystarczy... – zażartował, jednak z tego powodu szybko musiał uchylić się przed karcącą ręką dziewczyny.

– Może usiądźmy tutaj na chwilę i obmyślmy, jak się stąd ewakuować... Zwłaszcza że paszporty, które spreparowała Skrzetuska, są już spalone... – nagle

zmieniła temat Lili.

– Może Zosia jeszcze raz zgodzi się nam pomóc? – nieśmiało zaproponował Antek.

– Nie ma takiej opcji. Nasz kontrwywiad na pewno już ją obserwuje... Myślę, że trzeba się ujawnić i poprosić dowództwo o pomoc – zaproponowała stanowczo.

– Chcesz zakończyć akcję?! Nie ma mowy! Nie teraz! – obruszył się.

– Antek, opamiętaj się... Po pierwsze, nie mamy pieniędzy, dokumentów, broni ani nawet porządnych ubrań, a po drugie, zapewne od kilkunastu minut szukają nas Siłowniki, wiedząc, że nie opuściliśmy jeszcze terytorium Białorusi... Jak chcesz w takiej sytuacji dalej prowadzić akcję? – wyliczała, wskazując palcem na komiczną imitację starożytnego przebrania Antka, w którym rzeczywiście wyglądał, jakby dopiero co wrócił z balu karnawałowego.

– I to właśnie, kochana, jest to, co się nazywa *spy game*... – odparł niewzruszony.

– Antek, błagam cię, nie przesadzaj! – zagroziła. – Lepiej będzie, jak skontaktujemy się z naszą białoruską komórką i organizacja ściągnie nas stąd w mgnieniu oka! Mamy w końcu masę ludzi zakonspirowanych na tym terenie... – nie dawała za wygraną Lili.

– I co?! Wrócimy do nich z pustymi rękami?

– Nie żyją nasi ludzie, straciliśmy też dwóch cennych świadków, a ty nadal liczysz na to, że po tym wszystkim, co się stało, operacja „Masterpiece” może sobie trwać w najlepsze? Phi... – prychnęła.

– A czemu by nie? Przecież nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa! A tym bardziej niczego jeszcze nie naprawiliśmy... Zeznania wyciągnięte od Diektiera to zdecydowanie za mało, żeby wyjść z tej matni bez ponoszenia bolesnych konsekwencji naszej samowolki... – wytłumaczył.

– To co dokładnie proponujesz? – odpowiedziała, łapiąc się wyzywająco pod boki.

– Póki co proponuję usiąść na chwilę, odpocząć i pomyśleć na spokojnie, jak się stąd wydostać.

– Odpocząć? Nie ma na to czasu! Za parę godzin będzie widno! – zaprotestowała.

– Chciałbym zauważyć, Lili, że gdy ty gibałaś się leniwie na rurce, ja uganiałem się w klatce z trzema zbrodniarzami i sześciusetkilowym kamczackim niedźwiedziem, nie wspomnę już o wyrzuceniu mnie z pociągu i zatruciu gazem... W związku z tym przyznasz chyba, że mam prawo być nieco zmęczony i potrzebuję chwilę odsapnąć...

– Okej... A jeśli w Gołuchowie wspomnisz komuś choć słówko o tym tańcu, to...

– Nie bój się! Nic nie powiem... – zapewnił. – Ale pod jednym warunkiem... – dodał chytrze.

– Że co niby? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Że po powrocie zjemy razem kolację... – zażądał.

– Na razie jedyne, co mogę ci zaproponować, to ognisko w lesie. – O dziwo dziewczyna uśmiechnęła się na tę propozycję. – Nawet to przewidziałam i dlatego zakosiłam Diektiarowi zapalniczkę z szuflady – dodała z zadowoleniem.

– Okej, ognisko mogę uznać za preludium do kolacji... W końcu temperatura jest bliska zera, a my trochę się spociliśmy – skomentował Antek i raz jeszcze zwrócił wzrok w stronę nieskazitelnie odbijającej nieboskłon, atramentowej tafli jeziora.



# Dziecko Katnica

Przyjemne trzaski niewielkiego paleniska przesywały nocną ciszę, która ogarnęła las wkoło Świtezi. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a wiatr ucichł całkowicie. Antek leżał wygodnie rozłożony na długich, świeżo ściętych gałęziach świerkowych i wpatrywał się w gwieździste niebo, mieniające się nad zastygłymi w bezruchu koronami drzew.

– Mogę cię zapytać o coś osobistego? – zagadnął nagle Lili, która siedząc skulona w dresowym kapturze na głowie, ogrzewała zmarznięte stopy nad ogniem.

– Miałeś, zdaje się, myśleć nad tym, jak się stąd wydostać – odparła ponuro, nie do końca zachwycona tą propozycją.

– Stąd między innymi to pytanie... – wytłumaczył.

– No to pytaj. Co chcesz wiedzieć? – Westchnęła ciężko.

– Jesteś wychowanką programu „Świtez”? – zaczął ostrożnie.

– Chyba nietrudno się tego domyślić, skoro w organizacji posługuję się jedynie imieniem, a nie nazwiskiem... – burknęła pod nosem, wyraźnie zniecierpliwiona dociekliwością.

– A czy rodzice oddali cię tam anonimowo, czy też może wzięto cię z bidula? – sprecyzował, poruszając najwyraźniej bardzo drażliwy temat, gdyż dziewczyna zagryzła usta i nerwowo wypuściła powietrze nosem.

– Raczej z rodziny... A po co ci to wiedzieć? – odpowiedziała po chwili namysłu.

– Bo zastanawiam się, dlaczego na program szkoleniowy wybrano taką właśnie nazwę: „Świtez”... Czy ma to może jakiś związek z...

– Wybrali taką nazwę, bo widocznie im taka pasowała... Jakbyś jeszcze nie zauważył, to pełno jest u nas przesiąkniętych martyrologią pseudonimów, nazw i kryptonimów – przerwała mu stanowczo.

– Może i tak, ale nie dziwi cię to, że znaleźliśmy się w tak wyjątkowym położeniu, akurat gdy trafiliśmy na miejscówkę Katnica? Bądź co bądź gościa, który był niegdyś najlepszym naszym agentem...

– Może mu się tu po prostu spodobało... Legendarne jezioro, piękne okoliczności przyrody i tak dalej... – bagatelizowała Lili.

– No co ty, zwariowałaś? Piękne okoliczności przyrody i Katnic? Jeszcze mi powiedz, że w przerwach od prześladowania i maltretowania ludzi czytywał sobie poezję przy kamieniu filaretów... – zadrwił.

– Przeżarci megalomanią ludzie władzy lubią lokować swoje majątki w tak symbolicznych miejscach. Zwłaszcza gdy w ich zaciszu mogą robić swoje brudne interesy... – odparła Lili.

Antek westchnął tylko, przyjmując do wiadomości błyskotliwe spostrzeżenie dziewczyny, po czym wstał i zaczął krążyć w zamyśleniu.

– Przydałoby się coś zjeść, nie uważasz? – wtrąciła Lili, chcąc przekierować uwagę chłopaka na bardziej przyziemne sprawy.

– A gdyby tak przeczekać w lesie i jutro w nocy wrócić do klubu? – odpowiedział, w ogóle nie zwracając uwagi na jej pytanie.

– A to niby po co?

– Żeby dokładniej przeszukać apartamenty Diektiera... Może trafilibyśmy tam jeszcze na jakąś istotną wskazówkę? – zaproponował, nadal drążąc temat.

– Sprawdziłam wszystko bardzo dokładnie... Powrót tam to tylko niepotrzebne ryzyko... Lepiej zabierzmy się za zorganizowanie jakiegoś jedzenia i stosownych ubrań, jeśli rzeczywiście dalej mamy kontynuować akcję.

– A ten jego sygnet? – przypomniał Antek, podnosząc nagle wzrok z ziemi i spoglądając podejrzliwie na Lili.

– Co sygnet? – odparła niedbale, jakby uznała to za całkowicie nieistotną sprawę.

– No... Zabrałaś mu sygnet, bo było na nim coś, co cię zainteresowało. Co to było? – dociekał.

– Nic takiego... Po prostu przez chwilę wydawało mi się że... – nie dokończyła, zbywając go jeszcze dosadniej.

– Wydawało ci się, że co? – nie odpuszczał, podchodząc bliżej dziewczyny.

– Że nic! – obruszyła się. – Po prostu mnie zainteresował i tyle... – dodała nerwowo.

Antek popatrzył nieufnie na dziewczynę, po czym wypalił stanowczo:

– Pokaż mi go!

– Proszę! Masz! Nic nadzwyczajnego, zwykły bibelot! – parsknęła lekceważąco, ściągając sygnet z kciuka i rzucając nim w stronę Antka.

– Trochę waży... – skomentował, przyglądając się uważnie sporemu, szczerozłotemu klejnotowi, w którego oczku znajdował się herb w postaci białego, smukłego kwiatu z zanurzonym korzeniem w wodzie. Przedstawiona roślina wykonana była zapewne ze szmaragdu i kości słoniowej, natomiast otaczająca ją woda z białego złota.

– Czy to nie jest aby lilia wodna? – zapytał niepewnie Antek, obracając błyskotkę w dłoni.

– Nie, nie jest – odpowiedziała natychmiast.

– Ale domyślam się, że zaciekał cię właśnie z tego powodu...

Pani kapitan potwierdziła bez przekonania.

– Są tu też jakieś drobne napisy wygrawerowane na wewnętrznej i zewnętrznej szynie sygnetu, zauważyłaś? – zapytał, po czym przyświecając sobie smartplastrem, przeczytał na głos: – „W godzinie, w której panuje nocą, tam się też larwy szamocą”. No i co? Mówi ci to coś? – dodał z lekką nutą nadziei w głosie.

– Nie... nic – zapewniła chłodno.

– Sądząc po twojej nerwowej reakcji, wydaje mi się, że jednak tak – starał się ostrożnie dobierać słowa.

– Zgłupiałeś? O co ci chodzi?! – natychmiast zeźliła się Lili.

– O to, że jednak cię już trochę znam i dam sobie rękę uciąć, że dawno sprawdziłaś treść tego wygrawerowanego tekstu... W końcu odkąd tu siedzimy, cały czas tylko grzebiesz w smartplastrze – wyjaśnił.

– No dobra... Sprawdzalam – wyznała jednak – ale dalej nic mi to nie mówi.

– Na pewno nic nie znalazłaś? I nic ci to nie mówi? – powtórzył pytania, nie do końca dowierzając.

– Nic mi to nie mówi! – wycedziła. – A ty co? Szpiegujesz mnie? Mam ci się teraz spowiadać, jak byś był moim dowódcą? – parsknęła z politowaniem.

– Kłamiesz, Lili – rzucił prosto z mostu.

– O nie, Miko! – Dziewczyna również poderwała się na równe nogi, grożąc Antkowi palcem. – Nie będziesz mnie tutaj lustrował! – dodała, ostentacyjnie zakładając buty i wiążąc nerwowo sznurowadła.

– Nie lustruję cię, tylko po prostu widzę, że nie mówisz mi całej prawdy... – odparł, próbując złagodzić ton.

– Okej – odwarknęła. – Ten tekst to chyba fragment wiersza... – przyznała w końcu, odwracając się do chłopaka tyłem i odchodząc kilka metrów od paleniska.

– Co to za wiersz? – zapytał już całkiem spokojnie Antek, nie chcąc niepotrzebnie rozjątrzyć dziewczyny.

– To fragment ballady *Świtezia*, napisanej przez Mickiewicza specjalnie dla jego przyjaciela Michała Wereszczaki... Jeszcze dokładniej mam ci to wytłumaczyć? – mruknęła pod nosem, nadal stojąc do niego plecami.

– To dlaczego wcześniej mi tego po prostu nie powiedziałaś? – zdziwił się rozczarowany, po czym znajdując w wyszukiwarce fragment wspomnianego utworu, zaczął czytać na głos.

*Tak w noc, pogodną jeśli służy pora,  
Wzrok się przyjemnie ułudzi...  
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,  
Trzeba być najśmielszym z ludzi.  
Bo jakie szatan wyprawia tam harce!  
Jakie się larwy szamocą!  
Drzę cały, kiedy bają o tym starce,  
I strach wspominać przed nocą*

Gdy chłopak skończył czytać, zamyślił się, za to Lili ściągnęła kaptur i zaczęła nerwowo poprawiać sobie włosy.

– Larwy się szamocą? Świtez? Katnic? Wygrawerowany sygnet? Co to ma być?! Jakiś pieprzony zbieg okoliczności?! – tym razem to Antek się oburzył. – Wiedziałaś, że to wszystko ma ze sobą jakiś związek i chciałaś to zatrzymać dla siebie! Ty rzeczywiście masz mnie za głupka! Czy cały czas prowadzisz jakąś swoją grę, działając na dwa fronty? – wyliczał, podchodząc do niej i stanowczym chwytem za ramię odwracając ją w swoją stronę.

O dziwo Lili nie zareagowała jednak na ten gest agresywnie – jak to zwykle miała w zwyczaju – lecz podniosła tylko wzrok do góry i z oznaką całkowitego zrezygnowania na twarzy odpowiedziała poprzez łzy, które rozlały się obficie po jej bladych policzkach.

– Właśnie o to chodzi, że nic nie wiem! Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy! – wypaliła gwałtownie, co Antka totalnie zamurowało. W końcu nigdy nie widział swojej pani kapitan w tak opłakanym stanie... Przez chwilę chciał nawet wytrzeć jej jedną z łez, jednak Lili, dostrzegając ten zamiar, natychmiast oddaliła się od niego, stając nad brzegiem jeziora.

– Dobrze więc... Zacznijmy jeszcze raz, na spokojnie – zaproponował, próbując ostudzić emocje, lecz dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wytarła pośpiesznie oczy, chcąc jak najszybciej doprowadzić się do porządku. –

Podsumujmy to, co już wiemy – kontynuował, nie zważając na jej milczenie. – A więc trafiliśmy do tego miejsca, gdyż czwartą stroną, biorącą udział w tym, co wydarzyło się w Rapie, okazał się człowiek Diektiera... Natomiast Diektier znalazł się tutaj, bo miejsce to kupił dla niego ojciec...

Antek urwał i zaczął się zastanawiać, próbując ułożyć sobie wszystkie informacje chronologicznie.

– Tylko dlaczego Katnic, który przecież tak wiele wiedział o Polonorum, wybrał akurat to miejsce, skoro mógł wybrać setki innych w całym dawnym ZSRR? Największą jednak zagwozdką dla mnie jest to, dlaczego jego syn miał na sobie sygnet nawiązujący do ballady Mickiewicza, którego akcja toczy się właśnie tutaj. Lili – zwrócił się ponownie do milczącej dziewczyny – dalej mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego... Dlatego proszę cię ostatni raz: powiedz, co jeszcze na ten temat wiesz, a przyrzekam, że pomogę ci to rozwikłać... Jeśli jednak nie odpowiesz, natychmiast stąd znikam i wracam sobie do Polski sama... – zagroził.

– Tak... Masz rację. Wiem coś więcej na ten temat, ale zapewniam cię, że to moja prywatna sprawa i nie ma to żadnego związku z naszą operacją... – wyznała w końcu.

– Wspaniale... – prychnął chłopak. – Szkoda tylko, że w Sztynorcie, gdy chciałem porozmawiać na osobności z Zosią, powiedziałaś, że jeśli będę miał przed tobą jakieś tajemnice w trakcie tej akcji, to nasza współpraca będzie zakończona... Chciałbym ci przypomnieć, że to działa także w drugą stronę...

– No więc jeszcze raz ci powtarzam, że jest to moja prywatna sprawa i nie ma ona nic wspólnego z operacją „Masterpiece” ani z tym, co tutaj robimy...

– Albo mówisz, albo dalsza wspólna akcja nie ma najmniejszego sensu! – nie odpuszczał chłopak.

– Antek! Nie znam cię na tyle dobrze, żeby ci o tym mówić! Zrozum! Nie mogę kolegom z grupy opowiadać takich rzeczy o sobie! Jeśli tego nie potrafisz uszanować, to proszę bardzo, możesz sobie iść! – fuknęła, odwracając się do niego

z groźną miną, ale jednocześnie próbując zatrzymać go przy sobie swoim błagalnym wzrokiem.

– Rozumiem... Słabo mnie znasz... – Zaśmiał się cynicznie. – Widocznie nie na tyle słabo, żeby zawdzięczać mi kilka razy uratowanie życia... – wygarnął wyraźnie urażony tym oznajmieniem.

– Nie przesadzaj! Ja też nie raz ratowałam ci dupę! Nie zmienia to jednak faktu, że...

– Że mi nie ufasz! – wtrącił ostro Antek.

– Nie! Wcale nie! – zaprzeczyła z taką zajadłością, jakby oskarżono ją o coś wyjątkowo obrzydliwego. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie musisz o mnie wiedzieć wszystkiego! Bo ja też o tobie prawie nic nie wiem...

– No to pytaj! Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć – zapewnił, wykładając wszystkie karty na stół.

– Nie! Nie będę cię o nic pytać, bo ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam zamiaru uzależniać naszej akcji od spowiadania się z prywatnych spraw! – odparła.

– Ten sygnety to nie jest wyłącznie twoja sprawa, ale skoro tego nie rozumiesz, to w takim razie do widzenia! – burknął i odwracając się na pięcie, ruszył w stronę ciemnego gąszczu.

– Czekaj! – krzyknęła rozpaczliwie, gdy postać Antka zaczęła z wolna niknąć w ciemnościach.

– Powodzenia na zeznaniach w Gołuchowie! I szczęścia z Abakiewiczem życzę... Jemu na pewno możesz zaufać... – odkrzyknął z nieukrywaną złościwością i nadal nie zwalniając tempa, parł pewnym krokiem przed siebie.

– Przestań! Stój! – zawołała ponownie, jednak Antek nic jej nie odpowiedział, a gdy nie było już słyhać jego kroków, dziewczyna nagle zreflektowała się i patrząc zamyślonym wzrokiem w miejsce, w którym zniknął, zawołała donośnie: – To co mam ci powiedzieć? Że ten sam emblemat, który widnieje na sygnecie, mam na... na... – walczyła ze sobą – że mam go wydziaranego na

głowie?! – dokończyła z trudem, po czym upadła na kolana, chowając twarz w dłoniach.

Antek, do którego ledwo dotarły te słowa, obrócił się z wolna i po chwili zawahania ruszył z powrotem w stronę dopalającego się ogniska.

– Czemu od razu mi tego nie powiedziałaś? – zaczął powoli, wyłaniając się z ciemności i podchodząc do niej.

– Miałam się zwierzać z tego, że noszę na sobie ten sam znak, co syn Katnica? – zaszlochała gorzko, nie walcząc już z tłumionymi w sobie emocjami.

– Skąd go masz? – zapytał spokojnie.

– Nie wiem... Ktoś mi to najwidoczniej wytatuował, gdy byłam niemowlęciem... Dowiedziałam się, że mam to na sobie, dopiero w wieku trzynastu lat... – wyznała.

– Ale jak to jest możliwe, że nie zauważyłaś wcześniej, że masz dziarę na głowie?

– Nikt tego w organizacji nie zauważył... To jest tatuaż, który można zobaczyć tylko pod wpływem promieniowania UV – wyjaśniła.

– Gdzie go dokładnie masz? – siedł za ciosem Antek.

– Na potylicy, jest niewiele większy od emblematu znajdującego się na sygnecie.

– Domyślasz się, kto mógł ci go tam umieścić?

– Mówiłam ci już, że nie wiem... – odparła, wstając na równe nogi i z wolna odzyskując utracony rezon.

– Ale na pewno masz jakieś przypuszczenia... Powiedz mi wszystko, co wiesz, inaczej nie będę ci w stanie pomóc – nalegał.

– Można przyjąć taką hipotezę, że niektóre rody, oddając do „Świtezi” swoje dzieci w trybie anonimowym, na różne sposoby oznaczały je, tak aby kiedyś, gdy już będą dorosłymi agentami, miały możliwość je odnaleźć... Oczywiście kapituła surowo zabraniała tego typu praktyk, więc z czasem wymyślano najróżniejsze formy znakowania swoich potomków. Tak więc, gdy w wieku trzynastu lat, po



przejściu trepanacji czaszki, odkryłam ten tatuaż, wzięłam pod uwagę to, iż może być niejawnym herbem mojego rodu, dzięki któremu będą się mogli ze mną skontaktować...

– Miałaś trepanację czaszki? – zdziwił się.

– Tak... Podczas nauki wspinaczki w Hindukuszu mieliśmy wypadek. Taki jeden kretyn z mojego rocznika źle zawiązał linę i spadliśmy razem ze sporej wysokości. Szczęśliwie po tygodniu śpiączki farmakologicznej wyszłam z tego, jednak on, po ostatecznym stwierdzeniu śmierci mózgu, został odłączony od aparatury – wyjaśniła, jakby zatracając się myślami we wspomnieniach z tamtych dni.

– A jak dokładnie odkryłaś ten tatuaż?

– Po tygodniowej śpiączce, a następnie rehabilitacji, byłam niemal łysa i blada jak trup... Przed spotkaniem z kolegami z organizacji chciałam więc się trochę opalić i znaleźć sobie tymczasową perukę. Jednak gdy tylko weszłam do solarium, w jednym z luster dostrzegłam, że coś białego mieni się z tyłu mojej głowy – tłumaczyła.

– Kto jeszcze wie o tym znaku?

– Prócz mnie tylko ty – odparła sucho, jakby dając mu do zrozumienia, jak dużym zaufaniem właśnie go obdarzyła.

– Nie chciałaś poprosić swoich przełożonych o pomoc i dowiedzieć się, co ten znak może znaczyć?

– No co ty, zwariowałaś?! Celowo co jakiś czas szkoli się w organizacji kadetów bez świadomości swojego pochodzenia, żeby ich rodziny nie próbowały tworzyć w niej wpływów i wzajemnych sieci zależności. Gdyby góra dowiedziała się o tym, że jestem w jakiś sposób oznakowana, moja rodzina mogłaby mieć ogromne kłopoty, a ja przerwane szkolenie.

– Ale próbowałaś się dowiedzieć, co to może oznaczać?

– Będąc dzieckiem, czekałam cierpliwie, aż ktoś się do mnie w końcu odezwie, a potem oczywiście szukałam... Nie udało mi się jednak znaleźć żadnych

informacji na ten temat, aż do dzisiaj, gdy zobaczyłam ten znak na sygnecie Diektiera... – odpowiedziała szczegółowo, a jej głos ponownie się załamał.

– Lili... – Antek odgarnął jej włosy z twarzy. – przyrzekam, że pomogę ci się dowiedzieć, co oznacza ten herb i kto umieścił go na twoim ciele – zapewnił.

– Tylko po co?! Przecież już oboje wiemy, kto go nosił, tak?! – zawyła z beznadzieją w głosie.

– Nie przesądzaj tego tak łatwo... Na pewno da się to jakoś sensownie wytłumaczyć... – przekonywał, chcąc ją przytulić, jednak dziewczyna wyrwała się z jego ramion.

– Antek! Mam wydziarany na głowie herb, który nosiła rodzina największego zdrajcy w historii Polonorum! Co tu jeszcze tłumaczyć?! – odparła z dumną miną. – Znając moje szczęście, pewnie w ich zamiarach miałam być podstawionym kacapskim śpiochem – dodała, nie przyjmując do siebie optymistycznych zapewnień chłopaka.

– Spokojnie... Trzeba to pierwsze dokładnie sprawdzić, a dopiero później wyrokować... – przekonywał. – Co to w ogóle jest za kwiat na tym sygnecie? – dodał.

– Lobelia... – odpowiedziała bez entuzjazmu.

– A więc nie lilia... W takim razie nie ma co się od razu denerwować... – zauważył.

– Jak mam się nie denerwować?! – warknęła. – Żyjesz całe życie w nadziei, że gdzieś w organizacji znajdują się twoi bliscy i nagle w jednej chwili dowiadujesz się, że na sygnecie rodowym największych zdrajców i zbrojców znajduje się herb, który masz wykluty na głowie!

– Lili, przestań! – rozkazał Antek, zmęczony już słuchaniem tych skrajnie pesymistycznych wizji. – Uspokój się na chwilę i daj mi nad tym pomyśleć – dodał, wracając do surowego tonu.

– I do tego jeszcze to dziwne miejsce! – wtrąciła z wyrzutem.

– Co masz na myśli?

– Poczytałam przed chwilą co nieco o tym jeziorze i... – zawahała się na moment.

– No i? – ponaglił ją Antek.

– No i rzeczywiście to nie jest przypadek, że ten właśnie sygnet nosił ktoś, kto mieszkał w pobliżu! – wyjawiała.

– A to niby czemu?

– Bo Świteź to jezioro, które wykazuje pewną niezrozumiałą anomalię... – wyjaśniła, po czym utkwiała wzrok w ziemi.

– To mów! Jaką znowu anomalię? – niecierpliwił się chłopak.

– Chodzi o to, że nie wiedzieć czemu, w Świtezi występują rośliny reliktu borealno-atlantyckiego, które normalnie nie rosną w tej części świata...

– Reliktu czego? Mów do mnie po ludzku! – denerwował się.

– To znaczy, że lobelia jeziorna rośnie jedynie w tak zwanych jeziorach lobeliowych, które znajdują się głównie w obszarze atlantyckim.

– I chcesz mi powiedzieć, że ty, jedna z najtwardszych kobiet, jakie poznałem, robisz taką tragedię z powodu jakiegoś relikтового kwiatka? – Złapał się za głowę z niedowierzania.

– Kwiatka, który jakimś cudem rośnie koło burdelu syna Katnica oraz jest umieszczony na jego sygnecie i na moim ciele! – warknęła, dotknięta do żywego próbą zbagatelizowania przez Antka faktu, który dopiero co odkryła.

– Dobrze... Rozumiem twoje zaniepokojenie – zapewnił. – W takim razie musimy się teraz w spokoju nad tym zastanowić i wspólnie poszukać odpowiedzi – zaproponował przyjaznym tonem, by na powrót ostudzić emocje.

– Obawiam się, że drążąc dalej ten temat, dojdziemy tylko do bardziej kompromitujących mnie informacji – żaliła się.

– Błagam cię, skończ z tą paranoją!

– Łatwo ci mówić! Synek zasłużonej dla organizacji rodziny... – odpowiedziała cynicznie.

– Lili... Proszę cię, usiądź, uspokój się i daj mi pomyśleć – powtórzył, lecz dziewczyna, nie słuchając jego rad, w totalnym zrezygnowaniu spoglądała tępo w dogasające ognisko. – Z tego, co pamiętam – kontynuował jednak niewzruszony taką postawą – w aktach, z których przygotowywaliśmy się do operacji „Masterpiece” była wzmianka o tym, iż Katnic został wcielony do „Świtezi” jako sierota wojny polsko-bolszewickiej, czyż nie tak? – dopomnił się o potwierdzenie.

– Tak... Wspominał też o tym generał Maj – przytaknęła beznamiętnie pani kapitan.

– No więc skoro był sierotą, nie mógł mieć przecież żadnego znaku rodowego – zauważył.

– Ale mógł go sobie sam stworzyć i się nim posługiwać.

– Owszem, mógł... Ale znając jego profil psychologiczny i nienawiść do arystokracji, równie dobrze mógł go ukraść i dać w spuściźnie synowi...

– Uważasz, że go ukradł? – Na myśl o tym, że jej rodzina może wcale nie mieć nic wspólnego z sowieckim renegatem Lili nieco się rozchmurzyła. – A niby komu? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Na przykład komuś, kogo prześladował i kogo następnie zabił – dedukował dalej Antek.

– W takim razie Diektiar powinien mieć na rękach dziesiątki takich sygnetów... Dlaczego więc miał akurat ten? – zauważyła. – Czytałeś w aktach, jak długa jest lista agentów, których zamordował jego ojciec? – dodała, mimowolnie włączając się w zainicjowaną przez chłopaka burzę mózgów.

– No właśnie... To jest dobre pytanie. Dlaczego Katnic zachował dla swojego syna akurat ten jedyny? – powtórzył zaintrygowany uwagę.

– No bo widocznie należał do niego! – odpowiedziała Lili, ponownie dobijając Antka swym depresyjnym tonem.

– Lili, błagam cię! W ten sposób nie pomagasz! Zastanówmy się lepiej, co jeszcze ten sygnet, oczywiście oprócz samego herbu, ma wspólnego z tym miejscem. Może właśnie ten wygrawerowany napis jest kluczem do zrozumienia

twojej sprawy? – zaproponował, kładąc się ponownie na swoim świerkowym legowisku i przyglądając się pierścieniowi w zamyśleniu.

– Ja myślę, Antek, że tylko tracimy tutaj czas... I tak gorzej już być nie może – narzekała dziewczyna.

– Pewnie za chwilę usłyszę jeszcze, że wszystko to dlatego, że mnie w ogóle poznałaś – odburknął.

– Gdybym była przesądna, to na pewno bym tak pomyślała... – skomentowała złośliwie.

– No to odwróćmy w końcu złą passę! – mimo wszystko próbował ją zmotywować. – A jeśli operacja „Masterpiece” jest dla ciebie już definitywnie spalona, to doprowadźmy przynajmniej sprawę tego sygnetu do końca! Kto wie, do jakich informacji możemy dzięki niemu dojść... Przecież jesteśmy już coraz bliżej! Wszystko jest jeszcze w naszych rękach! – przekonywał.

– Bliżej? Co ty chrzaniisz? Sterczysz w karnawałowym przebraniu w lesie po białoruskiej stronie granicy, bez jedzenia, bez dokumentów i z nieuniknionym wyrokiem za dezercję i niesubordynację we własnej organizacji! – wyliczała.

– Tak pesymistyczne nastawienie nie przystoi oficerowi Polonorum! – zauważył Antek, tym razem próbując wejść dziewczynie na ambicje.

– Nie pesymistyczne, tylko realistyczne... – odparła.

– Zdążyłem już zauważyć, Lili, że zawsze lubisz być wzorowo przygotowana do akcji i czujesz się niepewnie, gdy zmuszona jesteś improwizować...

– Nieprawda! Potrafię improwizować, ale nasza sytuacja nie ma nic wspólnego z improwizacją! Po prostu pogódź się z tym, że stoimy w martwym punkcie, z którego trzeba się wycofać w najbardziej racjonalny sposób... – zanegowała.

Dobrze! – warknął w końcu, zdenerwowany niemożnością przejednania dziewczyny. – Nie mam zamiaru cię dłużej namawiać – zapewnił. – Jeśli nie chcesz dalej ze mną działać, to trudno, nie zatrzymuję cię... Jednak proszę tylko o jedno: zanim każdy pójdzie w swoją stronę, daj nam przynajmniej jeden dzień na

rozwikłanie tych dziwnych powiązań i zbiegów okoliczności... Jeśli się nie uda, zrobisz, co uważasz za słuszne – dodał.

Lili, wyraźnie bijąc się z myślami, usiadła na niewielkim pniaku i wzięwszy głęboki oddech, w końcu odpowiedziała:

– Nie wiem, czemu ja cię wciąż słucham, ale niech tak będzie...

– W takim razie nie traćmy czasu i zastanówmy się nad treścią tej grawerki – ponaglił. – Wiemy już, że to fragment utworu, którego akcja toczy się gdzieś w pobliżu tego jeziora, prawda? – dodał z powracającym na nowo entuzjazmem.

– Prawda – przyznała sucho. – Nie wiemy nic poza tym...

– „W godzinie, w której panuje nocą, tam się też larwy szamocą” – nie przejmując się pesymizmem dziewczyny, Antek wyrecytował ponownie tekst zamieszczony na klejnocie.

– Larwy szamocą? Co to w ogóle jest? – prychnęła Lili. – Na jakie ty informacje chcesz dzięki temu trafić? – zadrwiła.

– Bardziej mnie zastanawia wspomniana godzina, w której ten ktoś panuje... – zauważył niewzruszony tymi demotywowującymi docinkami. – Myślę, że odpowiedzi trzeba szukać w całym kontekście utworu... Możesz powtórzyć fragment tej ballady? – zwrócił się do niej, kładąc leniwie ręce pod głowę i spoglądając w gwiazdy.

– Tak w noc, pogodną jeśli służy pora, wzrok się przyjemnie ułudzi... Lecz żeby w nocy jechać do jeziora, trzeba być najśmielszym z ludzi – wyrecytowała z pamięci dziewczyna.

– No i dalej! – popędział ją Antek, widząc, że pani kapitan nie kwapi się do dalszej deklamacji.

– Bo jakie szatan wyprawia tam harce! Jakie się larwy szamocą! Drzę cały, kiedy bają o tym starce i strach wspominać przed nocą – dokończyła pośpiesznie. – Chyba jakoś tak to szło... – skomentowała, dając upust swojemu zażenowaniu.

– Bezbłędnie... Co prawda też już mam to w głowie, ale chciałem sprawdzić, czy aby na pewno dobrze zapamiętałaś... – zaśmiał się wyzywająco.

– I co z tego, Sherlocku, skoro nadal nie wiemy, co ma jedno do drugiego... – skwitowała.

– Spokojnie... Dojdziemy do tego... – zapewnił. – Tylko musimy ustalić, kogo autor tej grawerki miał na myśli, pisząc: „W godzinie, w której panuje nocą” – powtórzył fragment z sygnetu, zamyślając się głęboko.

– No to może tego wspomnianego szatana? – wypaliła w końcu po chwili namysłu, nie ukrywając przy tym zniecierpliwienia.

– To jest wcale niegłupia myśl – przyznał Antek.

– To żadna filozofia... Tak po prostu wynika z trzeciej, czwartej i piątej strofy – przypomniała. – Lecz żeby w nocy jechać do jeziora, trzeba być najśmielszym z ludzi. Bo jakie szatan wyprawia tam harce! – przytoczyła fragment i westchnęła ciężko.

– Wyprawia harce... W godzinie, w której panuje... – mruknął cicho pod nosem Antek, po czym niemal krzyknął, zrywając się gwałtownie z legowiska: – No tak! Widzisz?! Jak chcesz, to potrafisz! Chyba właśnie odpowiedziałas na część zagadki! – pochwalił ją enigmatycznie.

– Nie jestem pewna, czy mam się z tego cieszyć... Szczerze mówiąc, czuję się trochę jak idiotka, recytując z tobą te głupkowate wierszyki – burknęła. – Gdyby koledzy z Polonorum nas teraz zobaczyli, to posikaliby się ze śmiechu... – dodała, wzdrygając się na samą myśl, że mogłoby się tak stać.

– Czy mówiłem ci już, że zbytnio przejmujesz się tym, co myślą o tobie inni agenci? – skomentował pouczająco.

– Po prostu dbam o swoją reputację i dzięki temu jestem w organizacji tym, kim jestem... – odparła surowo.

– Nieważne – zmienił temat Antek – liczy się to, że zrobiliśmy krok naprzód w tej układance – dodał z wyraźnym zadowoleniem.

– Mi jednak ten nieszczęsny szatan nadal nic nie wyjaśnia...

– W takim razie powiedz mi, Lili, za jaką godzinę uznaje się powszechnie w świecie cywilizacji chrześcijańskiej czas panowania szatana?

– Nie jestem specjalistką ani od okultyzmu, ani od teologii, ale wydaje mi się, że chyba trzecią w nocy... – Pokręciła z niedowierzaniem głową, zapewne drwiąc w myślach ze swoich słów oraz dyskusji, w jakiej przyszło jej brać udział.

– Dokładnie! Trzecia w nocy to prześmiewcza odwrotność godziny śmierci Chrystusa... Dawniej uważano też, że jeśli sąd Sanhedrynu nad Jezusem, który miał być kpiną szatana z wyroków Bożych, odbył się dokładnie dwanaście godzin przed śmiercią krzyżową, to godzina ta nie jest przypadkowa – potwierdził z miną motywującą dziewczynę do dalszego działania.

– Super, profesorze Langdon! – Roześmiała się. – Tylko niech mi pan powie, czy to cokolwiek zmienia... – zadrwiła ponownie.

– Myślę, że to cenne spostrzeżenie. Być może tekst na sygnecie wskazuje na coś, co można dostrzec tylko o godzinie trzeciej w nocy – domyślał się.

– No to muszę cię rozczarować, bo jest już dwadzieścia po czwartej nad ranem! – oznajmiła z wyrzutem. – A ja na pewno nie będę tu sterczeć do następnej „godziny szatana”... – dodała, udając przy tym przerażoną minę.

Za to Antek nadal myślał gorączkowo.

– Hmm... Co takiego można znaleźć albo zobaczyć na jeziorze o trzeciej w nocy? – zapytał sam siebie.

– A może nie o trzeciej, ale na trzeciej – zaproponowała Lili, widząc, jak Antek łamie sobie głowę.

– Na godzinie trzeciej? – powtórzył, natychmiast wrywając się z zamyślenia. – Masz na myśli określanie położenia i kierunków na podstawie zegara? – dopytał, po czym spojrzał uważnie na taflę jeziora.

– Dokładnie tak... Na przykład: uwaga, szatan na godzinie dwunastej! – zawołała Lili, po czym wybuchła gromkim śmiechem.

Antek również uśmiechnął się delikatnie, ciesząc się, że pani kapitan z wolna powraca do dobrego humoru. Kiwnął z zadowolenia głową i odrzekł tajemniczo:

– Mam pewien pomysł... Włącz, proszę, GPS i powiedz mi, jak dokładnie wygląda Świtez z lotu ptaka...



– Mówisz, masz! – odpowiedziała natychmiast Lili, wciąż próbując powstrzymać się od śmiechu.

– No i? Jakie spostrzeżenia? – zapytał, gdy dziewczyna z lekkim zdumieniem przyglądała się wyświetlonej na przedramieniu mapie.

– No... Na zdjęciach satelitarnych wygląda na ogromne oczko wodne otoczone dookoła gęstym lasem... – stwierdziła, tonując swoje rozbawienie.

– A czy nie zdumiewa cię jego nietypowy kształt? Czym różni się od reszty znanych ci jezior? – dociekał.

– No może tym, że jak na naturalny zbiornik wodny jest niemal niespotykane idealnie okrągłe... – odparła, przestając się śmiać i próbując szybko złapać tok myślenia Antka.

– No właśnie – przyznał z satysfakcją, która mogła świadczyć tylko o tym, że domyślił się już czegoś więcej. – A teraz sprawdź, proszę, w historii nawigacji, jak wyglądała nasza droga, którą przebyliśmy wprost z przybytku Diektiara – zaproponował.

– Ożeż ty... – mruknęła pod nosem. – Biegliśmy niemal cały czas w linii prostej na zachód – przyznała ze zdumieniem. – Co prawda zboczyliśmy trochę od najbliższego równoleżnika, ale zaledwie o jakieś piętnaście metrów na północ – doprecyzowała.

– A więc dokładnie na jaką część jeziora wyszłaby prosta będąca przedłużeniem naszej trasy, gdybyśmy oczywiście biegli dalej? – dopytał, jednak Lili nie odpowiedziała, tylko otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Widzisz? Prosta wychodząca idealnie od siedziby, którą zakupił dla syna Katnic, przecina wschodni brzeg Świtezi dokładnie na godzinie trzeciej... A Świteż to wręcz naturalna, odbijająca blask księżyca tarcza zegara – podsumował z nieukrywanym podnieceniem. – I co? Dalej uważasz rozwiązywanie tych wskazówek za głupkowate? – zapytał z satysfakcją nieodstępującą go w chwilach takich jak ta ani na krok.

– No dobra... Znów miałaś rację. Ten sygnet i to miejsce mogą mieć jakieś głębsze znaczenie... – potwierdziła, próbując zarazem uciec przed nonszalanckim wzrokiem Antka.

– To ty miałaś rację, Lili – odparł zaskakująco. – W wygrawerowanym tekście nie chodziło o czas, ale o miejsce...

– No dobra. Tylko co teraz? – zapytała, rozkładając ręce w geście bezradności.

– Teraz spakuj wszystko, co mamy, zgaś ognisko i daj mi dziesięć minut. Muszę sprawdzić jedno miejsce... – odparł enigmatycznie i bezzwłocznie ruszył truchtem wzdłuż brzegu na południe.

Po równo dziesięciu minutach Lili, dogaszając żarzące się drwa, dostrzegła, że coś nagle zmąciło gładką taflę jeziora, a z oddali słychać coraz intensywniej odgłos jakby bezustannie wylewanej z wiadra wody. Wybiegła więc z lasu i spoglądając w odległe połacie akwenu, dojrzała machającego do niej Antka, który sunął po wodzie w mieniącym się od światła księżyca białym rowerku wodnym.

– Tylko mi nie mów, że będziemy dzisiaj pływać... – rzuciła zapobiegawczo, gdy dotarł do brzegu.

– A co? Nie miałaś nigdy szkolenia z opanowywania hipotermii? – odparł, promieniejąc pewnością siebie.

– Właśnie, że miałam... Od małego męczyli nas tym miesiąc w miesiąc. Do dziś tego nienawidzę! – wyznała z kaprysem na twarzy.

– No niestety... Służba nie družba, jak to mówią. Bierz wszystko, co mamy, i wskakuj na pokład – rozkazał.

– Chwila, chwila... – Lili podniosła dłonie w geście sprzeciwu. – Ty naprawdę teraz chcesz nurkować w jeziorze?! – powtórzyła pytanie, jeszcze bardziej zszokowana tym pomysłem niż odkryciem faktu, iż nieplanowana ucieczka doprowadziła ich aż tutaj.

– Wskakuj! Nie ma czasu na sprzeczki – ponaglił. – Mam zamiar sprawdzić całą powierzchnię dna, która idzie wzdłuż linii ciągnącej się od samego środka jeziora aż do godziny trzeciej wyznaczonej na jego wschodnim brzegu – oznajmił

z niespotykaną determinacją. – A ty włącz GPS i pilnuj, żebyśmy z niej nie zbczyli – rozkazał.

– Przecież nawet nie wiesz, czego tam szukać i czy rzeczywiście o to chodziło w tej wskazówce! – protestowała.

– Jak nie sprawdzimy, to się nie dowiemy... Wskakuj! – powtórzył stanowczo.

– Na litość boską, Antek... Jest noc, a temperatura wody wynosi pewnie nie więcej niż dziesięć stopni. Jak chcesz sprawdzić całe dno, skoro i tak zbyt długo w tej wodzie nie wytrzymamy... – komentowała nieustępliwie, podwijając jednak spodnie i wchodząc ostatecznie na pokład.

– Nie bój nic – zapewnił. – Najpierw do wody wskoczę ja, a w razie gdybym poczuł się słabiej, wtedy mnie na chwilę zastąpisz – zaproponował, po czym odbił rowerkiem od brzegu.

– Nie wiem, jak ty sobie to wyobrażasz... – nie odpuszczała Lili. – Za niecałe dwie godziny będzie już całkowicie jasno, a przy tak niskiej temperaturze, bez kombinezonów do nurkowania, nie zdążymy sprawdzić dna na całej długości tego odcinka – przestrzegala.

– Damy radę... Przestań tylko gadać i pomóż mi pedałowac tym ustrojstwem, wtedy znacznie prędezej dopłyniemy na środek jeziora.

– A na co niby ty chcesz trafić w tym mule i wodorostach?

– Na coś, co zapewne ukryte jest wzdłuż współrzędnych, które wskazuje nam sygnet – przekonywał.

– W takim razie Katnic też musiał o tym wiedzieć... – zauważyła dziewczyna.

– Zapewne tak, skoro wybrał właśnie to miejsce... Przypuszczam, że sygnet też podarował synkowi dokładnie w tym samym czasie – dedukował.

– Myślisz, że powiedział Diektiarowi o tych współrzędnych, gdy przekazywał mu to miejsce na własność?

– Raczej nie... Przynajmniej nic na to nie wskazywało, gdy go przesłuchiwałem...

– Dał mu sygnet, jednocześnie nie zdradzając znaczenia wygrawerowanej na nim treści? Po co miałyby to robić?

– To proste, dla jego bezpieczeństwa! Pewnie doskonale zdawał sobie sprawę, że mając syna debila, nie może mu wprost powierzyć tak cennych informacji. Dam sobie rękę uciąć, że Diektiar odziedziczył lotność umysłu po jakiejś tępej, miernej, ale wiernej partyjnej towarzyszyce, która robiąc karierę przez łóżka czerwonej wierchuszki, złapała jego ojca na brzuch – oznajmił z pogardą.

– Ale skoro jednak zostawił mu ten sygnet, to na pewno zrobił to nie bez powodu...

– Może doszedł do wniosku, że jeśli nakieruje go dobrze odpowiednimi wskazówkami, to w końcu on sam do tego dojdzie, będąc jednocześnie mentalnie i intelektualnie gotowym na przyjęcie tej tajemnicy – tłumaczył dalej.

– No to chyba przecenił jego możliwości... – skomentowała dziewczyna.

– Oczywiście, że przecenił. Przecież ten zboczony, szatański pomiot, mieszkając tu przez tyle lat, nie doszedł nawet do jednej piątej wniosków odnośnie do sygnetu i wyjątkowej lokalizacji tego miejsca, do których my doszliśmy w niecałą godzinę – kontynuował, dając upust obrzydzeniu, jakie mu przychodziło na myśl o bezwzględnym kacyku. – Podejrzewam, że ten ptasi mózdzek potraktował wygrawerowany na sygnecie tekst jak jakąś banalną, złotą myśl z tapet komputerowych na każdy dzień, a wszelkie uwagi ojca na temat tego miejsca za agonalne brednie dogorywającego głupca. Nie chce mi się wierzyć, by było inaczej i by ten imbecyl był w stanie pozbierać te wszystkie wskazówki do kupy. Nie wierzę w to zwłaszcza po tym, jak osobiście zobaczyłem, że przez własną pazerność i głupotę zrujnował swój biznes, jednocześnie wystawiając się nam jak na talerzu...

– A ja mam tylko nadzieję, że to nie jest ich herb i że Katnic nie miał nic wspólnego ze znakiem wytatuowanym na mojej głowie – odparła Lili, ponownie uciekając wzrokiem gdzieś bardzo daleko.

– O matko... – Antek westchnął. – A ty znów snujesz swoje czarne wizje... To, że Katnic zostawił te wskazówki dla swojego syna, nie oznacza jeszcze, że od początku należały one do niego. Mówiłem ci już, że znając jego sposób działania, najprawdopodobniej kogoś z tej wiedzy okradł – uspokajał, pedałużąc żywo i kierując rowerek wzdłuż linii, którą wyznaczał smartplaster.

– Aaaa... Sama już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć... Za dużo tego jak na jedną noc – wyznała, posępniejąc na powrót.

– To pomyśl, czy takiemu bezwzględnemu człowiekowi jak Meteor chciałoby się bawić w układanie misternych, romantycznych zagadek i podchodów... A zwłaszcza dla takiego niewdzięcznego i bezwzględnego potwora, na jakiego wyrósł jego synek. Nie wydaje mi się – skwitował.

– Noooo... Też mi to do niego jakoś nie pasuje – zgodziła się.

– Już jesteśmy na miejscu! Bierzmy się za robotę! – oznajmił nagle, hamując gwałtownie rowerkiem i ostatecznie ucinając dywagację.

– Woda w głębinach jest ciemna jak smoła. Jak na dnie jeziora chcesz zobaczyć cokolwiek? – zapytała Lili, gdy chłopak w pośpiechu ściągał z siebie kostium Maximusa, przygotowując się do zanurzenia.

– Spokojna twoja rozczochrana – zażartował. – Penetrując wypożyczalnię rowerków, znalazłem to. – Spod siedzenia wyciągnął profesjonalną czołówkę do nurkowania. – Najważniejsze, żebyś trzymała dobry kurs, gdy ja będę pod wodą, gdyż jedynym moim punktem odniesienia będzie kadłub.

– Z tego, co wyczytałam w necie, Świtez w najgłębszym miejscu ma około piętnastu metrów, natomiast średnia głębokość to około trzy – poinformowała.

– Tak, wiem... Głębokości były podane na tablicy informacyjnej nieopodal wypożyczalni. Na szczęście mój rekord w morskiej studni na Bahamach to sześćdziesiąt cztery metry, tak więc z tym bajorkiem nie powinno być żadnego problemu. – Zaśmiał się, prezentując niby niezamierzenie swój idealnie wyrzeźbiony tors oraz emanując pewnością siebie jak nigdy przedtem.

– No to szacun... – Dziewczyna pokiwała z podziwem głową. – Ja dochodziłam góra do czterdziestu metrów i nigdy nie mogłam zejść niżej. Szczerze mówiąc, pływanie to nie jest moja mocna strona – przyznała ze słodkim zawstydzeniem.

– Mieszkając swego czasu na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych pod roboczym nazwiskiem Dover, brałam sporadycznie udział w amatorskich zawodach w nurkowaniu swobodnym, organizowanych przez grupę miejscowych pasjonatów freedivingu. Wiesz... Mam na myśli mechaników, sklepikarzy, budowlańców i tak dalej – wyliczył. – Wyobraź sobie, że niektórzy z tych pospolitych tatuśków dochodzili nawet do granicy stu metrów – zachwycił się, sięgając myślami do dużo cieplejszych chwil niż obecna.

– W takim razie, skoro masz takie doświadczenie i jeśli ktoś rzeczywiście pozostawił tam coś na dnie, to postaraj się to znaleźć jak najprędzej, bo prawdę mówiąc, nie uśmiecha mi się grzebać tutaj z tobą w tym podwodnym szlamie – oznajmiła, trzęsąc się na samą myśl o wejściu do wody.

– Spoko, zrobię, co w mojej mocy... A żeby było szybciej, użyję aplikacji zainstalowanej na moim smartplastrze, która reaguje na metal – wyjaśnił, ustawiając coś na ekranie urządzenia. – Korzystają z niej niedzielni nurkowie i poszukiwacze skarbów na plaży. To tylko zwykły, komercyjny gadżet, ale myślę, że z jego pomocą będzie nam o wiele łatwiej...

– No to nie gadaj już tyle, tylko wskakuj! Dzień coraz bliżej! – ponagliła go.

– Tak jest, pani kapitan! – odpowiedział entuzjastycznie, po czym dał nura w czarną, lodowatą toń, rozświetlając nieznacznie dno zmaconym światłem czołówki i zмирzając z wolna w stronę brzegu.

Sunąc tak wiotko nad usłanym wodorostami mułem niczym smukła, podążająca za przynętą ryba, eksplorował ostrożnie dłońmi każdy, znajdujący się na wcześniej wyznaczonej linii metr dna, tak aby zanadto nie zmać wody. Wynurzał się przy tym co dwie minuty, a następnie na powrót znikał pod jej powierzchnią. Po około dwudziestu minutach nieustannego schodzenia na dno i wynurzania się wrócił

w końcu na pokład. Dostał silnego napadu drgawek, więc anemicznym głosem powiedział tylko:

– Jednak nie idzie to tak szybko, jak myślałem...

– Chcesz, żebym teraz ja zeszła? – zaproponowała Lili.

– Nie... Jeszcze dam radę – oznajmił bez przekonania.

– Antek... Zobacz, w jakim jesteś stanie... Wyraźnie spadła ci temperatura ciała! Za chwilę możesz się już nie wynurzyć! Lepiej to sobie dzisiaj odpuśćmy – zaprotestowała.

– Spokojnie, dam radę – powtórzył, wdrapując się na pokład.

– Nie lepiej byłoby przekazać tę sprawę dowództwu? Przecież oni mogą wysłać tutaj ludzi z odpowiednim sprzętem i sprawdzić to miejsce o wiele lepiej od nas... – zaproponowała, lecz słysząc tę sugestię, Antek spojrzał na nią tak srogo, jakby chciał jej odpowiedzieć wzrokiem: „Po moim trupie”.

Jednak Lili miała tym razem sporo racji, gdyż chłopak przerwał ponowne poszukiwania już zaledwie po dziesięciu minutach i skrajnie wyziębiony tylko dzięki jej pomocy wydostał się na pokład wodnego rowerka.

– Nie wytrzymasz tego dłużej, a ja nie mam zamiaru cię tutaj reanimować! Koniec na dzisiaj! – zarządziła stanowczo dziewczyna, z niepokojem patrząc na jego opłakany stan.

– Spokojnie, bywałem już w zimniejszej wodzie... Znam swoje granice i wiem, że mogę jeszcze na chwilę zejść – zarzekał się, usilnie walcząc z szarpiącymi skostniałym ciałem drgawkami i dygocącymi nieznośnie, ciemnofioletowymi wargami.

– Ale ty jesteś uparty! Nigdy nie potrafisz odpuścić?! – wściekała się.

– Właśnie dzięki temu dotarłem do Gołuchowa... i jestem dziś z tobą tutaj – odparł wymownie, po czym odchylając się do tyłu, zniknął ponownie pod wodą.

Jednak już po pierwszych dwóch minutach, gdy wynurzył się w celu nabrania powietrza, okazało się, że na skraju pokładu siedzi już rozebrana do bielizny Lili i starannie rozciągając mięśnie oraz ścięgna, przygotowuje się do zejścia pod wodę.

– Co ty robisz?! – zapytał retorycznie.

– Widzę, że cholernie ci na tym zależy, więc skoro tyle już przeszukałeś, szkoda byłoby tego nie skończyć – oznajmiła. – Daj mi czołówkę! – dodała, pomagając mu po raz drugi wydostać się z wody.

Doszczętnie wyziębiony Antek padł więc na twardej plastikowy pokład niczym rozbitek wyłowiony ze sztormu i nic już nie odpowiadając, nieznacznie uśmiechnął się do dziewczyny.

– Przykryj się moimi ubraniami i pilnuj kursu – rozkazała, zarzucając na jego zeszywniałe ciało swój dopiero co pozyskany dresowy komplet, a następnie z ostrożnością zanurzyła się pod tafłę.

Nie minęło jednak nawet piętnaście minut, gdy równie wyczerpana długim przebywaniem pod lodowatą wodą, trzęsąc się jak galareta, z trudnością wdrapała się na łódkę.

– Zdecydowanie za dużo wrażeń jak na jedną noc... – oznajmiła, kładąc się obok niego.

– Za dużo wrażeń? – zapytał z przekąsem. – Nawet jak dla agentów Polonorum...? – zażartował już o wiele pewniejszym głosem.

– Nawet jak dla nas – potwierdziła, kuląc się z zimna.

– A ja czuję, że mogę jeszcze zejść – zapewnił.

– Nie ma mowy! Nigdzie nie idziesz! – zabroniła. – W razie czego nie będę miała nawet siły, żeby cię stamtąd wyciągnąć...

– Jesteśmy już tak blisko! Zostało nam jeszcze niecałe dwieście metrów do brzegu, nie możemy teraz odpuścić! – przekonywał.

– Nie! – odwarknęła. – Nawet jeśli zdołasz jeszcze trochę wytrzymać w wodzie, to nie znaczy, że doczekasz powtórnego rozpalenia ogniska... – wydyszała, łapiąc go powstrzymująco za ramię.

Jednak chłopak, nie licząc się z ostrym sprzeciwem dziewczyny i nie zważając na realne niebezpieczeństwo utonięcia, odebrał jej na powrót latarkę czołową i zrobił tak, jak zapowiedział.



– Głupi osioł... – dosadnie skomentowała Lili, gdy po raz wtóry zniknął w głębinach.

Jak się jednak okazało, po kolejnych pięciu minutach przekopywania zgrabiałymi rękoma mulistego dna Świtezi Antek nareszcie zauważył, iż aplikacja zaczęła wskazywać na obecność jakiegoś metalu. Chłopak wetknął więc jeszcze mocniej swe dłonie w szlamowatą glebę i w miejscu, gdzie sygnał był najmocniejszy, zarył boleśnie paznokciami o jakiś sporych rozmiarów przedmiot. Nieprzyjemne otarcie o twardą, chropowatą rzecz, natychmiast zmusiło go do wcześniejszego wypłynięcia na powierzchnię.

– Daj już spokój, Antek, nie wiem już nawet, czy dobrze płyniemy, smartplaster mi się rozładował – oznajmiła, gdy tylko się wynurzył, dając mu jasno do zrozumienia, że to definitywny koniec poszukiwań.

– Nieważne... – wysapał. – Właśnie trafiłem na coś ciężkiego i twardego... Wcześniej nic podobnego tutaj nie spotkałem. Sprawdzę tylko, co to jest, i kończymy – obiecał, pogodzony w końcu z tym, że nie ma już więcej sił na kontynuowanie eksploracji.

– Nie zgadzam się! Masz wyjść w tej chwili! – wykrzyczała dosadnie, jednak jak zwykle na nic się to zdało.

Tymczasem tajemniczy przedmiot, któremu chłopak począł się już na nowo przyglądać, ku jego zdziwieniu okazał się wyjątkowo foremny jak na coś naturalnego. Znajdował się pod około czterdziestoma centymetrami miękkiego, błotnistego piachu, który rozgrzebany teraz przez jego dłonie, sprawiał wręcz wrażenie inkaustu wypuszczonego do wody przez atakującą ośmiornicę. Niestety, drobiny tego rozpuszczonego w wodzie mułu zaczęły wdzierać się Antkowi dosłownie wszędzie – do nosa, uszu i co gorsza oczu, tak że niczego nie był już w stanie dostrzec. Zdecydował się więc w tej sytuacji całkowicie zamknąć oczy i po omacku sprawdzić wymiary odkopanego znaleziska. Wtedy jego smartplaster, zapewne nie mogąc pobrać odpowiedniej ilości energii z nadmiernie wychłodzonego ciała, nagle zamigotał rozpaczliwie, po czym całkowicie zgasł.

To idealnie równy okrąg – pomyślał, a następnie odbił się nogami od dna, aby nabrać kolejną porcję powietrza.

– Znalazłem jakiś metalowy, okrągły dekiel czy coś w tym stylu! Był przykryty grubą warstwą mułu! – wypalił natychmiast, gdy tylko wynurzył głowę.

– Antek... Jesteśmy już coraz bliżej brzegu i mogą tu leżeć dziesiątki najróżniejszych śmieci... – Lili próbowała stonować, wyraźnie wzbierając się w nim podniecenie.

– To nie śmieci, tylko jakaś bardzo foremna, metalowa płyta o średnicy około półtora metra – obruszył się.

– Jeśli to rzeczywiście metalowa płyta, to przecież i tak jej nie wyłowimy...

– Wiem, ale musimy to dokładniej sprawdzić... Dlatego proszę cię, zejź ze mną ostatni raz pod wodę i pomóż mi – nalegał.

– Zejź pod wodę... – powtórzyła cynicznie. – Łatwo ci mówić, gdy jesteś jedną wielką, chodzącą kupą mięśni... A ja? Ja mam już skrajnie wychłodzony organizm, nie dam rady – zarzekała się.

– Proszę cię, spróbuj... Obiecuję, że nie pozwolę, żeby coś ci się stało... – Spojrzał na dziewczynę swoimi zmęczonymi i zaproszonymi piachem oczami tak błagalnie, iż w końcu odpowiedziała:

– Dobrze... Ale tylko pięć minut! Ja w przeciwieństwie do ciebie znam granice swojej wytrzymałości i wiem, że jeżeli wkrótce się nie zagrzeję, to będzie ze mną źle...

– Pięć minut, obiecuję! – przyrzekł, kładąc rękę na piersi, po czym oboje raz jeszcze zeszli na głębokość około trzech metrów, w miejsce, gdzie Antek natrafił na dziwny przedmiot.

Muł na szczęście nieco opadł, więc chłopak mógł otworzyć oczy i przy słabnącym świetle czołówki, której bateria również zaczęła się wyczerpywać, dojrzeć niewyraźny zarys swojego nietypowego znaleziska. Dał więc znać Lili, by razem złapali za grube, ponaddwudziestocentymetrowe krawędzie żelastwa

i równocześnie spróbowali poderwać je w martwym ciągu. Niestety, ciężka, obrośnięta glonami płyta tylko nieznacznie zadrgała, nie dając się ruszyć z miejsca.

Pomimo niepowodzenia Antek, przepełniony nieodpartą pasją eksploratora, wyczuł pod swoimi zeszywniałymi palcami, iż po jednej stronie pokrywy znajduje się coś na wzór zawiasu. Natychmiast wzbudziło w nim to tak wielką motywację, że nie zastanawiając się ani chwili i nie wypływając nawet po nabranie świeżego powietrza, ponownie pociągnął płytę w górę, tym razem po przeciwnej stronie grubego, metalowego uchwytu. Żelastwo podniosło się w górę na niespełna centymetr, ale zasysane w stronę podłoża przez jakąś niewidzialną siłę, nadal nie chciało poderwać się wyżej. Widząc to, Lili, pomimo uczucia skrajnego wyczerpania, raz jeszcze ruszyła Antkowi z pomocą i w końcu toporny dekiel – jak nagle odklejony od ziemi – ku ich zdumieniu gwałtownie uniósł się w górę, otwierając tuż pod ich nogami niezgłębianą, obficie zasysającą wodę czeluść...

To, co następnie powstało wokół szczerze przerażonej dwójki agentów Polonorum, to tworzący się błyskawicznie gigantyczny lej, formą przypominający ten widywany na jeziorze Berryessa. Lili, czując, że wzmagający się z każdą kolejną sekundą narowisty wir zaczyna brutalnie wciągać do otchłani nie tylko całe masy piachu i roślinności znajdujące się wokół, ale także jej bezradne, wycieńczone ciało, chwyciła się kurczowo ramion Antka i gorąco modląc się w myślach, zamarła w bezruchu.

Natomiast chłopak, mając w głowie śmiałą obietnicę, którą dopiero co złożył dziewczynie – przyrzekając jej bezpieczeństwo – mocno zaparł się o krawędź studni i z całą swoją zaciekłością oraz męską dumą próbował przeciwstawić się potężnej, targającej nim sile. Niestety, zaledwie po kilku sekundach nierównej walki z bezwzględnym żywiołem wyczerpane i niedotlenione ręce odmówiły mu posłuszeństwa i wraz z rozpaczliwie zawieszoną na jego ramionach Lili zostali brutalnie wciągnięci do ciemnej, przerażającej czeluści.

Szybko jednak okazało się, że ta tajemnicza, przerażająca bezdeń nie jest jakąś bezkresną podziemną jamą, kraterem czy bezpowrotną, piekielną rozpadliną, ale całkiem gładkim, kamiennym kanałem, przez który mknęli z zawrotną prędkością,

pchani przytłaczającą ilością wzburzonej topieli. Nagle stan wody niespodziewanie opadł i oboje zatrzymali się w wypoziomowanej części kanału, łapiąc zachłannie powietrze, którego ostatni raz nabrali do płuc, będąc jeszcze na powierzchni.

# Grobowiec

– Boże! Co to było! – wysapała Lili, krztusząc się mułową wodą i macając w ciemnościach otaczające ich z zewsząd okrągłe ściany.

– To chyba jakiś kanał albo tunel... – odparł ciężko Antek, nadal leżąc w bezruchu i równie głośno dysząc.

– Albo raczej pułapka stworzona przez Katnica! Boże, jak tu ciasno! Nienawidzę takich pomieszczeń! – wyznała panicznie. – Udujemy się tutaj albo zamarzniemy żywcem! – przewidywała, wyraźnie tracąc nad sobą panowanie.

– Uspokój się, Lili! Nie zapominaj, że jesteś oficerem Polonorum i do tego moim dowódcą! – zmotywował ją stanowczo.

– Tak, ale jestem też zdiagnozowaną klaustrofobiczką! – przyznała wściekle. – A do tego nie mam już nawet siły się podnieść... Całkiem nie czuję stóp – dodała już znacznie ciszej i żałośniej.

– Wiem, że mieliśmy wyjątkowo ciężką noc, a teraz jeszcze znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji, jednak mimo to nie wolno ci tracić głowy! – zagrział, co o dziwo natychmiast uspokoiło dziewczynę.

– Czemu woda nagle przestała płynąć? – zapytała, usilnie próbując się opanować.

– Nie wiem... Pewnie zadziałał jakiś mechanizm zamykający śluzę... – zgadywał. – Za to wiem, że tą samą drogą, którą tu wpadliśmy, już z pewnością nie wrócimy... Masz może swój smartplaster, Lili? – dodał z nadzieją w głosie. – Mój najwyraźniej oderwał się od ręki, gdy nas tutaj wciągnęło – wyjaśnił.

– Nie mam... Zostawiłam go z resztą naszych rzeczy na pokładzie rowerka, gdy się rozładował.

– Cholera... Przydałby się nam teraz w przedzieraniu przez ten kanał, bo bateria od czołówki także padła... – oznajmił.

– Nie wiem, czy penetrowanie go ma w ogóle jakiś sens, skoro nie wygląda na to, by prowadził na powierzchnię... – narzekała.

– Wiem, Lili, ale nie możemy się tak po prostu położyć tu i wychłodzić na śmierć – przekonywał, nie chcąc zarazić się od dziewczyny łatwo infekującym w takich sytuacjach defektyzmem.

– To ty wymyśliłeś te nocne kąpiele, więc nie miej do mnie teraz pretensji...

– Bredzisz z wycieńczenia – skomentował ostro.

– Ostrzegałam, że jeszcze chwila i będzie ze mną źle...

– Wiem, że ostrzegałaś, tylko gdybym cię wtedy posłuchał, w ogóle nie odkrylibyśmy tego miejsca...

– Ale można było spróbować zrobić to kiedy indziej, będąc lepiej do tego przygotowanym, lub po prostu przekazać tę sprawę dowództwu! A tak? Co nam z tego przyszło? Zdechnąć tu jak szczury w kanale? – odparła coraz bardziej słabnącym głosem.

– Nie zdechniemy tu jak szczury! – fuknął rozeźlony. – Trzeba tylko spróbować iść w stronę, w którą uszła woda... Może ta droga zaprowadzi nas na powrót do jeziora... – zaproponował, sam zauważając, że z powodu dopadającej go hipotermii coraz ciężiej jest mu mówić.

– To już nie wiem, co lepsze... Zdechnąć tutaj czy w jeziorze – odparła złośliwie.

– Lili! Nie marudź, tylko wstawaj! Musimy spróbować! – nie odpuszczał.

– Nie mam siły, Antek... Nie czuję dłoni ani stóp – odparła już całkowicie poważnie.

– Lili... Spróbuj jeszcze coś z siebie wykrzesać... Proszę cię! – błagał ją, czując jednocześnie, że sam za moment zamknie oczy i nigdy ich już nie otworzy.

Jednak najwyraźniej prośba szybko podziałała na panią kapitan, gdyż niespodziewanie poderwała się z ziemi i raczkując niczym kilkumiesięczne dziecko, zaczęła powoli posuwać się wąskim kanałem naprzód.

– Dzielna dziewczyna! – pochwalił ją, również podnosząc się z zimnej posadzki i ruszając jej śladem.

Po przejściu niespełna trzydziestu metrów w milczeniu i całkowitych ciemnościach, Lili nagle stanęła w miejscu i zaczęła badać rękami grunt, jakby napotkała na jakąś przeszkodę.

– Co jest? – zapytał Antek, zaniepokojony tym nagłym postojem.

– Nie jestem pewna, ale to chyba koniec tunelu...

– Jak to koniec tunelu? Nie ma tam żadnego wyjścia? – dopytywał zaskoczony.

– Jest, ale prowadzi pionowo w dół przez jakąś głęboką dziurę – wytłumaczyła anemicznie.

– Jak szeroka jest ta dziura?

– Będzie z jakiegoś półtora metra średnicy...

– A widzisz może, co jest na dole?

– Nic a nic... Ciemno tu jak w grobie...

– To może krzyknij i zobaczymy, jak daleko poniesie się twój głos – zaproponował.

– Heeej! – zawołała więc posłusznie, resztkami sił wydobywając z siebie okrzyk.

– No i? – dopytywał zniecierpliwiony chłopak.

– Chyba odbija się stamtąd delikatne echo... Być może znajduje się tam jakaś pusta przestrzeń – stwierdziła beznamiętnie.

– A może to jakiś zbiornik wodny, do którego spłynęła woda? – gdywał Antek.

– Zbiornik wodny pod jeziorem? – prychnęła.

– Na turystycznej tablicy informacyjnej było napisane, że jest to jezioro krasowe, powstałe wskutek oberwania się powierzchni ziemi do wielkiej

podziemnej groty. Kto wie, może nadal znajdują się pod nim jakieś inne puste przestrzenie? – wytłumaczył.

– Chyba za bardzo wzięłaś sobie do serca bajeczkę o legendarnym mieście, które rzekomo zapadło się tutaj pod ziemię... – wymamrotała, wyraźnie walcząc już o utrzymanie świadomości.

– Wiesz co, Lili? Po naszych ostatnich przygodach nic mnie już tutaj nie zdziwi... A podziemne jeziora i leje krasowe znajdują się na całym świecie, to przecież nic nadzwyczajnego... Nigdy nie widziałaś czeluści w Meksyku, które z dnia na dzień otwierają się w środku miast? Albo Great Blue Hole na morzu Karaibskim? – wyliczał.

– Owszem, widziałam... Przypominam ci jednak, że nie jesteśmy na Karaibach, tylko na Białorusi... – wydyszała i kładąc się nagle ociężała na plecach, dała do zrozumienia, że nigdzie się stąd nie ruszy.

– Ej! Nie zasypiaj mi tutaj! Patrz na mnie! Nie wolno ci zasnąć! Słyszysz?! – Antek, widząc jej nagłe zaślabnięcie, natychmiast zareagował.

– Nie martw się o mnie, już mi dobrze... – wyszeptała ospale.

– Skoro jest ci dobrze, to znaczy, że wcale niedobrze! Nie zamykaj oczu! – Potrząsnął nią mocno.

– Antek, już po wszystkim... Zrobiliśmy, co w naszej mocy – wymamrotała, wiotczając coraz bardziej.

– Nie! To wcale nie jest koniec! Skaczemy! – zaproponował.

– Oszalałaś? – Zaśmiała się cicho.

– Nie oszalałem! To jest jakaś szansa na wydostanie się stąd. Trzeba tylko zaryzykować – przekonywał.

– Sorry, ale wolę tutaj zasnąć w spokoju, niż na koniec skrócić sobie kark... Poza tym nie jest mi już nawet zimno – majaczyła.

– W takim razie przesuń się! – rozkazał stanowczo. – Skoczę jako pierwszy! Jeśli się zabiję i nie dam znaku życia, to wtedy zaśniesz tu sobie w spokoju – zaproponował.



– Jesteś nienormalny... – skomentowała, już ledwo wypowiadając słowa.

– Ale jeśli po upadku nic mi się nie stanie – kontynuował – wtedy zawołam cię i wskoczysz tam za mną, rozumiesz?! Musisz tylko jeszcze przez chwilę utrzymać świadomość! – przestrzegł i przeciskając się koło jej zlodowaciałego ciała, delikatnie przyłożył dłonie do jej wyziębniętych policzków.

– Marnie się zaczęła i marnie skończyła ta nasza znajomość, co, Miko? – wyszeptała, z trudem wyciągając przed siebie ręce i w niepodobny do siebie sposób czule obejmując go za szyję.

– Może i tak... Ale nie zamieniłbym tego czasu, który z tobą spędziłem, na żaden inny... – wyznał lekko speszony tym niespodziewanym gestem. – I przepraszam, że cię w to wszystko wciągnąłem – dodał posepnie, po czym pocałował dziewczynę najpierw w czoło, a następnie delikatnie musnął jej sine od zimna usta.

– Masz szczęście, Miko, że nie mam teraz czucia w rękach... – odparła żartobliwie.

– Właśnie dlatego korzystam z sytuacji – zripostował, wyczuwając podświadomie, że na jej twarzy promienieje teraz niewymuszony, szczery uśmiech.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł? – raz jeszcze zapytała, gdy Antek, w końcu wydostając się z jej objęć, nachylił się niebezpiecznie nad tajemniczą wnęką.

– Nie wiem, czy dobry, ale na pewno jedyny, jaki mam...

– Tylko zawołaj, jak już będziesz na dole... I nie zapomnij o mnie – zażądała. – A gdybyś jednak skrzył kark, to wiedz, że mimo wszystko uważam cię za wyjątkowo porządnego agenta... – dodała resztkami sił, niechętnie walcząc z błogim snem, który mógłby przecież szybko zakończyć przeciągające się męczarnie.

– Wiesz... Myślałem, że przynajmniej w takiej chwili powiesz coś bardziej romantycznego, ale w tej materii chyba jesteś niereformowalna – odparł uszczypliwie.

– Skaczesz, do cholery, czy będziesz mnie tutaj kokietował w nieskończoność? – wysapała w końcu zniecierpliwiona.

– Spokojnie... Już spadam! – zapewnił. – A ty nie waż mi się tu zasnąć! – dodał stanowczo, po czym bez ostrzeżenia puścił się do otworu głową w dół.

Kamienna studnia musiała mieć co najmniej ze dwadzieścia metrów długości, gdyż swobodny lot trwał na tyle długo, iż Antek zdążył jeszcze w myślach przeprowadzić błyskawiczną, ale mimo to bardzo treściwą rozmowę ze swoim Stwórcą. Gdy jednak pogodził się już z nieuchronnym, twardym lądowaniem – zapewne ostatecznie kończącym jego ziemską przygodę – wtedy poczuł na twarzy rozbryzgującą się taflę bezlitośnie otrzeźwiającej, lodowatej wody.

– Jezu! Tak jak myślałem!! To podziemne jezioro!!! – wykrzyczał radośnie, nie bacząc na to, że z jego ust wydobył się tylko bulgocący strumień powietrza i że z impetem wpadł głęboko w czarną toń tego tajemniczego, podziemnego zbiornika.

Na dodatek, nie wiadomo skąd, jego wychłodzone i zmęczone członki nagle wypełniła jakby jakaś niespożyta energia, w niewytłumaczalny sposób rozpalając go od środka. Machnął więc kilka razy mocno ramionami i niczym popisujący się przed publicznością delfin wynurzył się spod powierzchni wody. Dookoła panowała całkowita ciemność, jednak nie zbaczając na tę niedogodność, całym tchem, jaki mu tylko pozostał w płucach, zawołał donośnie w stronę, z której dopiero co runął do wody.

– Jestem na dole! Wylądowałem bezpiecznie! Tak jak myślałem, tu jest podziemne jeziorko! Lili! Dawaj na główkę! – zapewnił, tryskając entuzjazmem, lecz dziewczyna nie odpowiedziała. – Lili, słyszysz mnie? Skacz! Tu jest woda! Nic ci się nie stanie! – powtórzył jeszcze donioślej, po czym nasłuchiwał przez chwilę.

Niestety dziewczyna nadal nie dawała żadnych znaków życia.

– Szlag! Mogłem ją tu zrzucić pierwszą! – warknął do siebie zaniepokojony, nadal daremnie oczekując jakiegokolwiek odpowiedzi. – Hej, Lili! Słyszysz mnie? Nie możesz tam zostać! Skacz na dół! – powtórzył z całych sił, lecz i to zdało się

na nic. – Cholera jasna! – zaklął przez zaciśnięte zęby, zdając sobie coraz bardziej sprawę z tego, iż brak odpowiedzi oznacza, że dziewczyna straciła przytomność. – Lili, no skacz! Nie zasypiaj! Nie rób mi tego! Słyszysz?! – wykrzyczał rozpaczliwie, przerażony swoją niemocą i ogarnięty zarazem jakąś paraliżującą paniką przywodzącą na myśl te okropne chwile z dzieciństwa, gdy w domu, zamiast oczekiwanych rodziców, zjawił się po niego jedynie sam dziadek.

W końcu po kilku minutach spędzonych na dalszym, bezowocnym nawoływaniu powiedział sam do siebie:

– Lili... Proszę cię... Nie rób mi tego... – Rozumiejąc już doskonale, co się właśnie stało, złapał się za głowę i schował twarz w mrocznej tafli jeziora, po czym dodał z palącą złością i wstydem: – Zabiłem cię... zabiłem cię, Lili...

Jednak gdy tylko wypowiedział te słowa, niespodziewanie ciało dziewczyny wypadło ze świstem z ciemnego otworu i bezwładnie uderzyło o powierzchnię wody, rozbryzgując ją na kilka metrów wkoło.

– Lili! Jezus Maria! – wrzasnął oszołomiony i czując, jak na powrót ogarnia go przyjemny ogień euforii, nie czekając ani chwili, zanurkował w czarnych odmętach akwenu, by pomóc dziewczynie wydostać się na jego powierzchnię. – Lili! Dałaś radę! Zuch dziewczyna! – wołał uradowany, cały czas utrzymując się na powierzchni. Szybko wyciągnął dziewczynę spod wody i po omacku odgarniał jej włosy z twarzy.

– I czego tak panikujesz... – wyszeptła, ledwo wypowiadając słowa.

– Nie rób mi tego nigdy więcej... – wysapał, trzymając ją teraz kurczowo w objęciach.

– Potrzebowałam po prostu trochę czasu, żeby się ocknąć i wgramolić do tej przeklętej dziury, a nie miałam już siły do ciebie krzyczeć... – wyjaśniła.

– Boże kochany, myślałem już, że... że... – wydyszał chłopak, troskliwie utrzymując jej głowę nad powierzchnią i holując ją w całkowitych ciemnościach w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Dobrze, już dobrze, Antoś... Nic się takiego nie stało... Oboje nadal żyjemy – uspokajała ledwo słyszalnym głosem. – Ale jeśli tak ma dalej pozostać, to wyjdźmy w końcu z tej lodowatej wody – zauważyła, a niemal w tym samym momencie chłopak poczuł, że dopłynął do czegoś, co w dotyku przypominało lekko zaokrąglony brzeg jakiegoś gładkiego, murowanego basenu.

Oparł więc osłabioną i bezwiedną Lili na swoim skamieniałym od zimna i wysiłku torsie i ponownie zaczął majstrować przy latarce czołowej z nadzieją, że w baterii skumulowały się jeszcze jakieś resztki energii umożliwiające uruchomienie jej choć na chwilę. Jak się szybko okazało, zabieg ten okazał się skuteczny i ich oczom ukazał się elegancki, wysoki na pół metra, zdobiony płaskorzeźbami murek odgradzający tajemniczy akwen od wyjątkowo gładkiego, kamiennego brzegu.

– Dziwne... Posadzka jest cała z marmuru... Spodziewałem się tutaj raczej ostrych jaskiniowych skał – skomentował, wyciągając ostrożnie dziewczynę z wody. Resztką sił usadowił ją po drugiej stronie murku.

– Dla mnie to jeden pies, czy będę dogorywać na marmurowej posadzce czy na skałach i kamieniach... – odparła na to Lili, jakby pomimo skrajnego wyczerpania nadal nie odpuszczał wiecznie towarzyszący jej cynizm.

– Lili! Tu są jakieś ściany! – spostrzegł Antek, wcale nie zważając na jej słowa, po czym z mozołem wydostał się z wody i oddalił parę kroków od podziemnego zbiornika.

– To jest jaskinia... A w jaskini muszą być jakieś ściany... – skomentowała oschle, wciąż jednak nie ruszając się z miejsca.

– A co powiesz na to, że na ścianach są zawieszane zupełnie nieużywane pochodnie! A do tego każda z nich ma swoje krzesiwo! – krzyknął, energicznie podbiegając bliżej i wprost nie wierząc we własne szczęście.

Lili, również zaskoczona tymi rewelacjami, chcąc sprawdzić, czy jej podkomendny aby nie postradał zmysłów, lekko odwróciła głowę w jego stronę. Chłopak nie kłamał – skąpe światło słabnącej czołówki ukazywało teraz idealnie

wyprofilowane, pokryte szczerym złotem ściany, a na nich zawieszane wielkie, zdobione ornamentami, starodawne pochodnie.

– No to rozpalaj je, Miko! Na co czekasz?! – burknęła władczo, widząc, że oniemiały tym odkryciem Antek odleciał gdzieś myślami, całkowicie zapominając o ich rozpaczliwym położeniu.

– Tak jest, pani kapitan! – Chłopak ocknął się natychmiast i ściągając ze ściany jedną z pochodni, zaczął krzesać, ile sił w rękach. Po upływie około dziesięciu minut w mieniącej się złotem, tajemniczej grocie migotało już przyjemnie kilka płomieni, które rozstawił wkoło siebie i Lili.

– Teraz mi już o wiele lepiej – wyszeptała cicho dziewczyna, potulnie pozwalając na to, by siedzący za nią i okrywający ją ramionami Antek rozmasowywał jej zlodowaciałe dłonie.

– Tylko mi znowu nie zasypiaj – ostrzegął, przechodząc następnie do rozmasowywania jej ramion i barków.

– Spokojnie, morzy mnie teraz już całkiem inny rodzaj snu... – wyjaśniła błogim tonem.

– Lili, patrz! – wypalił nagle Antek, gdy rozglądając się uważnie po podziemnej komnacie, dostrzegł, iż kilkanaście metrów dalej, po drugiej stronie niewielkiego akwenu, stały trzy pełne koksowniki, najwyraźniej kiedyś przygotowane przez kogoś do rozpalenia. Nie zastanawiając się więc ani chwili, wypuścił dziewczynę z objęć i pobiegł w ich stronę wzdłuż kamiennego brzegu jeziora, po czym przytargał je ze sobą – jeden po drugim – i natychmiast rozpalił. W tajemniczej grocie zaczęło się robić coraz cieplej i jaśniej...

– Nie goń już tyle i sam się zagrzej – zwróciła mu uwagę Lili, o wiele już pewniejszym głosem.

Jednak podniecony jak nigdy dotąd Antek począł zapalać kolejne pochodnie rozmieszczone wkoło jeziora i z dogłębnym skupieniem badać to intrygujące miejsce. W końcu, gdy wokół groty zapłonęły już wszystkie możliwe łuczywa, a ich płomienie ukazały w pełnej krasie eliptyczne kształty regulowanego

ewidentnie ludzką ręką zbiornika, a także wszelkie skrywane dotąd przez mrok zakamarki, dało się dostrzec, że na drugim końcu tej eliptycznej pieczary widnieje wysoki na trzy metry kamienny łuk, prowadzący najwyraźniej do kolejnego, mrocznego pomieszczenia. Chłopak zauważył, że łuk zdobiony był dokładnie tymi samymi ornamentami, co murek otaczający akwen.

– Tam jest chyba jakieś wyjście! – zawołał uradowany, a jego głos odbił się echem od pokrytych złotym piaskiem ścian i stropu.

– Wiem, też to zauważyłam... Ale teraz proszę cię, usiądź obok mnie i zagrzej się, mamy dziś jeszcze sporo czasu na sprawdzenie tego miejsca.

– Ale...

– Ale nie dyskutuj – przerwała mu dziewczyna niczym matka, która strofuje niezdolne dziecko.

– Sprawdzę tylko, co tam jest, i zaraz wracam – nie odpuszczał.

– Nie! – zabroniła stanowczo Lili. – Zobacz, jak ty wyglądasz! Jesteś sinofioletowy niczym trup! Posłuchaj mnie dzisiaj choć raz i usiądź obok mnie... – zażądała, sprawiając teraz wrażenie rozgrzanej baterii, która w ekspresowym tempie wraca do pełni swojej mocy.

Zaskoczony tak nieugiętym i zarazem opiekuńczym tonem dziewczyny Antek rozłożył tylko skostniałe ręce w niemocy i nie sprzeciwiając się dłużej, usiadł między żarzącymi się koksownikami.

– Oprzyj się o mnie... – zaproponowała wyraźnie zadowolona z faktu, że chłopak wyjątkowo ją posłuchał.

– Może masz rację... Nie ma co przeginać... Organizm też ma swoje granice... – przyznał, z przyjemnością opierając się o jej dobrze rozgrzane już plecy. – W końcu czego to w ostatnich dniach nie było? Nieprzespane noce przed egzaminem, potem istna bitwa pod piramidą i postrzał ze śrutu, a następnie zatrucie gazem bojowym. Do tego jeszcze niedźwiedź kamczacki i na koniec nocne nurkowanie w lodowatym jak dupa Eskimosa jeziorze...

– A także w jego podziemnej, gigantycznej kanalizacji... Jakkolwiek to brzmi... – dodała Lili.

– Módl się, żeby ta gigantyczna kanalizacja nie okazała się naszą mogiłą – wtrącił z nieukrywaną obawą.

– Wiesz, jakoś mimo wszystko zaczynam bardziej optymistycznie patrzeć na tę całą sytuację... Skoro do tej pory nie zdążyłam się utopić ani zamarznąć, a nawet nie skręciłam karku, wypadając z tej rury, to co może mnie jeszcze tutaj wykończyć? – stwierdziła z rozbawieniem.

– Najwyraźniej i na ciebie przeszło moje słynne już, żołnierskie szczęście... – skomentował nieskromnie.

– Hola, hola... Nie bądź już taki pewny siebie – prychnęła. – Dopiero co struchlałeś jak mały chłopiec... – celnie odgryzła się dziewczyna, której ewidentnie wracało już dawne, uszczypliwe poczucie humoru.

– Że niby co?! – obruszył się.

– To, że całkiem spękałeś... Przyznaj!

– A to niby z jakiego powodu?

– Z takiego, że już na zawsze moje truchło mogło zostać tam na górze – doprecyzowała bez ogródek.

– Ej! Nie przeginaj pały, bo pomyślę, że celowo się wtedy nie odzywałaś... – burknął urażony.

Dziewczyna jednak tylko zaśmiała się na to cicho i ewidentnie nie mogąc się już dłużej powstrzymać, zawołała błagalny głosem:

– Lili! Nie rób mi tego!

– Wiesz co?! Spadaj! – odwarknął dotknięty do żywego i natychmiast odsuwając się od niej, wstał na równe nogi.

– Ej! No żartuję sobie tylko... Siadaj z powrotem, głuptasie... – szybko załagodziła sytuację, widząc gwałtowną reakcję chłopaka.

– A ty co? Uważasz się za taką cudownie opanowaną i niewzruszoną? Myślisz, że nie widziałem, jak pokracznie płasając na tej rurze, z przerażeniem patrzyłaś na

to, co dzieje się w klatce? – zripostował równie bezwzględnie.

– Okej, okej! Niech ci będzie... Remis! Jeden do jednego – zaproponowała z rozbawieniem.

– Wsadź sobie gdzieś ten swój remis... Ja nie mam już ochoty ani siły na takie utarczki – odparł sucho.

– O matko... – Westchnęła wymownie. – Tak tylko sobie zażartowałam... Po prostu nie mogłam się powstrzymać. Po pierwsze, dlatego że nastrój mi się poprawił, odkąd tylko zaczęłam czuć moje stopy, a po drugie, dlatego że szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu usłyszałam od kogoś coś takiego... – spoważniała.

– Jakiego?

– No takiego szczerego... prawdziwego – sprecyzowała nieśmiało.

– I idealnego, żeby się ponabijać – dodał.

– Ojej... No daj już spokój... – Lili przewróciła wymownie oczami. – Siadaj tu z powrotem i nie drażmy już tego tematu – zarządziła zachęcająco.

– Nie mam ochoty... – bąknął.

– No siadaj i nie daj się dłużej prosić! Zagrzej się choć na chwilę... – przekonywała. – A jeśli ci to pomoże, to dodam jeszcze, że dzięki tej sytuacji zdałam sobie w końcu sprawę z tego, że naprawdę mogę na tobie bezgranicznie polegać i że nigdy mnie nie zdradzisz ani nie wystawisz – wyznała niespodziewanie, uciekając przy tym wzrokiem, jak to miała w zwyczaju.

Antek, słysząc te zaskakujące słowa, zamyślił się na chwilę – jakby siłował się w duszy ze swoją urażoną męską dumą – lecz po chwili milczenia uśmiechnął się nieznacznie i odparł sucho:

– No dobra, odpocznijmy... Ale nie za długo, trzeba spróbować się stąd jakoś wydostać, póki jeszcze mamy światło...

Jak się jednak okazało, oboje byli tak mocno wychłodzeni, iż rozgrzewali się tak w milczeniu aż przez niespełna trzy godziny, a Lili nawet przez chwilę udało się zdrzemnąć w ramionach Antka. Lecz gdy tylko się przebudziła, sama



natychmiast zarządziła bezzwłoczne poszukiwanie wyjścia, jakby nieco zmieszana tym, iż nieświadomie znalazła się w tak uległym wobec niego położeniu.

– No to do dzieła! – zachęciła, energicznie podrywając się z ziemi. – Przekonajmy się, czy rezygnując z opcji śmierć z wyziębienia, jednocześnie nie skazaliśmy się na o wiele mniej przyjemną śmierć głodową... – dodała z przekąsem.

– Ooo... Widzę, że pani kapitan wraca do formy – skomentował Antek, kładąc dłoń na jej głowie i przyjacielsko mierzwiąc jej posklejane od mułu włosy. – Tylko czekać, aż zaczniesz znów bez końca zrzędzić... – dodał z rozbawieniem.

– To korzystaj, pókim miła... – odparła wcale niezrażona tym śmiałym gestem i ruszając ponętnie w stronę kamiennego łuku, poprawiła rozczochraną fryzurę, całkiem świadomie prezentując przy tym swoje na powrót rozgrzane ciało, zakryte jedynie aksamitną bielizną, którą nieustannie miała na sobie od pamiętnej nocy w pociągu.

– I co? – zapytał z satysfakcją Antek, gdy chwilę później z pochodnią w ręku stanął u progu monumentalnego, kamiennego portalu. – Dalej myślisz, że to Katnic stworzył to wszystko?! I to jeszcze dla takiego bydlaka jak Diektiar? – Roześmiał się z własnego pytania.

– Nie wiem, co to za miejsce, Antek – odparła dziwnie drżącym głosem dziewczyna. – Ale przyznaję, że z pewnością nie zbudował tego Meteor... Wszystko wskazuje też na to, że wskazówki, które przekazał synowi, także nie należały do niego... – dodała, z trudem opanowując już ewidentnie łamiący się głos.

– Co masz na myśli? – zapytał niepewnie, szczerze zaniepokojony tak niespotykanym u Lili zachowaniem.

– Przyjrzyj się dobrze temu, co wyrzeźbiono nad szczytem łuku – odparła i z absolutnie rozmarzonym wzrokiem wskazała palcem na niewielką, pięciokątną płaskorzeźbę umieszczoną tuż nad kamiennymi ornamentami zwieńczającymi potężne wejście.

– Czy to nie jest aby... – zaczął niepewnie Antek.

– Tak... To jest litera „P”... I przedstawiona w ten właśnie sposób oznacza tylko jedno... – wyjaśniła i niespodziewanie po raz drugi od początku ich znajomości zanosła się głośnym płaczem.

– A tuż pod nią widnieje ten sam herb, który znajduje się na twojej głowie! – dodał Antek, spoglądając z uśmiechem na zapłakaną dziewczynę i rozumiejąc już, skąd u niej tak niespodziewana i mocna reakcja.

– Boże kochany... – Westchnęła, nerwowo wycierając zaczerwienione oczy i próbując uspokoić rozdygotane emocjami ciało. – Nie wyobrażasz sobie nawet, ile to dla mnie znaczy... – dodała, kryjąc w dłoniach zapłakaną twarz.

– Domyślam się... – skomentował, również z niedowierzaniem przyglądając się wyrzeźbionemu w kamieniu kwiatowi lobelii oraz jego długim, zanurzonym w wodzie korzeniom. – No to skoro oboje nie mamy już wątpliwości, że miejsce to należało niegdyś do Polonorum, to chyba możesz ostatecznie wybaczyć mi to, że cię tutaj ściągnąłem... – dodał, ze szczerą ulgą i radością przyglądając się dziewczynie, która pomimo łez i zmęczenia, wyglądała teraz niczym wniebowzięta.

– Przyrzekam ci, Antek, że do końca tej akcji, jak by się ona dla nas nie skończyła, nie powiem już ani jednego dezaprobującego czy też złośliwego słowa... Nawet nie wiesz, jaki strach mnie ogarnął, gdy trafiając na sygnet Diektiera, zdałam sobie sprawę, że mogłam być podłożona do organizacji przez...

– Siłowniki... – dokończył, na co Lili tylko przytaknęła nieśmiało głową. – No to nie zwlekajmy dłużej i wejdźmy do środka. Kto wie, może okaże się, że to jakieś zapomniane archiwum albo skarbiec? – zaproponował, wyciągając pochodnię przed siebie i ostrożnie oświetlając skryte w ciemnościach pomieszczenie.

– Niech tam będzie, co chce... – Lili machnęła na to lekceważąco ręką. – Ja już dostałam dziś swój skarb, o którym marzyłam od dziecka...

– Więc sprawdzimy przynajmniej, czy jest stąd jakieś wyjście... To chyba nie jest ci już tak obojętne, co? – zaproponował z rozbawieniem, przekraczając w końcu próg tajemniczej komnaty.

– No i jak? Widzisz tam coś? – zapytała dziewczyna, podążając tuż za nim.

– Tak... Stoją tu jakieś gładko wyszlifowane marmurowe filary, zwieńczone głębokimi, metalowymi pojemnikami, w których znajdują się knoty – oznajmił, natychmiast podpalając jeden z nich i już po kilku sekundach wzdłuż wielkiej, owalnej groty zaczęły samoczynnie zapalać się kolejne pojemniki, zapewne wypełnione oliwą lub jakąś inną łatwopalną cieczą.

Wkrótce rozniecający się obficie ogień zatoczył świetlisty krąg i na powrót dotarł do rozpalonego jako pierwsze naczynia.

– Ożeż ty... – wyszeptał do siebie chłopak, widząc, jak wielka grota, wyłożona białym i niebieskim granitem, rozblęła niczym gigantyczny klejnot. – I co, Lili? Nadal jest ci to obojętne? – zapytał retorycznie, wciąż nie mogąc pozbiierać szczęki z podłogi.

– Jezu... Czy ty wiesz, co to jest? – odparła dziewczyna, której buzia równie szeroko otworzyła się nie tylko na widok sali, ale przede wszystkim tego, czym była po brzegi wypełniona. Były to najróżniejszego rodzaju zbroje, obrazy, broń oraz wszelkich rozmiarów skrzynie i stare meble.

– Nie mam pojęcia, co to jest za miejsce, Lili, ale na suficie również widnieje twój herb, z tym że przedstawiony już w kompletnych kolorach. – Wskazał ręką na zjawiskowy fresk, umieszczony idealnie na środku białego, kredowego stropu utrzymanego w swojej naturalnej, jaskiniowej formie.

– Antek! Ja rozpoznaję większość rzeczy, które tutaj są! A one świadczą o tym, że jest to jeden z legendarnych, zaginionych grobowców! – zawołała z takim podnieceniem, jakby znów stała się kilkuletnią, oczarowaną światem dziewczynką.

– Niemożliwe! – wypalił Antek. – To niemożliwe! – powtórzył, padając na kolana z wrażenia i zakrywając przy tym dłonią usta.

Lili, widząc to i chcąc w jakiś sposób podzielić swą radość z – jak się dzisiaj okazało – najwierniejszym dotąd przyjacielem, nie zastanawiając się ani chwili, również uklękła przed nim, wpadając wprost w jego objęcia. Antek z kolei, wyraźnie ośmielony tak wymownym gestem, stanął na równe nogi i porywając Lili

na ręce, zakręcił nią kilka razy wkoło, tak jak zwykle robi to pan młody ze swoją dopiero co poślubioną małżonką.

– Jesteś pewna, że to jest to?! – zawołał raz jeszcze, upewniając się, czy to aby nie sen.

– Tak! Jestem pewna! – potwierdziła z całkowitym przekonaniem, trzymając kurczowo chłopaka za szyję.

– To coś niewiarygodnego... – odparł. – Cała ta akcja jest jak jakiś jeden wielki sen... – oznajmił, odstawiając oszołomioną dziewczynę na ziemię.

– To nie jest sen, Antek – zapewniła. – Dlatego raz jeszcze dziękuję ci za to, że w końcu jestem czegoś o sobie pewna... – wyszeptała, raz jeszcze mocno go ściskając.

– Podziękuj przede wszystkim sobie, w końcu zrobiliśmy to razem – odrzekł z nieudawaną skromnością, wciąż z dziką fascynacją rozglądając się po nowo odkrytym miejscu.

Podziemna grotka, mimo że cudownie ozdobiona wspaniałymi granitami, marmurami i metalami szlachetnymi, z powodu umieszczonego w niej asortymentu wyglądała trochę jak wielki, zagracony i zakurzony składzik. Można było się domyślić, że ktoś, kto zostawił tutaj te wszystkie cenne rzeczy, zrobił to w wielkim pośpiechu.

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę miny dowódców, gdy poinformujemy ich o tym znalezisku... – oznajmiła z zadowoleniem Lili, przyglądając się kolejnym zabytkowym eksponatom. – Pamiętam, że odkąd byłam dzieckiem, w organizacji wciąż krążyły legendy o zaginionych grobowcach. Zawsze kładąc się spać w dziecięcych koszarach, marzyłam sobie, że kiedyś to miejsce odnajdę. Z czasem jednak zaczęłam dorastać i wkrótce całkowicie zapomniałam o tym marzeniu, aż do dzisiaj – dodała ze wzruszeniem, uciekając myślami w daleką przeszłość.

– Spójrz tylko, Lili, co wisi na ścianie po lewej – zawołał Antek, podchodząc nagle do jednego z obrazów.

– To najcenniejsze zaginione polskie dzieło. *Portret młodzieńca* Rafaela!

– Dokładnie! – potwierdził z zadowoleniem. – A obok niego *Wyjazd na polowanie* Józefa Brandta! Także zaginione podczas wojny...

– A tam! – Lili wskazała ręką na przeciwległą stronę komnaty. – Pod ścianą leży *Diana i Kallisto* Rubensa! – spostrzegła.

– Przecież te wszystkie zaginione dzieła są wartę setki milionów dolarów... Co one w ogóle tutaj robią? – zastanawiał się.

– Podczas wojny ludzie z Polonorum zajmowali się także tropieniem SS-manów oraz komunistów, którzy próbowali zniszczyć lub wywieźć z Polski nasze dobra narodowe. Jak widać, sporo dzieł udało im się uratować – wytłumaczyła.

– Wiesz, sam jestem grafikiem i znam się trochę na sztuce, dlatego śmiało mogę powiedzieć, że to bez wątpienia jedna z największych kolekcji zaginionych dzieł na świecie! Aż dziw, że góra do tej pory nic o tym nie wiedziała... – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wiedza o tych miejscach zawsze była zarezerwowana jedynie dla garstki naszych ludzi... Prawdopodobnie w sierpniu czterdziestego czwartego Katnic wytropił większość z nich i zamordował – wyjaśniła.

– Kim byli ci ludzie?

– Nikt tego nie wie... Ale nasz archiwista, ksiądz Ruryk, wspomniał mi kiedyś, że do każdego z grobowców przydzielano dwóch strażników; jednego ze stopniem oficerskim, a drugiego z Najwyższej Kapituły. Tylko oni znali lokalizację tych miejsc i tylko oni przed śmiercią mogli przekazać tajemnicę swoim następcom.

– To już wiadomo, skąd u Katnica ten sygnet i tak szczegółowa wiedza o tym miejscu... Wygląda na to, że generał Walewski miał rację, mówiąc, iż mógł on wycisnąć coś z któregoś z powierników tajemnicy grobowca – zauważył.

– Niekoniecznie... – powątpiewała Lili. – Wiemy przecież tylko, że Katnic wiedział o tym miejscu, ale czy tutaj kiedykolwiek trafił? Szczerze wątpię... Zwróć uwagę, że grobowiec wygląda na nietknięty od czasu, gdy ukryto w nim te wszystkie rzeczy...

– Pewnie dlatego zostawił to miejsce i związaną z nim zagadkę w spuściźnie swojemu synowi... Może nie chciał, żeby wiedza o tym miejscu przepadła wraz z jego śmiercią – dedukował.

– Jeśli liczył na to, że ten zboczony prymityw dokończy jego dzieła, to chyba wcale nie był taki inteligentny, jak o nim mówią... – skwitowała Lili, po czym zabrała się za penetrowanie zawartości starej szafy, która stała na samym środku pomieszczenia.

Natomiast Antek zaczął przeglądać resztę obrazów, które leżały w długich szeregach na granitowej posadzce. Okazało się, że były to kolejne cenne dzieła, które oficjalnie uznano za utracone... Wyciągał więc każde płótno po kolei i przyglądając się mu z zapartym tchem, wołał na całe gardło, jakby właśnie wystawiał je na aukcji.

– *Sprzedaż amuletów Siemiradzkiego! Zwiastowanie Jordaensa! Ecce Homo van Dycka!*

– Hej, Antek, jak ci się w tym podobam? – przerwała mu nagle prezentację Lili, wychodząc na środek w eleganckim, kremowym futrze.

– *Chapeau bas!* – zawołał. – Wyglądasz jak prawdziwa arystokratka albo gwiazda kina z dwudziestolecia międzywojennego...

– A zobacz na to! – Lili ponętnie rozsunęła futro, ukazując przy tym mieniącą się na szyi kolię wysadzaną diamentami.

– Mam nadzieję, że dla mnie też coś się znajdzie... Mam już dość paradowania w tych gaciach...

– A co ja mam powiedzieć? Przez pół nocy chodziłam w samej bieliźnie... – zauważyła.

– Mi to wcale nie przeszkadzało – odparł, obdarzając ją chytrym uśmiechem, co Lili oczywiście skomentowała gestem wskazującym na to, by postukał się po głowie.

– Więc jak? Jest tam coś dla mnie? – powtórzył, odkładając ostatni z obrazów, którym był *Ataman Pawliszaka*.

– Oczywiście, że jest... Ale jeśli to na siebie włożysz, będziesz wyglądał jak Ketling albo Wołodyjowski... – Lili wybuchła śmiechem.

– Trudno, wszystko lepsze od tego cyrkowego stroju, który kazali mi włożyć ludzie Diektara – zażartował Antek.

Rzeczywiście, większość męskiej garderoby, która się tutaj znajdowała, pochodziła raczej z okresu Pierwszej Rzeczypospolitej niż z czasów nowożytnych. Szczęśliwie jednak Lili, wertując jedną z trzydrzwiowych neoklasycznych szaf z drzewa orzechowego, natrafiła na szary, staromodny garnitur w bordową kratę, który, jak się okazało, idealnie pasował na Antka.

– No! Teraz w końcu wyglądasz jak człowiek – skomentowała tonem surowej, nadopiekuńczej matki, gdy chłopak przeglądał się uważnie w otoczonym bogato rzeźbioną ramą, kryształowym lustrze.

– Pasuje idealnie – przyznał. – Za to śmierdzi jak lisia nora... – Westchnął z grymasem, otrzepując toczący się obficie kurz z kraciastej półwiekowej marynarki.

– Nie przesadzaj, moje futro też nie pachnie najlepiej, ale za to jest takie miłutkie, że chyba je dla siebie zwędzę... – wyznała, próbując się jednocześnie wcisnąć w wyjątkowo wąską suknię z brązowego jedwabiu.

– A trafiłaś tu może na jakieś męskie buty?

– Tak... Widziałam kilka par rycerskich trzewików z kutego żelaza – oznajmiła z rozbawieniem.

– Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam... Zdecydowanie wolę już chodzić boso. Poza tym myślę, że już najwyższy czas zakończyć to szperanie i pora zabrać się za poszukiwanie wyjścia, póki mamy tu jeszcze światło... – zauważył.

– No tak... – przyznała. – Zwłaszcza że od wielu godzin nic nie jedliśmy i co gorsza, niewiele piliśmy. A po tak skrajnym wyziębieniu za moment może zabraknąć nam sił na cokolwiek – dodała z całkowitą powagą.

– Więc do dzieła! Ja przyjrzę się raz jeszcze grocie, w której znajduje się jezioro, a ty sprawdź tutaj dokładnie wszystkie ściany oraz podłogę –

zapropował. – W końcu jest to miejsce sygnowane herbem twojej rodziny, czyż nie? – dodał z uznaniem, co wyraźnie rozbudziło w dziewczynie skrywane pokłady dumy i entuzjazmu.

Nie zwlekając więc ani chwili, natychmiast rozdzielili się i pilnie zabrali za poszukiwania. Antek udał się na powrót do mieniającej się złotem groty, w której teraz pochodnie migotały już o wiele słabszym płomieniem. Za to Lili, przesuając meble oraz inne, zgromadzone tutaj sprzęty, zaczęła centymetr po centymetrze badać opuszkami palców wszelkie niedoskonałości, jakie dostrzegła na kamiennej posadzce oraz zdobiących ściany komnaty, granitach i marmurach.

– Mam nadzieję, że nie będę tu musiał kolejny raz nurkować... Mam wstręt do wody na dobre pół roku – powiedział do siebie chłopak, po raz wtóry bezowocnie obchodząc zbiornik wkoło i ewidentnie tracąc początkowy zapał.

– No i jak tam ci idzie, Sherlocku? – odezwała się Lili, wyraźnie o wiele pełniejsza nadziei niż on.

– Cholera! Nic tu nie ma! – odwarknął wściekle, siadając bezradnie na kamiennym murku.

– Uuu... Ktoś tu się chyba zdenerwował – zauważyła.

Dziewczyna miała rację. Wycieńczony, ranny i potwornie głodny Antek – po tym jak opadły już wszystkie pozytywne emocje związane z odnalezieniem legendarnego grobowca – zaczął z każdą minutą popadać w coraz większą niechęć do czegokolwiek i odczuwać wypełniające go niebezpiecznie nieznośne rozdrażnienie. Jakby jednak tego było mało, zaczęło doskwierać mu także mordercze pragnienie, a nie miał wcale pewności, czy woda z krasowego jeziora, dodatkowo wymieszana z mułem, który dostał się tu wprost z dna Świtezi, nadaje się w ogóle do picia.

– Mam po prostu dość zabawy w te głupkowate zgadywanki... – wyjaśnił, przecierając ze znużenia podkrążone oczy.

– Co ty nie powiesz... A dopiero co na łódce przedstawiałeś mi to jako przygodę życia – odparła, starając się jednak zwracać do niego z jak największą



łagodnością.

– Ale wtedy nie byłem głodny... A ja nienawidzę myśleć z pustym żołądkiem – odfuknął.

– To zrób sobie przerwę i choć do mnie na chwilę. Coś ci pokażę... – zaproponowała tajemniczo.

Gdy wszedł więc ponownie do wypełnionej eksponatami komnaty, zauważył, że na jej końcu stoi odsunięta od ściany obszerna szafa, która wcześniej skrywała przed nimi wielkie, kamienne palenisko wbudowane głęboko w ścianę.

– Co to jest? Kominiek? – zapytał drwiąco. – W jaskini? Kilkadziesiąt metrów pod ziemią? – dodał z prychnięciem.

– Jest zamurowany, to tylko atrapa – wytłumaczyła.

– No tak... Pewnie wsadzili go tu jako stary eksponat przeniesiony z jakiegoś średniowiecznego zamku – stwierdził lekceważąco.

– Ale po co zasłaniali go szafą?

– Nie wiem... Może nie mieli jej gdzie postawić? – nadal utrzymywał drwiący ton.

– Antek, ta szafa ma wbudowane specjalne uchwyty, dzięki którym można ją bez problemu przesuwać w jedną i drugą stronę, a także potężny, mosiężny zawias łączący ją z narożnym gzymsem kominka.

– Powiedziałaś zawias? – dodał, teraz już wyraźnie zaskoczony.

– Tak... I to w sumie jedyna podejrzana rzecz, jaką udało mi się tutaj znaleźć – potwierdziła.

– I to nawet bardzo podejrzana... – przyznał. – Może trzeba popukać w ściany paleniska? – zaproponował, po czym wchodząc na stojąco do ponaddwumetrowego luzu, zaczął bacznie przyglądać się jego konstrukcji.

– Już tak zrobiłam... Nie wygląda na to, żeby po drugiej stronie znajdowała się jakaś pusta przestrzeń... – odparła, siadając ze zmęczenia na ziemi i opierając się o ścianę.

– Kto przytwierdza szafę do kominka, który na dodatek jest całkowicie bezużyteczną atrapą? Przecież to bezsensu... – powiedział w końcu do siebie, gdy po kilkunastu minutach szczegółowych oględzin, nie doszedł do żadnego konkretnego wniosku.

– A może to tylko zwykła zmyłka zaaranżowana właśnie po to, żeby zająć cenny czas potencjalnego, nieproszonego gościa... – wtrąciła Lili, słysząc te pełne irytacji pomrukiwania Antka.

– Może i racja... Płomienie pochodni maleją z każdą minutą i za chwilę zapadną tu dosłownie grobowe ciemności... – przyznał. – Szlag by to wszystko! – dodał wściekle, uderzając ręką w ścianę.

– Spokojnie... Sam mówiłeś, żeby się nie poddawać i zachować zimną krew... – przypomniała.

– No to skoro masz taką zimną krew, to skup się i coś wymyśl – odwarknęła szorstko, jakby wręcz drażniło go to wyjątkowo spokojne nastawienie Lili.

– Nie musisz być złośliwy... Po tym, czego się dowiedziałam, dziś już nikt ani nic nie popsuje mi humoru – załagodziła sytuację. – Poza tym na pewno musi być tu jakieś inne wyjście niż tylko to znajdujące się na dnie Świtezi, w przeciwnym razie jakim sposobem dostarczono by tu te wszystkie rzeczy? – przekonywała.

– Nie wiem jakim, ale w tym kominie z pewnością niczego nie ma, a nawet jeśli jest, to do sprawdzenia tego potrzebowalibyśmy co najmniej dziesięciokilowego młota i sporą porcję żarcia... – wymamrotał, łapiąc się wymownie za poskręcane z głodu kiszki.

– Spokojnie, daj mi chwilę... – zaproponowała, podnosząc się energicznie z ziemi. – Ja też miałam tutaj moment kryzysu i wtedy to ty ogarnąłeś sytuację... Teraz pora, żebym i ja się wykazała...

– Nie przechodzę żadnego kryzysu – odbąknął, wyraźnie urażony tym, że Lili w ogóle mogła tak o nim pomyśleć.

– Dobra, dobra... Nie udawaj już takiego fifarafa... Nikt nie jest niezniszczalny, a ty w końcu trochę przeszedłeś przez te ostatnie dni... Połóż się na

chwilę, uspokój, a ja w tym czasie spróbuję coś wykombinować – zarządziła, lecz zrobiła to w tak niepodobny do siebie, łagodny i potulny sposób, iż Antek sam był zaskoczony tym, jak wyjątkowo kojąco podziałało to na jego rozedrgane nerwy.

Nie spierając się więc dłużej, rozłożył sobie na posadzce kilka grubych futer, które wytargał z szafy, po czym kładąc się na nich wygodnie, błyskawicznie zapadł w upragniony sen. Natomiast Lili zaczęła raz jeszcze dokładnie badać każdą wewnętrzną część kominka, a także tego, co znajdowało się wokół niego. Jak się jednak prędko okazało, drzemka Antka nie trwała zbyt długo, gdyż po zaledwie kilkunastu minutach przebudziły go ciężkie wzdychania oraz stękania wydawane przez ewidentnie siłującą się z czymś dziewczynę.

– Lili, co ty tam robisz? – wymamrotał, nadal zmorzony obezwładniającym go snem, nie otwierając przy tym nawet oczu.

– Pomyślałam, że można by sprawdzić tę kamienną płytę, na której leżał ten żeliwny popielnik – odparła, sapiąc niemiłosiernie.

– No i?

– No i próbuję ją właśnie przesunąć...

– Daremnie... Też próbowałem ją ruszyć. Jest przytwierdzona do posadzki na stałe i ani drgnie – wyjaśnił, ziewając przy tym głośno.

– A ja mam wrażenie, że poruszyła się nieznacznie, gdy przeciągając ten ciężki popielnik, niechcący w nią uderzyłam.

– Mówię ci, Lili, w tym kominku niczego nie ma... Ale jeśli chcesz się dalej siłować ze zwykłą podłogą, to powodzenia... Może do jutra tym tempem uda ci się zerwać gołymi rękami choć pół metra kwadratowego posadzki... – odparł drwiąco, jednak gdy tylko skończył wypowiadać ostatnie słowo, pod jego plecami chrupnęło coś głośno, po czym część usłanego futrami kamiennego legowiska zapadło się wraz z nim, znikając w ciemnej podziemnej czeluści.

– Antek! Na miłość boską! – wrzasnęła natychmiast Lili, podbiegając jak najszybciej do zapadliska.

Gdy tylko się nad nim nachyliła, zobaczyła, że na głębokości około trzech metrów, na będącym jeszcze chwilę temu częścią granitowej posadzki, sporych rozmiarów prostokątnym bloku leży równie zszokowany Antek, patrzący na nią tak, jakby ze snu zbudził go co najmniej elektryczny pastuch.

– To twoja sprawka? – zapytał, podnosząc się ociężale i rozmasowując sobie przy tym kark i potylicę.

– Wygląda na to, że tak... – Dziewczyna wybuchła śmiechem, przekonawszy się już, że chłopakowi nie stało się nic złego.

– Jak ty to zrobiłaś?

– Raz jeszcze uderzyłam z całych sił popielnikiem w kant tej marmurowej płyty – wyjaśniła, jakby było to najoczywistszą z rzeczy.

– I tyle? Tak po prostu? – nie dowierzał chłopak.

– Tak po prostu... – potwierdziła Lili. – Mocowanie najwyraźniej puściło, płyta przekreśliła się o czterdzieści pięć stopni i nagle to wszystko pierdyknęło w dół – dodała z nieukrywaną satysfakcją.

– I ja mam uwierzyć, że tylko przypadkiem stało się to właśnie wtedy, gdy chciałem się tutaj zdrzemnąć? – zażartował, mierząc dziewczynę podejrzliwym wzrokiem.

– Przeceniasz mnie... Aż tak przebiegła nie jestem! – Roześmiała się ponownie, po czym dodała: – Czekał tam na dole! Zaraz do ciebie zejść! Wezmę tylko dwie pochodnie z grotu przy jezioru – oznajmiła, wybiegając pośpiesznie z komnaty.

Po chwili rzuciła Antkowi palące się łuczywo.

– Łap! – zawołała.

– Przecież to za chwilę zgaśnie – odparł, zręcznie łapiąc w locie trzonek.

– To były dwie ostatnie, które jeszcze jako tako się paliły – wytłumaczyła, wskazując następnie do wnętrza nowo odkrytej, najprawdziwszej naturalnej jaskini.

– Tam jest coś w rodzaju łuku skalnego, widzisz? – Antek wskazał miejsce oddalone od nich o około piętnaście metrów.

– Wygląda na to, że jest to wejście do kolejnej groty – stwierdziła pani kapitan, kierując się w stronę skalnego otworu.

– To nie jest wejście do kolejnej groty, Lili... – zauważył Antek, wyprzedzając ją i dokładniej oświetlając wysoki łuk, topornie wyciosany w kredowej skale.

– A według ciebie co? – zapytała mimowolnie, krocząc powoli i uważnie, tak by nie skaleczyć swych bosych stóp o ostre, skaliste podłoże.

– To jest tunel – wyjaśnił pewnie, wkraczając ostrożnie do środka.

– Może prowadzi z powrotem do kompleksu Diektiara?

– Wątpię... Gdyby tak było, Katnic z pewnością by o tym wiedział...

– Zresztą wszystko jedno... Niech prowadzi, gdzie chce, byle można było się nim wydostać na powierzchnię – odparła.

– Więc lepiej się pośpieszmy, za chwilę będziemy zmuszeni iść po omacku! – przestrzegł chłopak.

– Chciałabym zauważyć, że po tych skałach nie da się zbyt szybko poruszać bez butów...

– Spokojnie, podłoże tunelu wyłożone jest ziemią i piaskiem – odezwał się uspokajająco i zademonstrował swoje słowa, zniżając pochodnię ku gruntowi.

– A może powinniśmy wziąć ze sobą trochę ubrań? W razie gdyby płomień zaczął gasnąć, możemy owinać je na trzonkach i podtrzymywać go jeszcze przez jakiś czas – zaproponowała niepewnie Lili.

– Nie ma już na to czasu... Ruszajmy, póki widać jeszcze cokolwiek. Poza tym, jeśli zajdzie taka potrzeba, są jeszcze ubrania, które mamy na sobie... – zaproponował, uśmiechając się chytrze.

– Jak chcesz, to pal sobie swój garnitur, ale ja mojego futra nie oddam – zaperzyła się, szturchając go koleżeńsko w żebra.

– Luz... Przejdziemy ten tunel, zanim się obejrzysz – zapewnił, po czym ruszył pewnie przed siebie.

– Antek! Zatrzymaj się jeszcze na chwilę... – Lili złapała go za ramię.

– O co chodzi?

– Zobacz, co wybito na tym metalowym okuciu – wyjaśniła.

– Gdzie?

– Tam! Na belce stropowej... – Wskazała pochodnią.

– Rzeczywiście... – Antek zdziwił się, że sam wcześniej tego nie zauważył. – „Anno Domini 1253” – przeczytał powoli. – To dość dawno... – dodał, kiwając z uznaniem głową.

– Prawie pół wieku przed założeniem Polonorum... – zauważyła. – Początek naszej organizacji datuje się dopiero na rok tysiąc trzysta trzy – dodała, popadając nagle w głębokie zamyślenie.

– W takim razie pytanie: kto to wszystko zbudował? – zastanawiał się chłopak.

– Chyba nawet domyślam się kto... – odbąknęła, jakby z lekkim zawstydzeniem. – Zanim jednak zacznę ci to wyjaśniać, ruszmy w końcu przed siebie – ponagliła.

– Zamieniam się w słuch – odrzekł Antek i oboje udali się w głąb ciemnego tunelu.

– No więc, gdy siedząc nad brzegiem Świtezi, szukałam informacji na temat tego sygnetu, natrafiłam dokładnie na tę samą datę, którą tutaj zamieszczono... – wyjaśniła.

– Czyli tysiąc dwieście pięćdziesiąty trzeci? – upewnił się chłopak.

– Dokładnie... Jest to bowiem przypuszczalna data koronacji Mendoga.

– Że kogo?! – Antek wytrzeszczył oczy.

– Inaczej Mindaugasa, Wielkiego Księcia Litewskiego, który przyjął chrześcijaństwo i zjednoczył plemiona litewskie, podbijając Czarną Ruś – doprecyzowała.

– Masz na myśli tego mitycznego władcę z legendy o Tuhanie i Świtezi? – dopytał.

– Tak... Chociaż z tej daty wynika, że nie tylko mitycznego, ale i historycznego... – odparła z zakłopotaniem.

– Ha, ha! – Antek się roześmiał. – No widzisz! A nabijałaś się ze mnie, że niby nasłuchałem się jakichś ludowych bajek o starodawnym grodzie, który przed wiekami pochłonęła tutaj woda! – wypalił z wyrzutem.

– I dalej tak uważam... Bo oprócz wydumanych, chłopskich bajd oraz inspirowanych nimi romantycznych historyjek Mickiewicza nie ma żadnej poważnej, historycznej wzmianki na ten temat! – przekonywała.

– Wzmianki wzmiankami, Lili, ale jak byś jeszcze nie zauważyła, właśnie przemierzamy średniowieczny tunel wychodzący wprost z krasowych jaskiń leżących pod dnem legendarnego jeziora... Nie wiem, co musi się jeszcze stać, żebyś choć raz przestała być tak przeraźliwie sceptyczna...

– Ja jestem po prostu rozsądna – obruszyła się.

– Rozsądna? – Antek parsknął śmiechem. – Przecież nawet geologowie potwierdzają teorię, iż jezioro Świtez powstało w wyniku oberwania się dużej powierzchni ziemi do podziemnej, pustej przestrzeni.

– No niby tak, ale...

– Ale z tego, co pamiętam, to właśnie te wyśmiewane przez ciebie ludowe podania głoszą, iż osaczony przez cara Rusi Mendog wysłał swych posłów do dziedzica Świtezi Tuhana z prośbą o pomoc...

– Tak, tak... Też to znam... – wtrąciła ponownie. – A gdy Tuhan wyruszył z odsieczą, wtedy car Rusi niespodziewanie napadł pozostawione bez ochrony miasto i oblegał je... – dopowiedziała pospiesznie, celowo jeszcze mocniej eksponując swój prześmiewczy ton.

– No właśnie! Więc jak myślisz? Do czego w tysiąc dwieście pięćdziesiątym trzecim roku mógł służyć taki wielki tunel? – zapytał podchwytliwie. – Czy do tego, żeby spędzać sobie wolny czas nad jeziorem? – zadrwił. – Czy może do tego, aby niepostrzeżenie dostać się za jego pomocą do jakiegoś obleganego grodu? No wytłumacz mi to! – zażądał. – Po co wtedy Mendogowi była potrzebna tak wymyślna i gigantyczna jak na tamte czasy inwestycja? – dodał, rozkładając wymownie ręce.

– Może pewne fakty rzeczywiście się na siebie nakładają... Ale błagam cię, Antek, chyba nie wierzysz w historię o tym, że pozostawione w mieście kobiety wybłągały Boga, by ten, grzebiąc miasto pod ziemią, wybawił ich od zhańbienia... Nie wspominając już o tym, że córka Tuhana zamieniła się w nimfę, a reszta świtezianek w wodne kwiatki... To są wszystko jedynie ludowe fantazje, wyobrażenia tutejszego pospólstwa, którymi straszycie dzieci! – Westchnęła ciężko, usilnie starając się nie zaprzepaścić postanowienia o niezepsuciu sobie dzisiaj dobrego humoru.

– Ach tak? – drążył Antek. – W takim razie jestem bardzo ciekawy, jakie to mogły być kwiaty...

– Przestań... Doskonale wiem, do czego zmierzasz... – uprzedziła go dziewczyna, pokazując palcem, żeby postukał się po głowie.

– Nie były to czasem lobelie? – nie odpuszczał. – Te same, które w ludowych podaniach potocznie nazywano trującymi carami? I zarazem te same, które z niewyjaśnionych przyczyn rosną akurat w tym jeziorze i do tego widnieją w herbie, który zdobi tajemne komnaty znajdujące się pod jego dnem?

– Okej, okej... – Lili wypuściła głośno powietrze, siląc się na większą cierpliwość. – Zgadza się... W legendzie występują lobelie jeziorne... I owszem, są trujące, a w podaniach ludność wiejska potocznie nazywała je carami – potwierdziła. – Ale to dalej niczego nie zmienia... – odparła z wymuszoną życzliwością.

– Źle mnie zrozumiałaś... Przecież to oczywiste, że nie wierzę w nimfy ani tym bardziej w kobiety zamienione w roślinki... Jednak po tym, co tu zobaczyłem, śmiem twierdzić, iż niegdyś znajdował się tam jakiś gród. Z kolei tunel, którym właśnie idziemy, mógł służyć jako droga, dzięki której można było wydostać się lub wejść do obleganego miasta. W końcu podania głoszą, że oblegany przez rusińskie wojska Mendog, który, jak sama stwierdziłaś, był postacią historyczną, wyprawił do Świtezi swoich posłów z prośbą o pomoc...



Tym razem argument Antka zabrzmiał o wiele bardziej wiarygodnie, więc dziewczyna nic nie odpowiadając, rozłożyła bezsilnie ręce, dając znać, iż może zgodzić się w tej sprawie na ewentualny kompromis.

Niestety, po około czterdziestu minutach umiarkowanego biegu po wilgotnej, miękkiej ziemi, jaką wyłożony był podziemny korytarz, pochodnia Lili zgasła, a chwilę po niej to samo stało się z łuczywem trzymanym przez Antka.

– Tylko nie pytaj mnie, co teraz – skomentował sucho.

– Przyszło mi raczej do głowy „a nie mówiłam”... – odparła z przekąsem.

– Skąd miałem wiedzieć, że ten tunel będzie prowadził do samego piekła?! – odburknął.

– A trzeba było zrobić z ubrań nowe pochodnie i nie byłoby problemu... – wyrzuciła mu dziewczyna.

– Trzeba było! Trzeba było! – odwarknął szorstko chłopak. – Sporo rzeczy przed tą akcją trzeba było zrobić! Tylko kto mógł przypuszczać, że takie miejsca jak ten tunel w ogóle istnieją?!

– Dobra, już dobra... Nie denerwuj się tak – uspokoiła Antka Lili.

– To mnie nie prowokuj!

– Okej, już spokojnie... Luz. Zastanówmy się lepiej, co dalej – zaproponowała łagodnym tonem.

– Nie! – wypalił chłopak.

– Jak to: nie? – zapytała zaskoczona, patrząc w ciemności dokładnie w to miejsce, w którym powinien teraz stać Antek.

– Nie! – powtórzył. – Mogę biec, mogę płynąć, mogę walczyć, mogę robić miliony innych rzeczy, kiedy jestem głodny, ale nienawidzę myśleć lub się nad czymś zastanawiać, gdy mój żołądek zjada mnie od środka... – wyjaśnił.

– No więc?

– Idziemy! Po prostu idziemy dalej...

– Przecież nic nie widać...

– Spokojnie... Zwolnię trochę tempo, wystawię przed siebie rękę i pobiegnę pierwszy. Jeśli na coś wpadnę, ostrzegę cię – zaproponował chłopak. – Wyjście powinno być już niedaleko, w końcu ten tunel nie może ciągnąć się w nieskończoność – dodał z nadzieją.

– Oby... – skwitowała Lili, po czym ruszyli dalej.

Tunel na szczęście zdawał się biec idealnie prosto, tak więc poruszający się po omacku Lili i Antek nie obijali się zbyt często o ściany. Momentami dało się także odczuć, iż podłoże minimalnie się wspina, co znacznie poprawiało im nastrój, budząc nadzieję na to, iż zbliżają się już ku powierzchni.

W końcu, po ponadgodzinnej przebieżce spędzonej w całkowitym milczeniu, Lili nie wytrzymała i dysząc ciężko, oznajmiła:

– Nie chcę narzekać, ale zaczynają mnie łąpać okropne skurcze, a do tego czuję, że jestem totalnie odwodniona...

– Spróbuj jeszcze utrzymać to tempo... Za chwilę odpoczniemy... – motywował ją Antek.

– Za chwilę, to znaczy kiedy?

– Gdy mięśnie całkiem odmówią ci posłuszeństwa – odparł niewzruszenie.

– Już mi odmawiają...

– Słyszę po odgłosie stóp, że nie jest jeszcze z tobą aż tak źle... Nawet nie zaczęły plątać ci się nogi.

– A co, jeśli ten tunel prowadzi po kole, a my tego nie widzimy?

– To niemożliwe. Wtedy z pewnością natknęlibyśmy się na pochodnię albo twoje futro porzucone w biegu – odpowiedział z niewzruszoną pewnością siebie i gdy tylko skończył mówić, uderzył nagle z całym impetem w jakąś twardą, obitą deskami ścianę, odbijając się od niej boleśnie. – Stój! – zawołał natychmiast, by uchronić dziewczynę, jednak ona, potykając się o jego nogi, gruchnęła ciężko o ziemię.

– Aua... – Leżąc obok Antka i masując sobie obolałą nogę, westchnęła.

– Chciałaś koniec tunelu, no to masz – odparł chłopak, również rozcierając zranione czoło.

– Miałaś zwolnić tempo... – wypomniała, próbując podnieść się z ziemi.

– Nie dramatyzuj i ciesz się, że dotarliśmy do końca...

– Cieszyć się będę, jak znajdziemy tutaj jakąś kłamkę albo coś w tym stylu...

A póki co niczego takiego tu nie wyczuwam... – oznajmiła, badając uważnie dłońmi każdy kawałek wilgotnej, cuchnącej stęchlizną ściany. – Od razu zastrzegam, że nie mam siły, by po tym kopać i to wywarzać... – dodała, siadając na powrót na ziemi i z wycieńczenia opierając się o ścianę tunelu.

– I nie będziesz musiała... Po drugiej stronie nie ma żadnej pustej przestrzeni, a poza tym te deski wyglądają na całkowicie zbutwiałe. Można je wyrywać gołymi rękami... – odrzekł, obstukując pięścią drewniane obicie.

– Czyli, że normalnego wyjścia stąd nie ma... – skwitowała.

– To się zaraz okaże – odpowiedział Antek i energicznie zabrał się za odrywanie zgniłych desek.

– No i jak ci idzie? – zapytała po chwili, kierując w ciemnościach wzrok tam, skąd dobywał się jego głos.

– Nie najgorzej... Już zerwałem prawie wszystkie. Problem w tym, że za nimi tunel wypełniony jest jakimś gęsto ubitym, drobnym żwirem – odpowiedział nieco rozchmurzony.

– Wiesz, tak sobie myślę... – zagadnęła. – Wszystko wskazuje na to, że od czasów końca drugiej wojny światowej, prawdopodobnie nikt stąd jeszcze nie wyszedł...

– Ty to wiesz, jak zmobilizować człowieka... Prawdziwy z ciebie dowódca... – odparł z przekąsem.

– Nie wiesz, że lepsza najgorsza prawda niż najsłodsze kłamstwo?

– A więc zapewne odkopią nas tutaj w następnym stuleciu, tak samo spróchniałych jak te deski, a następnie zatopią w formalinie i postawią w jakimś

lokalnym, podrzędnym muzeum jako parę uwięzionych w podziemiach kochanków... – zażartował.

– No to ci chyba jednak pomogę – odparła, zmotywowana tak nieciekawą wizją swojej przyszłości.

W końcu, gdy już wszystkie deski zaślepiające ścianę kończącą tunel zostały wyrwane, a znajdujący się za nimi żwir począł nieznacznie osuwać się do wnętrza tunelu, Antek powiedział:

– Nie wiem jak ty, Lili, ale ja nie widzę innego wyjścia, jak tylko zabrać się za odkopywanie tego przejścia...

– A może lepiej odpocząć i wrócić do grobowca? – zaproponowała.

– Do grobowca? A niby po co?

– Można by zaryzykować i napić się jednak tej wody z podziemnego jeziora. To dałoby nam więcej siły i czasu na przetrwanie. Przy okazji moglibyśmy także zrobić z ubrań kilka nowych pochodni i wrócić tu raz jeszcze... – wyjaśniła.

– Nie ma mowy... Ja się stąd nie ruszam... – zanegował natychmiast, zabierając się za wybieranie żwiru.

– Antek, co ty wyrabiasz? – Lili westchnęła z nieukrywanym politowaniem.

– Kopię – odparł szorstko.

– Przecież nawet nie wiemy, co znajduje się dalej... To mogą być kolejne kilometry do przekopania. A może to w ogóle nie jest skończony tunel? – przewidywała.

– Jak chcesz, to wracaj sobie do grobowca, ale ja albo wyjdę stąd jeszcze dzisiaj, albo nie wyjdę stąd w ogóle – odburknął i począł odgarniać żwir jeszcze zajadlej.

– Gołymi rękoma chcesz bawić się w górnika prawdopodobnie kilkadziesiąt metrów pod ziemią? Wiesz chociaż, w którą stronę kopać?

– Będę kopał w górę... Tym sposobem muszę w końcu dotrzeć do powierzchni – odrzekł butnie.

– Antek... Nie obraź się, ale muszę zadać to pytanie: czy ty w ogóle kiedykolwiek w życiu coś kopalesz? Chociażby studnię?

– Wyobraź sobie, że kopalem – odpowiedział niewzruszony.

– Czyli wiesz, ile średnio potrzeba czasu, aby przekopać kilka metrów koparką?

– Wiem, ale mimo to nie wrócę do grobowca... Będę kopał, dopóki starczy mi sił. Poza tym ten żwir zaskakująco szybko się wygarnia – oznajmił.

– Nie potrafisz odpuścić, co? – zapytała retorycznie.

– Chyba mi już to kiedyś wypominałaś...

– Bo nie rozumiem, dlaczego ty zawsze poświęcasz się sprawom, które z góry wydają się przegrane – powiedziała z lekką nutą niedowierzania, ale i podziwu.

– Przypomnę ci, że moje wejście do Polonorum także wydawało się bezsensowne i wbrew zdrowemu rozsądkowi, zresztą podobnie jak odkrycie tego miejsca... Dlatego tym bardziej powinnaś już wiedzieć, że trzeba mocno wierzyć w to, co pragnie się zrobić, i mieć odwagę rzucić serce za przeszkodę, nawet jeśli dla innych twoja droga będzie wydawać się beznadziejna, a wyznaczony cel jedynie złudzeniem... – odparł filozoficznie. – Kiedyś, pełniąc służbę w amerykańskich „specjalsach”, nauczyłem się bardzo ważnej rzeczy... – dodał tajemniczo.

– Jakiej? – zapytała mimowolnie Lili.

– Jest to pewne nastawienie mentalne, które wyznawała i propagowała przede wszystkim chrześcijańska część chłopaków z Delty, a które często ratowało życie osaczonym w ciężkim ostrzale operatorom jednostek bojowych czy też zwiadowcom lub snajperom, zaginionym gdzieś za linią wroga...

– Co to za nastawienie? – dociekała.

– Coś, czego niektórym z was w Polonorum ewidentnie brakuje, pomimo świetnego wykszolenia. A mianowicie: niezachwianego przekonania, że jeśli w duchu zawierzy się Bogu nawet najbardziej beznadziejną sprawę, o ile mamy w sobie dobre intencje, będące spójne z jego wolą, to On znajdzie dla nas najlepsze rozwiązanie i tak po prostu nas z tym wszystkim nie zostawi... – wyjaśniał

z powagą, nieprzerwanie odgarniając kolejne kilogramy drobnego kruszywa. – Ci żołnierze, którzy byli najmocniej wierzący, uważali nawet, że najtragiczniejsze życiowe sytuacje, które totalnie wymknęły się im spod kontroli, nie są ostatecznie ich porażkami i niepowodzeniami, ale raczej próbą od Boga, która hartuje na nowo ich charaktery i wypala w ogniu ich szlachetne usposobienia, tak jak wypala się niektóre kruszce.

– Hm... Trochę śmiałe przekonanie, jak na kogoś, kto świadomie stał się wyjątkowo śmiertelnym narzędziem, używanym do realizacji bezwzględnych i często niemoralnych, politycznych decyzji – odparła z przekorą, lecz jednocześnie była pod dużym wrażeniem tak niespodziewanie głębokich słów, na jakie zdobył się Antek.

– Wbrew pozorom „specjaliści” byli takimi samymi żołnierzami jak inni... Wypełniając swoją służbę, robili najlepiej, jak potrafili, to, co przyrzekali robić i do czego byli wyszkoleni... Szli do armii i ryzykowali życiem, bo wierzyli, że bez niej nie da się faktycznie zagwarantować w tym zdrażliwym świecie bezpieczeństwa oraz spokoju dla swoich rodzin i przyjaciół, a także całej reszty amerykańskich obywateli; nawet tych, którzy nazywali ich mordercami, jednocześnie całe życie korzystając z dobroci tego zagwarantowanego im przez armię spokoju i bezpieczeństwa. Takim właśnie niewdzięcznym pacyfistycznym i innym, żyjącym beztrudnie infantylnym pięknoduchom łatwo osądza się własnych żołnierzy, samemu siedząc na nienękaniej od dziesiątków lat przez nikogo kalifornijskiej plaży z jointem w gębie. Nie zdają sobie jednak sprawy, że właśnie armia, którą tak gardzą, od ponad półtora wieku, jako najskuteczniejsza i najpotężniejsza na świecie, zadbała o to, by amerykańskim obywatelom w ich kraju nie spadł włos z głowy... – odpowiedział obszernie.

– Czego niestety nie mogli doświadczyć w ostatnich stuleciach polscy obywatele... – wtrąciła Lili.

– Dodam jeszcze, że z niesamowitym wrażeniem i ciekawością oglądało się w akcji właśnie tych chłopaków, którzy całkowicie zawierzyli swoje życie Jezusowi. Zawsze bił od nich taki niesamowity spokój ducha, gdy własną postawą

udowadniali innym, że nic ani nikt nie jest ich w stanie zaskoczyć ani też złamać. Na ich własną prośbę bowiem Jezus już dawno przejął kontrolę nad ich całym życiem, a oni, z uśmiechem na twarzach i bez mrugnięcia okiem, biorą od niego wszystko to, co ma być im dane, nie lękając się wcale o to, co będzie potem...

– Nie obraż się, ale dwa ostatnie zdania przywiodły mi na myśl nasz polski mesjanizm połączony z ułańską fantazją... – skwitowała.

– Możesz sobie z tego drwić, ale nie widziałas tego na własne oczy i rozumiem, że możesz nie wiedzieć, o czym mówię...

– Nie drwię sobie z ciebie... Po prostu na myśl przyszło mi takie porównanie – zarzekała się z całą powagą. – A ty? Też myślisz w ten sposób? – dodała, ewidentnie zahipnotyzowana szczerością chłopaka.

– Staram się... – mruknął cicho. – Zwłaszcza w takich beznadziejnych sytuacjach jak ta – dodał już o wiele pewniej.

– Wiesz... Też jestem wierząca, ale nigdy w ten sposób o tym nie myślałam... Zawsze liczyłam tylko na siebie, a gdy coś nie szło zgodnie z moim planem, raczej uznawałam to za jakieś złe fatum albo wynik mojej głupoty... Ale teraz, gdy dałeś mi możliwość spojrzenia na to z innej perspektywy, dochodzę do wniosku, że być może na własne życzenie niepotrzebnie zostawałam z tymi wszystkimi trudnościami sama i bez niczyjej pomocy musiałam się z nimi zmagać – pod wpływem szczerości Antka podświadomie i całkiem naturalnie również otworzyła się Lili. – Wydaje mi się też, iż takie bezgraniczne przekonanie, o którym mówisz, mogło być fundamentem dla ludzi pokroju Pileckiego czy też Popiełuszki... Mam wrażenie, że od nich również, mimo że postawili swoje życie na jedną kartę, bił ten niepospolity spokój i zarazem niezłomne poczucie, iż wbrew niefortunnym zrządzeniom losu warto jest niestrudzenie walczyć za słabszych, za ojczyznę czy chociażby za wiarę i własne zasady. I choć nie zawsze ich losy toczyły się po ich myśli, mimo to zdawali się bezgranicznie pewni tego, że nawet beznadziejne momenty trzeba umieć przekuć w coś szlachetnego.

– Zgadzam się z tobą, Lili... Rzeczywiście z ich relacji wynikało, co widać też na zdjęciach czy nagraniach, że emanowali niesamowitym spokojem ducha, wynikający ze świadomości, że stawiając na swojego stwórcę, ostatecznie zawsze wygrają, nieważne, ile zła by się wkoło nie działo... Wiesz – westchnął – żal mi czasem tych ludzi, którzy z własnej dumy bądź niewiary odrzucają pomoc, która z innych czyni niezłomnych i twardych jak skała.

– Jeśli stąd wyjdziemy żywi, obiecuję, że zastanowię się nad tym głębiej... – wyznała.

– Ale musisz wiedzieć, że choć teoretycznie jest to założenie bardzo proste, to jednak w rzeczywistości niełatwe... Żeby zacząć myśleć i żyć w ten sposób, trzeba najpierw bardzo chcieć się wewnętrznie zmienić. A sama pewnie wiesz, jak trudno jest wygrać z własną próżnością, przesadną dumą czy też wybujałymi, chorymi ambicjami... Trzeba też nieustannie pamiętać, zwłaszcza będąc kimś, kto jest częścią tak elitarnej grupy jak Polonorum, że kariera nigdy nie może być celem samym w sobie. Za to wszystko, co robimy, czego się uczymy... cały nasz kunszt powinien być raczej narzędziem w ręku Boga, przeznaczonym do wartościowych spraw, a nie tylko powodem do trwania w przekonaniu, jakim jest się wyjątkowym i zajebistym... Niestety, sam z własnego doświadczenia wiem, że jest to postawa, o którą z trudem trzeba walczyć każdego dnia i codziennie uczyć się jej na nowo, i tak aż do śmierci – wyjaśnił, przerywając na chwilę pracę.

– Tego też cię nauczyli w Stanach?

– To akurat jedna z zasad, które przekazał mi mój ojciec, i zarazem jedna z niewielu, które tak dobrze utkwily mi w pamięci...

– Ja niestety nie miałam rodziców, którzy mogliby mnie nakierować... – przyznała niepewnie.

– Ale mimo to jesteś wierząca i praktykująca... Widywałem cię nieraz na niedzielnym nabożeństwie w kaplicy...

– Większość ludzi w Polonorum jest wierząca, gdyż właśnie w takim duchu wychowuje się dzieci w „Świtezi”. Ostatecznie jednak kadeci, będąc już u progu



dojrzałości, sami decydują o tym, czy chcą być ateistami, czy też może chcą zmienić sposób praktykowania chrześcijaństwa na inny niż rzymskokatolicki. W Polonorum nadal pielęgnuje się, wywodzące się jeszcze z czasów złotego wieku Pierwszej Rzeczypospolitej, wolnościowe podejście do kwestii wyznaniowej. Stąd mamy u nas również popów, pastorów oraz rodziny arystokratyczne, praktykujące najróżniejsze wyznania. Bez względu jednak na te wszystkie różnice, odmienne myśli teologiczne czy też interpretację Biblii, wszyscy zawsze działają w imię tych samych patriotycznych zasad i wszyscy bez wyjątku muszą złożyć przysięgę przed Bogiem – wytłumaczyła.

– A czemu ty wybrałaś akurat katolicyzm?

– Bo taka forma wyznawania wiary wydawała mi się najbardziej słuszna... Może dlatego, że w dzieciństwie często rozmawiałam o nurtujących mnie sprawach z naszym dobrym, starym kapłanem. Pewnie go kojarzysz... Wszyscy prześmiewczo nazywają go tu Robakiem, ale to dobry człowiek, pełen powołania i pasji.

– Wiem, zawsze dziwnie mi się przygląda, gdy przychodzę do kaplicy...

– Dużo osób w Gołuchowie dziwnie ci się przygląda... A już w szczególności żeńska część Polonorum – przyznała, śmiejąc się pod nosem.

– Taa, akurat – parsknął z lekkim zawstydzeniem, zabierając się ponownie do pracy.

– Miałam na myśli to, że ze względu na twoją historię i sposób, w jaki się do nas dostałeś, jesteś dla nich pewnego rodzaju oryginałem, żeby nie powiedzieć dziwakiem... – zażartowała. – Chociaż ja osobiście uważam, że pod piramidą znakomicie opanowałeś sytuację... Do tego masz motywującą gadkę i naturalną umiejętność przejmowania kontroli nad ludźmi, którzy natychmiast ci ufają. Byłbyś dobrym dowódcą... – dodała z uznaniem.

– Ładne mi opanowanie sytuacji, gdy w jedną noc traci się dwóch dzieciaków, którzy jeszcze dobrze nie powąchali prochu... A co do motywującej gadki, wyobraź sobie, co teraz powiedziałyby Abakiewicz, widząc cię w tej śmiesznej,

przedwojennej sukience, w środku jakiegoś zatęchłego tunelu i na dodatek kopiącą wspólnie ze mną dziurę w ścianie... – wyliczał.

– To akurat wyjątkowo nieprzyjemne wyobrażenie – odparła.

– Ale podziałało?

– Podziałało – potwierdziła, celowo imitując złowrogi ton. – Zdecydowanie zbyt wyraźnie stanęło mi to przed oczami... – dodała.

– No więc? – zapytał, widząc teraz jej minę w wyobraźni.

– Przesuń się! Wróciły mi siły! – rozkazała stanowczo. – Będę to kopać, aż mi ręce odpadną! – zarządziła. – Chociażby dlatego, żeby z dziką satysfakcją stanąć raz jeszcze przed tym fałszywym skur... – Nie kończąc słowa, równie energicznie zabrała się za rozkopywanie zasypanego tunelu.

– Dokładnie, Lili! Wracamy stąd z tarczą i nie ma innej opcji! – zapewnił, zwiększając jeszcze tempo swojej pracy.

Wspólne rozkopywanie tunelu wcale nie okazało się aż tak mozolne, jak oboje przypuszczali. Stąd przez kolejne dwie godziny udało im się przekopać niespełna trzymetrowy wąski odcinek kierujący się nieco w górę. Antek, ledwo się w nim mieszcząc, usadowił się teraz na brzuchu i ruchami przypominającymi pływacki styl klasyczny wygarniał za siebie kolejne porcje żwiru. Natomiast Lili, z powodu krwawiących mocno opuszków palców, zajęła się już tylko przerzucaniem zgromadzonego urobku, poza obręb wąskiego wykopaliska.

– Trzeba uważać, żeby się nie zawaliło... – powiedziała w końcu, ocierając ze zmęczenia umorusane czoło.

– Nie ma czasu na zabawy w BHP, trzeba działać dalej... – skomentował Antek. – Problem jedynie w tym, że coraz ciężiej mi się tu oddycha – dodał z wysiłkiem.

– To może zamienimy się stanowiskami? – zaproponowała.

– Nie! – zaprotestował stanowczo. – Jestem rozgrzany i jeśli teraz przerwę, trudno mi się będzie za to ponownie zabrać... – wyjaśnił.

– Ale jeśli całkiem zabraknie ci tam tlenu, to możesz stracić przytomność – przestrzegła ze szczerym zaniepokojeniem.

– Wiem, że to ryzykowne, Lili, ale póki co czuję się na siłach – zapewnił, nie przestając kopać ani na moment.

– Antek... Gdy pojawią się objawy niedotlenienia, może być już za późno!

– Spokojnie... Jeszcze pół metra i zrobię sobie krótką przerwę – upierał się. – Poza tym obiecałaś, że nie będziesz już dzisiaj marudzić... – przypomniał.

– Ja nie marudzę, tylko się po prostu martwię, by nie okazało się, że za chwilę będzie to o pół metra za daleko...

– Cicho! Cicho! – przerwał jej nagle.

– Co jest? – zapytała z nadzieją w głosie, natychmiast zaprzestając pracy.

– Mam wrażenie, że słyszałem odgłos jakiegoś ptaka... – odparł enigmatycznie.

– Ptaka? – Lili zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

– Tak... Jakby krzyk pawia czy coś w tym rodzaju... – doprecyzował.

– O nie! Tego już za wiele! – zdenerwowała się dziewczyna. – W tej chwili wychodź z tej dziury! – rozkazała, ciągnąc go z całej siły za nogę.

– Cicho, Lili! Nasłuchuj!

– Antek! Jakie, do cholery, pawie! Masz niedotlenienie i przez to urojenia! – Głos nagle załamał jej się ze strachu.

– Nie! Lili! Nie mam żadnego niedotlenienia... Posłuchaj! To na pewno odgłos pawia! – przekonywał.

– Nic takiego nie słyszę! Wychodź w tej chwili! Jeszcze tego brakuje, żebyś na koniec postradał zmysły! – krzyczała zdesperowanym i wyraźnie już przerażonym głosem.

Jednak chłopak wyrwał z jej uścisku swoją stopę i jak szalony począł jeszcze szybciej ryć rękami w żwirze, aż po kilku energicznych ruchach zarył paznokciami w gęstej, wilgotnej glinie.

– Wyłaź stamtąd! Już! To jest rozkaz! – krzyczała, próbując jednocześnie dostać się do niego.

Jednak gdy doczołgała się w końcu na wysokość jego bioder, z ulgą stwierdziła, iż rzeczywiście zza ściany wąskiego wykopu dochodzi do nich stłumiony, najprawdziwszy pawi śpiew.

– Słyszę! – zawołała podekscytowana.

– No widzisz! Mówiłem ci!

– Boże kochany! Myślałam, że naprawdę zacząłeś już odlatywać i tracić rozum... – Odetchnęła ciężko. – Wygląda na to, że wyjście na powierzchnię musi być już bardzo blisko! – dodała z nadzieją.

– Zgadza się, Lili, już niedaleko – potwierdził, również czując, że wraz z kolejnymi odgłosami dobiegającymi do niego ze świata żywych wypełnia go jakaś potężna siła i nieopisana radość.

– To kop! Kop szybciej, bo robi się tu coraz duszniej! – tym razem go popędzała.

– A co niby robię? – odpowiedział, podobnie jak Lili cały przepełniony ekscytacją. – Tylko żwir się skończył i trafiłem na bardzo gęstą ziemię, a to znacznie spowalnia kopanie... – dodał, a wtedy ostatnia, oddzielająca ich od powierzchni ziemista skorupa pękła i świeży powiew wieczornego wiatru wdarł się do wnętrza tunelu.

– Jest! Jest! – zawołał w końcu, słysząc już całkiem wyraźnie niosący się z oddali pawi śpiew. – Ktoś niedaleko musi mieć hodowlę tych ptaków – zauważył.

– Tak, też to słyszę! Kop dalej i spadajmy stąd! – ponaglała radośnie.

Gdy w końcu Antkowi jako pierwszemu udało się wydostać swój tors z ciasnego przekopu, z przyjemnością oraz prawdziwą beztróską, brudnymi od ziemi i krwi, czarnobordowymi dłońmi złapał za świeżą, wiosenną trawę, mówiąc:

– Na zewnątrz jest już prawie ciemno, wygląda na to, że spędziliśmy pod ziemią cały dzień.

– Ależ to wieczorne powietrze cudnie pachnie – odparła dziewczyna, gdy również wynurzając głowę na powierzchnię, wzięła głęboki, przyjemnie odprężający oddech. – Trzeba uważać, aby nas nikt nie zobaczył! W końcu nie

wiadomo, gdzie się teraz znajdujemy... – pouczyła natychmiast, wyczołgując się całkowicie z wykopanego przez Antka wyjścia.

– To jakieś otoczone chaszczami urwisko, a wkoło nas nie ma żywej duszy – zapewnił.

Rzeczywiście tunel wychodził wprost u stóp stromej skarpy, porośniętej trawą i zewsząd otoczonej gęstwina.

– To może wyjdźmy na szczyt? Stamtąd znacznie łatwiej będzie nam ocenić nową lokalizację – zaproponował.

– Dobrze, ale oczy dookoła głowy – przestrzegła.

Ruszyli więc ociężale w górę i zaledwie po parunastu metrach wspinaczki znaleźli się na szczycie. W delikatnym blasku gwiazd oraz księżyca mieniący się zroszoną trawą wzgórek sprawiał wrażenie sztucznie usypanego kopca. Był jednak o wiele wyższy i szerszy od klasycznych, znanych im starożytnych kurhanów, a do tego na jego szczycie prezentowały się dumnie, składające się z dwóch odrębnych części, ruiny jakiegoś zamku.

– Wyjątkowo urocze miejsce... – skomentował Antek, rozglądając się wkoło monumentalnego wzgórza i spoglądając na leżące u jego stóp miasto, jaśniejące teraz setkami ulicznych lamp i samochodowych reflektorów.

– Wiesz co? Dla mnie, po o tych wszystkich godzinach spędzonych w ciemności, nawet widok tych drzew i krzaków na dole był piękny – odparła, nadal jeszcze obficie napawając się chłodnym, wieczornym powietrzem.

– Chociaż w takiej chwili mogłabyś być trochę bardziej romantyczna... – zaśmiał się chłopak.

– Trudno być romantyczną, gdy wygląda się i cuchnie jak kocmołuch... – odparła, pociągając zadziornie Antka za umorusany ziemią nos.

– Teraz pytanie: gdzie jesteśmy i która jest godzina? – zreflektował się nagle chłopak, zdając sobie sprawę z tego, że po chwili euforii ponownie trzeba wrócić na ziemię.

– O ile się nie myłę, dochodzi dwudziesta, a my jesteśmy nadal na Białorusi, a dokładnie w Nowogródku – oznajmiła pewnym tonem.

– Tunel doprowadził nas aż tutaj? Po czym poznajesz?

– Po pobliskich wzniesieniach i ogólnym układzie miasta. A to zapewne niegdysiejszy zamek nowogródzki – wskazała wzrokiem w stronę ruin.

– Nieźle...

– Nieźle? – zdziwiła się. – Ty też powinieneś znać to z kartografii. Zwłaszcza że, zdaje się, dopiero co miałaś pisać egzaminy... – Pogroziła palcem.

– Jeśli chodzi o kartografię i topografię, nigdy nie uczę się map na zapas, a jedynie wtedy, jeśli potrzebne mi są one do jakiejś konkretnej akcji. Po co zaśmiecać głowę gigabajtami zbędnej wiedzy... – skwitował.

– No proszę... Nie dość, że niezdyscyplinowany, to do tego jeszcze leser. – Roześmiała się.

– A ty zamiast mnie musztrować, lepiej pomyśl, jak się teraz stąd wydostać... Zwłaszcza w tym stanie: bez pieniędzy, czystych i normalnych ubrań oraz dokumentów i sprzętu...

– O to się nie martw... To stare polskie miasto... Na pewno w pobliżu mamy tu jakąś komórkę – powiedziała pewna siebie jak dawniej. – Musimy tylko skołować jakiś smartplaster...

– Jesteś pewna, że powinniśmy właśnie teraz skontaktować się z dowództwem i wrócić do Polski? – zapytał niepewnie.

– Po tak spektakularnym odkryciu oraz zdobyciu tylu cennych informacji? Oczywiście, że tak! – odparła takim tonem, jakby to było niepodważalnie oczywiste.

– A co ze sprawdzeniem tego adresu w Moskwie?

– Najpierw trzeba złożyć raport z odnalezienia grobowca oraz syna Katnica, a o dalszym sprawdzeniu informacji podanych nam przez kadyrowca zdecyduje już dowództwo – twardo stała przy swoim Lili.

– Ja myślę, że można by raz jeszcze skorzystać z pomocy Zosi i spróbować doprowadzić tę sprawę do końca. Przecież po to tu przyjechaliśmy... – nie odpuszczał.

– Antek, nie ma mowy! – zagotowała się dziewczyna. – Uwierz mi... Nie chcę się z tobą znowu kłócić, ale to, co proponujesz, to istne przeciąganie struny... – złagodziała nieco ton. – Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że nie dość, że tropi nas nasza własna agencja, to jeszcze po blamażu pod piramidą i wydarzeniach w nocnym klubie Diektiara zapewne na gwałt informacji o nas poszukują teraz Holda oraz Czerwone Siłowniki.

– Cicho! Ktoś tu idzie – przerwał jej nagle, słysząc wzmagające się śmiechy dobywające się zza ceglanych murów zamku.

– To pewnie jakieś miejscowe dzieciaki idą tu na jointa i flaszkę – zauważyła Lili.

– Więc zwijajmy się stąd – zarządził. – Wyglądamy, jak wyglądamy... Lepiej nie wzbudzać niepotrzebnych sensacji i podejrzeń – dodał przezornie.

– Ale najpierw wróćmy do tunelu i zasypmy go, ile zdołamy. Miejmy nadzieje, że nikt się nim nie zainteresuje, do czasu aż zabezpieczą go nasi ludzie.

– Czyli z Moskwy nici? – odparł z niezadowoleniem, szczerze niepokieszony tym, że próba namówienia Lili na kontynuowanie akcji spełzła na niczym.

– Tak! Nici... – powtórzyła stanowczo. – Koniec tematu! Żeby cię jednak nieco pocieszyć, przyznam ci się do czegoś... – sprytnie zmieniła ton na wyjątkowo pieszczotliwy niczym matka, która próbuje przekupić wrzeszczące w miejscu publicznym dziecko kawałkiem czekolady.

– Niby do czego? – odparł mimowolnie.

– Zamek, który widziałeś na szczycie, był prawdopodobnie miejscem chrztu Mendoga oraz główną siedzibą w latach jego panowania... Wiem, bo o tym też przeczytałam, gdy szukałam informacji na temat Świtezi – wyznała.

– Ha! – ucieszył się chłopak. – Czyli jednak moja hipoteza o tym, że tunel w rzeczywistości prowadził do mitycznego grodu stojącego niegdyś w miejscu

dzisiejszej Świtezi wcale nie jest taka bezpodstawna. – Rozchmurzył się nieco, ciesząc się z uzyskanej satysfakcji, ale zarazem naiwnie łykając marchewkę podstawioną mu przez Lili.

– No... Chyba muszę przyznać, że może być w tym trochę prawdy... – potwierdziła niechętnie, po czym oboje, okrutnie wykończeni, zabrali się za zasypywanie i maskowanie dopiero co rozkopanego wyjścia z tunelu.

\*\*\*

Dochodziła północ, gdy agenci – po odbyciu ekspresowej kąpieli w niewielkim stawie, znajdującym się na skraju miejskiego parku usytuowanego u podnóża zamkowego wzniesienia – wybrali się na dyskretną obserwację terenu. Po około trzech godzinach w okolicach kolejnego wzniesienia, czyli kopca Adama Mickiewicza, natknęli się na małą grupę miejscowej młodzieży, która, jak wynikało z rozmowy, celebrowała urodziny jednego z nich. Gdy w wkrótce spostrzegli, iż mocno wstawiony solenizant, ewidentnie nie dotrzymując tempa nieoszczędzających go kolegów, zniknął w pobliskich krzakach, Lili dyskretni obeszła go od tyłu i gdy ten próbował ulżyć swojemu żołądkowi, całkowicie niezauważenie wyciągnęła mu starego, wysłużonego już smartfona wprost z tylnej kieszeni spodni.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam coś takiego w ręku... – powiedziała, idąc z uśmiechem na twarzy i pokazując Antkowi swoją zdobycz.

– Niezła cegła, ale przynajmniej bateria niezależna i nie musisz go non stop naklejać, by łądował się od temperatury twojego ciała.

– No... Mnie też czasem męczą już te smartplastry. Niekiedy wydaje mi się wręcz, jakbym była ich niewolnikiem... – Westchnęła.

– Dlatego ja często ściągam go całkowicie na kilka godzin i nie dbam o to, czy się wyładował, czy nie...

– Super, tylko potem nie można się do ciebie dodzwonić... A w naszej robocie trzeba być cały czas w zasięgu – pouczyła go pani kapitan.



– Do momentu przyjscia do Polonorum nie przeszkadzało mi to, gdyż mało kto do mnie w ogóle dzwonił – przyznał.

– No to nie masz wyjścia, jak tylko zmienić swoje nawyki... – Dziewczyna znów pogroziła palcem, po czym oboje ponownie udali się na zbocze zamkowego wzgórza. – Nie uda nam się go odblokować – stwierdziła Lili po kilku daremnych próbach odtworzenia hasła. – Musimy to zrobić innym sposobem – dodała, po czym niespodziewanie odrywając od jedwabnej sukienki jeden z ozłacanych guzików, z całych sił wbiła jego ostrą krawędź w swój mięsień piszczelowy.

– Co ty robisz? – zapytał zdumiony Antek, widząc, jak dziewczyna wyciąga coś małego i czarnego z obficie krwawiącej rany.

– To jest ukryta w mięśniu i zabezpieczona, biodegradowalna jednorazowa karta SIM. Przez to, że jest przyklejona do kości piszczelowej oraz zabezpieczona specjalną folią, nie utlenia się i jest praktycznie nie do wykrycia. Nie słyszałeś nigdy o tym? – zdziwiła się.

– Słyszałem, ale nie wiedziałem, że je macie – przyznał.

– Owszem, mamy, właśnie na wypadek takich sytuacji jak ta... To bardzo zaawansowana technologia, dlatego używamy jej w ostateczności. Można z tej karty wykonać zaledwie jedną, piętnastosekundową rozmowę w celu podania dowództwu swojej lokalizacji. Potem karta ulega samoistnej dezaktywacji i się rozpada.

– Myślisz, że zadziała na tym prehistorycznym rzęchu?

– Spróbujemy... – odparła w skupieniu i zaledwie po kilku minutach majsterkowania wybrała nieznaną Antkowi, krótki numer. Gdy tylko pojawił się sygnał, wypaliła jednym tchem: – Melduje się agentka Lili, numer: 352862305524835. Proszę o uruchomienie procedury JR6, dwie osoby, lokalizacja nie ulegnie zmianie. Status akcji pilny.

– Przyjąłem. Obserwujcie uważnie teren, ktoś niebawem się po was zgłosi – odpowiedział niski gruby głos, po czym połączenie zostało zerwane.

– Idealny raport, pani kapitan, wręcz książkowo – zażartował Antek, patrząc na surową minę Lili, która jakby podświadomie pojawiła się na jej twarzy w trakcie rozmowy.

– Ty się nie śmiejesz, bo na egzamin też to powinieneś umieć – zripostowała. – Mów mi tu zaraz, co oznacza procedura JR6!

– Odbiór agenta z niezagrażającymi życiu obrażeniami, bez swobodnego dostępu do wody pitnej i jedzenia, bez odpowiedniego ubrania, dokumentów, środków płatniczych oraz broni, na terenie kraju o wrogim nastawieniu wywiadowczym – wyrecytował posłusznie.

– Dobrze – pochwaliła go. – Pamiętaj, że nie będę w mojej grupie tolerowała nieuctwa – dodała, prezentując na powrót swoje, dobrze już znane Antkowi, surowe spojrzenie.

– Swoją drogą mieliśmy kupę szczęścia, że ta banda nawalonych dzieciaków nie trafiła przed nami na jakiś patrol lokalnej milicji. Białoruś to państwo policyjne i takie zakrapiane, nocne wypadki często kończą się w areszcie. Zwłaszcza od czasu gdy Łukaszenko został zmuszony przekazać część swojej władzy nad krajem w ręce zależnego od Kremla, rosyjskiego gubernatora – zauważył Antek.

– Widocznie twoje żołnierskie szczęście nam nadal sprzyja... – skomentowała Lili, kładąc się plecami na trawie i zamykając przy tym oczy. – Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że się na chwilę zdrzemnę? – dodała.

– Nie ma sprawy, będę stał na warcie – odparł pewnie, jednak w głębi duszy miał ochotę przed chwilą zadać to samo pytanie.

Skrajne wycieńczenie i jemu niemiłosiernie dawało się we znaki, szczęśliwie jednak nie minął nawet kwadrans czuwania, gdy na dróżce prowadzącej do wzgórza pojawił się zniecka stary, obrzydliwie żółty tarpan z szarą plandeką i terkoczącym przeraźliwie, wysłużonym silnikiem.

– A to co znowu za goście? – zapytał Antek, szturchając Lili i przyglądając się niecodziennemu widokowi, jakim był ten dawno już zapomniany przez ludzi w Polsce, socjalistyczny cud techniki.

– To pewnie kolejni imprezowicze, szukający ustronnego miejsca na melanz – odpowiedziała zaspanym głosem.

Tarpan stał jednak dalej i oświetlał słabymi, mocno już pożółkłymi reflektorami błotnistą, nieutwardzoną drózkę.

– Pójdę to sprawdzić. Może to jednak nasz łącznik? – postanowiła w końcu Lili, podrywając się energicznie z ziemi.

– Lepiej, jak ja to zrobię... Rzeczywiście mogą to być jacyś miejscowi, dobrze zatankowani już balangowicze.

– No i co z tego? – fuknęła ostrzegawczo.

– To, że mogą się tobą za bardzo zainteresować...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sorry, Lili, ale o tej porze i w tej marnej sukieneczynie oraz bosych stopach wyglądasz, jakbyś ewidentnie szukała wrażeń... Mogą to chcieć wykorzystać, a ja nie chcę, żebyś komuś zrobiła dziś krzywdę – wyjaśnił.

– A jeśli to łącznik? Możesz go spłoszyć, jeśli cię nie pozna...

– A ciebie niby pozna?

– Nie wiem, nie znam zbyt wielu agentów z tej delegatury. Bardziej prawdopodobne jednak, że przekazano mu opis mojej osoby – wyjaśniła.

– No dobra, idź... Tylko ostrożnie – przestrzegł.

Gdy tylko Lili zaczęła powoli schodzić ze zbocza, drzwi tarpana natychmiast otworzyły się z głośnym zgrzytem i na zewnątrz wygramoliła się z niego starsza, około siedemdziesięcioletnia kobieta w czarnej chustce na głowie oraz niebieskiej podomce w drobne czerwone kwiatki. Pani kapitan, widząc to, zatrzymała się na chwilę i zaczęła przyglądać się nieznajomej podejrzliwie. Ta z kolei odpaliła papierosa, oparła się jak gdyby nigdy nic o błotnik swojej archaicznej maszyny i przekrzykując łoskot wysłużonych tłoków, zawołała po polsku:

– No i co tak patrzysz? Ile jeszcze będę na was czekać...

Lili, zdumiona tym bezpośrednim zapytaniem, odwróciła się więc ze zdumieniem w stronę Antka, a potem znów skierowała twarz w stronę tajemniczej

babuni, po czym zapytała ją równie surowo:

– Podaj mój numer i szczegóły wezwania!

– Chyba zgłupiałaś, dziewczyno! – odparła bez krzty pokory staruszka. – Żeby w moim wieku musiała jeszcze zaprzętać sobie głowę takimi pierdołami – odburknęła z niezadowoleniem. – To ty jesteś Lili? – dodała.

– Tak... – potwierdziła niepewnie dziewczyna. – Skąd wiedziałaś, że...

– Skąd wiedziałam, że jesteś od nas? – przerwała staruszka. – A wiesz, co to jest stara szkoła? – zapytała retorycznie. – Już z daleka dostrzegłam po twoich ruchach, że wali od was agenturą na kilometr... Dlatego wołaj tu tego swojego chłoptasia i wskakujcie na pakę, nim się ktoś nami tu zainteresuje. Migiem! – rozkazała, wskazując wzrokiem na Antka, który przyglądał się im z oddali.

Lili machnęła więc ręką w jego stronę, a sama ostrożnie podeszła do starszej kobiety.

– Na pace są skóry owczę, wożę je raz w tygodniu do Grodna. Zabierzcie się tam ze mną, a następnie ktoś was już stamtąd przejmie. W razie gdyby była jakaś kontrola na drodze, po prostu schowajcie się pod skórą i gęby na kłódkę! – wytłumaczyła.

– A masz dla nas jakąś broń? – zapytała Lili podejrzliwie.

– Nie, nie dostałam takiego polecenia... – odpowiedziała szorstko staruszka.

– A masz cokolwiek dla nas?

– Tak, mam wodę... – wyjaśniła, jedną ręką sięgając do szoferki i wyciągając z niej niewielką mineralkę. – I jeszcze jedno – dodała babcia, ostentacyjnie wciskając butelkę w rękę Lili – nie jesteśmy na ty, dziecinko! – burknęła nieprzyjemnie, wyrzucając na ziemię dopalającego się papierosa.

– Dobry wieczór pani! – Antek dobiegł do kobiet, uśmiechając się szeroko.

– O! Przynajmniej jeden dobrze wychowany – skomentowała jego przybycie staruszka, uśmiechając się nieznacznie pod nosem. – A teraz ładować się na pakę! Za dwie godziny powinniśmy być w Grodnie. Tylko grzecznie mi tam z tyłu! Nie

życzę sobie żadnych zbereźnych zabaw i igraszek w moim aucie – rozkazała surowo, po czym niezwykle żywo i sprawnie wskoczyła za kierownicę.

– Niezła babeczka, co nie? – powiedział żartobliwie chłopak, wskakując za drewnianą burtę bagażnika i podając rękę Lili.

– Taaa... niezła – odpowiedziała z westchnieniem dziewczyna, resztkami się wdrapując się do środka i bez dalszego zwlekania odkręcając upragnioną od wielu godzin wodę mineralną.

Okazało się, że na pace jest dość ciasno, gdyż ładunek składający się wyłącznie z cuchnących baranich skór zajmował sporo miejsca. Antek zakopał się więc głęboko pod nimi, namawiając do tego również Lili, jednak ta, z początku niechętna, zmieniła zdanie dopiero wtedy, gdy przekonała się, że Antkowi rzeczywiście jest tam wyjątkowo ciepło i wygodnie.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak wyczerpana... – wyznała. – A plecy bolą mnie jak po tygodniowej selekcji przebytej w pełnym rynsztunku.

– Mnie też... Trzydziestka się zbliża i z każdym kolejnym dniem kręgosłup zaczyna bardziej dawać o sobie znać... – przyznał. – Ale jeśli chcesz, możesz się o mnie oprzeć, będzie ci wygodniej – zaproponował.

– Dzięki... Nie trzeba – odparła, lekko zmieszana propozycją.

– No już nie bądź taka sztywna, przecież cię nie ugryzę – namawiał, na co Lili po chwili zastanowienia, z lekko speszoną miną, położyła w końcu głowę na jego klatce piersiowej, a po kolejnych sekundach ewidentnej walki z samą sobą lewą ręką objęła go za szyję.

– No i widzisz? Mówiłem, że będzie ci wygodnie... – Antek się uśmiechnął.

– Wiesz, że jak pochwalisz się o tym jakiemuś kumplowi w agencji, to cię...

– Wiem, wiem, Lili... Już nie pierwszy raz mi grozisz. – Zaśmiał się, wyprzedzając jej słowa.

Jechali tak sobie w ciszy przez kilka minut, bujani na skrzypiących resorach wiekowego, peerelowskiego pick-upa, upajając się zasłużonym odpoczynkiem. Jednak Antek, chcąc jeszcze bardziej wykorzystać tę niecodzienną sytuację, która

mogła się nieprędko – a może i wcale – przytrafić, aby zapobiec morzącej ich senności, na powrót rozpoczął rozmowę.

– Chyba jeszcze do mnie nie dotarło, co się tak naprawdę wydarzyło przez te wszystkie ostatnie dni, od momentu gdy przysłali cię po mnie przed egzaminami...

– No... Coś niesamowitego – przyznała Lili. – Dlatego dziękuję ci raz jeszcze za to wszystko... – Westchnęła sennie. – I muszę przyznać, że choć z jednej strony totalnie wkurza mnie to, że działasz tak nieodpowiedzialnie i pochopnie, to jednak z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że gdyby nie ten twój upór, improwizacja i spontaniczne pomysły na akcję, z pewnością nie leżelibyśmy sobie tutaj teraz, niemal w pełni usatysfakcjonowani...

Dziewczyna powiedziała to tak szczerze, że Antek naprawdę poczuł, jak serce rośnie mu w piersi do rozmiarów serca żyrafy.

– Czyli jednak to, że się pojawiłem, nie było największym nieszczęściem w twojej dotychczasowej karierze? – zapytał łakomie, czując, że jego nieposkromione ego ma jeszcze apetyt na więcej.

– Nie... Największym z pewnością nie. – Zaśmiała się i chcąc poprawić zdrętwiałą nogę, aby było jej wygodniej, niespodziewanie zarzuciła ją na biodro Antka.

– Aua!! – zaskowyczał, podrywając się jak oparzony.

– Co jest? – zaniepokoiła się dziewczyna i zarazem nieco zawstydzila swoim śmiałym posunięciem.

– Nic takiego, to tylko ta rana po śrutówce, z której wypalił do mnie stary esbek. Zabrudziła się i zaczęła trochę ropieć – wyjaśnił.

– Sorry, kompletnie o tym zapomniałam... Powinieneś to sobie jak najszybciej odkazić, bo jeszcze wda się zakażenie – przestrzegła.

– Spoko, luz... Nic się nie stało. Możesz oprzeć sobie nogę, byleby lekko... – zaproponował, kładąc zachęcająco dłoń na jej udzie. – Zresztą ojciec zawsze mówił, że jak człowieka coś boli, to przynajmniej się wtedy nie nudzi... – Roześmiał się na głos, przypominając sobie jakieś odległe zdarzenie z dzieciństwa.

– Pewnie tęsknisz za rodzicami... – powiedziała szczerze zainteresowana tym wspomnieniem, starając się jednocześnie nie walczyć już ze swoją wrodzoną zachowawczością i na powrót kładąc ostrożnie swoją nogę na jego biodrach.

– Tęskniłem, jak byłem mały... Bardzo tęskniłem. – Westchnął. – Teraz już wcale... Czasem tylko w powtarzającym się jak mantra śnie mam wrażenie, że widzę ich jak żywych... Nie mogę z nimi jednak ani porozmawiać, ani spojrzeć w ich twarze... To jest megarozczarowujące i nieprzyjemne uczucie... – zwierzył się.

– Dobrze ich pamiętasz?

– Nie najgorzej... Chociaż z każdym rokiem wspomnienia o nich jakby coraz bardziej bledną i stają się mniej szczegółowe... W końcu gdy zginęli, miałem niespełna dziesięć lat.

– Widzisz... Ja chciałabym mieć przynajmniej te niespełna dziesięć lat z moimi rodzicami... – Lili westchnęła ciężko, podświadomie mocniej przytulając się do Antka.

– Tylko że to nie było tak, że cały ten czas spędziłem z nimi... Rodzice dużo pracowali dla organizacji i bardzo często wyjeżdżali, nawet na kilka tygodni. Tak naprawdę czas spędzałem więc głównie z dziadkiem. Natomiast większość ciekawych opowieści o moich rodzicach przekazał mi dopiero Bona, gdy przygarnął mnie i zajął się moim wykształceniem – sprecyzował.

– Jacy oni byli?

– Wiesz, że jesteś dopiero drugą osobą, której o tym mówię? – odpowiedział pytaniem na pytanie Antek.

– Jeżeli to komplement, to bardzo mi miło – odpowiedziała ze szczerym uśmiechem, spoglądając na niego spod brody.

Chłopak przytaknął twierdząco i wpatrując się w zamyśleniu w szeleszczącą na wietrze plandekę, powiedział:

– Mój tata miał na imię Ksawery, Ksawery Miko...

– Hm... Dostojne imię, a mama?

– Mama miała na imię Irena. Była dużo młodsza od ojca...

– Jaka różnica wieku ich dzieliła?

– Hm... Niech policzę... Tata w dniu śmierci miał pięćdziesiąt pięć lat, czyli urodził się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, a mama miała wtedy zaledwie trzydzieści, czyli rocznik osiemdziesiąty – wyteżył pamięć.

– Dwadzieścia pięć lat to rzeczywiście spora różnica. Gdzie w takim razie na siebie trafili? – dociekała, coraz bardziej zaciekawiona tą historią.

– W organizacji, oczywiście. Ojciec był jej oficerem prowadzącym.

– Hm... Romans na służbie – skomentowała Lili, zamyślając się na chwilę.

– Na to wygląda... Mama zawsze powtarzała, że zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, to znaczy od pierwszego zadania. I że zawsze nudziły ją młode chłystki z jej rocznika... – Roześmiał się, przywołując z pamięci słowa, które zawsze powtarzała podczas towarzyskich spotkań z odwiedzającymi ich niekiedy przyjaciółmi z organizacji.

– Urocze... Z drugiej strony wychodzi na to, że twój ojciec musiał być niezłym Casanovą, skoro uchwycił się w kawalerskim stanie przez tyle lat...

– Szczerze mówiąc, nie wiem... Rodzice niewiele mówili o tym, co działo się z nimi przed tym, jak się poznali.

– Z twoich obliczeń wywnioskowałam, że zmarli w dwa tysiące dziesiątym roku, zgadza się?

– Tak, oficjalnie zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach...

– A tak naprawdę? Co się takiego z nimi stało?

– W lokalnych gazetach stwierdzono, że to był zwykły wypadek samochodowy, ale my z dziadkiem i Boną doskonale wiedzieliśmy, że zostali zamordowani...

– A dziadka też tak dobrze pamiętasz? – szybko zmieniła wątek Lili, dostrzegając, że Antkowi nieznacznie załamał się głos.

– Tak, oczywiście, dziadek opiekował się mną jeszcze ponad pół roku od śmierci rodziców. Nazywał się Ignacy Miko i był naprawdę wspaniałym człowiekiem. Wprost uwielbiałem z nim spędzać czas – przyznał, podświadomie



robiąc przy tym błogą minę. – A ty, Lili? Ile masz lat? – zreflektował się nagle, zdając sobie sprawę, że w kółko mówi tylko o sobie.

– Ja jestem rocznik dziewięć dziewięć. Jestem więc już starą panną z trójką z przodu – zadrwiła sama z siebie.

– Nie przesadzaj, trzydziestki są najlepsze... – Uśmiechnął się podejrzanie chłopak. – A jaki miesiąc? – dodał z zaciekawieniem.

– Wychowankowie „Świtezi”, oddani do szkolenia w trybie anonimowym, nie mają podanego w metryce miesiąca urodzenia. Robi się tak dla bezpieczeństwa programu i zachowania anonimowości kadetów – wyjaśniła posępnie.

– To kiedy obchodzicie urodziny? – zapytał zaskoczony tą informacją.

– Symbolicznie z początkiem każdego nowego roku, czyli pierwszego stycznia. – Roześmiała się, wiedząc, co za chwilę usłyszy w riposie.

– Tylko nie mów mi, że w naszą pamiętną noc sylwestrową w Bieszczadach sprawiłem ci manto we własne urodziny...

– No... Można powiedzieć, że tak – odparła potulnie, wtulając głowę w klatkę Antka i o dziwo nie mając wcale ochoty na jakiegokolwiek utarczki słowne.

– No to już wiem, czemu byłaś wtedy taka wściekła – zaśmiał się, mierzwiąc jej pieszczotliwie tłuste i posklejane od brudu włosy.

– Racja... – przytaknęła z uśmiechem dziewczyna. – Rzeczywiście mieliśmy wtedy zamiar poświętować trochę po naszym powrocie z rutynowego przechwycenia was, jednak, jak się prędko okazało, wywróciłeś nasz idealnie poukładany świat do góry nogami...

– Wasz czy twój?

– Oj przestań... – zawstydziała się. – Miałeś, zdaje się, opowiadać o swoim dziadku – przypomniała.

– No tak... Na czym to ja stanąłem?

– Mówiłeś o tym, jak cię wychowywał po śmierci rodziców – naprowadziła go szybko Lili.

– No więc mój dziadek Ignacy był wyjątkowym człowiekiem i można powiedzieć, że jak na swój wiek wciąż był pełnym pasji do tego, co robił.

– Ile miał lat?

– Zaskoczę cię, ale gdy go pochowałem, miał dziewięćdziesiąt dziewięć...

– Serio? Czy nabijasz się ze mnie? – Lili z podejrzeniem podniosła wzrok na Antka.

– Poważnie mówię... Ale mimo tak słusznego wieku do końca trzymał się bardzo dobrze. Zawsze powtarzał, że ludzie z rocznika tysiąc dziewięćset jedenastego są nie do zajechania, gdyż sporo jego kolegów jeszcze żyło...

– Pochowałeś go samemu w tak młodym wieku?

– Tak, ten czas pamiętam akurat bardzo dobrze... Pewnego grudniowego dnia dwa tysiące dziesiątego roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, dziadek po prostu po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie wstał z łóżka. Następnie kilka dni leżał bardzo osłabiony, a zaledwie dzień przed śmiercią przekazał mi notes, w którym szczegółowo opisał kilka wariantów instruujących mnie, w jaki sposób mogę skutecznie i niepostrzeżenie wydostać się z Rosji i odszukać Bonę.

– Wydostać się z Rosji? – powtórzyła zdumiona, a w tym samym czasie stary tarpan podskoczył gwałtownie na jakiejś nierówności, jak gdyby sam był zaskoczony tak zuchwałą opowieścią. – Myślałam, że w Rosji ukrywał się tylko twój dziadek, i to jedynie w trakcie prześladowań zorganizowanych przez Katnica, zaraz po wojnie – dodała zaskoczona.

– Oj nie... Wszystko, o czym ci do tej pory powiedziałem, wydarzyło się w Rosji... – Westchnął. – Ale powinienem był wspomnieć o tym na początku – przyznał. – Bo widzisz, mój dziadek, który jeszcze w czasach dwudziestolecia międzywojennego rozpoczął swoją działalność w Polonorum, uciekając do Rosji w trakcie prześladowań, został w niej już na dobre... Do niedawna wiedziałem tylko, że ścigany przez ludzi z NKWD celowo dostał się do transportu polskich jeńców, których masowo wywożono na Syberię, aby zmylić trop pościgu, jednak po wykładzie generała Walewskiego, jaki miałem okazję wysłuchać tuż przed naszą

akcją w Sztynorcie, wiem już, że miało to związek z nagonką, jaką na członków Polonorum urządził sobie w tamtym okresie Katnic. Bądź co bądź, to właśnie wtedy mój dziadek, rzecz jasna dla bezpieczeństwa, zmienił też swoje nazwisko na Miko...

– Czyli, że Miko to nie jest wasze prawdziwe nazwisko? – zapytała jeszcze bardziej zdumiona.

– Nie – odpowiedział krótko Antek.

– Niesamowita historia... Więc jak naprawdę nazywał się twój ród?

– Nie mam pojęcia, dziadek nigdy o tym nie mówił, to był w naszej rodzinie zawsze temat tabu. Rozumiesz... takie skrzywienie starego agenta, który musiał opuścić swój ukochany kraj, aby nadal pozostać w czynnej konspiracji. Dziadek był wyjątkowo przewrażliwiony na tym punkcie i zawsze bardzo ostrożny, aż do samej śmierci. Tak więc ja i moi rodzice byliśmy zmuszeni odgrywać w Irkucku, gdzie mieszkaliśmy, rolę zwykłych, zesłanych Polaków o nierzucającym się w uszy nazwisku...

– I nie próbowałaś się dowiedzieć, jak się naprawdę nazywałeś?

– Teraz nazywam się Miko, i to mi wystarczy... Czy coś by to zmieniło, gdybym dowiedział się, że nazywałem się inaczej? – Zaśmiał się, a Lili zrobiła nietęgą minę, zdając sobie właśnie sprawę, że nie miał podobnej do niej manii dociekania za wszelką cenę swojego prawdziwego pochodzenia. – Albo czy byłaby to dla mnie jakaś różnica – kontynuował – gdyby moi bliscy podpisywali się innym nazwiskiem? Uwierz mi, dla kilkuletniego chłopca takie rzeczy nie grają roli. Wtedy liczy się tylko to, że twoi bliscy są blisko ciebie...

– No tak... – przytaknęła nieśmiało – chociaż ja nigdy nie doświadczyłam tego uczucia, no może tylko przez chwilę, w okresie, kiedy miałam jakiś roczek albo dwa... Jednak nic z tego czasu nie pamiętam... Organizacja ma swoje sposoby na resetowanie pamięci u dzieci, nawet takich dwu- albo trzy- letnich – dodała jeszcze bardziej zmieszana.

– Może kiedyś stworzysz własną rodzinę i odbijesz sobie ten stracony, rodzinny czas?

– Hm... Może... – Dziewczyna westchnęła w zamyśleniu, po czym natychmiast dodała: – No ale ty mów dalej!

– No to skoro jesteś taka dociekliwa, chyba opowiem ci już wszystko, co wiem o mojej przeszłości, od samego początku – zaproponował, ciesząc się, że zanosi się na dłuższą rozmowę.

– Mów śmiało! Z chęcią posłucham. Ja nie mam niestety swoich historii rodzinnych, to chociaż posłucham sobie o twoich... Poza tym, gdy opowiadasz, podróż tym wozem drabiniastym wydaje się o wiele przyjemniejsza.

– No więc – zaczął z namysłem, jakby chciał sobie to wszystko poukładać chronologicznie – pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku, jak wspomniał na odprawie generał, gdy nasza organizacja wciąż stała na krawędzi unicestwienia, a agenci byli bezwzględnie tropieni i mordowani, mój dziadek, już z nową tożsamością, odbudowywał mozolnie siatkę szpiegowską na terenie ZSRR. Pamiętam, że tłumaczył, że pod latarnią zawsze najciemniej. No i rzeczywiście tak było. Katnic i jego kacapy nigdy nie domyślili się, że do śmierci ukrywał się tuż pod ich nosem. Pierwsze miesiące po zesłaniu dziadek Ignacy spędził jednak, pracując niewolniczo w jednym z rosyjskich łagrów. Tam też poznał moją babcię, której niestety nie miałem okazji spotkać, gdyż zmarła zaledwie kilka dni po urodzeniu mojego ojca. Wiem jednak, że miała na imię Anna i trafiła do obozu na skutek protestu, jaki jej bliscy wszczęli wobec władz Związku Radzieckiego w celu odzyskania odebranego im majątku, będącego potężną ordynacją na kresach wschodnich w przedwojennej Drugiej Rzeczypospolitej.

– Wiesz może, z jakiej rodziny pochodziła?

– Dziadek i w tym przypadku, dla bezpieczeństwa, nigdy nie zdradził jej nazwiska panińskiego, ale interesował się heraldyką i wspomniał mi kiedyś, że wywodziła się z rodziny książęcej, a jej drzewo genealogiczne sięgało jeszcze do

czasów rycerzy Bolesława Chrobrego, zamieszkujących niegdyś tereny nadwiślańskie, w okolicach dzisiejszego powiatu proszowickiego.

– Nieźle, zacne korzenie... – skomentowała z podziwem, poprawiając sobie głowę na torsie Antka.

– Może i zacne, ale nie pomogły jej one zbyt w życiu... Niestety, jako młodziutka, a co gorsza wyjątkowo delikatna i nieprzyzwyczajona do trudnych, obozowych warunków arystokratka od samego początku ciężko przechodziła zsyłkę... Co prawda dziadek, najpierw opiekując się nią w łagrze, a następnie ją z niego wyciągając, przedłużył jej nieco życie, ale niestety nie nazbyt długo.

– Twoja babcia wiedziała o istnieniu Polonorum?

– Nie... Chociaż dziadek, pod przykrywką zwykłego handlarza dziczyzną i mieszkającego w odludnych odstępach leśnych odosobnionego trapera, żyjąc z nią pod jednym dachem, stale zajmował się odbudową naszej siatki agenturalnej w Związku Radzieckim. Nigdy jej o tym nie powiedział, gdyż, jak sam potem twierdził, wciąż obowiązywała go tajemnica służbowa, z której w jej przypadku nie został zwolniony, a po wtóre, wiedza ta mogłaby okazać się dla niej śmiertelnie niebezpieczna. Tak więc, całkiem nieświadoma, żyła sobie u boku mojego dziadka, co prawda w wyjątkowo trudnych, syberyjskich warunkach, ale za to ciesząc się wolnością, którą mu zawdzięczała, i miłością, którą ją otaczał. Niestety po drastycznych przejściach w stalinowskim łagrze babcia miała duże problemy z zajściem w ciążę, a gdy w końcu jej się to udało, zmarła jeszcze w trakcie połogu z powodu wycieńczenia chorobami ciągnącymi się za nią od czasów obozu. Tata mówił mi kiedyś, że dziadek bardzo przeżył jej śmierć, ale nie miał innego wyjścia i musiał, pomimo tej przytłaczającej straty, wychować go samodzielnie, od niemowlęcia do wieku dziesięciu lat. Następnie zaś, jak się niedawno dowiedziałem, wysłał go do Polski na szkolenie, aby zasilił rodzące się w Polsce na nowo Polonorum.

– Gdy się do nas dostałeś, słyszałam, jak komentowano w Sali Rotmistrzowskiej, że twój ojciec był oddany na szkolenia świadomie, z rodu – zaznaczyła Lili.

– Zgadza się... ale Bona opowiedział mi o tym dopiero wtedy, gdy leżałem w szpitalu w Gołuchowie.

– To oczywiste... Wcześniej przecież nie mógł wyjawić ci tak szczegółowych informacji. Mów... Co było dalej? – ponaglała.

– No więc ojciec ponoć był bardzo utalentowany i zapowiadał się na bardzo dobrego agenta. Z czasem został wydelegowany do Związku Radzieckiego, prowadząc działania podczas zimnej wojny, a po pieriestrojce także w latach dziewięćdziesiątych oraz dwutysięcznych, no i w sumie aż do śmierci. Oczywiście w międzyczasie, w dwutysięcznym roku urodziłem się ja, tak więc wtedy moi rodzice osiedli na stałe w Irkucku, by być względnie niedaleko dziadka, który nieustannie zamieszkiwał chatkę w leśnej głuszy, znajdującej się w tamtejszym okręgu.

Antek zamilkł na chwilę na wspomnienie rodzinnego domu, który stanął mu teraz przed oczami, po czym westchnął głęboko i kontynuował:

– W Irkucku mieliśmy malutki wiejski domek na obrzeżach miasta, zresztą jak większość tamtejszych, wynarodowionych Polaków, którzy przeważnie byli jeszcze potomkami powstańców styczniowych. Pamiętam doskonale, jak mama gotowała na starym piecu kaflowym, jak dorzucała do ognia, jak grała na pianinie albo uczyła mnie historii czy matematyki – wyliczała z zadumą na twarzy. – Pamiętam też, że rodzice często wpajali mi, że to, co robimy w domu, zawsze musi pozostać między nami, i że ucząc mnie, na przykład różnych języków oraz innych potrzebnych w życiu rzeczy, przygotowują mnie do pełnienia kiedyś, w przyszłości, bardzo ważnej i odpowiedzialnej funkcji opartej na wykonywaniu skrajnie niebezpiecznych zadań. Tego jednak miałem dowiedzieć się dopiero w odpowiednim czasie...

– Czyli już wtedy przygotowywali cię do Polonorum.

– Tak... Jednak jak powiedział Bona: ojciec, cały czas przygotowując mnie do służby, jednocześnie z jakiegoś powodu bał się oddać mnie w tamtym czasie na szkolenie do organizacji...

– Może komuś nie ufał? – domyśliła się Lili.

– Nie wiem... A to właśnie stąd cały ten późniejszy problem z wtajemniczeniem mnie i dokończeniem szkolenia już w oficjalnej procedurze... – wyjaśnił.

– To zrozumiałe... Nie można sobie tak po prostu szkolić dzieci na własną rękę, a tym bardziej powierzać im tak ściśle tajnej wiedzy...

– Ale gdyby nie ta ryzykowna decyzja ojca, nie byłoby mnie dzisiaj w organizacji...

– Dlatego podejrzewam, że twój nieustępliwy upór najwyraźniej jest cechą dziedziczną.

– Może masz rację... – Chłopak wzruszył ramionami. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Powiedz coś jeszcze o swoim domu, o mamie – nadal nalegała Lili.

– Jeśli chodzi o mamę, było tak jak w przypadku mojej babci, nie znałem jej nazwiska panieńskiego ani też imion jej rodziców...

– Może podobnie jak ja była oddana do programu „Świtez”?

– Bardzo możliwe... – potwierdził. – W każdym razie była bardzo piękną, elegancką i na pozór delikatną kobietą. Pamiętam, że często przytulała mnie, całowała i czytała na dobranoc różne przygody polskich bohaterów. Jak się nawet mocno skupię, to potrafię sobie przypomnieć, jak pachniała...

– Jesteś do niej podobny?

– Raczej nie. Miała blond włosy oraz duże, szarosiwe oczy.

– Czyli wykapany ojciec?

– Zdecydowanie tak, zwłaszcza oczy. Bona często mi powtarzał, że nieraz rozmawiając ze mną, miał dziwne wrażenie, że rozmawia z nim...

– No rzeczywiście, mi też te twoje nienaturalnie błękitne oczy, zwłaszcza przy bardzo ciemnej karnacji, od razu utkwiły w pamięci – wyznała.

– Oooo... Czyli jednak nie byłem ci taki obojętny, jak to próbowałaś pokazać – skomentował szelmowsko.

– Nie wyobrażaj sobie za dużo... Po prostu zawodowo zwracam uwagę na takie rzeczy – sprostowała, lekko uderzając go w zranione udo.

– Auaaa! – zawołał Antek, trochę z udawaną przesadą.

– Nie ściemniaj mi tutaj, tylko mów dalej! Jestem ciekawa... – ponagliła.

– No dobra... – Zaśmiał się. – A więc tak jak już wcześniej wspominałem, co jakiś czas rodzice wyjeżdżali i wtedy zostawiali mnie pod opieką dziadka. Ten zaś uczył mnie strzelać, bić się, tropić zwierzynę oraz pokazywał, jak przetrwać w skrajnie trudnych warunkach. Pewnego kwietniowego dnia moi rodzice ponownie wyjechali w służbową podróż, zostawiając mnie samego w domu, a ja jak zwykle miałem czekać na przybycie dziadka, gdyż zapowiedział, że zjawi się po mnie późnym popołudniem. Tak się jednak nie stało... Trochę więc wystraszony i zdezorientowany spędziłem samotnie całą noc. Dopiero nad ranem pojawił się cały zdyszany i wyraźnie czymś roztrzęsiony. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest zdenerwowany, bo zapewne miał problem z dotarciem do miasta; w końcu na Syberii zaczynały się wtedy pierwsze wiosenne roztopy, a to znacznie utrudniało przeprawę przez dzikie, syberyjskie odludzia. Szybko jednak zrozumiałem, że nie w tym rzecz, gdyż dziadek natychmiast wyrwał mnie z łóżka, każąc prędko się ubierać i bezzwłocznie opuścić dom, a przy tym cały czas mrucał pod nosem coś w stylu: „Oni zaraz tu będą”. Wtedy dopiero zacząłem się naprawdę bać, ponieważ po raz pierwszy na jego ciemnej, pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy dostrzegłem autentyczny strach i zarazem obłądny, nieopanowany gniew... Nie miałem więc już odwagi dopytywać go o to, co się stało i kim są ci „oni”, a tylko spakowałem się najszybciej, jak potrafiłem, i spoglądając z żalem na pusty dom, pożegnałem się z nim w myślach, podświadomie wiedząc, że już do niego nigdy nie wrócę. W końcu, po kilku dniach grobowego milczenia, gdy siedzieliśmy już bezpiecznie w odległej syberyjskiej chacie, dziadek wykrztusił z siebie, że rodzice nie żyją, ale natychmiast z całą surowością dodał, że choć w gazetach napisano, iż był to nieszczęśliwy wypadek samochodowy, to prawda jest taka, że zamordowali ich ludzie z rosyjskich służb i żebym zawsze o tym pamiętał, bo oni mogą kiedyś chcieć odnaleźć także mnie.



– Dla małego chłopca to musiało być straszne przeżycie. – Lili, słysząc te niewiarygodne zwierzenia, ponownie przytuliła się mocniej do Antka.

– O dziwo z początku nie czułem się źle... Szczerze mówiąc, przez pierwsze tygodnie w ogóle to do mnie nie docierało, myślałem nawet, że dziadek po prostu się pomylił albo coś... Rodzice w końcu dość często wyjeżdżali, nieraz na bardzo długo, więc nadal podświadomie łudziłem się, że za jakiś czas wrócą, jak zwykle. Jednak po dwóch miesiącach, gdy wciąż ich nie było, dotarło w końcu do mnie, że nigdy ich już nie zobaczę. To wtedy dopadł mnie nieznośny wewnętrzny ból, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie czułem, ale zarazem ostatni, jaki przeżyłem w moim życiu. Potem nic mnie już nie ruszało... – wyznał, jakby celowo robiąc przy tym niewzruszoną minę.

– A jakim sposobem w tak młodym wieku udało ci się wydostać z Rosji i dotrzeć do Bony?

– Dziadek wszystko doskonale mi wytłumaczył i rozrysował w swoich notatkach kilka możliwości. Ja jedynie wybrałem opcję ucieczki, która wydawała mi się najbardziej możliwa. Przedostałem się więc przez granicę, jadąc na wagonie z transportem rosyjskiego węgla, który był wtenczas setkami ton eksportowany do Polski. Można powiedzieć, że była to moja pierwsza, całkowicie samodzielna akcja... Ehh... – Westchnął ciężko. – Dużo by opowiadać – dodał, dając do zrozumienia, że trochę się już zmęczył tymi wspominkami.

– Bona wiedziała, że się pojawisz? – nie odpuszczała dziewczyna.

– Nie... Myślał, że zginąłem wraz z moimi rodzicami, albo że zamordowano mnie jakiś czas po nich.

– Pewnie się nieźle zdziwił, kiedy cię zobaczył...

– No... Przyznam, że oczy miał jak pięć złotych, gdy zastał mnie zziębniętego i umorusanego na progu swojej chałupki w Bieszczadach – odparł z rozbawieniem, a gdy Lili chciała jeszcze o coś zapytać, nagle tarpan zaczął gwałtownie zwalniać, a z szoferki dało się słyszeć nerwowe uderzenia ręką w blachę i rozkazujący głos kierującej nim starszej kobiety:

– Zamknąć się tam i schować pod skóry! Będziemy mieć kontrolę!

Antek natychmiast złapał duży pęk skór, na którym opierał swoją głowę, i rozrywając sznurek, którym były owinięte, zarzucił je sobie i Lili na głowy. Następnie zastygli oboje w objęciach, niczym skamieniali kochankowie w Pompejach, a ich oddechy niemal całkowicie zamarły.

– Kto wy? – zza plandeki dotarł do nich surowy głos białoruskiego milicjanta, gdy tarpan, z przeraźliwym piskiem zdezelowanych hamulców, zatrzymał się na skraju drogi.

– Ja Jekaterina Kunicówna, jadę ze skórąmi na handel do Grodna. Pan pewnie nowy tutaj i mnie nie zna – odpowiedziała spokojnym głosem, z nienagannym białoruskim akcentem.

– Dokumenty! – rozkazał ostro, ale chwilę po nim odezwał się głos drugiego z milicjantów, z tym że już o wiele przyjaźniejszy i spokojny:

– Hej, Sasza! Każ jej jechać dalej! To stara Polka z Nowogródka, zawsze wozi towar o tej porze! – wyjaśnił.

– W środku nocy ze skórąmi? – zapytał podejrzliwie służbista, uważnie przyglądając się dokumentom staruszki.

– Nie ma innej rady, panie władzo... O piątej rano zaczyna się skup, bo skóry jak najwcześniej muszą być dostarczone na granicę. Jak nie będę od trzeciej w nocy ustawiona w kolejce, to handlarze wezmą od innych – spokojnie wytłumaczyła.

– No tak, racja... – przyznał milicjant. – Ale tą maszyną chyba prędko tam nie zajedziecie... – skomentował, oglądając auto z lekką kpina na ustach.

– Sasza! Chodź już! Przetrzepiemy następnego, a babulka niech jedzie! – powtórzył kolega ze służby.

– Dobra... Ruszaj! – rzucił w końcu niedbale, poklepując samochód po drewnianej burcie, szczęśliwie nieświadomy tego, kto znajdował się po jej drugiej stronie, a także tego, że prawdopodobnie rozminął się dziś ze śmiercią.

Tymczasem skrzynia biegów w tarpanie ponownie zaskrzypiała przeraźliwie i stary wół roboczy potoczył się z wolna przed siebie. Antek prędko odrzucił więc

na bok odurzające swym intensywnym zapachem baranie skóry i powiedział cicho do Lili:

– Uff... Myślałem, że się uduszę pod tą baranicą...

Dziewczyna jednak nic już nie odpowiedziała, gdyż po prostu totalnie wyczerpana zasnęła, chrapiąc przy tym delikatnie i zastygając z uśmiechem na ustach, świadczącym o tym, że dawno nie było jej tak dobrze, jak w tej chwili.

Skoro więc nie sposób było dalej walczyć z od wielu godzin dobijającym się o swoje snem, tym bardziej że wysłużone resory wiekowego pick-upa skrzypiały wyjątkowo monotonnie i usypiająco, Antek, czując ciepły, mocny uścisk, którym oplotła go Lili, zdecydował się zamknąć w końcu zmęczone powieki i zdać się już tylko na starą, niepozorną łączniczkę, która krztusząc się tylko od czasu do czasu klasycznym kaszlem palacza, mknęła niewzruszona w świetle księżyca przez lokalne dróżki tej urokliwej, dawnej polskiej krainy.

– I co, mały Polaczku, boisz się?

Tym razem znana już Antkowi kwestia, którą zawsze wypowiadał rosyjski kat strzelający w sennym koszmarze w głowy dwójki młodych ludzi klęczących przed nim na kolanach, brzmiała o wiele bardziej wyraźnie niż dotychczas...

W końcu chłopak się przebudził, jak zwykle zresztą po próbie rozpaczliwej, sennej ucieczki, zdając sobie szybko sprawę, że jego przeciążony mózg spłatał mu właśnie figla i głos, którym posługiwał się zbrodniarz, był głosem Diektiera.

Pieprzona potęga podświadomości... Chyba im bardziej jestem wycieńczony i niewyspany, tym bardziej to nieznośne gówno się powtarza – dodał w myślach i westchnął, rozcierając obolałą od niedospania głowę i zerkając na trzepoczącą na wietrze plandekę samochodu.

– Lili? Co tak cicho? Dojechalіśmy już? – zapytał nagle, podrywając się nerwowo do pionu.

Jednak dziewczyny już przy nim nie było, za to przed tylną burtą tarpana czekało na niego dwóch zamaskowanych komandosów, którzy z zachowaniem wszelkiej ostrożności mierzyli do niego z odbezpieczonych hk416.

– Co jest, do cholery?! – zapytał zdezorientowany, rozglądając się wkoło, aby znaleźć jakąś ewentualną drogę ucieczki.

– Zamknij ryj i wyskakuj z paki! Następnie gleba na ziemię i ręce na głowę! – zaryczał jeden z nich po polsku.

– Ej! Co to, do kurwy nędzy, ma być?! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem chłopak, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza podporządkować się żadnym żądaniom.

Niestety słysząc tę butną odpowiedź, kilku innych zamaskowanych mężczyzn zerwało drastycznie plandekę ze starego pick-upa i wskakując błyskawicznie na pakę, zaczęło krzyczeć przeraźliwie: „Gleba! Gleba! Ręce na głowę!”, po czym skrupowano go kajdankami i zrzucano z auta.

Antek, zdając sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans na jakąkolwiek konfrontację, nawet nie próbował się opierać, a jedynie leżąc na twardej, ubitej ziemi, zaczął się rozglądać uważnie wkoło. Okazało się, że ułożono go na pospolitym klepisku znajdującym się pomiędzy szarymi, odrapanymi budynkami, zapewne jakiegoś starego, porzuconego PGR-u. Zbyt nie zdziwiło go to, gdyż wiedział, że służby uwielbiają wykorzystywać takie miejsca dla siebie. Całkowicie jednak zszokowało go to, co zobaczył pod ścianą jednego z budynków gospodarczych. W towarzystwie dwóch zamaskowanych, tęgich mężczyzn w eleganckich marynarkach stała jak gdyby nigdy nic Lili. Rozmawiając z nimi w najlepsze, trzymała w jednej ręce butelkę z wodą, a w drugiej jakąś bułkę.

– Pani kapitan, widzimy się na miejscu za dwie godziny! – zawołał nagle jeden z mężczyzn, który upewniał się właśnie, czy aby ręce więźnia są dostatecznie dobrze skrupowane, a słysząc te słowa, dziewczyna mimowolnie odwróciła wzrok w stronę obezwładnionego Antka i wtedy ich spojrzenia się spotkały...

W świetle nadchodzącego poranka chłopak dostrzegł, że Lili próbowała usilnie zachować swoją pospolitą, jak zwykle surową i niewzruszoną twarz, ale tym razem nie udało jej się tego zrobić, gdyż Antek ukłął ją tak świdrującym i wymownym spojrzeniem, iż emocje kotłujące się w niej niczym wrząca woda, zaczęły

niebezpiecznie wydobywać się na zewnątrz, szarpiąc nerwowo jej brwiami i bladymi policzkami.

– Oczywiście, panie majorze – odpowiedziała jednak pewnym głosem, po czym z widoczną ulgą na twarzy odwróciła się znów w stronę swojego rozmówcy.

To była już ostatnia rzecz, jaką tej nocy zobaczył Antek, gdyż natychmiast po tym jeden z zamaskowanych osiłków, który przyciskał go usilnie do ziemi kolanem, zakneblował mu usta, a następnie zarzucił czarny worek na głowę, mówiąc:

– Jeśli będziesz wydawał jakieś niepożądane odgłosy podczas przekraczania granicy, zostaniesz natychmiast zlikwidowany. Taki mamy rozkaz, rozumiesz?!

Antek potrząsnął potwierdzająco głową i po chwili poderwano go do góry niczym zeszywniałe zwłoki i wrzucono do jakiejś czarnej, mocno wygłuszonej skrzyni, która na domiar złego była wyjątkowo ciasna i niewygodna.

– Pamiętajcie! – rozkazał jeszcze jeden z mężczyzn, gdy nad chłopakiem zamykało się ciężkie, solidne wieko. – To transport najwyższego stopnia ryzyka! Gość jest przebiegły, niebezpieczny i bardzo dobrze wyszkolony! Nie wolno wam go zlekceważyć! W razie próby ucieczki od razu strzelać w łeb, bez ostrzeżenia!

Tymczasem Antek, słysząc już z tylko przytłumione, niezrozumiałe odgłosy dobywające się zza ścian ciasnej skrzyni, totalnie zaskoczony tak dziwnym obrotem sprawy i absolutnie załamany tym, co dopiero zobaczył, zdecydował się ponownie zasnąć, aby choć trochę zregenerować wycieńczony organizm i przynajmniej na chwilę nie myśleć już o niczym. Sen na szczęście przyszedł bardzo szybko i zanim zaczął na powrót kończyć jego przekrwione i podkrążone oczy, wyszeptał jeszcze do siebie:

– Fałszywa żmija... Pieprzona szmata...

# Spis treści

Razem i przeciwko sobie

Wódka, sauna i dziewczyna

Śmierć od pierwszego wejrzenia

Charlotte

Willa Mira

MAV

Piąty pasażer oshkosha

Coma, audyt i mauzoleum

Niezapowiedziani goście

Ceremonie

Odprawa

Piramida

Dowódca

Państwo Aristow

Niedźwiedź, sygnet i tancerka

Dziecko Katnica

Grobowiec

Karta redakcyjna

W rozdziale *Dziecko Katnica* zostały wykorzystane fragmenty utworu *Świtezia* autorstwa Adama Mickiewicza.

*Korzenie Lili*

ISBN: 978-83-8313-445-1

© Piotr Moskała i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Jędrzej Szulga

KOREKTA: Magdalena Brzezowska-Borc

PROJEKT OKŁADKI I ILUSTRACJA: Grzegorz Araszewski



**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk